







SWIEK. XII  
MIO. LAT. MYSLI POLSKIEJ

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY

PAŃSTWA

WARSZAWA

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

**WIEK XIX**

**STO LAT MYŚLI POLSKIEJ**

WYDAWCA

WARSZAWA



3011-00000-1

1919

WARSZAWA

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

WARSZAWA

# WIEK XIX

## STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,  
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,  
GABRYELA KORBUTA, MANFREDA KRIDLA,  
STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM VII

WYPISY Nr 798-880

Biblioteka Publiczna  
Warszawa - Wola  
59/VII

0



3011--000435-00

884 (09)

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPOŁKA  
NEW YORK © THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WIEK XIX  
STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ZYCZYORYS STRZECZKA WYJAZTU



III VII

~~F. III 59 VII~~

Czyt. Naukowa

Nr III  
Nr inw. C.N. 435 / 59 VII

WZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.  
ODBIŁO W. L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. 00

435

WYKAZ WYPISÓW.

CII.

KORZENIOWSKI JÓZEF (1797—1863).

Wypisy Nr. 798—808.

	Str.
Życiorys, opr. H. Galle. . . . .	1
Bibliografia. . . . .	19
A) Mnich. . . . .	20
B) Karpacze górskie. . . . .	25
C) Żydzi. . . . .	34
D) Panna mężatka. . . . .	43
E) Kolokacya. . . . .	51
F) Krewni. . . . .	63

CIII.

CHOLONIEWSKI STANISŁAW (1791—1846).

Wypisy Nr. 804—808.

Życiorys, opr. G. Korbut. . . . .	75
A) Sen w Podhorcach. . . . .	84
B) Opis podróży do Kijowa. . . . .	109
C) Z-Obrazów z galerii życia mego. . . . .	122

CIV.

HOŁOWIŃSKI IGNACY (1807—1855).

Wypisy Nr. 809—815.

Życiorys, opr. G. Korbut. . . . .	138
A) Pielgrzymka do Ziemi świętej. . . . .	132
B) Życie mojej matki. . . . .	141



CV.

WISZNIEWSKI MICHAŁ (1794—1865).

	Wypisy Nr. 816—887.	Str.
	Życiorys, opr. G. Korbut. . . . .	151
A)	Pamiętka po ojcu. . . . .	169
B)	Z Historii wieku Piastowego. . . . .	173
C)	Charaktery rozumów. . . . .	182
D)	Historia literatury. . . . .	190
E)	Podróż do Włoch. . . . .	210
F)	Myśli o kształceniu samego siebie. . . . .	221

CVI.

GRABOWSKI MICHAŁ (1804—1863).

	Wypisy Nr. 838—843.	Str.
	Życiorys, opr. M. Kridl. . . . .	228
A)	Myśli o literaturze polskiej. . . . .	246
B)	Literatura i krytyka. . . . .	255
	O szkole ukraińskiej poezyl. . . . .	262
C)	Świat i poeta przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	269

CVII.

TYSZYŃSKI ALEKSANDER (1811—1880).

	Wypisy Nr. 844—851.	Str.
	Życiorys, opr. G. Korbut. . . . .	286
A)	Amerykanka w Polsce. . . . .	294
	O szkołach poezyl polskiej. . . . .	309
B)	Cel krytyki. . . . .	314
C)	Pierwsze zasady krytyki powazecznej. . . . .	325
D)	Dwie Świtczanki. . . . .	327
E)	Z wizerunków polskich. . . . .	335
F)	Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna Słowackich). . . . .	340

CVIII.

CYBULSKI WOJCIECH (1808—1867).

	Wypisy Nr. 852—860.	Str.
	Życiorys, opr. G. Korbut. . . . .	348
A)	Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko. . . . .	350
B)	Dziady Mickiewicza. . . . .	360

CIX.

SIEMIEŃSKI LUCYAN HIPOLIT (1809—1877).

	Wypisy Nr. 861—866.	Str.
	Życiorys, opr. Br. Chlebowski. . . . .	374
A)	Trąby w Dnieprze. . . . .	384
B)	Zakłete kolo. . . . .	387
C)	Komu w drogę, temu czas. . . . .	388
D)	Odyssea. . . . .	389
E)	Glossa św. Teresy. . . . .	397
F)	Portrety literackie. St. Trembecki. . . . .	399

CX.

BUKATY ANTONI (1808—1876).

	Wypisy Nr. 867—869.	Str.
	Życiorys, op. J. Ujejski. . . . .	410
A)	Sprawa Polski. . . . .	414
B)	Polska w apostazji. . . . .	422

CXI.

KRÓLIKOWSKI LUDWIK (1799—1878).

	Wypisy Nr. 870—871.	Str.
	Życiorys, opr. J. Ujejski. . . . .	429
	Polska Chrystusowa. . . . .	443

CXII.

WÓJCICKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW (1807—1879).

	Wypisy Nr. 872—873.	Str.
	Życiorys, opr. B. Chlebowski. . . . .	448
A)	Klechdy. . . . .	460
B)	Stare gawędy. . . . .	463

CXIII.

MECHERZYŃSKI KAROL (1804—1881).

	Wypisy Nr. 874—875.	Str.
	Życiorys, opr. H. Mościcki. . . . .	472
A)	Historja wymowy w Polsce. . . . .	474
B)	Piotr Skarga. . . . .	476



CXIV.

**MACIEJOWSKI WACŁAW ALEKSANDER (1793—1883).**

Wypis Nr. 876. . . . .	Str.
Życiorys, opr. I. Baranowski. . . . .	478
Rysy do obrazu charakteru Słowian i Niemców. . . . .	485

CXV.

**HUBE ROMUALD (1803—1890).**

Wypis Nr. 877. . . . .	Str.
Życiorys, opr. I. Baranowski. . . . .	487
Ogólne zasady nauki prawa karnego. . . . .	492

CXVI.

**HOFFMAN KAROL BOROMEUSZ (1798—1875).**

Wypis Nr. 878. . . . .	Str.
Życiorys, opr. I. Baranowski. . . . .	495
Wielki tydzień Polaków w r. 1830. . . . .	499

CXVII.

**HELCEL ANTONI ZYGMUNT (1808—1870).**

Wypisy Nr. 879—880. . . . .	Str.
Życiorys, opr. I. Baranowski. . . . .	503
A) O teoretycznej i praktycznej oświacie. . . . .	509
B) Z aforyzmów o konserwatyzmie. . . . .	512

**STANISŁAW KRZEMIŃSKI**

1839—1912.

W zgasył dnia 29 listopada 1912 r. niezwykle zasności człowieka i obywatelu, kraj nasz stracił oddanego mu całą duszą patriotę i działacza, piśmiennictwo poważnego, światłego, uzdolnionego, gotowego do udziału w każdym zamierzeniu literackim i naukowym pracownika, publicystę, krytyka, poszukiwacza, redaktora, wreszcie koło redakcyjne »Stu lat myśli polskiej« gorliwego, oddanego z zapalem podjętemu zadaniu współredaktora, wzorowego współpracownika i najlepszego kolegę.

Też same pobudki społeczne i zamierzenia oświatowe, jakich wyrazem była wydana przy współudziale Krzemińskiego w latach 1884—1885 »Złota przęda«, skłoniły go do skwapliwego przyjęcia udziału w urzędystwieniu zamiaru »Stu lat myśli polskiej«.

Koło redakcyjne, do którego obok zmarłego weszli pierwotnie: Ignacy Chrzanowski i Henryk Galle, przystąpiło do pracy, której całość obliczono na 12 tomów, z zapalem i energią. Na ułożenie planu wywierał przeważny wpływ Krzemiński, najstarszy wiekiem i górujący młodzieńczym prawdziwie zapalem. Gorące słowo wstępne, poprzedzające tom pierwszy, wydany w r. 1906.

odbija wymownie nastrój uczuciowy ówczesnej redakcyi. Tom ten wypełniały przeważnie opracowania Krzemińskiego, który, oddając się źródłowym studjom nad wiekiem 18-tym i literaturą polityczną wieku 19-tego, w pracach poświęconych: Staszycowi, Kollątajowi, Czackiemu, Czartoryskiemu (generalowi ziem podolskich), Albertrandiemu, Wybickiemu, Matuszewiczowi, a w późniejszych tomach: Lelewelowi, Czartoryskiemu Adamowi, złożył dowody swego rozległego odczytania, gruntownej znajomości rzeczy polskich i gorącego ich umiłowania.

Składając hołd wysokim zasługom i zaletom zgasłego współtowarzysza pracy, redakcyja »Stu lat myśli« pragnie uczcić pamięć Krzemińskiego przez doprowadzenie do końca dzieła, które mu było tak drogiem, w które włożył tyle swej pracy i wiedzy, tyle zapалу swej podniosłej duszy.

Warszawa, grudzień 1912.

Redakcyja.

## CII.

### KORZENIOWSKI JÓZEF

(1797—1863).

Utalentowany obserwator typowych objawów życia codziennego, jeden z twórców nowoczesnej, realistycznej powieści polskiej, autor licznych, niegdys wiecej popularnych dramatów i komedyj, z których kilka do dziś dnia utrzymuje się trwałe na scenach polskich, urodził się Józef Korzeniowski dn. 19 marca 1797 roku, a więc w dwa lata zaledwie po ostatnim rozbiore Rzeczypospolitej, a na rok i kilka miesięcy przed Mickiewiczem, na folwarczku, dziś zwanym »Korzeniówką«, pod Brodami. Jakkolwiek miejscowość ta nie ma w sobie poetyckiej krasy, autor »Spekulanta« zachował o swem miejscu rodzinnem do końca życia ciepłe i serdeczne wspomnienie.

Z równą serdecznością Korzeniowski zachował w pamięci wizerunki obojga rodziców: ojca Wincentego, który w ostatnich latach XVIII wieku był rządcą w dobrach Wincentego Potockiego, i matki, Klary z Winklerów, w której, wedle mniemania Chmielowskiego, Józef miał odziedziczyć temperament spokojny, stacyczny, przy pewnej przymieszce sentymentalizmu. Tworząc w wiele lat później w »Kolkakacy« sympatyczne postacie dwojga starszków, dziadka i babki Starzyckich, zalewał się łzami, w nich bowiem złożył, co miał najdroższego z przeszłości — wspomnienia rodziców.

Pierwsze lata dzieciństwa upływały Korzeniowskiemu wśród zmiennych, a silnych wrażeń bojów napoleońskich: pochód armii rosyjskiej pod Austerlitz w r. 1805 to jedno z najwcześniejszych jego wspomnień, a już w r. 1809, mając zaledwie lat 12, marzył o mundurze i lancy ułańskiej i uciekał z domu rodzicielskiego do Brodów, przyglądać się »musztrum i egzercyzjom« nowego żołnierza; zwłaszcza szwadron szaserów konnych Przebendowskiego, w ogromnych bermycach, uplastcznił się w jego pamięci.

Z latami ochłódł ten kult dla Napoleona, ustąpiwszy miejsca chłodnej rozprawie i krytycyzmowi, o czym świadczy skreślona przez K. w »Dzienniku wsiatatora« w r. 1849 w Wolkowskich, owej pamiętnej w dziejach wojny 1812 r. miejscowości, notatka, w której, uchylivszy czoła przed »obrzynią siłą moralną ludu rosyjskiego«, potępił »boga wojny« za nieopatrzne zmierzenie się zarówno z tą potęgą duchową, jak i warunkami przyrodzonymi teatru wojny.

Uczył się Józef początkowo w domu, a od dziewiątego roku życia w Brodach, w szkole normalnej, pozostającej pod kierownictwem niejakiego p. Fontani. Po ukończeniu trzeciej klasy normalnej w tym zakładzie wysłano go do Zbaraża, gdzie chodził do klasy pierwszej (rok 1807), drugą zaś klasę ukończył w Czerniowcach, dokąd go zabrał bratanek jego matki. Opiekował się nim tak gorliwie, że w rok później wychowanek za namową opiekuna i pod wpływem zielenicznej jego żony napisał list z powinszowaniem imienia do matki — po niemiecku. Szczęśliwy instynkt ojca ocalił Józefa dla literatury polskiej: stary oburzył się na tak znakomite postępy syna w języku urzędowym, bezwzględnie go z Czerniowiec odebrał, a od roku szkolnego oddał do gimnazjum wołyńskiego w Krzemieńcu, które, kierowane umiętną i całą dążnością Czackiego, stało wówczas u szczytu swego rozwoju.

W Krzemieńcu rozpoczął Korzeniowski swój wioleletni zawód pisarski, korzystając z rad i wskazówek ks. Alojzego Osńskiego, profesora literatury polskiej i łacińskiej; pod jego to kierunkiem przyszły autor »Karpackich Górali« pierwsze swe utwory wierszowane »ubierał w dźwięki mocno brzmiące« i »wodził niechętnie usta po chrapliwym fletcie«. Te z wysiłkiem nielada dobywane tony z klasycznego »fletu« nie wróżyły laurów poetycznym; w samej też rzeczy nie na tej drodze zdobył sobie Korzeniowski trwałe imię w dziejach piśmiennictwa ojczystego.

Pierwsze drukowane utwory młodego autora, prozą i wierszem, znalazły miejsce w »Tygodniku Wileńskim«, w nr. 392 z dn. 13 sierpnia 1816 r. (-Oda na rok 1815-, napuszona i sztuczna, a już przeciw Napoleonowi zwrócona), oraz w założonych przez Tymona Zaborowskiego i Karola Sienkiewicza »Ćwiczeniach naukowych«, przemianowanych od r. 1819 na »Pamiętnik naukowy« (wiersz p. t. »Ernestyna«, na wzór ballad Schillera, pierwszy ślad oddziaływania na naszego autora nowych prądów literackich, oraz traktat »O górności z Longina i oryginalna rozprawka »O patetyczności«).

Gdy wjeżdżał w r. 1819 z Krzemienia, snuły mu się już po głowie »wielkie, klasyczne i pełne gwałtownych tyrad tragedye«. Uwielbienie dla mistrzów klasycyzmu nie przeszkadzało wszakże młodzieńcowi zapoznawać się z utworami najnowszej literatury niemieckiej.

Ten okres przygotowawczy ciągnął się jeszcze przez następnych lat cztery, które Korzeniowski spędził w Warszawie, już to w charakterze nauczyciela 7-letniego Zygmunta Krasieńskiego, przyszłego

twórcy »Irydyona« i »Przedwitu«, już to jako bibliotekarz ordynacji Zamojskich. Z domem Krasieńskich żyć się nie potrafił i, nie wytrwawszy do końca umowy, ustąpił miejsca koleździe szkolnemu, Piotrowi Chlebowskiemu (całą rodzinę Krasieńskich, nie bez ironii, przedstawiał potem w powiastce p. t. »Ksiądz gwarydan«).

O wiele przyjemniejsze było zajęcie w bibliotece Zamojskich. Mając dostęp do bogatej ksiąźnicy, Korzeniowski rozczepił się za równo w utworach poezji polskiej XVI w. (Kochanowski i jego »odprawa posłów greckich«), jak i w Szekspirze i mistrzach romantyki niemieckiej.

Przekłada wprawdzie jeszcze »Tankreda« i »Zairę« i chwali się przed Zaborowskim z każdego szczegółowiej oddanego zwrotu pseudoklasyycznej muzy Woltera; przekłada »Pory roku« Thomsona, ale jednocześnie czyta z zapalem Schillera, ukradkiem, z obawy przed złośliwością waszechwałdnego zoila, Ludwika Osńskiego, tłumaczy »Intrygę i miłość«, a także częściowo »Maryę Stuart« i »Wilhelma Tella«.

I utwory jego z tej epoki znamionują jeszcze człowieka, stojącego na rozdrożu: obok rzeczy czysto klasycznych, jak wyżej wspomniane »List do ks. Alojzego Osńskiego« (drukowany w r. 1820 w »Pszczółce polskiej« i »Pamiętniku naukowym«), obok podobnego »Wiersza do Fr. Morawskiego« lub takiego plodu retoryki napuszonej, jak wiersz »Chwała poety«, zamieszczony w »Wandzie« z r. 1821, pisze poezje o innym, zupełnie tonie i treści, jak »Drzewko złamane« lub »Ostatnia praca«, zapiekle sentymentalizmem przesadnym i sztucznym, »Tren Omnia na dolinie Beders«, duma, jedyny bodaj u naszego autora utwór orientalistyczny, lub »Świątelko«, osnute na tematach ballad Schillera.

W Warszawie jeszcze zawiera Korzeniowski śluby małżeńskie z panną Moniką Vogel, córką Zygmunta, profesora architektury i malarstwa w uniwersytecie warszawskim. Wkrótce widzimy go już na nowem stanowisku.

W r. 1823 ks. Adam Czartoryski zawezwał Korzeniowskiego do Krzemienia na osieroconą po śmierci Feliksiego katedrę wymowy i literatury polskiej. W sierpniu młodzi państwo Korzeniowscy byli już w Krzemieńcu, a z początkiem roku szkolnego rozpoczęli się wykłady nowego profesora, którego stawa wkrótce rozesała się szeroko.

Już w Warszawie próbował Korzeniowski twórczości dramatycznej, pisząc utwór jednoaktowy p. t. »Klara«, i to, wbrew ks. Osńskiemu i krytykom warszawskim, wierszem białym, miarowym, któremu chciał wywalczyć honorowe w poezji polskiej stanowisko. »Klara« powstała prawdopodobnie w r. 1819, ale dopiero w r. 1826 ukazała się w druku, wespół z podobną jej formą i tematem tragedją pięcioaktową, p. t. »Aniela«, napisaną w r. 1825.

»Klara« i »Aniela« wyszły w Poczajowie, pod wspólnym tytułem: »Próby dramatyczne«.

W samej rzeczy były to dopiero próby młodego dramaturga

z nieodłącznymi od młodzieńczych poczynań usterkami. »Klarze«, która jest właściwie epilogiem dramatu, brak żywej akcji i żywiołu dramatycznego, oraz dostatecznej wyrazistości w charakterach wprowadzonych na scenę osób: z wyjątkiem bohaterki tytułowej, uwiedzionej przez hrabiego dziewczyny, owianej mgłą lekkiej melancholii, wszystkie inne figury nie wychodzą ponad poziom szablonów i rozplwają się w ogólnym tonie sentymentalnej deklamacji. Słusznie jednak powiada Chmielowski, że »Klara«, jako »pierwszy nasz utwór dramatyczny XIX w. wolny od napuszonej patetyczności, a dający próbkę charakterów refleksyjnych, w których myśl i uczucia przemagają nad formą«, ma swoją kartę w dziejach naszego piśmiennictwa. »Aniela« to jakby powtórna edycja »Klary«, znacznie, bo aż do pięciu aktów, rozszerzona, z podobnym motywem zasadniczym, uzupełnionym pomysłami szekspirowskimi (hamletyzm uwodziciela, grabarz-filozof, samobójstwo bohatera na cmentarzu, u zwłok kochanki, jak w »Romeu i Julii«) i schillerowskimi (»Intryga i miłość«).

Pomimo tych braków oba dramaty podobały się współczesnym czytelnikom. Mickiewicz w r. 1828 w liście do Odyńca nazywa »Anielę« próbą wcale dobrą i wielce obiecującą, a Słowackiemu jeszcze w r. 1836 taż »Aniela« przychodziła na myśl.

»Mówiąc o sławnych ludziach — pisze do matki z Genewy dnia 5 lutego — zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem »Prób dramatycznych«? Jego »Aniela« często mi przychodzi na myśl, jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować, i nad czym pracuje. Jest to jeden z tych ludzi, którym nie oddano słusności; potrzebaby mniej być odtąd w pochwałach oszczędnym«.

Trzecim z rzędu dramatem Korzeniowskiego jest »Mnich«, trzyaktowa tragedia historyczna, osnuta na motywach czysto narodowych. Bohaterem jest tu król-wygnaniec, Bolesław Śmiały, spędzający ostatnie chwile życia na pokucie w klasztorze pod Ossykiem w Karyntyi. Pomimo pięknej myśli przewodniej (odpuszczenie win naszym winowajcom), tragedia, pozbawiona pierwiastka dramatycznego i jasno zarysowanych charakterów, nie budzi żywego zainteresowania; wprowadzony na scenę duch biskupa Stanisława, który przynosi przebaczenie swemu zabójcy, przywodzi na myśl ducha ojca Hamleta.

Chociaż w utworach powyższych pierwsze łody klasyczne zostały przetłamane, pomimo to z kierunku tym nie zerwał jeszcze Korzeniowski, bo oto w r. 1826 powstaje dramat p. t. »Pelopidowie«, osnuty na epizodzie z dziejów występnego rodu Atrydów. Tragedya ta, nie objęta zbiorowem wydaniem »Dzieł« Korzeniowskiego, pozostaje do dziś w rękopisie. »Pelopidowie«, dzięki zapewne przedmiotowi klasycznemu, zjednali swemu twórcy tryumf, do którego oddawna w ciichości ducha wzdychał: dn. 25 stycznia r. 1830 tragedia ta, pierwsza z dzieł dramatycznych Korzeniowskiego, ujrzała w Warszawie

światło kinkietów, poczem powtórzono ją jeszcze dwukrotnie: 25 lutego i 23 marca.

Inny dramat, z tegoż czasu, również prawdopodobnie w klasycznej formie, p. t. »Bitwa nad Mózgawą czyli Mieczysław Stary« (1827), jest zupełnie niennyany: F. H. Lewestam nie pomieścił go w wydaniu zbiorowem dzieł Korzeniowskiego, w mniemaniu, iż, ogłaszając go, slichą tylko jego sławie; wyświadczyłby usługę; zresztą Korzeniowski wyraził stanowcze życzenie, aby dzieło to pozostało w rękopisie.

Następne z kolei dzieło dramatyczne, pierwsze, jakie ukazało się na deskach teatru lwowskiego, który odtąd wprowadzał stale do repertuaru wszystkie sztuki autora »Anieli«, nosiło tytuł »Miłość i Zemsta«, później zaś — »Dymitr i Marya czyli Wróżba i Zemsta«. Z początku dramat ten pisany był prozą, później zaś, na życzenie Ksawerego Godebskiego, syna Cypryana, przerobiony na wiersz. Wyszedł on z pod pióra autora w r. 1831, w tym samym jeszcze roku grano go trzy razy, a potem powtarzano do r. 1843; jak na owe czasy, dla sztuki polskiej powodzenie to niemale.

Dramat ten, osnuty na tym samym, co i »Marya« Malczewskiego temacie (tragiczna śmierć Gertrudy z Komorowskich Szczęsnowej Potockiej), z dodaniem kilku osób (czaranka-wróżbitka i zausznik Wojewody, Stefan, szczerzy szablon czarnego charakteru) i scen melodramatycznych (napad Wojewody na dom Maryi), nie należy do najlepszych dzieł Korzeniowskiego, przy przenoszeniu bowiem na scenę akcyi poematu Malczewskiego zatarła się cała krasa, cały urok tych postaci, owianych smutkiem i melancholią.

Pomimo te braki, dramat podobał się publiczności lwowskiej i utworzył innym dziełom Korzeniowskiego drogę na scenę lwowską. To też nie minęły trzy lata, gdy Korzeniowski wystąpił do Lwowa drugi dramat, napisany jeszcze w r. 1829, p. t. »Piękność zgubą« (drukowany p. t. »Piękna kobieta«). W dniu 11 kwietnia r. 1834 dramat został odegrany i, podobnie jak i »Dymitr i Marya«, cieszył się powodzeniem.

Tym razem powodzenie to było bardziej zasłużone. »Piękna kobieta« bowiem, mimo tła obcego, pod względem kompozycji przewyższa wszystkie dotychczasowe dramaty Korzeniowskiego. Rzecz dzieje się na dworze króla angielskiego, fikcyjnego zresztą, Edgara, który trwoni życie na hulankach i rozpustie, ma jednak porwy szlachetne; bohaterką główną jest próżna i kapryśna Elfyra, kobieta, która nie jeszcze występne nie uczyniła, ale stoi na krawędzi otchłani występków, a piękność i próżność popychają ją ku złemu; inne też postacie (szlachetny, a lekkomyślny Eitelwold, mąż Elfyry, osiwiały w bojach jej stryj, Olgar, nikczemny, zawistny Lesley) mają swoją plastykę sceniczną.

Ostatnie wreszcie utwory Korzeniowskiego, napisane przed opuszczeniem Krzemieńca, były to dwa fragmenty poetyckie, zamieszczone



w noworoczniku »Melitele«, wydawanym przez Odyśca w latach 1829 i 1830. Znamionuje te utwory znaczny postęp we władaniu formą poetycką. Mamy również wiadomość, że w tymże czasie nosił się Korzeniowski z myślą napisania powieści, ale z zamiaru swego do skutku nie doprowadził.

Wszystkie powyższe utwory świadczą, że młody autor nie był sobie jeszcze wytknął drogi. Jego dramaty z tego okresu, wchłające się między Wolterem i Raszynem a Schillerem i Szekspirem, są to dotychczas tylko próby wypowiedzenia się w różnych kształtach literackich, bez wyraźnego skłaniania się w którąkolwiek stronę. Rozpocząwszy swą twórczość w dobie zmagania się klasycyzmu z romantyzmem, Korzeniowski w walce tej nie wziął wcale udziału, trzymał się na uboczu, a tryumfy młodej poezji romantycznej, uwiecznione dziełem Mochackiego o »Literaturze polskiej w XIX« i nocą listopadowa, nie wywarły na jego twórczość wyraźniejszego wpływu (z wyjątkiem »Dymitra i Maryi«).

Tymczasem w r. 1832 liceum krzemienieckie przestaje istnieć, i Korzeniowski widzi się zmuszony przyjąć zaofiarowaną mu posadę w nowo otworzonym uniwersytecie kijowskim św. Włodzimierza, gdzie wykładał obce dla siebie dotychczas przedmioty: język łaciński, mitologię i starożytności rzymskie. W r. 1836 zajmował katedrę lektora literatury polskiej, ale w 1836 roku katedra ta została zwinięta. Nie znając dokładnie przedmiotów, które miał wykładać, musiał mozolnie przygotowywać się do każdej lekcji, co mu wiele bardzo czasu pochłaniało, tak że go brakło do pracy literackiej.

Ale przedewszystkiem był dla siebie szczęśliwym lat życia. I dopiero powoli zaczął przywykać do nowych warunków: zbudował sobie domek przy ulicy Lipki, wystarczający na skromne potrzeby jego rodziny — i tak minęło sześć lat jego życia (1833—1838).

W okresie tym, oprócz kilku drobnych nowel, powstały dwa tylko dramaty, i to nie najlepsze; »Piąty akt« oraz »Dziewczyna i dama«.

»Piąty akt«, napisany w r. 1833, odegrany po raz pierwszy we Lwowie r. 1836, w Warszawie zaś r. 1838 (pierwszy po »Pelopidach« dramat Korzeniowski, wystawiony na scenie warszawskiej), bardzo się podobał publiczności: w teatrze polskim w Lwowie od r. 1836 do 1842 grano go 12 razy, w teatrze niemieckim zaś 2 razy (w r. 1838 i 1840); trzech pisarzy przekładało dramat na język niemiecki; sprawozdawcy nazwali go »wybornym«, »uwielbianym«, samego zaś autora sławnym. Dzisiejsza krytyka nie podziela tych zachwyty. Bo choć dramat jednoaktowy, o treści, mogącej starczyć na 5 aktów, sprawa wstrząsająca wrażenie wysokim napięciem sytuacji, szybkością gwałtownych zmian, mnogością katastrof, jednak ten nadmiar efektów melodramatycznych (potwornie pojedynk amerykański między mężem zdradzonym a kochankiem, uskuteczniiony za pomocą dwu kubków,

z których jeden zawiera truciznę, w ostatniej scenie) obniża wartość literacką dzieła, tem więcej, że i charaktery osób w natłoku wypadków nie zdążyły się należycie uwytknąć, a postać męża, przygotowującego na zimno straszliwą katastrofę, jest moralnie wprost wstrętna.

Dnia 8 czerwca r. 1838 teatr lwowski wystawił nowy dramat Korzeniowskiego p. t. »Płochosć ukarana«, napisany w r. 1836, i drukowany później p. t. »Dziewczyna i dama czyli dwa oświadczenia«; w tymże roku grano »Płochosć ukaraną« cztery razy, potem jeszcze w r. 1840 i 1843, a w r. 1839 w teatrze niemieckim w przekładzie W. T. (prawdopodobnie Thuliego). W tymże samym czasie sprawozdawcy lwowscy zaczynają nazywać twórcę »Piątego aktu« »genialnym«, dramaty zaś jego nieważ pod niebiosa.

Zasadniczym błędem tego dramatu jest rozdwojenie akcji między dwie bohaterki, z których jedną jest dziewczyna z ludu, Kasia, drugą zaś — pani Adamowa, dama z wielkiego świata. Pierwsza z nich z powodu tendencji wyidealizowana nie ma w sobie nic naturalności, pani Adamowa zaś jest bardzo konsekwentnie przeprowadzona: pierwszy to u Korzeniowskiego typ kobiety światowej, lekkomyślnej, płochę, żyjącej uciechami dnia dzisiejszego, nie oglądającej się na jutro.

Jeżeli dodamy jeszcze dwa obrazki powieściowe: »Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy« i »Wtorek i piątek«, to wyzerpiemy całą twórczość Korzeniowskiego z czasów kijowskich.

W r. 1838 otrzymuje na posadę dyrektora gimnazjum w Charkowie. Początkowo, w kwietniu t. r., jedzie sam, by przygotować jakikolwiek kąci dla swoich najdroższych. W listach, które w owym czasie pisywał do żony, sili się na dobry humor, przedstawia wszystko w różnych barwach, ale czasem rozdrażnienie i żal przebija przez tę maskę.

»Wszakże nie wyobrażaj sobie — pisze dn. 8 maja r. 1838 do swej ukochanej Monisi — że tu jedziesz dla jakichkolwiek przyjemności! Nudy, moja droga, drobiazg, i nie wiem, jak nazwać takie życie. Może to mnie się tak wydaje, że sam, że nikogo nie znam; ale zawsze żadnych iluzji nie miej«. Ton gorzki niejednokrotnie odzywa się w charkowskiej korespondencji Korzeniowskiego: »Napisz, co się tam w waszej literaturze dzieje — pisze w r. 1841 do Karola Wittego — ja ci się przyznam, że mi już wszystko obrzydło. Walczyć z takimi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzym imieniem — albo jak mi dokuczą, to... nie kończę, bo myśl grzeszna«.

Ale później, przystosowawszy się do nowych warunków bytu, Korzeniowski urządził sobie wcale znośne życie: jego dom był ogniskiem dla kolonii polskiej w Charkowie; bywali tu co tydzień profesorowie uniwersytetu (filolog Alfons Walicki, prawnik Aleksander Mickiewicz, brat Adama), urzędnicy i studenci Polacy.

Te ośm lat pobytu w Charkowie (1838—1846) nie minęły bez-



owocnie i w zakresie twórczości literackiej. Powstały w tym okresie liczne utwory dramatyczne, a wśród nich najlepsze: »Karpaccy Górale«, »Żydzi«, »Panna mężatka«, a także pierwsze powieści, które wie, czy nie najlepsze ze wszystkich: »Spekulanci« i »Kollokacy«.

Już w dwa lata po osiedleniu się w Charkowie, w r. 1840, Korzeniowski donosi swemu przyjacielowi, artyście sceny lwowskiej, Antoniemu Benzie, o nowym dramacie: »Dawno, bardzo dawno — pisze dn. 1 listopada r. 1840 — nie mieliście nic ode mnie. Moje przeniesienie, inny rodzaj życia, inne zajęcia — przerwały wszystkie dawniejsze marzenia i osnovy. Długiego potrzeba było czasu, nim pozwążywałem porwane nitki. Teraz posyłam znowu Galicyi, ojczyźnie mojej, upominek z dalekich stron, który jej się wielorako należy. Jeżeli jeszcze nie otrzymał, to otrzymasz wkrótce dramat w trzech aktach pod tytułem: »Karpaccy Górale albo Rekrut«.

Ale wobec zawartej w utworze ostrej krytyki biurokracji galicyjskiej nie było rzeczą łatwą wprowadzenie »Karpackich Górali« na scenę lwowską. Dopiero w r. 1844 (2 czerwca) wystawiono we Lwowie to jego »ulubione dziecko«, i to z wielkimi zmianami: Rewizorzczka i Tychoczyzka przechrzczone na Damiana i Kuźmę, usunięto wyrazy »mandatarysz« i »strzelco«, usunięto wszelkie wzmianki o Niemcach i rządzie austriackim, o wojsku, służbie wojskowej, a także wszystkie wyrazy niemieckie.

»Karpaccy Górale« stanowią w rozwoju talentu Korzeniowskiego olbrzymi krok naprzód, zwłaszcza w kierunku swojskości. W dramacie tym zerwał on z konwencyonalizmem dramaturgii salonowej, po raz pierwszy przedstawił wieś, wprawdzie nie polską, ale na polskiej ziemi leżąca, i chłopą, wprawdzie nie naszego juhasa-zbójnika, którego nie znał, ale prawdziwego chłopą, Huculą opryszką, którego poznał, bawiac w r. 1840 w Burkucie, w Karpatach wschodnich, w tej właśnie okolicy, która jest teatrem wypadków, przedstawionych w »Karpackich Góralach«. W pozostałych po śmierci Korzeniowskiego papierach odnaleziono przekład rosyjski tego dramatu, poprzedzony przedmową, w której autor charakteryzuje obyczaje Huculów (rozumiejąc tu oporem do upatrzonej galicy, dezertersztwo, opryski, nadużycia niższych urzędników: werwalterów, mandataryszów, setników, strzelców i t. d.), a także podaje szczegółowy opis miejscowości; wszystko to znalazło się, jako motywy, w »Karpackich Góralach«.

Imię zaś bohatera, Antosia Rewizorzczuka, odnalazł w ludowej piosence, przytoczonej, jako motto dramatu (Nyma ryby w Czeremosi, Wsiu pojiła szuczka, Powisly Tychoczyzka i Rewizorzczuka).

Piosenki tej nie udało się dotychczas badaczom odnaleźć ani w zbiorach pieśni drukowanych, ani też w ustach ludu; kilka zaś innych, przytoczonych w dramacie pieśni (np. »Czerwony płaszcz, za pasem broń« i »Hej! bracia opryski! doleciecie do czarki!«) są niewątpliwie pomysłu samego autora.

Postacie górali (Antoś, Maksym, Prokop), choć może nieco wy-

idealizowane, trzymają się krzepko; kobiety już są bardziej literackie. Prakseida w scenie obłąkania przypomina Ofelię, stara matka Antosia w scenie, kiedy przeklina żonę i córkę Prokopa, przypomina bohaterki szekspirowskie (np. trzy królowe żalobnice, miotające złozenia na głowę zbrodnicego Gloucester'a w »Ryszardzie III«). Daje się też wreszcie odnaleźć wpływ Schillera, zwłaszcza »Zbójców« (sceny z opryskami, scena, w której Maksym wtrąca Prakseidę w fale Czeremoszu, w myśl zapewne słów Karola, który woła, zabijając Amelję: »Kochanka Moora tylko z Moora ręki zginąć może«).

Wyzysk i ucisk ludu, zdzierstwa i nadużycia urzędników austriackich w owe lata bezprawia i gwałtu przed rokiem 1848 — oto w najogólniejszych zarysach treść »Karpackich Górali«. O stosunkach ludu ruskiego do szlachty polskiej niema tu najlżejszej wzmianki. Na pojawienie się sprawy ruskiej w naszej literaturze pięknej wypadnie jeszcze kilkanaście lat poczekać, aż do »Wasyla Holuba« Jeża (1859) i »Świętego Jura« Zacharyasiewicza (1862).

»Żydów« odegrano we Lwowie po raz pierwszy w grudniu r. 1843 »przy niepamiętanym oddawna natoku«; prasa odywała się o tem nowem dziele Korzeniowskiego nadzwyczaj pochlebnie.

»Żydzi« w samej rzeczy zasługują na to pochwały, nie dla swojej budowy, która jest niedość spójna, nie dla tendencji, na dla swojego wyniku ostateczny trudno się zgodzić, lecz dla przedwziewnej wypukłości charakterów i obrazów. Przed nami przesuwa się bogata galeryja typów dodatnich i ujemnych, z różnych warstw społecznych, dosadnie scharakteryzowanych (marnotrwały hrabia Ponicki, dorobkiewicz i lichwiarz, prezes Zadzermowski, napwół sfrancuziała hrabina Ponicka, pani Szenionowa, stara elegantka z czasów Cesarstwa i Księstwa Warszawskiego, komisarz Pazurkiewicz i inni).

Tendencja utworu wyraża się w przeciwstawianiu szachrajczej i wyzyskującej nikczemnie uboższych arystokracji lub pseudoarystokracji tym Żydom prawdziwym, pejsatym i brodatym, których bożyszczem jest wprawdzie także pieniądź, lecz którzy nie mają się tak nieuczciwych środków dla dojścia do celu. Przedstawicielem ich jest Aron Lewe, jedna z celniejszych pod względem plastyki scenicznej postaci komedyi.

Z tem wszystkim myśl przewodnia komedyi, tak pięknie wyłożona w pierwszych trzech aktach, nie wytrzymała do końca: stary komornik Starosiwicki nie pozwala synowi żenić się z księżniczką Zofią, przez cześć dla krwi senatorskiej, płynącej w jej żyłach, a młodzieńcy bez oporu godzą się na konieczność rozłąki. Autor, który w tytylu »Żydach« położył tak daleko w potępieniu wyższych warstw społecznych, niepotrzebnie zatrzymał się przed tą ostatnią zaporą prząsądu.

U zczytu wreszcie twórczości dramatycznej Korzeniowskiego z tego okresu stoi komedya »Panna mężatka«, napisana w roku 1844 i tegoż roku dn. 1 lipca wystawiona na scenie lwowskiej. Nigdzie kompozycya dramatyczna nie jest tak doskonała, jak tutaj.

Akcya rozwija się nadzwyczaj zżęcznie i konsekwentnie; charaktery pod względem prawdy psychologicznej i plastyki przeprowadzone świetnie: zżęcna, zalotna, a przytem uczuciowa Cecylia, komiczny nieco zarówno w swem kunktatorstwie, jak i w póniejszych zapalch miłosnych Adolf, szeszer, mimo to, wzbudzajacy sympatyę, dalej major, raptus i werydyk o złotem sercu, wreszcie pułkownikowa, zana i pełna serdeczności matrona.

«Karpaccy Górale», «Żydzi i »Panna męzka» to szczyt twórczości dramatycznej Korzeniowskiego, szczyt, do którego póniejsze utwory już się nie wzniosły. Inne utwory dramatyczne z tego okresu nie sigają tych wyżyn. Jedynym z czasów charkowskich, a zarazem ostatnim dramatem historycznym naszego autora jest «Andrzej Batory», napisany jednym tochem, w ciągu trzech tygodni 1845 roku. Akcya osnuta na wypadkach z dziejów Siedmiogrodu 1598 roku. Bohaterem głównym jest człowiek o pięknej i szlachetnej duszy, Andrzej Batory, biskup warmiński, który, powołany na tron przez stany siedmiogrodzkie, ginie w nierównej walce z wrogiem zewnętrznym i intrygami wewnątrz państwa. Większych atoli zalet literackich utwor ten nie posiada: za wiele tu retoryki, za mało zaś ruchu scenicznego, walki.

Jeszcze mniej jest do powiedzenia o dramatach, które moglibyśmy nazwać egzotycznymi: «Sąd przysięgłych» (1846), osnuty na tle obyczajowości angielskiej, «Isabella d'Amonte» (1846), której akcya rozgrywa się na tle gorącej Hiszpanii i przedstawia walkę namiętności południowych; prawdopodobnie oba naśladowane z obcych wzorów, należą do słabszych utworów dramatycznych Korzeniowskiego. Toż samo można powiedzieć o dramacie «Umarli i żywi, czyli wszystkiego po trosze» (napisanym w r. 1841, wystawionym w marcu następnego roku), który, przedstawiając ludzi i rzeczy z dalekiego, włoskiego świata, razi przytem przesadą efektu melodramatycznego.

W dramacie współczesnym z polskiego świata Korzeniowski rozwija zagadnienia etyczne i społeczne, które widzieliśmy już w poprzednich utworach. Temat zdrady małżeńskiej, który posłużył mu za punkt wyjścia w «Piątym akcie», podnosi teraz jeszcze dwukrotnie: w «Oknie na pierwszym piętrze» (1844) i w «Mężu i artyście» rozwiązuje tę sprawę za każdym razem inaczej, a nigdy w sposób, dający zadowolenie moralnie czytelnikowi. Jednoaktowy dramat «Pani Kasztelanowa», do dziś dnia utrzymujący się na scenach polskich, zwalcza te same przesady kastowe, które autor oszczędzał w «Żydach»; niema tu żywej akcya, ale dyalog ma piękną i szlachetną linię, a postacie są dostatecznie wywypukłone.

O wiele bogatszy i godniejszy uwagi jest plon twórczości w zakresie komedyi: gdy bowiem dramaty (z wyjątkiem «Pani kasztelanowej») mają bądź charakter konwencyonalny, kosmopolityczno-salonowy, bądź też malują obce nam obyczaje, w komedjach czerpie Korzeniowski motywy z własnych wspomnień; to też pierwiastek narodowy

większą w nich odgrywa rolę. Są one przeważnie szczerze i prawdziwie polskie, a tłem ich bądź Warszawa, którą poznał Korzeniowski w czasie czteroletniego w niej pobytu (1819—1823), bądź też, najczęściej, Wołyń z ukochanym Krzemieniem, gdzie spędził lata szkolne, gdzie rozpoczął zawód nauczycielski.

Warszawie zawdzięcza Korzeniowski «Starego męża», wyborną, żywą, zajmującą (mimo pewnej dwuznaczności pomysłu) komedye, pierwszą z długiego szeregu komedyi charakterów (napisana w roku 1842 i tegoż roku, 11 listopada, grana we Lwowie, przyjęta bardzo przychylnie), z doskonałemi postaciami oficerów i ordynansów, obok kilku typów ze świata ziemiańskiego. A żyją po dziś dzień w pamięci narodu postacie popularne dwuaktówki «Majster i czeladnik» (1843), znakomite typy drobnego mieszczaństwa warszawskiego, które miało w przyszłości znaleźć utalentowanego malarza w «Krewnych» (szewc Szarucki, jego żona, ex-woźny Lykalski).

Wreszcie w związku z obyczajowością warszawską pozostaje komedya «Młoda wdowa» (1843), w której (równie jak i współczesny mu Stanisław Bogusławski we «Lwach i lwicach»), Korzeniowski występuje przeciwko emancypacji kobiet, widząc w niej tylko strony śmieszne i uwłaczające powadze i dostojenstwu matrony polskiej, a każąc bohaterce zrzucić amazonkę, sprzedać konia, wzięć do ręki robotkę szydełkową, a narzeczonemu przyrzec — przejść przez życie «z rozko szną uległością», zdradza poglądy płytkie i jednostronne.

Jeżeli pominiemy teraz kilka drobniejszych, mniejszej wartości, lub zgola bez wartości, jak komedya dwuaktowa «Zakład» (1839), przerobiona z pięcioaktowego dramatu p. t. «Zakład sumienny», jak «Pośredniczka» (1843), leciutka satyra na tych, co przed koniec sztuki wychodzą z teatru, a potem wyrokuje o całosci dzieła, jak «Panna Katarzyna w długach», rzecz nie sceniczna zgola, prawdopodobnie okolicznościowa, jak komedya dwuaktowa «Okrężne», czysty szablon, o niewybrednej intrydze, jak «Zaręczony aktorki» (1845), wreszcie gdzie po raz pierwszy przedstawia Korzeniowski świat kulis, kłopoty dyrektora, różne typy aktorów i aktorek, — wszystkie inne komedy z tego okresu z noszą na sobie wyraźne piętno wspomnień wołyńskich. Przedstawia w nich autor różne typy ziemiańskie, które mógł obserwować w Krzemieniu (dwaaktowa komedya «Fabrykant» z roku 1844, ośmieszająca niewczesne u szlachty wranie się do przemysłu, bez należytego przygotowania), zwalcza zastarzałe przesady szlacheckie (np. wstręt ku naukom wogóle, a ku medycynie w szczególności w «Doktorze medycyny» z r. 1845, komedy o doskonalej plastyce figur, zwłaszcza epizodycznych), wyprawdza na scenę ówczesne postacie panienek z «białych dworów», wietrznie o złotem sercu (jednoaktówka p. t. «Pierwej mama», 1843), nie zapomina też o charakterystycznych wielec wrażeń z przejazdów po kraju w powozach pocztowych («Stacya pocztowa w Hulczy», 1845). Tutaj należą również i «Ży-

dzi« z długim szeregiem typów z różnych warstw społecznych na Wołyniu.

A chociaż nie wszystkie utwory dramatyczne Korzeniowskiego z tego okresu mają wartość, chociaż ich budowa, sposób przeprowadzenia intrygi wiele nieraz pozostawia do życzenia, jednak zastąpiły się on wielce teatrowi polskiemu w owe lata posuchy; wobec zamknięcia Fredry (1835), wobec tego, że dramaty Słowackiego nie weszły jeszcze na scenę, był on wówczas prawdziwym filarem scen polskich, dostarczając im obfitego i urozmaiconego repertuaru, we wszystkich rodzajach poezji dramatycznej.

Na innym jeszcze polu miały zabłysnąć niebawem zasługi autora »Żydów«: za to utwory jego miały być. Nie Korzeniowski dał początek temu rodzajowi literackiemu w Polsce: nie mówiąc już bowiem o pierwocinach naszej powieści rodzajowej (Skarbek, Massalski, Jarczewska), uprzedzili pod tym względem autora »Karpackich Górali«: Kraszewski, który z »Poetą i świętem« (1839) rozpoczyna świetną epokę swej twórczości beletrystycznej w zakresie współczesności. Szyrmer i Chodźko Ignacy. Ale obok tych autorów, jeszcze przed rokiem 1845 popularnych, miał się Korzeniowski stać przez długi czas jednym z najbardziej lubionych powieściopisarzy, a wpływ jego miał sięgać daleko.

Już w Charkowie powstały dwie najważniejsze jego powieści, i to utwory już zupełnie dojrzałe, lepsze od wielu późniejszych: »Spekulant« i »Kolkokacya«. Pierwsza z nich, napisana w r. 1845, wydana zaś w 1846, uderza głębiokością i trafnością obserwacji obyczajowej; takie bowiem postacie, jak August Molicki, szuler, hulaka, rozrzutnik i łowca posagowy, pan chorąży Wolczański, »sknera wystawny«, zacyjny marszałek Zabrzeziński, szwagier Augusta, pan Kasper, dla swej ułomności i złośliwego języka zwany »skulawym dyablem«, dobre i niewinne, nie znające świata dziewczę, Klara Wolczańska, jej matka, zacna i rozumna matrona, pan Paweł, poeta, pocieszny, ale w gruncie rzeczy pocziwy »Homer powiatowy«, Abranko-arendarz, są doskonale nakreślone, celują plastyką i konsekwencją psychologiczną. Są tu też doskonale sceny zbiorowe i rodzajowe, jak np. obraz jarmarku berdyczowskiego.

W wydanej w następnym (1847) roku »Kolkokacyi« wprowadza Korzeniowski jeszcze większą rozmaitość typów i postrzeżeń obyczajowych, przyczem rozszerza się znacznie pole widzenia autora: mamy tu bowiem do czynienia już nie z jednostkami, ale z całymi grupami społecznymi. Taką grupą jest cały tłum drobnej szlachty, kolkokowanej (t. j. osadzonej wspólnie na działkach majątku dłużnika) na Czaplincach. Mało stworzył Korzeniowski obrazów tak ruchliwych, a tak wysoce charakterystycznych, jak wizerunek życia i obyczajów współwłaścicieli Czaplincie (świetna scena imienia u państwa Płachtów). Doskonale również odwzorzył autor małą, pełną figurkę prezesa Zagarkowskiego, chciwca i obłudnika; przy pozorach jowialnej dobroduszo-

ści, prezes dąży do tego, by przy pomocy sprytnego, wykształconego Żyda Szlomy, który uczył się do 16-go roku w Krzemieniu, zagarnąć połowi wszystkie działki czaplincieckie.

Do świetnych postaci tej powieści należą, prócz powyższych, pani Włodzimierzowa Podziemska, dumna swem księżęciem pochodzeniem arystokratka, i syn jej, Henryk, wychowany przez matkę na zupełnego niedolegę, papinkę i tchórze.

Obie powieści, które ze wszystkich dotychczasowych utworów Korzeniowskiego najlepiej wyżytkowały wyniesione z Wołynia spostrzeżenia obyczajowe, zjednały mu wielką popularność, choć postępowcy i entuzjastki (Narcyza Żmichowska w »Przeglądzie naukowym« z r. 1846) gniewali się na autora za jego równy i umiarkowany temperament i filisterstwo. Dodać zresztą należy, że Korzeniowski, człowiek spokojny i zrównoważony, unikający starannie wszelkich krańców, jak niegdyś pozostał obojętny wobec walki klasowych z romantykami, tak i teraz, wobec żywej wymiany myśli i zdań konserwatystów, skupionych około redakcji »Tygodnika petersburskiego«, i postępowców, trzymał się na uboczu. Było to wynikiem zarówno spokojnego temperamentu, jak i długoletniego oddalenia od głównych ognisk ówczesnego życia umysłowego w Polsce.

»Spekulant« i »Kolkokacya«, najważniejsze z powieści Korzeniowskiego, odrazu postawiły autora w szeregu najprzedniejszych naszych beletrystów owych czasów. A pocztyńości tej nie straciły i później, po r. 1863, w chwili powstawania nowoczesnej powieści polskiej; tak np. Orzeszkowa w latach młodocianych zaczytywała się »Kolkokacyą«, a w jednym z najwcześniejszych jej utworów, p. t. »W klatce«, odbił się wpływ postaci i scen czaplincieckich.

Nowa epoka w życiu i twórczości autora »Kolkokacyi« zaczyna się z chwilą przybycia jego na stały pobyt do Warszawy. Po kilkuletnim pobycie w Charkowie Korzeniowski nie mógł już oprzeć się coraz bardziej ogarniającemu go uczuciu nostalgii. W r. 1844 zjeżdża po raz pierwszy po latach 20 przeszło do Warszawy i stara się usilnie o otrzymanie tu posady.

Starania zostały uwiecznione pomyślnym skutkiem: w dwa lata później przybywa on do Warszawy na stałe wraz z rodziną. Wkrótce otrzymuje miejsce dyrektora gimnazjum gubernialnego; w r. zaś 1848 zostaje członkiem rady wychowania i wizytatorem szkół.

To ostatnie stanowisko, jakkolwiek uciążliwe dla chorego na astmę autora »Kolkokacyi«, pod względem literackim było mu bardzo na rękę; teraz dopiero od lat wielu, od chwili opuszczenia Krzemienia, miał sposobność rozszerzać widnokrąg swoich postrzeżeń życiowych, przyglądać się rozlicznym typom i zbierać wzorki do swoich powieści i komedii.

»Dziennik wizytatora«, spisany przez niego w r. 1849, świadczy, iż miał na widoku nie tylko cele, związane z urzędem. Korzeniowski zawiązuje serdeczne stosunki z wielu domami w Warszawie,



w których przez długie lata przetrwało wspomnienie dobroduszných i sympatycznych państwa Korzeniowskich.

Najlepszą ich sylwetką skreśliła Paulina Wilkowska w swoich »Wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie«; przedstawia tu ich autorka, jako stałych gości wieczorów poniedziałkowych pani Niny Luszczeńskiej, gdzie zapewne niejednokrotnie autor »Spekulanta« miał sposobność słyszeć improwizację panny Jadwigi Luszczeńskiej, znanej później pod pseudonimem Deotymy; bywali także częstokroć Korzeniowscy i u państwa Wilkowskich. Wogóle postacie pana Józefa i pani Moniki są tu odtworzone z wielką sympatją.

Zjechawszy do stolicy Królestwa w chwili przełomowej, w przedniu niemal r. 1848, kiedy w całej Europie zdawała się świtać nowa era, Korzeniowski pozostał, jak zwykle, dalekim świadkiem burzy dziejowej. Spełniał gorliwie i sumiennie obowiązki swego urzędu i pisał dramaty i powieści, te dwa tylko rodzaje literackie uważając za zgodne z duchem czasu. »Dramat i powieść — wyraził się około roku 1850 — są to jedyne rodzaje poezji, które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnie powód dziennikarstwa od zagłady ocaliły. Wszystkie inne rodzaje zaginęły na zawsze, a z nimi i formy tak rozmaite, niekiedy tak miłe i wdzięczne, przepadły i powrócić już nie mogą«.

W samej rzeczy, po r. 1848 nastąpiła u nas doba wszechwładztwa powieści, zwłaszcza w zaborze rosyjskim (Kraszewski, Rzewuski, Szyman, Kaczkowski, Chodźko). Poszedł tą utartą drogą i Korzeniowski, dostarczając zajmującej lektury rosnącej coraz zastępom czytelników powieści polskiej: od chwili przyjazdu do Warszawy do roku 1855 napisał sześć powieści, przez kilkunastu drobnych powiastek i obrazków. Ale żaden z tych utworów nie stoi na wysokości »Spekulanta«, a zwłaszcza »Kollokacyi«, chociaż rozszerzyło się znacznie pole obserwacji autora.

Tłómaczy się to poniekąd trudnymi warunkami, w jakich rozwijało się wówczas piśmiennictwo w Warszawie, skępowane więzami surowej cenzury, z drugiej zaś strony ogólną reakcją, jaką zapawała u nas po r. 1848; uległ przecież prądowi temu i taki śmiały duch, jak Kraszewski, który niedawno jeszcze, w »Ulanie«, w »Ostatnie Bondarczuku«, w »Budniku« występował gorąco i otwarcie w obronie uciśnionego ludu.

W twórczości Korzeniowskiego, który zresztą nigdy i przedtem, nie głosił hasel demokratycznych, ni postępowych, zaznaczyła się reakcja w sięgnięciu po tematy do obyczajów staroszlacheckiego w XVII wieku (powieść »Pan Stolnikowicz wołyński« z r. 1854, zupełnie nieudolna komedia historyczna p. t. »Wąsy i peruka«, z czasów Stanisława Augusta, przeciwstawiająca sarmatyzm kontuszowy nowomodnej francuzczyźnie we fraku), w pewnej skłonności do postaci i sytuacji nawpół fantastycznych, luźno związanych z obyczajowością współczesną (»Nowe wędrowki oryginalne«) wreszcie — w obniżeniu poziomu ety-

czno-narodowego ideału, które wywołało żywe oburzenie w kołach młodzieży i gorące myślących Polaków (»Tadeusz Bezimienny«).

Najwcześniejsza z powieści warszawskich, »Wędrowki oryginalne«, posiada zbyt luźną formę opowiadania czy pamiętnika, by mogła zadość wywiązać artystyczne; prztem akcja jej nie jest jednolita, mamy tu bowiem dwoje bohaterów: porzucają samotnie na szerokim świecie Julisję, która znajduje miejsce w domu zanych starszków, pp. kasztelaństwa, skąd wypędzą ją bolesny zawód w miłości, i brata jej przyrodniego, artystę-muzyka, Karola Larysza, któremu ciężkie borykanie się z losem osładza miłość Mani, pięknej postaci egzaltowanego dziewczęcia. Prócz figur głównych, wyprowadził tu autor na scenę kilka doskonałych sylwetek epizodycznych.

Wydane w r. 1851 »Nowe wędrowki oryginalne« nie pozostają w żadnym związku z pierwszą powieścią. Przeprowadza tu autor myśl, że łatwo zarobiona fortuna nie przynosi szczęścia, przybierając ją w szatę niezbyt wytworną pod względem artystycznym (niezbyt udanie wprowadzony pierwiastek fantastyczny); ciekawy tu jest tylko nowy typ dorobkiewicza-magnata, Jana Pirleja, który bierze się do przemysłu i handlu i pracuje nad szerzeniem kultury materialnej i duchowej wśród ludu. Pierwszy to raz przemówiło w naszej literaturze hasło »pracy organicznej«, chociaż miano to nie było jeszcze wówczas znane.

Sympatyczna, choć nieco rozwlekła powieść, p. t. »Emery« (1851), osnuta jest, również jak i dwie poprzednie, na tle życia warszawskiego, przedstawia, przez miłą niezmiernie postaci tytułowej, wysłużonego profesora łaciny, która jeszcze innych figur, zśród których wyróżnia się zatracony już dzisiaj typ służbisty-urzędnika, pana referendarza.

»Garbaty« (1853) nie celuje wprawdzie doskonałością budowy, ale, ze względu na kilka wybornych typów oraz szlachetność tendencji, godzien jest podniesienia. Tendencja ta polega na przeciwstawieniu brzydkiego ciała, lecz pięknego duszą garbusa Maryana syna bratu przyrodniemu Kasprowi, który jest potworem moralnym. Dość żywą akcją urozmaica wyprzedzonych na scenę kilka postaci ze świata artystycznego, podobniejszych wszakże do filistrów, niż do rzucających się lekkomyślnie w wir świata artystów-cyganów.

Jednocześnie z »Garbatym« ukazała się najbardziej typowa dla tego okresu twórczości powieść »Tadeusz Bezimienny« (1853). Utwór pod względem literackim nie wytrzymuje krytyki, jest źle zbudowany; opowiadając dzieje życia tytułowego bohatera, zbyt wiele poświęca miejsca jego dzieciństwu i pierwszej młodości w stosunku do wieku dojrzałego.

Ale nierównie ważniejsze są zarzuty natury moralnej. Tadeusz jest synem Rozalii i generała rosyjskiego, hrabiego C\*\*\*, odwecem pokatnej, brzydkiej miłości, której autor ani nie stara się uzasadnić psychologicznie, ani też nie potępia, jak na to zasługuje. Go-

rzej jeszcze: Rozalia bez zmużenia powiek, bez zmarszczenia w twarzy patrzy, jak jej mąż, dręczony podejrzeniami, katuje Tadeuszka, i nie zdobywa się ani na jeden wyraz protestu czy obrony. To już graniczy z potwornością. Nie może nas też zadowolić pod względem moralnym sposób zadośćuczynienia Tadeusza za grzechy młodości: autor każe mu zaciągnąć się do wojska rosyjskiego pod rozkazy naturalnego ojca i zginąć w walce z broniącymi swęj niepodległości mieszkańcami Kaukazu. Najpiękniejsze karty tej powieści to obraz życia szkolnego w liceum krzemienieckim, obraz, który autor oblał całym potokiem blasku i ciepła.

O twórczości dramatycznej w tym okresie niewiele jest do powiedzenia, chociaż do końca życia nie przestawał Korzeniowski pisać dla sceny, chociaż szereg jego dramatów, a zwłaszcza komedyi, z tego czasu jest wcale długi. Znajdziemy tu, prócz powyżej wymienionej komedyi kontuszowej »Wasy i peruka«, i dramat (»Cyganie«), i libretto do opery dla Moniuszki (»Rokiczana«), i fragmenty dramatyczne (»Gentile Bellini«, »Śpiący Kupidyn«, »Beata«), i liczny počet komedyi i komedylek, ustępujących znacznie pod każdym względem dawniejszym utworom (»Konkurent i mąż«, »Autorka«, »Stara eleganka«, »Dwaj mężowie«, »Przyjaciółki«, »Wojna z kobietą«, »Młody mąż«, »Reputacja w miasteczku«, »Podróżomania«, »Narzeczona«, »Qui pro quo«).

Jeszcze i ostatnie lata przyniosła kilka utworów dramatycznych: rok 1860 — znamionująca upadek sił utwory: »Stary kawaler«, »Pustynia«, »Plotkarz«, oraz »Majątek albo imię«, ostatni, w którym zaznaczonych jest z pewną plastyką kilka figur; 1861 — tragi-komedję w 5 aktach, p. t. »Złote kajdany«, nawpół fantastyczna, jak »Nowe wędrowki oryginalne«, i rozwijająca tę samą myśl, się pieniądze nie dają szczęścia. Dodać należy, że pod postacią krytyka Centaurowicz, występującego się arystokratom, Korzeniowski przedstawił tu Klasczek; jest to jedyny odwet za słynną krytykę »Tadeusza Beziemnego« i »Krewnych«, którą Klasczko zamieścił w »Wiadomościach polskich«, wydawanych w Paryżu.

Krytyka ta, o ile dotyczyła »Krewnych« (1857), zbyt była surowa, powieść bowiem należą, obok »Spekulanta« i »Kollokacyi«, do najlepszych utworów Korzeniowskiego i znamionuje w nim nową przemianę, tym razem szczęśliwą, a uwarunkowaną ogólnem podniesieniem ducha narodowego po roku 1855, który zdawał się, ze wstąpieniem na tron Aleksandra II, otwierać nową erę swobodniejszego życia. To podniesienie zaznacza się przedewszystkiem wielkiem bogactwem typów i rysów obyczajowych, w jakie obfitują »Krewni«. Rozszerzony teren obserwacyjny pozwala autorowi wyprowadzić na scenę postacie, reprezentujące najróżnorodniejsze warstwy społeczne, a więc arystokracja rodowa ma tu przedstawicieli kilku figurach epizodycznych, oraz ciekawej postaci hr. Adama S., człowieka rozumnego, który wyrzekł się przesądów społecznych i poświęcił pracy około podniesienia przemysłu,

handlu, rękodziół, wogóle dobrobytu krajowego (typ, pokrewny Firlejowi z »Nowych wędrowek oryginalne«), arystokracya urzędnicza — w śmiesznych typach referendarza Żabińskiego, jego żony i córeczek, cały dzień wyglądających oknem na domniemych wielbieli, o koronach hrabiowskich i mitrach; arystokracja pieniężna znalazła też swych przedstawicieli w osobach kilku bankierów, Żydów lub przetrzódów; dalej widzimy też w »Krewnych« kilka znacznych postaci z zacięcia wiewskiego, a potem świat warszawski: młodzi aplikanci przy różnych komisjach, ich młodzieńcze uniesienia na paradyzie w teatrze, ich ubogie mieszkanka kawalerskie na *rue de Bednarze*, ich skromniutki obiady »pod Gruszką«, a obok tego sławetny pan Hebel i całe jego otoczenie, warsztat, który zwycięża, sceny echowe i t. p.; drobne mieszczadło warszawskie po raz pierwszy bodaj zostało wprowadzone do powieści z tak drobiazgową charakterystyką.

Ożywcze tchnienie postępu zaznacza się też i w tendencji utworu. Nigdy dotąd Korzeniowski nie potępił tak bezwzględnie przesądów społecznych, nigdy nie wypowiedział poglądów tak krainowo demokratycznych, które już głosił w »Żydach«, »Pani kasztelanowej«, »Doktorze medycyny«. Posylając ubożego szlachcica na naukę do warsztatu stolarskiego, Korzeniowski zrywał z tą brządzącą się »lokiem i miarką« tradycją szlacheczką, której dawniej niejednokrotnie holdował.

Na »Krewnych« kończy się, ściśle biorąc, twórczość Korzeniowskiego w zakresie powieści, ostatnie bowiem jego utwory beletryczne: »Wyprawa po żonę« (1858), »Szczęście za górami« (1858), »Wdowiec« (1860), »Ofiara i sumienie« (1860), znamionują już upadek talentu i znisztu obserwacyjnego.

Przytem zabiera ma wiele czasu praca na polu pedagogicznym, tem więcej, że w tych latach właśnie zaczyna on, pod przewodem Wielopolskiego, gorączkowo pracować nad reformą szkolnictwa w Królestwie. Mimo późnego wieku i słabego zdrowia, zostaje Korzeniowski jednym z najgorliwszych pomocników margrabiego w dziele reformy wychowania: w r. 1861 obejmuje stanowisko dyrektora wydziału oświecenia w komisji wyznanej i oświecenia, i jego to w znacznej mierze piórem został skreślony projekt »Ustawy do reformy szkół«, wraz z motywami.

W ostatnich latach czuje się bardzo zmęczonym i wyczerpanym: dn. 14 marca r. 1857 pisze do Kraszewskiego: »Ja ustalem już zupełnie. Nic z siebie wydobyc nie mogę i czasem doznaję takiego upadku ducha, że mi się życie przykrzy i chciałbym już spocząć na dobre«. Zwłaszcza niemilosierna krytyka »Krewnych« pióra Klasczki zraniła go boleśnie. Nie poniósł wszakże za grób swej nienawiści i w testamentem, sporządzonym na rok przeszło przed śmiercią (w maju roku 1862), przebaczył wszystkim, którzy go skrzywdzili. »Wszystkim tym — pisze w tej ostatniej swej woli — którzy mi za życia nie sprzyjali, którzy mi jakąkolwiek wyrządzili krzywdę, przebaczam z całego serca,



nawet Klacze i Siemieniściemu, prosząc Boga, aby im dał tyle dobrej woli, ile mają zdolności i nauki.

Przed samym zgonem drgnęło w nim serce Polaka: napisał wierszem scenę z życia Polski w r. 1863 — p. t. »Nasza prawda«, a z takim płomiennym liryzmem patryotycznym, do jakiego nie przyzwyczaili nas w dawniejszych swych utworach.

Przewidywania rychłego zgonu sprawdziły się: Józef Korzeniowski zasnął snem wiecznym w Dreźnie dn. 17 września r. 1863.

Przeważającą cechą charakteru i talentu Korzeniowskiego jest temperament równy i spokojny, daleki od wszelkiej wybuchowości, od wszelkich uniesień. Autor »Krewnych« nie dał się nigdy porwać ani w życiu, ani w pismach gwałtowniejszemu uczuciu w jakimkolwiek kierunku. To też całe życie było obojętne, nie skłaniał się wyraźnie ku żadnemu z prądów literackich, czy społecznych, wybierając zawsze drogę pośrednią.

Stąd płynie jeszcze jedna wybitna cecha twórczości Korzeniowskiego: wszelki wzlot w krainę fantazyi kończył się zwykle tylko rozpacziwym szamotaniem skrzydeł, a świat postaci i zjawisk nadprzyrodzonych był dla niego wręcz niedostępny (»Nowe wędrowki oryginalne«). Powszedniość uczuć, przyziorność ideałów — oto czem charakteryzuje się większość utworów Korzeniowskiego. Naprawdę szukalibyśmy u niego wzniosłych wzruszeń, wielkich, wszechludzkich ideałów, co by pierś rozpięła i zapalała w niej ogień. W tym człowieku wszystko było — przeciętnej miary.

Oto jego kanon etyczny: dla mężczyzny — być poczciwym, bogobojnym, pracowitym, kochać żonę wiernie i stale, spełniać swe obowiązki sumiennie, nie żądać od losu więcej, niż daje, od czasu do czasu nie zapominać o bliźnich. Dla kobiety — pobożność, skromność, pokora, gospodarność, czystość obyczajów i myśli. Jednym słowem — moralność filisterska, nie sięgająca poza obręb życia rodzinnego.

Nic też dziwnego, że z pośród licznych typów jego powieści i dramatów najlepiej mu się udają ludzie, żyjący taką właśnie moralnością filisterską, ludzie zwykli, powszedni, których ani ubóstwiać, ani wyklinać nie trzeba i nie można. Sfera ziemiańska zwłaszcza, ze stron drógich mu wspomnieniami młodości, Wołynia, a także Podola i Ukrainy, znalazła w nim wybornego portretcę (stara arystokracja rodowa, śmieszni dorobkiewicz, skromne i ciche dworki szlacheckie, hałaśliwa szlachta zagonowa). A pobyt w Warszawie w ciągu ostatnich kilkunastu lat życia uzupełnia i rozszerza zakres jego obserwacji, wprowadzając do utworów nowe motywy obyczajowe: życie wielkomięskie, od salonów do warsztatów rzemieślniczych. Natomiast próby odmalowania świata artystycznego (w »Wędrowkach oryginalnych«, »Garbatym«, »Beacie«) nie udało mu się zgoła: artyści pod jego piórem sfilistrzeli zupełnie.

Brak żywszego temperamentu i równowaga duchowa, połączona z pogodnym optymizmem, czynią zeń spokojnego obserwatora życia

powszedniego, obserwatora, który nigdy pióra swego nie maczał w żółci. I dlatego też w satyrze Korzeniowskiego słychać wszystkie tony, prócz jednego — sarkazmu. To też z utworów dramatycznych największą sławę zyskały mu — komedye, przeniknięte lekką, żartobliwą ironią, a prztem zajmujące poczesne miejsce w dziejach naszego dramatu, jako pierwsze komedye charakterów. I tu Korzeniowski, jako wierny malarz obyczajów, bystry postzegacz słabostek i grzeszków codziennego żywota, obdarzony niepospolitym humorem, odmiennym nieco, niż u Fredry, lecz płynącym z tego samego źródła — rodzimej, swojskiej natury, — położył poważną zasługę.

Za to w zakresie tragedyi i dramatu nie trwalszego nie stworzył. Brakło mu do tego pełni uczucia, siły namiętności, odczuwania wzniosłości. Brakło wreszcie skupienia i poczucia miary, bez których niemasz prawdziwego dramatu. Wogóle kompozycja stanowi słabą stronę utworów Korzeniowskiego, tak dramatów, jak i powieści, grzeszących często gadatliwością, odbieganiem od przedmiotu, zbytnią mnogością epizodów.

Pomimo tych braków, półwiekowa niemal twórczość Korzeniowskiego (1815—1863), przypadająca w znacznej części na lata zastoju umysłowego i martwoży na gruncie zaboru rosyjskiego (1832—1848), skąd co lepsze żywioły emigrowały za granicę, twórczość obfita i różnorodna (tragedya, dramat, komedya, powieść, nowela), będąca wiernym i doskonałym obrazem rzeczywistości, a nigdy nie spuszcząca z uwagi dobra społecznego, twórczość ta odegrała poważną bardzo rolę w dziejach piśmiennictwa polskiego w XIX stuleciu.

Całość tej twórczości, z niewielkimi wyjątkami, obejmuje 12-tomowe warszawskie wydanie »Pism«, z przedmową F. H. Lewestama, a nakładem S. Lewentala (1871—1873).

## BIBLIOGRAFIA.

- Ważniejsze prace o K-im:** 1) Mochnacki: »Mnich« — Kur. Pol. 1830 (przedruk w »Pismach« M. Lwów 1910). 2) Widman: »J. K.« (Studia literackie. Lwów 1868). 3) L. Winkler: »O publicznej i literackiej działalności J. K.« (Poznań 1873). 4) Rządewski: »J. K.« (»Bibl. Warsz.« 1875/6). 5) Marzeń: »J. K. jako dramaturg i powieściopisarz« (Niwa 1876). 6) Tyszyński: o Kollokacyi i Emericy, (Rozbiory i kryt. t. 3). 7) Wilkońska: »Wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie.« (Poznań 1871). 8) Wędrchowski: »Słów kilka o J. K.« (Lwów 1864). 9) Klaczo: »Krewni« Korz. (»Wiadomości pol.« 1858 i w »Rocznikach pol.« I, 1865). 10) Belcikowski: »Dramaty historyczne J. K.« (1868, też w »Ze studiów nad lit. polską«, 1886, Warsz.). 11) Kantecki: »J. K.« »Przew. nauk. i liter. (1879,

i osobno p. t. «Dwaj Krzemienieczanie». Lwów 1879. 12) K. Witte: »J. K.« (»Tyg. Ilustr.« 1888). 13) A. Nowicki: »Co o Korzeniowskim pisano« (»Tyg. Ilustr.« 1888). 14) Chmielowski: »J. K. Charakterystyka pisarza i dzieł jego« (»Tyg. Ilustr.« 1890—91). 15) Chmielowski: »Nasi powieściopisarze« (II, Warsz. 1895). 16) Czarnik: »K. i teatr lwowski« (1822—44. Przew. nauk i liter. 1896 i osobno). 17) Gawałewicz: »Korzeniowski o sobie«. (Z nieznanych materiałów. Bibl. Warsz. 1897, II, 18) Czarnik: »Korz. o Huculach« (Lwów 1899). 19) Chmielowski: »J. K., jego życie i działalność literacka« (»Życiorysy sławnych Polaków« 3, Petersburg 1898). 20) Tenże: »Nasza literatura dram.« I. 21) Czarnik: »Korz. i Karpacy Górale« (Brody 1898). 22) »Pamięci Józ. Korzeniowskiego« (W Brodach 1898. Książka pamiątkowa, zawierająca m. i. artykuły: »K. i Wilkońskie«: »Sylwetka J. K.« z przedmowa Br. Kaśniewskiego, b) Chmielowski: »Złote kajdany«, c) Czarnik: »K. i Karp. Górale«, d) Gawlikowski: »O patriotyzmie Korz.«, e) Kaśniewski: »Mowa z powodu odsł. pomnika K. w Brodachs«). 23) Majchrowicz: »K. jako pedagog« (Lwów 1897). 24) Żywanowska: »Wspomnienia o Korz.« (»Gaz. Kaliska« 1902, N. I podaje m. i listy K.). 25) Chmielowski: »J. K.« Enc. Wych. VI (jako pedagog). 26) Tenże: »J. K.« w »Albumie biogr.« (zasłuż. Pol. XIX w.« II). 27) Galle: »J. K.« (Ks. dla wsz. 1903). 28) Mościcki: »Listy K. do ks. Ad. Czartoryskiego« (»Z nad Wilii i Niemna«, Wilno 1890). 29) Czarnik: »Głos współcz. o pierwsz. przedst. »Żydów« na scenie lwowskiej« (Pam. Lit. 1904). 30) Zdzisławski: »Pierw. lud. w poezji pol. XIX«. 31) Hahn: »Mnich« (Arcyd. pol. i obc. pis. Brody). »Karpacy Górale« (Arcyd. pol. i obc. pis. Brody).

**Listy K.** oprócz powyżej podanych: a) do A. Pau-manna (Pam. Lit. 1904); b) do ks. Baręca (Baręca: Wolne miasto handlowe Brody. Lwów 1865); c) do Witwickiego z r. 1898 (»Kraj« 1896, nr. 40); d) do córki Zaleskiej (»Kur. Warsz.« 1899, nr. 83).

**Osobne druki:** »Nasza prawda«. Scena z życia Polski w roku 1863 przez J. Korz. (z rękop. wydawn. w księdze zbiorowej p. t.: »Pamięci J. Korz.« Brody 1898 i oddbitka); Schillera »Intryga i miłość«. (Tłumacz. Józ. Korz. Dzieło z rękop. wydane po raz pierwszy. Złoczów 1905, Bibl. Powsz.)

**A) Mnich, tragedia w trzech aktach (1830).**

Ukoronowany zbrodniarz, król Bolesław, wyzuty z władzy królewskiej i ojezdzony, kłatwą i wyrzutami sumienia ścigany od grodu do grodu, od kościoła do kościoła, znajduje wreszcie przytułek i wytchnienie chwilowe w klasztorze, w Ossyaku w Karyntii, ukrywając zbroczone krwią męczennika ręce pod habitem mnicha. I tu jednak ściga go kłatwa i kara: przychodzi wysłaniec Rzymu ze strasznyim rozkazem, aby nikt nie ośmielił się dać przytułku zabójcy biskupa.



Jednocześnie do Ossyaku przybywa rycerz polski, Szreniawita, który niedługo był z tym duchem Bolesława i wiódł go do wszystkich zbrodni; przybywa, by błagać króla-wyznawcę o przebaczenie; on to poznaje Bolesława pod kapturem mnicha, i nieszczyśliwy, pod brzemieniem owej straszalwej kłatwy, znów uchrzodził musi i z tego klasztoru, ścigany przekleństwami przerażonych mnichów. Kryje się więc w samotnej grocie, ale i tu go znajduje Szreniawita: znów rzuca się do nóg swemu królowi, żebrząc o przebaczenie. Bolesław zrazu o tem słuchac nie chce, ale zagnany przez ducha biskupa Stanisława, którego głos rozkazuje: »Przebacza mu! odzyska się z głębi groty, daje ukoronowanemu żądane przebaczenie.

W ostatniej wreszcie scenie Bolesław, prowadzony przez Ducha, zjawia się u stopni ołtarza poród zdumionych zakonników, a Duch uroczystym głosem wypowiada słowa, w których kryje się myśl moralna tragedyi: »Judeś zakończył dni swe oplakane, jakich przebaczyć, tak i przebaczone« — i znika. Bolesław pada bez życia na posadzki kościelna.

Przytaczamy poniżej przełomową scenę aktu III.

Tom III, str 151—155. — Akt III. — Scena IV.

Bolesław — Szreniawita — Adalbert.

**798)** Szren. (schodzi nieśmiało, Bolesław zaś odwraca).  
Przecież znajduję ciebie, panie! Przecież  
Pozwalał raczysz, abym ujrzał drogie  
Oblicze twoje, w sercu mem wyryte! (Milczy).  
Lecz ty odwracasz oczy swe ode mnie. (Milczy).  
Skłóń ku mnie wzrok swój, byś mój żal obaczył!

(Po chwili).

Ach! jak okropnem jest milczenie twoje!

Boł. Czego chcesz?

Szren. (nagle zbliża się z pokornem nachyleniem).

Królu, panie mój!

Boł.

Nie jestem

Ani twym królem, ani twoim panem.

Tyś zacy rycerz, tyś wojownik wielki,

Którego czyny mają cześć u świata.

Ja — czemu jestem? Patrzaj! Wszakże widzisz,

Co mię otacza? Patrzaj! Wszakżeś po to

Przyszedł, byś widział, jak tu nędzany żyję?

Gdzie dwór mój? gdzie mój zamek? gdzie ten naród,

Któremu władam? Ściany te nie świecą

Królewskim zbytkiem; na skninienie moje

Żaden nie błyśnie oręż; nikt mié rano

Nie wita podług czynów mych pochwałą;

Nikt tu nie wieznica żąda mych, coraz nowy

Cel im wskazując. Zimno, głód, pogarda:

To dwór mój cały. Ziemia, którą swoją  
Stopą zajmuję, całe państwo moje.  
Jestemże królem?

**Szren.** Jakżem nieszczęśliwy!  
O! ty nie silniej czujesz stan swój srogi,  
Niż ja, com w części stał się jego sprawcą.  
**Bol.** W części? Bezczelny kłamco! W części tylko?  
Czyjaż mi, przebóg! ręka pokazała  
Te chytre wdzięki, co mię osidliły?  
Czyj ślizki język wmowił we mnie miłość,  
Zatlił w mych żyłach pożar krwi gorącej?  
Kto na rozpusty przepaściściej drodze  
Krok mój postawił? Któż to był? odpowiedź!  
Gdybyś był zgola więcej nie uczynił,  
Jużbyś dokonał piekielnego planu;  
Już cnota moja przysła w twojem rękę;  
Jużes mi odjął chwałę i odebrał  
Największe dobro królów: miłość ludu!  
Przestałeś na tem? Nie, boś dobrze wiedział,  
Że chwila, coby rozum mi oddała,  
Tobie śmierć wniosła. Zrzęcniesz mi więc zamknął  
Powrót do cnoty, chwały i ludzkości.  
Krętym manowcem sztuki twej zbłąkany,  
Tam iść musiałem, gdzie mię nic twa wiodła,  
Byłeś wymownym, gdyś mym żądcom wtórzył.  
Lecz rzekłeś słowo, by mój gniew potłumić?  
Wstrzymałżeś rękę, gdy szalonym ciecieniem  
Świętego męża głowę rozbić miałeś?  
Jeśli śmieiesz — broń się; daj mi jaki dowód,  
Że poniżenie moje w części tylko  
Twojem jest dziełem!

**Szren.** Panie! Przywalony  
Wyrzuty twymi, cóż powiedzieć mogę?  
Nie mam i słowa na obronę moją.  
Jam to, niestety! jam największy zbrodniarz,  
A tyś ze wszystkich król najnieszczęśliwszy.

**Bol.** Nie potrzebuje, byś mię uiewinniał.  
Nie mam tu żadnych łask do rozdawania,  
Nie kłam więc próżno. Nie chcę się udawać  
Lepszym, niż jestem. Wartem swego losu.  
Większym od ciebie zbrodniarz; ale niech ci  
Sumienie powie: kto mię nim uczynił?  
Natura była mi prawdziwą matką:  
Szlachetność, męstwo, rozum, siłę ciała,  
Odwagę, prawosć, wszystko wiała we mnie.  
W cóż się tak piękne dary obróciły?

Kropłą pochełbstwa i zepsucia jadem  
Struliście soki tak bujnego drzewa,  
Aby zjadliwy owoc wydawało.  
Udało wam się, doszliście swych celów,  
Niechaj wam piekło wieciem swym nagrodzi!  
Idź! mnie tu zostaw! *(po chwili)*. Ale czekaj jeszcze!  
Cóż się w ojezynie naszej dzieje?

**Szren.** Panie!

Nie pytaj o to, dosyć i tak cierpisz.

**Bol.** Chcę wiedzieć. Powiedz!

**Szren.** Nażył srogie ciosy  
Dotknęły kraj nasz. Nierząd i rozpusta  
Szarpia wnetrzości jego. Książę ruski  
Spustoszył żywe pola nasze. Węgrzy,  
Chytrym podstępem pokonawszy Kraków,  
Siedzą w stolicy twojej.

**Bol.** O! szkaradna,  
O niesłychana hańbo! Nikczemnicy!  
Gdybym ja władał, któryby zuchwalec  
Śmiał nogą stanąć na mych ojców ziemi?  
Wy! orły moje! którem był przyuczył  
Na cudzych polach szukać sobie karmi,  
Wyż to nie mogliście obronić sobie  
Własnego gniazda? — Ale gdzież jest syn mój?

*(Szreniawita milczy).*

**Bol.** Dlaczegoś milczyysz? Powiedz!  
**Szren.** Daruj, panie!

Pozwól zamilczeć!

**Bol.** Czy nie żyje?

**Szren.** Lepiej,

O! lepiej, gdyby nie żył.

**Bol.** Powiedz śmiało!

Nigdyś truciłazy dla mnie nie żałował.

**Szren.** Muszę, gdy każeś. Z jego to namowy  
Węgrzy panują w kraju naszym.

**Bol.** Dosyć!  
Jużes mój kielich po sam brzeg napełnił,  
Więcej nie przydasz. Oddal się!

**Szren.** Nie, panie!

Nie na tom błąkał się po tyłu krajach,  
Bym, obarczony wyrzutami twymi,  
Z niczem stąd odszedł.

**Bol.** Czegóż chcesz ode mnie?

**Szren.** Królu! Ach, nie wiesz może, jak stanowcza  
To dla nas chwila. Nie wiesz, z czyjej woli

Szukam cię, panie, i padając na twarz  
Przy nogach twoich, przebaczenia żądam.

*(Pada do nóg jego).*

Bol. Dobrze. Lecz oddaj, com przez ciebie stracił.

Uśpij tu węża, który ciągle czuwa;  
Zmyj tę krew, która ręce moje plami;  
Wróć mi szacunek świata, niech na nowo  
Na czole mojem laury me zakwitną;  
I wtenczas proś mię, abym ci przebaczył.

Szren. Bóg sam nie wróci, co już raz minęło.

Bol. Proś zatem Boga, aby ci przebaczył;

Jam tylko człowiek.

Głos *(jak pierwszej)*. Przebac za mi!

Bol. *(obracając się ku miejscu, skąd głos seychodził)*.

Czy znowu?

Ach! uchodź raczej do twojego grobu.

Nie patrzaj na nas, pozwól dwom szatanom

Rozstać się z sobą podług ustaw piekła.

Szren. Panie! na imię Boga, co nas widzi,

Na cień szanowny tego, co nas słyszy,

Błagam, zaklinam, przebac i zapomnij! *(po chwili)*.

Nieporuszony stoisz? O! dlaczego?

Nie możesz czytać w głębi mego serca?

Czemuż lzy moje, których widzieć nie chcesz,

Próżno padają na nieczuły kamień?...

Niema nikogo, co by wsparł me prośby,

Żaden się anioł, żaden duch nie jawi,

Co, głębiej widząc, niż śmiertelne oko,

Męczarnie duszy mejby ci opisał.

*(Duch pokazuje się i przybliża ku Bolesławowi).*

Trwaj więc w twym gniewie, ja tu leżeć będę.

Póki ta skała lez mych nie poczuję.

*(Pada na twarz przy nogach jego).*

Bol. *(cofa się i spostrzega ducha)*.

Ukryj mię, ziemi! Tyżes tu, straszliwy?

Oh! nie przeszywaj mię tak wzrokiem swoim,

Zamknij te oczy, które śmierć zamknęła!

Duch. Przebac mi!

Bol. *(drżącym głosem)*. Każesz... dobrze... niech tak będzie...

Wstań, Szreniawito!

*(Bierze jego rękę i przykładła do pierśi).*

Wszystko ci przebaczam

Szczerze, jak pragnę, by mi Bóg zapomniał.

Duch. Idź za mną...

Bol. Idę, prowadź mię!

*(Wychodzą, Duch naprzód, Bolesław za nim).*

Szren. *(Patrzy naokolo z wyrazem przerażenia)*.

Gdzież jestem?

Co się tu stało?

Adalb. *(który przez całą scenę stał z boku w niemem zadziwieniu)*. O nic mię nie pyta!

Włosy mi wstają, krew się w żyłach ścięła.

Szren. Ach! uciekajmy! *(Porywa go za rękę)*.

Pójdź, pójdź z tego miejsca.

*(Ochodzą)*.

## B) Karpaccy Górale, dramat w 3 aktach

(nap. 1840, grany 1844 r.)

Bohaterem dramatu jest młody, dzielny Hucul ze wsi Żabiego nad Czeremoszem, Antos Rewizerczuk, jedyny syn biednej wdowy. Niemy mandatarusz i mściwy Prokop strzelec, który zazdrościł Antosowi sympatji gromady, biorąc go w rekruty, chociaż prawno broniono jedynaka, od służby wojskowej; Prokop przytem znieważył jego starą matkę; gwałtnął ją za siwe włosy i nogą potracił. Tego mu góral nie daruje: przy pierwszej sposobności ucieka z wojska i sam wymierza sobie okrutną sprawiedliwość: Prokop pada z mściwej jego ręki.

Ale teraz Antos staje się wyrzutkiem społeczeństwa: dezertjer i zabójca, nie może liczyć na żadne względy ludzkości i pobłażania; ucieka więc w swoje ukochane góry, do których tak bezmiernie serce jego tęskniło, gdy pierś jego cisnęła «biała skorupa» munduru — i zostaje opryskiem. Z prawem jednak niema co żartować: Antos schwytyany, pomimo sympatji, jaką wzbudza w oficerach, zdających sobie wyborne sprawę z nadużycia mandatarusza, oczekuje szubienicy.

Zresztą nie ma już on po co żyć na ziemi: matka umarła, narzeczona Praksela, na wieść o uwiezieniu Antosa, dostała pomieszaną zmysłów, a stary przyjaciel Maksym, nie chcąc, aby tulała się samotna po świecie, wtrąca ją w fale Czeremosza.

Przytoczona poniżej scena charakteryzuje życie i obyczaje opryszków na Czarnohorze.

Tom VIII. str. 362—369. — Akt III. — Scena II.

*(Miejsce dzikie wśród skał i lasów. — Na ściętym pniu pali się ogień. — Opryszki w różnych grupach. — Noc)*.

**799)** Jeden z opryszków *(stoi na proździe z czarką w rękę i śpiewa)*.

Hej! bracia opryszki! doleście do czarki,

Do ognia przyrzucicie tu drew,



Nastrojcie mi gardło odgłosem fujarki —  
Wesoły zaśpiewam wam śpiew.

Bezpiecniśmy, póki na ziemi zielono  
I liściem okrywa się las;  
W gęstwinach i krzakach, za kłodą zwałoną,  
W gałęziach nie znajdzie nikt nas.

Jak ptakom drapieżnym, nam skały gospody;  
Tam śpiemy spokojnie do gwiazd;  
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,  
My z naszych spuszczaemy się gniazd.

Barany z połonin nam dają pieczenie,  
Jest wódka, gdy przyjdzie myśl zła,  
Pieniędzy dostarczą podróжных kieszenie,  
Buziaka Huculka nam da.

Tytuniu przyniesiem z węgierskiej granicy,  
Tam zwiążem strażników za lby,  
Odzieży dostaniem z żydowskiej kramnicy  
I Żyda przykujem do drzwi.

Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,  
Tam dla nas forteca i dom!  
Nie straszny nam Niemiec, gdy głodu nie znamy,  
Nie straszna nam ślota i grom.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!  
Niedługo pozwolą nam żyć:  
Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy,  
Ni śpiewać nie będziemy, ni pić.

Wszyscy. Weselmyż się, bracia, dopóki możemy! i t. d.

Pierwszy opryszek. Do wszystkich tysięcy dyabłów! przestańcie o tym przeklętym śniegu! Śnieg biały i Niemiec biały; ja ich równie nienawidzę. Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie za nami i jak niedźwiedzi nas wytropi.

Drugi opryszek. Porzuć! — jeszcze do tego daleko. Dziś z czarką w rękę, jutro obejmiesz ładną Huculkę, a po jutrze sznuręk ciebie obejmie.

Trzeci opryszek. A cóż? to wesoło!  
Czwarty opryszek. Nie żyć-że człowiekowi do stu lat!

Piąty opryszek. Lepiej jedno lato, jak orzeł, niż sześć, jak baran. Tu cię kula dogoni — upadniesz między skały, i basta — przynajmniej nie wiążą cię co roku i co roku nie strzygą.

Szósty opryszek. Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie: to rób, a tego nie rób; to można, a tego nie można; to sąsiedzkie, a to pańskie. — Milion set dyabłów! a co moje?

Czwarty opryszek. Tu wszystko moje, co mogę wydrzeć. Mam pełne kieszenie — biorę mało; mam puste — biorę wszystko, i basta.

Trzeci opryszek. A czasem się i ucieszysz porządnie. Trzy dni temu, ot z nim leżeliśmy w trawie na samej węgierskiej granicy. Aż patrzymy — jedzie Żyd. Jedzie i pomrukuje, i ogląda się. A nas z trawy nie widno. Aż on krzyknął raptem: stój — a bestya Żyd, jak worek plewy, buch na ziemię! On konia za cugle, a ja Żyda za pejsy. — A co ty, bratku, wiesz? dawaj cwancygiery! — Żyd zębami dzwoni, a ja mu toperek do szyi.

Piąty opryszek. I zarzynałeś?

Trzeci opryszek. Fe! na co rznąć tchórze? Jego własny strach gorzej kole, jak nóż opryszka. Jemu pluń w oczy, to on myśli, że kula, i dyabli go biorą.

Drugi opryszek. I cóżś zrobił?

Trzeci opryszek. Ot! naśmiałem się dowoli. Żyd usiadł na ziemi, zaczął mię ze strachu lajać, a potem krzyczeć: — Aj waj! ty galganie, opryszku! na co mnie zarzynać? Co to za głupstwo! Ja tego nie wytrzymam! (*Śmieje się*).

Pierwszy opryszek. I puściłeś go tak?

Trzeci opryszek. Ej! nie. — On wziął co lepsze towary, ja wziąłem pieniądze, oberznąłem mu pejsy i dopiero puściłem.

Pierwszy opryszek. A wiele wziąłeś?

Trzeci opryszek. A tobie co do tego?

Pierwszy opryszek. Co do tego? milion dyabłów! To właśnie i źle, że u nas każdy na swoją rękę rabuje.

Trzeci opryszek. Trzeba ci pieniędzy, to ci dam, ale tyle, ile mnie się podoba.



Pierwszy opryszek. Żebym ja był waszym naczelnikiem tobym cię za to kazal powiesić.

Trzeci opryszek (*podnosząc toporek*). Nim ty mię każesz powiesić, ja ci mogę uszy obciąć.

Maksym (*który dotąd siedział w myślach, podnosi się*). Milczeć! bo was każe związać obudwuch. — Hej! czy wszyscy są?

Trzeci opryszek. Kuźmy niema i Michajła.

Maksym. A Cygan gdzie?

Piąty opryszek. Ten złodziej śpi ze wstydu.

Drugi opryszek. Cóż mu się zrobiło?

Piąty opryszek. Na drodze do Burkutu spotkał Huculkę z Krzyworówni, która panom nosiła masło. Żwawa dziewczka, mojego wzrostu, rumiana i czarnobrewa. My tam obaj leżeliśmy w wierzechowinie i czekali, czy się co nie trafi. Dziewczyna idzie i śpiewa. Mój Cygan do niej, i nuż prosić, żeby go pocałowała.

Kilku. Paskudnik!

Piąty opryszek. Dziewka to i zmiarkowała, że Cygan paskudny i tchórz, nibyto pozwala. On się tam do niej przysunął, a ona mu tymczasem toporek z ręki i pistolet z za pasa, i dawaj kurek odwodzić i mierzyć Cyganowi prosto w leb! a mój Cygan w nogi, a ja w śmiech.

(*Wszyscy śmieją się.*)

Szósty opryszek. A dziewczka?

Piąty opryszek. Plunęła za nim, wzięła pistolet i topór i poszła spokojnie.

Czwarty opryszek. Tegga! czemużeś jej do nas nie werbował? (*stychać wystrzał*).

Maksym. Co to jest?

Pierwszy opryszek. Może Niemcy.

Drugi opryszek. Tobie tylko Niemcy śnią się. Poczekaj do zimy, to ci siądą na karku, a teraz co nam zrobią? To pistolet Antosia.

(*Za sceną.*)

Hop! hop! hop!

Trzeci opryszek. To nasi. (*wchodzi Kuźma i Michajło*

*i prowadzą Mandataryusza z zawiązanymi oczyma*). A to co za ptaszek?

Maksym. Odwiążcie mu oczy. — Eh! pan mandataryusz! — to ty!

Mandataryusz (*drząc*). Al.. al.. bowiem ja — Magnanimi Opriscones! miseramini! (*Śmieją się*).

Pierwszy opryszek. Co on belkocze?

Mandataryusz (*składając ręce*). Piąte: nie zabijaj — szóste: nie cudzołóż — siódme: nie kradnij! — Jeszcze siódme i szóste... można i tak i siak — ależ piąte, — piąte strzeżcie się... albowim..

Maksym. Czemu ty, bratku, nie powtarzałeś sobie tych przykazań tam w twojej kancelaryi?

Mandataryusz. Albowiem zawsze powtarzałem, to jest co dzień.

Maksym (*groźnie*). Kłamiesz.

Mandataryusz (*przypada na kolana*). Mea culpa!

Maksym. Jakżeś się tu popadł? he!

Mandataryusz. Albowiem wśród białego dnia, to jest, najnie-sprawiedliwiej. Spoczywałem na Krętej i czterech Huculów ze mną.

Trzeci opryszek. A dwóch ciebie wzięło.

Mandataryusz. Zdrada — piekielna zdrada! Dwaj z moich poszli do rzeki, a dwaj położyli się spać. Albowiem wten czas ci hultaje...

Kuźma. Ach! ty złodzieju!

Mandataryusz. Albowiem pozwólcie mówić. Ja krzyczałem, a moi spali; ci mnie wzięli, a moi spali; ci mnie poprowadzili, a moi spali — albowiem wszyscy szelmy są.

Maksym. Zasużyłeś na to, bratku!

Mandataryusz. Albowiem pamiętacie, co to jest rząd — że to nie są żarty. Rozbijać, to wy wiecie — a mandata, to ja wiem. — A sztrandrecht.. (*wszyscy śmieją się*).

Maksym. Pokażcie mu sztrandrecht.

Kilku. Sznurka! sznurka!

Mandataryusz. Zmیلujcie się! — sznurek dla mandataryusza? (*śmieje się*). Nie żartujcie, albowiem to nieładnie.

Trzeci opryszek. Może wolisz topór.

Mandataryusz (*placze*). Dobrzy ludzie! albowiem ja was zawsze tak serdecznie kochałem.

Czwarty opryszek (*przykłada mu pistolet do piersi*). Toż ci i podziękujemy.

Mandataryusz. Zginąłem! (*szepce*). — Pater noster, qui es in coelis...

Antoś (*wchodzi szybko*). Co to jest?

Maksym. Kuźma i Michajło złapali na drodze do Burkutu ot tego tu pańca. Przypatrz mu się — to twój znajomy.

Antoś. Podnieś głowę, tchórze!

Mandataryusz (*pogląda ze strachem*). Aktualnie zginąłem... Dominus Antonius Rewizorczuk.

Antoś. Któregoś osądził burzycielem spokojności, kontrabandzistą, buntującym Huculów, i za to mnie, jednaka, przeciwko prawu, oddales w rekruty, zrobiles dezertetem, a potem rozbójnikiem? — Coś posiał — zbieraj! jakieś piwo nawarzył, takie pij teraz! — Na gałąź!

Mandataryusz. Pozwól mi się pomodlić.

Antoś. O! i ja modliłem się niegdyś! Choć prosty chłop, alem umiał się modlić, bom się urodził i wychował tu, gdzie wszystko wielkie mnie otaczało; gdzie każde drzewo, każda skała, każdy wierchołek, w chmury schowany, uczyły mię wielkości i miłosierdzia Tego, co to wszystko potworzył. — A wyście mi i to dobro odjęli; ja teraz nie mogę się modlić, ja nie śmiem podnieść do nieba ręki, bo na niej krew! — Precz z nim na gałąź. (*Mandataryusz chyli się i pada zemdlony*).

Maksym. Antosiu! podobno obejdzie się bez sznurka. Zadlawiles go słowami.

Antoś (*przypatruje się*). Omdlał ze strachu, podły tchórz! Podnieście go. Jak się trzęsie nikczemnik! Precz z nim! Zawiązać mu oczy i wyprowadzić gdzie na błędną ścieżkę, niech tam przepada. Nie wart sznurka, na którym ginie śmiały opryszek. (*dwa odprowadzają go*). Hola, chłopcy! do mnie! Naostrzyć topory; kule i proch niech każdy ma pod ręką. Tę naszą kryjówkę już znamy.

Pierwszy opryszek. Milion set dyabłów! nie mówilem?

Drugi opryszek. Cicho! — Skąd wiesz, Antosiu?

Antoś. Wiem — sam slyszalem. Trzystu ludzi poslali w różne strony. Wszyscy strzelcy, jak psy gończe nas tropią. Komisarz z Kut jest z tym oddziałem, który tu na nas idzie. Ma moc w rękę i groźny papier za pazuchą. Kogo złapią — na szubienicę.

Trzeci opryszek (*śpiewa*).

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!

Niedlugo pozwolą nam żyć;

Dawajcie tu wódki, nim w taniec pójdziemy,

Już jutro nie dadzą nam pić.

Kilku. Wódki! wódki! tu!

Antoś. Wara! ani kropli! Łeb rozplątam temu, kto sięgnie do flaszki! Milczenie! — Z tej kryjówki dziś jeszcze precz! Rozbierzcie obóz, każdy na siebie po równej części: chleb, proch i kule — reszta w ogień, w wodę. Od Czepczyna na prawo i na lewo, niedalek jak na miłę od granicy, skryć się na węgierskiej ziemi. Po dwóch, po trzech, najwięcej, siedzieć w niedostępnych miejscach. — Co to mamy dzisiaj?

Maksym. Piątek.

Antoś. Sobota, niedziela, poniedziałek, żeby żaden nie śmiał nosa pokazać ze swej kryjówki! Słyszycie?

Wszyscy. Mów! mów!

Antoś. We wtorek o północy, kogo nie złapią i nie powieszą, niech będzie na Czarnej górze. Z głębi jeziora, niedaleko brzegu, sterczą dwie jody.

Kilku. Wiemy, wiemy.

Antoś. Naprzeciwko nich, od węgierskiej granicy pod górę idzie ścieżka między skałami. Ujdziecie nią dwieście kroków. Na prawo będzie kamień, na którym znajdziecie starą plachtę. Kamień ten odwalic, tam będzie pieczara, i w niej ja was czekać będę. — A teraz co żywo zbierać się. — (*Opryski zbierają się: zostają na przodzie sceny Maksym i Antoś*). O! doprowadzili mnie do ostateczności! Ha! cóż robić! bronieć się trzeba! Maksymie, jeśli nam się uda we wtorek zebrać w pełnej liczbie.

Maksym. Cóż zrobisz?

Antoś. Gdy nas Niemcy będą szukać tu, my im tam — za plecami (*słychać wystrzał*). Co to jest?

Maksym. Pewnie który mandataryusza poczęstował. (*Wystrzał drugi, dalej trzeci*).

Antoś. Ochl! to karabin! — do broni, chłopcy!

Trzeci opryszek (*wraca raniony*). Niemcy! Niemcy naokolo. — uciekajcie! (*pada i kona*. *Nowy wystrzał ubija przy Antosiu stojącego opryszka*).

Antoś. Rzucicie wszystko, i dalej w różne strony! (*wystrzał rani Antosia*). Oho! znalazłaś mię, przyjaciółko! Maksymie! dalej do matki, do Praksy! — biegnij, bo ja nie mogę. (*Przypada na kolana*. — *Opryski rozbiegają się*. *Wystrzały z różnych stron*. *Dwóch jeszcze pada na scenie, którą napelniają żołnierze i okrążają Antosia*. *Po chwili uchodzi komisarz, oficer, i za nim mandataryusz*. *Żołnierze przyprawdzają kilku schwytyanych opryszków*).

Komisarz. Panie poruczniku! kaź jeszcze raz obejrzeć wszystkie kryjówki dokoła. Znam ja ich dobrze. Niejeden pewnie tuż przyczepił się do drzewa, lub przylgnął do skały.

Porucznik (*do feldjebła*). Weź dwudziestu ludzi i przetrząśń naokolo wszystkie miejsca podejrzane! Trupów precz! (*Zwleka ich na stronę*).

Komisarz. Wielu złapano?

Oficer. Raz, dwa, trzy... pięciu wszystkich.

Komisarz (*do więźniów*). Kto wasz naczelnik? (*Wszyscy milczą*).

Mandataryusz (*występuje i ukazuje na Antosia*). Hic est — albowiem znam go dobrze.

Komisarz. Opatrzyc jego ranę. (*Podnoszą go i obwiązują*).

Mandataryusz (*pośchodzi zuchwale*). Zbójca! to jest, rozbójnik! lotr! to jest, hultaj! — Na gałąź, to jest na szubienicę! Albowiem Boga w sercu nie ma. Podburzał przeciwko starszym młodszych, przekradał kontrabandę, bił strażników, dezertował z regimentu, zebrał szajkę rabusiów. Albowiem na wólwej skórze nie spisałby jego przestępstw. (*Podsuwa się bliżej*). Lotr! rozbójnik! opryszek!

Antoś (*z usmiechem*). Zaboł skacziesz teraz na pochyłe drzewo. Tak to mi dziękujesz, żem cię nie kazał powiesić! — Pa-

nie komisarzu! gdybyś był widział przed godzinką tego tchórza, jak walał się u nóg moich, jak wytarty krejcar, wstydziłbyś się z nim razem znajdować i pozwalać, aby on przy tobie śmiał głębę otworzyć.

Mandataryusz. Albowiem nowy dowód zuchwalstwa.

Komisarz (*groźnie*). Milcz waćpan. (*Mandataryusz skonfundowany odchodzi na bok*). Ty byleś ich naczelnikiem?

Antoś. Ja.

Komisarz. Wielu miałeś w swojej szajce?

Antoś. Odpowiadając będę tylko na to, co się mnie tyczy.

Komisarz. Jak się nazywasz?

Antoś. Antoni Rewizorczuk.

Komisarz. Więc to ty zabiłeś strzelca Prokopa w jego własnym domu?

Antoś. Ja.

Komisarz. Jaki miałeś powód?

Antoś. Szarpnął za włosy moją starą matkę, rzucił ją na ziemię i potracił nogą.

Komisarz. Dlaczegożesź dezertowała?

Antoś. Żeby go zabić.

Komisarz. Dlaczegożesź potem został rozbójnikiem?

Antoś. Dziwne pytanie! cóż miałem robić?

Komisarz. Czyś się spodziewał, że tym sposobem twoja zbrodnia zostanie bez kary?

Antoś. Bynajmniej — chciałem ją tylko przewlec, aby nie dobić starej matki. Po jej śmierci chciałem się oddać w wasze ręce sam.

Komisarz. Czyś jeszcze kogo zamordował, oprócz Prokopa?

Antoś. Wezoraj, przed samem południem, koń twój, panie komisarzu, wychodząc z Czeremoszu, potknął się tak, żeś mało nie upadł przez głowę.

Komisarz (*zdziwiony*). No i cóż dalej?

Antoś. Wjechawszy na ścieżkę, zlaźeś na ziemię, usiadłeś na kłodzie i kazałeś strażnikowi poprawić siodło.

Komisarz. Jakto? tyś mnie wówczas widział?

Antoś. Byłem od ciebie, panie komisarzu, o kroków dziesięć i słyszałem, coś mówił. Czy chcesz, żebym ci powtórzył?

Komisarz. Dostyc — wierzę ci.

Antoś. Jeżeli więc wówczas nie zabił ciebie, któryś miał przy sobie rozkaz mi powiesz, dlaczegoś pytasz, czym jeszcze kogo nie zamordował, oprócz Prokopa?

Komisarz (do siebie). Dziwny człowiek! (głośno). Czy masz co na swoją obronę?

Antoś. Nic nie mam — jestem zbieg, morderca i rozbójnik.

Komisarz. Czy wiesz, co cię czeka?

Antoś (z pokorą). Wiem — szubienica.

Komisarz. Za dwadzieścia cztery godzin, nieboże! (po chwili). Tymczasem nie masz o co prosić?

Antoś. Panie komisarzu! droga do Kut prowadzi koło mojej chaty. Pozwól mi tam odpocząć kwadrans, popatrzeć jeszcze na ten dach, pod którym się urodziłem, posłuchać szumu tego dębu, pod którym skakałem codzień, gdym był chłopcem niewinnym i szczęśliwym.

Komisarz (wzruszony). Chodź, chodź! — (Do oficera). O, co bym dał za to, żeby go można ocalić! — Idźmy!

Oficer (do żołnierzy). Otoczyć ich — wy po pięciu w równych dystansach — ostrożnie — broń na ramię — marsz. (Wychodzą).

### C) Żydzi, komedia w czterech aktach (1843).

Punktem środkowym niniejszej komedii, dokoła którego grupują się liczne i różnorodne postacie, już to dodatnie, już ujemne, w taki czy inny sposób wyrażające myśl zasadniczą autora, jest sprawa udzielenia pomocy zaenemu komornikowi, Staroswiewickiemu, któremu wskutek pożaru budynków gospodarczych grozi ruina. Przeciwnieży potrzebą, udaje się komornik do prezesa Zadziernowskiego, dorobkiewicza, który, biorąc kapitały na 4%, a pożyczając na 10—15%, na takiej pospolitej lichwie dorobił się olbrzymiego majątku, a jak każdy dorobkiewicz, próżny jest do śmieśności, pyszni się swoim mieszkaniem, meblami i lokajami, kiedy zaś komornik Staroswiewicki przychodzi prosić go o zwrot kapitału przed terminem, proponuje mu zamlast 15.000 złotych 7.000, wreszcie 9.000; na to otrzymuje odpowiedź, że do tych wszystkich wspaniałości brak mu tylko — brody. W podobny sposób chce wyzyskać Staroswiewickiego hrabia Ponicki, lekkomyślny marnotrawca, który w krótkim czasie zdążył przeżuć swój własny majątek, obłudnyć dobra żony, nadzarpanąć fortunę wychowanki, księ-

żniczki Zofii, oszust i szachraj, wyzyskujący podwładnych w sposób oburzający: tak np. komornikowi, który od niego dzierżawił majątek, każe zapłacić za spalone budynki trzy razy większą sumę, niż były one warte. Weale innego przyjęcia doznaje komornik u rodowitego Żyda, Arona Lewego (scenę tę podajemy poniżej w całości). Powyższą akcję główną urozmaica i uzupełnia dodatkowa: miłość młodego Antosia Staroswiewickiego, syna komornika, do księżniczki Zofii. A chociaż Kochają się nawzajem, chociaż ona jest pełnoletnia i samodzielną, i nic zdaje się nie stoi na przeszkodzie ich związkowi, stary Staroswiewicki przez cześć dla krwi senatorskiej, która płynie w żyłach Zofii, zabrania synowi nawet myśleć o czemś podobnem.

Tom X, str. 168—175. — Akt IV. — Scena II.

Mieszkanie Arona Lewe. W środku otwarte drzwi, przez które widać za stolami siedzących i piszących Żydów; słychać także brzęk srebra. Przed temi drzwiami napis: Kantor starozakonnego Arona Lewe. Przez boczne drzwi wchodzi Aron, umywa ręce przy drzwiach, i otarłszy je wiszącym tam ręcznikiem, postępuje ku wielkiemu krzesłu, które stoi z prawej strony, bliżej widzów. Siada i przysuwa przed siebie stołek, na którym leży Biblia. Aron, Żyd stary i poważny. Broda biała, kaftan atlasowy czarny, na wierzchu płaszcz takiegoż koloru, z taśmami szerokiemi, przy końcu których złota frendzelka. Na głowie trójgraniasta, ostro zakończona mała czapczka, z wążkim sobolem.

800) Aron. Szmul!  
Szmul (za sceną). Zaraz. (Wychodzi, niosąc w ręku rozpieczętowane listy).

Aron. Nu, Szmul! co tam nowego?

Szmul (kładzie przed nim trzy listy). Ci panowie nie placą — proszą, żeby poczekać.

Aron (patrząc na podpisy). A procenty?

Szmul. Także nie placą.

Aron (oddaje mu listy, które ten odkłada na bok). Pozwać. — Nu, co więcej?

Szmul (podaje mu list). Berko brodzki prosi sto tysięcy do kontraktów — daje dziesięć.

Aron (oddając list). Dziesięć? Dać. — Nu!

Szmul (jak wyżej). Pan deputat chce pożyczyc pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pan deputat? On bankrut.

Szmul. Przysłał zakład, (daje mu pudełko) brylanty żony.

Aron (woła). Monsie Herszl (Ten wchodzi). Ile to warte?



Monsie Hersz (*opatrzyszysy*). Trzydzieści — a jakby amator, trzydzieści pięć, sześć tysięcy, nie więcej. (*Oddaje i odchodzi*).

Aron. Dać jemu piętnaście i dziesiąty procent odliczyć zaraz. — Więcej niema nic?

Szmul (*podaje list*). Książę Karol kazał posłać do Warszawy dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Posłać zaraz.

Szmul (*jak wyżej*). Pan graf Gustaw prosi, żeby wypłacić w Dubnie trzydzieści tysięcy — za miesiąc odeśle.

Aron. Wiem, że odeśle — wypłacić.

Szmul. Pyta, jaki procent za ten miesiąc?

Aron. Pół procentu — ja od jego ojca miałem więcej. — Nu!

Szmul (*zbiera listy*). Już wszystko.

Aron. Już wszystko? to dobrze — idź. (*Szmul wychodzi Aron bębni przez chwilę palcami po księżce*) bml bml bml (*potem zaczyna czytać, kivać się i mruzczyć. Pani Szenionowa wchodzi środkiem drzwi*).

Pani Szenionowa (*ście drzwiach*). Aron w domu? A widzicie, że w domu. (*przybliża się*). Jak się masz, Aronuniu? Pewna byłam, że cię zastanę: bo to teraz taka pora — twoje żniwo, Aronuniu! — Ale cóż to czytasz? O! modlitwa i rachunki — jedno drugiemu nie przeszkadza. A jakże idą interesa?

Aron (*krzycząc się*). Nu! jak zawsze — chwalić Pana Boga, dobrze.

Pani Szenionowa. Wyobraź sobie, mój Aronuniu, że ja musiałam do ciebie przyjechać sama.

Aron. Widzę — niech pani siądzie.

Pani Szenionowa. Cóż powiesz na to, Aronuniu, żem się ulatwiła z interesami moimi ślicznie.

Aron. Cóż mnie do tego?

Pani Szenionowa. Widzisz, mój Aronuniu, co — nie stało mi bagatelki. Już też będziesz tak grzeczny, że mi pożyczysz pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pięćdziesiąt tysięcy?

Pani Szenionowa. Napisać ci rewers?

Aron. Na co mnie rewers, kiedy ja nie dam!

Pani Szenionowa. Ale, jak cię kocham, Aronuniu, to pewne, jak amen w pacierzu. Baron Izajewicz dał mi słowo honoru, że mi da za miesiąc pięćdziesiąt tysięcy, tylko teraz nie miał pod ręką. Daj choć na miesiąc.

Aron. Nu, kiedy baron pani obiecał, to on pani da. Choć on wychrzta, ale on człowiek akuraty i słowa dotrzyma. — A ja nie dam.

Pani Szenionowa. A, przyznam się, nie spodziewalam się tego po tobie, panie Aronie! Żebyś widział za granicą ludzi twójgo powołania, jacy grzeczni, jacy gotowi usłużyć, jak lubią obligować!

Aron. To niech pani jedzie za granicę, może oni panią zobliżą — a co ja, to nie.

Pani Szenionowa. Pamiętam właśnie, kiedyś była w Frankfurcie nad Menem..

Aron. Nu, co to jest? Co mnie do tego, co pani pamięta, a czego pani nie pamięta? — Ja nie mam czasu.

Pani Szenionowa. To każże mi przynajmniej wypłacić ten weksel na dwa tysiące rubli asygnacyjnych.

Aron (*obejrzaawszy weksel*). Szmul!

Szmul (*za sceną*). Zaraz. — (*Wchodzi*).

Aron (*podaje mu weksel*). Wypłacić.

Szmul. Niech pani pójdzie ze mną. (*Wychodzi*).

Pani Szenionowa. Rzecz dziwna, jak teraz kredyt upadł. Żleś się popisał, panie Aronie! Powiem o tem wszystkim, jak cię kocham. (*Wychodzi*).

Aron (*za wychodzącą*). Co mi tam! to sobie pani gadaj — at! (*Zaczyna znou bębnić, potem po chwili czytać, kivać się i mruzczyć. Hrabia wchodzi*).

Hrabia. Cóż to jest, Aronie? Zapominasz, widzę, żeś powstał z tutejszych obywateli, a teraz obchodzisz się z nimi nie wdziedzić po jakiemu.

Aron. Nu?

Hrabia. Już to się nie godzi, prawdziwie! Gdybym nie uważał na twój wiek, to doprawdy gniewałbym się na ciebie.

Aron. Jakto?

Hrabia. Tylko co spotkałem moją siostrę. Powiedz, miałeś ty



sumienie nie służyć jej w takiej małej rzeczy? Wstydz się, stary! czy to u niej ewikcyja niepewna?

Aron. At! jaka tam ewikcyja!

Hrabia (*siada*). Ale możemy się przeprosić, tylko pod pewnym warunkiem. Nie chciałeś jej dać pięćdziesiąt tysięcy, to już ci mnie przynajmniej dasz sto. Pilno mi potrzeba.

Aron. Nie dam.

Hrabia (*bierze go za rękę i ścisła*). No, Aronie, dasz, dasz. Ja wiem, że u ciebie pierwsze słowo na języku: nie — a potem, jak rozmyślisz...

Aron. Co tu rozmyślać? Masz pan graf co założyć? to dam; nie masz pan, to nie dam. Pan wszystko swoje przemarnował, przegrał w karty, przefacydował, przejadł i przejeździł za granicą; pan imości majątek pozostawiał; pan księżniczki majątek zniszczył; a teraz pan jeszcze chcesz pieniędzy? Dlaczego ja mam dawać panu pieniądze? czy dlatego, że pan graf? — a mnie co do tego?

Hrabia. Więc nie mam u ciebie kredytu? ja?

Aron. Nie.

Hrabia. Niechże cię Pan Bóg sekunduje. Na Jabłonówkę dasz sto tysięcy?

Aron. A wiele ona warta?

Hrabia. Sto pięćdziesiąt dusz, pola dużo, młyny, woda, las.

Aron. To ostatnia wieś u pani hrabiny nie założona.

Hrabia. A cóż robić, kiedyś taki uparty?

Aron. Nie brać.

Hrabia. Nie można — zarzynają.

Aron. Siedemdziesiąt dam i... i dziesiąty procent z góry.

Hrabia. Maszże ty sumienie?

Aron. At! co nam gadać o sumieniu? Wreszcie to dla pana grafa lepiej. Jak pan graf mniej weźmiesz, to pan mniej stracisz, a jak pan mniej stracisz, a potem przedadzą wieś z publicznej licytacji, to więcej się panu zostanie.

Hrabia. Cóż ty myślisz? że ja nie zapłacę!

Aron. Myślę. I jak pan graf możesz zapłacić, kiedy panu trzeba co roku pięćdziesiąt sześć tysięcy do banku, trzydzieści twa tysięcy samego procentu za długie prywatne? A teraz pan graf potrzebujesz żyć jak pan, a w karty

grać, a bale dać; a imość także potrzebuje wiele; a wszystkiego masz pan dziewięćdziesiąt, sto, a na dobry rok sto piętnaście tysięcy dochodu. Skądże tu zapłacić?

Hrabia. Jakże ty to wiesz?

Aron. Jak to ja wiem? U mnie zapisana stoi każdego sytuacja, i długi i dochody, i jaki on, i wiele waży jego słowo.

Hrabia. Więc u ciebie i słowo honoru idzie na wagę?

Aron. A jakże? bo innego pana słowo honoru waży grosz, a innego waży dziesięć wsi ze wszystkimi remanentami.

Hrabia. Więc z tobą niema co rzeczy obwijać w bawelnę?

Aron. Na co tu bawelna, kiedy ja wszystko wiem?

Hrabia. Ustąpże dwa procenta.

Aron. Nie.

Hrabia. Wieszże, w jakim stanie moje interesa?

Aron. A mnie co do tego?

Hrabia (*powstaje*). Niechże cię!.. dawaj!

Aron. Szmul!

Szmul (*za sceną*). Zaraz. (*Wchodzi*).

Aron (*daje mu papiery*). Siedemdziesiąt tysięcy — zakładna — dziesiąty procent z góry.

Prezes (*techodzi*). Jak się masz, panie Aronie? A! pan hrabia! przepraszam, że nie miał jeszcze czasu być u pana hrabiego i złożyć uszanowania hrabinie. Interesa, panie hrabio, to kłeska! — (*Aron czyta*).

Hrabia. Panie prezesie! czy i ty w interesach?

Prezes. Jak Boga kocham, panie hrabio!..

Hrabia. Czy nie pieniądze pożyczasz?

Prezes. Cóż robić? nie sprzedajemy nic — jesteśmy w rękach Żydów, i robią z nami, co chcą.

Hrabia. Kochany prezesie! na obiadek do mnie dzisiaj — proszę cię.

Prezes. Z ukontentowaniem, panie hrabio!

Hrabia. Mój prezesie! daj mi też na parę tygodni dwadzieścia tysięcy.

Prezes. Panie hrabio! majątek jest, styrtły stoją, jak okręty w porcie; ale gotowiżny, jak Boga kocham, nie mam — dowód, że tu przychodzę.

Aron (*bijąc po książce*). Bm! bm! bm!

Prezes (*bierze jego rękę obiema rękami i ściska*). To, to Rot-szyld.

Aron (*uśmiechając się*). At!

Hrabia (*do Szmul*). Cóż? dajecie pieniądze?

Szmul. Proszę pana grafa z sobą. Trzeba rozpatrzyć papiery.

Hrabia. No, rozpatruj! Do widzenia, prezesie!

Prezes. Będę służył. (*Hrabia wychodzi, prezes siada*). Kilka słów tylko, Aronie! bo nie mam czasu. (*przysuwa się*). Aronie! tyś człowiek, jakich ja szacuję. Wiesz, jaka myśl mi przyszła? Możemy zrobić dobry interes. (*przysuwa się*). Daj rękę, Aronie, i działajmy w spółce.

Aron (*cofając rękę*). Ja spółki nie lubię. Ja byłem biedny, to starałem się sam; a teraz, kiedy mam bogaty, to moje kapitały same się starają.

Prezes. Ja to wiem, kochany Aronie! i ja, dzięki Bogu, nie jestem ubogi.

Aron. A czego pan prezes chce?

Prezes. Już ci nie pożyczę. Oto: chcę ci oddać w obrót trzykroć, które mam teraz pod ręką. Suma piękna!

Aron. Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze.

Prezes. Widzisz, Aronie, ludzie wiedzą, że mam kapitały, i leżą do mnie, szczególnież ekspansowie, których ja się boję jak ognia.

Aron. Jest jeszcze wielu panów poczciwych i bogatych; czemu pan prezes im nie odda?

Prezes. Ci nie potrzebują! a choć potrzebują, widzisz, Aronie, stosunki obywatelskie. Jakoś to nieładnie wziąć od nich więcej jak pięć od sta. (*przysuwa się*). A coż to za procent, pięć? Wiesz co, Aronie? weź moje trzykroć! Ty bierzysz po dwadzieścia, a mnie daj piętnaście. Zawsze pięć od sta masz w zysku za nic.

Aron. Jakto za nic? a rysk? a kłopot? — Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze. Jeśli pan prezes chce, i to żeby panu prezesowi dogodzić, pięć procentów dam.

Prezes (*testaje*). To nie zrobimy interesu. Dziesięć dasz.

Aron. Pięć.

Prezes. Dziewięć dasz?

Aron. Pięć.

Prezes. Tyś Żyd, Aronie!

Aron (*podnosi głowę*). Ja Żyd? — nu, cóż to złego, że ja Żyd, kiedy się urodziłem Żydem? Ja Żyd, bo nie chcę dać więcej, jak pięć od sta; a jak się nazywa ten, kto chce wziąć piętnaście? Żyd lubi pieniądze. Prawda, że on lubi pieniądze, bo Żyd bez pieniędzy nie człowiek. Jeśli Żyd ma miłon, to jego każdy zna, każdy się ukloni, to do niego i książę list napisze, i pan graf za rękę ściska, i jaśnie wielmożny pan powie: kochany Aronie, ja ciebie szacuję! Jeśli Żyd nie ma pieniędzy, to on stoi za drzwiami, póki jego nie wypchną; biega cały dzień za złotówkę po kolana w błocie; jego lają jak psa, jego biją jak psa, na niego plują, jak na psa plują. I za to, że on kocha pieniądze, bo musi kochać, to jego nazywają Żydem? A jak nazwać takiego, co ma honory, co ma urzędy, co ma ziemię, któremu nikt nie śmie słowa powiedzieć, na którego nikt nie śmie palca zakrzywić, a przecie on kocha pieniądze więcej, jak brata i siostrę? Kiedy do mnie przychodzi bankrut i prosi pieniądze, to ja nie mówię, że nie mam, a mówię, że nie dam — i ja Żyd; a jak się nazywa ten, co mówi, jak Boga kocham, nie mam, a trzykroć oddaje Żydowi na piętnasty procent? Niech pan prezes sobie idzie; ja z panem prezesem nie chcę mieć żadnego interesu. Ja Żyd, a pan sobie jaśnie wielmożny pan.

Prezes. Ośm dasz?

Aron. Nie dam. (*Zaczyna czytać, kłócić się i mruzczyć*).

Prezes. I siedm nie dasz? (*Aron nie odpowiada. Prezes do siebie*). Szelma Żyd, jak skąła. (*Wychodzi. Aron czyta. Po chwili wchodzi komornik*).

Komornik (*we drzwiach*). Nie przeszkodzę ci, panie Aronie!

Aron. Kto tam? Aj! aj! co ja widzę? pan komornik!

Komornik (*przystępuje*). Jak się masz, panie Aronie? Dawnośmy się nie widzieli.

Aron. Kopa lat! kopa lat! panie komorniku! Nu! siadźże jegomość tu — ot, tu koło mnie. (*Bierze jego rękę*). A można to było tak ze wszystkim zapomnieć starego Arona? Patr, jegomość, co to się przez ten czas zrobiło!.. I jegomość posiwiał, jak gołąb, u mnie broda już biała, jak mleko.

Komornik. Jak srebro, panie Aronie, którego masz podostatkami.

Aron. Nu, chwalić Boga, jest dużo. Ale cóż to pana komornika do mnie sprowadza? Czy nie jaka bieda? Boże uchowaj!

Komornik. Bieda, panie Aronie, i wielka bieda!

Aron. Aj! aj!

Komornik. Spaliłem się, panie Aronie.

Aron. Aj! aj! aj!

Komornik. A co gorsza, obdarli mnie, ocenili szkodę we troje i całą moją chudobę sprzedawać chcą z publicznej licytacji.

Aron. Aj! aj! aj! Może panu komornikowi potrzeba pieniędzy?

Komornik. Panie Aronie! ze strachem szedłem do ciebie. Potrzeba mi dwanaście tysięcy. Weź w zakład skrypt pre zesa, u którego mam piętnaście, ale mi ich nie chce oddać, bo termin dopiero za pięć miesięcy.

Aron. Nu, widzi pan komornik! dlaczego pan komornik do niego chodził, a nie przyszedł prosto do mnie? Czy dlatego, że Aron teraz bogaty, to pan komornik myślał, że on zapomniał, jak był w nieszczęściu, i że pan komornik jemu dobrze zrobił? To nieładnie, panie komorniku! Aron nie taki. Pan komornik pamięta, jak ja trzymałem wszystkie młyny u nieboszczyka podczaszego, i kiedy mnie spaliły się młyny i tartaki na 60 tysięcy, to co pan komornik wtenczas zrobił?

Komornik. Wiedziałem, żeś akuraty, panie Aronie! Toby každy zrobił na mojem miejscu, byle pan był tak szlachetny, jak nieboszczyk podczaszy.

Aron. Ni, panie komorniku! tegoby drugi nie zrobił — dla Żyda. A pan komornik za mnie poręczył; a pan komornik wyprosił u pana podczaszego, że mi rozłożył szkodę na trzy lata i spuścił z arendy dziesięć tysięcy; i pan komornik nie chciał ode mnie wziąć ani grosza podarunku; i pan komornik myślał, że ja to wszystko zapomniał? Aj! aj! to nieładnie! panie komorniku!

Komornik. Darujże mi, Aronie, i pomóż!

Aron. Nu, nie gniewam się. — Weź jegomość sobie ten skrypt

nazad. Ja jegomości dam dwanaście tysięcy na prosty weksel. U mnie jegomości słowo więcej warte.

Komornik. Dziękuję ci, panie Aronie! — a jakiż procent naznaczysz?

Aron. At! co tam! czy to taka wielka suma? — Dla jegomości ja naznaczam tylko ósmy procent.

Komornik. Przyjmuję, przyjmuję, panie Aronie! Tylko kaź mi wypłacić zaraz, bo mi tam opiekętowali dom, i biedna żona siedzi w pustym pokoju, nie ma kawałka chleba.

Aron. Aj! aj! Nu, wiesz jegomość co? ja jegomości jeszcze jeden procent spuszczam.

Komornik. Dobry panie Aronie!

Aron (*westaje*). Chodź jegomość ze mną. Ja jegomości zaraz każe odliczyć asygnatami, żeby jegomości nie ciężko było nosić. (*Zatrzymuje się przy drzwiach kantoru i bierze jego rękę*). Panie komorniku! a pamiętasz jegomość, coś mi jegomość powiedział, kiedy ja przyszedłem prosić ratunku u jegomości w mojej biedzie?

Komornik. Doprawdy nie pamiętam, panie Aronie!

Aron. A widzisz, jegomość, a ja pamiętam. Jegomość powiedział tak: Mnie ciebie żal, Aronie! boś ty pocziwy człowiek, choć ty Żyd. Nu, otóż ja jegomości jeszcze pół procentu spuszczam. (*Wychodzi*).

#### D) Panna męzátka, komedyja w trzech aktach (1844).

Odrazu pierwsza scena wprowadza nas w sam środek akcyi. Cecylia, której znudziło się już nieco przydługie przeciągające się paniństwo, w tajemnicza pułkownikową w swój plan: oto uda przed Adolfe, zakochanym w niej po uszy, lecz ciągle zwlekającym z ostatnim krokiem, że wyszła za mąż. Fortel udaje się znakomicie: Adolf zapomina o wszystkich wadach Ceczyl, które wstrzymywały go dotychczas od oświadczenia się o jej rękę, a miłość jego, wbrew zasadom dotychczasowego kunktatorstwa — wybucha gwałtownym płomieniem. Jeszcze kilka scen droczenia się obojga zakochanych, aż wreszcie Adolf kłęczy u stóp Ceczyl ku wielkiemu zadowoleniu pułkownikowej i starego pocziwca majora, co oddawna już kojarzył tę sympatyczną parę, lecz nie mógł dojść do ładu z Adolfe, którego w pasy nierzaz nazywał Fabiuszem Kunktatorem.

Tom IX, str. 390—396. — Akt III. — Scena II.

*Salon pułkownikowej. — Pułkownikowa w swoim krześle, z robotą. — Cecylia w białej sukni, bez czepeczki, idzie swolna z głębi teatru z książką, czytając; po chwili rzuca książkę na kanapkę i sama siada.*

**801)** Pułkownikowa. Nie podoba ci się ta książka?  
Cecylia. Bynajmniej.

Pułkownikowa. A co to czytałaś?

Cecylia. Doprawdy, że nie wiem. Patrzyłam tak sobie w książkę, widziałam litery w słowach długich i krótkich, i tyle tylko postrzegłam, że *b* ma garbik z przodu, a *d* z tyłu.

Pułkownikowa. A, wiesz, to bardzo filozoficzna uwaga. Cecylia (*ziewając*). Ja filozofii cierpieć nie mogę.

Pułkownikowa. Cóż to? nudzisz się, moje życie? Przynajmniej więcej zabawiała się w teatrze. Halpertowa grała?

Cecylia. Nie uważałam.

Pułkownikowa. Nawet Halpertowej nie uważałaś? A cóżes robiła, moja Cesiu?

Cecylia. Byłam zła.

Pułkownikowa. Oho!

Cecylia. Ale taka zła, że gdybym się nie wstydzila, byłabym wyświatała autora, aktorów i całą publiczność, a szczególnie tych panów, co w krzesłach.

Pułkownikowa. Czy był między nimi i Adolf?

Cecylia. Dlatego też, że nie był.

Pułkownikowa. A ty go zapewne czekałaś?

Cecylia (*wstaje*). Otóż właśnie, że czekałam i nie doczekałam się.

Pułkownikowa. Pojmuję — to bardzo przykro.

Cecylia. Jeszcze teraz mi się płakać chce na samo wspomnienie. A wyraźnie dałam mu poznać, że życzę sobie widzieć się z nim w teatrze. Ani się pokazał. To prawdziwie nie do zniesienia.

Pułkownikowa. I zaprosiłaś go do łóż?

Cecylia. Prawie że zaprosiłam.

Pułkownikowa. Wiesz, moje życie, że zamiast gniewu, powinnaś być wdzięczną panu Adolfowi, że nie przyszedł.

Domyślał się jego powodów. Wiedział, że ja nie będę, i nie chciał cię kompromitować.

Cecylia (*robi minkę*). Czy ciocia myśli, że oni tacy delikacjni? O! bynajmniej! Ale to niecznośne stworzenia. Im potrzeba jarzma, różgi, srogości; wtenczas tylko skaczą na łapkach; a każda laskawość z naszej strony zmienia ich zaraz w tyranów. Żeby choć tyranami umieli być w porę, ale to i tego nie!

Jakób (*wchodzi z listem i oddaje pułkownikowej*). Od pana Adolfa.

Cecylia (*niespokojnie*). Przeczuałam, że coś będzie.

Pułkownikowa (*przebiegłszy list, składa go i chowa*). Powiedz człowiekowi, że dobrze — będę czekać. (*Jakób wychodzi*).

Cecylia. Cóż tam? Ciocię ten list zmieszał!

Pułkownikowa. Nie, moje życie! rzecz dla ciebie obojętna.

Cecylia. Naturalnie, ponieważ to od niego — ale tak, przez ciekawość, chciałabym wiedzieć.

Pułkownikowa. Na cóż ci to, jeżeli cię los jego nie interesuje?

Cecylia. Nie mówię tego, żeby mi nie interesował, ale jestem obrażona, i przyjmuję wszystko z zimną krwią.

Pułkownikowa. Jeśli tak, to czytaj. (*Podaje jej list*). Adolf żeni się.

Cecylia (*zalamując ręce, z krzykiem*). Ach!

Pułkownikowa. Ale fe! moja Cesiu! miedź rozum — na — weź!

Cecylia (*drząc, bierze list i czyta*). »Szanowna pani! może to niewdzięcznie z mojej strony, żem się nie poradził pani, której przyjaźni jest mi tak drogą, w przedsięwzięciu najważniejszym w życiu człowieka. Niech mi pani wybaczy i z pobłażaniem przyjmie powody mego milczenia, które później wyłożę. Żenię się. To lekarstwo było mi gwałtownie potrzebem«. Lekarstwo podkreślone. (*Zgmatana list w rękach. Po chwili rozwija go znowu, czyta dalej*). »W czyje ręce składałam los dni moich, o tem pani powiem za parę godzin, gdy przyjdę prosić o jej błogosławieństwo. Chciałbym narzeczonej mojej ofiarować niektóre ba-



gatelki przed ślubem. Nie będzie żo nadużyciem grze-  
czności pani, gdy poproszę, abys mię swoim gustem pokie-  
rować raczyła? Przyniosę wszystko z sobą, jeżeli mię pani  
łaskawą odpowiedzią ośmielił zechcesz. — Adolf. (*Rzuca*  
*list w pół z płaczem*). A o mnie ani słowa! jakby mnie  
nie było. O! niewdzięcznik! (*Rzuca się na krzesło, płacząc*).

Pułkownikowa (*wstaje i bierze ją za rękę*). Ale wstydy się,  
moje życie! Czyż przystoi ci tak brać to do serca?

Cecylia. Niedawno chodził za mną — patrzył jak w tęczę —  
wczoraj tu, w tem samem miejscu! O! to chytrósł bez  
przykładu.

Pułkownikowa. Nie chcę go usprawiedliwiać, że ci prawil  
dusery, ale że się żeni, temu się wcale nie dziwię.

Cecylia. Ciocia się nie dziwi? — O! wiem, że wszyscy go  
uniewinniają.

Pułkownikowa. Miał-że cię za mężatkę.

Cecylia. Ach, Boże mój! Droga ciociu! otóż to właśnie, że nie  
miał. Mówiłam, żem wczoraj przyznała się majorowi i miał  
mu wszystko powiedzieć. A on, zamiast nie posiadać się  
od radości, od szczęścia, żeni się — z inną! O! monstrum!  
(*Płacze*).

Major (*wchodzi z nią komiczno-tragiczną i mówi ponuro*).

Całuję nóżki pani mojej! (*Cicho do pułkownikowej*). A ode-  
brała pani mój bilecik?

Pułkownikowa (*cicho do majora*). Odebrałam. (*Groźąc*). O!  
wyl panowie!

Major (*cicho do pułkownikowej, pokazując na Cecylię*). Le-  
kcyjka nie zawadzi.

Pułkownikowa (*głośno*). Cóż? wiesz, zapewne, majorze?

Major. Wiem, wiem, pani dobrodziejko! Dłatego się i nie po-  
kazał, tak byłem zły. (*Przystępując do Cecylii*). Ej! pani  
kochana! czyż to warto tak się martwić? Widać już tak-  
kie było przeznaczenie. Cóż? przeciwko wodzie trudno  
płynąć.

Cecylia. Proszę mię nie pocieszać, panie majorze! Obejdę się  
bez tych perswazyi. (*Major odchodzi na bok, śmiejąc się*).

Pułkownikowa. Ale moja Cesi, czyż nie znasz przyjaźni  
majora, że tak odpychasz jego uzalenia?

Cecylia (*powstaje i patrząc na majora, tupie nogą*). Ja uża-  
leń cierpieć nie mogę! (*Siada znowu*).

Major (*na stronie*). Brr! Lubię taką energię w kobiecie. (*Gło-  
sno*). Pani kochana! nie dziwię się, że to panią tak ubo-  
dło. Ale ja tu muszę cokolwiek powiedzieć i na jego uspra-  
wiedliwieniu.

Cecylia. Nie mówiłam, że wszyscy go będą usprawiedliwiać?  
Ach, to kara Boska!

Major. Miałabyś pani rację czuć się cokolwiek upokorzona,  
gdyby Adolf wiedział, że ręka pani wolna — ale...

Cecylia (*powstaje*). Ale cóż? on nie wie?

Major. Nie wie, pani dobrodziejko.

Pułkownikowa. A widzisz, mówiłam.

Cecylia. A toś mi pan ładnie usłużył! Miał-żeś mu pan po-  
wiedzieć, miałeś się pan strzelać.

Major. Czy pani chcesz, żebym się strzelał?

Cecylia. O, nie, nie, nie chcę, (*dyma mu ironicznie*) bardzo  
dziękuję. O ja nieszczęśliwa! (*Płacze*).

Major. Ależ bo, pani kochana, i jam temu nie winien. Proszę  
mię posłuchać, na miłość Boską! Poszedłem do niego, chcąc  
mu wszystko objawić. Sądziłem, że go zastanę w rozpa-  
czy. A on, *sacrébleu!* czemuż mię przywitał? Oto, że mię  
zwiódl desperackim listem, że się zrelektował, że się żeni,  
że już wszystko ułożone, że znalazł aniola i t. d. Cóż mia-  
łem robić? miałem panią skompromitować? miałem nara-  
zić się na odmówienie? *Sacré morbleu!* wolałem zamilczeć.  
Trzasnąłem drzwiami, że aż się okna zatrzęsały, i posze-  
dłem precz.

Pułkownikowa. I bardzo pan dobrze zrobił — szczerze, od  
serca panu dziękuję.

Cecylia (*podaje mu rękę*). Dobry panie majorze. (*Major ca-  
łuje ją z uczuciem*).

Pułkownikowa. No, Cesi, otrzyjże lezki. On tu zaraz przy-  
dzie — cóż sobie pomyśli?

Cecylia. Ja go widzieć nie będę — ja natychmiast wyjeżdżam  
z Warszawy. (*Wstaje*).

Major. O to, to — ba! jeszcze czego? Proszę pani pułkowni-  
kowej, aby na to nie pozwalala. Cóż to? *sacré* — ej! prze-

praszam, pani chceś mu dać poznać, że panią przywiódł do rozpaczny?

Pułkownikowa. Major ma rację.

Major. A gdzież duma kobieca? Czy to pani, z takim rozumem, nie potrafiś się znaleźć inaczej, jak szlochając?

Cecylia (*ocierając łzy*). O! potrafię, potrafię — bądźcie państwo spokojni. (*Na stronie*). Niewdzięcznik!

Pułkownikowa. Naśladuj mnie — obaczysz, jak go przyjmę, jak gdyby nigdy nie się nie stało. (*Jakób wchodzi*). Czy pan Adolf? — prosz, prosz! (*Jakób wychodzi* — *Cecylia siada niedbale na kanapkę i bierze księżkę*. — *Major przechadza się nadąsany*. — *Adolf wchodzi, niesmiało poglądnąjąc na Cecylię*. — *Jakób wnosi za nim kartony i kładzie przy drzwiach na krześle*).

Pułkownikowa. A! jak się pan ma? (*Adolf całuje jej rękę*). Bez wątpienia musisz się pan mieć dobrze. Winszuję, panie Adolfie! i z serca się cieszę.

Cecylia (*na stronie*). Jest z czego się cieszyć. (*Czyta*).

Adolf (*zbliża się do Cecylii*). Pani tak zajęta?

Cecylia (*spokojnie*). Czy to pan, panie Adolfie? — Kiedyż pan wszedłeś? doprawdy nie uważałam.

Major (*na stronie*). O! flutka!

Cecylia. Winszujemy panu! winszujemy! Nakoniec pan zdecydował się. (*Adolf kłania się*). Widzi pan, jak to dobrze posłuchać rady dobrych przyjaciół. Wszak to ja panu zapisałam tę receptę — wczoraj, pamięta pan? (*Podaje mu rękę z kokieterią*). Obaczy pan, że będzie skuteczna, boś się pan nie opóźnił. (*Na stronie*). Zdrajca!

Adolf (*całuje z uczuciem jej rękę, którą ona prędko usuwa*). O! nie wąpię!

Cecylia (*na stronie*). Jego ręka drży!

Adolf (*na stronie*). Ona płakała! o! co za szczęście! (*Major przechodzi rubasznie koło Adolfa, chrząkając*). A, jak się masz, kochany majorze?

Major. A, uniżony sługa pana mego. (*Odwraca się i przechadza się, jak pierwej*).

Cecylia (*z ironią*). A quand la nocte, Mr. Adolphe?

Adolf (*z uśmiechem*). Ja myślę, że wkrótce.

Cecylia. O, to bardzo rozumnie. Pan już i tak dużo czasu straciłeś.

Adolf. Pani mię wyprzedziłaś.

Cecylia. O! bom ja podobno od pana starsza — czy tak?

Adolf. Pani sobie ze mnie żartujesz. Jak mnie to cieszy, żeś pani wesola!

Cecylia. Dlaczegożbym nie miała być wesolą? A to zabawnie! Ja się nigdy nie smucę szczęściem moich przyjaciół. (*Na stronie*). *Qu'il est bête!* — *fi!*

Pułkownikowa. Pokaż-że nam, panie Adolfie, te śliczne rzeczy — będziemy admirować. (*Adolf idzie po karton*).

Cecylia. A i podarunki? *c'est galant, en vérité!*

Major (*przechodząc, cicho do Cecylii*). Dobrze, dobrze, *sacré-bleu!*

Cecylia (*do majora*). Mało mi serce nie pęknie.

Major (*do Cecylii*). Ps! (*Cecylia zaczyna czytać*).

Adolf. Niechże się panie ze mnie nie śmieją, bo to, doprawdy, nie nasza rzecz.

Pułkownikowa. Nado pan skromny jesteś, wiemy, ile masz gustu.

Cecylia. O! we wszystkim!

Pułkownikowa (*opatrując kotie*). A wie pan, że przepyszne, bardzo, bardzo ładne!

Adolf. Szczerze?

Pułkownikowa. Ale najszczerzej.

Cecylia (*niedbale*). A pokaż pan. (*Adolf biegnie ku niej. Ona bierze od niego, i popatrujesz, oddaje*). *Oui, c'est joli* (*na stronie*). I to pewnie dla jakiegoś koczkodona.

Pułkownikowa. Ale cóż bo tu ślicznych rzeczy! To prawdziwie aż oczy w siebie biorą. Ciesiu! chodź-no tu, obacz.

Major (*do Cecylii*). Idź, pani!

Cecylia. *Je suis si paresseuse*, moja droga ciociu!

Pułkownikowa. Więc chceś, żebym do ciebie przyszła?

Cecylia (*zrywa się i idzie*). Ach, Boże mój, cóż-bo ciocia robi?

Pułkownikowa. Patrz, co to za dyadem! co za blondy przy tym welonie ślubnym! Jak mię kochasz, Ciesiu, przymierz — właśnie do twojej sukni przyjdzie.

Major (*szeptając jej do ucha*). Przymierz pani, na złość jemu, niech obaczy, jakim był osłem.

Cecylia. Ale do czegoż to? — wreszcie, jeśli się tak ciocie podoba. (*Siada, pułkownikowa ją ubiera*).

Adolf (*do majora*). Majorze! nie posiadam się!

Major (*cicho*). Pst! (*Głośno*). A, jak się panu podoba, co mi tam!

Pułkownikowa. Weź jeszcze te kolie. (*Nakłada na nią*). Co za blask! — słicznie!

Adolf. Teraz i ja widzę, że piękne — ależ na takiej szyi.

Cecylia (*obrażona*). Komplementa! — winszuję pańskiej narzeczonej. (*Wstaje i idzie z powagą do zwierciadła*).

Adolf (*do majora*). Ach! jaka ona słiczna!

Major (*ciągnie go za rękaw*). Pst! (*Pułkownikowa zakłada jej na ręce bransolety*).

Cecylia. A propos, panie Adolfie! jakiegoż wzrostu ta narzeczoną pańska? zapewne niziutka, pulchniutka? — co?

Adolf. Myli się pani — będzie wzrostu pani.

Cecylia. Doprawdy? a jakie ma imię? jeżeli wolno zapytać.

Adolf (*patrząc na nią z wyrazem miłości*). Cecylia.

Cecylia (*zmieszana*). Co?

Adolf (*kłękając*). O, tak! Cecylia, jeśli pani pozwoli. (*Cecylia blednie, siada na krześle, zakrywając oczy ręką. Adolf bierze jej drugą rękę i całuje z umiesieniem*). O pani droga! pozwól niech sobie zapłacę szczęściem nad wyrazy za te męczarnie nad wyrazy, które dotąd znosiłem!

Pułkownikowa i Major (*rozrzewceni*). Pozwól! pozwól! Cecylia (*patrzy nań mile i podaje mu drugą rękę*). A więc pan wiedziałeś, że moja ręka wolna?

Adolf. Wczoraj jeszcze dowiedziałem się.

Cecylia. I takę mię dręczył?

Adolf. Przebacż, Cecyli! przebacz ten mały odwet. Jam cierpiał więcej.

Cecylia. Cóż ja mam robić? — muszę. (*Powstaje*).

Adolf (*zrywa się*). O szczęśliwa chwilo!

Pułkownikowa (*ścisną ją*). Moja ty droga Cesiu!

Major. *Sacré-bleu!* panie dobrodzieju! i ja dzwoniłem na to kazanie, i mnie się tu coś należy.

Cecylia. Uściskaj mię, drogi majorze! Stalej od ciebie niż mię nie kochał (*ścisną ją*). Ale godziło się tak przeciwko mnie?

Major. To masz pani za te głupie morały, którem wczoraj prawil — teraz kwita.

Cecylia. I ty, ciociu, także? zmwiać się z nimi!

Pułkownikowa. Moja duszo! mogłam się zmwóć z tobą przeciwko nim, dlaczegoż nie miałam się zmwóć z nimi przeciwko tobie? tembardziej, że to udanie tem żywijd dając ci czuć twoje obecne szczęście.

Cecylia (*bierze rękę Adolfa*). O! więc to już prawda?

Major. Prawda, prawda. Ale jeszcze jedno chciałem pani powiedzieć: nie próbuj pani mistyfikować go po ślubie. Pani masz na to dużo rozumu; ale widziałeś, *sacré-bleu!* że i nas na coś podobnego stanie.

Cecylia. Postaram się, panie Adolfie, że nie powiesz, iż cię los zmistyfikował.

Adolf (*trzymając rękę Cecylii*). Los, chytry, jak Wloch, najczęściej mistyfikuje człowieka; ale kiedy komu da rękę i serce rozumnej kobiety, wtenczas jest szczerem, jak Mazur.

## E) Kollokacya, powieść (1847).

Kollokowanej na Czaplifinach szlachcie grozi poważne niebezpieczeństwo ze strony prezesa Zagartowskiego, który wszelkich środków używa, aby wywłaszczyć częściowych posiadaczy. Prezes to jedna z przedniejszych postaci powieści: jego bezgraniczna chciwość, próżność, zrzęcość w machinacyach finansowych, przy bezczelnej obłudzie czynią go niebezpiecznym dla każdego, kto z nim wejdzie w interesy. Przytem jest on narysowany nader plastycznie: gdy umieszcza się z wrzekomą dobrodusznoscą, gdy co kilka frazesów wykrzykuje z pobojnem zaburzeniem: „Jezus Marysa“, sycząc przytem przez szczerbę w zębach, gdy skrzyżuje ręce na pulchnym brzusku i puści mlynka dużymi palcami, zda się, że go widzim.

Prawą ręką prezesa w jego operacyach jest Żyd Saloma, faktor nie byle jaki: do 16 roku życia chodził do szkół w Krzemieńcu, chcąc zostać doktorem; ubiera się nadzwyczaj starannie, mówi biegle po francusku i po



polsku wyraża się poprawnie, nawet górnolotnie, w podstępności i kręctwie nie ustępuje wszakże swoim chałatowym współwynawcom. Nic też dziwnego, iż wkrótce całe Czaplince dostały się w ręce prezesa; tylko cichy dworek państwa Starzyckich oparł się jego przebiegom. Dodanie typy rodziny Starzyckich, zwłaszcza dziadków, w których osobach, jak wiemy, autor przedstawił własnych rodziców, są skreślone z widocznym umiłowaniem.

Tem trudniej przychodzi prezesowi pokonać Starzyckich, iż w obronie ich staje jego własna córka, dzielna, energiczna Kamilla, która, poznawszy przypadkiem w drodze młodego Józefa Starzyckiego, pokochała go całą siłą swej bujnej natury.

Przy pierwszym zatargu ojca ze Starzyckimi panna Kamilla z całą stanowczością staje po stronie krzywdzonych, a wstrząśnięty do głębi tem pierwszym w życiu niepowodzeniem, prezes umiera w kilka dni potem na apopleksję, zostawiając sprawy majątkowe nieuregulowane. Panna Kamilla, dla uspokojenia własnego sumienia i zmycia plamy z pamięci ojca, wyposaża synów i córki dawnych kolokatorów czaplinieckich, a potem dopiero, ukończywszy to dzieło sprawiedliwości, łączy się na zawsze z ukochanym.

Poniżej przytoczona, niezmiernie plastyczna scena daje nam poznać cały szereg wybornych postaci z zaciąłanka czaplinieckiego.

**802)** *Tom I, str. 184—193.* Pan Plachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplincach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunta, stawkę rybny i głęboki i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Plachta był w młodości swojej *totumfackim* w jednym z możnych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *komilfo* i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony komilfo. Była to kobieta niebrzydka, ale, wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskąością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *A madame la Comtesse Plachcina*; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur Plachta*, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dodawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wечно wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce, i używała najniewłaściwiej i najdziwniej partykułów *en i y*, które pasyami lubiła. *En voulez vous du Café? Monsieur Jakób!* mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który

ją często odwiedzał, i jak kronika czapliniecka głosiła, oddawna cholewki do niej smalił. Mąż, jak mówił, patrzył na to przez szpary, bo pan Jakób był komilfo, bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: *•Te brzóz kilka•* i inne piosenki. Oprócz pana Plachty i pani Plachciny były jeszcze dwie panny Plachcianki, Zenobia i Kryspina, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminął z ulubionym swoim komilfo, dodawał: *Medmozel Zenobi i Kryspin*; a pan Jakób, który miał widać pewne prawa do pieszczenia progenitury pani Plachciny, nazywał Binu i Piniu. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpette, ale ich edukacja i manieri, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Plachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Plachcie dostał się przy kolokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego atnyencyami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obora w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej cząstce utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy, wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowana. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Plachta osądził, że jest komilfo mieć kilkanaście pokojów i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za żołnierza, chociaż często panny Plachcianki musiały z łóżeczkami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne celesta w chlewie przeźroczystym, jak maleńkie foki, siedziały nieraz po szyję w wodzie. W toalecie państwa Plachtów i panien Plachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarżanej komilfowości. Pani Plachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materyi, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiały się na jej głowie, i porobił szczyrby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej w stanie, wazkiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba, dającej jej postać królowej. Panny Plachcianki występowały także w materyalnych sukienkach, robionych na kogo innego i bra-



nych w tandetnym składzie Szlomy, w trzewczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko północzski przedziurawiony na pięcie, w perłach ogromnych z ferroarem ciężko brązowym, w kwiatach, na których kurzawa legła grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paźnocy w febrze.

Państwo Plachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon, bo jakże może być dom komiflo bez galonowej liberyi! Ale tego dziurawego i prawie bosoego Hryčka we fraku, którego pani Plachcína niewiadomo dlaczego przezwiała Żorżem, nie można było nigdy odczytać, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umieblowanie domu odpowiadało reszcie: szarżana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet nie polatane dywaniki i t. d. Otóż w takim to domu, 17 października, w dzień świętej Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które maż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki, spodziewano się dużo gości, i nie tylko wszystkich czaplínieckich kolkokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Plachta w cynamonowym fraku, z długimi, ale wązkiemi połami, w granatowych ciasnych szarawarkach, podczał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinny, począł obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przeszawiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zostawiając po kątach. Niemalo także miał roboty, nim wazonikami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frenzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i indystryi panny Zenobi, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Plachta, nastrzepił bardziej komiflo i symetryczniej poustawiał. Spora trząskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrżawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonymi skórkami z jabłek. Zadyżżany i spótniały Żorż zwiżał się, jak mucha w ukropie, i cią-

gle dawał szturchać stajennemu chłopakowi, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Plachty, z zachowaniem jednak własnych chłopieckich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuły w siernięgach płaczące dzieci i oczekiwaly smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczyńa.

Wysłała nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczerzniętych, o które brukaly się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, buchastymi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale za to na rozległym jej gorsie zwiżał się w przeczoczystą mgłę stary, poólkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować oblok, na którym malowały się żywe kolory tej korpułentnej Irydy.

Pani Plachcína rzuciła przymrużonemi oczyma wokolo, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przypląszczonego, aby się wydawał zadartym, i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie, zapytała:

— *Eh bien, Monsieur!* czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co? komiflo, nieprawdaż?

— Tak, tak! — odpowiedziała — wszystko to twoje starania *Monsieur Plachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dalem lat temu...

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Plachcína i, starając się wyrazowi temu dać intonacya, jaką jej dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię. — Zaśmiał się pan Plachta, podłożył obie ręce pod poly fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię pulchne i jeszcze białe.

— Ale gdzie to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się ukaza — odpowiedziała pani Plachcína, idąc z pewnem arystokratycznym chwianiem się ku drzwiom córki, a uchyliwszy je cokolwiek, zawołała:

— *Zenobi, Kryspin! en venez vous? ou non?*

— *Nous y venons, maman, toute-de suite* — odpowiedziały po francusku. Bo zająca pani Plachcína, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomości

francuskiego języka. Katowały go one, jak mogły, w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle i rozumiały się doskonale. Słysząc tę ich rozmowę, pan Jakób, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał; a pan Plachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że ma tak komilfo żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęli się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwól mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historyi.

Wszedł najprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facyatą, obsypaną przyszcami, z nosem zacerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w rękę. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna, dość nisko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był człowiek dobry, niekłótniwy i bał się dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinię. Obok niego była pani Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej rękę, jeszcze jednak włókił się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co jej ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckiem, i widać było, że nieporozumienia matek przełały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz, jak sroczki, i lubiły się wzajemnie; ale od tego czasu, jak pani Plachcyna dała fałszywy model na czepkę pani Biruckiej, tak że zmarnował się tyfuł, z którego miał być zrobiony, i gdy nawzajem pani Birucka, odpłacając za zdradę zdradą, dała swojej sąsiadce fałszywy przepis na baby, tak że mąka, jaja i drożdże poszły w niwecz, i państwo Plachtowie z tej okazji nie

mieli ciast komilfo, oziębiły się zupełnie sąsiedzkie stosunki, i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorną zgodę. Wszakże mówiono już o tem głośno w Czaplincach, że burza co moment bliżka wybuchnięcia.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajęła bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wygłądała, jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niego wylazła ta płodna para i z całem swem pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce, dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie uciarać nosków, nie chciały się rozbiierać i wołały do domu, a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to to, to owo. Matka zażenowana piskliwym głosem zwolywała je; panna Zenobia, bojąc się o swoje frendzelki przy ścianach, które już jeden malec szarpał, krzyczała z daleka; a pan Birucki grubym głosem śmiał się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło. Nowo przybyły był to pan Bartłomiej Skrętski, z żoną Placydą, kobietą niebrydka, tustą, ale flondrowatą, którą zawsze nazywał przez pieszczoty Placusi! Posiadał on także część w Czaplincach, a jako dalszy cokolwiek sąsiad pana Plachty, żadnych z nim nie miał zatargów. To tylko zarzucił mu nasz gospodarz, że mieć taką zgrają dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośrednimi jego sąsiadami. Dziedzic pan Skrętskiego był Scylla i Charybda, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie — przepadało bez wieści. Ale że pan Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprysnąć się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzwały ciegłe, do otwartej kłótni nie dochodziło. Właśnie gdy pan Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powiniszowali solenizantce, pocałowali rękodem wszystkie damy w rękę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił

i dalej ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniła się kompania; schodzili się ubożsi i drobniejscy posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiali się i panie w perkalowych czepkach i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewieczkach i z białymi chusteczkami na szyi. Ale pani Plachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Plachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedziniec, a pan Plachta także co chwila zazierał do sieni. Pani Plachcina naturalnie wyglądała pana Jakóba, a pan Plachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkałi, wspólną mieli karczmę i za halaburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie i dotąd jeszcze ani razu się nie pokłócili. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigiusz grał na skrzypcach i obiecał je z sobą przywieźć, a pan Paweł akompaniował mu na klaryncie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że pan Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące te luki i przerwy i wydawały się umysłnymi przestankami wtóra, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Plachty i jego córek, które oprócz nadziei tańca miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach, i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypką w rękę, obwiniętą czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem, okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli i, wszedłszy prawie razem do pokoju, razem winszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nie nowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo straszne mieli bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli oba zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tem straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się kłócił, posyłał w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli

ogromnie oba, tak że biedny sąsiad, zatknawszy uszy, uciekał do izby. Dla państwa Plachtów zaś byli ze szczególną grzesznością, bo podobno pan Remigiusz miał widoki na pannę Zenobję, a pan Paweł na pannę Kryspinię. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że widzieli wyraźnie, że panny słodko pogadły na wasatych muzykantów, a powtórze, że bali się kłóregokolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokreślił wąsa, drugi także brwi marszczył i z tejże samej strony wąsa pokręcał.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podawać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz Żorżowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku, nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwaliłi zręczność, to sprzeciwiali się z umizgami, wykradali cukier z filiżanek, trącali stółki, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne równie miłe i dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzania długie i znaczące, to łyżeczką po rękę, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionemi zrećnie, po twarzą. Patrząc na te manewra, panowie Zarzycki i Cepowski młodzi przechadzali się, wzdychając, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle, ile gości, pani Plachcina, siedząca na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około czterdziestu; był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nożki jego okrywały wązkie kortowe szarawarki jasno-migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastymi rękawami zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce grubo i dosyć wolno okręcona, szła



pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód, a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziwla. Czolo miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub, z tylnych włosów naczęsany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapal muzyczny psuł i to rusztowanie kokieteryi, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli:

— Al pan Jakób! pan Jakób! — Widząc się tak pożądanym, Orfeusz czaplinięcki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękką kastorowy kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę i tak witał kompanię. Uśmiechały się oczy pani Plachciny, a pani Birucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuje — rzekł pan Jakób, przechodząc koło panienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

Lecz puście mnie do mamuni,  
Ażeby w dzień jej imienia  
Złoty u nóg jej życzenia,  
A potem dacie kawuni.

— A co? — dodał i, nie czekając, jaki efekt zrobi czworowersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pełno było zdrobniałych i pieśczośliwych wyrazów, które bardzo lubił. Zakończył rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Panie Boże,  
Byśmy za rok o tej porze  
Zeszli się na imieniny  
Do Lucyny, do Lucyny.

— A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tym razem wszyscy huknęli brawo; pani Plachcina rozrzewniła się i wy-

ciągnęła rękę do pana Jakóba, a pani Birucka ruszyła ramionami.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki, i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanii nie stało, nie zważając na to, pan Jakób wystąpił naprzód i znowu zaimprowizował:

Dalej, panowie i panie!  
Drogie to są imieniny!  
Niechże, kto ma olej w głowie,  
Duszkiem to wchylili zdrowie:  
Zdrowie Lucyny!

krzyknął i potem dodał: — A co?

— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkiem. Kobiety siedziały ockolwiek niekontentne, iż nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie, i obrażyły się na pana Jakóba. Wszakże niesprawiedliwie, bo pan Jakób, przez drogę układając swoje improwizację, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej i na damy; i one dostały po kieliszeczku, które potem poszły w niezapreczone władanie mężczyzn i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Plachta szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanię, a on pójździe i zajmie się, aby pierogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były komiflo. Wówczas pani Plachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z wejrzeniem pełnem przyszłości rzekła:

— En voulez vous chanter quelque chose, monsieur Jakub?

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Plachclanki uradowane zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku pokoju; panowie Smyczkowsy pokręcili wąsą obaj z prawej strony, bo niebardzo admiirowali talent pana Jakóba, który także nie miał



ich za wielkich wirtuożów, a pani Placyda przywozila do porządku swoich chłopczyków, którzy, wydzierając sobie kawalek buleczi, poczuli się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakób usiadł na swoim miejscu i, założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando i z czuciem, nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą ręką z góry na dół i z dotu do góry, i wydobywając z instrumentu dziwne jęki, publiczność dawała znaki ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem, pan Jakób przestał nagle, spojrział po wszystkich i zapytał: — A co? — A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go naprzód był pewny, po krótkim preludium zaśpiewał:

Te brzoź kilka, ten bieg wody!  
 Jak mi wiele przypomina!  
 Tu przeskakalem wiek młody,  
 Tu żyła niegdys̄ Lucyna.

Ostatnie dwa wersze powtórzył po raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejście długie i mordercze. Tak było po każdej strofie i po każdej z nich szerokie łono pani Plachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał: a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tem pan Jakób rzekł: — Może państwu co nowego? a co? — i nie czekając prośby, bo jej był naprzód pewny, zaśpiewał:

Nie spostrzegłszy w krzaczku róży  
 Kupidy, że pszczołka siadła i t. d.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skrętksi szepnął panu Biruckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a panowie Smyczkowski pokrećali węża, gdy jednak przyszło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeśli synku,  
 Tak dolega żądło pszczołe,  
 Cóż dopiero, Kupidyńku,  
 Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? a co? cała kompania umilkła; pan Remigiusz zwyciężony spojrział na pannę Zenobię, pan Pa-

wel na pannę Kryspinię, a panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czem znowu zachęcony pan Jakób już miał zacząć weselszą piosenkę i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przegrywką po każdym wierszu:

Nie wiem, z jakiego powodu  
 Drum, drum, drum, drum, drum,  
 Poszła Filis do ogrodu,  
 Drum, drum, drum...

Ale pierogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapal, i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, po co Filis poszła do ogrodu, i każdy ruszył do półmiska; a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzycząc różnymi głosami, które stłumiły przegrywki pana Jakóba, wołały: pirożki! pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Plachciani, przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły, jak mogły najwdzięczniejsz, spojrzaly, jak mogły najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowscy tę niemą prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skrętksi wywijał także z solenizantką, a gdy który z panów Smyczkowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakób zastępował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy spały po różnych kątach; pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ruszała ramionami, patrząc, jak pani Plachcina wywija, Żorż zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się o ścianę, wyciągnawszy naprzód nogi i nos palcem ucierał, a pan Plachta, patrząc na ten ruch i symetryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywa się komiflo.

## F) Krewni, powieść (1857).

Osnowę powieści stanowią losy dwóch braci Zabużskich, Eugeniusza i Ignacego, których autor prowadzi od dzieciństwa aż do wstąpienia w wiek męski.

Straciwszy ojca, dostają się oni pod opiekę krewnych: Eugeniusz wychowuje się w domu kasztelana Zabużskiego, Ignacy zaś przyjeżdża do

Warszawy, aplikuje pewien czas w jakiejś komisji, a wreszcie, zrezygnowawszy ze swego szlachectwa, bierze się do rzemiosła i, odbywszy praktykę u poczciwego stolarza, Niemca Hebla, zakłada własny warsztat.

Tymczasem Eugeniusz kocha się w córce kasztelana, Jadwidze, a odrzucony przez damną kasztelanową, wstępuje do wojska. Odznaczony się tam i otrzymawszy znaczny spadek po dalekim krewnym, uzyskuje wreszcie zezwolenie rodziców Jadwisi na połączenie się z nią węzłem dożywotnym.

Podajemy poniżej scenę zapisu Ignasia na terminatora stolarskiego, jako jedną z najbardziej charakterystycznych w powieści.

**803)** *Tom VI, str. 273—282.* Drugiego dnia po skończonej korepetycji z dziećmi wszedł bohater nasz do majstra, który, jak zwykle, siedział sobie w swoim kantorze, wyciągał swą lampeczkę wina i wypalał fajkę, którą z upodobaniem odlewał. Skoro go pan Hebel zobaczył, zawołał:

— Zamykaj drzwi, pan Ignacy! zamykaj!

Co gdy się stało i młody człowiek zbliżył się do niego, uspokojony takim przyjęciem, Niemiec wyciągnął do niego rękę i śmiać się zaczął tak serdecznie, że aż mu się brzuch trząsał, i łyzy do ócz nabiegły. Potem, ukazując mu miejsce, dodał:

— No, usiadaj, panie Ignacy, usiadaj. Adwentowicz powiadał mi wszystko, i bardzo byłem ukontentowany, że się rzeczy tak dobrze udał, i że pan Ignacy z takie męstwo i energia wytrzymałeś ten ciężki frycówka. Teraz już wszystko będzie dobrze, tylko jeszcze ten komedya mojego Werkführer nie może tak prędko zupełnie ustawać, żeby się nie zrobiło znowu halasu w warsztacie, i żebyś pan Ignacy miał spokojną głowa. A jutro będziemy pójść do Urzędu starszych, gdzie ja będę pan Ignacy zarekomendował i zapisał do lista terminatorów. Ten umowa między nami, który ja na mocy §§ 21 i 22 nasze Po-stanowienie obowiązany składać w Urzędzie starszych, aby jego warunki rozpoznał i zatwierdził, zabieraj pan Ignacy z sobą, przepisuj ładnie na dwa egzemplarze i poprawiaj tam pomyślna, żeby nie był niemiecki, bo to ja sam skomponowałem, według te warunki, jak pan Ignacy sam chciałeś. A teraz ja kochany pan Ignacy będę uściskałem, że się nie zrażałeś i że nie gniewałeś się na moje chłopcy za to, że ja tak musiałem się z pan Ignacy obchodzić, i nieraz jemu przykrości zrobiłem.

I wzruszony Niemiec uściskał bohatera naszego, który, zrozumiawszy dobrze całą jego życzliwość i dobre chęci, podziękował mu serdecznie, wziął umowę i odszedł spokojny i wesół.

Zarząd starszych, ustanowiony na miejsce dawniejszych cechów, przeciwko którym tyle niesłusznych podnosiło się głosów, zatwierdzony postanowieniem księcia Namiestnika z r. 1816, urządzającym Zgromadzenia rzemieślnicze w Królestwie Polskim, składa się ze starszego, podstarszego i podskarbięgo. Sekretarza, a raczej pisarza, naznaczonego od rządu, utrzymują majstrowie. Oprócz tego przydany jest komisarz municypalny, który na wszystkich sesjach jest obecny i ma głos stanowczy; starszy i podstarszy wybierani są co trzy lata przez całe zgromadzenie majstrów jednego rzemiosła, a w razach ważniejszych zasiadają jeszcze na sesjach delegowani Zgromadzenia, to jest kilku z tych, którzy w czasie wyborów najczęściej mieli krosek. Sesye zwyczajne, mające miejsce w mieszkaniu starszego, odbywają się co miesiąc, a sesye wpisowe, to jest takie, na których nowi zapisują się uczniowie, i terminatorowie, kończący swój termin, wychodzą na czeladników i odbierają tak zwane *Lehrbriefy*, co kwartał.

W owym czasie, o którym mówimy, starszym Zgromadzenia stolarskiego był reputowany i majątny majster Drylius, urodzony i wychowany w Warszawie i mający tu po ojcu zostawiony obszerny i zamożny warsztat.

Był to człowiek stary, z białą głową, rozumny, ale zapominający się, trochę pedant i lubiący perorować do chłopców, którzy się wpisywali, i do terminatorów, którzy na czeladników wychodzili. Miał on dwie przemowy, zdawna przygotowane, i które zwykle powtarzał. Zasadą ich były prawidła wspomnianego wyżej postanowienia i dziesięć przykazań. Jeżeli był w do-brem usposobieniu i nie miał żadnego kłopotu na głowie, wtedy dodał czasem do swej przemowy co nowego, stosownie do okoliczności i stosownie do indywiduum, do którego mówił. Ale jeżeli był zakłopotany, miał jaki ważniejszy interes, wtedy prawil malcom zwykle i przygotowane upomnienie, rodzaj wykładu dziesięciorga przykazań, a czasem, zapomniawszy się, mieszał jedną przemowę z drugą i, począwszy upominać uczniów, jak należy, kończył oracyę swą tem, co się do czeladnika stosowało

i dla niego było skomponowane. Tę słabość długiego i powtarzanego perorowania i te zabawne czasem jego rozartargienia przebaczeni mu chętnie koledzy, szanując jego biegłość w rzemiośle, jego skrupulatność w zachowywaniu przepisów i uczciwość w szafunku składkową sumą, która w skrytce rzemieślniczej, tak zwanej Ładzie zamknięta, znajdowała się w jego domu i pod jego głównym była dozorem. Wybrano go więc już po raz trzeci starszym, i pan Drylius tak już przywykł do tej godności, że w domu swym urządził pokój sesyonalny, który innego nie miał już przeznaczenia i wyglądał jak biuro. Był więc tam na środku stół duży, zielonym sukmem nakryty i otoczony krzesłami dla członków posiedzenia. Przy tym jego końcu, gdzie zasiadał starszy, podstarszy i komisarz municypalny, leżała Ustawa urządzająca Zgromadzenia rzemieślnicze w paradnej oprawie, i stał krucyfik, który na zawsze Zgromadzeniu darował, z pięknym i bardzo dobrze wyrobionym wyobrażeniem Zbawiciela. Tam także był zbiór Dziennika Praw dla poradzenia się w razie wątpliwego przypadku, leżały książeczki, przygotowane dla wychodzących czeladników do zapisywania w nich opinii majstrów, u których mieli się zajmować, oraz trzy wielkie księgi. W jednej był spis wszystkich majstrów miasta Warszawy z oznaczeniem tych, którzy mogą i którzy nie mogą wyzwać czeladź; w drugiej spis wszystkich czeladników, z odroźnieniem tutejszych, tych, co przywędrowali z zagranicy, i tych, co się obecnie znajdują na wędrowce; w trzeciej spis wszystkich uczniów, z oznaczeniem roku rozpoczęcia nauki i majstra, u którego każdy terminuje. W tymże pokoju, ozdobionym portretem monarchy i książąt namiestników królewskich, była z boku szafa, w której się znajdowały akta, umowy z rodzicami lub opiekunami uczniów, jakie się przy wstąpieniu na naukę składają, rysunki geselstyków, składane przez terminatorów przed wyzwoleniem, także rysunki lub modele majsterstyków, jakie wyrabiają czeladnicy przed wyjściem na majstrów, i lada czyli skrzynka Zgromadzenia, do której klucz ma starszy i podskarbi, a w której oprócz składkowych pieniędzy mieszczą się jeszcze wszystkie dawniejsze prawa, przywileje, urządzenia, tudzież wszystkie świadectwa uczniów i czeladzi. Przy tej szafie stał stolik sekretarza, mającego w swem ręku

pieczęć Zgromadzenia, na której hybel, węgelnica, cyrkiel, i pieczęć miasta Warszawy; a dalej, w głównym kącie pokoju, stała okryta pokrowcem paradna chorągiew majstrów, oprócz tej, jaka była złożona w kościele św. Jana, a z którą w czasie wielkich festynów i uroczystości występowali. Pod ścianą, naprzeciw szafy, były krzeselka dla majstrów, rodziców lub opiekunów, przyprawdzających do zapisu uczniów, a po obu bokach drzwi z jednej strony była lawka dla wyzwalających się terminatorów, a z drugiej dla zapisujących się uczniów.

Gdy pan Hebel z bohaterem naszym weszli do sali, już sesya była zaczęta. Starszy, podstarszy, komisarz municypalny i dwaj majstrowie delegowani siedzieli z powagą na swych miejscach, przed stołem stał terminator, otrzymujący wyzwołenie, Lehrbrief i książeczkę, a pan Drylius do niego mówił:

— Na mocy tedy 46 § Postanowienia — 49-go pan starszy — podszepnęli podstarszy i komisarz municypalny — 46-ty § jest o chorobie ucznia.

— A prawda. O chorobie ucznia — mówił Drylius, zamyśliwszy się trochę.

— Otóż na mocy § 49 Postanowienia z r. 1816 ponieważ przez chorobę za wiele utraciełeś czasu, zdaniem jest urzędu starszych, abyś się jeszcze douczył.

— Ależ panie Drylius — rzekł mu, nachylając się z uśmiechem komisarz — on był zdrow, odpowiedział wszystkim warunkom § 49-go, okazał sztukę czeladniczą i ma list wyzwolenia, tylko niech złoży 20 złotych polskich do skrzyni, i z ojcowiskiem napomnieniem pana starszego niech idzie z Bogiem.

— A prawda, prawda. Trzeba go napomnieć — mówił starzec, uśmiechnąwszy się, i dopiero zaczął ułożoną przez siebie perorę, gdzie były wycytowane główne artykuły Postanowienia, gdzie upominał, żeby Fercentag<sup>1)</sup> odbył u swego majstra sumiennie, żeby się w żadne biesiady i traktamenta nie wdawał, żeby poniedziałków nie świętował, żeby po gospodach nie chodził, żeby pieniądze wzięte z góry pilnie odrabiał. Gdy przyszło do strony moralnej dającej się nauki, starszy trafnie i do-

<sup>1)</sup> Fercentag (Vierzehn Tage) czternaście dni obowiązkowych u majstra, który wyzwala.



tykalnie rozbierał dziesięć przykazań Bożych, a szczególnie dziewiąte i dziesiąte, które bronią pożądać żonę bliźniego i tego wszystkiego, co cudze. Przy końcu dodał: — No, teraz pocałuj znak meki Pańskiej, i gdyś już zapisany w księgę Zgromadzenia i masz swój Lehrbrief, opatrzone podpisem i pieczęcią urzędu, idź z Bogiem i pamiętaj, że gdziekolwiek będziesz, czy tu, czy gdzieindziej, żebyś nie zrobił wstydu majstrowi, który cię uczył, i urzędowi starszych, którzy cię wyzwolił. Wędrowka ci się przyda, nawet jesteś do niej obowiązany, pierwsze jednak lato siedź jeszcze tu i pracuj w naszych warsztatach, abyś nabył doskonałości, z którą będziesz mógł się popisać za granicą

Te wyrazy wędrowka i zagranica odwiodły jego myśl od rzeczy, o którą szło, tak, iż mu się zdało, że przed nim stoi jakiś wędrowny czeladnik, z których każdy na mocy §§ 68 i t. d. oddziału III-go winien się stawić w Urzędzie starszych. Zaczął go więc wypytywać, skąd i jak dawno przybył, czy ma *Kindschaft*, to jest świadczony roboty, czy już poselał szafarza z gospody i czy się szykowanie<sup>1)</sup> majstra, u którego robił, odbyło.

Gdy się wszyscy uśmiechnęli i komisarz ostrzegł go, że to tutejszy wyzwoleniec, a nie przybyły skądinąd robotnik, stary uśmiechnął się także, machnął ręką i rzekł:

— Gdzie moja głowa! Tak to zawsze, kiedy kto ma kłopot w domu. No! idź już z Bogiem, kochanku! — dodał, obracając się do nowego czeladnika, który poklonił się z pokorą starszym, pocałował podany sobie krzyż i odszedł uradowany.

Gdy przyszło do zapisu uczniów, Drylius, zwróciwszy się do ławki, na której siedziało ich kilku, a między nimi i nasz bohater, dał im znak, aby wszyscy przystąpili do stołu i złożyli swoje papiery, co gdy się stało, zaczęto je przeriezać, i gdy z kolei dostał się do rąk członków urzędu starszych patent z gimnazjum lubelskiego, w którym Ignasz z języka łacińskiego i greckiego, z literatury rosyjskiej i polskiej, z historii i geografii, z różnych gałęzi matematyki i z fizyki miał stopnie celujące, wszyscy zaczęli na siebie spoglądać, kiwać głowami

<sup>1)</sup> Szykowanie, od *schicken* (poselać) znaczy wysłanie szafarza z gospody na wynalezienie majstra, któryby przyjął chętnego wędrownika.

i porównywać tak chlubne zdania z postawą dorodnego młodzieńca, który stał skromnie wśród malców, swoich kolegów drżących ze strachu i nie wiedzących, jak będą odpowiadać na zapytania.

— Jakto? — zapytał komisarz municypalny — pan chcesz terminować i uczyć się rzemiosła, mając taki patent?

— Takie jest moje postanowienie, panie komisarzu! — odpowiedział Ignasz, skłoniwszy się — i nie sądzę, aby mój patent mógł być przeszkodą.

— O! weale nie — rzekł komisarz — tylko jabym myślał, że przy takim usposobieniu pan mógłbyś co innego robić.

— Pan Ignacy Zabużski, którego miałem honoru zarekomendować prześwietny Urząd starszych — rzekł, przystępując pan Hebel i oddawszy ukłon — już spróbował co innego, i ten jemu się nie spodobał. On wolał nasz kunszt stolarski, odbywał już u mnie czterotygodniowa próba i okazywał wielkiego ochota i usposobienie, który jemu przynosi zaszczytu.

— Czy pan masz rodziców? — zapytał komisarz.

— Nie mam ani ojca, ani matki — odpowiedział młodzieńiec, na którego wszyscy spoglądali z największym zajęciem — i zależę tylko od siebie. Zresztą mam dwadzieścia jeden lat.

— Jeżeli tak, to niema o czem mówić — rzekł komisarz — a umowa, panie Hebel?

Hebel podał umowę, komisarz czytał, uśmiechając się, i oddawszy ją innym członkom Urzędu, dodał:

— To pan pisał?

— Ja, panie komisarzu.

— Widać — mówił komisarz — że pan niedawno hyblem pracujesz. Później nie będziesz pan tak ładnie pisał.

— Ale będzie zrobić prześwietny stół, na który skrybenty siedzą zgarbiony i ładnie piszą, żeby zarobić dziesiątą część to, co zarobił hybel — odpowiedział dotknięty cokolwiek stolarz.

— Nie ubliżam rzemiosłu, panie Hebel — rzekł komisarz głębiej — niech pan będzie spokojny. Proszę usiąść i zaczekać chwilę. Pan Zabużski będzie zapisany, i umowa, choć niezwykła, ponieważ wyraża zgodę obu stron, a nie przeciwną się przepisom, będzie przyjęta. Wprawdzie naznaczyłeś pan tylko dwa lata nauki.



— Ja na moc 47 § nasze Postanowienie nazaczyłem taki termin — odpowiedział Hebel.

— I przez wzgląd na usposobienie ucznia i świadectwo takiego sumiennego majstra, jak pan Hebel — odezwał się Drylius — Urząd starszych przyjmuje ten skrócony termin. Czy panowie zgadzają się?

— Z tym warunkiem — rzekł jeden z delegowanych — że pan Hebel, którego świadectwo w zwyczajnym razie byłoby dostateczne, pozwoli na to, aby rysunek geselsztyku był zrobiony w Urzędzie, a sama sztuka żeby była wykonana pod dozorem jednego z delegowanych, gdy przyjdzie do wyzwolenia.

— Ja na ten warunek z całego serca się zgodziłem — rzekł Hebel.

— Tak, więc rzecz skończona — mówił starszy, ożywiony tą dosyć niezwykłą sceną, i pozbywszy się swego roztargnienia, kiwnął głową młodemu człowiekowi, który się ukłonił z wdzięcznością, gdyż termin tak krótki był wyjątkiem i łaską, jakiej mało kto doznaje.

Gdy wszyscy uczniowie zostali zapisani, i opłaty do skrzynki rzemieślniczej po złotych polskich, sześć od każdego złożone, starszy Zgromadzenia, odchrząknawszy, zaczął z uśmiechem perorę, którą już zapewne kilkanaście razy wygłaszał.

— No! chłopaki! wiecie, co się stało? Nie wiecie. Więc ja wam powiem. Oto z malców do niczego, strzelających bąki i zjadających darmo kasze z mlekiem, staliście się uczniami uczciwego rzemiosła, które wam da chleb i wykieruje was na ludzi. Jak wyróżnicie, jak wam Pan Bóg dopomoże, to takich, jak wy, trutniów i swawolników będziecie sami uczyć rozumu i ciągnąć za uszy do pracy i obyczajów; w czasie wielkich uroczystości stawać będziecie rzędem ze świecami przed wielkim ołtarzem; w czasie pięknych i świętych procesyi otaczać będziecie baldachin i iść tam przy księdzu ze swoją chorągwią; a jak szanowne Zgromadzenie członków kunsztu stolarskiego was wybierze, będziecie tu zasiadać w Urzędzie starszych, przyjmować do terminu takie baranie głowy, jakie wy dziś macie, aby z nich zrobiły się głowy ludzkie, mające rozum i umiające swój kunszt; będziecie wydawać czeladzi Lehrbriefy i książki, będziecie sami rozpatrywać majstersztuki i bieglego czeladnika, jeśli się wam

zdawać będzie, wykierujecie na majstra, a jeżeli nie, kaźecie mu jeszcze uczyć się dalej. A prawda, że to będzie bardzo ładnie, i trzeba starać się, żeby Pan Bóg dopomógł, żeby tak wszystko było?

— Prawda, pan starszy! — odpowiedzieli malce cienkim głosem. A Hebel, który już tę przemowę kilka razy słyszał, szepnął majstrowi, który obok niego siedział:

— Ten gawęda zabierał niepotrzebnie czas, a do mój uczeń, co ja go tu przedstawiłem, był taki stosowny, jak pięść do nosa.

Drylius, poprawiwszy się, mówił dalej:

— A wiecie, jakim sposobem do tego wszystkiego dojść, co tu powiedziałem? Nie wiecie? No, to ja was nauczę. Oto cały sekret w tem, że trzeba umieć dziesięć przykazań Bożych, co dzień je pobożnie odmawiać i dobre rozumieć, co każde przykazanie znaczy. Umiecie wy dziesięcioro?

— Umiecie, panie starszy! — odpowiedzieli malce śmieje.

— Umiecie za panią matką paćierz — mówił Drylius. — Umiecie wypaplać piąte przez dziesiąte, jak szpaki, których nauczyli mówić: Dzień dobry, panie majster! a które nie wiedzą, co mówią, bo głupie i nie mają rozumu, tak jak i wy, choć macie rozum, ale jeszcze głupi i taki, że się zdał tylko na swawolę i psoty. Ale czy rozumiecie wy dziesięcioro? Nie rozumiecie. Otóż ja wam je wytłómaczę. Cóż to znaczy, co powiedziano na początku, przed pierwszym przykazaniem: Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z domu niewoli? Wiedzieć wy, co to jest dom niewoli? prawda, że nie wiecie? Słuchajcież, to ja wam powiem. Dom niewoli jest wtedy, kiedy się jeść chce, a niema za co kupić obwarzanka, kiedy palce z butów powyłażą, a niema za co je załatać; kiedy na grzbiecie dzurawa i brudna koszula, a ciało świeci przez kapotę, jak przetrzeszota, a tu choć płacz, niema skąd ani na koszule, ani na całą kurtkę. Otóż dom niewoli jest to głód i nędza, które krępują zawsze człowieka, kiedy nie nie umie, i kiedy mu się nie chce robić. Jak się nauczycie kunsztu stolarskiego, będziecie pracowitymi i wiernymi swemu rzemiosłu, to was Pan Bóg z domu niewoli wyprowadzi, bo będziecie mieli co dzień sztukę mięsa z kwiatkiem i kufelek dobrego piwa; będziecie mieli ładne granatowe

surduty na niedzielę i święto, wyszuwakowane i blyszczące buty, będziecie mieli porządną izbę, gdzie będą stoły, krzesła i kanapy, a jak któremu się poszczęści i nie przestanie pracować od rana do nocy, nie zważając, czy to poniedziałek, to będziecie mieli i kamienicę własną, i wteńczy wszyscy się wam będą kłaniać. Jeżeli zaś będziecie próżniaki i hultaje, to was wypędzą z rzemiosła, i znowu wpadniecie w biedę, która już was ćwiczyło i krępować nie przestanie, i tak zostanieie na zawsze w domu niewoli, z której Pan Bóg nie wyprowadza tych, co sami z niej wyjść nie chcą.

Gdy komisarz znudzony ziewał, a Hebel kręcił się, jak na śpilkach, spoglądając na swojego ucznia, i dziwiąc się, że z taką słucha-uwagą, Drylius, odchrząknawszy, objaśniał dalej następne przykazania. Przy trzecim wytłómaczył im, jak należy dzień święty święcić, i stąd znowu była rzecz o poniedziałku; przy czwartym nauczył, kto w warsztacie zajmuje miejsce rodziców, i dlaczego trzeba słuchać majstra, majstrówą i starszego czeladnika; piąte i szóste opuszczały, mówił obszerniej o siódmym i ósmym, przytaczając rozmaite wypadki, tentujące do przywłaszczenia sobie cudzej własności, do świadczenia fałszywie, i zrzucania własnej winy na innych. Wykładał chłopcom, którzy go pilnie słuchali, że, jak się nie oduczą kłamać, co każdy z nich umie i za grzech nie uważa, to będą kraść i majstra, i fałszywie świadczyć przeciw czeladzi, i oskarżać niesprawiedliwie towarzyszy, że za to wszystko znowu zostaną wzgardzeni, znienawidzeni, wypędzeni z warsztatu i rzemiosła, i znowu popadną do domu niewoli, z którego już ich Pan Bóg nie wyprowadzi. Wszystkie te objaśnienia były proste, namacalnie wystawione, przykładami poparte, tak że się mogły na zawsze wbić w pamięć małych. A choć nudziły obecnych członków urzędu, jako rzeczy dla nich nienowe, i niecierpliwiły Hebła, który sądził, że uczeń jego, o którego rozumie wielkie miał pojęcie, zbyt liche o nich powierzchwne wyobrażenia, Ignas jednak słuchał z natężonym zajęciem, i całą trudność i trafność takiego wykładu lepiej pojmując, niż jego majster, dla starego Drylius, którego okazała postawa, biała głowa i twarz pełna wyrazu miała coś znaczącego, szczerzym przejął się szacunkiem.

Gdy sam spostrzegł, że wszystkich znudził, i sam się już zmęczył, obrócił się do komisarza i zapytał go naiwnie.

— A co, panie komisarzu, może już będzie tego dosyć?

— Oj! będzie, będzie, panie starszy! — odpowiedział urzędnik, powstając i wyciągając się nieznacznie. — Mam jeszcze jedną czynność, na którą muszę pośpieszyć.

— Zaraz więc skończymy — rzekł stary, i obracając się do małych, zapytał. — Cóż, zrozumieliście, co ja wam tu mówiłem?

— Zrozumieliśmy, proszę pana starszego — odpowiedzieli mały chórem.

— A o czymże ja mówiłem? ty powiedz — mówił dalej, wskazując na jednego czarnookiego chłopaka, z zarosłym gęsto łbem i z dołkami na czerwonych policzkach.

— O domu niewoli, proszę pana starszego — odpowiedział mały.

— A cóż to jest dom niewoli? — spytał starszy, uśmiechając się.

— Kiedy palce z butów wylażą i łokcie z koszuli, i kiedy się jeść bardzo chce, a niema za co kupić obwarzanka — odpowiedział chłopak.

— A kiedyż to człowiek wychodzi z domu niewoli? — pytał Drylius.

— Kiedy ma co dzień sztukę mięsa z kwiatkiem, kufelka piwa, a potem własną kamienicę — mówił chłopak.

— A któż to daje człowiekowi to wszystko?

— Pan Bóg, który go wyprowadza z domu niewoli.

— A jakiegoż Pan Bóg wyprowadza z domu niewoli? — spytał stary.

— Takiego, co sam chce z niej wyjść, pracuje od rana do nocy, choćby w poniedziałek, szanuje i słucha starszych, nigdy nie kłamie, jak co złego zrobi, to się przyzna i nie zwala na drugich, a jak go po co poselają, a wyda dziesięć groszy, to nie mówi, że wydal piętnaście.

— No dobrze — rzekł stary ucieszony — chodźże tu teraz, przełęgaj się, pocałuj Zbawiciela i proś go codzień, żeby ci dopomógł, a będziesz miał kamienicę.

Mały przełęgnał się, pocałował krzyż, potem rękę sta-

rego, który go poglaskał. To samo zrobili inni malcy; Ignas na końcu przystąpił także i, z szczerem uczuciem pokory westchnąwszy do Boga, żeby mu pomógł i utrzymywał jego wytrwałość, przyłożył usta do nóg Chrystusa, uklonił się wszystkim obecnym, którzy nań ze współczuciem spojrzeli, i przystąpił do pana Hebla, którego rękę uściskał i serdecznie mu za przymówienie się dziękował. Tak się skończyła sesja w Urzędzie starszych.

CHIL

## CHOLONIEWSKI STANISŁAW

(1791—1846).

W dziesięcioleciu 1840—1850 Kijów był ogniskiem literackim, skupiając, zwykle podczas słynnych kontraktów, grono pisarzy polskich z Wołynia, Podola i Ukrainy, którzy tworzyli t. zw. plejadę ukraińską; zbierali się tu Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, ks. Hołowiński, Kraszewski, Aleksander Przeździecki, Tytus Szczeniowski, Konstanty Swidziński i kilku innych. Należeli wszyscy do obozu konserwatywnego. Jedną z najświetniejszych gwiazd tej plejady był ks. Stanisław Choloniewski. Organem jej głównym był zachowawczy, a nieraz wsteczny, »Tygodnik Petersburski« J. E. Przeclawskiego. Ale ks. Choloniewski, chociaż zbliżony pod względem przekonań swoich do t. zw. »koteryi Tygodnikowej«, czyli »pentarchji« (Rzewuski, Grabowski, Hołowiński, Przeclawski, Sztymmer), w której rej wodził tryumwirat: Rzewuski, Grabowski, Hołowiński, a z Kraszewskim, przez lat parę należącym do tej koteryi, i Hołowińskim utrzymywał serdeczne stosunki, — trzymał się na uboczu, a nie podzielał ultrakonserwatywnych, reakcyjnych i klerykalnych zasad tryumwiratu, do »Tygodnika« nie pisywał i pisać nie chciał.

Stanisław Mysza Choloniewski pochodził z rodziny możnej, używającej tytułu hrabiowskiego, skolonizowanej z rodami arystokratycznymi. Był synem Rafała, miecznika kor. i Katarzyny z Ryszczewskich. Urodził się na Podolu, w dziedzicznym Janowie (w pow. lityńskim, nie daleko Winnicy), dnia 23 marca 1791 r. Matka odumarła go niemowlęciem: zginęła w płomieniach, od przypadkowo zapalonej sukni. W domu ojca, (którego wizerunek nadchowy z miłością w wspomnieniach swoich syn naszkicował), otrzymał wychowanie francuskie, to też języka ojczystego w dzieciństwie się nie nauczył i dopiero w latach dojrzałych, dzięki usilnej pracy, oswiadł nim należycie. Gdy wyszedł już z lat pachołęcych, kierownictwo nad jego wychowaniem objął

b, rektor szkół Winnickich, Jan Witwicki, ojciec również w Janowie urodzonego poety, Stefana Witwickiego, który później w pismach swych tak wytrwale przeciwko francuzomani w domach polskich występował.

W wieku młodzieńczym przyjaźnił się Chołoniewski ze sławnym uczonym, Janem Potockim. »Jedną z postaci, najpięrszą rolę grającą w mojej dziecinnej fantazji«, pisze w wspomnieniach swoich Chołoniewski, »była Jana Potockiego, krzącejca koronnego... Pierwszy kawaler maltański w purpurowym mundurze, z złotem, przeslicznemi haftami i szlifami, który przybył do Janowa... Z rodzicielską niemal troskliwością patrzył na moje prace szkolne i dalsze kroki mojej młodości. Zdawał się być członkiem rodziny naszej. Całe zimy w Janowie przesiadywał z furgonami ksiąg swych erudycyjnych... Tyle miał prostoty przy swej obszernej nauce, iż się nie wahał przybierać sobie za słuchacza swych żmudnych badań archeologicznych mnie, którym zaledwie 20-ty rok wieku liczył i wcale co innego podówczas miał w głowie. Czytał te swoje pisma przede mną, zakiem, skromnie i poważnie, jakby przed jakim członkiem instytutu paryskiego, a ja słuchałem z trwogą, jak student, który się lęka, aby go nie zapytano o pensję, której się dobrze nie nauczył.« (»Obrazy z galerii życia mego«. Str. 181—189). Wkrótce, w listopadzie 1815 r. losy kazały Chołoniewskiemu być świadkiem strasznej śmierci Potockiego w niedalekiej od Janowa Uładówce.

Studia uniwersyteckie odbył Chołoniewski w Wilnie, na wydziale prawnym; zaciągnął się następnie do wojska polskiego (Ks. Warszawskiego), wystawiwszy swoim kosztem chorągiew, której został porucznikiem; ale służba jego wojskowa niedługo trwała; wrócił do rodzinnego Janowa, zapewne na żądanie ojca, który marzył o dyplomatycznej karierze dla syna. Po ustąpieniu rozbitej w r. 1812 armii francuskiej, wysłało młodego Stanisława, w sprawach rodzinnych, do Petersburga; obraca się tu w salonach arystokratycznych, zawiązując stosunki w sferach wpływowych i wstępuje do loży masońskiej. W Janowie, dokąd po krótkim (6-miesięcznym) pobycie w stolicy Imperjum powrócił, postanawia, pod wpływem zapewne rodziny, rozpocząć zabiegi o przyjęcie do służby dyplomatycznej przy którejś z ambasad rosyjskich. W tym celu jedzie pod koniec r. 1815 do Warszawy, gdzie wówczas bawił cesarz Aleksander, a w roku następnym ponownie do Petersburga. Ale starania Chołoniewskiego odniosły tylko ten skutek, że został przyjęty do biura ministra spraw zagranicznych, Capo d'Istria, i otrzymał urząd kamerjunkerka dworu.

W czasie pobytu w Petersburgu dokonywać się zaczęła w Chołoniewskim przemiana duchowa — zwrot w kierunku religijnym; przyczynił się do tego w niemalym stopniu wpływ Józefa de Maistre'a, z którym w Petersburgu Chołoniewski obcował (zob. wstęp do »Snu w Podhorcach«), i Zacharyasza Wernera, głośnego romantyka niemieckiego, autora t. zw. Schicksalstragödie, wówczas już eksprotestanta

i księdza katolickiego, gościa w dworze Janowskim i niebawem kanonika honorowego kamienieckiego; pod wpływem Wernera zerwał Chołoniewski z masoneryą.

Ponowny wyjazd Chołoniewskiego do Warszawy w r. 1818, gdzie wówczas przebywał cesarz Aleksander, i starania jego o posadę dyplomatyczną przy poselstwie rosyjskiem w Paryżu, nie uwieczniono w pomyślnym wyniku; wrócił więc do Janowa, ale niebawem podążył do Francji. W Wiedniu obcował młody hrabia z Wenerem i redemptorystą O. Hofbauerem; w Paryżu uczęszczał na zebrania towarzyskie i literackie w salonach arystokracji polskiej, francuskiej i rosyjskiej; poznał Chateaubrianda; był prezentowany na dworze królewskim. Życie salonowe nie przeszkadzało jednak Chołoniewskiemu oddawać się studjom naukowym i uczęszczał na wchodzącą w modę w owe czasy konferencyje religijne. Poznał wtedy ks. Lamennais'go, ale wpływowi jego się nie poddał.

Więść o chorobie ojca zmusiła Chołoniewskiego do przyspieszenia wyjazdu z Paryża. W Wiedniu, gdzie się zatrzymał, otrzymawszy uspakajające listy z Janowa, poznał i zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Schleglem i zawiązał z nim później ożywioną korespondencyę. Odwiedził w Gracu przyjaciela Wernera, spędził z nim długie godziny na dysputach i w towarzystwie jego odbył wycieczkę do Wenecyi i Padwy.

Wróciwszy do Janowa pod koniec lata 1819 r. zastał ojca dogoryjącego. Po jego śmierci objął Chołoniewski zarząd Janowa i oddał się zajęciom gospodarczym, ale te nie odpowiadały jego skłonnościom. Pod wrażeniem obłóczyn siostry, Cecylii, która wstąpiła do zakonu Wizytek w Wilnie (1820), i jej szczęścia, dojrzał w Chołoniewskim postanowienie »zupelnego poświęcenia się Bogu«. Powiązawszy zamiar wstąpienia w Rzymie do seminarjum, udaje się w r. 1821 przez Kraków do Wiednia, aby się tu przygotować do przyszłych studiów teologicznych. Zbudzona w Krakowie, (gdzie poznał Woronicza), z uśpienia miłośność do ojczyzny uświadomiła w Chołoniewskim obowiązek udoskonalenia się w języku polskim, dawniej zaniedbanym; rozczułyte się też teraz w Skardze i Kochanowskim. Pobyt w Wiedniu przeciągnął się do r. 1824; w ciągu tego czasu, dla poratowania nadwątlonego zdrowia, letnie miesiące spędzał w miejscowościach kuracyjnych (w Karlsbadzie, Eger, Cieplicach). W Dreźnie poznał się z Goethem. Śmierć przyjaciela, Wernera, (1823) do głębi go poruszyła.

Przed ostatecznym wyjazdem do Rzymu wrócił jeszcze Chołoniewski do kraju. Aż do r. 1827 przebywał w Janowie, odbywając od czasu do czasu dalsze wycieczki, czy do Kamięcia, czy na kontrakty do Kijowa. Utrzymywał przyjacielskie stosunki z Henrykiem Rzewuskim, który niebawem miał zostać mężem bliższej kuzynki Chołoniewskiego, Julii Grocholskiej. (Mikołaj Grocholski, gubernator podolski, był jego szwagrem).



Wybrał się wreszcie Choloniewski na wiosnę r. 1827 w podróż do Rzymu, gdzie stanął pod koniec października tegoż roku. Jako kamerjunker cesarski i hrabia, miał on i w Rzymie, jak przedtem w Petersburgu i w Paryżu, wstęp do wszystkich salonów arystokratycznych i był na audyencji u papieża (Leona XII-go). W grudniu tegoż jeszcze roku wstąpił młody dyplomata do Akademii Duchownej (Academia Ecclesiastica). Dnia 1-go listopada 1829 r. wyświęcony został na kapłana.

W r. 1830 zbliżył się ks. Choloniewski u Ankwicwów i zaprzyjaźnił z Mickiewiczem, który z nim i z Henrykiem Rzewuskim, jak to wiemy z listu jego (z dn. 19 listop. 1830) do Odyńca (Koresp. I) najwięcej w Rzymie obcował. Ówczesny nastrój religijny w Mickiewiczu zbudził w znacznym stopniu ks. Choloniewski; pod jego wpływem poszedł poeta do spowiedzi i otrzymał od niego na pamiątkę dnia tego »Naśladowanie Chrystusa«. Jak głęboki wpływ wywarł wtedy na Mickiewicza, widać to z późniejszego listu poety z Drezna do Julii Rzewuskiej (żony Henryka), z dn. 28 marca 1832 r.: »...mnie braknie mocno ks. Stanisława. Słusznie pisał, że nie lęka się o trwałość naszej przyjaźni; ale przyjaźni jest za słabym wyrazem, mam dla niego wdzięczność i uwielbienie. Wiele mu winienem, wiele pociechy, wiele chwil szczęśliwych i nowy widok świata, ludzi i nauk...« (Koresp. Mick. t. IV, 115<sup>1</sup>).

Co do innych znajomości rzymskich, w bliższych stosunkach pozostawał Choloniewski z głośnym malarzem Overbeckiem i z słynnym kaznodzią, generałem teatynów, o. Ventura, z którym odbył wycieczkę do Sycylii. W lipcu 1832 r. otrzymał stopień doktora teologii, a wkrótce potem został szambelanem papieskim. Papież Grzegorz XVI pragnął zatrzymać zdolnego kapłana w Rzymie. Perspektywa przyszłych dostojestw nie powstrzymała jednak Choloniewskiego od postanowienia wyjazdu z Rzymu i powrotu do kraju, któremu odtąd pracą swą poświęcił zamierzył. Dnia 13 października opuścił stolicę papieską i podążył do rodzinnego Podola. W Medyolanie złożył wizytę Manzoniemu. W ostatnich dniach r. 1832 stanął w Janowie.

Rozpoczął teraz Choloniewski pracę nad »religijnem odrodzeniem Podola« — wszystkie siły swoje i zdolności poświęcił całkiem spełnieniu tego zadania; przezwano go też, z powodu tej gorliwej działalności apostołskiej, »podolskim apostołem«, a biskup kamieniecki, Mackiewicz, mianował go dziekanem katedralnym kapituły kamienieckiej. Z zamiłowaniem oddał się kaznodziejstwu; niebawem zasłynął jako mówca, po wygłoszeniu mowy żałobnej na pogrzebie Michała Grocholskiego, ojca żony Henryka Rzewuskiego. Mianowany kaznodzią przy katedrze w Kamieńcu, Choloniewski przebywał odtąd w tym mieście, na lato zjeżdżając do Janowa.

<sup>1</sup>) Listy Mickiewicza do Choloniewskiego zostały zniszczone.

Dla pokrzepienia pogarszającego się zdrowia, miesiące letnie w r. 1836 Choloniewski spędził w Odessie i używał tu kąpeli morskich; z Odessy, śladami Mickiewicza, odbył wycieczkę do Krymu. Poznawszy dokładnie warunki, w jakich się znajdowali katolicy, osiedleni w tak zwanej Nowej Rosji (zob. Chersońskiej, Jekaterynosławskiej i Krymskiej), częstokroć pozabawieni opieki duchownej, wygotował w r. 1837 dla general-gubernatora noworosyjskiego, hr. Woroncowa, memoriał w języku francuskim o potrzebach Kościoła katolickiego w koloniach krymskich, a dla poparcia tej sprawy udał się w roku następnym (1838) do Petersburga, ale starania jego nie powiodły się; jakby w rekompensatę za trudy i zawód, otrzymał natomiast nominację na kanonika-palatę katedry kamienieckiej.

W r. 1840 należał Choloniewski do deputacyi szlachty podolskiej, wezwanej do Kijowa dla złożenia hołdu cesarzowi Mikołajowi. W osobnym dzienniku opisał, jak zwykle dla siostry Cecylii, w sposób dosadny uroczystą prezentacyę cesarzowi szlachty trzech gubernii (podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej), świetnie charakteryzując wielkorządcę Bibikowa i szlachtę ówczesną. Po śmierci biskupa Mackiewicza (w styczniu 1842) kapituła kamieniecka obrała Choloniewskiego wikaryuszem kapitałarnym, t. j. rządcą diecezji, ale rząd tego obioru nie zatwierdził, kanonik bowiem nie był u niego *persona grata*; to też ominęła go infuła biskupia; mimo to pozostał administratorem nieurzędowym diecezji. Ciężka praca w trudnych warunkach, na stanowisku odpowiedzialnem, podkopała słabe już zdrowie gorliwego kapłana. Nie mogąc odbyć zaleconej mu przez lekarzy kuracyi w Gräfenbergu, z powodu odmowy ze strony rządu co do wydania mu paszportu zagranicznego, Choloniewski opuścił pod koniec czerwca 1846 r. Kamieniec, aby odpocząć w Janowie. Tu zmarł dnia 8 września tegoż roku, nie dokończywszy zaczętej w Kmieńcu parafrazy hymnu »Magnificat«, która miała być jakby testamentem dla rodaków. Zgasłego druha pożegnał serdecznym nekrologiem Kraszewski (w »Athenaeum« 1846, VI).

Apostolska praca w ostatnim okresie życia (1833—46) niewiele pozostawiała Choloniewskiemu czasu dla zajęć innych, wszystkie mimo to chwile wolne poświęcał literaturze. Jeszcze przed wyjazdem do Rzymu przetłómaczył słynne dzieło Lamennais'go: »Essai sur l'indifference en matiere de religion«, ale pracy tej nie ogłosił drukiem, język bowiem polski pozostawiał w niej wiele do życzenia; dopiero po studiach w Wiedniu i Rzymie owdlaął mową ojczystą i styl sobie wyrobił.

Przełożywszy szereg dzieł i rozpraw treści religijnej (zob. niżej bibliogr.), jakby dla nabycia wprawy we władaniu polszczyzną, (z tych niektóre wydał osobno), wystąpił Choloniewski w szranki literatury ówczesnej z artykułem, który przesłał Kraszewskiemu do »Athenaeum«; ukazał się tam bezimiennie w r. 1841 p. t. »Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych«. W roku

następnym (1842) »Athenaeum« pomieściło utwór, który rozgłosił nazwisko Chłonińskiego i odrzucił wynałóg w pierwsze szeregi pisarzy ówczesnych polskich. Utworem tym był »Sen w Podhorcach«. W postaci powieści fantastyczno-allegorycznej chłocze Chłoniński objawił w karykaturę przechodzącego romantyzmu, ultraromantyzm w literaturze i w życiu, występując przeciwko »rozhułkaniu« wyobraźni i uczucia. Był to utwór oryginalnie pomyślany, głęboki, pobudzający do myślenia, słowem niepopolity. To też wrażenie wywarł niezwykłe; krytycy wyróżnili go odrazu, tylko »Biblioteka Warszawska«, której tendencja utworu nie podobała się, napadła ostro na autora w imię hasła »sztuka dla sztuki«. Grabowski z zachwytem pisał o »Śnie« w »Tygodniku Petersburskim« i stawał Chłonińskiego jako pisarza na jednym szczeblu z Rzewuskim. Utwór ten doniosłością treści poruszył umysły; autor otrzymywał nawet krytyki listowne. Kraszewski zaprasza go gorąco do dalszego współpracownictwa w »Athenaeum«; Hołowiński, Grabowski, Rzewuski czynią zabiegi, aby pozyskać Chłonińskiego dla »Tygodnika Petersburskiego«; do pisania do tego pisma nie dał się Chłoniński namówić, natomiast z Kraszewskim wszedł w bliższe, przyjacielskie stosunki; posyłał mu od czasu do czasu artykuły do »Athenaeum«, odwiedził w Gródzku młodego pisarza (1842), stał się niejako jego protektorem; on to pierwszy wprowadził do salonów arystokracji naszej powieści twórcy »Poety i świata«, na jego prośbę pisze (1842) do »Pielgrzymki Ziemięckiej. Z Kraszewskim przez lat cztery (1842—46) aż do swej śmierci prowadził Chłoniński ożywioną korespondencję.

W kilka miesięcy po »Śnie w Podhorcach« Kraszewski pomieścił w swem piśmie (1843) artykuł, skreślony w formie listu do Redaktora, jako wstęp do »Dwu listów hr. Józefa de Maistre'a z r. 1820 do Jana Potockiego, krajczyca koronnego«; Chłoniński, z okazji Jana Potockiego, scharakteryzował tu dwa światy u nas — »salonowy francuski« i »niesalonowy rodzimny«; świetny charakterystyki Jana Potockiego we wspomnieniu p. t. »Prococtwo hr. Józefa de Maistre'a w Petersburgu, przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawzone w Uładówce r. 1844«, dla »Athenaeum« prawdopodobnie przeznaczonem, nie zdołał już autor za życia ogłosić. Pisma te, wraz z wzorowanymi na »Soirées de Saint-Petersbourg« (1821) »Wieczorami i przechadzkami Rzymskimi«, które się ukazały w »Athenaeum« już w kilka lat po śmierci autora (1852), świadczą o znacznym wpływie De Maistre'a na umysłowość Chłonińskiego.

W głośnym zjeździe w Cudnowie, w Rzewuskiego, w czerwcu r. 1841, (na którym roztrząsano sprawę założenia czasopisma, prowadzonego w duchu słowianofilskim, mającego pokierować opinią społeczeństwa polskiego na Litwie i Rusi), Chłoniński udziału nie wziął. Gdy po ogłoszeniu pierwszego tomu »Mieszanin obyczajowych« Bejły, koteryja Tygodnikowa rozprzegła się, a Rzewuski z Grabowskim ściślej się złączyli; gdy Grabowski wysłał do Bibikowa słynny swój

memoryał, (którego w 30 lat później ogłoszona broszura K. Krzywickiego jakby echem była), który wywołał takie zgorszenie w społeczeństwie polskiem na Ukrainie, wraz z programem założył się mającego dziennika polskiego, w duchu rządowym redagowanego, a Rzewuski próbował wciągnąć Chłonińskiego do tego przedsięwzięcia, autor »Snu w Podhorcach« do usiłowań dumwiratu »skrzywienia opinii narodowej« ręki przykładać nie chciał.

Pobudzony przez list, w którym Kraszewski wyraził swoje skrupuły co do wartości »pobożności« generała Kunickiego, jak ją Rzewuski przedstawił w »Listopadzie«, Chłoniński napisał »komentarz na dewocję p. Kunickiego«, który jako otwarty list do Kraszewskiego ukazał się w »Bibliotece Warszawskiej« w r. 1846 (p. t. »Dewocja p. jen. Kunickiego«). Wystąpił w nim przeciwko obskuranczkim poglądom Rzewuskiego, który chciał być bardziej katolikiem, niż teologowie katolicy, potępiał rozumowania, a bezmyślne praktyki dewocyjne jen. Kunickiego pochwalał; przytem nazwał »pobożność« Kunickiego »nabożeństwem habki kruchianiej, nie umiejącej swego katechizmu«, »stareką dewocją«, domawiając, że rozum ludzki jest tak samo darem Bożym, jak wiara, że nim zatem gardzić nie należy, że »istotę siemską, skazaną na bezwładność rozumu, odbarzać nazwą człowieka niepodobna«, słowem, że rozum z wiarą doskonale się godzić mogą. (Pogląd taki na stosunek wiary do rozumu głosił również Gołuchowski). Rzewuski nie dał jednak za wygraną i umieścił, w ironicznym tonie napisaną, namiętną replikę w »Pielgrzymie« (1846) Ziemięckiej, ale już Chłoniński na nią odpowiedzieć nie mógł, został się bowiem wkrótce z życiem.

To, co z pism swoich zdołał ogłosić drukiem za życia po »Śnie w Podhorcach«, nie wywarło już takiego wrażenia, jak ten utwór, pomimo, że były pomiędzy nimi tak niepopolite rzeczy, jak »Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej« (1843), w których w formie alegorycznego opowiadania, włożonego w usta profesora krakowskiego Szopowicza, wyszydza uroszczenia »czystego rozumu«, usławianie zachwiania wiarą, a więc filozofię niezależną od religii, jak »Artykuł nadesłany. Obraz z galerii życia mego«, ogłoszony (w Lipsku w r. 1846) przez Stefana Witwickiego, który w przedmowie podniósł wysoko ten »Obraz«, zestawiając go z »Poselstwem« Brodzińskiego i »Pamiętkami Soplicy«; z ironią przedstawia tu w nim Chłoniński, jak poziomu dzisiejsi Polacy różnych dzielnic i prowincji dawnej Polski pojmują to słowo »ojczyzna«, jak dla nich wymowne tłumaczenie znaczenia ojczyzny przez Skargę jest »ideologia«.

We wszystkim niemal, co Chłoniński utworzył, (niektóre rzeczy wyszły już po jego śmierci, w dwu zbiorach: »Pisma posmiertne« i »Obrazy z galerii życia mego«) uwidocznił się umysł niepopolity i wyobraźnia poetycka; uderza w nich nieraz niezwykłość pomysłu. Głębokie myśli i uczucia ubierał on najczęściej w formę beletrytyczną; utwory tej kategorii miały być jakby rozdzielniemi pa-

miętnika, napisanemi dla siostry Cecylii; nazywał je »wyjątkami z dziennika« lub »obrazami z galerji życia swego».

Wórd pisyarzy prowincji południowo-wschodnich b. Rzeczypospolitej — Wołynia, Podola i Ukrainy — w dziesięcioleciu 1840—1850 był Choloniewski niewątpliwie najgłębszym umysłem i najoryginalniejszym talentem.

## BIBLIOGRAFIA.

**A) Pisma**, wydane osobno: »Nauka przy pogrzebie JW. Michała Grocholskiego« (Berdyceżów 1838). »Narzędzia męki Chrystusowej przez ks. J. E. Veith... Tłumaczyl z niemieckiego ks. Stan. Choloniewski« (Wilno 1842). »Słowa nieprzyjaciół Chrystusa« (przez ks. J. E. Veith... Wilno 1843). »Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego, ułożona z dzieła włoskiego O. Karola Borgo, T. J. przez ks. Stan. Chol-go«. (Nowe wyd. Poznań 1874). »Sen w Podhorcach«. Wyciąg z dziennika życia mego. (Wilno 1842. Odb. z Athenaeum 1842, III). Nowe wyd. Kraków 1888. (Nowa Bibl. Uniwers.) z wstępem A. S. Olechnowicza. »Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej« Wilno 1843. (Nowe wyd. zob. niżej). »Artykuł nadesłany. Obraz z galerji życia mego« (poprzedzony listem Stefana Witwickiego do wydawcy). Lipsk 1846. »Odpowiedzi ks. Stanisława Choloniewskiego na dwa pytania: 1) Co znaczy słowo »postęp ludzkości« w duchu nauki Chrystusowej? 2) Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?«. »Słownik i róża« legiendi wschodnia. (Wilno 1847). »Pisma pośmiertne« 2 tomy. (Lipsk 1851). (Zawierają: »Wyjątek z dziennika życia mego, Treść pamiętników niektórych przyjaciół młodości mojej, Memoranda czyli żywot Stępolowskiego, Wody Krzeszowickie, Magnificat, Soliloquia pana Baltazara Radwańskiego, Wiersze, Wieczory i przedchadzki rzymskie«). »Obrazy z galerji życia mego«. Wydał ks. Jan Badeni T. J. (Kraków 1890). Zawierają, oprócz przedruku »Dwu wieczorów starościny Olbromskiej«, dwie rzeczy poraz pierwszy z rękopisu wydrukowane: a) »Potajemne usiłowania skrzywienia opinii narodowej w prowincjach naszych za pomocą peryodycznego piśmiennictwa«. (Dotyczy działalności w tym kierunku Rzewuskiego i Grabowskiego); b) »Proctowo hr. Józefa de Maistre w Petersburgu przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce r. 1841«. (Charakterystyka Jana Potockiego). »Opis podróży kijowskiej odbytej w r. 1840«. Z rękopisu wydał dr. Antoni J. (Lwów 1886). Odb. z Przew. nauk i liter. »Kazania«. Wydał ks. J. Badeni. 2 t. (Kraków 1888. — W czasopiśmie ukazały się: w »Athenaeum«: »Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych, przez kapłana katol. diecezyi kamieniecko-podolskiej« (1841, VI); »Wiersz Michała Anioła Buonarrotiego« w przekł. Cholon. (Sonet: »Pędząc

burzliwe morze łaknące zbawienia«...) (1842 III); »Do redaktora »Athenaeum« list pierwszy, jako wstęp do »Dwu listów hr. Józefa de Maistre'a z r. 1810 do Jana Potockiego, krajczyca koronnego«. Przekład z franc. (1843, I); »Wieczory i przedchadzki rzymskie« (1851, III); w »Pielgrzymie«: »Uwagi o stylu pod względem psychologicznym« (1842, III); »O wpływach racjonalizmu na tegoczesną literaturę i sztukę« (1842); w »Bibliotece Warszawskiej«: »Dewocya p. generała Kamickiego«. Wyjątek z listu do J. I. Kraszewskiego (1846, II, 451—478). — W rękopisie pozostały: »Ćwiczenia duchowne św. Ignacego« (1837) (w wyj.). Przekład Lamennais'a »O obojętności w kwestjach religijnych«; w r. 1821 wydrukował Cholon. jeden rozdział (jak twierdzi dr. Antoni J.) p. t. »Wstęp do dzieła o obojętności w przedmiocie religii«; książeczka należąca do rzadkości bibliograficznych. Przekład ustępów ascetycznego podręcznika hiszp. jez. Rodríguez'a. Przekłady: Traktatu o Aniołach z Summy św. Tomassa; Wykładu Pieśni nad pieśniami Tirinusa; Rocznicy 20 listopada 1837 Goerressa; Listu o Stolicy św. Lacordaire'a, i szeregu artykułów relig. z czasopisma francuskich i niemieckich. »Korespondencya w sprawie wychowania klasztornej pani«. »Dzienniczek podróży do Kijowa w r. 1827«. »Dyaryusz podróży z Kamieńca Podol. do Rzymu« (1827). »Dzienniczek podróży do Sycylii« (1831). »Dzienniczek podróży w głąb Krymu« (1836); wyjątki z tych dzienników podł. w dziele swoim ks. Badeni. »Considérations sur la prospérité morale des colonies de la Nouvelle Russie« (1837).

**B) O Choloniewskim** pisali: obszerny życiorys osnuty na materiałach rękopiśmiennych: korespondencyi, pamiętnikach i t. p. napisał ks. J. Badeni p. t. »Książd Stanisław Choloniewski« (Kraków 1888, odb. z »Przegl. Powsz.«) str. 380. Kraszewski: »X. Stanisław Choloniewski (Nekrolog)«. Athenaeum 1846, VI, (przedruk w jego »Okurzynach« Warsz. 1856, wyd. nowe, Lwów 1876). Dr. Antoni J.: »J. I. Kraszewski i ks. Stan. Choloniewski«. »Przew. nauk i liter.« (1878 i odb.). Tenże: »Ks. St. Chol.« Kron. Rodz. 1885 (życiorys wyjęty z poprzedniego artykułu, zmieniony). Tenże: »Z teki autografów. Listy ks. Ign. Hołowińskiego« (do ks. Chol.). Kron. Rodz. 1889. Tenże: »Z korespondencyi J. I. Kraszewskiego (Listy do Chol.)«. Niwa (1888, I). Tenże: Chol-go »Opis podróży kijowskiej, odbytej w r. 1840«. Przew. nauk i liter. (1886 i odb.). Tenże: »O. Klemens Hofbauer i ks. Zacharyasz Werner« (»Kron. Rodz.« 1886). E. Heleniusz: Pamiętki polskie z różnych czasów. Kraków 1882, t. II. (»X. St. Chol. i jego pisma mało znane«). Chmielowski: »Henryk hr. Rzewuski. Nasi powieściopisarze. (I, 1887, str. 196 i 206—209). Art. o Chol. w »Encykl. Kościelnej«. — O pismach Chol. pisali: Grabowski M. o »Śnie w Podhorcach« w »Tyg. Petersb.« 1842. Tenże: Korespondencya literacka II, 225—9 (o »Śnie w Podh.«). F. Zieliński o »Śnie w Podh.« Bibl. Warsz. 1842, IV, 618—622. Tyszyński: Rozbiory i kryt. I, 115—126 (o »Odpowiedziach«). Chmielowski: »Chol. St.« w Enc. powsz. ilustr.



Struve: »Historia logiki jako teorii poznania w Polsce«. (Warszawa 1911). Ka. Gabryl: »Idee filozoficzne Ka. Stanisława Choloniewskiego«. Ateneum kapłańskie. (1911, listop.). (Krafcowój sąd o utworach Choloniewskiego wypowiedział Edw. Dembowski w »Piśmiennictwie polskiem« 1845, str. 377).

### A) Sen w Podhorcach (1842).

(»Athenaeum« 1842, III).

Choloniewski uważa ten utwór poniekąd za rozdział z pamiętników swoich, dlatego dał mu określenie: »Wyciąg z dziennika życia mego«. W tej formie napisał i inne swoje utwory powieściowe. — We wstępie autor powiadamia czytelnika, że opowiadanie jego jest jakby stwierdzeniem myśli, którą w młodości swojej usłyszał w Petersburgu z ust Józefa de Maistre'a, że »samotność jest tylko dobra z Bogiem«. Powieść rozsnuwa Choloniewski w formie sennego widzenia, które miał mieć w starym zamku Rzewuskich w Podhorcach; przedstając je alegoryami, walkę, jaka się toczy w duszy młodzieńca, 22-letniego hr. Zygmunta, potomka Ossolińskich, między tradycją narodową i sumieniem a rozkiełnaną fantazją i namietnością, które w poezję polską doby romantyczno-bajronicznej i w ducha polskiego zaszezepił duch germański, romantyzm angielsko-niemiecki i filozofia niemiecka. Pierwiastki narodowe, dobre, uosobił autor w postaciach kanclerza Jerzego Ossolińskiego i hetmanów Stanisława Koniczńskiego i Rewery Potockiego, którzy się opiekują Zygmuntem; ducha obcego, niemieckiego, pierwiastek zły, który zatruł ducha młodzieży polskiej w pierwszej połowie XIX w., wcielił w postać Mefistofelesa, »szatana-Niemca«.

Podajemy początek rozdziału pierwszego.

**804)** Str. 11—61. Roku 18. wracałem z Galicyi na Wolyń i przybyłem na nocleg do Podhorzec. Ilekroć trafiło mi się przejeżdżać przez tę majątność Rzewuskich, zawsze mnie skorciło odwiedzić piękną kaplicę architektury włoskiej i stary zamek. Znany ci on dobrze ze swoich wielkich, niewygodnych, zimnych pokojów, wspaniałe marmurami ozdobnych, z sufityw obyczajem włoskim urządzonych i z rozmaitej swej staroświecczożyny. Była to późna jesień, dzień przykry, dżdżysty, prawdziwie listopadowy; lecz że dość wcześniej przybyłem na nocleg, udałem się do kaplicy. Ta była zamknięta. Przykro było patrzeć na jej piękną facyatę, już dość blizką upadku. Da-

lej poszedłem do zamku; lecz i ten był ciągle niezamieszkały. Zastalem na dziedzińcu tegoż samego starego burgrabiego, który mnie przed kilką laty wszędzie oprowadzał. Skoro mnie postrzegł, dobył z kieszeni pęk kluczów i otworzył drzwi od głównego wchodu. Luboć nie raz jeden oglądałem osobliwości pałacu tego, przecież nie miałem serca odrzucić uprzejmej posługi, o którąm nie prosił, więc udałem się za nim do zamku.

Przeszliśmy wolnym krokiem, nigdzie się nie zatrzymując, wszystkie większe i mniejsze komnaty aż do sali, w której, nie wiem, czy przypominasz sobie, znajduje się ów sławny okrągły stół z Oleska, na którym zaraz po narodzeniu się swojemu król Jan III był położony. Zachodzące za krwawy oblok słońce przykry rzucało blask przez okopcone okna na ściany czarnego marmuru. Przewodnik mój i ja nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia, bo on już kilką razy wypowiedział mi się był z wszyskiego o tym zamku, a ja wcale nie byłem w humorze rozmawiania, tak mi się smutne myśli snuły po głowie. Niedawno bowiem ojciec mi drogi przeniósł się do wieczności, a te marmury czarne przywiodły mi na myśl moją ciężką stratę. Tylkom raz zapytał burgrabiego:

— Dawno tu już panowie nie byli?

— Dawno, panie! — odpowiedział.

— Nieboszczyka p. hetmana nie znałeś, kochanku?

— Nie, panie.

— Ani pani hetmanowej?

— Nie znam jej, panie.

— A pana Wacława?

— I tego nie znam, bo ich noga tu nie postąpiła, od kiedy mnie tu na burgrabiego przysłano, to jest od lat dwunastu.

Więc już go dalej nie pytałem i jakeśmy przyszli, takżeśmy we dwóch wyszli z pałacu milczkiem, jak ludzie idący procesją na eksportacy jakiej. Okazawszy potem wdzięczność moją staruszce, wróciłem spiesźnie do kwatery mojej w gospodzie. Mocno zimnym wiatrem przetyję, po krótkim pacierzu udałem się na spoczynek.

Ale daremnie. Sen od powieki coraz dalej ulatywał, a mnie się po głowie poczęli snuć wszyscy mi znajomi Rzewuscy, z których niektórzy pomarli, a drudzy nie są w stanie ten zamek



od ruiny zachować. I myśl moja przebiegała po wszystkich starych zamkach polskich, które trafiło mi się w życiu widzieć; niektóre z nich zupełnie w gruzach, jak tęczyński i ostrogski, inne nawpół opuszczone, jak Ojców i Piaskowa Skala, albo rzadko zamieszkałe i psujące się, jak ten podhorecki. Od pałaców przeleciała potem do rodzin świętych Polski, a i w tych niemałe się ukazywały ruiny. I hetmanów koronnych i litewskich żadnego już nie było przy życiu. Ze starych wojewodów, kasztelanów i urzędników koronnych ledwie kilku byłby się dopytał po wszystkich częściach szerokiej Polski; a ja, który wówczas dwadzieścia kilka lat wieku liczyłem sobie, w młodości mojej znałem dobrze dwóch hetmanów, p. Branickiego i p. Rzewuskiego, i wielu jeszcze senatorów i urzędników wielkich dawnej Rzeczypospolitej. Króla tylko polskiego nie trafiło mi się widzieć, luboć jeszcze panował w dzieciństwie mojem, lecz nigdy tego nie żalował, od kiedym go pierwszy raz ujrzał na portrecie w hiszpańskim płaszczyku, jak komedyanta ustrojonego. »Wszystko to upadło i do grobu się schowało«, pomyślałem sobie — i dość było na to ćwierć wieku. Od starych panów polskich dalej jeszcze posunęła się fantazyja moja do młodych ich wnuków i prawnuków, których także niemało znałem. A tu jeszcze większe ruiny czyli metamorfozy, sam nie wiem, jak je nazwać. Zupełnie inny strój, inna mowa, choć niby to polska, inne zamiary, myśli, pisma, działania, luboć wszystkie po tejże samej ziemi blakające się. Lepsze czy gorsze, trudno wyrokować, — w czem lepsze, w czem gorsze, Bóg to jeden wie. Dość, że zupełnie inne, i na to dość było jednej tylko ćwierci wieku! I poczęło mi w wyobraźni senniej bardzo się coś płatać. Kiedy między innymi stanął mi przed oczyma hetman Wacław Rzewuski z brodą, co w Kaluzie Psalmy pokutnie w więzieniu, polskim rymem spisywał, a przy nim syn jego, także hetman, Seweryn, z peruką, we fraku żółtowigonowym, a za nim syn jego Wacław, emir arabski, który rad stroił się i modlił po turecku. Pan wojewoda kijowski, Franciszek Salezy Potocki, co nie tylko nie umiał po francusku, ale nawet w języku polskim, wcześniej przygotowane na różne matery przez własnego sekretarza listy, niby dyktował jemu, pociągając wąsa, a za nim prawnuk jego, młody hr. Choiseul, co lubo w Polsce się chował i rodził,

tylko po francusku mógł być dobrze od swoich ziomeków rozumianym. Albo p. w. kanclerz litewski, Lew Sapieha, sławny statysta i orędownik mądrego prawodawstwa, a za nim ks. Aleksander, Sapieha także, co w zawoju chodził i pozyskał<sup>1)</sup> obywatelstwo ateńskie wtedy, kiedy jeszcze Grecyja swobody wiadomej zażywała pod buńczukiem paszów tureckich.

Wiele takich i innych podobnych mar migalo mi się przez głowę. Jak tu było spać? Więc się przewracałem, krzakałem i gniewny byłem na siebie, że niepotrzebnie laził do tego smutnego pałacu podhoreckiego, który mnie takiej bezsensowności nabawił. Wtem wesele żydowskie poczęło się przesuwać przez ulicę, i dały się słyszeć cymbały, skrzypka i bębenek z dzwoneczkami, a że to było zdaleka, dźwięk ten zmieszany dziwnie jakieś wrażenie na mnie sprawił. Skrzypka fałszywą kwintą płakała niby nad bachurem moremornej<sup>2)</sup>, że on dotąd na Jerozolimę powędrować nie mógł; cymbały wesoło skakały, jak stare żydowice w karmazynowych ferezach po błocie, przed państwem młodem, a bębenek jak szatan z tego wszystkiego drwił się zdawał. Więc to mnie rozśmieszyło i uspokoiło drażliwość nerwów. Jeszcze przez kilka minut jakieś szczytki wysokich murów, ułamki baszt, jakieś odwieczne ogromne portrety różnych starych hetmanów, kasztelanów i urzędników koronnych uwiłajały mi się po głowie, a wszystkie niedokończone i spęłde, to tego, to owego kawał, jakby płatki jakie migwały się przed okiem, chciały się skleić w jedną całość, a nie mogły i póły się na powietrzu kołasały, póki na te wszystkie skłócone głosy, barwy i figury dobrze już snem obciążona powieka zapadła, jak kurtyna na scenę teatralną po ukończonym niedorzecznym balecie...

.....Oto obiciem starem pokryta ściana przy mojej głowie poczęła zwolna z węglów swoich się dobywać i bez najmniejszego loskotu coraz dalej a dalej odsuwać się, szarzcąc, nakoniec znikła zupełnie w cieniu, jako nie mająca już na czem się

<sup>1)</sup> Ks. Aleksander Sapieha wszystkim współczesnym znany pod nazwą *Citoyen d'Athènes*, równie zapalony miłośnik hellenickiej ziemi, jak hr. Wacław Rzewuski arabskiej; oba także przywieźli do swego kraju ślepe zamilowanie stroju i obydwaj zwiedzonych przez siebie kraje.

<sup>2)</sup> Wyrazy żydowskiego dyalektu, znaczą znakomitego rodu dziecię.

oprzeć; albowiem wkoło niej i wysoko nad nią obszerna wysoka komnata ukazała się, niepewnym jakimś światłem oświetlona, tak, że w niej z początku nic wyraźnie dostrzec nie było można. Pomyślałem sobie: »nie głupi ja przypatrywać się temu apartamentowi, żebym się wybil ze snu«. Lecz coraz wyraźniej przedmioty poczęły na jaw występować, i blask jakiś niemily przedzierał się do źrenicy mojej, lubo miałem powieki zamknięte; zniecierpliwiony więc, przez sen, rzekłem sobie: »Pewnie służący nie zagasił dobrze ognia na kominku, i jakaś tam głównia żarzy się i razi mnie oczyma, a ja chcę twardo zasnąć«. Ale i chłód jakiś, jak z wielkiego kościoła, z owej strony niby to otwartej dochodził do mnie, więc znów postanowiłem przewrócić się na drugi bok, ku stronie izby mojej karczemnej, mówiąc sobie: »nie chcę ja tego paradnego pokoju, wołę mój ciepły kątek«. Ale skusila mnie ciekawość przypatrywać mu się cokolwiek przed przewróceniem się na drugą stronę. I spojrzalem przez sen, a powieki były zamknięte. Miły Boże! cóżem zobaczył? Wielki, wysoki pokój sypialny, cały adamaszkim karmazynowym wybity. Po prawej stronie dwa staroświeckie ogromne okna, szczególnie okiennicami zaparte, nad któremi adamaszkowe firanki tegoż koloru były zapuszczone. Po lewej, wysoki z czarnego marmuru komin z zegarem kształtu antyków. Nad nim z niewielkich tafel układane zwierciadła weneckie, w ramy srebrne misternej filigranowej roboty oprawne. Z jednej strony kominą, bliżej mego łóżka, dwa ogromne obrazy od sufitu do podłogi ścianę zakrywały, z drugiej strony dwa drugie tejsze samej wielkości ukazywały się. Odźwierki okien, drzwi i podłoga były czarnym marmurem wykładane. Sufit z tafli sycyńskiej roboty, mocno pozłożony. Przy ścianie poprzecznej, naprzeciw miejsca, w którym się znajdowałem, stało łóżko staroświeckie z baldachimem i firankami jedwabnymi karmazynowymi, które podniesione były. Na łóżu nawpół siedział, nawpół leżał młodzieniec jakiś w stroju niedbałym. Przed nim stolik, na którym lampa, słabe rzucająca światło, i kilka leżało ksiąg rozwartych i papieru kilka arkuszy porzucanych. Zdawało się, że pisanie był zajęty. Wszystko to mi się dość niewyraźnie ukazało dla braku żywszego światła. Wtem na zegarze wybiła dziesiąta, głównia na kominie z trzaskiem wielkim prysnęła, przeraźliwym długim piskiem jęk-

nęła i tak się dzielnie zajął ogień, że cała komnata nagle jakby pochodniami oświetlona została. A mnie taka opanowała ciekawość, żem już nie pomyślał o przewróceniu się na drugi bok, tylko lepiej jeszcze przez sen oczy otworzyłem, a powieki były zamknięte. Chciałem przedewszystkiem młodzieńcowi się przypatrzeć, na łóżu spoczywającemu, ale nim tam doleciał wzrok mój, pomimowolnie zatrzymało go najbliższe dwa obrazy, obok kominą umieszczone. Pojrzą na pierwszy. Hetman w Stanisław Koniecpolski w całej swej osobie, w szubie aksamitnej czerwonej, sobolami podszytej i tylko w górze pętlą złotą spiętej. Spodem żupan popielaty bez pasa, także był złotym, lecz mniejszymi pętlami spięty od dołu; stał on przy stoliku z buzdyanem w rękę. Wzrost wspaniały, broda powiewna, ciemna, wzrok i cały wyraz twarzy zupełnie odpowiedny temu, co o nim wojsko jego mawiało: że pan Stanisław wprzód uderzy, nim wymówi. Przedni pendzel włoski. Malarz coś mu takiego włożył w usta, co oczywiście ostrzegalo, że to człowiek musi być przytrodnej mowy i popędliwy. Nabawiwszy się tym pięknym obrazem, już chciałem zwrócić wzrok do młodzieńca na łóżu. Ale pan hetman oczyma błysnął na mnie, cisnął je potem na swego malowanego kolegę i zdął się mówić: »Poznałeś mnie, patrz więc teraz na sąsiada, a nie tam, gdzie nie trzeba«, a uczynił to z tak groźną fantazyą, żem ani pomyślał o nieposłuszeństwie. Więc patrzałem, jak pan hetman kazał, na kolegę. Także hetman wielki, Rewera Potocki, stał obrócony twarzą do p. Koniecpolskiego, podobnie ubrany jak tamten, tylko że miał feryzę ciemno orzechowego koloru z pętlami złotymi, rysiami podszytą, a spodnią suknię kanarkowej barwy materyalną; oba mieli głowę odkrytą, a broda p. Potockiego więcej się srebrzyła wiekiem; trzymał rękę jedną spartą na karabeli; nie widać było przy nim buławy; oba także w złotych butach stali. Ale co za twarz u tego p. hetmana Rewery!! błada, wyschła, czoło zorane marszczkami, brew chmurna, obwisła, oczy ciemne, zapadłe, lecz pełne tajemnego ognia, usta cierpkie i przycięte. Podobne oblicze zdarzało mi się widzieć u wodzów pendzla Van-Dycka, niby ciche, spokojne i zimne, wszakże łatwo zgadnąć można było, że pod tym lodem wrą wulkany. Zdawało się mówić: »Tylko-no mnie waść zrób co nieprzyzwoitego, a zobaczysz«.

Patrzałem więc nań z większym jeszcze strachem, jak na p. Konicpolskiego. Najgorzej mi wzrok jego nękał, bo zdawał się mi wypalać źrenice poprzez powieki zamknięte; nakoniec ośmieliwszy się, rzekłem sobie: »Ej! nie będę na niego patrzył, i cóż mi zrobi!« Ledwie to słowa w duchu sobie powiedział, p. Rewera rzucił na mnie wzgardliwym okiem, a w tem spojrzeniu te zrozumiałem słowa: »Nie możesz wytrzymać wzroku odem, niewieściuchu, więc pocóżes tu przybył, patrz mi na tamtego — i skinął na obraz, na przeciwnej ścianie między oknami umieszczony, któregoś dotąd nie dobrze mógł dostrzec. Był to znowu rozkaz, któremu przeciw się ani mi na myśl przyszło.

To zaś było osobliwem w tym mimowolnym przeglądzie tej galeryi obrazów, że choć widziałem głos mój zewnętrzny nie obijał się, przecież za każdym którejkolwiek z tych postaci skinięciem, słowa odpowiednie wewnętrznie w duchu moim jak najwyraźniej brzmiały, lubo ja silnie uszy do poduszki tuliłem.

Więc *volens volens* zwróciłem oczy, gdzie mi kazano, i tem się pocieszałem przynajmniej, że p. Rewera Potocki pozwolił, abym mu się więcej nie przypatrywał.

Boże mój! cóż to za przesłiczny Polak!! (*pomyślałem sobie*). Także to był pan wysokiego wzrostu, wspaniała figura od stóp do głowy. Oczy miał ciemno błękitne i niewypowiedzianie szlachetnym sposobem wesołe. Wszystko w nich było, co tylko wielka dusza pozazdrościłaby mogła. Uprzejmość, wyrozumiałość, bystrość dowcipu, bez najmniejszego cienia obłudy, rozsądek, stateczność bez uporu, jakieś spokojne męstwo, z głębokich źródeł serca płynące, wszystkie te promienie duszy naprzemiany odbijały się w jego wzroku, jak w czystym zwierciadle, i wielki rzucały blask na wypogodzone czoło, a żaden z nich zbyt nie raził. Całe to oblicze zdawało się powleczone cichością serca, jakby jaką srebrzystą zasłoną. Inne rysy twarzy były także bardzo piękne. Czupryna podgoloną trochę, włos a ciemnego, także wąsy, broda niezbyt długa i nieco kędziorem wijąca się. Cera świeża, trochę ogorzala, lekki rumieniec, okazywały jeszcze wielką czerstwość wieku, lubo gdzieniegdzie srebrzył się włos na głowie i kolo usz wielce powabnych. Co się zaś tyczy sztuki malarskiej, ten obraz był najdoskonalszym ze wszystkich, w tym pokoju będących. Stróż

zaś był taki (równie bogatego w życiu mojem nie trafiło mi się widzieć, ani na obrazach, ani w istocie): Król kontusza był z czasów zygmuntowskich. Podobnie się nosił stary wojewoda Kieki, któregoś pierwszy raz widział r. 18. na pokojach u cesarza Aleksandra. Kontusz zaś tego pana na obrazie był koloru jak śnieg białego, w kwiateczki także białe wyrabiany z misternej jakiejś materyi, mnie nieznamojej, wiem tylko, że nie bławatnej, poly miał z przodu dobrze rozchodzące się, wyloty w tył zarzucone. Żupan karmazynowy z przedudownego blawatu perskiego rozlicznymi wzory i barwy mienił się; pas po żupanie tegoż samego koloru, z tyftyku perskiego wielkiej ceny Buty skórzane ponsowe, tak przychodzące do nogi i stopy, iż rzekłbyś, pończoszki jedwabne, podkówki złote. Lecz nadewszystko ozdoby z drogich kamieni biły w oczy i prawie raziły swym blaskiem. Wielki soliter jak orzech włoski błyszczał w spince u szyi. Z jednego boku kontusza wszystkie haftki były brylantowe, a z drugiego każdy guz była jedna perła uryańska między dwa brylanty osadzona. Guzy zaś żupana wszystkie były także wielkie dyamenty. Równej zaś wielkości kamienie jak klejnot w spince okrywały całą rękęjęś karabeli i czołkę pochwy, reszty bowiem nie można było dostrzec pod zapuszczoną połą. Dziwnie pięknie blask tych wszystkich brylantów odbijał się na czerwieni spodniej szaty. Na piersiach miał gwiazdę także z ogromnych soliterów. Zrazu nie mogłem dostrzec, jaki to był order, tak mi klejnoty wzrok omyli; kształt prztem gwiazdy nie był podobny do tych, które mi były znane. Potem, przypatrzwszy się lepiej, ujrzałem na krzyżu gwiazdy te słowa, także brylantami wysadzone: *Vicisti vince*<sup>1)</sup>, i przypomniałem sobie, że Władysław IV ustanowił order na cześć Niepokalanego Pożycia Maryi Panny, który, nie pamiętam już dla jakich powodów, nie przyszedł do skutku, bo dopiero król Sas utworzył order Orła białego, z godłem: *Pro fide, lege et rege*. Piękny ten pan na obrazie miał jedną rękę wspartą na pasie, a w drugiej

<sup>1)</sup> Napisał na krzyżu być miał: *Vicisti vince* (zwyciężyłeś, zwycięża), a na częściach łańcucha orderowego, z liter imienia Maryi kształtnie połączonych, składać się mającego: *Virtus unita* (Cnota połączona). Kwiatkowski, »Dzieje narodu polskiego za panów Władysława IV« p. 133.



trzymał lekką czapkę z białym drobnoułtkim barankiem, piękne pióro czaple w kokardzie dyamentowej osadzone było.

Taka to była powierzchowność jego. Jakże nie miała mię zachwycić, zwłaszcza po tej przerażającej postaci pana hetmana Rewery. Z tem wszystkimi i jego wzroku nie mogłem dobrze wytrzymać, nie żeby mi był srogim, lecz że tak mocno w serce moje zdawał się wpatrywać, iż przed nim nie tam ukryć nie mogłem. Więc niespokojny byłem i czułem przez sen, jak mi twarz płonie, policzki były jak w ogniu. A kiedy myśl taką chciałem przepędzić, to znowu oczy to głęboko do głowy mi wnikały i długiem pojrzeniem przepatrywały tam nie tylko wszystkie myśli moje, ale same nawet zawiązki myśli, i słyszałem je w duchu wszystkie jakieś wysłowione, na co sam nigdy bym był się nie odważył; coraz się więcej mieszałem, a przecie nie było w mojej mocy odwrócić od siebie tych przenikliwych oczu, lubo powieki moje były zawarte. Nakoniec pan ten wspaniały, jakby litując się stanu mego, westchnął i sam już wzrok zasmucony obrócił ku młodzieńcowi, którego z początku chciałem poznać, ale mi tego nie dozwolono. I wnet takowe w sobie posłyszałem słowa: »Nieboże! pragniesz widzieć tego tam spoczywającego młodego panicza, który nas tak wielką troską nabawia, bo waść pono także do jego cechua należysz. Patrząc więc, pozwałam. Być może, że cudzej przypatrując się niedoli, pomyślisz o skutecznem zaradzeniu własnej. Jeno życząc ostrożnie i przyzwolcie się znajdować i dobrą straż przy ustach postawić, bo waść tu jesteś w poważnej komitywie. Mniejsza o mnie (*i tu się uśmiechnął*), ale za panów hetmanów koronnych nie ręczę, tak się więc sprawuj, żebyś czego nie oberwał, mój bracie». Ubodły te słowa moją pychę, i począłem pod nosem sobie mruzcąc: »Ktoby tam na wasze gderania zważał!! a potem czy to ja nie śpię? czyż to nie jest sen i nie więcej?« Mocniej więc jeszcze przytuliłem twarz do poduszki i starałem się w tem przekonaniu utwierdzić, rozmyślając sobie, jakim sposobem takie widzenie nocne mogło mi się skleić w mózgowicy. Aha! już rozumiem, powiedziałem sobie. Portrety pp. Konecpolskiego i Potockiego taktusienkie znajdując się w sali pałacowej w Krzeszowicach, kolo Krakowa, tam bawilem więcej miesiąca i codzień przypatrywałem się tym pięknym obrazom, nie dziw

więc, że mi w fantazyi odżyły. Ale ten magnat polski cały w brylantach? Takiego obrazu nigdy nie widziałem. Wprawdzie cokolwiek doń podobnego znalazł p. Ossolińskiego r. 18. w Warszawie, ale tamten był młody, w mundurze strzelców konnych i zupełnie inny miał wyraz twarzy. Któż to być może ten Sarmata wspaniały? Ot, sen i mara i nic więcej, lepiej więc przenieść się na drugi bok i porządnie zasnąć!. Tylko kom miał to uczynić, głośne, głębokie westchnienie pomimowolnie zmusiło mnie patrzeć przed sobą i pojrzałem, lubo powieki były zamknięte.

Młodzieniec zerwał się z łoża i począł niespokojnym krokiem przechadzać się po pokoju, mogłem mu więc z blisko do brze się przypatrzeć. Mógł mieć lat około 23. Rysy twarzy były piękne, delikatne, lecz zniewieściałe. Włos jasno-żółtawy, rozczochrany, czoło zupełnie odkryte, brwi bardzo ciemne i skupione nad oczyma błado niebieskimi, i ta sprzeczność nadawała jego twarzy jakąś cechę dziwaństwa, był to, (iż tak powiem), wybitny rys kaprysu. W rannej odzieży, z piersią i szyją odkrytą, niepewne stawał kroki i zatrzymywał się często zamyślony, widać było zaraz, że to on tak głęboko przed chwilą westchnął. Porwał potem nagle lampę ze stolika, szybko postąpił do portretu, który po drugiej stronie komina trzeci po p. Konecpolskim znajdował się, i zapalił lampę argantową, przymocowaną do jego ramy, urządził ją w celu malarskim, żeby obraz w przyzwitoem sobie ukazywał się świetle. Co ja widzę? (*pomyślałem sobie*) wszakże to Chmiel, bohater zbudowanej Kozaczyzny, jak go zwał p. Kalinowski i wszyscy Polacy, co z nim na harc chodzili. Poznałem go zaraz po obwisłej czuprynie, kobuzim nosie i wąsie dobrze okręconym, bez brody. Takiegom widział na korytarzach wiśniowieckiego pałacu i w sieniach domu p. kasztelana Ryszczewskiego. Taż sama ciemno-granatowa, niedźwiadkami podszyta szuba, w której cały był jakby zagrzebany, tak że prócz głowy i trochę w górze ponsowego żupana, ani rąk, ani nóg nie można było dobrze dostrzec. I tu także, jak na innych jego portretach, zpodobła patrol niepewnym, siwem okiem, ponury jak zbójca, na uczynku złowiony. Nie lubilem nigdy tego watażki, lubo on był szlachcicem polskim, a przez niegodziwość niektórych panów polskich ledwie na bohatera nie wyrósł. Więc nie chciałem i teraz długo mu się przypatrywać.



Ale młody panicz z zapalem wzrok swój w niego wlepił i głosno się tak odezwał:

»Co to za geniusz! jakaż to przedziwna twarz! pełna głębokich dumań o wolności i oryginalnych pomysłów! On jeden zgłębił i pojął ducha ruskiej krainy, i zrozumiał jak go wskrzesić! ale się na nim nie poznali starzy nasi napuszani magnaci — waleczni durnie!!«

»Patrz, to był hultaj i zdrajca — nie bluźń!« Słowa te z pod podłogi grobowym, przeciągłym, podwójnym głosem wyszły, jak te, kterimi zmarły król duński na cmentarzu do Hamleta się odzywał. A choć ani oka ku portretom panów hetmanów nie ośmieliłem się zwrócić, jakis z ich strony przelatujący płomyk przekonał mnie, że to oni przemówili.

I zimny dreszcz mnie przejął.

Młodzieniec nie zdawał się słyszeć nawet tego, tak był zanurzony w swych myślach, lecz dalej postąpiwszy do czwartego, ostatniego z rzędu malowidła, podobną do tamtej przy nim lampę zapalił i rzekł: »Albo to? Co to za wielka kompozytka?« Potem lampę, którą w rękę trzymał, postawił na kominie, a sam odszedłszy kilka kroków, stanął z założonemi na piersiach rękami i patrzył na obraz z wielką uwagą.

Więc i ja tam patrzałem.

»Aha! to doktor Faust (*pomyślałem sobie*), rozmawiający z Mefistofilem. Ja znam ten obraz; jest on pendzla niemieckiego biegłego malarza, Schnorra. Widziałem go na wystawie malowideł w Wiedniu; tak, to ten sam, zapewne go ten panicz nabył. Jest to scena z poematu Goethego, w której Mefistofil z pentogrammatu czarnoksięskiego siłą, mocą, zaklęciem dobyty, ukazuje się w postaci znakomitego męża przed Faustem. Obie figury były naturalnej wielkości, w stroju XVI wieku t. j. w płaszczyku hiszpańskim i z potężną krezą. Faust w gotyckiej komnacie, zarzuconej alchemicznymi i guślarskimi narzędziami, siedzi przed stolikiem, hardzie z gniewem patrzy na zjawionego przed nim Mefistofila. Włos jego czarny, twarz piękna, rozumna, oko iskrzące się. Jedna ręka na stole oparta. Widać, że dopiero uderzył nią o stół z niecierpliwością namiętną; wszystkie żyły napięte drgać się jeszcze zdają w tej pięści, konwulsyjnie zwartej i jakby zakłętej. Całe piekło umieścił malarz

w tem żelaznem, zadartem, wyzywającym czole i w tej zaciśniętej pięści, tak iż za pierwszym rzutem oka Faust bardziej na szatana wygląda, niżeli przed nim stojący Mefistofil, ale przypatrzysz się lepiej, nic i temu nie brak. Równie pięknie ubrany w aksamity, stoi on niby pokornie, jak sługa przed panem, lubo zaraz poznać, że to kawaler wielkiego świata i lepszego rodu od pana doktora. Włosy miał mocno rude, plomienistego koloru, czoło pełne myśli głębokiej, rysy twarzy wszystkie najforemniejsze, jak na pięknych greckich posągach, wąsy i bródka hiszpańska tegoż koloru, co i włos; ale twarz blada i wymokła, wzrok zapadły, chytry, niepewny, jakimś skrytym ogniem żarzący się, jak u suchotnika, bardziej były jeszcze odrażające niżeli u Fausta; zato niewypowiedziany dowcip z lekkim wzgardliwym uśmiechem osiadł mu na uściech. Osobliwsza to rzecz, ale tak jest, nie inaczej. Tem połączeniem dwóch największych sprzeczności: ust sztyderskich i prawie wesolych, ze wzrokiem wygasłym od ponurej melancholii, szczęśliwie utworzył malarz oblicze, odpowiednie wyobrażeniu chrześcijańskiemu o duchach wiecznie potępionych. Przytem tak zaufał swej sztuce, iż się nie lękał, aby się na szatanie jego nie poznano, albowiem nie przydał mu ani koźlego kopyta, ani ukrył pod włosom rogu, dla wskazania prawdziwego rodu jego dyabelskiej mości; jedno tylko nieznaczne piekielne symbolum umieścił w stroju. Płaszczyc hiszpański spał mu pod szyją złotą klamerką misternej roboty, wyobrażającą wijącego się węża: tego więc pyszczek płomyki i iskry z siebie puszczał.

Młodzieniec, przed tym obrazem stojący, tak się nakoniec odezwał:

»Malarz, zapewne, pięknie oddał myśl Goethego, lubo kunszt jego nie ma dość potęgi do wyrażenia wszystkich jej odcieni. Do tego trzeba by pendzla Michała Anioła, malarza Ostatniego Sądu... To nawet, co jest najlepszem w tym obrazie, jest jedynie z natchnienia Goethego, jest własnością poety. O, twórca siło geniuszu! Ty jesteś jak bóstwo — z nicestwa wyprowadzasz istoty, światy niemi zaludniasz i nadajesz imię temu, czego nie było!«

— »Nie bluźń! Kto jest jak Bóg?« — jęknął powtórnie ow podziemny głos, i przedemną znów przeleciały płomyki od strony pp. hetmanów, a w górze trzy przeciągłe akordy harfy brzękły,

a przy każdym śpiew nadludzkiej słodyczy te trzy słowa za-  
nucił: Mi-cha-el<sup>1)</sup>, ale tak łagodnie, miękko i czysto, iż wszelka  
mnie trwoga wnet opuściła, i niepojęta radość ogarnęła duszę  
moją. Długo mi potem te prześliczne trzy akordy w sercu dźwię-  
czały, jakby echo śpiewów z wysokiej, bardzo wysokiej krainy  
płynących. I pomyślałem sobie we śnie: Boże mój! żebym ja  
tylko przebudziwszy się, nie zapomniał tych trzech Boskich to-  
nów i mógł je sobie na jawie wypisać, — i ta myśl mnie dre-  
czyła, a młodzieniec nic nie słyszał, ani zważał, tak był za-  
kochany i zanurzony w swych myślach. Potem tak się ode-  
zwał:

»Co to za wielkość w tym oryginalnym pomysle Göthego!  
Wolność niczem nieugięta ducha ludzkiego, jego wieczną niepo-  
dległość i szlachetne pasowanie się z formami i dogmatami za-  
starzałemi, tę wspaniałą odwagę targania więzów, chcących go  
skrępować, ażeby w nieograniczonej swobodzie wszystkie swe  
władze rozwinął i na gruzach przesądu tron wiecznej chwały  
dla rozumu dźwignął. Wszystkie te niemiętne cechy ducha  
i rozpięchłe promienie po obszarach ludzkości upadły, poeta  
w jedno skupił ognisko i tym płomieniem boskim, jak drugi  
Prometeusz, tchnął na swój utwór. Mefistofil ukazał się w świe-  
cie duchów prawdziwie żyjącą istotą. Göthe użył tylko do  
palety swojej farb, które mu dostarczyły poezje gminne wie-  
ków średnich, i utworzył prawego Lucyfera — światłości, w  
wiecznego wroga obskurantyzmu i jałowych myśli!! Taka to jest  
potęga jednej płodnej, oryginalnej, szczęśliwej idei, w jednej  
szczęśliwej chwili dla geniuszu!!

Wtem turkot powozu, zajeżdżającego przed dom, dał się  
słyszeć, a ja pomyślałem sobie: »Chwała Bogu! ktoś do tego  
panicza przybył z wizytą; przerwie mi jego niedorzeczne mo-  
nologii, które gniewają pp. hetmanów, a mnie wielka opada  
trwoga, ilekroć oni się odezwą.

Jakoż w istocie, w kilka minut potem pokryte drzwi ada-

<sup>1)</sup> Mi-cha-el. Słowa hebrajskie znaczą: Któż jak Bóg?

maszkciem i zupełnie dotąd przeze mnie niepostrzeżone, z trzaskiem się rozwarły i wszedł do pokoju rażnym krokiem dzi-  
wacznie przybrany młody człowiek. Był on twarzy wesołej i  
dość przyjemny, lecz wielkiem zdawał się być starszym nieco  
od tamtego panicza; w rękę trzymał maskę. Strój jego także  
był maskowy i najdokładniej naśladowujący ubiór Mefistofila na obra-  
zie, tak, że nawet o klamercie płaszczyka hiszpańskiego nie za-  
pomniano. Włosy, wąsy i bródka były równie jak u Szafrańca.

— Wszak to Miecielski? — zapytał młodzieniec, wahają-  
cym się idąc naprzeciw niemu krokiem.

Miecielski. Czyś mnie nie poznał odrazu, Zygmuncie?  
Przecież nie włożyłem jeszcze maski na twarz. A to przednia  
rzecz!

Zygmunt. Nie kładź jej wcale, Stasiu, tak będziesz le-  
piej mógł oddać charakter twarzy Mefistofila.

Miecielski. Dziękuję za łaskę, nie czuję w sobie naj-  
mniejszego powołania do zręcznego malowania tego arey-lotra  
i przejęcia się jego (jak ty mówisz) geniuszem. Przyznam ci się  
nawet, że ci nie mały dał dowód przyjaźni, kiedyś się zgo-  
dził na ten kostym tego obmierzłego szatana — Niemca.

Zygmunt (*śmiejąc się*). O cóż ci idzie? wszakże i u nas  
w Polsce nie inaczej, tylko po niemiecku musi być ubrany.

Miecielski. Właśnie to też wielkim głupstwem znaj-  
duję. Dlaczegoż my to nie możemy mieć naszego narodowego  
dyabła? Wy literaci ciągle rozprawiacie i piszecie o narodowo-  
ści, a jeszcze nie zgodziliście się na kostym dyabła polskiego.  
Nawet ten twój Mefistofil nie jest ubrany, jak powinien być,  
boć wiadomo, że dyabeł w kusym fracku niemieckim ukazał się  
naszemu Twardowskiemu, a ten jest w hiszpańskim płasz-  
czyku.

Zygmunt. Ty nie rozumiesz tego, Stasiu! Wprawdzie nie-  
którzy uczeni twierdzą, że Faust i Twardowski jedna była osoba,  
a nawet, że Twardowski był Polak i tylko w Niemczech przy-  
brał nazwę Fausta. Ale ja mam zupełnie inne zdanie w tym  
względzie. Przygotowałem w tej materii rozprawę. Twardow-  
ski nie był Polakiem ani Niemcem i nigdy nie istniał. Jest to  
wielki *mythus* XVI wieku, podobny do tych, które Niebuhr  
w pierwszych zakresach dziejów Rzymu wykrył — obraz wie-

dzy, pasującej się z zabobnem, przedzierającej się krwawą cieniową drogą do krainy światła i wolności, tak jak Mefistofel jest mythus już triumfującej wiedzy.

Miecielski. Proszę cię, dajno pokój tym twoim *mythosom* i susom twej szalonej imaginacyi.

Zygmunt. A co się tyczy kostyumu, Stasiu, wiedz, że hiszpański jest najwłaściwszy dla Mefistofila i Fausta, bo te wielkie wyobrażenia jasnie poczęły krążyć dopiero w XVI wieku, w którym wszyscy wyższej klasy ludzie hiszpański strój przybierali. Widzisz więc, że malarz nie popełnił żadnego anachronizmu. Niemiecki dyabel w kusym fraczku jest dopiero płodem późniejszym przesądów gminu.

Miecielski. A ja powtarzam, że wasza erudycja, panowie literaci, funta klaków nie warta, kiedy nie umiecie się zgodzić na kostyum dyabła polskiego. Stryj mój, pan kasztelan sandecki, wielki znawca i miłośnik starych gminnych powieści, zapewniał mnie, że wyobrażenia o dyablach w sukniach niemieckich zjawily się dopiero w Polsce wtedy, kiedy za Zygmunta nasza szlachta poczęła wysyłać dzieci do Wittembergu i innych akademii luterskich, z których potem oni niemieckie *nowinki* do kraju przywozili z sobą; lecz że przedtem dyabel polski inaczej zupełnie wyglądał w oczach ludu.

Zygmunt. Jakże naprzykład?

Miecielski. Oto był cały czarny, jak murzyn, rogą miał na głowie, twarz najohydniejszą, oczy jak dwa żarzące się węgle, pół łokcia języka czerwonego z pyska mu wisiało, koźle kopyta miasto stóp ludzkich, potężne pazury u palców, nakońiec długi, sążnisty ogon. I na to są niezaprzeczone dowody po starożytnych obrazach w naszych starych cerkwiach i kościołach. Drwij sobie, drwij! To był prawdziwie dyabel narodowy. Sto tysięcy razy charakterystyczniejszy, zabawniejszy i tęższego ducha od tego waszego, luterskiego, szwabskiego, wymokłego bakałarza, Mefistofila; (*potem spojrzawszy na siebie, dodał*) cierpieć tego kostyumu nie mogę i wolałbym już pójść na bal w stroju starego dyabła, z rogami i językiem karmazynowym.

Zygmunt. Nie gniewaj się, Stasiu, patrz, jak ci ten kostyum do twarzy. — To wyrzekłszy, powiódł p. Miecielskiego do zwierciadła, a potem podszedł z nim do obrazu Fausta z Me-

fistofilem i postosowawszy strój Miecielskiego z obrazem, rzekł wielce ucieszony: — Niczego nie brak, wszystko wybornie. Ruszaj teraz na bal do p. wojewodziny.

Miecielski. A ty, Zygmuncie, kiedyż się ubierzesz? Już późno. Gdzież jest strój pana Fausta? Nie widzę go tu nigdzie. Wszakże mieliśmy we dwóch, jak na tym obrazie, ukazać się na balu.

Zygmunt (*trochę zakłopotany*). Daruj, Stasiu, ja nie mogę dziś z tobą być na balu p. wojewodziny.

Miecielski. A toż znowu co? — niesłychany jakiś kapryś! Dlaczego nie mozesz być?

Zygmunt. Dlatego że... że... proszę cię, Stasiu, nie pytaj mnie o przyczynę, bo jeśli ci ją powiem, będziesz się na mnie gniewał.

Miecielski (*znieczepliciony*). Jeszcze gorzej będę się gniewał, jeśli mnie nic nie powiesz, i zaraz się rozbiore i położę się.

Zygmunt (*zatrzymując go*). Zmilił się, Stasiu, nie rób mi tej przykrości. P. wojewodzina dowie się, że ja ciebie odciągnąłem od jej balu, a ona ciebie tak kocha, i cała burza na mnie spadnie; ty wiesz, że stara moja ciocia nie żartuje, więc wołę ci już wszystko powiedzieć.

Dzisiejszego wieczora, przerzucając Pamiętniki Moora o Bajronie, napadłem na jedno dziwne jego zdanie. Powiada on, iż żadne najwyższe uczucie najwyższego ziemskiego szczęścia, nie może się zrównać z tem, którego umysł ludzki doznaje, kiedy tworzy nową zupełnie ideę, że kreacya umysłowa jest to maksimum uciechy intelektualnej, prawdziwa Boska rozkosz. Tak mnie to mocno wzruszyło i do przekonania trafiło, żem porzucił rozprawę moją o mitach, która już była na ukończeniu, poczęłem mocno dumać i wdychać za szczęściem, jakiego doznawać musi każdy twórca umysłowy; pośród słodkiej tęsknoty, duch mój spragniony, jak jelen czystego źródła, oczekiwał w skupieniu świętem, rychłoli błyskawica nowej jakiejś idei zapłodzi wszystkie jego nieśmiertelne władze; z takiego usposobienia umysłu chciałbym korzystać, pojmujesz więc teraz, Stasiu, że nie mogę iść na bal maskowy, któryby we mnie wszelką inspiracyę zniweczył.



Miecielski. Zygmuntku, Zygmuntku, zobaczysz, że ty kiedyś zwaryujesz! Szukasz po całych dniach i nocach, czegoś nie zgnili! Szukasz pomysłów nowych i jakichś rozkoszy intelektualnych! To nie nowina dla mnie. Albo to się już mało napatrzył na twoje dziwactwa. Zapomniałeś może, jak razu jednego w Wiedniu, kiedyśmy razem tam byli, kazales sobie sprowadzić jakiegoś Niemca z harmoniką, żeby ci w drugim pokoju przygrywał? a ty tymczasem brales pióro w rękę, słuchałeś z oczyma w sufit wlepionemi, jak Cagliostro, i przed sobą zawiesiles portret Mickiewicza na skale krymskiej, w burce, dumającego, przed nim umięściłeś lampę. A kiedyś cię pytał, co z tego będzie? odpowiedziałeś mi: nie przeszkadzaj! przygotowałem się przyzwyczajcie do przyjęcia natchnienia poetycznego; zamyślałem coś o Sonetach wiedeńskich, nakształt krymskich. I długoś tak siedział, aż się Niemiec znużył graniem, a ty siedzeniem. I cóż? przyszło natchnienie? Nie przyszło; tylkoś migreny dostał, dlatego, żeś się zbyt okurzył cygarami.

Zygmunt. Stasiu, gniewaj się i mów, co chcesz, byleś poszedł na bal do wojewodziny.

Miecielski. Albo w Dreźnie, pamiętasz? Pierwszy raz dostała ci się do rąk dramatyczna sztuka twojego poety piekielnika, Bajrona, *Manfred*, jeśli się nie mylę. Coś też ty nie wybrał! Ciągleś mi ją tłómaczył; bywało, i przez sen całe strofy z nieznośną afekcją recytujesz. Jednego razu tyleś narobił hałasu, żeś się musiał przebudzić; gniewam się, patrzę, a mój Zygmunt łązi ostrożnie po pokoju między szafami, kanapami i kominem, i zdaje mu się, że on jest pośród jakichś skał Alpów niebotycznych i niezgłębionych przepaści, jak w którejś tam scenie *Manfreda*. Służący przez zapomnienie koszuł na parowanie przy mojem łóżku zawiesił. A mój Zygmunt stanął przed nią, jak wryty, powitał ją jak piękną kaskadę, z góry Jungfrau spadającą, która miała potem przez jakieś gusła w bardzo piękną smutną panienkę się przemienić, jak w sztuce Bajrona; nuż do niej deklamować wiersze angielskie; mnie złość porwała; ściągnąłem gwałtownie koszułę, tak, że parawan grzmotnął o ziemię, a tyś to wziął za piorun; nieboże! jęknąłeś i poszedłeś napowrót do łóżka.

Zygmunt. Dobrze, dobrze, drwij sobie. Ty wiesz, że poeci

są jasnowidzący, jak lunatycy; widzą, chodzą, działają, żyją życiem wzniosłem, duchownem, wśród najciemniejszej nocy waszego prozaizmu.

Miecielski. I, jak puszczyki pocziwim ludziom spać nie dają. Gniewaj się, nie to nie szkodzi, bo ja choć raz muszę ci *verba veritatis*<sup>1)</sup> dobrze wyrecytować. Co mi tam po waszem poetyckiem życiu, kiedy w niem zdrowego rozumu niema. Co mnie tam po waszej wyobraźni, co jak szalona dziewczka po domu biega, gotowa nawet z trzeciego piętra skakać, dlatego, że gospodarz domu, rozsądek, bezwładny leży, jakby paraliżem ruszony. Ja wiem, że to wy się niby tem szczycicie, iż się nie poddajecie zimnym rachubom rozumu i rozsądek kładzicie w rzędzie jałowej prozy. A jabym się niewiedzieć o co założył, że Homer, wasz protoplasta, że Dante, Milton, Wirgili, Szekspir i wielu ich tam liczycie ojców poezji, byli w swej sztuce pisania najrozsądniejsi ludzie. Wszakże sami ich pod niebiosa wynosicie z głębokiej ich znajomości serca ludzkiego i stosunków świata, który nam przed oczy stawia, jakżeby ją posiadać mogli bez rozwagi i rozsądku? Prawdziwy, nie sztuczny, zapal poetyczny nie lęka się rozumu, owszem bierze go za mocną podstawę wszystkich swoich utworów. Tylko chwilowy szal rozruchanej fantazy nadrabia halasem, żeby pokryć niedostatek siły duchownej i zrywa skwapliwie więzy przyzwoitości i owdieczne prawa umysłu, zupełnie w tem podobny do ckiego szampana, którego pianka wysadza z traskiem korek z butelki, lechce trochę podniebieśnie, lecz w słabości sił nie podźwignie. A mnie się zdaje, że geniusz jest jak stare wino węgierskie, od którego naczynie nie pęka, lecz kto go w miarę umie zażyć, wzrasta na siłach i trzeźwy jest, nie doświadcza bólu głowy.

Zygmunt. *En vérité*, Stasiu, to ci się nieźle udało. Coś i ty zaczynasz być poetą.

Miecielski. Nie przerywaj mi. Alboż myślisz, że zapomniał, kiedy jednego dnia tak do mnie się odezwał: U naszych poetów niema dość mocnego, głębokiego pojęcia przyrodzenia, ledwie im wystarczy natchnienia na sielskie, gminne obrazy, które są tylko słabą kopią Bukolik Wirgilego, także

<sup>1)</sup> Słowa prawdy.



mdlego naśladowcy Teokryta. Takimi są nasi Zimorowiczowie, i cały nasz szereg autorów Ziemiaństwa. A wiesz dlaczego? bo my na polach osiedli. Kraj nasz płaski, a prócz Karpatów romantycznych, nie ukrywa w sobie obfitych żył kruszcowych, nie ma podostaku drogich metali, które, magnetyczną sympatją potężnie działającą na psychiczne władze człowieka, tak dzielnie podsycają w nim zmysł natury, iż on w ściśle teluryczne stosunki wstępuje z wielką duszą świata. Sam Novalis przyznaje, iż nowe w sobie samym odkrył poezyj źródła, kiedy począł zwiedzać kopalnie kruszcowe w Saksonii i oddał się nauce górnictwa. A *Manfred*, w którym tak szczytna, ponura sympatya natury przejawia się, nie byłże plodem dumań wśród olbrzymich Alpów? A Tieck, ów sławny autor *Genowefy*, nie do tejże samej szkoły należy? Oni to, prawdziwie, zaklęciem geniuszu oswobodzili z więzów martwej rzeczywistości ukryte potęgi duchowne w całem przyrodzeniu. Jakób Boehme pozyskał tę wieczną chwałę, że im pierwszy w tym zawodzie utorał drogę. Tacy wieszczę są prawdziwi magowie. Duch ich wciela się w światy widzialne i niewidzialne, płonie w ogniu, szumi w strumieniu, drży w bładym promyku księżycy, wzdycha w powietrzu zefiru, promieni w blasku słonecznym, krystalizuje się z rosą mrozem ściętą, igra świetnymi barwy tęczy, przemawia głosem piorunu, przelatuje na skrzydłach burzy po lśniących pierścieniach oceanu, w glazie pierwotnym polyskuje misternym blaskiem drogich kamieni; całą naturę do swego łona tuli, (wedle pięknego wyrazu Szyllera), jak kochanek kochankę, i udzielają sobie nawzajem wyższego życia. Ale takowe wyższe usposobienie umysłu pomyślnie się tylko rozwija w górzystych, przepaściowych krajinach, a na tych naszych równinach i lanach zbożowych wszystko martwe, nie nie przemawia do duszy prawdziwego artysty, i tylko materialny hreczkosiej może w nich znaleźć natchnienie do zbierania rubli.

Zygmunt (= niecierpliwością przerywając). Ale ja to zupełnie inaczej wyraziłem. Zmilił się, chciesz ze mnie zrobić dziwoląga, karykaturę.

Mieciełski. Nie przerywaj mnie. Mówiłes może lepiej dobranemi słowy, nie przeczę, ale przecie to samo. Już temu minęło lat kilka, i teraz może tobie samemu wydawać się dzi-

wacznem, coś wtedy znajdował najważniejszym pomysłem. Temu się nie dziw. Za parę lat wiele teraźniejszych ulubionych twoich pomysłów pójdzie pod lawę, a nowe na niej zasiądą, które z tamtych będą się natrzasać; to była kolej większych od ciebie literatów, więc się nie masz za co gniewać. Lecz kiedym ja w Dreźnie począł się niecierpliwie twemi bajronowskimi dziwactwami, toś mnie porzucił samego na kwaterze, a związawszy z sobą kamerdynera twego Francuza, pojechałes po miesiącu do Szwajcaryi saskiej, dając za przyczynę, że masz w głowie plan do poematu filozoficzno-religijnego, w gusicie Boskiej Komedyi Danta, i musisz ze skalami, kaskadami, przepaściastą naturą w magnetyczne stosunki wstąpić, nim rozpocznesz twe dzieło. I cóż z tego wynikło? Stałes z odkrytą głową przez całą miesięczną noc na wierchołku Baszteju<sup>1)</sup>, słuchałes świerszczów muzyki i patrzałes na drżący promyk księżycy póty, pókiś porządne ślinogorza dostał, a Francuz twój scyatkił, z których was Krejsyng ledwie po dwóch niedzielach wyprowadził. I dotąd niema ukończonej nawet pierwszej pieśni twego poematu! Co do mnie, przyznanej ci się, mój Zygmuntku, że gdybym miał powołanie na autora, piszącego nowe dzieła, i czułbym się po temu, tobym się sromał, jak żebrak po jałmużnę, wyciągać rękę za myślami do nocy miesięcznych, gór, harmonik, harf i obrazów szatańskich (jak ten twój, któryś dobrze osolił), i podobnych niemieckich sztuczek. Ja nie literat, mówię, co mnie zdrowy rozsądek wskazuje, i tak po prostu rozumuję: Kto chce pisać, musi mieć jakikolwiek koncept w głowie, bo jeśli dopiero zabiera się go szukać, to już źle około jego autorskiego kapitału. Każdy więc, posiadający wielki czy mały fundusz myśli, powinien dobrze się obliczyć, przepatrzeć swój skarbk, porządnie go ułożyć, oczyścić z pyłu, a do tej roboty zamknąć drzwi i okna, ażeby mu słowa lub złodziej nie zawadzały, i dopiero wtedy wystawić przed światem swoje *precyzoza* w pięknym układzie. A wy, co robiecie? Biegacie po górach, lasach i polach, polujecie na inspiracyę, jak na zająca, zupełnie podobni do owego generała, sławnego dystrakta w Warszawie, który będąc na

<sup>1)</sup> Basztej, jedna z gór Szwajcaryi saskońskiej, blisko Drezn, w przednie widoki obfita.

obluzie warty zawołanym do w. ks. Konstantego, biegał za tymi, co go w szeregach szukali, i wraz z nimi wielkim głosem sam siebie wołał po imieniu. Wy także wszędzie i wszystkich pyta- cie o samych siebie i opamiętać się nie możecie, tak wam mi- łość własna potężnie wzrok oślniła. Jak z początku powiedzia- łem, szukacie, czegoście nie zgubili, jak myślniwi po polu, a wie- cie dlaczego? bo także, jak myślniwi, wielkie jesteście próżniaki. Teraz pozwalam ci, Zygmuntku, dowoli się dąsać, bom co tylko miał na sercu przeciw tobie, wyszło jak oliwa na wierzch.

Zygmunt. Wielki z ciebie Kozak, gaduła i ignorant, mój Stasiu! to pewna, ale nie mam serca gniewać się na ciebie, dla- tego, że twoje nieukowstwo, przy naturalnym bystrym dowcip- ie robi cię śmiałym i naprowadza cię (czego bardzo zazdrosz- czę), na nowe pomysły. Ty w twojej naiwnej, genialnej ignoran- cyi, sam nie wiesz, jakie ważne poruszasz kwestye. Jak kokosz siemienia szukasz, a perły wygrzebujesz; wprawdzie nie umiesz tych oryginalnych myśli scyntyficznie rozwinąć, to nie twoja rzecz. Z tem wszystkiem wyznać muszę, że wpadasz na nowe idee. Ty sam nie pojmiesz może całego ich znaczenia; ale po- tarzam, zawsze to są iskry ducha.

Miecielski (*przerywając mu*). Dziękuję ci za komple- ment, z którego wynika, że nie rozumiem nawet tego, co mówię.

Zygmunt. Ty masz wielkie szczęście, Stasiu, żeś się nie przesylicz czytaniem. Jak ja to dobrze czuję i rozumiem, dlaczego książki przyprowadzają do rozpaczey Fausta Góthego. Oj, te na- rowy szkolarskie, że wyklepane retoryki i poetyki, a nade- wszystko te nieznośne traktaty logiki, ta zaraza sylogizmu, scho- lastyczne porównywanie, szykowanie myśli, trzymanie rozumu na pasku, jak niemowle głupie, te oschle Dekoloniusze, Locki, Kondylaki, Kanti i Hegle, wszystkie zgola tradycye szkolar- skie, klasyczne, romantyczne, czy filozoficzne (mniejsza o to) są mi na śmierć obmierzłe. Owe gapiawate zapatrywania się na- szych literatów na Homera, Wirgilego, Danta, Bajrona i Mickie- wicza, to wieczne żakowstwo jest zgubą nowych, oryginalnych myśli, szczeręj, naiwnej poezyi. Widzisz więc, Stasiu, że z tobą się w tem zgadzam. Pocięśnie powiedziałeś jedną rzecz, ale wielką prawdę, oto że za konceptami, jak je zowiesz, nie go- dzi się wyciągać ręki po żebracko, ani do ludzi, ani do natury.

Wiesz, czy nie wiesz! Milton to samo powiedział tym pięk- nym wierszem:

*The mind has its own place:*

*An can make a hell of heaven, and a heaven of hell.*

Umysł ma właściwą sobie posadę:

Może piekło z nieba, a niebo z piekła utworzyć.

Uważaj, proszę! Ty, Stasiu, nie literat, tylko dowcipny nieuk, a przeciw z jednym wysokim geniuszem poetycznym na jedną wpadłeś myśl, obaście to samo powiedzieli, lubo każdy wprawdzie po swojemu. To więc musi być prawdą, co się prze- jawiło w tak niepodobnych do siebie umysłach. Powiem ci więc, co już od kilku miesięcy przedsięwziąłem.

Miecielski. Cóż tedy? Zapewne nowe jakieś szaleństwo.

Zygmunt. Postanowiłem nie zgola nie czytać, do żadnej nie zajrzeć książki, ani nawet do wielkiej księgi przyrodzenia. Staram się wszystkie moje dawniejsze prace wybić sobie z głowy. Wszystkie tradycye i pamiątki literackie wygluzować z pa- mięci i tym sposobem na nowy, niebity jeszcze gościniec skie- rować bieg moich wyobrażeń.

Miecielski. Strzeż się, żebyś tym sposobem jeszcze w co gorszego nie zabrnął.

Zygmunt. Zaraz cię przekonam o pomyślnym skutku mojej metody. Słuchaj, Stasiu! Każdego wieczora, czasem w późną noc, albo przy szarzejącym się poranku, w chwilach, w któ- rych najlaczniej skupiać duch, daję mojej wyobraźni zupełną wolność i puszczam ją na zwiaady owej misternej krainy, w któ- rej kwitną nowe oryginalne pomysły, a przytem zamknawszy oczy przeciw roztartnieniu, mocno natężam wzrok i słuch we- wnętrzny ducha, żeby napredce mogły pochwycić, co tylko im będzie ukazaniem lub powiedzianem. Wyobraźni używam tylko jak służebnicy, żeby mnie te nowe myśli w przyzwoite barwy i szaty stroiła.

Miecielski. Więc jeśli duch twój czuwa, słucha i przy- jmuje to, co mu jest wewnętrznie ukazaniem lub powiedzianem (jak ty bajesz), toć już to nie będzie jego własnością, ani ory- ginalną myślą.

Zygmunt. Stasiu, czyś nigdy nie słyszał o *demonie* So- kratesa? W tej tradycyi filozofii pogańskiej głęboka myśl jest

ukryta. Wierz mnie, każdy umysł, nawet miernych zdolności, byle się odważył siły duchowne samobytnie rozwijać, posłyszysz w sobie głos owego przyjaznego geniusza, który ma jest od natury przydany, żeby mu jego własną objawił znacność; tylko trzeba przez samotne, śmiałe ćwiczenie ducha w krainie myśli usposobić się do rozmowy z *demonem sokratesowym*.

Miecielski. Panie bracie, pilnuj się, ażebyś, sądząc, że rozmawiasz z geniuszem Sokratesa, nie pokumał się czasem z prawdziwym jakim dyabelkiem, boć przeciwie uczono się tyle katechizmu, żebyś wiedział, że i czarci z myślami do ludzi przychodzą.

Zygmunt. To są facecye, Stasiu; ale słuchaj dalej. Owóż kiedy razu jednego zastanawiałem się, który z wielkich charakterów naszej historii byłby najprzydatniejszy na bohatera epopei narodowej, poczęły przesuwac się przed moją fantazją, jak cienie królów przed Makbetem, poważne postaci: Krzywoustego, Lokietka, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, króla Jana, Pułaskiego, Kościuszki, jakiś głos wewnętrzny szepnął mi do ucha: A Chmielnicki? to nic u ciebie? Powtórzyłem to imię w duchu, i wnet z tego jednego słowa, jakby z potężnego ogniska, prysnęły jak iskry nowe pomysły i wielkim blaskiem moją wyobraźnię rozświetliły. Chmielnickiego postać historyczna po raz pierwszy ukazała mi się w całym swem wysokiem znaczeniu, prawdziwie epiczna i narodowa.

Miecielski. Zmiluj się, co ty pleciesz; gadaj poprostu, jeśli chcesz, żebym cię zrozumiał.

Zygmunt. Więc poprostu ci powiem, Stasiu, że epoka Chmielnickiego nigdy nie była dobrze zrozumiana przez naszych kronikarzy i historyków. Oni w nim widzą tylko śmiałego watażkę, do rozpacz przywidzionego przez lotrostwa Czaplńskiego i nieużytość pana hetmana Koniecpolskiego. W wojnie nieszczęśliwej kozackiej widzą jedynie krwawy odwet uciśnionego ludu ruskiego dumą magnatów polskich, a ja wcale co innego w niej upatruję. W Chmielnickim objawia mi się nowa idea, potężna i śmiała, jak myśl każdego bohatera reformatora, idea odrodzenia upadającego od wiecznych waśni ducha lacickiego, dzikiem wprawdzie, lecz energicznym życiem Kozaczyzny.

— Czego się ty marszczysz, Stasiu? Powiedz mnie — nie zbiegowiskoż to lotrów i banitów upatrzyło sobie nad Tybrem, płową i mętą rzeką, (jak ją zowie Horacy), pagórek, a na nim swe szalase i tabory rozłożyło pośród starożytnie oświaty hetruryjskiej? a w kilka wieków potem pagórek ten stał się Capitolium, to jest stołeczną twierdzą, nie tylko Rzymu, ale całego świata starożytnego. Wszakże i Romulus nie był co innego, jeno watażka, Chmielnicki italskiej ziemi!! Wierz mi, nasze brodate senatory i hetmani nie pojeśli ducha jego.

Miecielski (*przyłumiając gniew, postąpił do zwierciadła, począł poprawiać swój strój i po kilku minutach tak się nakoniec odezwał*). Gdybym nie znał dobrze twego serca, Zygmuncie, i nie wiedział, że tam masz wiele pięknych rzeczy, jedno z dwóch jużby dawno nastąpiło: albo noga moja nie pozostałaby więcej w twoim domu, (bo ja mam także moje narowy), albo bilbym się z tobą, a wiesz za co? Oto za to, że ty chytrego opryszka, Chmiela tego zawołanego, chceś na bohatera promowować, wbrew wszystkim historycznym faktom. Przyznawałem mi nieraz, że ja choć nie taki uniwersalny literat, jak ty, Zygmuncie, z dziejów kraju mego lepiejbym mógł zdać egzamin od ciebie, i to żadna nie jest moja zasługa, bo mnie, leniucha, nieboszczyk ksiądz Łaski, profesor mój, Pijar, dobrze głodem morzył, żebym przynajmniej historję polską porządnie umiał. Ty, Zygmuncie, wszystkie filozoficzno-polityczne nowomodne brednie twoich francuskich i niemieckich broszurek kładziesz *par force* do głowy twego lotra, Chmielnickiego, i radbyś z niego utworzył to, co Bajron z Mazedpy zrobił, co jeden znany mnie i tobie znakomity poeta chciał zrobić z Zyski Czecha, to jest urojoną, nigdy nieistniejącą istotę — wielkiego człowieka z ukształconym umysłem, — a kroniki, niezaprzeczone dzieje i zdrowa historyczna krytyka w oczy wam krzyczą: fałsz i bajka! Za to wszystko bilbym się z tobą, ale ja tego nie zrobię, bo wiem na ciebie lepszy jeszcze sposób, żeby cię od tych bredni odstraszyć.

Zygmunt. Jakż naprzykład?

Miecielski. Oto pójde do ks. biskupa krakowskiego i twoje badania historyczne o Chmielnickim pod sąd jego poddam. Ty wiesz dobrze, że autor *Sybilli* jest patriarchą litera-



tury polskiej, nawet w oczach waszej teraźniejszej szkoły romantycznej, i bardzo wielki także miłośnik słowiańskich rzeczy. Niech wie, że p. Zygmunt obrał sobie za bohatera Chmielnickiego, zdrając, szlachcica polskiego, który nawet tę swoją nie-szczęśliwą wyższość nad watażkami, jego poprzędnikami, winien był edukacji polskiej. Niech się od p. Zygmunta nauczy, z jak wysokiego stanowiska zapatrywać się należy na bunt Kozaczyzny.

Zygmunt. To cóż? wyklnie mnie i spali na stosie? Nie boję się. Ten miły staruszek, dawny przyjaciel ojca, jest na mnie także dość laskaw. Nieraz pozwolił, abym w wielu rzeczach różnił się od niego zdaniem, przy całym szacunku, jaki wyznaje dla jego wysokich talentów.

Miecielski. Nie, on ciebie nie wyklnie, ani spali na stosie. Ale on ostrzeże p. hrabinę Żaluską i piękną jej siostrzenicę p. Zofię, Mazurkę, dewotkę, a nadewszystko patryotkę, jaki z p. Zygmunta miłośnik Kozaczyzny.

Zygmunt (*porывая się z łóżka i obejmując z twogą Miecielskiego, mówi*): Stasiu, zaklinam cię, nie rób mi komerażów. Ja wiem, że ty jesteś wielki fantastyk; jak ci co do głowy wpadnie, co się zdaje bardzo rozumnem, gotowys na noże pójść. Choćbym się z tobą bił, nie pomoże, bo choćbym ciebie zabił, przecie musiałbym uciekać od p. Zofii, kuzyny twojej, a jeśli-bym ciebie tylko poranił, to przez tobym ci ust nie zamknął, i tybys swoje zrobił, a w domu p. hrabiny uciekaliby ode mnie, jak od zarażonego, jak od Robespiera. Proszę cię, nie rób mi tej krzywdy, bo ja umrę. Chciesz, żebym na klęczkach ciebie błagał? i to uczynię, bo ja się nie wstydzę serca mego, a to serce nigdy przeciw tobie nie zgrzeszyło.

Miecielski. Ja wiem oddawna, Zygmuntku, że ilekroć z sercem twojem można się rozmówić, to nie przykra robota i interes można załatwić. Więc uspokój się, nic nie powiem, ale pod jedną kondycyją, *sine qua non*<sup>1)</sup>.

Zygmunt. Cóż tedy?

Miecielski. Oto, żebys nie tylko mnie nigdy nie rozprawiał o twoim bohaterze Chmielu, lecz żebys przestał nawet

myśleć o owej narodowej epopei, którą zabierałeś się dla niego utworzyć. Ostrzegam przytem, że jeśli mnie będziesz oszukiwał i trwał upornie w twoich marzeniach, to ci się na nic nie przyda, bo choćbys mi słówka o tem nie wyrzekł, ja przecie zaraz zgadnę, że ty o Chmielu dumasz, tak ciebie na wyłot znam i tak dobrze zmiarkowałem sobie pewny twój grymas misterny, kiedy przechodzisz koło jego portretu.

Zygmunt (*śmiejąc się*). Dobrze, dobrze, przystaję na wszystko, i bez tego nie mógłbym o Chmielnickim dłużej teraz myśleć, bo mnie pani Zofia podała nową myśl do noweli, którą przedewszystkiem piszę się zająć.

Miecielski. Musz sobie, Zygmuntku, nowele i co chcesz, tylko o epopei Chmielnickiego wara nawet myśleć. Daj rękę i słowo.

Zygmunt. Daję rękę i słowo.

I obaj przyjaciele rozśmieli się i wpadli w dobry humor.

## B) Opis podróży kijowskiej, odbytej w r. 1840.

(Opis podróży kijowskiej, odbytej w 1840 roku. Z rękopisu wydał dr. Antoni J. Lwów, 1886. Przewodnik naukowy i literacki).

Opisuje tu ks. Chołoniewski swoją podróż z Kameńca do Kijowa, odbytą w celu wzięcia udziału w powitaniu cesarza Mikołaja I przez szlachtę gubernii kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej, i prezentacyą tej szlachty przed gen.-gubernatora Bibikowa cesarzowi.

**805)** Str. 205—209. O ósmej z rana otworzyłem okna mojego pomieszkania, które wychodziły na bardzo piękną część miasta. Wtem słychać przeciągłe hura i dzwony: Pewnie car przyjechał, odzywam się do stróża. *O nie!* — odpowiada — *hura krzycał żołdacy, bo to smotr, a katakoły, bo prażnik w cerkwi. Jakoż był to tabelny fest (galowy dzień) i wszystko wkrótce ucichło.*

O dziewiątej z rana, nadziawszy trzewiki *in gratiam* pięknej pory i przyjazdu cesarskiego, puściłem się na przechadzkę. Ulice zwykle najludniejsze, przeszłymi dniami ciągle od karet

<sup>1)</sup> Bez której nic.



uczęszczane, teraz bezładne, nigdzie ani powozu, ani wózka, do-  
skonałe wszędzie milczenie, prawie tak, jak w Pompei, z lawy  
odkopanej, albo jak w mieście, przez które dżuma przeszła, tylko  
zdala słychać ze strony Ławry, słaby gwar, jak brzęczenie ro-  
jów; a po domach gimnazjalnych i pensyonach nieustanny  
szeszel szczerok, pucujących pokoje i meble. Po ulicach tu i ów-  
dzie ukazują się *budniki* (policjanci). Żelaznymi strugalcami  
zeszle błoto strugają po deszczu, co niedawno padał, a ponie-  
waż i dzisiaj co pół godziny prószy, więc i *budnicy* z wielką  
rezygnacją to przysiadają około domów, to *da capo* błoto ostru-  
gują i ulice pucują, i będą tak cały dzień robić, aż do przyby-  
cia cesarza; jest to wskazany im sposób przywitania Najj.  
Pana, — każdy po swojemu wita. Panowie w Ławrze przy szpa-  
dach, a *budniki* nad błotem przy strugalcach. Jużem był zapo-  
mniał, że cały Kijów od rana w fortecy skupiony, że dlatego  
miasto miało postać człowieka, co omdlał i bez ruchu leży,  
i tylko pulsacya serca daje poznać, że jeszcze jest przy życiu.  
Lecz kiedym przez ciekawość wstąpił do mieszkania Przeździec-  
kiego, zaraz mnie wyprowadził z błędu służący, zapytany prze-  
ze mnie, czy są panowie w domu. »Oho! (odpowiedział), wszyscy pa-  
nowie w Ławrze od piątej rano«. Ponieważ już dość długą prze-  
chadzkę odbyłem, i porą obiadowa zbliżała się, udałem się wprost  
do domu p. Elizy. Lecz i tu ta sama nowina. Pani z p. Józefem  
wyjechali na spotkanie cesarza.

Było już blisko trzeciej po południu. Prawdę mówiąc, by-  
łem i ja trochę ciekawy, lecz wkrótce pokonałem tę chętkę  
przekonaniem, że na zaspokojenie ciekawości nie było godzi-  
wego sposobu. Wtem nadjechała Eliza z synem. Ciągłe baczną  
w swej uprzejmości, nie zapomniała o niej i teraz. Pospieszyła  
na czas obiedni, lubo się narażała na utratę widowiska cesar-  
skiego. Wprawdzie nie była ona z damami w samej Ławrze,  
(co bardzo przyzwoltem z jej strony znalazłem), ale uprosiła  
sobie okno w pomieszkaniu p. Adolfa Grochołskiego, wychodzące  
na ulicę Nikolską, którą cesarz miał przejeżdżać z Ławry do  
miasta. Bardzom z tego był rad, bo tym sposobem i mnie od-  
kryła się sposobność towarzyszenia jej. Jakoż po krótkim obia-  
dowym posiłku pojechaliśmy spieszenie na oznaczone miejsce.  
W domu tym, prócz Elizy, Józefa i mnie, nikogo nie było, przed-

nia więc rzecz, bo każdy miał jedno zupełnie wolne dla siebie  
miejsce.

Było już blisko 4-tej, deszcz dobrze prószyl. Wtem wielki  
dzwon Ławry począł posepnie mruzczyć, jak niedźwiedź w bo-  
rze. Znak, że przybył Najj. Pan. Naprzeciwko nas był także  
porządny dom, a w oknach pełno kobiet. Inne zaś domy próżne  
i ulice puste, prawie nic ludu, prócz niewielu kacapów po skle-  
pach. Wielki *kolokoł* już nie mruzczał pod nosem, ale rzyczał jak  
niedźwiedź, a mniejsze jak ogary ujadaly; deszcz kropił jak na  
pomorszczyznę i coraz gęściej przelatowały przez Nikolską  
ulicę obywatelskie powozy, oficerskie *drożki*, a kiedy niekiedy  
zżajany policyant. Wszyscy, jakby ich kto gonil. Jużem był  
zniżył wzrok perspektywą. Tymczasem nagły ruch się wszczął  
między kupecykami przy sklepach, i prawie wszystkie karety  
poczęły wracać spieszenie, mówiono bowiem, że cesarz inną ulicą  
już przejechał. Otóż masz, pomyślałem sobie, szkoda moich  
oczów i perspektywy. Wtem jakiś za mną stojący sługa ozwał  
się: Jedzie cesarz! Dalej więc do okna i do perspektywy. I tak  
było rzeczywiście.

Ukazał się najprzód policmajster na zmęczonej szkapie,  
która ledwie już na *kurz-galop* zdobyć się mogła, a za nim  
8 koni pocztowych, z trzema furmanami, wolnym bardzo klusem  
ciągnęło szeroki kocz zielony opuszczony. Z lewej strony  
siedział, cały obwinęty w płaszczu wojskowym, mężczyzna sil-  
nej tuszy, z białą czapką na głowie, z prawej młodzieniec po-  
dobnie odziany, ku niemu zwrócony. Przytomna p. Eliza szybko  
rzekła: generał po lewej to cesarz, a po prawej to następca,  
i kilka razy pięknie z okna przejeżdżającym dygnęła. Cesarz  
ku naszym oknom obrócił się i do furażerki rękę przyłożył, cią-  
głe w tę stronę patrzal, i my na niego. Lecz za pierwszym  
zwróceniem twarzy jego ku nam, pomimowolnie od okna na  
kilka kroków cofałem się — ścisnąłem mnie coś za serce. Nie  
wiem dlaczego, bom jego rysów dobrze dostrzedz nie mógł, wi-  
działem tylko, że łaskawie przyjmuje ukłony z okien.

Przejechał cesarz, a za nim opodal wielkim pędem Bibli-  
kowi i reszta powozów obywatelskich.

**806)** Str. 339—346. ...Odbylem więc w życiu mojem rozmaite prezentacye solenne. W Tuileryach u Ludwika XVIII, u hr. d'Artois (później Karola X), u książąt Angoulême, Berry i ich książęcych małżonek. W zimnym dworcu u św. pamięci cesarza Aleksandra, w pałacu marmurowym u w. ks. Konstantego i wielkich książąt braci jego, Michała i terażniejszego monarchy naszego, Mikołaja. Na Watykanie u trzech papieży: Leona XII, Piusa VIII i Grzegorza XVI. We wszystkich atoli takowych położeniach, zwłaszcza kiedy pewna ilość osób razem przypuszczona bywała do oglądania oblicza panującego, jednego zawsze doznałem wrażenia, to jest, że człowiek najkorzystniej się ukazuje światu wtedy, kiedy czuje blisko siebie i nad sobą wielką potęgę. *Ecce numen!* albowiem wszystko w nim, mimo wiedzy jego, do porządku się układa, a to, co jest w nim dobre, na jasnie występuje. To doświadczenie jest, dla mnie przynajmniej, jednym argumentem, najpotężniejszym owego wyroku Pisma św., że *omnis anima sublimioribus potestatibus semper subdita est.*

...Już pierwsza, a cesarz od godziny zajęty był musztrą na placu przed fortecą, gdzie się odbywał przegląd 12-tysięcznego korpusu gen. Kaysarowa. Ponieważ wola jego było widzieć nas za powrotem z musztry, wszyscyśmy prawie pozbawieni byli tego wojennego widowiska, albowiem podczas kiedy zbrojne szereg występowaly przed monarchą na placu Marsowym, trzeba było naszym spokojnym obywatelskim hufcom na sali audyencyonalnej w przyzwoty sformować się ordynek.

Ale w tem też to był (jak to mówią) najgorszy sęk, bo jaki to będzie ten szyk obywatelski?

Wchodząc do sali audyencyonalnej, zastaliśmy już ją silnie zaludnioną trzema guberniami, wszystkich prawie stojących i witających się nawzajem, ale półgłosem. I już zaraz dostrzedz można było na twarzach owe niemal ascetyczne skupienie ducha, o którym wyżej się wspomniano.

Wśród rozmaitych mundurów cywilnych, ukazywało się niemal wojennych i dworskich, jako to: generałów *odstaenych*, oficerów gwardyi, szambelanów i kamerjunkturów. W drugim końcu sali, obok drzwi, prowadzących do apartamentów cesar-

skich, postrzegłem siedzącego senatora, Ilińskiego, *papucię* naszego. Zbliżyłem się do niego i powitałem z należytym uszanowaniem, co on łaskawie przyjął, a położywszy rękę na sercu, gwiazdą zakrytem, rzekł: *Je vous porte dans mon coeur, mon cher comte!* Napływ ciągły nowych mundurów nie pozwalał długo zabawić się konwersacyą z sąsiadem. Niektórzy z dawniej przybyłych zasiedli na kanapach i krzesłach, przy ścianach będących; większa jednak część przechadzała się po sali, wszakże cichym krokiem i w milczeniu. Był więc pewien ruch w tej masie obywatelskiej, ale tak nieznaczny i cichy, jak ruch i brzęk much, zamierzających pod zimę w pokojach, kiedy za ukazaniem się promyka słońca jesiennego, leniwie się snują, więcej lażą, niż latają, to jest, kiedy są najnieznośniejsze. Przecież ruch ten co chwila się powiększał, gubernie poczęły się mieszać z sobą. Nawet kijowska, która zaraz przy wchodowych drzwiach zajęła mocne stanowisko pod dowództwem Tyszkiewicza, zesła z planu. Już więc wszystko groziło przelaniem demarkacyi etykietalnych, a zatem spłynieniem wszystkich trzech stanów gubernialnych w jedno burzliwe jezioro, prawdziwe *mare magnum* szlacheckie, w któreby niechybnie przyszło zatonać samym nawet naczelnikom gubernii. Bacząc grożące niebezpieczeństwa znaki, począł każdy marszałek gubernski do swego koryta sprowadzać strumień obywatelski. Pierwszy Tyszkiewicz jął się tego zbawionego dzieła, i sam mocną zastawką stanął na poprzecznym swoim miejscu, a za nim poczęła gęstemi falami unosić się szlachta. Za jego przykładem poszli p. Wolyński i Podolski. Lecz ich usiłowania były, niestety, *opus plenum laboris et doloris.*

— Panie marszałku, gdzie mamy stać? — wola każdy do swego naczelnika gubernskiego i każdy nań następuje, a on wskazawszy jednemu gdzie, skoro chce równie pokierować drugiego, już pierwszy z swego miejsca wystąpił i dalej goniąc za marszałkiem, wola: gdzie? I tak jeden po drugim ściga marszałka, jak w ślepiu babkę; każdy pyta: gdzie? a on każdemu krzyczy: tu! i sam nakoniec od nich wszystkich ucieka, bo już sobie miejsca znaleźć nie może. Kręci się więc szlachta guberniami, jak nowe roje pszczoł, co do ula trafić nie mogą.

P. Wolyński zwłaszcza nie małą po sobie okazywał turba-

cyę. Co wprzód się pomknie jednym wymierzonym krokiem, to znów dwoma nazad się cofnie. Ciągłe na palcach chodził, a kiedy do kogo kilka słów przemówił, to nie patrzył nań, lecz ku ziemi spuszczał oczy, jakby się lękał roztargnienia w ważnej chwili. Nakoniec jako tako gubernie jedne od drugich się odstrychnęły.

Wtem papier jakiś się ukazał w ręku naszego p. Podolskiego. Szlachta około mnie odezwała się: «Cóż to jest, p. marszałku?» A on na to: «Spis mających się prezentować cesarzowi, proszę więc za mną, panowie!» Sulatycki, mój protektor, pierwszy raz zabrał głos: «P. guberni marszałku, gdzie ma stać ks. Choloniewski?» nie przewidując, że tym niebacznym głosem wielkie w naszych szeregach sprawi zamieszanie. Marszałek na tę interpelację niespodzianą zaintonował swoje hm! hm! potem rzekł: «Ks. hrabia? pan będziesz za mną stał, przed obywatelami!» «Dobrze, odpowiedziałem, gdzie się panom podoba». Na tę determinację p. Podolskiego powstał jeszcze żwawiej zacny mój prezes. — Książdzalat nie powinien stać za panem, lecz w pierwszym rzędzie, wyżej pana, bo wszędzie duchowieństwo nasze pierwsze miejsce zajmuje. Wtem szlachta kupą do tej dyskusji wtargnęła. «Tak, tak — nalegali na mnie — naprzód idź pan». «Panowie łaskawi, będzie jeszcze na to czas» — odzywam się z prośbą. Ale szlachta nie zważając na remonstracyę, w coraz gęstszy kłębek się skupia i napiera swą masą na p. Podolskiego, który ścisnawszy mnie za rękę, na wszystkie strony się uśmiecha i powtarza: «Tak, naprzód!»

Uprosiłem wrzescie nagłych, żeby *ad interim* zostawili mnie w drugim szeregu; jeszcze mieliśmy dużo czasu, cesarz o 3-ciej godzinie miał dopiero przybyć, a wtędy była druga.

Więc, Bogu dzięki, ucieli i przestali napierać.

Na nieszczęście w Przeździeckiego rękę błysnęła znowu ta fatalna karta prezentujących się. Sulatycki rzucił na nią bystrem okiem i zawołał: «W tym spisie niema księdza pralata, dlaczego to? To jest omyłka, p. marszałku!» — «A tak, dlaczego? odezwała się znowu szlachta, «dlaczego tam księdza niema?» I znowu ścisk, natłok, napieranie łokciami, wyciąganie szyi, głów, żeby w kartę zajrzeć, a dla mnie ponowiona niedola. — «Panowie — protestuję znowu — jakoś to będzie. Oto patrzcie,

Idzie ktoś, co tę rzecz wyjaśni». Jakoż w istocie wąską uliczką, którą przecie udało się marszałkom utworować między guberniami, ukazał się młody, rzutki, zwinny jakiś urzędnik kancelaryj Bibikowa. Był to Pisarew, figura rządowa (jak to mówią) nielada. Zwawo począł się zwijać, trzymając papier w ręku i bez ceremonii wywoływał każdego po imieniu, zaczawszy od marszałka gub., jak na *smotrze* wojennym. Jakoż ustawiwszy naprzód p. Podolskiego, a po nim w pierwszym rzędzie prezesa i marszałków powiatowych, dalej postępował, lecz niezmordowany Sulatycki zawrócił go i do mnie przywiódł, pytając go o miejsce dla mnie. Pisarew, niedługo namyślając się, wskazał mi je w drugim szeregu, za Przeździeckim, mówiąc: *Monsieur l'abbé se placera là!* i dalej pobiegł; ja dawno już tam stałem i cieszyłem się mocno, że przecie ktoś zrobił porządek, i o tem już nie będzie mowy — gdzie tam! Zaledwie się oddalił Pisarew, szlachta *item* zaczęła napierać na pierwszy szereg. Dożywa się niedaleko mnie długa szyja, a z niej głos: *Je ne comprends pas, pourquoi on ne place pas le Prélat sur la première ligne. Ce n'est pas en règle.* Ozbieram się, kto jest ten mój nowy protektor — i poznaję Butiagina, *quondam chargé d'affaires* w Paryżu, który grzecznym uśmiechem przywitawszy mnie, rzecze do drugich: *Nous avons servi avec le Comte au Département des affaires étrangères.*

A Podolanie bliżej mnie stojący nuż *da capo* wołać: — Idź pan naprzód! — Poczynam więc seryo już rozmyślać o reje-radzcie w ostatnie szeregi, i jakoś dość szczęśliwie mi się powiodło. Na wolniejszym tem miejscu powien staruszek, zupełnie mi nieznajomy, zdala od natłoku stojący, ponurego i surowego oblicza, począł mi się od stóp do głowy przypatrywać — widać było, że osoba moja była dla niego jakąś zagadką. Wrzescie przybliżywszy się, wręcz mnie zapytał dość sucho: «Skąd książdz tu przybyłeś?» «Jak to, odpowiedziałem, trochę zdekoncertowany — czy pan dobrodziej chcesz wiedzieć, skąd ja do Kijowa przybyłem?» — «A staruszek na to, patrząc na mnie z ukosa: «Pytam po prostu, skąd książdz jesteś?» «Z Janowa, mości dobrodziej». «Z Janowa — powtórzył, i dalej mnie już nie badał, lecz odchodząc, ciągle poizierał na mnie marszem z ukosa. Oczywiście, nie



podobała mu się moja biedna figura. Odtąd go z oczu straciłem i dotąd nie wiem, kto to był.

Już tedy, Bogu dzięki, stałem spokojnie na odwodzie, jak kapelan pulkowy w chrześcijańskim wojsku podczas bitwy, gotowy nieść posługi duchowne tym, których dla poniesionych ran z pobojowiska wynoszą; brakowało jeno do dobrego porządku felczera, albowiem, żart na stronę, atmosfera zewnętrzna tak była ciężarna od gromowych chmur, a w sali tak nieznośny upał od ścisła szlachty, niespokojnej na ciełe i umyśle, że się z tego wszystkiego utworzyło prawdziwe *sci-rocco*, nieustępujące w niczem rzymskiemu. Dodać i to należy, że w tej powodzi obywatelskiej, jak zwykle w gwałtownych zalewach, krzyżowały się prądy w rozmaitych kierunkach. I tak, jedno było potężne parcie szlachty na pierwsze szeregi napływającej, drugie boczne, silniejsze jeszcze, jednej całej gubernii na drugą, tak, że kijowska, jako liczniejsza, poczęła słabszą podolską z swej posady wyciskać, pomimo wszelkich remonstracji tej ostatniej. Prądy te ukośne i mnie zniecała w swe wiry porwały — a skoro Podolanie między sobą mnie ujrzeli, po staremu ozwały się glosy: »Ks. pralacie — trzeba panu iść naprzód!« — Kręcąc się na wszystkie strony, żeby powtórnie się zrejetrować, tymczasem podczas tej ewolucji słysząc głos tubalny ponad sobą: »Przypominam się panu, jestem Młodecki. Patrzę w górę — widzę, żem się popadł, jak pod baterję na bastyonie, pod ogromnego, barczystego obywatela, z niemniej potężnym nosem i marsowym wzrokiem. Jak mogę tedy kłaniać się pięknie, ale rejtrować się dalej ani pomyśleć, bo p. Młodecki stanął *fortiter* na przemyku i tak wraz ze szlachtą podolską powtórnie na mnie natarł. — Dlaczego jegomość nie stoisz w pierwszym szeregu? — Nie mogę, panie dobr, widzisz, panie, że już porządek przepisany. — Co tam przepisany (odrzekł p. Młodecki), kto tu może takie nieprzyzwoite porządki przepisywać? Jegomość idź naprzód! — Ale laskawy panie, zawierz, że mi i tu dobrze. — Tu nie o Jegomości rzecz tylko idzie, ale o jego stan — to na szykanę nam tylko zrobiono — powtarzam, idź Jegomość naprzód koniecznie! — I tak ciągle z marssem na mnie nastając, począł szlachtę popychać na pierwsze szeregi i póty nie przestał napierać, póki w istocie mnie pod

nie nie wcisnął, dobrze już przydużonego i zmiętego. Wtem Bibikow wszedł do sali dla przekonania się o dobrym porządku, zaprowadzonym przez Pisarewa. Trzyma i on w rękę nieszczęsną listę i każdego czyta pó imieniu. Kiedy przybył do naszej gubernii i miał już mijać Przedzieckiego i Sulatyckiego — p. Podolski bacząc, że szlachta z Młodeckim z tyłu go oprymają — moje stanowisko, sam już podskoczył do Bibikowa, zawrócił i przywiodł go do mnie, przystem śmiejąc się i przymilając, te tylko słowa dobył z siebie: *le prélat, hon, hon, le prélat!* a Sulatycki kończąc jego frazes: *V. E. voudra bien assigner une place au prélat*. Bibikow widocznie się wahał, lecz po krótkim namyśle rzekł: *Monsieur le comte, placez Vous entre le Maréchal Przedziecki et Mr. Sulatycki!* i dalej poszedł, a ci dwaj panowie porwali mnie natychmiast za ręce i nie bez wielkiej forsy z powodu ciąglego parcia, wszczępli mnie między swe łokcie. Otóż więc stoję jeden czarno odziany pośród całego tego długiego umundurowanego szeregu.

I przestała na chwilę burzyć się gubernia podolska, lecz nie przestała napierać na pierwsze szeregi, bo już zbliżała się chwila audyencji, a ciekawość przemogła inne uczucia. Za prośbą jednak Bibikowa, aby więcej placu wlośnego wśród sali zostawiono, posunęły się wszystkie gubernie ku ścianom.

**807)** Str. 431—438. Już trzecia wybiła i Bibikow wyszedł z sali, i wszyscy stoimy w pięknym ordynku, przecież nikt się nie ukazuje. W pierwszym szeregu nieznośnie cisno, nudno i cicho, a ja znowu pomyślałem sobie: Jak to ja dobrze pojmuję, rozumny Falstafie, te pamiętne słowa, wyzręczone przez ciebie w jednej ciężkiej potrzebie, w której pomimo woli, jak ja na tem miejscu znajdowałeś się, i było ci także bardzo gorąco i tęskno, jak mnie dzisiaj! *I would, it should be night and all'over!* Chciałbym, żeby noc była i było już po wszystkim, bo jakież najwspanialsze widowisko w świecie nie spełnia i nie stanienie, jakaż najpotężniejsza ciekawość nie zamrze w człowieku w tak fatalnem położeniu, w jakim my tu od trzech godzin znajdujemy się...

...Ale oto już zdała u wchodu sali błysnęła w lazurowym żandarmskim mundurze hr. Benkendorf, i wnet jak lekki zefiru



powiew przeleciał szmer po całej sali, unosił się coraz dalej, aż póki nie skonał na wargach ostatniego obywatela, stojącego na drugim jej końcu.

Już tedy jest cesarz i słychać, że zaczyna się prezentacya od kijowskiej gubernii, najbliższej wchodu, ale tylko słychać, bo dobrze widzieć osób nam, stojącym na drugim końcu, niepodobna, nie z przyczyny odległości, lecz z powodu blasku słonecznego, który z wysoka bijąc w okna przeciwne, wielki cień rzucił na cesarza i osoby przy nim stojące.

Z przyczyny tej nie można było nam Podolanom dobrze dostrzedz, jak się ta poważna scena odbywa. Ale czego oko nie potrafiło dokładnie rozemnieć, o tem słuch nas lepiej ostrzegał. Monarcha poważnym krokiem postępował, a przed nim Bibikow z listą w ręku. Za każdym nowym poruszeniem objało się o nasz słuch donośnym głosem przez Bibikowa wymówione nazwisko prezentowanego, a potem brzęk ostróg, oznaczający ukłon cesarski i nic więcej. I tak ciągle szła prezentacya. Dopiero, kiedy większą połowę sali przeszli i oba ku naszej gubernii zbliżyli się, począł znikać cień, padający na twarz cesarza, i mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Niema co mówić! Wspaniała i dość kształtna postać. Czolo wysokie i znacznie ogołocone z włosa, rysy wszystkie bardzo foremne, podobne do tych, które jego półpiersia nam oddają, pleć od słońca zupełnie ogorzała, a wyżej brwi kolor śniady, w kształcie promyka po białem czole wylatując, coś dziwnie fantastycznego przydawał do surowego oblicza. Kiedy z cienia zupełnie wyszedł na jasność słoneczną, która z naszego końca spotkała go, wówczas znów inaczej okazała się twarz cesarska. W cieniu wydała mi się tylko poważna i zasepiona, lecz w promieniu słonecznym cały jej wyraz rozmyślnej surowości na jaw się ukazał.

...Cesarz stawał naprzeciwko osoby prezentowanej, patrząc na nią spokojnie, lecz z twarzą wyżej opisaną. Bibikow dobitnie z karty czytał imię, nazwisko i tytuł osoby, a cesarz natychmiast w milczeniu się kłaniał. W mundurze był generalskim, przy szarfie i szpadzie, w prawem ręku trzymał kapelus z piórami. Cała postawa poważnego wodza, a prócz zwykłej u ludzi

wojennych rażności, niema w jego ruchach owego bystrego natarcia, tak charakterystycznego w wielkim księciu Konstantym.

...Cesarskich ukłonów takich naliczyłem do 60 z górą i wszystkie cierpliwie z równą dokładnością się odbyły. Z żadnym marszałkiem gubernskim nie rozmawiał, bo nie można rozmową nazwać słówka *znakom* (znajomy), które Przeździeckiemu przebaknęł. Nie można także rozmową nazwać kilku słówek, które kilku eksficerom gwardyi rzucił o ich przeszłej służbie. W ten sposób przemówił do Tytusa Starzyńskiego, a odchodząc od niego, zatrzymał się i zapytał go raz jeszcze po rosyjsku: »Wasza familia (nazwisko) Skarzyński?« Imię to generała wojny rewolucyjnej, przygrywało mu w uszach i w błąd wprowadziło, z którego p. Tytus wnet go wyprowadził, a cesarz na to: »Starzyński, *da, znaju* (tak, wiem) i dalej postąpił.

Rozmawiał zaś cokolwiek z pułkownikiem Poniatowskim, z Bolesławem Potockim i z senatorem Illińskim, a najdłużej z kupcami brodatymi, przy końcu prezentacyi. Bibikow, przedstawiając Poniatowskiego (przy którym wpród czterem jego synom z drugich gubernii kazał stanąć), wspomniął krótko o zasługach pułkownika około przemysłu krajowego, a cesarz począł po rosyjsku dość obszernie objawiać swoje zadowolenie; głos jego nie jest chrapliwy, jak u w. ks. Konstantego, wszakże bez żadnego dźwięku, wymowa prędka i niewyraźna. Cały zaś ten komplement był powiedziany obyczajem pana, który, chwalać nawet, upomina, a Poniatowskiego odpowiedzi w najniższych słowach wyrażał się.

To się wszystko działo o trzy kroki ode mnie. Dotąd miałem okulary na nosie i chciałem je zatrzymać, bo i stary Poniatowski nie zdejmował ich z oczu, lecz pomny na przestrogi, żeby wszystkiego unikać, czembym facyata moja zrażać mogła N. Pana, zdjąłem je w chwili, kiedy on się zbliżał do mego sąsiada Przeździeckiego. Po ukłonach z tym odbytych, cesarz dziwnie zręcznie przeniósł swe oczy do drugiego mego sąsiada, Sulatyckiego, tak, że nietylko o moją rewerendę, twarz, ale nawet o włoski mej głowy wzrokiem nie zawadził, a ponieważ Bibikow nie wywrzelił mego nazwiska, więc i cesarskiego ukłonu pozbawiony zostałem i tylko miałem przyjemność

dobrze się przypatrzeć całej cesarskiej osobie, kiedy on zwykłym milczącym ukłonem obdarzył mego sąsiada prezesa... Z Potockim było podobne przemówienie się, jak z Ponia-towskim, tylko krótsze i po francusku. W kilka chwil potem ukończyła się prezentacja gub. podolskiej, a cesarz przeszedł do wołyńskiej. Na jej czele stał, cały purpurowy, papiuńcio, bo żadnej nie było różnicy między barwą senatorskiego munduru a jego twarzą. Biedaczek, dla zupełnej słabości nóg, nie mógł stać, jeno oparty na ręku synów. Skoro cesarz przystąpił doń, powitał go dość grzecznie i podał mu rękę, którą papiuńcio chciał ucałować, ale cesarz bardzo szybko kilka razy mu ją umykał. Poniaważ gub. wołyńska naprzeciw naszej stała, więc tu już twarzy cesarskiej widzieć nie mogliśmy, bo z konieczności musiał do nas plecyma się obrócić. Słychać było te słowa tylko: *Comment ça? Monsieur le Comte! J'espère-rais vous avoir à dîner. — Mais Vous avez été indisposé. —* Ale za to od jaśniejącego karminem i radością oblicza senator-skiego, jak od szkła wypukłego odbijały ku nam promienie laski cesarskiej. Wszczęła się potem urywana, cichsza konwersacya, której dosłyszeć nie mogliśmy — a podczas której papiuńcio ciągle to dygał, to chciał całować umykającą przed sobą rękę cesarską — to nie mogąc się do niej dobrać, poruczał pocałunki zefirom, ażeby je doniosły do rąk cesarskich, to znowu wznosił miłośnie oczy i ręce ku niebu, to je kładł na sercu i widać było, że chciał na coś ważnego sprowadzić dyskurs, ale jak mnie mówili później bliżej tej sceny stojący Wołynianie, cesarz go starannie zagadywał nieznaczącami grzecznościami, a potem przeszedł do jego sąsiada, ks. Józefa Lubomirskiego...  
 ...Wracam do materyi. Cesarz kilka słów przemówiwszy do ks. Józefa Lubomirskiego, dalej postępował linią wołyńską i w kilka minut doszedł do kupców brodatych Kijowa. Z tymi najdłuższa była konferencya, lecz w tak wielkiej odległości, że nic słyszeć nie mogliśmy...  
 ...Trzeba także i o tem wiedzieć, że pomyślność była niespokojna i jak we wrzasku, póki cesarz pierwszej gubernii nie przeszedł. Lecz skoro spostrzegła, że cesarz przestaje tylko na lustracyi pierwszych szeregów w milczeniu, i wzrok jego nic w sali nie chce ani widzieć, ani znać, prócz osób jemu pre-

zentowanych, wnet się uspokoiła i nabrała owej fantazyi, która naszych braci w podobnych przygodach nigdy nie opuszcza. Jakaś wesola, dobrodusznna ciekawość, nie bez lekkiej ironii, malowała się na wszystkich twarzach — lecz ani cienia złego humoru albo skruchy pokornej, albo li też przytłumionej urazy — broń Boże! Przecięż była jedna chwilka, w której jeszcze szlachta spodziewała się, że ta audyencya weselej dla niej się zakończy. Miała jakąś nadzieję, że N. Pan, po ukończonej prezentacyi, do wszystkich mowę obróci — coś przecie nam powie — myślała sobie, bo jej to w głowę nie wchodziło, ażeby zgromadzenie obywatelskie trzech prowincyi mogło się obejść bez allokucyi cesarskiej. Ale N. Pan poważnym, rażnym krokiem, wystąpił na środek sali, trochę się zatrzymał, kilka razy na jedną i drugą stronę pięknym ukłonem pożegnał wszystkich, a potem śpiesznym krokiem udał się wprost do swoich pokojów. U drzwi tylko ścisnął raz jeszcze rękę senatora papiuńci i wzbraniając się od jego pocałunku, rzekł: *Adieu — nous nous verrons encore*, i opuścił salę, a za nim następnik (*następca tronu*) z Benkendor-fem... a szlachta chwilę tylko po sobie spojrziała i wszystkie trzy gubernie w jednym mgnienu oka powtórnie w jedno morze burzliwie się zalały. Wszakże pośród morza tego stanął mężnie nieporuszoną skałą pan generał-gubernator i zdawał się na to czekać, ażeby wszystkie fale i bałwany obywatelskie na niego natarły. Jakoż niedługo oczekiwał, albowiem wnet powódź szlachecka oblała go całego tak, że już trochę tylko czoła jego dostrzedz można było nad powierzchnią tego zalewu. Jednak stał na miejscu, niczem nie poruszony... i nie tylko nie dał się nacieraćającym tłumom z swego stanowiska wysadzić, ale nadto potrafił je przez chwilę na sobie zatrzymać. Oznajmił, imieniem monarchy, wiadome laski — dodał przytem, że się ma za szczęśliwego być onych ogłosicielem, że one są zadatkami większych jeszcze w dalszym czasie, że on, nakoniec, karmi w swem sercu błogą otuchę, że wszystkie trzy gubernie będą się starały na nie zasługiwać i t. d. Pierwsze szeregi trochę się zatrzymały przez ciekawość, ale drugie i trzecie, nie doczekawszy się konkluzyi allokucyi Bibikowa, poczęły wielkimi strumieniami wylewać się z sali na schody — jeno marszałkowie i urzędnicy pozostali do końca mowy Bibikowa, dla dokładnego wywiedzenia się o nagrodach.

Jakoż oznajmiono im zaraz ważniejsze: Tyszkiewicz został tajnym sowietnikiem, Przeździecki, ponieważ nim już był, otrzymał złotą tabakierę, lecz czy z wizerunkiem Naj Pana, czyli tylko z cyfrą brylantową, o tem wątpliwość pozostała w umyśle p. Podolskiego, bo niektórzy twierdzili, że wizerunek cesarski to byłoby za wiele dla marszałka gub. — on zaś znów mniemał, że cyfra, choć brylantowa, byłoby zamało. Lecz że tabakiera dla p. Podolskiego miała przybyć z Warszawy, lubo on wcale tabaki nie zażywał, o tem najmniejsza wątpliwość nie pozostała w całej gubernii podolskiej, i z taką opinią wyszła gubernia z sali.

Na schodach i przy ganku przyezkrania cesarskiego największa czekała nas praca, jak zwykle przy ukończeniu każdego wielkiego dzieła. Opresya niewypowiedziana, ale że wszystkie ciała nasze były dobrze przez trzy godziny przygniatane i przyplaszczane, więc jakoś i tę ostatnią prasę bez szwanku wytrzymałmsy, a siwose jabłkowitz prezesa szczęśliwie obu nas przywozły do kwatery bratowej.

### C) Z „Obrazów z galerii życia mego” (1841).

(„Obrazy z galerii życia mego”. We Lwowie 1890).

„Prorecto Józefa de Maistre’a w Petersburgu, przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce R. P. 1841.”

W „obrazie” tym, pisanym w r. 1841, Cholonewski daje plastyczną charakterystykę Jana Potockiego, znakomitego archeologa i badacza starożytności słowiańskich (1761—1815), który pisał wyłącznie w języku francuskim. Opowiada o stosunku swolm do niego, o strasnej śmierci jego i o spełnieniu się prorocstwa Józefa de Maistre’a (†1821), (jednego z przedstawicieli reakcyi katolickiej przeciwko zasadom Rewolucyi francuskiej), że syn Jana Potockiego zakaże swemu synowi czytać bezbożne dzieła dziada, i że obaj tak będą myśleli, jak on, Józef de Maistre, a nie jak „bezczyny” (infame) Jan Potocki. — (O Janie Potockim pisali głównie: M. Bałafnik: „Pisma historyczne” III (1843) i A. Brückner: „Jana Potockiego prace i zasługi naukowe”. Warszawa 1911).

Podajemy ustępy z charakterystyki Potockiego.

**808)** Str. 181—188. Wrażenia dziecinne są najmocniejsze; a lubo w dojrzałym wieku dokładniejsze być mogą zarisy obrazów imaginacyi, nie wyrównają one jednak kolorytem obrazkom tej pierwszej pory, kiedy to w fantazyi, jak na puszkach motylka, żaden jeszcze pyłek malowny nie jest starty. Postacie, które po raz pierwszy w tej epoce życia się ukazują, odbijają się na te pamięci w kształtach mniej lub więcej idealnych. Dzieci bowiem zdrowe, niezupełnie tepe i skażone, są jak wszyscy malarze, muzycy i tancmistrze. Pełno w ich głowkach kolorów, dźwięków i skoków; tylko, co u starych kunszt mistrzów jest porządnie uszykowanem, to w ich małym, nieucztałconym świecie, jak w kalejdoskopie, wszystko się wkółko kręci i migocze.

Jedna z postaci, najpierwszą rolę grająca w mojej dziecinnej fantazyi, była Jana Potockiego, krącejzycia koronnego; druga, zaraz przy niej, komisarza jego, Turka Ibrahima. Jakże bo to mogło być inaczej? Pierwszy kawaler maltański w purpurowym mundurze, z złotemi, prześlicznemi haftami i szlifami, który przybył do Janowa, był Jan Potocki. Pierwszy Muzulman, z fezem na głowie, w janczarskim aksamitnym ponsowym, misternie wyszywanym kaftanie, z gołą szyją i spodnią bielizną, jakby z pajęczyny wysnuta, a białą, jak śnieg, z kosztownym jataganem u pasa litego, z ogromnemi batystowemi szarawarami i papuciami kanarkowemi, który mi się ukazał przed oczy, a za którym tylko na obrazkach w ojażów wzdychałem, był komisarz p. Jana Potockiego, Ibrahim — i do tego jeszcze Turzek ten po francusku gadał, a grzechny był, jak najpierwszy szarman w salonie paryskim. Obaj zaś byli niepospolitej urody ludzie. P. Potocki, kiedyś mo pierwsz raz widział, mógł mieć lat 40 z górą. Rysy twarży jego były najforemniejsze. Człoło wysokie, pogodne, pełne szlachetnego blasku. Oczy szafirowe, wesole, bystre i uprzejme razem, uśmiech dobroci na powabnych ustach. W późniejszym wieku dopiero wzrok jego przybrał jakiś niemily wyraz osłupienia. Mniej na to zważano, albowiem był to pan powszechnie miany za uczzonego, czyli sawanta z profesyi. Jakoż zarobił sobie na ten tytuł długimi podrózami po Europie i na Wschodzie, rozmaitemi pismami w przedmiotach wyłącznie erudycyjnych, ja-



kiemi są badania początków plemion słowiańskich, opisanie etnograficzne niektórych krain wschodnich, a nadewszystko nowy jakiś systemat chronologiczny, nad którym całe niemal życie ślezał.

W wolnych chwilach od tych żmudnych prac i, jakoby dla rozrywki, zabawiał się belletrystyką. Tworzył fantastyczne, humorystyczne powieści. Osnuwał je na podaniach hiszpańskich obyczajów. Jeden z owych plodów genialnego jego pióra uważać można za zwiastuna owej powodzi utworów fantasmagorycznych *à la Hoffman*, ktermi świat literacki temi czasy zalany został. Znawcy zaś twierdzą, że w tym rodzaju, nie tylko dawnością, ale i wartością nawet romans Potockiego na pierwsze zasługuje miejsce...

Był on (jakby to dawniej powiedziano), wielce srogim przyjacielem nieboszczyka ojca mego, który mu się nawzajem wywiązywał staropolską uprzejmością i szczerością serca, nieraz mu prawdę po chrześcijańsku w oczy mówił i upominał w jego usterkach, jak przystało na sędziwszego przyjaciela. Potocki godzien był tej sumiennej przyjaźni. Szlachetne serce jego zawsze brało górę nad miłością własną. Wdzięcznie, z czułością prawej duszy, przyjmował z ust ojca surowe częstokroć przestrogi. Nieraz po takowej przyjacielskiej *exproba-cyi* na cztery oczy, przychodził do nas dzieci i z wesołą twarzą mawiał: Papa wasz dobrze mnie wylał — i niesłychane rzeczy mnie mówił.

Wszakże pierwszą, główną przyczyną i niejako źródłem wszystkich tych anomalii ducha jego był liberytynizm m myśli, lekceważenie wielkich prawd Chrystyanizmu, owe Cholera morbus XVIII wieku, które niemal wszystkie umysły tej epoki, jeśli nie przypawilo o zgon duchowny, to przynajmniej zaraziło nieuleczoną odrętwialością, wycieńczeniem żywotnych sił duszy. Nie dziw więc, iż nieb. ojciec, który do śmierci przechował w całości wiarę staropolską, liczne miał powody do sprzeczki z Janem Potockim, lubo wszelką oddawał sprawiedliwość szlachetnemu jego charakterowi.

Ojciec mój po prostu, (jak to mówią), zapędzał go do kościola i nastawał na zerwanie pewnych nieprawych stosunków, nie wdając się w żadne kontrowersye uczone. Potocki z nim nie drwił, nie mędrkował, lecz, jak mógł najskromniej, wykręcał się z podobnych przepraw. Niekiedy tylko w rozstargnieniu, z zwykłym osłupionym wzrokiem, nakształt aktu strzelistego, wypuszczał taką protestacyę: »Kochany sąsiedzie, jestem uczonym!« (*Mon cher Voisin! je suis un Savant!*) To było z jego strony niejako przypomnienie jego profesyi, która niyb miała za usterki odpowiadać; jak gdyby, naprzykład, rzemieślnik obuwia protestował się: Szewc jestem, cóż dziwnego, że mnie widzisz pijanym? Ale ojciec inaczej to uważał i mawiał do nas, dzieci: On mi powiada, że on *Savant* — a to jest tylko pycha. Szkoda człowieka!

Str. 192—196. ...Roku 1815, nie pamiętam którego dnia, miesiąca listopada, albo to po moim z Warszawy powrocie. Siostry podówczas zimę przepędzały w Wiedniu z szwagrem moim, Grocholskim, i tylko ciotka nasza, Budziszewska, my dwaj synowie, kuzyn nasz, X. Konstancy Czetwertyński, i kilku przyjaciół domu, składaliśmy towarzystwo rodzinne przy oju w Janowie. Już od kilku niedziel dochodziły nas wieści z Uladowki o niedobrem zdrowiu p. Jana i atakach jego podagrycznych. Zbierałem się więc go odwiedzić, tem bardziej, że różne niedorzeczne pogłoski o nim krążyły po sąsiedztwie. Między innymi, jakoby on, niedawno powróciwszy z Krzemieńca, dlatego zachorował, że jego dzieło chronologiczne, w drukarni krzemienieckiej częściami wylcane, miało być w proch obróconem potężną krytyką erudytych Krzemieńca! *Risum teneatis amici!* Krzemieńca! który od początku założenia swego żadnego znakomitego filologa łacinnika, jakim był Naruszewicz, Piramowicz, a nawet Dmochowski, nie był w stanie ukazać, a cóż dopiero helleniste, orientaliste albo archeologa?

Sam Potocki wdzawał mnie do siebie tego dnia dość wesołym biletem. Jakoż podałem myśl kuzynowi memu, Konstancemu Czetwertyńskiemu, zabawienia się trochę łowami z chartami po drodze Uladowieckiej. Po rozrywce myśliwskiej mieliśmy konno odwiedzić sąsiada chorego. O trzeciej po południu na koń wsi-



dliśmy. Wyjeżdżamy na groble, prowadzącą do Uladówki. Jakis zadyszany oficyalista biegnie przeciwko nam także konno. Był to koniuszy p. Potockiego. Nie dał nawet nam czasu zapytania się go, co się z jego panem dzieje — tylko, dopadłszy do nas, chrypliwym krzyknął głosem: »Nasz pan hrabia dopiero co się zastrzelił! Niech panowie zmilują się i prędzej przybywają. P. rzadca po strzale, wpadłszy z ludźmi do pokoju, zastał pana z roztrzaskaną głową rozciągniętego na łożu; — lękając się odpowiedzialności, opieczutował pokój, który bez takowych, jak panowie, świadków, odemkniętym być nie może... — Na te słowa mój kuzyn i ja oniemieliśmy, przerażeni zgrozą, a pojrzwawszy po sobie chwilkę, rzekliśmy pospolu: »Niema co robić, trzeba jechać«. I dalej w konie.

Kiedysmy przybyli do Uladówki, już dobrze zmierzchało, jak zwykle w krótkich jesiennych dniach. Znaleźliśmy w pierwszym pokoju rządzącą oficyalistami — wszyscy bladzi, nieruchomi i milczący. Podali świece, bo już noc była. Ukazała się oczom najprzód okropna pieczęć, na drzwiach pokoju sypialnego świeżo przyłożona. Prawdziwa pieczęć grobowa, lecz nie zwiastująca wesołego zmartwychwstania. Zerwano pieczęć. Już drzwi otwarte. *Voi ch'entrate, lasciate ogni speranza!* Kto pierwszy wejdzie? »Idź ty, bracie, pierwszy — ożwał się do mnie wzruszony Czetwertyński. — Tyś był jego przyjacielem!...« Okropny to był próg do przestąpienia. Wszakże wahanie się w tak ciężkiem położeniu jeszcze mi się przykrzejszem wydało. Porywam więc świecę — i wchodzę. Za mną druzdy. Wszędzie cichociek wielka. Rzucam okiem po pokoju — wszędzie dość porządnie — nic w tem pomieszkaniu śmierci nie zdawało się zapowiadać gwałtownej jej ofiary. Tylko jeden zakątek, gdzie łożko stało... ah! straszny to zakątek!.. będę go długo pamiętał. — Nakoniec trzeba było i do niego przystąpić... Leżał na łożu Jan Potocki w szlafroku, obrócony niby twarzą do muru. Położenie jego ciała było tak spokojne, jakby człowieka głęboko uśpionego — żadnego nie było widać konwulsyjnego rzutu członków. Ręce przed sobą miał niby od niechcenia rozwarłe, obok nich złowróżbny pistolet na pościeli, w części rozerwany. Przystąpił także ze świecą Konstanty i szuka oblicza — ale tego ani śladu nie było. Całe wysadzone zostało na miągi potężnym strzałem,

i tylko tylni czerep głowy z mózgiem drgającym, jakby naczynie jakie garniearskie strzaskane, ukazał się przed oczyma. Po sianie, po posadce, wszędzie wokół nas było pełno mózgu. W mózgu Potockiego jednemu z nas noga się poślizła. *Abominatio desolationis!!!*

Niepodobna było długo wytrzymać tego widoku zgrozy. Obrócić się więc w inne strony. Rzuciłem okiem na stół, gdzie były papiery i książki jego. Żadnego na nim śladu ostatniej jego myśli, uczucia, lub jakiegokolwiek woli nie znaleźliśmy — jeno, (i to było może najmniej pocieszającym) na jednej ówiartce kilka karykatur dzikiej fantazyi, świeżo biegłą ręką naszkicowanych.

Pytaliśmy ludzi o szczegóły tej katastrofy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że pan był wprawdzie niezdrów od kilku niedziel, lecz w tym samym dniu był dość wesół — a nawet zrana kazał wypłacić pensję wszystkim swoim oficyalistom; że się spodziewał mnie widzieć i oczekiwał mego przybycia; że nagle, po obiedzie, wypędził swego wiernego kundelka, *Pateau*, który, skowycząc, wciął dom obiegał; że potem, w kwadrans, posłyszano strzał i nie więcej — a kiedy wpadli ludzie do pokoju, zastali to, cośmy sami widzieli... Później nieco dostrzeżono, iż on, pistolet jakiś stary znalazłszy, nabił nie kulą, (bo jej nie miał), ale gałką ołowianą od pokrywy jakiejś puszki, którą, widać było, iż w miarę, jak go melancholia opadała, dość mozolnie nożem odrzynał, czego też w jednym dniu dokazać nie mógł.

Taki był koniec Jana Potockiego, krajczyca w. koronnego, wielu towarzystw uczonych członka!!

## HOŁOWIŃSKI IGNACY

(1807—1855).

Urodził się dnia 24 września 1807 r. w Owruczu. Ojciec, Piotr, szlachcic podupadły, był ekonomem, trudnił się potem handlem, zarządzał dobrami Bazylianów, osiadł w końcu w Wiacowie, gdzie zakończył życie w r. 1810, pozostawiając wdowę z ósmorgiem dzieci bez żadnych środków do życia. Matka Hołowińskiego, Dominika z Łęskich (zm. w 1837 r.), ciężko pracowała, aby móc wychować i wykształcić dzieci. Żywo ten pełen poświęcenia światobliwej niewiasty opisał wdzięczny syn w pięknym wspomnieniu: »Życie mojej matki«.

Pierwsze nauki pobierał Hołowiński w szkołach pijarskich w Miedzyrzeczu Koreckim; po ich ukończeniu, 15-letni młodzieniec obrał stan duchowny i wstąpił do seminarjum w Lucku w r. 1825 (29 wrzeź.) gdzie się uczył do końca roku następnego (1826). Stąd wysłano go do Seminarjum Głównego w Wilnie. Przyjeżdży 17 stycznia 1827 r., kolegował tu z Tomaszem Dobszewiczem, późniejszym profesorem teologii uniwersytetu kijowskiego, a swoim następcą na katedrze, i z Placydem Jankowskim (księdzem unickim, odstępca i powieściopisarzem). Jako alumn seminarjum głównego, kształcił się Hołowiński na wydziale teologicznym uniwersytetu wileńskiego. Oddawał się w Wilnie nie tylko studyum teologicznym, ale i literaturze. »Profesor literatury, Leon Borowski, skąpy w pochwały, rozbiierając ćwiczenia wierszem Hołowińskiego i ukazując ich wady i zalety, nie szczędził mu zachęty« (Ks. Dobszewicz, »Wspomnienia«). W r. 1830 studia swoje w Wilnie Hoł. ukończył ze stopniem magistra teologii; wyświęcony na dyakona (7 lipca), wyjechał do Lucka. Tu, dnia 25 września 1830 r. otrzymał święcenie kapłańskie; poczem został »kapelanem« czyli nauczycielem religii w gimnazjum w Żytomierzu. W lat kilka potem (1835) mianowano go kanonikiem katedralnym żytomierskim i profesorem teologii w uniwersytecie kijowskim (1837). Gdy w r. 1839 zamknięto

chwilowo uniwersytet w Kijowie, Hołowiński wybrał się w podróż, przez Odesę i Konstantynopol, do Ziemi Świętej. Zwiedziwszy wszystkie miejscowości, upamiętnione w Żywocie Zbawiciela, — był i na Libanie, w klasztorze ormiańskim Betchezhan, gdzie mu zakonicy opowiadali o Juliuszu Słowackim, że spędził u nich kilka tygodni i pisał »Anhellego«, — Hołowiński wrócił, po 6-miesięcznej podróży, pod koniec grudnia tegoż roku do Kijowa. Podróż tę opisał potem w dziele p. t. »Piełgrzymka do Ziemi Św.« (w formie listów do brata), jednym z najcenniejszych w literaturze naszej podróźniczej.

W Kijowie, który był wtedy ogniskiem życia umysłowego Wolynia, Podola i Ukrainy, Hołowiński stykał się z Grabowskim, Rzewuskim, Kraszewskim, Swiżdzkim, Przędzińskim, brał udział w zebraniach literackich, był uczestnikiem zjazdu w Cudnowie w r. 1841 u Rzewuskiego. Z Rzewuskim i Grabowskim wszedł w bliższe stosunki, tworząc wraz z nimi coś w rodzaju triumwiratu, który, przy pomocy »Tygodnika Petersburskiego«, usiłował kierować społeczeństwem w duchu zasad konserwatywno-klerykalnych. Pracę literacką w Kijowie rozpoczął Hołowiński od przekładów Petrarki i Szekspira; ogłaszał je pod pseudonimem Kefalińskiego, zgrecyzowanym odpowiednikiem swego nazwiska. W dwu tomach wydanych w Wilnie (1840—41) »Dzieł Szekspira« zawarł przekład sześciu jego dramatów: »Hamleta«, »Romea i Julii«, »Snu w wigilię św. Jana«, »Makbeta«, »Króla Lira« i »Burzy«. Tłumaczenia Hołowińskiego nie odznaczają się wogóle zaletami poetyckimi, ani wykintem formy. Przekłady jednak Szekspira, pomimo, że Słowacki złośliwie się o nich w »Beniowskim« wyraził (»Szkoła, że w księdzu Kefalińskim znika Szekspir; przyczyna jest trudność pologu w stanie bezżennym«, pieśń II), były pierwszymi w naszej literaturze tłumaczeniami dzieł wielkiego dramaturga brytyjskiego, dokonanymi nie z przekęb francuskich, lecz wprost z oryginału i bez samowolnych zmian i skrótów. O tłumaczeniu »Hamleta« wyraził się nasz hamletolog, Matlakowski, że »stanowiąc będzie na wyraz w języku naszym epoką, jako pierwsze usiłowanie na drodze poznania i rozpowszechnienia u nas dzieł wielkiego pisarza bez pośrednictwa osób trzecich; Hołowiński pojmuwał doskonale ducha poety« (»Hamlet«, Kraków, 1894. Wstęp str. CCCLXXXIV). (Odmiennego zdania był Tyszyński).

W r. 1842 wezwany do Petersburga, Hołowiński mianowany został rektorem przeniesionej z Wilna do Petersburga Akademii duchownej. Rektorat i profesura — objął bowiem jednocześnie dwie katedry w Akademii: dogmatyki i homiletyki, — nie stanęły Hołowińskiemu na przeszkodzie do rozwinięcia płodnej, szczególnie w pierwszych latach pobytu w stolicy nadniewskiej, działalności literackiej. Pomimo że należał do t. zw. koteryi Tygodnikowej, nie był bezwzględny wyznawcą skrajnie konserwatywnych poglądów Rzewuskiego i Grabowskiego, był bardziej umiarkowany i w listach do ks. Cholońskiego obrzucał się na absurda Rzewuskiego w »Mieszaninach«.

Ale w »Tygodniku Petersburskim« umieszczał dużo artykułów, a jej redaktora, J. E. Przecławskiego, człowieka charakteru lichego, ślepo wielbił, bo »on pierwszy zdrowe zdania puścił u nas w obieg« (Zob. list do Grabowskiego z r. 1842) To też młodzieńcze postępowanie, skupiając się około »Gwiazdy«, organu opozycji przeciwko obskurantom z »Tygodnika«, nie lubiła Hołowińskiego i ostro nań napadała, a w jednym z wierszyków ulotnych przezwiała go »Akefalińskim nicownikiem Szekspira«.

Dwie przedwzrostkiem rozprawy Hołowińskiego, w »Tygodniku Petersburskim« umieszczone, a duchem obskurantyzmu przeniknięte, musiały postępować różnie: w jednej, p. t. »O metodzie filozofii« (1842) bronił metody scholastycznej w sporze między filozofią a religią; w drugiej: »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej« (1846) wystąpił bezpośrednio przeciwko Trentowskiemu i, przeciwko heglizmowi wogóle. Działalność E. Ziemięckiej, która w swym »Piełgrzymie« (1842—47) krzewiła t. zw. filozofię katolicką, Hołowiński popierał, a w piśmie jej m. i. umieścił dialog dydaktyczno-moralny p. t. »Wieczór na wsi« (1842).

Utwory Hołowińskiego beletrystyczne, w dobie petersburskiej powstałe, w swoim czasie chwalone, zarówno wierszowane, — jak popularne niegdys »Legendy« (1843) i poemat religijny w rodzaju »Przenajświętszej Rodziny« B. Zaleskiego, p. t. »Dziątko Jezus« (1846), — jak i powieść »Rachel« (1847), są płodami poronionemi. Inne pisma swoje wydał Hołowiński w dwu zbiorach: »Teki rozmaitości« (1844) i »Pisma Żegoty Kostrowca« (1848). W wykładach swych homiletycznych w Akademii Hołowiński pierwszy scharakteryzował i ocenił trafnie kazania mówców religijnych z doby »makaronicznej« (XVII w.) — Birkowskiego, Wereszczyńskiego, Młodzianowskiego.

W r. 1848 (24 grud.) Hołowiński wyświęcony został na koadjutora arcybiskupa Dmochowskiego, metropolity mohylowskiego, a w trzy lata potem, w październiku (22) 1851 r., po śmierci Dmochowskiego mianowany metropolitą mohylowskim, Hołowiński otrzymał pallusz z rąk cesarza Mikołaja I. Rządził archidiecezją sprężysto. Zmarł w Petersburgu 19 października 1855 r.

Działalność Hołowińskiego arcybiskupska nie jest jeszcze należycie oceniona, a stanowisko jego, jako Głowy Kościoła w Cesarstwie, wobec rządu nie jest dostatecznie wyświetlone. Sądy o nim są sprzeczne: jedni (jak ks. Dobszewicz) sądzą go surowo, inni starają się go zrehabilitować, (jak ks. Symon, ks. Czaykowski) i odrzucają legendę, jakoby grał wobec rządu rolę Wallenroda.

Jako kaznodzieja i profesor był Hołowiński ceniony i lubiany, czego dowodzi wspomnienie o nim pośmiertne ucznia jego, (którego na kapłana na krótko przed swoją śmiercią wyświęcił), ks. Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego. Stylista utalentowany, ale poeta nie był.

## BIBLIOGRAFIA.

A) Pisma Hołowińskiego: Osobno wyszły: »Dziela Wil. Shakespear'a«, przekład Ignacy Kefaliński. 2 t. Wilno, 1840—41, (Przekład dramatów: Hamleta, Romeo i Julia, Sen w wigilię św. Jana, Makbet, Król Lir i Burza). — »Piełgrzymka do Ziemi Świętej«. 5 tomów. Wilno, 1842—45; wyd. drugie w jednym tomie. Petersburg, 1858. — »Legiendy«. Wilno 1848; wyd. 2-gie Petersburg, 1856; 3-cie Złoczów, 1899 (Bibl. Powsz.). — »Teki rozmaitości« Wilno, 1844 (Zawiera: »Życie mojej matki«, »Opuszczone klasztor i ksiądz kapucyn«, »Wieczór na wsi«, »O metodzie filozofii«, »ŚS. Perpetua i Felicyta«, »O św. Teresie i jej dziełach«). — »Obraz Cebesa i Dogrębnik Epikteta. Wilno, 1845 (przekład z greckiego, z wstępem i objaśnieniami). — »Dziątko Jezus« Wilno, 1846. — »Rachel« powieść, Wilno, 1847. — »Pisma Żegoty Kostrowca« 2 t., Wilno, 1848. (Zawierają: Tom I: Wstęp, »Korona« legiendy; »Rusalki«; »Dwie mary«, »Dziedzic«, »Dwaj bracia«; tom II: »Pisma św. Grzegorza Nazjanszńskiego«, »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej«). — »List pasterski... 1852 (3 listy osobno wydane). — »List biskupa Karystęńskiego... Kijów, 1850. — »Mowy pogrzebowe« Wilno, 1856. — »Hymny kościelne... przełożył z łacini. Ign. Hoł. Kraków, 1856. — »Miesiąc maj, poświęcony Najśw. Maryi Pannie, Przerobiony z włoskiego. Kraków, 1857; wyd. 2-gie, 1859; wyd. 6-te, 1898. — »Kazania niedzielne, świąteczne i przgodne, oraz alokucyje miane w Petersburgu« Kraków, 1857. — »Homiletyka« Kraków, 1859. — »Akty i gramoty ob ustrojuwje rymsko-katolickoszej cerkwi w Impierji Rosijskiej i Carstwie Polskom« Petersburg, 1849 (po rosyj. wyd. urzędowe). — Wydania popularne: »Betleem« wyd. ludowe. Lwów, 1888. — »Jeruzalem-Golgota« wyd. ludowe. Lwów, 1891. — »Życie mojej matki« w przekł. rosyjskim w czasop. »Sowremiennik«. — »Kazania J. Wereszczyńskiego« Petersburg, 1854 — poprzedzone wstępną rozprawą o Wereszcz. — Artykuły (rozprawy i inne) pomieszczał Hołow. w »Pamiętniku religijnym moralnym« (p. m. i. o Wereszczyńskim, Młodzianowskim.); w »Tygodniku Petersburskim« (tu m. i. rozprawy: »O metodzie filozofii« (1842) i »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej« (1846)); w »Piełgrzymie« (tu m. i. »Wieczór na wsi« (1842)); w »Athenaeum«. — Przekład niektórych sonetów Petrarki w »Rusalcach« 1842. — Listy: 7 listów do ks. St. Chołonińskiego, »Kron. Rodz.« 1883; list do M. Grabowskiego. »Kron. Rodz.« 1883; z listu do tegoż uwagi o pokorze w religii w Grabowskiego. »Korespondencyi literackiej«, II; list w Wspomnieniami ks. Dobszewicza; 4 listy w art. ks. Symona w »Charitas«: list do H. Rzewuskiego w »Kwart. Teolog.« 1908; wyjątki z listów do E. Ziemięckiej w art. Chmielowskiego w »W. Encykl. Powsz.«.

B) O Hołowińskim pisali: Ks. Iwaszkiewicz: »Mowa na pogrzebie...« Petersburg, 1855. — Ks. Feliński: »Wspomnienie z życia



i zgonu Ign. Hołow. Warszawa, 1856. (Toż w »Pamiętniku relig.-moraln.« 1856). — J. Bartoszewicz: »Hol. Ign.« Enc. Orgelbr. XII (1863). — Przelawski o Hol. w »Ruskaja Starina« 1890 (niezbyt wiarygodne). — Kraszewski w »Athenaeum« 1845, I. — Ks. Feliksi: Pamiętniki. Kraków, 1897. — Ks. Dobszewicz: Wspomnienia z czasów, które przeżyłem. »Przegl. Pol.« 1893. — Ks. Choloniewski: »Opis podróży kijowskiej«. Lwów, 1886. (Zob. też ks. Badeniego »Ks. St. Choloniewski« Krak. 1888, str. 339—341). — Tad. Bobrowski: Pamiętniki. Lwów, 1900, t. I, 390—393. — xxx: »Konstanty Ireneusz Lubiński, biskup sejneński«. Kraków, 1898, str. 55—57 i n. — Ks. Symon: »Z życia i korespondencji ks. Hołowińskiego«. »Charitas«. Księga zbior. Petersburg, 1894. — Ks. Czaykowski: »Nowy komentarz do charakterystyki Hołowińskiego«. »Przegl. Powsz.« 1905. (Art. oparty na wspomnieniach ks. Owsianego). — Art. w Encykl. Kośc. — Ks. Popławski: »Hol. Ign.« w »W. Encykl. Powsz.« — O utworach Hoł-gopisali: Ziemięcka w »Pielgrzymie« 1843—46; Kraszewski w Bibl. Warsz. 1846, III; K. W. tamże; B. Dziekoński w »Dzwonie« 1846; Bezimienny w »Pam. relig.-moraln.« 1851—57 — Tyszyński w »Rozbiorach i kryt.« t. I i III; Grabowski w »Koresp. liter.« I. — Chmielowski: »Hol. Ign.« W. Enc. Powsz. (korzysta z listów do E. Ziemięckiej). — Struve: »Hist. logiki jako teorii poznania«. Warsz. 1911. — Ka. Gabryl: »Filozofia ks. arcyb. Ignacego Hołowińskiego«. »Athenaeum kapłańskie«. 1911, czerwiec. — O przekładzie Szekspira pisali: Kraszewski w »Tyg. Petersb.« 1840. — Tenże: »Hamlet« w przekł. Kefalińskiego. Wybór. Pism X (Warsz.). — Tyszyński w Bibl. Warsz. 1841, III. — Tarnowski: »Szekspir w Polsce. Rozpr. i Sprawozd. IV. — Matlakowski: »Hamlet«. Kraków, 1894. — Zahorski: Szekspir w Polsce. (Dziela Szekspira, pod red. Biegeleisena IX. Lwów, 1897).

#### A) Pielgrzymka do Ziemi Świętej (1842—45).

(»Pielgrzymka do Ziemi Świętej«. Wyd. drugie, Petersburg, 1853).

Pielgrzymkę tę odbył ks. Hołowiński w r. 1839 — z Odessy, przez Konstantynopol i Azyę Mniejszą.

Podajemy początek opisu Konstantynopola, opis klasztoru Betschewan na Libanie, w którym w r. 1837 przebywał Słowacki, i początek opisu Jerozolimy.

Konstantynopol i przedmieście.

**809)** Str. 10—12. Po trzykrotnym ogłoszeniu w gazetach odeskich o moim wyjeździe i po odbytych wielu formach, wsiadłem dnia 9 lipca na statek parowy, Alexandra,

i o dziesiątej godzinie z rana puściliśmy się do Carogrodu. Piękny był widok, gdy w szybkim pędzie statku przedstawiały się kolejno wszystkie domy Odessy i wkrótce, bo w 10 minut, zniknęło miasto. Parochód pruł piorunem ciche morze; obracalem wzrok ku rodzinnej stronie, którą porzucilem, nie będąc pewny, czy ją kiedy obaczę; jużem się zaczął smucić, gdy przyszły na pamięć słowa Bajrona: Czego mam płakać? za kim? i po kim? kiedy nikt po mnie nie płacze. Śmierć moja, myślałem, nie zrobi nikogo nieszczęśliwym: matka już u Pana Boga, a przyjaciele skończą na westchnieniu. Im dalej w lata, tem bardziej piękniejsze droga życia naszego: tem mniej wiewiów doczesnych: tem swobodniej duch nasz, ten wędrowiec, często wzgardzony i niepojęty od świata, unosi się do Twórcy i tam składa skarby uczucia na łonie najlepszego Ojca. Mocnom się cieszył, mój bracie, z mego samotnego położenia w świecie. Wesole rozmowy i śmiechy matkówek wybiły mię z tego zamyslenia, i starałem się poznać moich towarzyszywów podróży. Kapitan okrętu, Anglik, pod grubą powłoką miał czule i szlachetne serce; podróżujących ze mną było czterech: młody kupiec z Taganroga, Grek, dobrze ukształcony, kupiec z Odessy, co grał zabawnie rolę wielkiego pana, feldjeger z depezsami, Niemiec, który ustawnie o sznapsie uprzyjemniały widok. Najpiękniejsza pogoda ciągle trwała, i pierwszy raz w życiu oglądałem przesłizny zachód słońca na morzu. Około godziny dwunastej w nocy ujrzelismy przy świetle księżycy wysepkę Serpentina, jedną na morzu Czarnem, gdzie nie więcej niema tylko budki rybaków, przybywających tam czasami dla połowu ryb morskich; wysepka ta leży o 75 mil od Odessy. O, jakże ci opiszę ten nowy dla mnie widok? Całą noc przesiedziałem na pokładzie, tylko niebo i morze, oświetlone tajemniczym blaskiem księżycy, przedstawiały się oczom. Nasz parochód jak ptak przelatywał puste i ogromne stopy wodne, który bijąc kołami, jakby skrzydły, zostawiał długi, prosty i biały szlak za sobą: z jego oddechu para stanowiła czarną wstęgę, ciągnącą się, jakby olbrzymiej długości bandera; po odmętach płynęły



złote rzeki, złożone z żywych iskerek księżycowego światła; koło statku często igrały stada delfinów, wznosząc nad wodę czarne i potworne grzbiety, odkrywały mnie świat drugi, świat morski. Wielka to przyjemność płynąć w piękną pogodę po morzu statkiem parowym! Ranek był śliczny, i słońce pomalutku podnosiło się z wody; ten widok wschodu na morzu daje pojąć w całej piękności tę baśń Greków o noclegu Feba w kryształowym pałacu. Cały dzień dziesiąty lipca upłynął, i nie widzieliśmy ziemi; biedna ptaszyna zmęczona usiadła na naszym statku dla spoczynienia; napotykaliliśmy czasami okręty i witałiśmy się wywieszeniem flagi. Porohody odeskie, które odbywają kolejno podróż do Carogrodu, chociaż bez porównania ustępują innym podobnym statkom, jakie potem widziałem, są jednak dość niezłe: za pierwsze miejsce płaci się 100 rub. as., a na pokładzie 25. Pierwsze miejsce stanowi niewielka salka, otoczona wkoło szafami, gdzie za firanką są łóżka na górze i na dole dla podróżnych; za stół płaci się sześć rub. as. dają rano i wieczór kawę i herbatę, przytem śniadanie, obiad i wieczerek; bo masz wiedzieć, że na morzu wzrasta apetyt, chyba kto cierpi słabość morską; ale ja ciągle zdrow byłem. Jedena stego lipca, około 8-mej godziny, ujrzeliliśmy wzgórkowate brzegi Rumelii: tak więc we dwóch dobach przelecieliśmy 380 mil morskich, które liczą z Odessy do Carogrodu. Silniej uderzyło serce, kiedy powiedziano: Bosfor! Zdala już się rysował ten kanał, jak ogromna rzeka; około przylądka Panaraki czyli Fenerkei, ciągle walczą z falą skały cyaneńskie, które starożytni mieli za pływające. Młody mój towarzysz, Peryota, co w tej chwili chciał być moim cziczeronem, mówił mi, że na tych skalach jest oltarz pogański z białego marmuru, na którym dawniej błąkali Boga wiatrów przed zamierzoną żegluga po niegościnnem morzu; ten oltarz dziś zowią Kolumną Pompejusza. Brzegi Bosforu są dziwnie malownicze: naprzód się przedstawiają na stronie Azji szerniałe wiekiem i porośle drzewami mury genueńskiej twierdzy, a na europejskim brzegu tylko szczątki widać podobnej budowy. Potem rzędem, nad samym Bosforem, suną się tureckie baterye z ładniutką czworokątną wieżyczką i strzałką, sięgającą wysoko. Często w prze-

ślicznych jarach, pokrytych cyprysami i ogromnemi klonami, co tu imię platanów noszą, można widzieć ładne wiejskie mieszkania z kamiennemi schodami aż do wody Bosforu. Wjeżdżając dalej w ten kanał, przy szybkim pedzie statku taki jest natłok uderzających przedmiotów, że opowiadacz nie w stanie wszystkich wymienić. Jest to chaos piękności, jest to prawdziwa panorama, gdzie opowiadacz ciągle pokazuje: to pałac letni sultana, to Skutari, to Bujukdere, to Terapia, to przylądek Seraju, to kościół Ś. Zofii, to Pera i t. d. Wielki ten kanał, po obu stronach mający pasmo gór, spotyka wkońcu przylądek Seraju, obłany z jednej strony morzem Marmora, a z drugiej portem, co się nazywa Rogiem Złotym. U podnóża tych gór, otaczających Bosfor, wznoszą się pyszne gmachy i rozkoszne kioski, tak przy samym brzegu kanału, że fale płuczą marmurowe schody; stąd na górach kwitnące kwiaty i smutne cyprysy z innymi drzewami, co w całej swej wielkości pokazują się wyżej tych gmachów, zdają się zrazu babilońskimi ogrodami, wiszącymi w powietrzu. Wystaw sobie to mnóstwo wielkich budowli, pomieszanych często z gajem cyprysów, czyli cmentarzami; ten tłum meczetów, których lekkie i śliczne minarety zdaly się lasem strzał, lecących w obłoki; te nadzwyczaj ściśnione domy, które się piętrzą po górach, i swoim nieładem piękniej je ubierają; wystaw sobie rozścielającą się ogromną płaszczyznę morza Marmora, i wspaniały Bosfor, ożywiony brygami i fregatami różnych narodów, wokoło których tysiąc lekkich, pięknych i szybkich uwijsa się karków, to jest łódek w kształcie księżycy na nowiu, a pojmiesz ten urok, w jaki mię wprawilo tak cudne widowisko. Bardzo wierzę temu, co mówiono o jednym Angliku, który przyplłynawszy do Carogrodu, obejrzał go tylko z Bosforu, i nasycony tym widokiem, nie wystąpił na brzeg, ale natychmiast odplłynął; bo w rzeczy samej, wiele się traci uroku za wyjściem na ziemię, gdzie lichość domków i nieporządek odczarowyywa; a nareszcie taka jest dziwna nasza natura, że to, co poznamy nawet po imieniu, już nie tyle uderza.

Liban...

**810)** *Str. 160—161.* ...Dnia 12 sierpnia, z rodzącym się dniem jechałem dalej ponad morzem i znajdowałem różne ślady: bądź skały nadbrzeżne, obrobione ręką ludzką, bądź głębokie cysterny, kute w opoce. Po godzinie drogi brzeg kamienny i w części zielenią pokryty, zmienił się na piaszczysty, na którym, pod ogromną górą Kastrawan, widziałem dawny rzymski most nad suchem łożyskiem strumienia. Zaraz dalej rozciąga się wielka i dość szeroka zatoka, w której zawsze kilka batów postrzegasz i kilka chatek na brzegu; nazywa się to miejsce Dżiuni, co ma znaczyć Genę, której mieszkańcy mieli na tem pobrzeżu osadę i port; lecz bardzo małe ślady zostały tej dawnej siedziby, to jest obrobione ręką skały, a w jednej z nich pokazywał mi rybak niby grób wykuty św. Jerzego; także kwadratowa wieża z ciosu, murowana, dla straży brzegów. Obejrawszy te szczątki, powróciłem do rzymskiego mostu, za którym natychmiast wdzieram się na bardzo wysoką nadbrzeżną górę, gdzie na szczycie wznosi się wielki klasztor armeński, nazwany Betcheszban. Za przybyciem do klasztoru odwiedziłem natychmiast generała zakonników Ormian katolików, który mieszka w tym głównym ich domu: człowiek dość młody, wychowany w Rzymie, bardzo gościnny i uprzejmy, lecz całe towarzystwo, bo nawet nowicjusze, okazowali gotowość usługi i sprzedającą grzeczność, co dziwnie gościa ujmuje. Klasztor porządnym i czysto utrzymany, a końce korytarzów, jak to jest we wszystkich klasztorach, mając obszerne okna, dające widok na najpiękniejsze położenie, stanowiąc rodzaj bawialnych pokoiów, są dywanami i sofami opatrzone; prócz tego mają pokój gościnny ładnie ubrany, z oknami obróconemi na najpiękniejszą okolice. Biblioteka klasztorna składa się z książek zupełnie w tym guście, jakie znalazłem w Bezummar. X. Generał i zakonnicy rozpowiadali mnie, że p. Juliusz Słowacki przepędził kilka miesięcy w tym klasztorze, i tu pisał swój poemat, *Anhelli*; nie można zarzucić naszemu pocię złego wyboru miejsca do natchnienia, bo z góry Betcheszban rozwija się widok na różne wertepy skał i jarów, pokrytych wioskami, klasztorami albo zielenią ogrodów, a z drugiej strony, przy zatoce Dżiuni bly-

szczy nieogarniona płaszczyna morza. Kościół, opodal stojący od klasztoru, może jest najpiękniejszy na Libanie: składa się tylko z jednej nawy i dwóch prezbiterji: jedno służy dla zakonników, drugie dla samej celebrji. Wielki ołtarz znajduje się w głębi, a zaraz po jego bokach mieszczą się na pierwszym prezbiterjum cztery ołtarze: malowidła włoskie dość ładne — wyrabiania esowate na białym libańskim kamieniu, nie są bez pewnego gustu, nawet kolumny wielkiego ołtarza, których trzy z każdej strony stoi w kształcie sruby, przepiętanej winną latoroślą, mogą się bardzo podobać. W zakrystyi widziałem dawną kamienną urnę, obróconą na fontannę do umycia przede Mszą: ten kamień podługowaty, jak skrzynekca, ma po bokach wieńiec dębowy, zawieszony na trzech bieżących głowach, prześlicznie wyrabianych, a na samym brzeżku znajduje się następujący napis: Marek, Marka Juliusza syn, Centuryri pierwszej, żył lat 80<sup>1)</sup>...

Jeruzalem.

**811)** *Str. 324—326.* Przykra, śliska i kamienna ścieżka wiodła nas po obnażonych i dzikich skalach, i po godzinie drogi od źródła Maryi przyszlismy na dość obszerną dolinę, gdzieśmy znaleźli liczne ruiny jakiejś dawnej wsi albo miasteczka. Pusta i odarta ze wszelkiej zieleni dolina zowie się Wadi A tar, to jest miejsce głębokie; podanie utrzymuje, że na tej dolinie Jozue, gromiąc nieprzyjaciół, rozkazał stanąć słonec: a więc to biblijna dolina Ajałon. Idąc tą długą doliną, ujrzelismy po prawej stronie, na kamieniu wzgórzu, wioskę Bet-Chanina, to jest Dom miłosierdzia. Tamże, nieco opodal odkryła się nam ogromnie wysoka góra, którąśmy ciągle widzieli aż do samej Jerozolimy, zowie się górą Samuela; jest to dawne Ramataum sofim, albo Rama, co znaczy wysokość; tu się urodził i tu był pochowany Samuel. Całe dzieje Żydów pod tym sławnym Prorokiem nasuwały się pamięci na ten obrzymiej góry widok, dziwnie czarujący, bo kiedy dokoła postrzegasz w dzikiej pustyni pokrajane skwarem opoki, których

<sup>1)</sup> M. M. Jul. K. P. vix. annis LXXX.

ani jeden listek nie uzienienia, wtedy wyskakuje góra Samuela, ustrojona bujnymi sadami. Sam jej szczyt zajmuje w zielonym wianku niewielka osada, ze dwudziestu kilku chat złożona, w której środku wznosi się bardzo stary meczet, zbudowany, wedle podania, na samym grobie Samuela, do którego tak Moše-mini, jak i Żydzi z wielkiem uszanowaniem przychodzą. Z tej Rama, co w Nowym Testamencie nazywa się Arimatea, był rodem Nikodem i Józef arymatejski. Jednakże mieszkańcy pokazują nieco dalej, w końcu doliny Ajalon, zwaliska dawnej wsi Rum na samej pochyłości góry, którą wieś chcą mieć za Arimateę Nowego Testamentu.

Jakże ta droga usposabiała moją duszę do oglądania miejsca cierpień i tryumfu Zbawiciela! Ta ziemia, pełna cudów i wielkości, z każdą chwilą nastroczała wspomnienia biblijne. Były to jakby przyspiewki do wielkiego hymnu miłości Bożej, który dotąd wprawia w zdumienie ziemię i niebo; były to poprzednicze gońce, co zwiastowały miejsce tego widowiska, którego przedstawiały symbol albo przygotowanie. Gdyby okolica Jerozolimy uśmiechała się wdzięcznie zieleni, rozkosznych łąk i gajków, gdyby ludnością roila się ta strona i wesołemi wiejskimi obrazami nęciła przechodniów, wtedyby trudno było zebrać ducha do smutnych, ale szczytnych rozważań. Przeciwnie, teraz w całym obszarze od Biri aż do najświętszego w świecie miejsca głucha i straszna pustynia, nakształł Tebaidy Eremu, wtrącała mimowolnie w poważne dumania. »Nad górami wezmę płacz i lament i nad pięknymi puszczami narzekanie, bo spalone są dlatęgo, że nie masz męża przechodzącego, i nie słyszeli głosu dzierzawcy: od pastwa powietrznego aż do bydła, przeniesli się i odeszli«<sup>1)</sup>. Drogi syońskie były puste, a cała ta przestrzeń dzwienne jest nastrojona do uczuć duszy chrześcijańskiej. W pośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie nakształł ogromnej fali piętrzyły się pod nieba, lub spadały głębokimi jarami, w pośród tej jednostajnie posepnej barwy, noszącej trwogę i smutek, wznosiła się najwyżej zielona góra Samuela, jakby wyspa przytulku lub nadpowietrzna oaza, na której z przyjemnością spoczywa wędrowca oko, zmęczone pu-

<sup>1)</sup> Jerem. 9. 10

stynią, jak ptak przelotem morskim. Podobnie i w duszy pielgrzyma, który się zbliża do upragnionego celu, do Jerozolimy, wśród tysiąca uczuć wzburzonych, wśród jakiegos niepokoju i trwogi, wśród licznych myśli, którym wspomnienie tyłu znie-wag, cierpień, katuszy i śmierci Zbawiciela nadaje barwę jednostajnie ciemną i posepną, słowem, wśród tego morza boleści przebijają się nad wszystko nieskończona miłość, Bóg-Człowiek, jako jedyny port słodczy i pociechy, jako niebieska palma, ocieniająca od skwarów tego świata.

W krainie górzystej, jak ci namieniłem, nagle odkrywa się widok miast i pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz, co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Nie potrafię ci opisać niespokojności, z jaką wdzieralem się na każdą po drodze skałę, w nadziei ujrzenia Grodu świętego; lecz długom się zawodził, a przynajmniej tak się wydawało mojemu gwałtownemu oczekiwaniu. — Ciało nadzwyczaj było znużone i drogą i skwarem, a dusza gubiła się w posepnych myślach. Słodko mię rozrzewniały wesołe Galilei wspomnienia, z lubą choć niespokojną radością biegłem powitać Niepokalaną Dziewicę w Jej pomieszkaniu, a tu zbliżalem się jak syn, który wie, że lubego ojca zastanie już w grobie. Myśl, że grzechy ludzkie sprowadziły tę śmierć Boga-człowieka, obróciła oko duszy na własne sumienie: tak smutni i skruszeni podnosiliśmy oczy w stronę Jerozolimy. Nareszcie przybyliśmy około jedenastej godziny przed obiedem na białą wapienną górę i nagle ujrzelśmy przed sobą dość wielkie miasto, czeplające się po szczytach gór i opasane zębatelym wokolo murami. Jerozolima! wszyscyśmy krzyknęli i upadli na kolana, aby natłok uczuć wylać w świętej modlitwy. Trzej księża Bernardyni, moi towarzysze, co także po raz pierwszy mieli szczęście oglądać to najświętsze miejsce, nadzwyczaj mię rozczulili. W gwałtownem uczuciu boleści upadli na twarz, i wpośród łez, lkania i jęków powtarzali ustawnie: O Jezu, o mój Boże, o mój Zbawicielu! ale tak bolesnym głosem, tak z głębi duszy skruszonej pochodzącym, że to uczucie świętego żalu musiało się i we mnie przełać. Po tem pierwszym wrazeniu, zebrawszy nieco myśli, odmówiliśmy głośno i razem modlitwy dla otrzymania zupełnego odpustu, który Kościół przywiązał do pierw-



szego ujrzenia Jerozolimy; i stąd tę górę zowią Chrześcijanie górą pokłonu, a na ten znak pobożni pielgrzymi układają w mały krzyż kamienie. Potem najserdeczniej uściskaliśmy się, winszując wzajem, że Bóg miłosiwny mimo naszą niegodność, osłaniał nas dotąd skrzydłem Swej opieki od wszelkich wypadków i pozwolił oglądać najświętsze miejsce na całej ziemi. Zdaje się, że nadal niewieleśmy dbali o wszelkie niebezpieczeństwa. »Teraz, Panie, puszczaj sługę Twego w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed oblicznością wszystkich narodów. — Długośmy stali, aby nieco oswoić się z tem widzeniem, i z tej białej góry, jak później się przekonałem, najwspanialej i najpiękniej przedstawia się Jeruzalem. Przyległa miastu opoka, po której czepliwy się oliwy, panowała nad świętym grodem: to góra oliwna! Kościół Salomona, lub raczej meczet Omara, wznosił zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwaryi świątynia Grobu nieco wystawała nad inne pomieszkania; zresztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu, zwłaszcza, że tu nie było drzew zieleni, pomieszczonej z domami zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzieś tam smutny cyprys wystrzelał samotnie; a jeszcze widząc tę masę kamienną domów, zrzuconą na spiekłej opoce i otoczoną dokoła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyognomię jakiegoś smutku i wielkości. Spodziewałem się znaleźć Jeruzalem albo w ruinach, albo niewielką i lichą osadą; z przyjemnem zadziwieniem postrzegłem miasto z wielkimi wieżami i ścianami, co tak tchnę średnim wiekiem, że się może zdawać, jakby dotąd panowali tam Godfrey i Baldwin. »Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz Proroki i kamienujesz posłańców Bożych, jakże mnogie i różne budzisz wspomnienia! — Lecz ten tłum pamiętek, wszystkie dzieje prorocze, i ten Dawid a nawet wszystkie szanowne postacie prorocze, i ten Dawid z arfą, wszystko to blade, gasło i znikało przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż unosił się w myśli mojej nad tym grodem: Krzyż porwał do siebie całą duszę i serce; a tak otoczeni bolesnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez damas-

ceńską bramę, przez którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi. Jednak teraz wolno chrześcijanom wchodzić każdą bramą, bez żadnej opłaty, bez żadnego pytania, albo przeglądania rzeczy, jak to było niebardzo dawno. Wkrótce przybyliśmy do klasztoru Zbawiciela.

## B) Życie mojej matki (1844).

(Teka rozmańtości. Wilno, 1844).

812) *Str. 4—7.* Oddawna pragnąłem wywołać z mojej pamięci ten luby obraz, a im dłużej zastanawiałem się nad życiem matki, tem bardziej utwierdzałem się w mojem przedsięwzięciu. Czyż tylko ludzie sławni i wielcy mogą nas obchodzić? Czy w prywatnem życiu, pełnem nędz, choć próżnem głośnych czynów, nie może mieścić się wielkość charakterów? Czy w opisie podobnym nie można znaleźć silnego zajęcia i zbawiennej nauki? Wprawdzie znużeni jesteśmy ciąglem wywnętrzaniem się i dziejami osób, co tylko piszącemu nie są obojętne: jednak prócz największej przyjemności, jaką czuję w przywożeniu na pamięć życia mojej matki, pragnę razem przedstawić zacięta walkę obdarzonej wielkim umysłem kobiety z ostatniem ubóstwem i niemalemi cierpieniami, pragnę wykaazać tę najwyższą ufnosć w Bogu, której wyraźne niepodobieństwa obalić nie mogły, w której nie zawiodła cudowna Opatrzność. Niechaj w tym zamiarze znajdzie wymówkę moja synowska miłość, która obudziła gwałtowną chęć wskrzeszenia pamiętki, najdroższej mojemu sercu.

Rodzice matki mieli sześć córek i jednego syna, którego tylko pani Łęska lubiła, a dla córek była obojętną i surową. Ze wszystkich córek Dominika, dla swej przenikliwości i nadzwyczajnej żywości, zostawała w największej nielasce, stąd co dnia strofowania i kary, słusznie i niesłusznie, spływały gradem na biedną Dominikę. Raz w domowej apteczce odkryła

się szkoda w konfiturach, a więc wezwano niewinną Dominikę, na nią bowiem zwalano wszystko, co się w domu stało, i kiedy starała się uniewinnić, wtedy jej matka w gniewie cisnęła kawał cukru, trzymany w ręku, i tak ugodziła w głowę niecierpiącą córkę, że ta w omdleniu padła na ziemię, cała krwią obłana. Zależono dziurę chlebem i pajęczyną i bynajmniej nie troszczono się, co z tego będzie. Ta surowość stanowiła całe wychowanie córek, które wówczas i w najbogatszych domach niewiele się uczyły. Pani Łęska mocno była przekonana, że prócz czytania, potrzebnego dla modlenia się, nic więcej nie powinny umieć panny; pisanie bowiem uważała za środek do zepsucia, jako nieczne narzędzie bilecików miłosnych. Jedyną chwilą, nieco przyjemną dla mojej matki, był czas przepędzony u jakiejś pani Mezerowej, niby na pensyi, gdzie się uczyła różnych kobiecych robót i ukradkiem pisania. Taka to była młodość i wychowanie, a ten wstęp, pełny cierpienia i nie osłodzony najmniejszą miłością matki, zdawał się zapowiadać nielepsze życie.

Nielad i różne kłęski publiczne zrujnowały rodziców matki, którzy z ostatkami mienia przenieśli się na stałe mieszkanie do Miedzyrzecza Koreckiego, gdzie mieli i dom własny i krewnego, rektora Pijarów, co im zawsze pomagał. W tak niekorzystnym położeniu wydatki córek było nadzwyczaj trudne i trzeba było o wiele spuścić ze zwykłego tonu, aby się pozbyć z domu ciężaru. Panna Dominika nie była piękna, ale przyjemna, wesola i pełna dowcipu, a w sądach swoich odkrywała niepospolity sposób myślenia.

W szesnastym roku jej życia przyjechał mój ojciec, Piotr, ze swoim bratem starszym, Jakobem, dla starania się o rękę matki; a kiedy wieczorem udali się do przeznaczanego pokoju na nocleg, wtedy panna Dominika, zdjęta ciekawością, podsluchiwała pode drzwiami następną rozmowę braterską: »Wszystko to dobrze — odezwał się Piotr — co mówisz o jej rozumie i szlachetnym charakterze, ale jaka szkoda, że nie jest ładna. — E! mój bracie — odpowiedział Jakób — piękności na talerzu nie krajać, a wianka z niej nie nosić«. — Lecz wkrótce i pan Piotr za bliższym poznanie się z panną zmienił wyobrażenie i wstąpił z nią w dogodne śluby.

To wyjście za mąż było jeszcze zniżeniem się w stopniu towarzyskim, chociaż bowiem matka nie była majątną, jednak w domu obywatelskim przywykła do lepszego życia, a stosunki z lepiej ukształconymi osobami nie mało przyczyniły się do jej oświecenia, zwłaszcza przy dziwnych zdolnościach przyrodzonych. Z tem wszystkiem, osoba młoda, żywa, wesola, z wyższymi pojęciami, umiała zastosować się do biedniejszego położenia. Mój ojciec pochodził z domu znaney szlachty Hołowińskich, ale ta gałąź oddawna jakoś zubożała, a do tego Piotr, jeszcze w małoletności osierocony przez ojca, nie odebrał wyższego wychowania i musiał utrzymywać się służbą ekonomską. W tak młodym wieku, w tak różnym sposobie życia, z tak wielkimi zdolnościami trzeba się było Dominice zagrzebać w najniższym towarzystwie na Polesiu i zająć się najniższymi pracami.

Matka mojego ojca, kobieta stara, prosta, ale poczciwa i wielka gospodyni, wcale nie była rada z tego ożenienia, uważała bowiem synową za paniątko, niezdołne do pracy i gospodarstwa. W samym początku, kiedy raz ojciec wyjechał z domu, świekra umyślnie wyprawiała za czemś sługę i sama nie wtrącała się do żadnej roboty, dla doświadczenia swojej synowej; wtem garnek zaczął zbiegać, matka w kłopotie naciąga czempredziej rękawiczki, aby garnek odsunąć od ognia, ale i ręce popiekła i nic nie zrobiła. Świekra na to patrząc, rzekła poważnie: »Przepadł mój Piotr, wilki jego zjadły«, chcąc przez to dać poznać, że z taką żoną nie da sobie rady; ale matka wzięła te słowa literalnie i dalejże płakać po mężu, i biedna świekra nie tylko musiała garnek odstawić, ale jeszcze i cieszyć synową. W rok potem, świekra, przyjechawszy do syna, kiedy ujrzała czystość i porządek, a matkę gotującą jeść, kolyszą dziecko i miotającą izbę, a wszystko to razem, wtedy w radości zawołała: »Ożył mój Piotr, i wilcy jego nie zjedzą«, bo rzeczywistość była to już bardzo rzadna i pracowita gospodyni. Rok za rokiem pomnażała się familia w domu moich rodziców i z powiększeniem się wydatków i kłopotów, przy bardzo umiarkowanym życiu, nie tylko nie szemrała, ale z największą radością przyjmowała to błogosławieństwo Boskie. — »Panowie, — zwykła mówić — cieszą się majątkami, a my dziećmi«. I rzeczywistość, żaden ską-

piec, choćby idealny, nie miał tyle przywiązania do najdroższych skarbów, ile macierzyńskiej miłości spływało na nas z jej serca nie przebranego w najwyższą czułość.

**813)** *Str. 11—19.* Ojciec, znękany więcej przeciwnościami niż laty, po całorocznej chorobie dokonał smutnego życia 1810 roku, zostawiwszy żonę i drobne dziatki zupełnie na Opatrzność Boską. Wszystko to sobie dobrze przypominam, miałem bowiem około lat dziesięciu. Z jakąż nieporównaną troskliwością zajmowała się matka po dniach i nocach około ojca, w czasie długiej jego choroby! Jak przy największym niedostatku umiała wynajdować środki, aby choremu na niczem nie zbywało! Z jakąż nareszcie boleścią przeniosła stratę tego, z którym przeżyła lat dwadzieścia, i który rzeczywiście był najlepszym mężem. Plakałem i truchlałem o własne jej życie. Biedna, kiedy jej męża zwłoki oddawano ziemi, kilka razy silnie zemdląca; my dzieci sądziliśmy, że i ona umarła, z wielką bowiem trudnością przywzodno ją do przytomności. Skończył się bardzo ubogi i smutny obrzęd pogrzebu; biedna matka, nieutulona w żalu, widzi około siebie ośmioro sierot, z których najstarszy syn miał lat 18, a reszta od 14 lat aż do pięciu nieomal, szła stopniowo, bez żadnego grosza, sprzętu, wsparcia i żadnych krewnych; tuląc przeto do zbolełego łona biedne sieroty, rzewnie plakała, powtarzając: »Ach, dziatki moje! jakąż ja wam dam radę!« I rzeczywiście, sama jedna słaba kobieta, bez żadnej opieki, była rzucona igrzyskiem na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biedne sieroty, które jedynie z jej ręką utrzymania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Gdyby tyle nieszczęście zwałło się razem na męczyznę, mógłby upaść pod ich ciężarem; ale niezłomny umysł matki, przy wielkiej ufności w Opatrzność Bożą, nabierał w nowych przeciwnościach coraz większej tężości i odwagi. Jej cnotliwe postępowanie, jej rzadność i znajomość w gospodarstwie, skłoniły jakiegoś szlachcica, cztery czy pięć chat mającego, do starania się o rękę biednej wdowy, a w tak wielkiej nędzy było to cudem; ale matka nie chciała i słyszeć o tem, bo w powtórnych związkach przewidywała niedolę swych dzieci — »moge

zależę męża, ale dzieciom ojca nie znajdę«. Takowe odmówienie oburzyło wszystkich znajomych, którzy ją upewniali, że zginie z tak drobnemi dziećmi; »nie zginę — odpowiadała — bo Pan Bóg jest ojcem wdowie i sierotom i pewnie mnie nie opuści«.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myśleć o dzieciach: a naprzód opuściła strony owruckie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, a przeniosła się w okolicę Ostroga i Korca, kędy jej familii było gniazdo. Ale i tu nowy kłopot, bo któż przyjmie wdowę z ośmiu sierotami drobnemi; ledwo jeden Mikołaj, brat najstarszy, mógł się pomieścić w palectrze Ostrogskiej. W ostatniej przeto konieczności trzeba było rozdać choć połowę tej biednej dziatwy pomiędzy ludzi, aby i sama mogła gdzie znaleźć przytulisko i obmyślić jaki sposób wychowania synów. Był to cios dla niej najboleśniejszy i najcięższy, i bardzo często wspominała potem tę smutną epokę życia. »Mój Boże, — mówiła — co za okropne było moje położenie! Dzieci moje, wszystko moje, musiałam rozrzucić i nabijać się ludziami, aby to brali, co dla mnie tak drogie i na co me oczy napańczyć się nie mogły«. Co to za boleść dla macierzyńskiego serca, trudno bez doświadczenia pojąć.

Tak miłosierni ludzie powierzywszy starsze dzieci, osiadła sama, z dzieckiem przy piersi, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką, Teklą, przy rozdanej siostrze, która we wsi Sackach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie: ciotka była wprawdzie prosta, ale dobra kobieta, a choć matka i siostra pracowały w jej domu jak proste wyrobnice, jednak było to zawsze wielkim ciężarem dla niebogatej osoby, zwłaszcza dwoje dziatek drobnych nieomal przynosiły kłopotu. Stąd łatwo wszczynaly się spory i wymówki, które się często kończyły wypędzaniem z domu, nim z ochłodzonym gniewem uczucie siostry znowu wzięło górę.

Tymczasem, jak na dobitkę, spalił się dom ciotki, i wszystkim potrzeba było znowu szukać schronienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu: Sęstwo Gorlińscy wzięli na wychowanie najmłodsze dziecko, ledwo rok mające, ja byłem już nieco pierwszej wzięty przez cioteczną siostrę mej matki, osobę dość majątną, gdzie razem była ze mną i moja siostra, Krystyna, niby



na opiece, a w rzeczy na służbie bez płacy, jak to zwykle wodzi się u krewnych.

O! tej cioci nigdy nie zapomnę. Dziwna sprzeczność panowała w jej charakterze: lubiła bowiem towarzystwo, zabawę i dość była wesołą, a jednak dla domowych okazywała się najsurowszą. Edukacyja moja szła następującym sposobem: wprawdzie siadałem do stołu, ale nadaremnie, bo przed najlepszymi potrawami był dla mnie szaniec nieprzebyty, to jest talerz pełny barszczu, którego jeśli czteroletnie dziecko nie zjadło, to nie mogło się tknąć następnych półmisków. Ten sam barszcz z obiadu przenosił się dla mnie na podwieczorek, na wieczrę, nazajutrz na śniadanie, słowem póty mię ścigał zawzięcie barszcz niecierpiany, póki go z głodu nie zjadłem, a tu jak na biedę nowy następował. Prócz tego nie mogłem wywinąć się od kilku różeg co dnia, bo warunek był bardzo trudny: trzeba było nadrzeć pięknie kwaterkę pierza, które pociśnięte ręką, zawsze zostawiało próżne miejsce, a stąd zawsze mnie czyniło winnym. W czasie zabaw długich budzono mię w północ, dla śpiewania piosnek ukraińskich, które przestraszony i na pół rozbudzony nuciłem ze łzami, co kompanię niezmiernie śmieszyło. Nielepiej obchodzone się i z moją biedną siostrą. Dowiedziawszy się matka o podobnej opiece, przyjechała do pani siostry; lecz to przybycie matki niewiele mój los osłodziło, bo ciocia nie odstępowała w niczem od swej metody wychowania, a nie mając nigdy dzieci, nie pojmowała całej katuszy biednej matki, która musiała patrzeć na to znechęcając się nad dziećmi, a nie mogła dać żadnego ratunku. Jednak ta cierpliwość ostatniej nędzy nie wystarczyła przy wzrastającym humorze ciotki. Raz przyjechał brat najstarszy z Ostroga, co się darmo zajmował jej interesami; ciotka wówczas, nie wiem z jakiej przyczyny, była w gniewie na moją siostrę Krystynę i lżyła ją ostatnimi słowy; brat i matka ośmielili się jakieś słówko rzucić w obronie biednej dziewczyny; wtedy, uniesiona pasyą, tak uderzyła siostrę w głowę, że grzebieńia zęby skaleczyły czołkę i krew dokoła trysnęła. Cała ta scena stoi mi przed oczyma. Siostra skrawiona, brat zbity, matka w rozpacz potraczona, i ten lament smutku, i ten krzyk gniewu, i to zbiegowisko wszystkich służących nie może zginąć z mej pamięci. Jednakże koniec tego dramatu, jak dla

mnie, był bardzo wesoły, kazała nas bowiem czworo wypędzić z domu. Na dworze była noc ciemna, choć oko wykol, błoto ogromne, a deszcz lał niemilosiernie; wstęp do chłopskiej chaty surowym zakazem cioci był nam wzbroniony; ale jeden kowal, tknięty litością, dał nam ukradkiem schronienie w kuźni; tam brat z siostrą przepędził noc, a świtem udał się z nią do Ostroga; lecz matka ze mną umyśliła zebrać choć chwilowego przytulku u pobliskiego sąsiada ciotki; a że już było dość późno, przeto, nie tracąc czasu, pożegnana tamte dzieci, i wzięwszy mię na plecy, poszła biedna wśród ulewy do tego obywatela. W czasie drogi gorzko płakała; nie pojmując smutku, zwłaszcza wtedy, kiedy porzuciliśmy dom cioci, sądziłem, że się lęka o mnie i ciąglem powtarzała: „Nie bój się, mammo, ja się dobrze za szyję trzymam”. Łatwo wnieść, że ludzie obcy, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największym współczuciem. Dotąd, prócz matki, nikt nie był dla mnie laskawym, i nie mogłem się wydziwić, że sama pani domu osypywała mię niewymowną dobrocią; jakoż nieinaczej w dzieciństwie pojąłem naukę o niebie i piekle, tylko przez porównanie tych dwóch domów.

Synowie coraz podrastali i czas było do nauki, a tu żaden matce nie podawał się śródek dopięcia tak upragnionego celu. Wszyscy litowali się nad jej położeniem, wszyscy byli pewni, że jej dzieci są przeznaczane na wieczną nędzę i prostotę, wszyscy kiwali głową, słysząc marzenia matki względem naszej edukacji; ale to bynajmniej nie zachwiała ani jej przedsięwzięcia, ani ufności w najmłodszywą Opatrzność Boską. W jej sercu macierzyńskim głęboko leżało przekonanie, że swoim dzieciom da radę i pod starość ucieszy się owocem swoich krwawych wysiłków. W tych ciągłych zamiarach, łzach i modlitwach Bóg dobrotliwy natchnął jej myśl przeniesienia się do Międzyrzecza, gdzie były szkoły, i gdzie pracą mogłaby dzieci wyżywić i ukształcić; jednak brak pieniędzy dla najęcia mieszkania stanowił rozpaczającą tamę. Kiedy więc matka ubolewa nad tą przeszkodą, wtedy siostra Tekla, która na służbie potrafiła oszczędzić ze dwieście złotych, nie tylko oddała matce pieniądze, ale i siebie na usługę i pomoc dla wychowania braci. Takim to poświęceniem się i matki i siostry założył się początek naszego ukształcenia.

Z całą tą pomocą siostry była dziwna śmiałość prznosić się do obcego miasteczka, gdzie matka nie miała ani opieki, ani żadnej pomocy, a tylko na jednej i bardzo słabej nadziei utrzymywania uczniów budowała swój przytulek i wychowanie dzieci; ale z wiarą i ufnością w Boga jakiś cnotliwy zamiar może być niepodobny? Początek bardzo był ciężki. Najeto część oficyjny pijarskiej; oddawna stała pustką; okna powybijane obrazami przykryła, a mnóstwo gruzu trzeba było wynieść. Cały rok, jako nieznaną nikomu, nie mogła mieć uczniów, nie miała przeto za co nająć i sługi; w nocy, aby nikt nie widział, nosiła z siostrą wodę, prala bieliznę i najniższe spełniała posługi, a dniem szyła, robiła pończochy, aby jaki grosz na przeżycie zapracować...

814) *Str. 21—23.* Rok za rokiem położenie matki stawało się lepszem, bo starsi synowie nie tylko już nie byli ciężarem, lecz za wyjściem na dozorców przy bogatych uczniach mogli podzielać się z matką oszczędnym groszem. Tak przy ubóstwie było tam wiele przyjemnego, i nie bez rozczulenia obracam wzrok na te ubogie lata. Do dziś dnia stoi mi żywo w pamięci nasze pomieszkanie w Miedzyrzeczu. Pierwszą izbę sama zajmowała, a drugi, dość wielki, pokój z alkierzykiem były napełnione łóżkami studentów. W tej pierwszej izbie stało w jednym kącie łóżko matki, a w drugim siostry; piec i kuchnia przy progu, okno jedno wysoko umieszczone i ławeczką opatrzone, na której matka lubiła siadać do roboty i odmawiać modlitwy, lub śpiewać pieśni pobożne, a szczególnie: o Boskiej Opatrzności, w którą miała nieograniczoną ufność i w niej starała się utwierdzać swe dzieci. Pamiętam, że prócz nauk w tym względzie dawanych, zdziałał na mnie niezatarte wrażenie mały obrazek, gdzie jedna ręka w obłokach sypała ziarno ptactwu, a druga rzucała chleb sierotom. O! jakże często lubilem słuchać nauk o tej dobroci i opiece Boga, kiedy matka otworzywszy książkę do nabożeństwa, w której był obrazek wspomniany, tłumaczyła mi tę dziwną Opatrzność! — Dość pomyśleć, aby pojąć ten rozrzewniający widok biednej matki, otoczonej drobnymi dziećmi, żyjącej Opatrznością i śpiewającej o tej samej

Opatrzności, która, wedle wyrażenia pieśni, opuszczone kruczęta karmi. — Długo, długo, nie słyszałem tej pieśni, lecz kilka lat temu pokazywano mi pierwsze wydanie kantyczek, i przypadkiem otworzywszy książkę, trafiłem na pieśń o Boskiej Opatrzności, a czytając, nagle, z podziwieniem przytomnych, zalałem się łzami. Ach! bo z tą pieśnią związało się wspomnienie całe pożycie ubogiej rodziny: do jej słów przyłgnęły dla mnie na wieki i nuta i głos matki, na którego dźwięk w sercu, osobiwie po stracie tej najmilszej osoby, niepodobna się we łzach nie rozplynąć.

Albo, jak zapomnieć te słodkie wieczory, kiedy dzieci zgromadzone przy matce, wśród wesolej rozmowy, wśród marzeń przyszłości lub różnych opowiadań, znajdowały przyjemne po pracy wytchnienie. Pamiętam raz w czasie wakacji, kiedy przypadła imieniny matki, niektóre z dzieci umyślnie przyjechały dla złożenia powinszowań, i wtedy obudził się we mnie zapal do rymowania. O! jakże matka była szczęśliwa, nie tylko z widzenia szczerzej wdzięczności dzieci, ale i z tego, że książkę prefekt Żebrowski chwalił moją matkę...

815) *Str. 36—37.* „Mój Boże, co to się działo w domu, kiedy które dziecko przyjechało! Był to prawdziwy gwałt wykrzyków radości, ale smutek zawsze w niej przemagał, i po pierwszym dniu już następowała żalostwo z przyszłego odjazdu syna lub córki, i z każdym dniem silnie wzrastała. Nie można było nawet żartem powiedzieć: „Chcę wyjechać, bo mama nie bardzo ze mnie kontenta” — prawieby się do nóg rzuciła, aby tylko zatrzymać. Trudno bez wielkiej boleści serca wspomnieć chwile odjazdu, kiedy matka posępna i w milczeniu grobowem patrzyła ze łzą cichą na przygotowanie do drogi. Mój Boże! do dziś dnia w mojej pamięci stoi ta smutna postać ze łzami, która w chwili odjazdu stara się zebrać moje drobnotki; darmo proszę, aby się nie chciała trudzić, darmo wezmę z rąk jej rękawiczki, to kapelusze miejsce zastąpi, a jeśli i ten wezmę, to z inną rzeczą stoi przede mną w, niemej boleści: a to nie było skutkiem poważania swych dzieci, bo nikt lepiej nie umiał zachować godności macierzyńskiej, ale skutkiem nad-

zwyczajnej miłości, która znajduje największą przyjemność w najdrobniejszej usłudze lubemu przedmiotowi, co go ma stracić z przed oczu. O! smutny był każdy wyjazd, który matka długo, długo, łzawemi oczami przeprowadzała! O! smutniej i boleśniej jeszcze pomyśleć, że z jej stratą nic tej miłości nie zastąpił!...

CV.

## WISZNIEWSKI MICHAŁ

(1794—1865).

Znakomity dziejopis literatury polskiej należał do rozgależonego rodu herbu Prus I, którego członkowie pisali się Wiszniewscy, Wisniewscy, a nawet Wiszniowscy; jednym z protoplastów Michała Wiszniewskiego był Tobiasz Wiszniewski, poeta XVI w., słynny zaś prowincjał Pijarów, który odegrał znaczną rolę w dziejach „przewrotu umysłowego” w Polsce w XVIII w., ks. Antoni Wisniewski, był stryjem jego dziada, Joachima Wiszniewskiego, i wychował jego ojca, Aleksandra. Ród Wiszniewskich pochodził z Mazowsza. Tradycja rodzinna głosi, że Aleksander Wiszniewski służył pod Kościuszką i część majątku na wojnę poświęcił, a po bitwie pod Maciejowicami schronił się do Galicji. Około tego czasu ożenił się był z Marcyanną Borzkówną, córką Szymona Borzka, b. pułkownika wojsk polskich, i Zofii z Wężyków. Dnia 27 września 1794 r.<sup>1)</sup> urodził mu się w Firlejowie (pow. rohatyńskim, w ziemi Belskiej) syn Michał. Matka odumarała go w niemowlęctwie, ojciec mało się nim zajmował. Pod koniec życia, wspominając o latach swych dziecińczych, Wiszniewski przytoczył charakterystyczny szczegół, że mając lat 7, czytał „z takim upodobaniem i zajęciem się” *Żywoty Świętych Skargi*, iż mu już „przechodziła ochota udać się na pustynię i tam przy żywym źródle kryształowej wody żyć koronkami”. „Druga atoli książka, którą w tym wieku czytał, na wcale inną, jak opowiadał, zaprowadziła go ścieżkę, — wznieciła w nim chęć scienciey pełne” księdza Chmielowskiego. „Ta książka tem silniej mnie zajmowała, iż zacych ks. Chmielowski był proboszczem w Firlejowie, gdzie ja się urodziłem, a pierwsze kroki stawiałem w ogrodzie, który on pierwszy ozdobił był łacińskimi napisami

<sup>1)</sup> Według metryki; rodzina twierdzi, że w r. 1796.



na deszczkach, które w tym dziele pilnie i wiernie podał dla wiadomości potomnych» («Myśli» 104—106).

Gdy już Wiszniewski był pacholeciem, ojciec sprzedał swoją ziemię w Galicyi i przeniósł się na Wolyń; przodem umieścił syna w szkole elementarnej we Lwowie, a niebawem oddał go do tak zwanego wówczas «gimnazjum wołyńskiego», t. j. późniejszego liceum w Krzemieńcu. Tu odbywał nauki przez lat 7, od 1808 do 1815 r. (wstąpił do liceum w dn. 26 września 1808; otrzymał świadectwo ukończenia nauk dn. 1 maja 1815 r.); uczył się pilnie, a zachowywał przykładnie, ku zadowoleniu zwierzchności, za co też odbierał listy pochwalne. Od lat szkolnych datuje się cześć i uwielbienie, jakie Wiszniewski żywił przez całe życie dla Czackiego, i w pismach swoich kilkakrotnie złożył hołd jego pamięci i zasługom, czy to np. nazywając dobieg 1795—1814 w dziejach literatury naszej «epoką Czackiego», bo on «pierwszy zaczął», według jego mniemania, «z prochu ocierać zagrzebaną naszą literaturę», czy to wynosząc go, jako historyka, ponad Naruszewicza, czy ogłaszając na czele «Pomników historii i literatury polskiej» nieznanne jego pisma z rękopisu (Zob. Historia liter. pol. I. Pomniki — wstęp; «Myśli», 81).

Poza nauką szkolną w liceum oddawał się Wiszniewski gorliwie czytaniu dzieł filozoficznych i historycznych. Pewien wpływ na rodzaj lektury jego ówczesnej wywarły «Rady przyjacielskie» (1805) J. K. Szaniawskiego. «Młodzi naówczas wydzieraliśmy sobie w Krzemieńcu ową balamutną książkę, a idąc ślepo za nieszczerą, choć to młodzieńcowi, a do tego przyjacielowi dana rada, porwaliśmy się przed Kanta, ...którego p. Kalasanty jako cudo wieku i odcłaił mądrości przed nami zachwałal i za jedyny sposób podniesienia do najwyższego światła podawał... gryzłem więc książkę Kanta z taką zjadłością, jak Ugolino głowę swojego wroga. Parę najlepszych lat na tej niewdzięcznej upłynęło mi pracy, czego nieraz gorzko żałowałem... Czacki... był wprost przeciwnego zdania: nie chciał do ulubionej szkoły swojej wpuszczać metafizyki i nie radził zajmować się filozofią niemiecką. Tego zdania był Jan Śniadecki.» («Myśli», 107—108). Niebawem i Wiszniewski odwrócił się od metafizyki niemieckiej i idąc w ślady Czackiego i Śniadeckiego, zwrócił się ku filozofii szkockiej zdrowego rozsądku. Znajomość języka angielskiego, nabyta w liceum, pozwalała Wiszniewskiemu oddawać się studjowaniu historyków angielskich. «Kilka książek, które w pierwszej młodości mi pod rękę wpadły, jak Robertson, Gibbon i różne autobiografie, jak Franklina lub Karpińskiego, nadały mi wczesną dążność do dochodzenia prawdy metodą historyczną.» («Myśli», 80). Zamiatanie do historii i badań historycznych wzięcie też w latach dojrzałych Wiszniewskiego górę nad młodzieńczym pociągami do filozofii. Wielkiem ułatwieniem dla Wiszniewskiego w nabywaniu wiedzy były zasobne księgozbiory krzemienieckie. Żałował później tych chwil, spędzonych w bibliotekach, tego młodzieńczego zapалу, zużytego na wertowanie książek. «Najpiękniejszą

lata życia mego przepędziłem na wtajemniczeniu się w dzieła, które znalazłem w bibliotece Stanisława Augusta, do Krzemieńca przeprowadzonej, bibliotece zanego Tadeusza Czackiego, Tarnowskiego i wielu innych w okolicy. Najszaleńsze zwykle lata w życiu ludzkim smutnie mi przeszły w tym labiryncie i odmęcie rozumów i dowcipów ludzkich... A jednakże, o złota młodości! te widma oprawne bogato, ze złoconym herbem Ciotka, wyglądające z półek i szaf, rzędbami ozdobionych, wydawały mi się jakby wschodnie piękności, wychylały się z pod żaluzji. Rok 1812 obudził mnie był na chwilę z tego snu, który na nowo potem mniemanym szczęściem owładnął.» («Myśli», 8—9). Wiszniewski miał wtedy zamiar wstąpienia do wojska, t. j. pójścia w ślady i ojca i dziada, ale do tego nie doszło, «bo ci, co całą swoją młodość w wojsku przepędzili, jako to moi przyjaciele, gen. Błędownski, gen. Kropiński, właśnie wtedy wracali» (ib. 81).

Po ukończeniu nauk w liceum Wiszniewski przez parę lat pozostał w Krzemieńcu, zajmował się korepetytorstwem i pogłębiał swoje studia filozoficzne i historyczne w bibliotekach. W latach nauki i późniejszych studiów Wiszniewskiego w Krzemieńcu byli uczniami w liceum Tymon Zaborowski, Stefan Witwicki, Karol Śienkiewicz, Teodozy Sierociński, Józef Korzeniowski; czy z nimi Wiszniewski kolegował, niewiadomo; byli to, z wyjątkiem Sierocińskiego, o kilka lat młodszy od niego studenci; znał się z nimi niewątpliwie, a z Józefem Korzeniowskim, z którym później kolegował na katedrze profesorskiej, zawarł nawet bliższy, przyjacielski stosunek; do tajnego stowarzyszenia, związanego przez nich pod koniec roku 1815 pod nazwą «Klubu piśmienniczego», należeć już nie mógł.

W sierpniu 1818 r. 24-letni Wiszniewski ożenił się z 16-letnią Elżbietą Lisiecką i niebawem w jesieni tegoż roku wyruszył na studia naukowe do Włoch. W Medyolanie i Wenecyi (1819) pracował w bibliotekach; w Genui spotkał się z ks. Adamem Czartoryskim, który upodobał sobie młodego uczącego; Wiszniewski pozyskał poparcie księcia, wówczas kuratora okręgu wileńskiego, i odtądnie otrzymał posady profesora filozofii w Krzemieńcu. Tymczasem na dalsze studia udaje się do Paryża; tu widzi się ponownie z Czartoryskim i, z zachęty zapewne księcia, pisze (1820) rozprawę na konkurs, ogłoszony przez uniwersytet wileński, na temat: «Zasady logiki, metafizyki i filozofii moralnej». Czartoryski posyła ją Śniadekiemu, ale Wiszniewski znajduje współzawodnika w Józefie Gołuchowskim, którego praca, wyróżniona przez Śniadeckiego, zyskuje pierwszeństwo. Ks. Adam Czartoryski pisze w tej sprawie do Śniadeckiego w liście z Paryża (1821): «Żaluję, że wybór Uniwersytetu do katedry filozofii nie padł na Wiszniewskiego, przekonany będąc, że przy jego charakterze i wiadomościach, przy powołnym i zdrowym sąsiedzeniu o rzeczach, dostalibyśmy byli profesora, któryby z filozofii zrobił naukę powabną, dostępną i do zastosowania użytecznego sposobniejszą. Ułożył on teraz drugą, obszerniejszą dysertację, którą wraz po moim powrocie

W. M. Panu przesłał. Dowiedziałem się bowiem z wielką radością, że gótuje dzieło o filozofii. Wszakże i po p. Góluhowskim, którego tu w Paryżu z rekomendacją p. Szaniawskiego poznałem, niemniej do dobrego spodziewam się profesora. (Balliński: Pamiętniki o Janie Śniadeckim II, 434—5). Bardzo być może, że tą rozprawą konkursową Wiszniewskiego, odrzuconą przez uniwersytet wileński, (lub jej częścią) jest właśnie rzecz, pisana w Paryżu w r. 1820, a ogłoszona już po śmierci autora z rękopisu p. t. «O systematach filozofii moralnej» (Kron. Rodz. 1888)<sup>1)</sup>. Poparcie wice kuratora nie wpłynęło na decyzję uniwersytetu, który oddał pierwszeństwo zaleconej przez Śniadeckiego rozprawie. Co dziwne, że Wiszniewski w rozprawie swojej okazał się zwolennikiem tej samej filozofii szkockiej, którą Śniadecki wielbił, gdy Góluhowski był wielbicielem metafizyki niemieckiej i, aby się otrząsnął od niej, wysłał go właśnie uniwersytet wileński do Anglii i Szkocji!<sup>2)</sup>

W Paryżu słucha Wiszniewski wykładów Cousin'a, Guizot'a, Leona Say, obcuje chętnie z filozofem angielskim H. G. Macnab'em i pisze, być może pod jego wpływem, rozprawkę po angielsku, która tytułem («On Moral Philosophy») przypomina wymienioną powyżej pracę jego polską.

Z porady Piotra Maleszewskiego (który był spokrewniony z Wiszniewskim) jedzie Wiszniewski, pod koniec roku 1821, na dokończenie studiów, do Anglii i zapisuje się na uniwersytecie w Edyμβurgu. Studya naukowe nie przeszkadzają mu zawiązać bliższych stosunków nie tylko z profesorami, ale i z arystokracją angielską; bywa w Abbotsford'zie u Walter Scotta, obcuje z Dugaldem-Stewartem, jednym z filarów szkoły szkockiej. Po latach (w r. 1850), wspominając swój pobyt w Anglii, w liście do Waleryana hr. Krasińskiego, zamieszkałego w Edyμβurgu, pisze: «Znałem starego już wówczas Dugalda Stewarta, brałem lekcje ekonomii politycznej u Mac Culloch, wydawcy «Scotsman». Bywałem u prof. Pillans. Ale największą przyjaźń miałem z jednym młodym kupcem, gdyż wtenczas byłem *whig*, a nawet zakrawałem na zapalonego (bo i jakżeży Polak nie miał zapalonej głowy przynajmniej w miłości) *radical*. Więc nie bywałem na obiedzie, którym Anglicy obchodzą pamiętkę Pitta, ale na obiedzie na pamiętkę Foxa siedziałem do 4-ej godziny po północy, słuchając mowy dzisiejszego premiera, lorda John Russel, lorda Jeffrey etc.» W Londynie Wiszniewski chodził często na posiedzenia parlamentu, a artykuły jego sprawozdawcze, zawierające ciekawe dla Anglików spostrzeżenia, drukował chętnie «Times». W ogólności kultura Anglii zaim-

<sup>1)</sup> Może też ta rozprawa Wiszniewskiego jest tą «obszerniejszą dySSERTACJĄ», przesłaną z Paryża przez Czartoryskiego Śniadeckiemu, o której w liście do niego wspomina.

<sup>2)</sup> Jak biograf Śniadeckiego M. Balliński twierdził, zalecił rozprawę Góluhowskiego senatowi uniwersyteckiemu Śniadecki dla dobrego wykładu rzeczy i czystości języka. (Pam. o J. Śniad. I, 888).

ponowała Wiszniewskiemu, jak w kilka lat potem Słowackiemu i Stanisławowi Koźmianowi i, jak na Słowackim, Francya na nim uczyniła wrażenie niekorzystne.

Pod koniec roku 1822, czy też na początku roku 1823, Wiszniewski wraca do Krzemienia i zostaje profesorem filozofii w liceum. Wykłada tu zasady logiki i psychologii oraz, jak się zdaje, filozofii moralnej. Wykłady krzemienieckie krótko trwały, gdyż tylko przez rok 1823—4. Ostrzeżony podobno przez Czartoryskiego, (gdy Nowosilow rozpoczął już swoje rządzą w okręgu wileńskim i sprawa filarów była na porządku dziennym), Wiszniewski, który miał pewne powody obawiać się przesładowań, należał bowiem do któregoś z związków tajnych, opuszcza Krzemieniec i udaje się do Włoch.

W czasie swego krótkiego pobytu w Krzemieniu opracował Wiszniewski, na wzór głośnej podówczas książki panny Tańskiej, dziełko pedagogiczne pod tytułem: «Pamiętka po dobrym ojcu», w którym daje rady i wskazówki 18-letniemu młodzieńcowi, jak żyć powinien, aby był zdrow fizycznie i moralnie. Odbił się w nim umysł przenikliwy, trzeźwy zarazem i praktyczny. Dziwne były losy tej pierwszej pracy literackiej Wiszniewskiego. Przed wyjazdem za granicę powierzył rękopis krzemienieczaninowi, Teodozemu Sierocińskiemu, profesorowi szkoły wojewódzkiej zamojskiej (osławionemu później komentatorowi sonetów Mickiewicza), który miał się zająć jego wydaniem. Sierociński ogłosił «Pamiętkę» w roku 1825, «z rękopisu bezimiennego» pod swoim imieniem, pomnożywszy ją własnymi dodatkami, które jednak skrupulatnie gwiazdkami poznać. W następnych atoli dwóch wydaniach (z r. 1830 i 1838) tak «Pamiętkę» przerobił, że jej już Wiszniewski za swoją pracę uważać nie chciał i wolał się jej wyrecze, podając publicznie do wiadomości, że nie jego jest dziełem.

W latach 1825 i 1826 przebywa Wiszniewski we Włoszech, prowadzi studya historyczne w Padwie, Mantui, Bolonii, a szczególnie w Wenecyi, gdzie nabywa cenny księgozbiór i rękopisy, dotyczące historii Rzeczypospolitej Wenecyjskiej, od potomka doży. Da Ponte. Spędzwszy po powrocie do kraju zimę z r. 1826 na 1827 w Krzemieniu, osiada Wiszniewski z rodziną na wsi — najprzód w Liszni (pow. dubieński), majątku teściów Lisieckich, a następnie we własnej wsi Strzelce (pow. włodzimierski), którą w tych latach nabył. Na te lata przypadają stosunki Wiszniewskiego z rodziną Januszewskich, z wujem Słowackiego, Teofilem Januszewskim, i matką, panią Bęc, którą w Wilnie i Krzemieniu odwiedzał; tu poznał zapewne i ognistego Jalka, który z nim później, w ciężkiej dla siebie chwili (1839), zawiązał korespondencję. W tym też czasie pobytu swego na Woliwku oddał się Wiszniewski wyłożonej pracy literackiej i naukowej. Wykonczył «Bakona metodę tłumaczenia natury», rozpoczął «Charaktery rozumów ludzkich», opracowywał do druku krzemienieckie swoje wykłady logiki i psychologii (wydane dopiero w r. 1848 p. t. «O ro-

zumię ludzkim»; tłumaczył Historję Szwajcaryi Jana Müllera, pracował nad historją Wenecyi. Praca umysłowa i twórca Wiszniewskiego w tych kilku latach, wybuch powstania poprzedzających, była szczególnie intensywna i w dwóch kierunkach się zwracająca — w filozoficznym i dziejoznawczym. Spragniony wśród życia wiejskiego szerszej działalności i inteligentnej wymiany myśli, Wiszniewski obcuje równocześnie i koresponduje z Józefem Korzeniowskim, odbywa wycieczki do Wilna i Warszawy. W Warszawie znalazł się na wiosnę roku 1880 i wziął udział w posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 30 kwietnia owego roku. W sierpniu tegoż roku otrzymuje od Józefa Żaluckiego, kuratora Uniwersytetu Jagiellońskiego, wezwanie do objęcia katedry filozofii w uniwersytecie, o którą ubiegał się Wiszniewski z wielu innymi kandydatami (pomiędzy nimi był Karol Mecherzyński). Trudności pasportowe wstrzymują natychmiastowy wyjazd jego za kordon, do Krakowa. Tymczasem wybuch powstanie.

W ruchu narodowym bierze Wiszniewski udział, niewyjaśniony jeszcze należycie; odgrywa rolę zagadkową, o której wiadomość mamy z jednego tylko źródła, więc trzeba ją przyjąć z zastrzeżeniem. Na wieść o wybuchu w Warszawie, obywatelstwo wołyńskie, w sekretrem zgromadzeniu, obrato Michała Wiszniewskiego posłem do polskiego rządu, dając mu polecenie, aby żądał posłania bezwzględnego kilku pułków polskiego wojska na Wołyń, do których pułki litewskie, pod dowództwem oficerów polskich, na Wołyniu rozkwatrowane, przyłączyć się były gotowe, «co by było taką siłą moralną rewolucyi, że wojsko polskie w kilku marszach mogło zająć Wołyń, Podole i Ukrainę». Z misją tą Wiszniewski udał się do Warszawy. W Lublinie próbował namówić generała Wincentego Szepetyckiego do ruszenia z pułkiem ułanów na Wołyń, ale bezskutecznie. W Warszawie przedstawił swą misję księciu Czartoryskiemu, ale spotkał się z odmową. Nie powiodło mu się i z dyktatorem Chłopickim, którego, wraz z Mochnackim<sup>1)</sup>, usiłował przekonać o konieczności wysłania wojska na Wołyń i przyjęcia taktyki czynnej, zamiast wyczekującej. Wtedy zgłosił się Wiszniewski ściślej z opozycją, z Lelewelem, z Mochnackim. W duchu poglądów Mochnackiego pisał artykuły polityczne w «Kuryerze polskim» i w «Nowej Polsce». Podczas jego nieobecności Rosyanie zajęli Strzelece, a rodzina jego musiała szukać schronienia w Galicyi. Wiszniewski wyjeżdża do Krakowa i ponawia energiczne zabiegi o uzyskanie katedry w uniwersytecie.

Tymczasem Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa, który jeszcze w listopadzie roku 1880 mianował był Wiszniewskiego profesorem filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim, po wyjeździe znenawidzonego kuratora, generała Żaluckiego, do Warszawy, cofnął swoją

<sup>1)</sup> Mochnacki nie wspomina o misyi Wiszniewskiego i jego działalności, aby, jak utrzymuje Adam Wiszniewski, syn Michała, nie skompromitować go wobec rządu rosyjskiego.

nominację i oddał katedrę poprzedniemu profesorowi filozofii, Jankowskiemu. Tedy Wiszniewski zgłosił się do Senatu o wakującą po śmierci prof. Juliana Czermińskiego katedrę historii powszechnej. Pomimo oporu niechętny Wiszniewskiemu Wielkiej Rady Uniwersytetu Jagiellońskiego, (do której należał też dziekan wydziału filozoficzno-literackiego, Jerzy Samuel Bandtkie), otrzymał Wiszniewski, za wstawieniem się prezesa Rządu Narodowego, księcia Czartoryskiego, od Senatu Rządzącego w październiku 1881 patent na profesora historii uniwersalnej. Wykłady rozpoczął jeszcze w półroczu zimowym 1881—82. W tym samym roku 1881 Towarzystwo Naukowe Krakowskie obrało go swoim członkiem czynnym. W Krakowie, gdzie połączył się niebawem z rodziną, pozostał Wiszniewski przez czas pewien w wielkiem niebezpieczeństwie: groziło mu, jako emigrantowi i podejrzanemu o udział w ruchu narodowym, wydalenie, a nawet zaarrestowanie przez władze rosyjskie, które każdej chwili mogły się wraz z wojskiem w Wolnem Mieście Krakowie (zostającym pod opieką rezydentów trzech mocarstw opiekuńczych) zjawić.

W r. 1883 przybyła do Krakowa Komisya Reorganizacyjna, wyznaczona przez trzy dwory opiekuńcze, która zabrała się i do reorganizacji uniwersytetu Jagiellońskiego. Pozostawiono Wiszniewskiego przy katedrze historii uniwersalnej, polecono mu nadto wykład historii literatury porównawczej, na miejsce usuniętego profesora, Pawła Czaykowskiego. Starania Wiszniewskiego u rządu rosyjskiego o zniesienie sekwestru nad majątkiem jego wołyńskim i pozwolenie powrotu nie odniosły pożądanego skutku, warunki bowiem, jakie rząd przytem Wiszniewskiemu postawił, były niewykonalne.

W latach od 1884—37 Wiszniewski wydaje dawniejsze swoje prace z zakresu filozofii i psychologii — «Bakona metodę»<sup>1)</sup> i «Charaktery rozumów ludzkich», ale studia swoje poświęca teraz niemal wyłącznie badaniu źródeł dziejowych, dotyczących historii powszechnej; z chwilą rozpoczęcia wykładów historii literatury, skierowując swoją uwagę i na źródła, jej dotyczące. Pierwszym owocem tych badań były «Pomniki historii i literatury polskiej» w latach 1885—37 wydane; ogłosił tu z rękopisu nieznaną rozprawę Tadeusza Czackiego, oraz Kallimacha «Żywot Grzegorza z Sanoka», poprzedziwszy te «pomniki» rozprawą «O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polskiem przed Długoszem», w której o «kunszcie historycznym» i zadaniu historyka wymownie się rozowiada.

W roku 1885 należy Wiszniewski do komiteta, urządzającego szkołę techniczną w Krakowie, oraz do komisji, wyznaczonej dla porównania siedmiu kodeksów historii polskiej Kadłubka, znajdujących się w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego, i ustanowienia sposobu

<sup>1)</sup> «Metodę Bakona», jak podaje sam Wiszniewski, ocaila z rękopisów, na Wołyniu pozostających, jego żona i «za ostatni prawie grosz, jaki jej z ówczesnej rozsyпки pozostał, w Krakowie wydała». («Myśl», 82).



jej wydania, które jednak do skutku nie doszło. W tym roku odbył Wiszniewski wycieczkę do Karlsbadu dla pokrzepienia zdrowia, spędził tu kilka tygodni w towarzystwie dogorywającego Brodzińskiego i Wacława Hanki, z którym potem nawiązał korespondencję. Z Karlsbadu podążył do Pragi.

Podczas rządów »konferencji« rezydentów trzech opiekuńczych dworów w Krakowie Wiszniewski powołany zostaje na początku roku 1836 przez Senat Rządzący na dyrektora liceum św. Anny oraz szkół wydziałowych Rzeczypospolitej Krakowskiej (po księdzu Janie Schindlerze). Urząd ten piastował Wiszniewski przez lat niespełna cztery, do końca września 1839 roku. Jednocześnie, t. j. w roku 1836, wszedł Wiszniewski do Wielkiej Rady Uniwersytetu. Wybór swój na te urzędy zawiądzając zaufaniu, jakie zdołał pozyskać u sfer konserwatywnych i u rezydentów, co jednak nie rzuciło cienia na jego działalność na tych stanowiskach. Była ona nieopisakowanie polska i, pomimo wielkich trudności, była czujnością trzech rezydentów, owocną; szkolnictwo ówczesne krakowskie zawdzięcza Wiszniewskiemu wiele zbawienych reform, duchem postępowym nacechowanych. Wybrany w lipcu 1839 dziekanem wydziału filozoficznego uniwersytetu Jagiellońskiego, Wiszniewski składa godność dyrektora liceum św. Anny. Z urzędu, jako dziekan, powołany został do delegacji, wyznaczonej do opracowania nowego statutu dla Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, w owym czasie jeszcze z uniwersytetem Jagiellońskim złączonego.

W dobie swego urzędowania Wiszniewski zbierał już po bibliotekach i opracowywał materiały do swej pomnikowej »Historii literatury polskiej« i zawiązał w tym celu ożywioną korespondencję z uczonymi polskimi i słowiańskimi; uczeni w Krakowie osiedli, jak np. A. Z. Helcel, Józef Muczkowski, niechętni byli Wiszniewskiemu; w »Kwartalniku Naukowym« Helcla ukazywały się niepochlebne dla Wiszniewskiego recenzje jego pism. Urząd dziekana sprawował Wiszniewski do roku 1841 (od 22 lipca 1839 do 29 lipca 1841). W tym roku opracowuje jeszcze, na żądanie wydziału, a z polecenia Towarzystwa Naukowego, »Plan książki elementarnej dla szkółek parafialnych«. Odtąd, poza obowiązkami profesorskimi, zatapia się już wyłącznie niemal w pracy nad »Historią literatury polskiej«. Rozkłada warsztat swój naukowy na szeroką skalę, rozsyła na wszystkie strony, do pisarzy i uczonych, kwestyonaryusze i prośby o nadesłanie materiałów i przyczynków, gromadzi je i segreguje, myśląc wciąż o całości, obejmującej dzieje kultury polskiej od zamierzchłych czasów, aż do najnowszych. Tom I-szy wydaje w roku 1840, poczem idą szybko po sobie tomy następne; w pięć lat po pierwszym (w r. 1845) wychodzi już tom VII-y, ale niebawem dzieło i wydawnictwo przerywa się z powodu wypadków politycznych lat 1846—1849, w których Wiszniewski pewien udział bierze.

»Historia literatury« Wiszniewskiego, z wielkiem zaciekawieniem

i uznaniem przez publiczność i krytyków przyjęta, wywołuje z drugiej strony szereg nieprzychylnych recenzji. Rozgłosz dzieła i jego autora sprawia, że się redaktorowie wydawnictw ze wszystkich dzielnic Polski zgłaszają do Wiszniewskiego z zaproszeniem do współpracownictwa (Skimborowicz, Tyszyński, Popliński, Łukaszewicz, Libelt, Przedziecki, Orgelbrand); że uczeni, jak Trentowski np. i Antoni Waga, aspirujący do katedr uniwersyteckich, zwracają się do niego z prośbą o poparcie. Znacznym spadkiem, odziedziczony po stryju, i sprzedaż majątku, z którego rząd rosyjski zdjął sekwestr, pozwalają Wiszniewskiemu przedsięwziąć różne operacje finansowe. W 1845 r. zwiędza po raz trzeci Włochy, od Wenecji aż do Sycylii, robi poszukiwania po bibliotekach, co mu nie przeszkadza przejmować się dziełami sztuki; owocem tej podróży będzie cenna książka p. t. »Podróż do Włoch« (wyd. w r. 1848). Po powrocie zabiera się do opracowania propedeutyki historycznej (»Nauka historii«), ale wydawnictwo, przygotowane już w roku 1846 do druku, do skutku nie dochodzi.

Nadszedł groźny w następstwie dla Wolnego Miasta Krakowa rok 1846. Towarzystwo demokratyczne przygotowywało na emigracji powstanie i stało emisaryuszów we wszystkie dzielnice Polski, przedewszystkiem do Wielkopolski i do Galicji; a Rzeczpospolitą krakowską nie przedstawiała dla nich na razie gruntu podatnego; rej w niej wodziły żywioły spokojniejsze i umiarkowane, rewolucyjnie nie usposobione — Senat Rządzący, profesorowie, szlachta wiejska i miejska, kupcy. Gdy jednak wojsko austriackie, po chwilo-wem zajęciu Krakowa, dnia 22 lutego z miasta ustąpiło, a za nim podążyli rezydenci, oraz Senat z prezesem swoim i milicją, natychmiast utworzył się rewolucyjny rząd narodowy, który 24 lutego ogłosił dyktatorem Jana Tyssowskiego; prawą ręką dyktatora, a właściwie duszą rewolucyi, był zdolny pisarz, młodzieńki Edward Dembowski. Sferę umiarkowaną obywatelstwa krakowskiego, które reprezentowali głównie profesorowie uniwersytetu, obawiając się radykalnych zarządzeń niebudzącego w nich zaufania Rządu Narodowego, postanowili obalić ten rząd i ująć ster władzy w swoje ręce. Do tego celu i do wykonania zamachu obrano Wiszniewskiego. Rankiem dnia 25 lutego Wiszniewski, przy pomocy gwardyi akademickiej, opanowuje siedzibę rządu rewolucyjnego w Szarej Kamienicy, ogłasza się »Naczelnikiem narodu polskiego« i zmusza Tyssowskiego do zrzeczenia się władzy, a ujawszają w swoje ręce, rozpoczyna rządy od podpisu szeregu proklamacyi i rozporządzeń. Ale rządy te Wiszniewski niedługo sprawuje; tego samego dnia jeszcze Dembowski, poruszony tłum wieścią (zresztą bezpodstawną) o porozumieniu się Wiszniewskiego z Rosyanami i zbliżeniu się Kozaków do Krakowa, wkracza wraz z Tyssowskim do sali posiedzeń i zmusza Wiszniewskiego do ucieczki, poczem Tyssowski obejmuje dyktaturę ponownie. Zwolony sąd rewolucyjny skazuje Wiszniewskiego za zdradę na śmierć; on tymczasem przekroczył był granicę pruską i znalazł się na Śląsku, we Wrocławiu. Tu spot-

kał się z Aleksandrem Wielopolskim, który układał właśnie swój słynny »List szlachcica polskiego do księcia Metternicha« z powodu rzezi galicyjskiej (Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Galicie, adressée au prince de Metternich).

Po zajęciu Krakowa przez wojska sprzymierzeńce Wiszniewski powraca w drugiej połowie marca. Komisya śledcza wojskowa rządów opiekuńczych, a po wcieleniu Krakowa do Austrii (w listopadzie 1846 roku) rząd austriacki wytoczył Wiszniewskiemu proces o udział w ruchu rewolucyjnym. Dzięki wstawieniu się, przybyłego dla wizytacji uniwersytetu Jagiellońskiego, hr. Leona Thun'a i komisarza austriackiego, hr. Deym'a, Wiszniewski uzyskał w r. 1847 paszport tymczasowy na wyjazd do Włoch, dokąd wywiózł swoją rodzinę, i powrócił w jesieni do Krakowa; musiał teraz rozpocząć wykłady historii literatury polskiej i powszechnej, katedrą bowiem historii uniwersyteckiej powierzono komu innemu. Rozgoryczony opinią, szerzącą się o nim, że dokonał zamachu na rząd rewolucyjny w celu sprowadzenia wojsk sprzymierzonych do Krakowa (tak też zresztą sam swoją rolę w rewolucji roku 1846 tłumaczył przed sądem austriackim, aby się od odpowiedzialności uwolnić), Wiszniewski postanawia opuścić kraj na zawsze. Jeszcze w roku 1846 powziął ten zamiar i zabrał się do likwidowania wszelkich swoich interesów w Krakowie. Konstantem Macewiczowi odprzedał swoją »Historję literatury polskiej« i inne dzieła; powierzył mu oraz materiały do dalszych tomów »Historji« do przechowania, mając zamiar w przyszłości pracy podjętej dokończyć. »Było tam — pisze sam Wiszniewski — dużo rozpraw i opisów, zupełnie ukończonych, a szczególnie do Stanisławowskiej epoki bogate źródła«.

Tymczasem nadszedł brzemienny w wypadki rok 1848. W Wiedniu wybuchła rewolucja. W dniu 17-tym marca, w chwili powszechnego entuzjazmu w Krakowie i rozbudzonych nadziei, Wiszniewski podczas uroczystego posiedzenia w sali uniwersyteckiej wygłosił pełną zapału mowę, z powodu wypadków, zwiastujących wolność, którą zakończył, w odpowiedzi na okrzyk Wiedeńczyków: »Niech żyją Polacy!« okrzykiem: »Niech żyją Wiedeńczycy!« Niebawem rozpoczął wydawnictwo pisma w duchu liberalnym, lecz umiarkowanym p. t. »Jutrzenka«. Ale, po wydaniu kilku numerów odstąpił redakcyę komu innemu, zniechęcony zapewne napisaściami niektórych gazet krakowskich na »Jutrzenkę«, na kierunek pisma zbyt konserwatywny i na redaktora, którego przeszłość polityczna nie budziła wśród sfer rewolucyjnych zaufania. Na wieść o wybuchłej w Medyolanie rewolucji Wiszniewski wyjeżdża nagle z Krakowa, w połowie kwietnia, wśród roku szkolnego, do Włoch, aby się połączyć z pozostawioną w Medyolanie rodziną; wyjeżdżając, złożył na ręce rektora, Brodowicza, podanie o dymisyję i emeryturę. Przed ostatecznym opuszczeniem Krakowa zdołał jeszcze opracować tom VIII-ny swojej »Historji literatury«.

Opuściwszy Medyolan, gdzie się poznał z Mickiewiczem, który

tu organizował legiony, osiadł Wiszniewski, wraz z rodziną, w Genui (w Piemencie). W listopadzie Senat akademicki uniwersytetu Jagiellońskiego wezwał go do powrotu, ale Wiszniewski jednocześnie w liście do rektora, dr. Józefa Majera, zrzekł się ostatecznie profesury krakowskiej, podając za powód odebranie mu katedry historii powszechnej i słabe zdrowie. Wtedy Majer zwrócił się z propozycją do Mickiewicza, który ją przyjął, ale rząd austriacki, jak się zdaje, zatwierdzić go nie chciał. W rok potem, w październiku r. 1849, przesłał Wincenty Pol Wiszniewskiemu list ministra oświaty austriackiego, hr. Leona Thun'a, w którym ten wzywał go do powrotu do Krakowa i objęcia ponownego katedry historii literatury polskiej, ale Wiszniewski odmówił, wymawiając się chorobą. Katedrą ostatecznie zajął Karol Mecherzyński.

W Genui przemieszał Wiszniewski lat dziesięć, przenosząc się od czasu do czasu, dla kuracji nadwątłego zdrowia, w okolice miasta: to do Sturli, to do miejscowości Varenna. Wszedł w bliższe stosunki z Cavour'em, pracując z nim razem w redakcyi dziennika »Il Diritto«. Gdy ten został ministrem skarbu sardyńskim, przedstawił mu projekt Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Cavour nieraz potem zasięgał jego rady. Król Wiktor Emanuel obdarzył Wiszniewskiego orderem i tytułem księcia. Przez szczęśliwe obroty pieniężne dorobił się Wiszniewski znacznego majątku, który się jeszcze podwoił po zamachu stanu Ludwika Napoleona dnia 2 grudnia 1851 roku. To zбоżacenie się swoje zawdzięczał Wiszniewski po części Zygmuntowi Kraszińskiemu, pod wrażeniem bowiem rozmowy z nim w roku 1851, w której przepowiedział mu zamach Ludwika Napoleona i powodzenie jego, kupił po niskiej cenie rentę piemontcką, której wartość, po zamachu, w dwójnasób się zwiększyła. (Na list z tego powodu dziękczynny Wiszniewskiego Krasziński w liście z dnia 14 grudnia 1851 r. odpowiadał: »Zupełnie i czysto duchowo, bo jedynie przeczuć, wpłynęłam na kierunek materialny Pańskich interesów«). W kilka lat później, w roku 1858, Wiszniewski, wskutek przesilenia finansowego, cały ten niemal dorobek pieniężny utracił.

Z literaturą i na emigracyi dobrowolnej Wiszniewski nie zrywa; pisuje artykuły do pism włoskich i korespondencye do polskich (do »Gazety Codziennej« Kraszewskiego w roku 1860, do »Kuryera Wileńskiego«, do »Gazety Narodowej« lwowskiej). W latach 1850—53 Wiszniewski opracowuje po angielsku i rozszerza »Charaktery rozmów ludzkich«, które wydaje pod pseudonimem Whitecross'a w Londynie (w r. 1853) p. t. »Sketches and characters«, układa »Słownik polsko-angielski«, poświęcając go młodzieży polskiej (1854) i zachęcając ją do bliższego poznania literatury angielskiej, którą przekłada nad francuską, za szkoldką przez siebie uważaną, i niemiecką. W ostatnich latach pisze »Historję Jezuitów«, pracuje nad historją XIX w., (którę dokończyć, z powodu choroby i śmierci, już nie może, kreśli wreszcie dla młodzieży »Myśli o ukształceniu siebie samego«, prze-

platając rady swe, owoc całoczytowego doświadczenia, wspomnieniami autobiograficznymi i melancholijnymi utyskiwaniami na niewdzięczność ziomków.

Pomimo materialnego dobrobytu i uznania w pewnych sferach, Wiszniewski, znękany przeciwnościami życia, do żywego dotknięty samowolnym wydaniem w roku 1857 przez Aleksandra R. Przedzieckiego i Teofila Żebrawskiego nieopracowanych materiałów, jako tomy IX i X jego »Historii literatury polskiej<sup>1)</sup>, przeżył ostatnie lata w ponurym nastroju ducha. W takim stanie znalazł go w roku 1858 w willi Danino pod Genuą, J. I. Kraszewski<sup>2)</sup> i skreślił przejmującą charakterystykę starca w swych »Kartkach z podróży«. Gorycz i żal do rodaków przebija się w tych słowach jego »Myśli o ukształceniu siebie samego«: »Na tym świecie materialnym i niesprawiedliwym najwięcej ucierpiałem z woli drugich. Chciałem polepszenia kraju, a moja bezwładność przeciw mnie się obróciła. Gdy wejść w grób nicości, nie będę żałował tego świata, który mnie nie rozumiał i który mi oddał niesprawiedliwość wszystko, co dla niego z miłości uczyniłem. W innym życiu może znajdę nieskończoność, której tu nadaremnie szukałem... Przewidziałem horyzont wielkości i spokoju dla swych braci, ale oni mej myśli nie zrozumieli; ja jeden przeżyłem upadek... Lecz ten świat nie jest prawdziwym życiem — bo wszystko jest zmyśleniem i próżnością. Ojczyzną moją będzie ta, gdzie kochają dla kochania. Ja silnie tak kochałem wszystkich, co cierpią, a byłem zapomniany i często zdradzany. Pozostali mi tylko święte uczucia i przywiązanie familii — bo moi rodacy mnie opuścili... Dumając w ustroju od świata, od którego uciekałem, widzę, że nic niema lepszego nad godność duszy... Oddany myślom wśród walki i smutku, wzdycham do wieczności, jak cudzoziemiec, który z daleka widzi obie caną ziemię i którą przeze mnie już poznał, bo patrzy i widzi obyma duszy dalej, niżli nasza nędzna ziemia zasięgnąć potrafi.« (Rozdz. XII).

W jesieni roku 1859 Wiszniewski opuścił Genuę i obrab sobie, z porady lekarzy, za miejsce stałego pobytu Nissę. Choroba sercowa, która oddawna nurtowała jego silny organizm, powaliła go wreszcie na łożo, z którego nie wstał. Zmarł 22 grudnia 1865 r.

Pod względem przekonań politycznych nie należał Wiszniewski do żadnej partji, ani arystokratycznej, ani demokratycznej, przechylał się jednak bardziej ku konserwatystom, czego dowodzą liczne jego przez całe życie bliskie i serdeczne nieraz stosunki z arystokracją

<sup>1)</sup> Zob. urywek autobiograficzny Wiszniewskiego w rękopisie Bibl. Ossol. Nr. 3294, ulamkowo drukowany w »Myślach«, a ogłoszony przez Biegeleisena w »Tygodniku Narodowym« 1901 r.

<sup>2)</sup> Kraszewski oddawna był z Wiszniewskim w listowych stosunkach. Wiszniewski darował mu swą bibliotekę, w Strzelcach pozostawiona, która przewieziono do Hublina. Osobiście spotkał się z nim parą pierwszą w r. 1858.

rodową polską i cudzoziemską, z królem Wiktorem Emanuelem włoskim, z Oskarem szwedzkim.

Umysł jasny, trzeźwy, wykształcony na filozofii szkockiej, filozofii zdrowego rozsądku, pokrewny Janowi Śniadeckiemu, zwolennikowi tej samej filozofii, ale rozleglejszy, nie tak ciasny i ograniczony; pokrewny i Brodzińskiemu, ale bystrzejszy — nawołuje on do równowagi między rozumem a imaginacją, która prowadzi do jasności w myślach i gruntowności w rozumowaniu; pobudza wciąż do ćwiczeń umysłu, do myślenia o własnych siłach, inaczej nie stworzy miś nowego, nie oryginalnego, lecz będziemy naśladować, a umysł nasz zniechęli nieje. Poznajmy więc naturę umysłu ludzkiego. Najszacowniejszy przmiot umysłu to zdrowy rozsądek. Nie otwórz on nam podwoi świata nadprzyrodzonego, ale wystarczy do życia na tym ziemskim padole. W tym mniej więcej duchu przemawia do młodzieży, w tym duchu wyklada. Pełen troski o jej zdrowie umysłowe i moralne, przeznacza i poświęca »dla pożytku młodzieży polskiej« szereg dzieł i dziełek, przejrzyste i jasno opracowane.

Troska ta o pożytek młodzieży zaprzęta jego umysł przez całe życie — rozpoczyna swą działalność pisarską od rad pedagogicznych dla młodzieży (»Pamiętka po dobrym ojcu« 1825) i kończy radami dla niej (»Myśli o ukształceniu siebie samego« 1862). Dla niej pisze książkę »O rozumie ludzkim«, dla niej układa »Słownik polsko-angielski«.

Choć napisał kilka dzieł treści filozoficznej, nie był Wiszniewski umysłem prawdziwie filozoficznym: miał umysł rozległy i fantazyjny lotny, ale nie miał uzdolnienia do metodycznego myślenia i do syntetyzowania faktów. Jako zwolennik filozofii szkockiej, niecierpiał metafizyki niemieckiej; to też sąd o niej niepochełbny, nigdy jej wielbiciela, Mochnackiego, który ją nazwał »filozofią czczości«, z zadowoleniem z artykułu jego »O rewolucji w Niemczech« sobie wypisał (zob. rękopis w Bibl. Ossol.). Pod koniec swego zawodu naukowego stanął Wiszniewski w poglądzie swoim na filozofię, którą utożsamiał z metafizyką, na stanowisku, które później zajął Lewes, uczeń Comte'a — wykazywał jej nicność, bo obraca się wciąż w błędnem kole (»Myśli«, 109—110). Historia filozofii ma być »historią próżnych usiłowań ludzkiego rozumu«. Inaczej o niej pisał w przedmowie do »Bakona metody« (XVI—XVII). W młodzieńczej swej rozprawie (»O systematach filozofii moralnej« 1820) pisał, pełen przeświadczenia o prawdziwości swoich słów: »Powątpiewać nie można, aby filozofia szkocka, ile mając dobrą metodę... w końcu wszystkich żądań rozumu zaspołnić nie miała, śledząc, co rozum wiecieć pragnie i co wiecieć może; starcem będąc, zwątpił już i o wartości filozofii szkockiej: »Żądna filozofia — ani grecka, ani niemiecka, ani tem mniej francuska i szkocka, nie potrafiła rozwiązać wielkich zagadnień, do których rozum — zaraz, poczuwszy w sobie męskie siły — zwykle się zrywa. Rozwiązała je religia.« (»Myśli o ukształceniu siebie samego« 1862).



Pomimo, że są pod pewnym względem przestarzałe, trzy dzieła Wiszniewskiego treści filozoficznej: »Bakona metoda tłumaczenia natury«, »Charaktery rozumów ludzkich« i »O rozumie ludzkim« (przejętą wykład psychologii i logiki), nie utraciły i dziś swej wartości kształcącej.

Nie jako filozof przecieł, lecz jako historyk literatury zajął Wiszniewski wybitne stanowisko w dziejach piśmiennictwa naszego. Jego »Historia literatury polskiej«, choć nie jest ukończona i pod niejednym względem wartość swoją dziś, wobec olbrzymiego postępu badań w dziedzinie dzieł piśmiennictwa polskiego, utraciła, pozostanie w historyografii literatury polskiej dziełem pomnikowym. Filozoficzne wyształcenie Wiszniewskiego pozwoliło mu ująć szeroko zjawiska literackie, w ciągu wieków się ukazujące, i zamiast historii literatury, w ścisłem tego słowa znaczeniu, utworzył dzieje cywilizacji w Polsce, na szerokim tle europejskim. Jest nadto dzieło Wiszniewskiego pierwszą źródłową i pierwszą krytyczną historią literatury polskiej, wykłady bowiem Brodzińskiego, nie zakrojone na skalę europejską, miały po części tylko ten charakter, nie były zresztą w swoim czasie drukiem ogłoszone. Pomimo że w niejednej wiadomości, w niejednym sądzie (np. w niekrytycznej, na fantazyj osnutej charakterystyce Grzegorza z Sanoka) jest »Historia literatury« Wiszniewskiego dziś już przestarzała, pozostanie na długo jeszcze skarbnicą wiadomości, ze źródeł zaczerpniętych (ogłosił np. niejedną nieznaną tekst staropolski z rękopisu, np. Ortyłe magdeburjskie) i sądów trafnych, a nie raz bystrzych (np. określenie na wstępie zadania historyka literatury, ocena »Odprawy posłów greckich« Kochanowskiego). Współcześni nie docenili dzieła Wiszniewskiego, a niektórzy znaczenie jego i wartość przesadnie obniżyli; dziś słusznie uznano je za podstawowe w badaniach nad dziejami piśmiennictwa polskiego. Wiszniewski był przede wszystkim historykiem cywilizacji, a że zadanie historyka rozumiał doskonale, dowodzi tego to, co o »kunszcie historycznym« (t. j. sztuce dziejopisarskiej) we wstępnej do »Pomników historii i literatury polskiej« rozprawie napisał.

## BIBLIOGRAFIA.

I. **Pisma Wiszniewskiego:** »Pamiętka po dobrym ojcu, z rękopisma bezimiennego przerobiona, pomnożona i wydana przez Teodozego Sierocińskiego, profesora szkoły wojewódzkiej zamojskiej«. W Warszawie, 1825. Dodane przez siebie ustępny oznaczył Sierociński gwiazdkami. Wyd. 2-gie wyszło p. t. »Pamiętka po dobrym ojcu, z rękopisma bezimiennego drugi raz przerobiona, pomnożona i wydana dla użytku młodzieży przez T. Sierocińskiego, profesora języka polskiego i literatury w Liceum warszawskim«.

W Puławach, 1830. Wyd. 3-cie wyszło w Warszawie 1838; jest przedrukiem bez zmian wydania drugiego. Poraz pierwszy w tekście pierwotnym, bez dodatków Sierocińskiego, wydał »Pamiętkę« Wł. R. Korotyński p. t. »Pam. po d. o.« Z przedmową Wł. R. Korotyńskiego. Wydanie nowe, ozdobione portretem autora. Warszawa, 1897. — »Bakona metoda tłumaczenia natury, którą Michał Wiszniewski wyłożył i przydał wiadomość o Sędziwoju, alchemiku polskim«. W Krakowie 1834. Wyd. drugie wyszło w Warszawie w r. 1876 (w Bibl. najceln. utw. liter. europ.) — »Pomniki historii i literatury polskiej«. 4 t. W Krakowie, 1835—1837. Zawierają głównie »Rozprawy« Tadeusza Czackiego (»O rzeczy mienicznej«, »O Cyganach« i inne); w t. IV tegoż zbioru wydrukował poraz pierwszy »Żywot Grzegorza z Sanoka« Kallimacha (po łac); na czele tomu I-go umieścił Wiszniewski, jako wstęp, rozprawę (»Przedmowę«) p. t. »O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polskiem przed Długoszem«. — »Charaktery rozumów ludzkich«. W Krakowie, 1837. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione, tamże w r. 1842; wyd. 3-cie wyszło w Warszawie w r. 1876 (w Bibl. najceln. utw. liter. europ.) — »Historia literatury polskiej«, 7 tomów. Kraków, 1840—1845; t. 8-my, przygotowany przez Wiszniewskiego do druku, wydał Konstanty Macewicz w r. 1851; t. 9-ty, opracowany z materiałów, pozostałych po Wiszniewskim, i t. 10-ty, zawierający spis alfabetyczny autorów, wydał, bez wiedzy i zgody autora, Teofil Żebrawski, nakładem Aleksandra hr. Przedzieckiego, w r. 1857. — »O rozumie ludzkim, jego siłach, przymiotach i sposobach kształcenia, napisał M. W. dla pożytku kształcącej się młodzi płci obojgiej«. Warszawa, 1848. — »Podróż do Włoch, Sycylii i Malty« 2 t. Warszawa, 1848; wyd. 2-gie tamże w r. 1851. — »Sketches and characters or the Natural History of the human intellects«. By James William Whitcross. London, 1853. (Whitcross — pseudonim Wiszniewskiego); jest to rozszerzone (375 str. in 8-o) angielskie opracowanie »Charakterów rozumów ludzkich«. — Po śmierci Wiszniewskiego wydano z rękopisu »Myśli o ukształceniu siebie samego«. Dzieło pośmiertne z portretem i biografją autora przez Ludwika Niesiołowskiego. Warszawa, 1873. — Rozprawy i artykuły w czasopismach: »Grzegorz z Sanoka« (w Roczniku Tow. Nauk. Krak. XVI, 1841). — »O narodzie staropruskim przed zakonem teutońskim«. (1832). — »Kunst poetycznej i historyczny u Greków i Rzymian« (1833). — Artykuły w »Kuryerze Polskim« i »Nowej Polsce« (1831), w »Tygodniku Literackim«, »Oregodniku Naukowym« i »Dzienniku Domowym« (pozn.), w »Jutrzence« (1848), w »Kuryerze Wileńskim«, w »Gazecie Narodowej« (lwów), i w »Gazecie Codziennej« (Kraszewskiego) w l. 1860—61, w Encykl. Orgelbranda; pisywał też do gazet angielskich i włoskich. — Książeczka Silvio Pellico »O powinnościach człowieka«, wydana w Krakowie w r. 1839, którą »przełożył z włoskiego M. W.«, nie jest, jak sądzili niektórzy (np. E. Dembowski w »Piśmień. pol.«) pracą Wiszniewskiego.

— Rękopisy Wiszniewskiego złożone są głównie: w Ossolineum w Lwowie, w Bibl. Jagiellońskiej w Krakowie, w Bibl. Przędzieckich w Warszawie oraz w Muzeum w Rapperswilu. Jest pomiędzy nimi kilka dzieł niewydanych, mianowicie: »Historia Jezuitów«, napis. ok. r. 1860, (autograf w Rapperswilu, kopia t. I w Ossolineum); wstęp, zawierający ogólny pogląd na działalność jezuitów, ogłoszony w »Kraju« (petersb.) z r. 1886 (nr. 14). »Nauka historii. Wstęp do historii powszechnej«, Książkę tę, »która się zrodziła, jak pisze Wiszniewski w przedmowie, »z 16 letniego wykładu mego historii w Akademii krakowskiej«, ułożył »dla pożytku kształcącej się młodzieży. Jest to historia czyli teoria i metodyka historii. (Bibl. Jagiell.) — »O umyśle ludzkim ksiąg troje«. Jest to przygotowane, jak się zdaje do ponownego wydania, zmieniome opracowanie książki, ogłoszonej w r. 1848 p. t.: »O rozumie ludzkim«. (Bibl. Jagiell.) — »Słownik polsko-angielski«, z dedykacją: »Młodzieży polskiej poświęca autor. Genua, 3 maja 1854«. Poprzedzony ciekawą przedmową, (w której zachęca Wiszn. młodzież do studyowania języka i literatury angielskiej, która więcej może przynieść korzyści, niż francuska) i rozprawą: »Porównanie języka angielskiego z polskim i literatury angielskiej, która więcej może przynieść korzyści, niż francuska) i rozprawą: »Wypisy angielskie w 2 tomach (niewyd.) — Rękopis »Historii XIX w.« zaginał; ocenił tylko autograf przedmowy do tego dzieła. (Ossolin.). — Dwie rozprawy filozoficzne: »Spinoza« (z r. 1830) i »Sextus Empiricus. O Skeptycyzmie«. (Bibl. Jagiell.) — W Bibl. Jagiell. przechowują się kursy, nie przygotowane do druku, wykładów: »Psychologii«, »Logiki«, »Historii powszechnej« i »Historii literatury powszechnej«. — Materyały do historii literatury polskiej złożone są w części (wyzyskanej) w Bibl. Jagiell, w części (mającej służyć do dalszych, nie opracowanych przez Wiszniewskiego tomów) w Bibl. Przędzieckich. — Z rękopisów, w archiwum Przędzieckich przechowanych, wydrukowano (Winc. Korotyński) następujące pisma Wiszniewskiego: Komedję w 1 akcie prozą p. t. »Plotki« (w Kronice Rodzin. 1888), Opatrzona własnoręcznym przypiskiem: »Komedya »Plotki« przez M. Wiszn., dla lepszego zrozumienia kunsztu dramatycznego napisana dla siebie tylko, ale czytana w wieczorze u generalowej Rautenstrauchowej, z domu księżniczki Giedrojcówny, w r. 1842.; Rozprawę z r. 1820 p. t.: »O systematach filozofii moralnej« (w Kron. Rodz. z r. 1888); Artykuł p. t.: »Bohdan Zaleski i jego poezye«, ogłoszony w Kron. Rodz. w r. 1890, nie jest Wiszniewskiego, lecz Goszczyńskiego (druk. w »Demokracie Polskim« r. 1842). — Korespondencją Wiszniewskiego, dotychczas nieogłoszoną drukiem, przechowują głównie biblioteki i archiwa krakowskie i lwowskie; są tu listy do ka. Ad. Czartoryskiego, Józ. Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Lelwela, Jana Sowińskiego, T. Czackiego, H. Skimborowicza, A. Batowskiego, A. Weryhy Darowskiego, Żegoty Paulego, Józ. Brodowicza, Józ. Majera, Aleks. Przędzieckiego, K. Stronczyńskiego, bisk. Łętowskiego, ks. Schindlera i innych. Listy do J. Łukaszczyka i A. Popliń-

skiego w bibliotece Towarzystwa Przyj. Nauk w Poznaniu. Obszerna korespondencja Wiszn. naukowa z czasów krakowskich znajduje się w Bibl. Przędzieckich; część tej korespondencji, mianowicie listy uczonych i literatów do Wiszn., dotyczące hist. lit. pol., wydrukowano w Kronice Rodzin. z l. 1886 i 1887, Listów Wiszniewskiego ogłoszono drukiem zaledwie kilka: 6 listów do Wacława Hanki z l. 1834 — 45 podał Francuz w »Pisma k Wiczesławu Hankie iz sławiańskich ziemiel« (Warsz. 1905); 2 listy do generalowej Wasgoczyzowej z r. 1849 w »Kurjerze Warsz.« z r. 1902, nr. 803; list do Waleryana Krasieńskiego z r. 1850 w przedmowie do »Myśli o ukaszt. siebie samego«; list do A. E. Koźmiana w »Kron. Rodz.« 1887. — Dokładniejszą wiadomość o rękopisach Wiszniewskiego podał G. Korbut w broszurze: »M. Wiszniewski i puczyna po nim« (Warsz. 1901).

**II. Pisma o Wiszniewskim:** a) Życiorysy i przyczynki biograficzne: Życiorys Wiszniewskiego, napisany przez Ludwika Niesiołowskiego, wysnuty z opowiadań samego Wiszn. i syna Adama, oraz z dokumentów rodzinnych, niekrytyczny, nie zawsze wiarygodny, znajduje się w rękopisie w Bibl. Ossolin. (nr. 3096); do biografii dołączono kopie 8-miu dokumentów, dotyczących profesury Wiszn. w Uniw. Jagiell. dwu świadectw szkolnych (Krzemien), metryki ślubnej ojca, listu Wiszn. do W. Krasieńskiego, listu hr. Thuna (1849) i odpowiedzi Wiszn., listu Zygmunta Krasieńskiego (1851), listu bisk. Łętowskiego (1857) i odpowiedzi Wiszn. Praca Niesiołowskiego ogłoszona tylko ułamkowo (ze wzgl. cen.) na czele »Myśli o ukaszt.« (1873). — Najdokładniejszy i najkrytyczniejszy życiorys Wiszniewskiego (do r. 1848) napisała M. Polaczówna, p. t.: »Miechał Wiszniewski 1830—1848« (Rocznik krakowski. Tom XII Kraków, 1910); oparta go na dokumentach archiwalnych lwowskich i krakowskich (m. l. na korespondencji Wiszn.). Jest to »obraz życia Wiszniewskiego w Rzeczypospolitej Krakowskiej«, poprzedzony »szkicem biograficznym« lat młodych do r. 1830. W »Dodatkach« zamieściła autorka metrykę Wiszn., Raport Ign. Zajączkowskiego do c. k. komisarza hr. Deyma o Wiszn. z r. 1847 i Ustęp niedrukowany z życiorysu Wiszn. przez L. Niesiołowskiego, dotyczący jego dyktatury w r. 1846. — Ogólnikowy charakter mają życiorysy Wiszn. dawniejsze: Sobieszczańskiego w Encykl. Orgelbr. t. 27, 1867, W. Korotyńskiego w »Tyg. Ilustr.« 1868, II; L. Sowińskiego w »Kłosach« 1877, II. — Ważniejsze przyczynki do życiorysu: J. Majer: »Pogląd historyczny na Towarzystwo Naukowe Krakowskie«, Kraków, 1858. — Kraszewski: »Kartki z podróży« (1858) w wyd. warszawskim z r. 1892, str. 91 i 229—232. — M. Bałuski: Pamiętniki o J. Śniadeckim. Wilno, 1865 (t. I, 838 i t. II, 434). — Łyszkowski o »Pamiętce po dobrym ojcu«. »Tyg. Ilustr.« 1868, nr. 34. — W. Korotyński o »Plotkach«. »Tyg. Ilustr.« 1888, nr. 293. — Tenże: Wstęp do tekstu »Plotek«. Kron. Rodz. 1888. — Listy do M. Wiszniewskiego. Kron. Rodz. 1886 i 1887. — List Zygmunta Krasieńskiego do Wiszn. »Kraj«, 1886, nr. 5. — Wl. Ko-

rotyński: List Zygm. Krasińskiego. »Kur. Warsz.« 1909, nr. 54. — List Winc. Pola do Wiszn. Księga pamiątek. Mickiewicz, 1898. — Wl. R. Korotyński: Przedmowa do nowego wyd. »Pamiętki po dobrym ojcu«. Warsz. 1897. — Ks. S. Feliński: Pamiętniki. Kraków, 1897, I, 223—227. — M. Rolle: Ateny wołyńskie. Lwów, 1898, str. 75—76. — Biegeleisen: Z autobiografii M. Wisz-go. »Tyg. Narodowy« (Lwów), 1900, nr. 38. — Sosnowski: Poezja krakowska z czasów Wolnego Miasta Krakowa. Kraków, 1901, str. 64. — G. Korbut: M. W. i puścizna po nim. Warsz. 1901 (wyd. poprawne i uzupełn. pracy ogłoszonej poprzednio w »Prawdzie« 1901). — Méyet: Słowacki i Wiszniewski. »Sfinks« 1909, wrzes. Toż uzupełn. osobno. Warszawa, 1909. — Tenże: Słow. i Wiszn. Uzupełnienie. »Sfinks«, 1911, lipiec. — Leniek: Książka pamiątkowa ku uczczeniu 300 rocznicy założ. gimn. św. Anny w Krakowie. Krak. 1888. — O dyktaturze Wiszniewskiego w r. 1846 pisali: J. Wawel-Louis: Kronika rewolucji krakowskiej w r. 1846. Kraków, 1898. — Lisicki: A. Z. Helcel. Lwów, 1882, I, 139—145. — Polaczekówna: I. c. — M. Stecka: Edward Dembowski. Lwów, 1911 (odb. z »Przeglądu Histor.«). — Sala: »Geschichte des polnischen Aufstandes 1846«. — Wurzbach: Biographisches Lexicon des Kaisertums Oesterreich. t. 57. Wien, 1889.

b) Charakterystyki i oceny dzieł Wisz-go: O »Historii literatury polskiej« pisali współcześnie: Tyszyński: w Piśmiennictwie krajowym, 1840; Maciejowski w Bibl. Warsz. 1841; F. Zieliński w Bibl. Warsz. 1842; Aug. Mosbach w »Tyg. Literackim« (pozn.) 1842; Muczkowski: Rozmaitości histor. i bibliogr. Kraków, 1845; Maciejowski: Piśmiennictwo polskie, t. II, Warszawa, 1852 (str. 927—984). — Ks. Lętowski: Nauka poznawania ludzi. Warszawa, 1847. Sikorski: M. W. »Podróż do Włoch«. Bibl. Warsz. 1848. — Ks. Załęcki: »Historia jezuitów Wiszn-go«. »Przegl. Powsz.« 1886, wrzes. — Chmielowski: »Metodyka historii literatury polskiej«. Warsz. 1899. — Tenże: »Hist. liter. pol.« t. V, 44—47. — Tenże w »Poradniku dla samouków« t. II, Warsz. 1899. — Tenże: Ocena pracy G. Korbuta o Wiszn. »Gaz. Pol.« 1902, nr. 34 (por. też »Pamięć. Liter.« 1902) (charakterystyka Wiszn. jako filozofa). — Mahrburg w Poradniku dla samouków t. IV, 1902 (o utworach W-go filozof.). — Sinko: Spór o Grzegorza z Sanoka (wstęp do Kallimacha »Życie i obyczaje G. z S.« Lwów, 1909. — K. Morawski o Wiszn. w »Hist. uniwersytetu Jagiell.« t. I, str. 6.

Studjum monograficznego o Wiszniewskim i wszechstronnej oceny jego zasług, jako pisarza i historyka literatury, jeszcze nie posiadamy.

## A) Pamiętka po dobrym ojcu (1825).

Dzielnko, na wzór »Pamiętki po dobrej matce« (1819) Klementyny Tańskiej napisane, zawiera w 38 rozdziałach szereg rad, przeznaczonych dla 18-letniego młodzieńca, któremi się ma kierować w życiu. Wyszło w pierwszym wydaniu (1825) pod imieniem Teodozego Sirocieńskiego, który do tekstu Wiszniewskiego poddawał ustępy swego pióra. — Podajemy rozdział XXIV i XXXI, na podstawie wydania Wl. R. Korotyńskiego (Warszawa 1897).

### Rozdział XXIV. O obchodzeniu się z ludźmi.

**816)** Trudna to rzecz, mój synu, umieć się z ludźmi obchodzić, zwłaszcza, że z każdym nieco odmiennie trzeba postępować, a te liczne i częstokroć najdrobniejsze cieniowania biegły tylko znawca ludzi i świata jednym rzutem oka postrzeza i rozpoznaje. Niedość nawet wiedzieć, jakie ma być nasze postępowanie względem innych, skoro nie mamy należytej trafności i wprawy w samem wykonaniu, na czem tu może najwięcej zależeć. Dlatego też umiejące z ludźmi obchodzenie się nie jest nauką, którejbyśmy nabyć mogli z czytania książek, lub nawet przejąć ją od znawców przez dawane nam od nich przestrogi. W życiu dopiero społecznem otwiera się najlepsze do tego pole, tam się uczymy jedni od drugich, tam, niby pod wzajemną zostając strażą, często zwracamy uwagę na siebie samych i łatwo poznajemy nasze lub cudze błędy i uchybienia. Są jednak pewne prawidła, na doświadczeniu oparte, których się trzymać bezpiecznie możemy, byłeśmy w ich stosowaniu roztropnie sobie poczynali; chociaż z drugiej strony, nie jest wcale pożyteczną rzeczą dla młodzieńca, w świat wychodzącego, obciążać się także wielu szczegółowymi przepisami, z których najczęściej żaden nam się nie przyda na nieprzewidziane wypadki, jeszcze go obłąkać i na złe naprowadzić może.

Z tego względu, mój synu, jeden ci tylko tu podam przepis, niezmiernie rozległego użycia w związku społecznym, ale wcześniej cię ostrzegam: trudny do wypełnienia. Oto w postępowaniu swoim z ludźmi, kiedy masz obowiązek i słusność po sobie, bądź zawsze stałym i nieporuszonym, lecz staraj się tę



stałość niezem niezłomną, ile tylko można, osłodzić i uprzyjemnić, wybierając sposób wykonania łagodny i miły, albo przynajmniej nie przykry i nie obrażający. Przepis ten daje się w kilku słowach łacińskich najwięcej wyrazić: *Age fortiter in re, suaviter in modo.*

Trzeba mieć w sobie wiele uczciwości, uwagi i umiarkowania, aby w każdym razie szlachetną stałość z przywoitą łagodnością pogodzić. Są ludzie podstępni i zdradliwi, którzy, nachylając się na wszystkie strony, najłagodniejsi wtenczas, kiedy nas zdradzają; strzeż się takich, mój synu, aby ci nie przypawili o jakowe nieszczęście lub zgubę; są znowu uczciwi, ale zbyt otwarci i nieumiarkowani, którzy w najmniejszej rzeczy wręcz nam się sprzeciwiają, a nawet i wtenczas, kiedy za coś czynią naszemu żądaniu, nie dbając o umilenie swojej pojowności, obrażają nas, zamiast coby zobowiązać mieli. Szukaj, synu, szczęśliwego środka między temi dwiema ostatecznościami, a łatwo sam sobie ułożysz szczegółowe przepisy postępowania na wszelkie przypadki.

Nigdy nie odstępuj i nie porzucaj raz powziętej myśli, zamiaru, czynności, chybaś się poczuł do winy lub błędu, lecz oraz nie dbaj o małe rzeczy dla większych, ani się zbyt upieraj tam, gdzie lepiej byłoby uleść, bo jakom ci już powiedział, upór nie jest stałością; ani bądź zawsze gotowym dla każdego na wszelkie usługi; odmawiaj niekiedy, byle grzecznie i bez obrazy. Kiedy masz co komu do rozkazywania, zlagadź, jak możesz, ton wyższości, abyś, zachowując należytą powagę, ustrzegł się nawet pozorów dumy, przewodzenia i okrucieństwa, bo wyniosłość i srogo dawane rozkazy, mówi Tacyt, będą raczej tómaczone, niż wykonywane. Twoim zwierzchnikom bądź tak posłusznym, iżbys w tem, co twoja powinność każe, starał się, jeżeli można, ich rozrządzenia uprzedzać; niechaj nie widzą w tobie najmniejszego znaku przymusu, nieufności, obawy lub nieukontentowania, czem najprędzej sobie ich zobowiążesz; ani nadstarczaj uchyleń w danym ci obowiązku albo poleceniu zbyt-niem uleganiem, oświadczeniami i prawie niewolniczą powierzchownością, bo tego zagni ludzie niecierpią, a niegodni swego stopnia na samo posłuszeństwo zaledwo zasługują. Unikaj wszelkich uniesień i popędliwości, bo te chyba w nagłych ra-

zach, i to niezmiernie rzadko, na dobre nam wychodzą, a przynajmniej nic nie przedsięwzięj ostatecznie i nie wykonywaj, póki w sobie zapędu namiętności nie utrzymasz i nie usmieńrzyć. Najwięcej przestrzegaj to wtenczas, kiedy o ciebie samego idzie, choćbyś najlepszą miał sprawę, aby nie było nawet powodu myśleć, żeś interesownym i mściwym, lecz tylko ściśle sprawiedliwym.

Jeszcze ci nader ważną dodam przestrożę, synu, abyś pilnie uważał, z kim szlachetną i otwartą śmiałością, a z kim skromnością łagodną i cichą najłatwiej dokazać możesz. Im kto ma więcej miłości własnej i wyżej o sobie rozumie, tem surowiej i często niesprawiedliwie sądzi o innych, i tak jest podejrzliwym, że niekiedy i dobre za złe bierze; z takimi zatem jaknajskromniej postępować wypada. Przeciwnie z ludźmi pełnymi cnoty i zasługi trzeba być śmiałym, bo tacy lubią szczerłość i prawdę, a skromna nieśmiałość mogłaby się im wydać niedość mocnym przekonaniem o słuszności naszego żądania, lub poczciwością.

Pamiętaj wreszcie, że najgorsza i najtrudniejsza sprawa ze złym człowiekiem, albo niepoznanym własnemu dobra; unikaj takich ile możności i kończ jak najprędzej, jeżeli masz co z nimi do czynienia, — tę ci najlepszą i jedyną daję względem nich przestrożę.

#### Rozdział XXXI. O wesołości i pogodzie umysłu.

**817)** Nie taję tego przed tobą, mój synu, że bliższe obeznanie się ze światem i ludźmi serce twoje goryczą napełni i do wszystkiego zniechęci cię może: kiedy ujrzyć nieraz zawiedzioną dobroczynność lub przyjaźń, najlepsze chęci i zamiary za złe poczytane, a chytre i zmowne podstępny, biorące pierwszeństwo zasłudze; kiedy na innych i na sobie samym podobnych niesprawiedliwości doświadczysz. Lecz bój się wpaść w ostateczność Heraklita, który płakał nad rodem ludzkim, widząc wszystko ze złej tylko strony; ani zapatruj się ciągle na zbrodniarzy, na rozpustników, lub niecierpiących swojego losu; i zachodź często do chatki pracowniego wieśniaka, gdzie obok smutnego ubóstwa i niedoli, pokój, radość i nawet szczęście przemieszkiwa. Głęboka uwaga i zastanowie-

nie się nad ulomnością naszą, nad przyczynami naszych win i błędów przekona cię, że na wszystko spokojny i wesoły nędzarz większą może ma słusność po sobie, niż ów płaczący filozof; bo nie warto się dręczyć tam, gdzie nic począć nie można; bo od niesprawiedliwości ludzkiej mamy otwartą, chociaż smutną ucieczkę do naszego sumienia; bo samo przepelnienie miary nieszczęście, któreśmy na siebie ściągnęli, jest już pocieszającym, kiedy je męжным i stałym umysłem znieść umiemy.

Sławny jeden Anglik powiada, że życie ludzkie dla czujących jest tragedją, a dla myślących komedją. Wiele ma w sobie prawdy to zdanie. Co do mnie, radzę ci, mój synu, abyś swą czulość miarkował rozumem, i nawzajem rozum czulością serca ożywiał. Tę zachowującemu przestrożę życie ludzkie wyda się jak dramat, w którym wesołe po smutnych następują sceny. Wesołość i pogoda umysłu koniecznie nam jest potrzebna i do zdrowia, i do szczęścia, i do chętnego pełnienia naszych obowiązków, i do wytrwania w nocy, i do wytrzymania najrozśzyszych losu pocisków. Nie mówię ja tu o szumnej i prawie szalonej wesołości, która nas do zapomnienia się i zaślepienia prowadzi, ale o łagodnej i umiarkowanej, co nasze smutki i żale osładza, gniewy, niechęci i zajątrzenia uśmierza, broni przystępu rozpaczcy wtenczas nawet, kiedy widzimy wszystkie nasze zawiedzione nadzieje, i każe nam uważać to życie, pełne trosk i cierpień, za samo tylko przejście do życia lepszego.

Taką ja ci wesołość najusilniej zalecam, mój synu; utrzymasz ją i zabezpieczysz sobie na zawsze, tylko nie bądź zbyt wiele wymagającym od ludzi; przestawaj na szacunku i przychylności małej liczby ludzi poczciwych; żywo przejęty miłością bliźniego, umiej się poświęcać dla dobra społeczeństwa; szanuj swe zdrowie i kochaj życie dla możności dobrze czynienia; nie rozjątrzaj ran, które ci niewdzięczność lub nieprzyjaźń ludzka zadala; ani odrzucaj żadnej pociechy w nieszczęściu i utrapieniach, ciebie dotykających; niczego się nawet nie lękaj i nie obawiaj, chyba wyrzutów i zgryzot własnego sumienia.

## B) O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polskim przed Długoszem (1835).

(«Pomniki historii i literatury polskiej». Tom I. W Krakowie 1835).

Biograf Wiszniewskiego (Niesiołowski) podaje, że największą namietnością jego była historia i «kunszt historyczny». Pogląd swój na zadanie historyka i na metodykę historyczną wypowiedział Wiszniewski kilkakrotnie (we wstępie do «Pomników historii i literatury polskiej», w przedmowach do pierwszych tomów «Historii literatury polskiej», w «Myślach o kształceniu siebie samego»). Ułożył też «Naukę historyi», czyli teoryę «kunsztu historycznego». — Podajemy ustępy z rozprawy wstępnej, na czele t. I. «Pomników» pomieszczonej, w których Wiszniewski wyłożył pogląd swój na sztukę dziejopisarską.

**818)** *Tom I. Str. I—XII.* Historia nie jest nauką dla dzieci, które całe w teraźniejszości żyją; nie jest ulubionem zatrudnieniem młodego: bo młodzież, cała żyjąc w nadziejach, jeszcze z obojętnością na przeszłość patrzy. Tylko ludzi dojrzałych minione czasy zajmują; stąd sama chęć obeznania się z przeszłością, samo upodobanie w historii, jest najlepszą dojrzewającego rozumu oznaką i rękojmnią. Historia dla ludzi dojrzałych jest światłem i przewodnikiem rozumu. Człowiek stojący w środku życia, lubi zapuszczać się w przeszłość, aby przez porównanie obecne czasy lepiej rozumiał, a czasem i przyszłe odgadnął. Bo przewidywanie zakrytej przyszłości jest ciąglem usiłowaniem rozumu, wrodzoną jego skłonnością i największą chlubą. Lecz ludzie starzy, w rozliczne wspomnienia bogaci, najśodsze rozkosze w rozpamiętywaniu minionych czasów znajdując, najwięcej lubią myślą przynajmniej powtarzać złoty wiek młodości, kiedy to wszystko szło lepiej, kochają się w przeszłości. I stąd pochodzi to powszechne u starych upodobanie w historii, bądź familijnej i domowej, bądź swojej okolicy i ludzi, których zaznali, albo swojego narodu, lub rodu ludzkiego, w miarę oświecenia i nauki; każdy z nich ma żyłkę historyczną, skłonność do historii, tylko nie w jednakowym obrębie. Nawet pamięć mająj najwłaściwszą do tego w historii upodobania, bo zapominając łatwo, co przed chwilą się działo, dawne rzeczy dobrze pamiętają i chętnie opowiadają. Zdaje się, że sama natura mądrze to opatrzyła, aby doświadczenie przeszłości, ten drogi skarb rozumu, dla ludzkości straconem nie

było; aby klęski i nieszczęścia jednego pokolenia były dla następnych przestrożą i nauką.

Więc tylko ludzie dojrzałi historią zajmować się mogą? Nieinaczej; tak wynika z natury rzeczy, a naturze przymusu narzucać nie można. Są wszelako części, przygotowania do historii, których się w młodości, przy świeżej i niezmordowanej jeszcze pamięci, najłatwiej nauczyć, np. geografii, genealogii królów i t. p. Tego dzieci do 14-go roku naukę się mogą. Mogą pamiętać niektóre zdarzenia, np. że dopiero za synów Bolesława Krzywoustego Szląsk odpadł od Polski; że Kazimierz W. był ostatnim królem polskim z Piastów, choć Piastowie dopiero razem z domem Jagiellońskim wygaśli; że zostawił dwie córki, a jednak siostrzanowi koronę przekazał, mając bliższych krewnych, Kazimierza ks. Szczecińskiego i Ziemowita Mazowieckiego, że Szlązaków pomine. Lecz wywód przyczyn, które go do tego skłoniły, rozwinięcie zwikłanych powodów, dla których naród od Piastów szląskich odstręczył się, pojęcie dzieci przechodzi. Tylko człowiek światły i dojrzałego rozeznania, co wraz z narodem przeszedł przez różne losów koleje, historię lubić i rozumieć może. I stąd to właśnie pochodzi, iż ludzie, których los z najwyższego szczytu potęgi i znaczenia stracił, albo łagodnie usunął, tęskne dni dla duszy, do ciągłych wyteżeń nawykłej, czytaniem lub pisaniem historii słodzili. Żadna inna nauka rozkołysanej ich duszy zajęć długo nie mogła. Tukidydes skazany na wygnanie, że Brazydasowi dał ubiedzić Amphipolis, opisał 21 lat wojny Peloponeskiej. Sulla zakrwawioną jeszcze ręką kreślił pamiętniki swojego czasu. Napoleon Bonaparte, wsparty na samotnej wśród Oceanu skale, obrzymie jak sam pomyłki z historii wyrozumować usiłował. Wyżsi tylko rozumem ludzie kochają się w historii, a Pliniusz za szczęśliwego poczytuje tego, co zdziałal rzeczy godne opisu, lub napisał godne czytania; a najszczęśliwszego, komu to oboje zdarzyło się.

Lecz aby zdarzenia historyczne powiązać w jeden ciągły łańcuch z przyczyn i skutków; aby dociec, jak naród w danym czasie sam siebie pojmował, i utworzył sobie w myśli obraz jego prawdziwy i z płynącym przekształcający się czasem, niedosć jest być w wieku dojrzałym. Potrzeba na to bystrego pojęcia, szerokiej imaginacji i rozumu, do głębszej roz-

wagi skłonnego. Żeby obraz przeszłości przenieść i wcielić w słowa, skreślić powieść, podobną do zwierciadła, które wienie oddawa, co w siebie przyjęło, jeszcze większej (pracą tylko nabyć się mogącej) nauki potrzeba. Zdolności poety, obok zimnej rozważli, wymowa, obok ścisłości w rozumowaniu, doskonała znajomość i biegłość w języku, są zalety dobrego dziejopisa. I stąd to pochodzi, iż każdy naród mało liczy dziejopisów, choć książek historycznych niezmierzana jest liczba. W Grecyi, tak żywej w dowcipy, tylko Herodot, Tukidydes i Xenofont się zjawili; u Rzymian Cezar, Sallustyusz i Tacyt; u Włochów Machiavelli, Gwiczardyni i Paruta; u Anglików Hume, Robertson, i Gibbon do liczby prawdziwie wielkich historyków należą. Niemcy mieli Jana Müllera i Raumera. U nas ani świętne Bolesława W. czasy, ani szczęśliwe Zygmunto, wielkiego dziejopisa nie miały. Jeden Orzechowski mógł na coś lepszego zakroić, lecz zmianie tego czekał chęci i namiętności w inną go stronę uniosły.

Dwa są rodzaje historyków: jedni opisują, co na własne widzieli oczy, do czego sami wpływali, lub co im wielu naocznych świadków opowiadało; drudzy, zgromadziwszy przed sobą współczesne pomniki historyczne, kroniki, dzienniki, dyplomata, dawane posłom nauki, zdawane przez nich sprawy, dzienniki obrad sejmowych lub komory królewskiej i t. p. znosząc z sobą i porównując te różnorodne świadectwa, wyczytawszy się w nie długo i pilnie, oblicze i podobieństwo czasu z nich wydobyć usiłują; pisząc więc historię czasów odległych, z których już żadnego żyjącego nie widzieli świadka, przy świetle swojego czasu na dawne oglądając dzieje, najczęściej blade i nikłe jego obrazki i wizerunki malują; w ich historii znamiona czasu albo bardzo niewyraźnie przebijają się, albo już całkiem zatary się; i dlatego, nie czytając współczesnych dziejopisów, nigdy z nich historii nauczyć się nie można. Bezstronniejsi w sądach, bo obojętni; w rozdzielaniu fałszów, przesądów, pozorów i złudzeń szczęśliwsi, większem światłem krytyki otoczeni, bo się na rzeczy spełnione już zapatrują, wszelako tylko dobrymi przewodnikami do czytania współczesnych dziejopisów być mogą, lecz ich całkiem nigdy nie zastąpią. Przeciwnie, współcześni nudi są częstokroć, nie tak wygładzeni, lecz oddychają życiem



owego czasu; uderza w nich i duch czasu i namiętności, które sercem ludzkim wówczas najmocniej poruszały; oni w samym opisie wydarzeń panujące wówczas przesady i panujący sposób myślenia wykazują. Nawet ich milczenie jest dla nas nauką. Dzieła niewspółczesnych dziejopisów, choć mają więcej wymierności, choć potoczystsze w nich opowiadanie, choć więcej zastrzają, karmią i lepiej zaspakajają ciekawość, wszelako cienie tylko czasu owego, nie jego oblicze nam pokazują. Dlatego choćby najlepsze, współczesnych dziejopisów zastąpić nie mogą. Ani z Długosza, ani z Naruszewicza czasów Piastowskich nauczyć się nie można. Chcąc tę pięciowieczną epokę dziejów naszych poznać, trzeba koniecznie wczytać się w Nestora, Gallusa, Mateusza herbu Cholewa, Kadłubka, Boguchwała i Baszkona, Janka Archidyakona Gnieźnieńskiego i tych z Długoszem porównać. Naruszewicz do ich zrozumienia uściele drogę. A rozprawy X. Prażmowskiego, Czackiego, Ossolińskiego, Gołębiowskiego, a szczególnie Lelewela »Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa« nauczą, jak je czytać z krytyką i cenić<sup>1)</sup>. Treściwe wykłady historyi polskiej, na których częstokroć światli nawet ludzie przestawiać zwykli, które już w XVI wieku w literaturze naszej zjawiać się zaczęły, pożyteczne są do uczenia młodzieży, lecz wszystkich potrzeb dojrzałego rozumu zaspokoić nie mogą, a powzięte w nich historyczne wiadomości prędko nader zacierają się w pamięci, i jak nikłe sny nocne szecają na zawsze. Nawet najlepsze krótkie zbiory, jakimi są np. Kromera i J. S. Bantkiego, tylko jako wyborne do czytania współczesnych dziejopisów przewodniki używać się mogą. Lecz chcąc głębiej jeszcze przeszłość naszą zbadać, chcąc przy pochodni dzisiejszego światła owym wiekom przypatrzeć się, jeszcze na kronikach i dziejopisach współczesnych poprzestać nie można. Dla uczonego i głębszego badacza dziejów, nieocenionym skarbem są wszystkie owych

<sup>1)</sup> O dziejopisach Polski i Litwy pisali: Hoppius, Struvius, Theoph. Krause, Semler (in actis Soc. Jablonov.), Braun surowo, ale najczęściej prawdę; K. Czartoryski G. Z. P. Czacki, Ossoliński, Bentkowski, X. Biskup Płocki Prażmowski, Lelewel (patrz: porównanie Karamzina z Naruszewiczem, znajdujące się w »Monitorze Warszawskim« nr. 61 r. 1824) i Gołębiowski.

czasów pomniki, w które mu pilnie wpatrywać się należy. Każdy głos współczesny, każdy z owych czasów zabytek, jest dla niego świadkiem, którego na ostre wypytanie brać musi. Najmniejszy pomnik piśmienny może czasem nader ważnych dostarczyć wiadomostek, wiele opacznych wyobrażeń sprostować, zmyśleń i dodatków późniejszego czasu odkryć i wątpliwości rozwiązać. W naszej historyi koniecznie do tych źródeł historycznych cofnąć się należy: bo wszystkie kroniki przed-Długoszewe często byłyby przekształcone, przerabiane lub przerzuczone ręką niewiadomych pismaków (jak np. Kronika Boguchwała) a autografy wszystkich zaginęły. I dla tych to przyczyn dyplomata i inne piśmienne historyi pomniki, każdy z tem większą rozczytują chęć, im się bardziej ze współczesnymi dziejopisami oswoił, a im więcej mu wątpliwości historycznych się narodziło. Nie czerpając z tych pierwotnych, niezmańczonych źródeł, nie można zostać dziejopisem. U nas takowe dokumenta, mimo szwedzkich grabieży, jeszcze w wielkiej znajdują się ilości; lecz rozrzucone, są własnością osób prywatnych. I dla tej to właśnie przyczyny u nas sztuka historyczna nie podniosł się, bo do pierwotnych historyi źródeł nie każdy miał dostęp. Zaczynając od końca, podzielono się epokami, a o upowszechnienie drukiem źródeł historycznych po śmierci Czackiego nikt się nie postarał. Stąd poszło, iż (z małym wyjątkiem) wszystko na obietnicy i pięknych nadziejach skończyło się, a za rylce historyczny niezawsze biegła chwytała ręką. Po Naruszewiczu Czacki miał skreślić dzieje pozostałych świętych wieków. Po zgonie jego przedczesnym, kilkunastu do tej roboty oburącz się jęło, i — nie zrobiło. Rzekłbyś, że jakieś karłowate plemię po tych dwóch olbrzymach historyi się narodziło. Ze skrzętnością mrówki zbierano materyały, strzeżone zazdrośnie, jak nauki kapłanów egipskich, które też ledwie nie temu samemu uległy losowi. Kryjąc dla siebie tylko rękopisma, nie wiedziانو snąc, że rękopisma, historyczne źródła są tak dla rozumu niewyczerpane, jak natura nas otaczająca; są jak ta tęcza, na którą tyle wieków patrzano, a którą Newton dopiero wytlumaczył umiał. Już od lat tyłu nad historią rzymską pracowano, wszyscy czytali Liwiusza, a przecież za dni naszych Niebuhr początkowe dzieje Rzymu na nowo przebudował i inszą nadał im postać.

Kunszt historyczny tak wielkim uległ odmianom, iż dziś w najoświecześniejszych narodach zakurzone dyplomata na nowo wydobywać z zapomnienia i rozwijać poczęto. Wszystkie narady około przerobienia dzieł swych teraz krzątają się. We Francji po Vellym, Anketylu, Mablim i Turecie wystąpił Sismondi, Guizot, Thierry, a teraz Capectigue i Michelet. Historia angielska po Humie pod piórem Paigravego i Lingarda do niepoznania zmieniła się. Dziś zapleśniałe wieków średnich postacie, przy żywszem świetle, daleko inaczej na tle historyi rysują się. Teraz dziejopis nie zawsze w komorze królewskiej, nie zawsze w złoconych trzyma nas komnatach; lecz oprowadza po ulicach, stawia wśród zgielku, przemawia grubym językiem gminu, prowadzi do izby sejmowej, lub na posiedzenia synodów, stamtąd na sądy lub tajemne spiskowych schadzki. Otwiera przed nami i sale gotyckie z malowanymi oknami, i poziome chaty, przybytek nędzy i ciemnoty. Potępionym od wieków późną oddaje sprawiedliwość i nieraz długowieczne uwielbienia w nagane zamienia. Nie zatrzymują go mury, baszty i mosty zwodzone stolicy, lecz do wszystkich zakątów królestwa czytelnika przenosi. Słowem ludzie w dawnych pomnikach historyi teraz co więcej szukają i znajdują, co więcej wyczytywać umieją; a w malowanych teraz obrazach nie profil, ale całe oblicze czasu, całe życie narodu na jaw występuje. Lecz do takiego pojęcia minionych czasów późniejsi historycy nie wystarczają. Trzeba czytać współczesnych, a mianowicie kroniki i dyplomata; co już samo dowodnie okazuje, iż historia jest łatwą dla tych tylko, którzy jej nie umieją. Kroniki bywają niezgrabne i niepozorne, jak brakteaty, prostoduszne i szczerze, jak malowidła Czynabuego i Perudżyna; mają właściwy sobie urok, lecz znużdżą tylko i niczego nie uczą tego, kto do nich z prózną przystępuje głową. Prócz niezbędnie potrzebnej znajomości łaciny wieków średnich, daleko od cyce-ronskiej trudniejszej, znajomości prawa i ekonomii politycznej, którą sławny dziejopis szwajcarski, Jan Müller, okiem historyi nazwał, znajomości natury duszy i serca ludzkiego konieczne jest dziejopisowi potrzebna, bo historia narodów tylko równoległe z historyą duszy i namiętności ludzkich poznać, objaśnić i wytłómaczyć się daje.

Użycie kronik ma właściwe sobie trudności; kroniki albo wiem nie oświecają rozum mglą niewiadomości otoczonego, lecz są podobne do owych ciekawych malowideł w egipskich grobach, do których już z zapaloną pochodnią zapuszczać się trzeba. Kto nie poznał natury społeczeństw ludzkich, nie wie, na jakie elementa dojrzał społeczeństwa koniecznie się rozkładają, jakie z tego podziału nowe potrzeby, życzenia i nadzieje się rodzą; kto się nigdy nie zastanawiał nad chorobami społeczeństw, może się dziwić, że dla niego kroniki są nieme, jak hieroglify? Aby lubić kroniki, pierwiej zmysł historyczny z uspienia obudzić, pierwiej oświecić się i wyostrzyć sobie rozum do historyi należy, przetrzeć oczy czytaniem dziejopisów, albo naucających, jak Heeren i Raumer, albo podnoszących duszę do wysokości historyi, jak Gibbon, Fergusson, Tukidydes, Sallustyusz i t. p. Na takich to tylko dziełach rozum do kronik zaprawić się może, a kogo mimowolna ciekawość do kronik ciągnie, może być pewnym, że już daleko w historyi zaszedł.

Dyplomata jeszcze są pewniejszem źródłem historyi, niż kroniki. Historya wieków średnich nie oparta na dyplomatach, jest romansem z samych prawdopodobieństw uwitym, który żadnego nie wznieca przekonania i nie zastępuje na wiarę. Już w XVI wieku Lorencio Galindez de Caravajali i Ambrosio Morales w Hiszpanii, kanclerz Huitfeldt w Danii, a u nas Długosz w XV historyę na dyplomatach opierać zaczęli. Lecz jeśli nielatwo jest czytać i rozumieć kroniki, przystęp do dyplomatów większymi jeszcze założony jest ciemniami. Jak dyplomata wyczytywać, wyczytane rozumieć, poznać czyli są prawdziwe, nie podrobione, odgadnąć ich dawność i jakie z nich dla nauk ciągnąć korzyści, uczy dyplomatyka. Wszelkie oryginalne przywileje cesarzów, papieżów, królów, książąt, biskupów, opatów i t. d. wszelkie dokumenta, pisma urzędowe, zowią się ogólnością dyplomatami, od słowa *διπλωος*, składam; bo dyplomata, zwykle na pergaminie pisane, dla wygodniejszego przechowywania w kilkoro składano. Z czasem dyplomatów u wszystkich narodów bardzo wiele się namnożyło...

**819)** *Str. XV—XVII.* Nigdy świeży uczeń Linneus z zwięzłą ciekawością wewnątrz kwiatowego kielicha nie zagląda, jak miłośnik historii w dyplomata, w którym się coś nowego wygrzebać spodziewa. Nie zraża go wyrazy krotkami pisane, cierpliwie przypatruje się zgłoskom przedłużonym, polamanym, pierzastym, plomienistym, umyślnie drżąca kreślonym ręką, albo przez splecenie w istną zamienionym zagadkę; bo równą rozkosz sprawuje zadeterminowanie dyplomatu, jak rośliny. Takie są trudności i ciernie, takie rozkosze badań historycznych.

Dziejopisem, równie jak poetą, nie każdy się rodzil; najszersze chęci i największa gorliwość nie zastąpi zdolności. Dziejopis wielkie od natury dary, jeszcze nauką i pracą zasilać musi. Jego czardziejski genusz wywołuje cienie z grobów, kilkowiecznym przysypanych gruzem; wstają z martwych mężowie i ludy, postać, jaką mieli za żywota przywdziewając; opada zasłona z ich serca, widzisz teraz najskrytsze ich tajemnice, ujrzyś na oko rozwiklane pobudki postępów, których współcześni odgadnąć nie mogli. Patrzymy teraz z zadumaniem w ich myśl, dziejopisa odsłonię ręką; przecieramy swobodnie ich sprzeczne chęci, zamysły i kryjówki serca. Wszystko tu aż do dna widać, jak przez nurty źródlane.

Lecz dziejopis nie tylko wywołuje przeszłość z za grobów, nie same cienie rysuje, nie samo wnętrze minionych objawia czasów; w ogromnym i wspaniałym jego obrazie, tak umiejętnie puszczone jest światło, tak trafnie rozrzucone cienie, tak opatrnie rozstawione osoby, tak żywe, tak prawdziwe wprowadzone kolory, iż ten świat cały żyjący, obracający się, wciąga w się oko, pochłania duszę i nieraz pamięć teraźniejszości na chwilę odejmuje.

Lecz nie na tem jeszcze misterne dziejopisa roboty się kończą; największy jego przemysł ukrywa się przed okiem nieznanicy. Niedość wywoływać cienie umarłych, niedość malować żywy obraz minionych czasów; potrzeba, aby to malowidło spoczywało na tle, przez rozum przygotowanem, żeby w nim tkwila myśl, duszą jego będąca, aby różne ogniwa w jeden spójone wątek, jedna myśl panująca, jak iskra elektryczna od końca do końca przebiegała i zapaliła wielką pochodnię prawdy histo-

rycznej, bez której historia byłaby tylko powieścią, niezawsze zajmującą. Gdy więc dziejopis musi i odsłonić przeszłość, i odmalować ją, i z mętnych baśni, przeistoczeń, pozorów, fałszów mimowolnych i umyślnych, czystą wydobycić prawdę, któraby w życiu naszym przyswiecać nam mogła, można się dziwić, iż wśród tak wielkiej ksiąg historycznych liczby, tak mało dobrych dziejopisów widzimy? że trudny ten kunszt wielkich zdolności i rozległej wymaga nauki? Kto ma zmysł wrodzony do pochwycenia prawdy historycznej, w plataninie fałszów ukrytej, kto już ma w sobie żyjący i odrysowany na dnie wzór, ideal skreślić się mającego obrazu, kto się w cudzą osobę łatwo przemieni, w różnorodne umie wchodzić uczucia, pojąć np. dzikiego Tatarzyna, którym zwierzęce miotają chuci, dumnego Turka zaufałość i ślepotę, obłudę dwuznacznych Krzyżaków, owych Korteżów i Pizarrów XIII wieku; kto położone pozory od rzeczywistości rozróżnić umie, kto uzbrojony cierpliwą wytrwałością, łącząc żelazną pracowitość z nabytą już nauką, łatwoiernością, nadętością stylu, ciemną i dziką kronikarzy łacińską, mikroskopicznym ich rozumem nie zrazi się: ten tylko grzebiąc w ciemności wieków minionych, szczerą prawdę wyniesie z głębi i nawiedzone ręką niewiadomości lub podchlebstwa farby z oblicza historyi zetrzeć potrafi...

**820)** *Str. XXVI—XXIX.* Tak więc Długosz napisał dzieje Piastów bez krytyki, i z kolei kronikarskiej nie wyszedł. Przeciwnie Naruszewicz wszystko roztrząsał, zasięgał wiadomości i od cudzoziemskich współczesnych kronikarzy, radził się dyptomatów, wiele zwłaszcza w przypiskach (najszacowniejszej części dzieła swego) objaśnił, rozplątał i sprostował. Wszelako do wysokości historyi się nie podniósł, nie historyę narodu polskiego pod Piastami, ale chronologiczną biografię Piastów napisał...

..... Naruszewicz albowiem wytłomaczywszy Tacytą i napisawszy żywot Chodkiewicza (prócz wierszów pogańskich), już poniekąd pracami na zdrowiu, siłach i rzeźwości umysłu przetyęiony, niechętnie i tylko na rozkaz Stanisława Augusta wziął się do pióra; już, jak sam mówi, »myśliłem to czynić, co i drudzy duchowni, to jest siedząc w domu,



*otiarum cum dignitate*. Jakoż widać to w jego historii (choć z wielu względów szacownego dzieła), że nie z wewnętrznego popędu była pisana. Co pilności i praca zdziałać mogły, wszystko uczynił, wgrzebał się dość głęboko w czasy Piastów, uprawiał pracowicie tę rolę, przez trzy wieki odlegiem leżącą, ale bez zapalu, bez natchnienia, bez zamiłowania. Ustawiał już przy końcu; stąd w ostatnich tomach więcej pomyłek natrafia się. Nie miał ani cierpliwości trzydziestoletniej Gibbona, ani jego smutku, kiedy ostatnią kartę swojej historii skreśliwszy, rylec historyczny kruszyć mu przyszło i rozstawać się z miłem zatrudnieniem, które mu z przeciąganiem czasu w drugą zamieniło się naturę. Naruszewicz chętnie cisnął pióro dziejopiskie o ziemię i przez dziewięć lat pozostałych już się literaturą nie zajmował. »Przekonany jestem (mówi do króla, zabierając się do historii polskiej) długim doświadczeniem o próżności zdań owych, którzy ustawicznie z naukami zabawy najśłodszą rozrywką być rozumieją; którzy nieśmiertelność sławy literatom obiecując, w złotych wieczności księgach, w niezwydłych wieńcach plonemmi wiatrami nadzieje i potrzeby ich tuczę». Po tak odczarowanym pocie można czegoś nadzwyczajnego spodziewać się? Rzekłbyś, że ten potulny dworak i podchlebca Stanisława Augusta zarwał coś nikczemności wieku, w którym żył i wzrastał, i którego owoców przed śmiercią doczekał się.

Naruszewicz złożył pióro dziejopiskie w godniejsze ręce Czackiego, który go światłem, obszernością nauki i gorliwością daleko przewyższał<sup>1)</sup>...

### C) »Charaktery rozumów ludzkich« (1836).

(»Charaktery rozumów ludzkich«. W Krakowie, 1837).

Książka zawiera klasyfikację i charakterystykę usposobień i umyśłów ludzkich. We »Wstępie« kresili Wiszniewski charakterystyki właści-

<sup>1)</sup> W obronie Naruszewicza wystąpili Karol Sienkiewicz w »Skarben historii polskiej« I (1839) (toż w »Pismach« 1862) i Julian Bartoszewicz w »Życiorysie Naruszewicza« (»Znankomci męzowie polscy w XVIII w.« I, 142). Odpowiedź Wiszniewskiego w »Myślach o kształc. siebie samego«, str. 86—87. (Przyp. Red.).

wości rozumu różnych ludów. W rozdziale I-szym charakteryzuje różne odcięcia głupstwa; w rozdziale II-gim mówi o »przywarach i niedoskonałościach rozumów«; w rozdziale III-cim o różnych rodzajach ludzi rozsądnych, o Franklinie, o Lackingtonie; w rozdziale IV-tym o rozmaitych rodzajach ludzi dowcipnych; w rozdziale V-tym o rozmaitych rodzajach ludzi rozumnych, o Kaecie; w rozdziale VI-tym o »duszach ognistych« i »głowach zapalonych«, o urojeniu, o Dekarcie i jego metodzie kierowania rozumem; w rozdziale VII-mym o geniuszu ludzkim i jego rodzajach, o poecie, o geniuszu improwizatorskim, o geniuszu malarskim (charakt. Rafaela), o geniuszu Napoleona Bonaparte'go. — Pisał to dzieło Wiszniewski, »nie mając żadnego przewodnika«, »żywny myślał, iż »dla przyszłego Linceusa rozum« otworzył nową drogę, do poznania ludzi wiodącą. W r. 1853 ogłosił Wiszniewski »Charaktery« w opracowaniu angielskiem p. t. »Sketches and characters or the Natural History of the human intellects. By James William Whittecross« (London).

Podajemy ustepty z rozdz. II, o rozumach leniwych, z rozdz. III, o rozsądku, z rozdz. IV, o dowcipie, i z rozdz. V, o młodości i przesileniu rozumu.

**821)** *Rozdz. II. Str. 58—60, Rozumy leniwe.* Ludzie leniwego rozumu w społeczeństwie ograniczonemi i nieukami wydają się, lubo częstokroć idąc żółtym krokiem daleko postąpili w naukach. W pracach umysłowych biorą sobie za godło *Gutta cavat lapidem, non vi, sed saepe cadendo*, »Kropła wody wydrąży kamień, nie siłą, lecz często padając«. Wszystkie działania rozumu odbywają z wolna, idą jak wół w plugu, lecz miewają wytrzymalszą uwagę; z wolna obejmują, lecz jasno; powoli myślą, lecz rzadziej błędzą. Umysłom takim zbywa na imaginacyi, najzdolniejsi są na erudytów, filologów i pożytecznych szperaczy; mają bowiem potrzebną do tego wytrzymłość, cierpliwie po najnudniejszych szperają książkach, bywają nader pracowici, lecz częstokroć małe rzeczy biorą za wielkie; bo przy tych kunstownych zatrudnieniach pamięci i rozsądku, niedołącznie rozum i wiedeń dusza, jak kwiat przesadzony. Nowych myśli sami nie stwarzają, nie miewają natchnień rozumu, ani szczęśliwych pomysłów, lecz cudze dobrze obejmują i przywodzą. Żadna, choćby najbardziej oschła praca, umysłowa zrazić ich nie zdoła: gotowi całe życie zbierać nieożywione myśły wyrazy, lub trudnić się rzeczami, które żadnej z władz umysłowych, a szczególniejszej rozumu mocno nie zajmują. Odwykają więc od rozumowania; rozum ich przy takich

zatrudnieniach stopniami tępieje, a w końcu do wyższych robót umysłowych całkiem niezdatnym się staje; i dla tej to niedo-  
 łączności rozumu, zbijając cudze zdania, przywodzą powagę ty-  
 siąca autorów, lecz we własnym rozumie ani jednego dowodu  
 lub zarzutu znaleźć nie mogą. Takich rozumów najwięcej na-  
 mnożyło się było w XVII wieku, szczególnie w Niderlandach.  
 Lenistwo umysłu pochodzi w części ze słabej pamięci, która  
 skarby sobie powierzone z trudnością zwraca, ze zmordowania  
 umysłu ciągłym i zbytecznym czytaniem i niewprawy z młodu  
 do prac umysłowych. Ludzie leniwego rozumu miewają stały  
 charakter i wielką w przedsięwzięciach wytrwałość.

Ludzie pieskliwe wychowani, którym najemnicy wszystko  
 w głowę kładli, którzy drzymiąc i leżąc brali nauki, lecz zdadni  
 z natury, bywają także leniwego umysłu; lubią słyszeć sam  
 tylko wypadek długich i mozolnych rozumowań, nie cierpią sy-  
 stematycznych wykładów, przenosząc historyczną wiadomość,  
 choćby powierzchowną tylko, i w tem jednym mają niejakię  
 z umysłami ognistemi podobieństwo. W potocznem używaniu  
 rozumu, zawsze po niewczasie wiedzą, co czynić należało.  
 Ogólne wyobrażenia, których pojęcie niejakiego natężenia umy-  
 słu wymaga, w wielkim mają obrzydzeniu, a szczegółów, dla  
 ich rozmaitości i wielości, nie lubią. Bywają zwykle dojrutkami,  
 zawsze czekają, aż rzeka przepłynie, jedynie przez lenistwo roz-  
 wagi. Równie do nauk, jak do innych zatrudnień niezdatni; wszę-  
 dzie są miernymi, choć ich rozumowi na żadnej z władz umy-  
 słowych nie zbywa, lecz władze te opieszale i leniwo mu usłu-  
 gują. Ludzie leniwego umysłu nie mają innego przekonania,  
 prócz wiary, która w nich nie z rozumu, lecz z łatwowierności  
 się rodzi. Człowiek rozumny wierzy, bo w rozumie swoim znaj-  
 duje nieprzeparte do tego pobudki, człowiek leniwego rozumu  
 spuszcza się w tem i zapatruje na drugih.

**822)** *Rozdz. III. Str. 62—63.* Rozsądek nie tak daleko sięga,  
 jak rozum. Można trafnie sądzić, a jednak słabo rozu-  
 mować. Rozum naukami kształci się, rozwija, rozszerza i wzma-  
 cnia; z rozsądkiem, podobnie jak z geniuszem, rodzić się trzeba;  
 jest to osobisty i dosyć rzadki przywilej, spuścizna po matce.  
 Rozsądni zaciekąć się nie umieją, długich, głębokich i sub-

telnych rozumowań nie lubią, lecz o rzeczach potocznych traf-  
 nie i szybko sądzą. Rozsądek, dar wielce w codziennem życiu  
 szacowny, wszystkim jakoby ludziom wspólny i właściwy, nie  
 potrzebuje wielkiego od nauki wsparcia; bo człowiek przy tej  
 latarce często lepiej widzi od uczonych, i w zwyczajnych oko-  
 licznościach prędzej sobie poradzi; choć trudne zagadnienia, jak  
 Macedoński Aleksander węzeł gordyjski, nie rozwiązuje, ale prze-  
 cina. Rozsądek zdrowiem, czerstwością rozumu nazwać się mo-  
 gący, ma też wielki ze zdrowiem związek. Z postępow nauko-  
 wej uprawy, czyli kultury umysłu, podobnie jak instynkt słab-  
 bieć i zaclerać się zdaje; stąd nierzadko widzimy ludzi mądrych  
 i uczonych, którym zbywa na rozsądku. W ogólności rozsądek  
 jest to rozum głów miernych, a niekształconych naukami.

Prócz głębokości w rozumowaniu, rozsądek tem się jeszcze  
 różni od rozumu, iż błędy jego zupełnie są innej natury, od  
 pomyłek rozumu. Rozsądny człowiek nigdy takich błędów, jak  
 rozumny, nie popełni, bo tak daleko nie sięga. Człowiek rozumny  
 lepiej wybierze cel i prędzej obmyśli środki, rozsądny lepiej  
 tych środków użyć potrafi. Ludzie rozsądni tylko, co nie umieją  
 zagłębiać się, w razie nagłej potrzeby, prędzej i lepiej sobie ra-  
 dzić umieją, jak ludzie głębokiego rozumu: bo nie przewidując  
 wszystkiego, na małą tylko liczbę okoliczności oglądają się, idą  
 zwykle za pierwszym natchnieniem, tem wyraźniejszym, im ro-  
 zum mniej zastanawiał się i mozolił. Przeciwnie, ludzie rozleg-  
 lejszego objęcia, przewidując wszystkie następności, przeszkody  
 i trudności, nie mogą tak łatwo wśród ciżby rozmaicie wniklą-  
 cych się myśli, znaleźć pewności; coraz jej w czem innym i gdzie-  
 indziej szukając, nie znajdują nigdzie; zmuszeni poprzestać na  
 prawdopodobieństwie, (które także nielatwo znaleźć), zbyt długo  
 się wahają, roniąc sposobną, może jedyną do działania porę;  
 i stąd to pochodzi: iż ludzie zwykle więcej w rozsądku, jak  
 w rozumie pokładają ufności, i że nawet wielu filozofów, jak  
 Oswald, Reid, Priestley, do powszechnego ludzi rozsądku  
 się odwołują.

W rozsądkach ludzkich rozmaite postrzegać się dają od-  
 cienia: są rozsądky skromne, trafne, wolne od złudzeń rozumu  
 i imaginacyi, zdrowym rozsądkiem zwane. Jest to latarnia z cze-  
 stego szkła, która niedaleko świeci, ale dobrze.

**823)** *Rozdz. IV. Str. 94–97.* Dowcip jest wrodzonym darem, spuścizną po matce; daje się rozwijać, wykształcić, nabyla poloru, lecz z dowcipem, podobnie jak z rozsądkiem i geniuszem, rodzic się trzeba.

Wesoły dowcip jest najprzejmniejszy z darów natury, który wszystkich zachwyca, wszystkim bez różnicy oświecenia i stanu podoba się, choć jak sprawiedliwie Jan Żabczycki powiada: »Dowcip czasem potrzebuje, ale rozum zawsze«. Mężowie poważni, najślawniejsi z geniuszu i świętym przewag ludzie, kochali się namiętnie w płodach wesołego dowcipu. Filozof Demokryt, Filip Macedoński, Demetrius Poliorketes, okrutny Sulla i książę mówców, Cynceron, lubili wesołe żarty i pocieszne rozmowy, bo towarzystwo lub pismo ludzi dowcipnych jest godną zazdrości rozkoszą. Jeśli chcesz zapomnieć, że żyjesz, czytaj Segiura, powiedziała pani Necker. Pisma komików wiele pożytku, a jeszcze więcej przynoszą zabawy i przyjemności, której nikt oprócz się nie może. Sterne, dostawszy dzieło Rabelęgo, z taką chciwością go czytał, iż zapomniał o upragnionej kanonii i zniknął ze społeczeństwa, którego był duszą. Górniesze od niego umysły, Platon i Jan Złotousty, komedye Arystofana wysoko cenili. Pierwszy miał o Arystofanie napisać: iż gracze, szukając siedliska na stałą dla siebie świątynię, serce tego komika ateńskiego na to obrały.

Można mieć zdrowy rozsądek i głęboki rozum bez dowcipu; oba te szacowne i wielkie umysłu przymioty najpracowitszą, najdoskonalszą uprawą na dowcip wyostrzyć się nie dadzą. Owszem, zbyt troskliwe i ustawiczne bieganie za dowcipem zabija go i tępi; dowcip albowiem najmniej ulega woli, a najpiękniej rośnie, kiedy niewymuszony, jak barwinek. U ludzi dowcipnych wyobrażenia koczają się w sposób pobudzający do śmiechu, u ludzi rozumnych, w sposób wykrywający naturę. Człowiek dowcipny wśmiewa słabości i zdróżności ludzkie; rozumny, wynajduje ich przyczynę i tłumaczy naturę. Dowcip okazuje się w wynalezieniu, rozum w objaśnieniu, rozsądek w rozróżnieniu, geniusz w utworze wielkiego obrazu lub budowie całego systemu prawd, ściśle z sobą powiązanych. Rozumny wynajduje zachodzące między rzeczami związki; rozsądny, różnice; a do-

wcipny jakieś podobieństwo i równość, nawet w rzeczach, w których rozumni i rozsądni same tylko widzą sprzeczności i różnice. Dowcipny nie posiada tyle światła, co człowiek rozumny, nie miewa tyle zastanowienia, co człowiek rozsądny, nie dosięga mądrego, wszelako częstokroć odrazu dociecze, co dla rozumnego było zagadką, nad czem człowiek rozsądny długo się mizolił, a co mądrymu nigdy na myśl nie przyszło. W ogólności dowcipny prędzej się czegoś domyśli, jak rozumny. Rozumny zaś prędzej sobie wyrozumuje, niż się domyśli.

Dowcip jest skłonnością i wielką zdolnością do wynajdywania podobieństw w rzeczach i wyobrażeniach. Jest zaś kwitnący, gdy takowe podobieństwa oddane są w obrazach; trafny, kiedy je najprostszą szuka i odkrywa drogą; naturalny, kiedy podobieństwa i porównania jego bez żadnego natężenia umysłu pojąć się dają, kiedy nie ma myśli osłoniętych, wypracowanych i kunsztownych.

Ludzie poważnych obyczajów zwykle potpiją dowcipnych: może dlatego, iż dowcipni niekiedy granice przyzwoitości przekraczać lubią, iż dowcip bywa połączony z lenistwem rozumu, obojętnem sercem i jakąś w charakterze lekkością. Ludzie dowcipni zajmują, bawią i pociągają do siebie; lecz poznani z bliżką, odróżają czczością, która w duszy ich panuje; podobni do jabłek przy jeziorze martwym, które do ust przytknięte, w popiół się rozsypują. Bawi nas dowcip Krasickiego, ale przebijająca się w pismach jego dusza, obojętna na wszystko, co dla nas najdroższego, jakieś stronienie od uczuć wrodzonych serca, jakieś przykre zimno, więcej z jego dowcipu, sprawuje, iż lubiąc pisma, autora ich kochać nam nie podobna.

Ludzie dowcipni prędko, z wielką bystrością chwytają subtelne podobieństwa, prędzej od innych wszystkiego domyślić się umieją, prędko wynajdują środki załatwienia jakich pomniejszych w życiu trudności, bystro postrzegają sprzeczności z prawami pięknego i dobrego; mają żywe objęcie, przytomność i czujną uwagę, wielką pamięć, lecz nie głęboki rozum. Systematyczności i klasyfikacyi wyobrażeń nie lubią; prześlizgują się, pelzają tylko po wierzchu myśli, i jak motyle z kwiatka przelatują na kwiatek. Głębiej w rzeczy zapuszczać się nie lubią, często niespodziane miewają myśli i celują w opowiadaniu; mają



z natury dar wzniesienia ciekawości, umieją zwrócić uwagę, za chęcią słuchaczów do skwapliwego rozwiązywania zwickanych wypadków, omylić oczekiwanie, zamącić wszystko, kładąc po szczególnej, rzecz jeszcze osobiwszą, wzniesić bojaźń i litość, zmartwić, poruszyć i nakoniec zmieniając treść, pozornie poważną, w żart wesoly, potrafią duszę zadowolić, zostawując imaginacy wątek do nowych obrazów, a rozumowi do dalszych rozmyślań pobudkę. A gdy każda powieść, choć króciutka, zajmuje imaginacyę i wdzięcznie bywa przyjmowana, nie dziw, że ludzi dowcipnych więcej lubią, choć więcej szacują rozumnych.

Ludzie, w których dowcip jest okrasą głębokiego rozumu, celują w komedyach, satyrach i romansach, malujących śmieszności, słabości i przywary ludzkie, i uścielają kwiatami drogę do prawd najwznioślejszych, mocnego przekonania, i że tak powiem prawdę na dłoni wdzięków okazują. Komedye Moliera, jak np. »Świętoszek«, »Szkoła kobiet« i t p., więcej się do poprawy obyczajów we Francji przyczyniły, jak wszystkie ówczesnych moralistów pisma.

Krasicki przywary i zdrożności ojców naszych w kontuszu i żupanie, już podcinanym na fraki, a Fredro dzisiajjsze, od Francuzów przejęte, dowcipnie odmalował. Cerwantes zniszczył w Hiszpanach namiętne upodobanie w romansach rycerskich, które odwodziło od czytania i pisania dzieł pożyteczniejszych. W ogólności dowcipni najczęściej śmieszności podstrzeżać i opisywać lubią. Oni wzięli od natury dar pobudzania do śmiechu, którym wedle Arystotelesa ludzie różnią się od zwierząt. Nielatwo jest wynaleźć obrazy i ustawić myśli w sposób rozśmieszający; dar taki nawet między dowcipnymi nie jest pospolity. Na stu ludziach, którzy nas do rzewnych łez pobudzą, ledwie jeden z prawdziwą żyłką komiczną się zdarzy. U nas, wśród wielkiej liczby poetów, tylko Krasicki i Fredro wesolym odznaczyli się dowcipem. Romans taki, jak »Don Kichot«, »Idzi Błażej z Santyllany«, »Modna żona«, »Nieszczęścia najszcześliwszego męża«, równie trudno napisać, jak poemat bohaterski. Między malarzami niewielu tak dowcipne karykatury kreśliło, jak Leonardo da Vinci i Hogarth.

**824)** *Rozdz. V. Str. 119—121.* Młodość i przesilenie rozumu. Dla duszy świeżej, serca nietkniętego boleścią, rozumu jeszcze żądną nie zrażonego i znękanego wątpliwością, wszystko na świecie w złotej okazuje się barwie. Młody rozum wszystko wiedzieć pragnie i spodziewa się; wierzy w cnoty, otwiera się z zaufaniem, wylewa na nadzieję. Niemasz tak wysokiej doskonałości, którejby dostąpić nie pragnął i nie spodziewał się. Przegląda się chciwie w świecie, gdzie wszystko dla niego nowe, świeże i wesole, jak jego serce. Zachwycą się wszystkim, dziwuje i unosi; jak podróżny na górze Rygi, kiedy nagle z za skał alpejskich wyskakujące słońce pokryje różowym rąbkim lody i siedm bliższych jezior wśród rozkosznej okolicy odsłoni. Młodość duszy, młodość rozumu! Szczęśliwy, kto w tym raj u niewinności, po tych złocistych niwach długo bujać może. Z czasem naukami kształcony rozum coraz prędszej kroczyć poczyna, coraz więcej wyobrażeń ogólnych nabywa, i coraz większego w silach swoich nabiera zaufania. — Jeszcze i temu wzrostowi i zbliżaniu się ku dojrzałości złota młodego wieku towarzyszy nadzieja. Młodzian nie wie i nie domyśla się nawet, iż są pewne wiedzenia granice, gdzie dwie rozstajne zaczynają się drogi. Póki do tej nie dobiegnie mety, postępuje wesolem sercem i mimo wielkich trudności, nie ostygła w zapale. Prowadzony za rękę, idzie zawsze ubitą i wskazaną przez innych drogą; tylko utartej dobrze trzyma się ścieżki, cudze tylko myśli rozumieć się uczy, i zawsze od wyrazów do wyobrażeń, a od tych dopiero idzie do rzeczy. Po gotowych już rozumowaniach, do pewnych prawd przychodzi. Zastanawia się nad tem, co mu wskazano, co bliżej niego leżało. Lecz w pewnej epoce umysłowego życia, poczuwszy w sobie pełnoletność umysłową, zaczyna o własnych siłach rozbiierać i sprawdzać zdania, które dotychczas na wiarę od innych przyjął; z tego rodzi się w jego umyśle niespodziana wątpliwość, czyli przesilenie się rozumu, które cały umysł wstrząsa, silnie wpływa na przyszły jego charakter umysłowy i stawia go na drodze rozstajnej, z których jedna prowadzi do granic rozumu, druga do ciągłego powątpiewania.

Szczęśliwy, kto przebywszy tę ospę rozumu, pozna nieprzebytą możność wiedzenia granic! o jednych rzeczach upewnia się dowodami; w drugie, ile żadnym dowodzeniem obalić się

i wyrozumować nie mogące, wierzy. Reszta kładzie w rzędzie prawdopodobieństw i domysłów; a po wytrzymanej nawałności, zainawszszy szczęśliwie do portu, w rzeczach, rozumowi niedostępnym, ucieka się do religii. Spokojnym odtąd umysłem po- gląda na granice, której rozum przekroczyć nie może i żadnej już sprzeczności między sumieniem swoim a rozumem nie czuje.

Lecz nie wszyscy ludzie tak szczęśliwie te niebezpieczne przebywają porohy. Jedni przyłgają ślepo do wszystkiego, cokol- wiek trafem do nich przyplągnęło; drudzy na widok tak rozma- itych, sprzecznych i wzajemnie znoszących się zdań ludzkich, rozpaczają o rozumie i względem rzeczy najbliżej człowieka dotykających w wiecznej zostają wątpliwości. Jest to nader mą- dre rozrządzenie Opatrzności, że ludzie głupi i ograniczeni, o tych wątpliwościach wcale nie wiedzą i na takie niebezpie- czeństwo narazić się nie mogą.

#### D) Historia literatury polskiej (1840—1848)

(«Historia literatury polskiej». Tomów 10. Kraków 1840—1857).

Doprowadzona do połowy XVII w. Tom I zawiera «Przedmowę» z ogólnym rzutem oka na rozwój literatury polskiej, «Wstęp», obejmujący charakterystykę epok literatury polskiej, spis dzieł opisów zatraczonych lub w rękopiśmie i rzecz o Źródłach historyi liter. pol.; poczem następuje histo- rya literatury polsko-słowińskiej; historia poezyi i prozy polskiej, poezyi i wymowy polsko-lacińskiej i nauk przyrodzonych — za Płastów. Tom II — historię kronikarstwa polsko-lacińskiego, historię Akademii Krakowskiej do r. 1400 i historię prawa polskiego do r. 1400. Tom III — historię kun- sztu drukarskiego, historię filozofii scholastycznej w Polsce w ciągu XV w., Grzegorza z Sanoka, historię języka i literatury lacińskiej w Polsce w XV w., historię poezyi i prozy polskiej w XV w., Kallimacha. Tom IV — kronikarstwo polskie XV w., Długosz, Astronomia, Matematyka, historię Akademii Krakowskiej. Tom V — teologowie XV w., wymowa kaznodzie- ska, Kanonicy XV w., historię prawodawstwa polskiego i litewskiego w XV w., historię prawa Magdeburgskiego w Polsce, Ortyle. Tom VI — historię języka i literatury lacińskiej za Zygmunta, historię języka i li- teratury greckiej w Polsce, historię poezyi polsko-lacińskiej od Pawła z Krosna do Sarbiewskiego, historię języka polskiego, himnologię polską, tłumaczenia polskie pisarzy greckich, lacińskich i Pisma św. Tom VII —

historję nowej poezyi polskiej (Złotego wieku), romanse i powieści, poe- zję dramatyczną, historję kunsztu dziejopisańskiego od Miechowity do Kochowskiego, Paprocki, opisy Polski, podróże. Tom VIII — dalszy ciąg literatury historycznej z ep. Zygmuntowskiej, historję kościelną, historję literatury i Kościoła ruskiego. Tom IX — literaturę teologiczną, prawni- cą, filozoficzną, lekarską i nauk przyrodzonych. Tom X zawiera «Spis au- torów», wymienionych w 9 tomach. — Podajemy wyjątki z przedmowy i wstępu do t. I-go, z przedmowy do t. II i z rozdz. 7-go t. VII-go («Histo- rya nowej poezyi polskiej»).

#### Z Przedmowy do tomu I.

**825)** Str. IX—XIII. Pod Wazówi Sasów panowaniem wszystko się zmienia. Dyssydenci i Dyzynicy w prześladowaniu; Jezuitci klóćą się z Akademią krakowską i Pijarami w Wilnie, wszędzie zakładają szkoły i przywracają wieki scholastyczne. Część narodu, najwięcej z powodów religijnych, na własnych ro- daków oręż podnosi: bo protestantów z izby poselskiej wyrugo- wano, a archierejów do senatu nie wpuszczono; nie założono obiecanej akademii w Kijowie (choć hetman Sahajdaczny Kona- sewicz, idąc na pokutnik do Ławry peczerskiej, nie mało na jej założenie groszy był zapisał) i dano zburzyć Kudak. Szwedzi mszczą się na Polakach za to, że ich królowie snopek w her- bie noszą. Nauki i oświecenie upadają. Wśród ciemności legną się brzydkie przesady; głupstwo pastwi się nad rozumem; ślepi prowadzą jednookich. Panowie piszą *pacta conventa*, frymarczą koroną, odgrywiają toruńską tragedję i robią zajazdy. Wino wę- gierskie rodzi się na Wegrach, a wychowuje w Krakowie. Szlachta więc pije, pławi czarownice w stawie, zrywa sejmy i za lby się wodzi. Młodzież pod wąsem uczy się Alwara. Aka- demicy krakowscy piszą kalendarze i prognostyki, i wraz z całą zgryzą pismaków, dmą w ogromne trąby pochwalne na cześć szlacheckich splendorów. Już teraz kto tylko pisze, chwalić musi koniecznie; na jednym tylko Zoilu wszystko się skrupiło. Prze- lekciona losem biskupa Piaseckiego historia zamilkła. Uczeni ubóstwo, nagość swego rozumu osłaniają lacińską, nawet w potocznej mowie do polskich lacińskie mieszają wyrazy. Ro- zummy głębiej wnikające filozofia scholastyczna w żelazne po- chwyciła pęta. Gdy się to dzieje, wraca z cudzoziemskich krajin Konarski, a jak zwykle ludzie wielcy, nie zraża się trudno

ściami, krząta się, uczy, pisze, drukuje. Ale niesporo mu idzie; bo nie przywiózł z sobą pochodni, lecz tylko zakopconą latarkę; wszelako i przy jej bladem światelku dziwnie mu się wszystko w Polsce wydało. Zaledwie oczom swoim uwierzył, co tu jednowieczna ciemnota z narodu, niegdyś tak oświeconego, zrobiła; gdzie tylko szkłem obrócił, tam zaraz okropny nierozum w całej brzydocie swojej z ciemności wyrzucił się; zwrócił li na szkoły, widzi Alwara, co jakby upiór jaki, rozumy młode w samym zatłumia kwiecie; widzi ludzi, którzy od zdrowego rozsądku odwykać i jemu ufać nie chcą. Zaczął więc podkopywać powagę Alwara i innych krajowych przesądów; a natomiast nowsze szczepić wyobrażenia. Marszczyli się na te nowości starzy Polacy, glaskali podgolone czupryny, poprawiali niecierpliwie lite pasy, żal im było Alwara i panegiryków, do których od młodości byli nawykli. Wtem głośny i potężny zakon Lojoli upada. Podła chciwość rozrywa majątki pojezuickie i rozprasza książki. Resztkę cnotliwi ratują: Chreptowicz podaje myśl komisji edukacyjnej; Kollątay budzi drżymącą od lat stu Akademię krakowską. A gdy wszędzie brak rozsądku, brak logiki czuć się daje, Ignacy Potocki, nie znalazłszy w kraju, aż do nauczyciela księcia Parmeńskiego po logikę dla Polaków posyła. Atoli i w kraju księgi elementarne się piszą. Kopeczyński na wielkich tablicach spisuje wyrazy z ich odmianami i układa gramatykę. Stanisław August daje obiady czwartkowe i bije dla uczonych medale. W Puławach chowają i pieczą poetów. Na scenie pokazują dzieła oryginalne. X. Jezierski, X. Staszic i jeszcze jeden, tną prawdę szlachcie, pochwałami rozpieszczonej, a wtem piorun spadł z nieba i dom oddawna spróchniały obalił. Ci, co dotąd mówili po łacinie, podcinają sobie kontusze na fraki, nie chcą więcej golić głowy, mówią i piszą po francusku i dzieci swoje włączą z Francji na wychowanie oddają. Nowy więc w naukach i oświeceniu powstaje chaos. Po słabej czasów Stanisławowskich oświacie powszechnie zamącenie głów nastąpiło. Miejsce Arystotelesa zastępuje Wolter i Rousseau. Pamiętniki francuskie, obrazy przedpokojowych przebiegów i plotek, stały za historią; ci, co dawniej Wirgiliusza czytali, czytają teraz Delilla; unoszą się nad komedijkami, które w Paryżu z oklaskiem przyjęto; piszą

wiersze i to nazywają poezią. Literaci żalą się na ubóstwo polskiego języka, odgrajążąc się nawet, że go doskonalić poczną. O kwitnącej niegdyś wśród Polski literaturze cerkiewnej nie wiedzą, a o Zygmuntofskiej mało co. Języki słowiańskie zupełnie im nieznanne. Biskup Kossakowski, jadąc do wód karlsbadzkich, odkrywa przypadkiem naród, mówiący bardzo podobnym do polskiego językiem; a w Warszawie słuchają go z zadziwieniem, jak niegdyś Krzysztofa Kolumba na dworze Izabelli. Gadano wiele o potrzebie umienia, objaśnienia i pisania historii krajowej; wszelako topografia pałacu wersalskiego, żywoty kochanek wielkiego Ludwika i szczegóły jeleniego parku, znajomsze im były, niż dzieje cnotliwej Jadwigi i dwór Jagielonów. Były to wreszcie błogie dla literatów czasy: kto przetłumaczył jaką książkę francuską, zostawał literatem. Kto tuż wierszy Rasyna, Floryana lub Henryadę Woltera przełożył, pisał się poetą. Sława jego szerzyła się po wszystkich zakątkach pałacowych, choć go naród nie znał. Pochwalony polską francuszczyzną przy mahoniowym stoliku, ukłonił się grzecznie i odtąd na wywrzynach zasypiał. Jeden tylko Tadeusz Czacki odgrzebywał gruzami przywaloną przeszłość, a Woronicz na ton swojacki lutnię nastroił.

#### Ze Wstępu.

**826)** *Tom I. Str. 17—21.* Nauczyciło doświadczenie, iż ludzie nie korzystają z historii, bo się historyi mało zajmują, a namiętności, jako mocniejsze, więcej wpływają na życie narodu, niż rozum. Lecz nie idzie za tem, aby historia literatury równie małe obiecywała i przynosiła korzyści. Ludzie zajmujący się naukami, wprawni do myślenia, chętne czytają historię literatury, która nie będąc wykładem żadnej teorii, opisuje tylko, co się stało w dziedzinie myśli; opowiada, jakie zachodziły w świecie duchownym zmiany i z jakich powodów; z tego opowiadania nastroczą się pożyteczne dla literatów przestrogi i doświadczeniem stwierdzone nauki. Nie wszystkie atoli epoki mogą mieć prawdziwą historię: o całej epoce przedchrześcijańskiej tylko domysły, rozumowaniem wspierane, podać możemy. Historia literatury za Piastów, musi (dla niedostatku wiadomości historycznych) być składaną jak mozaika. Dzieje literatury



pod Jagiellonami tylko porównaniem z europejską skreślić się dadzą; w wiekach Zygmuntońskich, kiedy tyle pisano, historia literatury nie znalazła dziejopisa, tem mniej w czasie jej upadku do ks. Konarskiego. Tu jednakże zjawiała się bibliografia. Epoka Stanisława Augusta przeszła, co do historii literatury, w milczeniu. Od roku 1795 do 1815 upadła historia. W czasie piętnastolecia kwitła bibliografia; historia literatury była tylko zapowiadana. To wszelako jest jedna epoka, której możnaby skreślić prawdziwą historję, bośmy własnymi na nią oczyma patrzyli.

Wiadome nam są i przytomne w pamięci duch i barwa owego czasu, chęci, słowa i szczegóły, kluczem i tłumaczeniem wielu ważnych okoliczności będące; znaliśmy osobiście wielu mężów, znakomite w świecie literackim tej epoki miejsce zajmujących. Nie tak się ma rzecz z siedmiu poprzedniami epokami; do skreślenia dziejów literatury naszej przed 1815 r. potrzeba rzadko razem idących zdolności: tu bowiem cierpliwie policzyć i długo wpatrywać się w zabytki literatury zeszłych wieków należy; potrzeba z blizka każdej książce przypatrzeć się, ośwoić się z tokiem myśli i stylem osobistym każdego autora, zebrać w jedno ognisko rozproszone myśli i wiadomości, szukać czasem poezyi w kronice, a kroniki w pieśniach; wymusić choćby jedno tylko słówko na autorze, który umarł od wieków; nieboszczyków na ostre brzo wypytanie, podchwytując ich, łapać za słówko; bo inaczej uporne zachowają milczenie. Trzeba przeczytać dobrych pisarzy, których zbyt mało, i złych, których za wiele; nie gardzić żadnem ulotnem piśmkiem, zażyć nawet do kalendarzy. Jeśli pod taką pracą nie ulegnie\* umysł, nie ostygnie imaginacya, dopiero można do drugiej połowy tego dzieła przystąpić: poburzywszy wszystko, rozzebrawszy aż do egielki, trzeba rozpocząć nową zupełnie budowę, utworzyć sobie w myśli całość, której nie było, przełać w jeden obraz, nie psując podobieństwa. W powieści zmyślonej imaginacya ma otwarte szranki, skrzydła wolne; może budować, rozwalać, poprawiać wedle swego widzimisię; a im bujniejsza i gorętsza, tem piękniejsze i ciekawsze zachodzą trudności. Ale w odbudowaniu historycznem większe zachodzą trudności. Tu trzeba bystrego pojęcia, któreby za najmniejszy cień chwy-

tało, imaginacyi zdolnej dokończyć obraz, którego kawałek tylko i jakby przez mgłę ujrzeć zdarzyło się; zapalu, który ożywia, zimnego rozsądku, któryby rozbiegłe pióro wstrzymał, zbyt mocno nałożone farby zładogil; potrzeba mieć rozum opatrzonej siłą sceptycyzmu, która obala, i siłę twórczą rozumu, która buduje; potrzeba wszystko przeczytać, wszystko wiedzieć, a potem wszystko zapomnieć, aby się te różnorodne rzeczy w przypomnieniu w jedno przetopiły, a potem na nowo w jednym odlały obrazie. Gęte posiadają talent takiego odlewania posągów, jak widzimy na jego Egmoncie; Szyller idealizował obrazy ludzi, zachowując jednak prawdę i podobieństwo. Czytajmy np. Wallensteina i Maryę Stuart. Szekspir w Koryolanie wyborny tego dał przykład. Jeśli więc w malowaniu obrazów ludzi historycznych tyle zachodzi trudności, cóż dopiero gdy idzie o utrafienie podobieństwa i oblicza czasu pod względem oświecenia i nauk? Nietylko my takiego dzieła jeszcze nie mamy; żadna literatura europejska podobną historją jeszcze poszczycić się nie może; bo w ogólności jeszcze do historii literatury nigdzie nie przystąpiono. Jeszcze się pióra dziejopiskie moczują z historją powszechną, której wyobrażenie niedawno (bo przy końcu zeszłego wieku) przyszło do dojrzałości. Co do historii literatury, żaden naród europejski jeszcze jej nie posiada; to co mamy, są to albo rozprawy o literaturze, żadnego z sobą, związku nie mające; albo biografie uczonych, albo bibliografie, ale nie historia. Wachlera książka<sup>1)</sup> tyle tylko ma wartości, iż całość obejmuje; ale jak mało na jego sądzie historycznym polegać można, nikomu nie tajno. Wachler do późnej starości pracował i nic nie zrobił, bo się porwał do tego za wcześnie. Historji literatury powszechnej niepodobna napisać, póki wszystkie narody dziejów literatury swojej nie spiszą. Wówczas dopiero da się uczuć potrzeba historii literatury powszechnej, co może za sto lat jeszcze nie nastąpi.

Literatura jest to owoc duchownego życia narodu, zwierciadło, w którym całe jego oblicze najwyraźniej odbija się. Żaden inny pomnik przeszłości tak głęboko w duszę ludzką nie

<sup>1)</sup> Ludwik Wachler, »Versuch einer allgemeinen Geschichte der Literaturen«. 4 tomy. Lipsk, 1793—1801. (Przyp. Red.)

sięga; bo w mowie największe tajemnice duszy i serca ludzkiego łatwo wcielają się. Jednak i język ma pewne granice: nie wszystko życie objąć w siebie i potomości podać może. Ani poeta, ani prawodawstwo, ani historya całego życia duchownego nie objęły. Literatura nie jest jedynym kluczem do przeszłości, w którą życie duchowne zapadło, bo płynęła tylko obok życia, ale nie była jego celem. Nasz naród nie był narodem piszącym tylko. Książki bywały tylko chwilowem objawieniem się życia; sama więc literatura go nie wyobraża, podobnie jak dzień nie wyobraża całkiem słońca, a błyskawica elektryczności. Dlatego dzieje literatury historią często objaśniać i dopełniać przychodzi.

Z Przedmowy do tomu II.

827) *Str. I—III.* Gdyby w historii narodów i literatury zaprowadzono porządek w wykładzie, za pomocą którego nauki przyrodzone dziś tak wysoko podniosły się, zacząłbym był historję od epoki dzisiejszej, od książek, które wszyscy czytali, od literatów wszystkim niemal oświadczeni, lub żyjących jeszcze, a od znanych nam z bliska czasów i osób, cofając się wstecz coraz głębiej w przeszłość, dopiero na końcu byłbym przyszedł do epoki Piastowskiej i czasów słowiańskich, słowem prowadziłbym czytelnika tą samą ścieżką, którą sam chodziłem. Takim właśnie trybem, już za pamięci naszej, rozwijały się nauki przyrodzone i zwróciły uwagę nawet ludzi nieuczonych, nawet najobojętniejszych. Zoologowie poznawszy dobrze zwierzęta żyjące, wzięli się do zwierząt kopalnych, przedpotopowych; a niebawem Cuvier, trzymając w ręku jeden żąb lub gołęń, zdumionym słuchaczom począł opisywać budowę, nawet przymioty i sposób życia zwierzęcia, którego nigdy nie widział, którego już ród na kuli ziemskiej zaginał. Spoczywające od tysiąca lat w łonie ziemi kości, stały się dla geologów ciekawą księgą, w której oni płynnie czytać umieją, i do tego już przyszło, że nas, niebiegłych w historii naturalnej, oprowadzają po świecie przedpotopowym, jak neapolitański czyzerone po odkopanych uliczkach Pompei; wiodą przezleknionych po lesie obrznych paproci, między potworne zwierzęta, tu całe stado koni kopalnych, tam znowu górę usypaną z plazów nam

pokazując, a co dotąd przechodzień obojętnie nogą potęrał, to oni dziś skrzętnie zbierają, w to ciekawem wpatrują się okiem, o tem z uniesieniem mówią, piszą, rysują i malują. Patrząc się na nich, krzątających się jak mrówki, zaszrodo prawdziwie bierze, że dla rzeczy tak na pozór oschłej, dla kości strupieszalnych i zwapnionych, tytu miłośników, opiekunów i zwolenników pozyskać umieli. Już przed dwudziestu laty widziałem w Edynburgu panny, które wypuściwszy z rąk świeży romans Walter-Scotta, mieszały się co żywo do sporu Wulkanistów z Neptunistami.

Otóż ten olbrzymi dziś wzrost nauk przyrodzonych, to powszechne niemi zajęcie się, jest skutkiem drobnej napozór przyczyny: metody i nie więcej. — Zoologowie skończyli na tem, od czego historycy od Mojżesza i Hierodota zwykle zaczynają, i dlatego tak daleko zaszli. To samo byłoby z historją, gdybyśmy się naturalnego w jej wykładzie i uczeniu trzymali porządku; cofając się od skutku do przyczyny, zatrzymując na czasach wątpliwych, mgłą wieków przesłoniętych, nabywalibyśmy w początkach samych tylko pewnych, niewątpliwych i dobrze wyjaśnionych wiadomości historycznych, nauczylibyśmy się zawczasu odróżniać: prawdę od wieści, podanie od historyi, rzeczywistość od domysłów; idąc od rzeczy łatwych do coraz trudniejszych, każdyby od młodości zaprawił się do krytyki historycznej. — Na historii bliższej naszych czasów, historyi naturalnej społeczeństw ludzkichby się nauczył, a to w sposób łatwy, zajmujący i drogą nieomylną; poznawszy dobrze historję żyjących jeszcze narodów, łatwiejby pojął historję narodów zamarych, i że tak powiem, kopalnych. Boć wreszcie każden z nas taką drogą historyi nauczył się, to jest: wbrew przeciwnym porządkom temu, którym się dziś historia wyklada i pisze. Ledwie teraz przewidzieć można, jak wysokoby się historja podniosła, gdyby się kiedyś tej metody chywycono. Obojętne dziś rzeczy dla czytającej powszechności najżywszaby wniecały ciekawość; najdrobniejszy szczegół, znalezione w granitowych gmachach egipskich, nowa jaka litera w hieroglifach wy-patrzona, poprawniejszy rękopis Baszkona kroniki, stara (a jak zwykle u nas bywa zszarzana i poszarpana) książka, szpargałem na starość zwana, nie samychby uczeńszych tylko zajmo-

wala. Niejeden z ludzi ukształconych, któremu teraz się zdaje, iż nad pamiętniki francuskie nic zabawniejszego nie masz na świecie, co patrząc się na czytającego szpargały ramionami tylko wzrusza, a nie śmiałyby otwarcie powiedzieć, co o nim w głębi duszy swej myśli, taką metodą wyuczony historii, przewracalby, a nawet czytał sękowate kroniki z równą ciekawością, jak pamiętniki Tallejranda i pisane gawędki księżnej d'Abantes....

**828)** *Str. IV—VI.* Historia nie dowodzi, ale opowiada; nie jest księgą sławy, ale prawdy. Dziejopis niezawsze może kreślić obraz przyjemny, któryby każdej miłości własnej podchlebiał; częściej mu przychodzi przydawać cieni, ujmować pozłoty dla prawdy; nieraz mija obojętnie głośno w swoim czasie imiona, które sobie jakąś wziętość z niczego, jakąś lilipucką sławę zbudować umiały. Czyliż niedosyć nagrody dla nich, że ich współcześni wielbili? Tak pisma ich, jak i dawanych im oklasków odgłos nie dojdą do potomności. Tylko górne śpiewy wielkich poetów, tylko dzieje społeczne, przez naocznych pisane świadków, potomni z upodobaniem czytać będą i pożytkiem. Reszta wszystko, wraz z tą tu moją książką, pójdzie w niepamięć i wieczne zapomnienie. Żaden wiek nietylko się nie cofa, ale ani się obejrzy za siebie, aby uwielbiać osoby i ich książki, które go już nie obchodzą. Wreszcie próżne byłyby pochwały, którym dziś nikt nie ufa i w które nie wierzy, a znizieniem historii do pochlebstwa, pobożaniem próżności słusznie obraża się. Zajrzyjmy bowiem w księgi polskie XVIII go wieku, w których lada podpanek jest Katonem, Scypionem afrykańskim, macedońskim Aleksandrem i miał antenatów, którzy jeszcze z Lechem do tej tu ziemi przybyli i już wtenczas takim herbem się pieczętowali. Cóż był za owoc tak obłudnych pochwał, którym nikt, prócz chwalonego, nie wierzył? Jakieżem okiem poglądamy dzisiaj na ówczesnych literatów, którzy w przedmowach do dzieł lichych dorabiali fałszywe genealogie, za antenatami swoich mecenasów aż do arki Noego wzięli; co zamiast oświecać obłąkanych, prostować fałszywe wyobrażenia, jeszcze wiek swój utwierdzali w błędach i bieżącym nad przepaść jeszcze oklaski dawali? Co dziś za korzyść z literatury,

która samej tylko próżności wysługiwała się, co zamiast rzucać światło na wiek swój, cienie chińskie nam pokazuje? Mówić też ochylając, trudno co zbudować. Lepiej zaiste wręcz powiedzieć prawdę, niż wychwalać usta, co się w sercu i pokątne nagania.

Nie masz nic szkodliwszego dla literatury, jak *apoteosis* mierności. Nie należy tak bardzo się gorszyć, gdy ktoś z innym od nas zdaniem w literaturze wystąpić odważy się. Mamyż, jak nigdy Grecy aleksandryjscy, zamknąć oczy, zatkać sobie uszy, a obłożwszy się książkami poprzedników naszych, tylko unosić się nad wszystkim i tylko uwielbiać, tylko karty obliczać? Nie czas jeszcze po temu, wszak niedawno natrafiliśmy na bity gościniec. Z dwojga złego wybierając, zbyt ostra krytyka w historii jest dla literatury naszej pożyteczniejszą, jak wymuszone względami pochwały: bo dobra książka i sama się obroni, a miernej obronić niepodobna i nie warto. Żadnego poety dzieła tak ganione i nicowane nie były, jak Bajrona. Najdowcipniejsi krytycy edynburscy, ludzie z wysokim rozumem, jak adwokat Jeffery, cały swój geniusz wyteżyli na poniżenie, podanie w posmiewisko i wzgardę dzieł tego angielskiego poety, a jednak Bajron zajmuje pierwsze miejsce między poetami XIX-go wieku. Stary Fontenelle, żyjący w zepsutych moralnie czasach, zwykł był powtarzać: iż gdyby miał pełną garść prawdy, toby przez całe życie ręki nie utworzył. Długo, zbyt długo, nasi literaci tego prawidła trzymali się, zapomniawszy, że literatura nie żyje grzecznością jedwabną, względami dla osób, ale prawdą; inaczej stanie się rzecz obojętną dla ogółu, straci zaufanie i wiarę u swoich i u obcych<sup>1)</sup>. Jeżeli każdy nasz znajomy, każdy, któregośmy za życia szanowali i kochali, ma mieć przywilej, iż o jego pismach, choćby miernych, zdania swego otwarcie wyrzec się nie godzi, w oóż się obróci historia? Jeśli sami siebie ludząc, wszystko ryczałtem uwielbiać i wychwalać będziemy, jeśli nie damy zrobić żadnego rozróżnienia, znajdzie się łatwo jeszcze gorszy od Brauna krytyk, który ostro przywary

<sup>1)</sup> Na Poggiusza Brakceliolini, który napisał historią florencką z wielkimi dla Florentczyków pochlebstwami, takie napisano wierszki:

Dum patriam laudat, damat dum Poggius hostem  
Nec malus est civis, nec bonus historicus.



wytknąwszy, o zaletach zamilozy. Chęć wreszcie pokrywania wad literatury naszej przed obcymi jest mylną życzliwości rachubą: bo literatura nasza jest jako człowiek dojrzały, który o swawoli i potach swojej młodości mówić już może z uśmiechem. Nie poczytają sobie za ubliżenie dzisiejsi akademicy krakowscy, wyczytawszy w historii, że ich poprzednicy, podobno nawet Kopernik, astrologią bawili się, albo że Gall niczego się od Jana z Głogowy nie nauczył i nauczyć nie mógł; nie umnie nie dostojności historyi, choćby kto Naruszewicza o podchlebstwo pomówił. Do wieku panegiryków już nam nawracać niepodobna. Owszem, wszystkie myśli w to włożyćby należało, jakbyśmy oko nasze do blasku prawdy przyzwyczaili mogli. Jeszcze lat temu dziesiątek pisano pochwały, ale już tylko dla nieboszczyków; historia ani tych chwalić nie może, pochwały tylko zaśludze i geniuszowi oddając. Osoby albowiem znikają, a literatura wzrasta, upada, w coraz nowych odradza się kształtach i z życiem choćby największego poety lub dziejopisa nie kończy się.

**829)** *Tom VII. Rozdz. VII. Str. 1—9.* Historia nowej poezyi polskiej od pierwszych jej w szesnastym wieku zawiązków do Aleksandra Korywy, śmierci Zygmunta III oplakującego.

Poezye, wymowę i historję dlatego wyłącznie nazwano literaturą, iż w nich dusza ludzka najmocniej ze słowem się łączy; że w tych dziełach geniuszu ludzkiego, jako w zwierciadle, wszystkie odrębne własności każdego narodu najmocniej się odbijają i wiernie malują. Matematyka, fizyka, chemia, są nauki kosmopolityczne: Francuz, Niemiec i Polak jednakowo o nich piszą. Niemasz matematyki lub chemii narodowej; ale poezya, wymowa, historia, a nawet filozofia i prawo, noszą na sobie właściwą każdemu narodowi cechę.

Lecz ze wszystkich poezya, będąca przelaniem prawdy w postać piękności, płynąca ze źródła, najgłębiej w duszy ludzkiej się kryjącego, jest najprawdziwszą własnością narodu, cząstką jego duszy, zwierciadłem, oznaką życia i źrenicą oka. W poezyi narodowej, jak w oku, poznajemy, czyli serce jest wesole lub zdjęte żalnością i smutkiem; w jej historii losy na-

rodu poznawać możemy; upadek poezyi jest najpewniejszą oznaką, iż siły duchowe narodu słabiej poczynają<sup>1)</sup>.

Poeta wyrzeka to w słowach mocnych, czego naród ma dopiero niewyraźne przeczucie; myślom, które jeszcze stoją na progu duszy, jeszcze się wiedzą nie stały, ciało dotykalne nadaje. Jest on arją eołąską, przez którą głos narodu przechodząc, w pięknych rozwija się melodyach i najgłębiej drżymiące w sercu uczucia obudza.

Będę więc teraz mówić o rozmaitych losach poezyi, w której dusza ludzka swoją przyrodzoną piękność, swoje pokrewieństwo z bóstem, najwybitniej objawia; zaprowadzę czytelnika w społeczeństwo ludzi natchnionych i podniosłego serca, mających zawsze otwarte do niebios wejście, w wyższych sferach duchowego świata żyjących; opowiem dzieje tej literatury, która w dziełach swoich zamyka wszystko, co naród posiada z najświętszych uczuć serca, idealów szczęścia, co było dla niego żyjącem źródłem natchnień i boleści, co go niegdys zajmowało i wzruszało najmocniej.

Dziecko, w którym zmysły są mocniejsze od władz rozumu, lubi opowiadać, co widziało lub widzi: jest to wiek Homera; młodzian pragnie wywnętrzyć się, oddać słowy uczucia, które w duszy jego się narodziły: to wiek Anakreonta; człowiek dojrzały, łącząc w sobie te dwie skłonności i odpowiadające im przymioty, lubi własne uczucia kłaść w usta drugich, patrzy na losy, charakter, przymioty i wady ludzi, w postępkach się malujące: wtedy nastaje wiek Sofoklesa. Poezja każdego narodu przez takie trzy wieki przechodzi: najprzód powstaje epoka opowiadania, czyli epos i dydaktyczna poezya, które w dzieciństwie literatury zastępują historję i filozofję. Potem idzie epoka liryki, w której poeta opiewa pochwały Boga i bohaterów, uczucia podziwienia i miłości ku Bogu i wszystkiemu, co Go na ziemi najwięcej przypomina; maluje głębokie i najwyższe uczucia serca, zapal religijny, miłość ojczyzny, poświęcenie się, mięstwo,

<sup>1)</sup> Muszę tu ostrzedz czytelnika, iż tu mówię o prawdziwych poetach, których bardzo bywa mało, nie o wierszokletach, wierszorobach, których zawsze jest aż nadto. Mówię tu o ludzłach, którzy są poetami mimo swej woli, i nie mogą nie być, choćby nawet sami chcieli, ale nie o tych, co chcą być poetami, i piszą wiersze dla własnej rozrywki.

miłość i nienawiść, boleść i radość, uniesienia rozkoszy, a niekiedy lekkie, wesołe, z wiatrem przelatujące uczucia serca. Atoli z postępem światła, po wynalezieniu pisma, po zjawieniu się historii, kiedy czucie ustępuje rozumowaniu, wiara zamienia się na wiedzę, te rodzaje poezyi już mniej zajmują i mniej do ukształcania ludzi są potrzebne. Odtąd poezya, nie tak ściśle z życiem duchowym ludzi związana, staje się zabawką, jak powiada Horacyusz:

..... *»ludisque repertus,*

*Et longorum operum finis;*

traci wziętość i powagę, i dopiero w kształcie dramatu nowe rozpoczyna życie.

A jako uczucia młodzieńca bywają żywsze, gwałtowniejsze, dla których dusza ludzka bardziej w siebie się związa; podobnie poezya w młodości narodu objawia się w narodowym epos, który jest osobistą jego poezją, i w pieśni, która jest poezją człowieka; dopiero w dojrzałym wieku narodu, gdy okrag jej rozszerzy się, objawia się w postaci dramatu.

Jest jeszcze czwarty stan usposobienia umysłów względnie do poezyi, kiedy wiedza przemaga nad wiarą, rozumowanie nad uczuciem i imaginacją, kiedy już wszystko w duszach wygorzało, ostygło, ścięło się i oziębło; wtenczas ludzie już nie biorą, jak dotąd, poezyi za narzędzie podniesienia się do wyższych uczuć, lecz unoszą się tylko i rozprawiają nad dziełem poety; jest to wiek krytyki poetycznej, do której ani w wieku Zygmunatów, ani za Stanisława Augusta, ani do chwili obecnej jesszcześmy szczęściem nie przyszl. Każdy wołalby jednego poeę, jak stu najlepszych Arystarchów, owych ludzi, którzy nic nie robiąc, wiedzą jednakże najlepiej, jak co zrobić należało. Krytyka poetyczna (jak gramatyka dla języka, jak retoryka dla mówcy, jak logika dla filozofa) jest kalkiem dla poety niepożyteczną; krytyk bowiem z wierszoklety nie zrobi poety, a poeie prawdziwemu na cóż się przydał? Pod ostrzem krytyka ginie urok, życie poetyczne wymyka się i ulatuje; bo poeta nie tworzy rozumując, jak krytykom się zdaje; w jego duszy nie rozum, ale wiara przemaga. Wyrozumowana poezya nie jest już poezją. Jak powstaje poezya w duszy, tego widzieć rozumem nie możemy, jak nie widzimy, jak ziola rosną, jak nie

możemy dopatrzeć, kiedy i jak kwiat się rozwinął, choć w niego długo wlepialiśmy oczy. Poeta, co własne plody rozumnie rozbięra, tak nieprzyjemne sprawia wrażenie, jak botanik, kiedy zerwawszy niemilosiernie kwiat najśliczniejszy, z zimną krwią obrywa nadobne listki jego z korony, rachuje pęciki i ostrym nożem nasiennik rozcina. Gdzie się mnóstwo krytyków poezyi zjawilo, tam można być pewnym, że już poezya zagasła; ci więc, co krytyki estetycznej wyglądają i pragną, nie wiedzą, co czynią. Krytycy, estetycy, nie poprzędają poetów, ale jak cień za nimi się włoką. U Greków poetyka (teorya poezyi, estetyka) zawsze była o jeden stopień niższą od dzieł poetycznych, jak o tem łatwo przekonać się możemy, porównyując ich literaturę epiczną, liryczną i dramatyczną z poetyką Arystotelesa. Poezya tam tylko kwitnie, gdzie ludzie nie rozbięrają plodów poetyckich, nie mędkują nad niemi, ale się w górę z poetą unoszą i wzlatują, i w duszy swej uniesienia jego powtarzać lubią i mogą.

Przez jakie koleje poezya przechodziła, co na nią wpływało, w historii jej dowiedzieć się można; historia więc tej gałęzi literatury, na której obok wonnych kwiatów dojrzałe rosną owoce, może być przyjemną razem i pożyteczną.

Lecz poezya, nawet wśród najbardziej sprzyjających okoliczności nie płynie pasmem nieprzerwanem, nie podnosi się i nie wzrasta z czasem, jak inne gałęzie literatury, lub nauki przyrodzone; nie ma chronologicznej ciągłości; czasami tylko, i to niespodzianie, zjawia się, jak błyskawica, wśród nocy ciemnej zabyśnię, poświeci czas jakiś, roztoczy szeroko lunę, i znowu przebrzmi i ucichnie; a nikt przewidzieć nie może, kiedy się z powodzi czasu na nowo wynurzy.

Zobaczmy teraz, jakie było usposobienie duchowe Polaków ówczesnych do poezyi, i wśród jakich okoliczności poezya polska szesnastego i połowy siedemnastego wieku rozwijać się mogła.

Polacy w wiekach przedchrześcijańskich mieli również piękny i obfity watek do epepei, jak Grecy przed Homere m. Owe wędrowki z południa ku północy, Światowid z całym orszakami bożków i bogiń, owe gonitwy Lecha, podania o Popielu, Krakusie i Wandzie, których słaby tylko odgłos do późniejszych

dochowal się czasów, musiały żyć w pieśniach religijnych i świeckich, które przebrzmiały, zamaryły w ustach ludu przedwcześnie, nie doczekawszy się polskiego Homera, któryby je był do poetycznego ideału podniósł, a nadając im więcej szlachetności. Nie dał zagać. Tymczasem religia chrześcijańska, szerząca się z dwóch stron w środku leżącej Polsce, przerwała tę kulturę rodzimą, niosąc narodowi w nagrodę wyższe ukształcenie moralne i nadzieje nieba sięgające.

Poezya więc polska szesnastego wieku nie była dalszem rozwijaniem się poezyi rodzimej, słowiańsko-polskiej, ale *nową* całkiem poezją, pod cieniem chrystyanizmu i przemagającą literatury starożytnej wpływem zrodzoną. Poezya bowiem z czasów słowiańskich, której ślady na poprzednich wskazałem był kartach, wraz z bałwochwalstwem upadła, i cienistego drzewa religii pozbawiona, już od pięciu wieków rozwijać się była przestała; szczątki jej tylko przechowywały się jeszcze między ludem przez ustne podania, ale już na nową szesnastego wieku poezję żadnego niemal nie miała wpływu. Takim sposobem upłynął dla poezyi polskiej wiek, w którym epos kwitnąć może. Wszakże jeszcze w wieku szesnastym (a nawet ośmnastym, jeszcze za naszej pamięci, jak Soplica dowodzi), jakieś ślady rodzimego *epos* postrzegać się dają; szlachta polska z natury ognista, z wyprawy na Turków, z pogoni za Tatarami, z polowania na niedźwiedzie i wilki, łosie i żubry, biegła na hałaśne sejmiki, trybunały i sejmy, objeżdżała kuligiem sąsiadów, biesiadowała chętnie. Wśród nader żywego i barwistego życia nie mało było takich, którzy mieli szczęśliwy dar opowiadania. W tych nieujętych nigdy piśmem powieściach, z chwilowego płynących natchnienia, gdzie zmyślenie bujnej imaginacyi dziwnie plotło się z rzeczywistością, a opowiadacz był poetą, sam o tem nie wiedząc, w takich tylko powieściach objawiali się kształty rodzimego *epos*.

Tymczasem przez akademię krakowską, odbierane we Włoszech, Francyi i Niemczech wychowanie, ukształceni Polacy tak się oswili z językiem łacińskim, iż nawet wszyscy rymować w tym języku poczęli; ile w szesnastym wieku na to zmarnowano najpiękniejszych sił i zdolności poetycznych, już w przeszłym widzieliśmy tomie. Z tych żyjących w pierwszej połowie

szesnastego wieku tylko po łacinie rymowali: jak Krzycki, Janicki, Dantiscus; atoli od Reja z Nagłowic, który nie umiejąc dobrze po łacinie, ojczyzynom tylko rymował językiem, wszyscy poeci obok łacińskich i polskie wiersze składać poczęli, częstokroć równie dobre; mianowicie Jan Kochanowski, Klonowicz i Szymonowicz. Atoli i na tej *nowej* poezyi polskiej zostały mocne ślady kształcenia się na poetach starożytnych Greków i Rzymian; bo najprzód poezya polska, przyjąwszy kształty starożytnej, przekroczyła wiek dziecienny, odrazu przyszła do dojrzałości, podniosła się, ominąwszy epos, zaraz pochwyciwszy za lirę, do czego naród w wieku szesnastym największe miał usposobienie, odłamała się od swego korzenia, to jest podań narodowych, a wpadłszy w obce koło wyobrażeń i uczuć, w świat pogański (podobnie jak filozofowie scholastyczni w okręgu arabsko-arystotelickiej filozofii) uwiązłszy w mitologii, z tego żelaznego koła, jakby zaczarowana, rzadko wylecieć mogła.

Poeci albowiem polscy przyswoili sobie byli wyobrażenia i podania rozwiniętej przez greckich poetów mitologii, i tak byli do tego nawykli, iż nawet dzika jej mieszanina z wyobrażeniami chrześcijańskimi wcale ich nie raziła. W opisie *podróży do Szwecyi* przez Andrzeja Zbylitowskiego, Zygmunt III skolatany nawalnicą morską, stawia ołtarze Neptunowi; gdy wiatr na Wiśle komięgami miotał, przestraszona królowa modli się do bogiń: Wisły i Wandy. X. Gałczyński •Praelat cnót pelen wielkich•, wypływając do Szwecyi, czynił ofiary Neptunowi i Eolowi. O sobie zaś poeta powiada:

»A ia siedząc u masztu, błagałem wierszami  
Ślicznego Palemona i z jego Nymphami...«

Otwiński Przemiany Owidyusza poleca jako księgę, »która własną jest pochodnią, która oświeca ciemne kąty niepojętnej w wierszach, bądź rymach zakrytej mądrości, y którą ona z cienia na światło wychodzi«<sup>1)</sup>,

<sup>1)</sup> •Metamorphoseon Przemieniania (mówi Otwiński, piszący w r. 1638) są składem y skarbnicą wszystkich y ucieznych powieści, którymi greccy y łacincy poetowie pisma swoje podsycać zwykli y nimi iako ko-ztównym złotem, drożimi y świetnymi kamiełmi y perłami roboty swe haftują y natykaia, Pódmży do Greków, Homera, Hezyoda, Pindara, Eurypidesa, Sofoklesa, nie masz tey karty, owszem ledwie



Ta więc *nova* poezya kwitła tylko między wycuczonymi literatury greckiej i rzymskiej, a ile nie mająca korzeni w gruncie ojczystym, wystawiona na wszystkie odmienności i burze zachodniej Europy, długo ostać się nie mogła. Jakoż od połowy szesnastego wieku spory teologiczne, które wszystkich jak pożar jaki ogarnęły, podcięły skrzydełka imaginacji poetów polskich i zmroziły w nich wszelki zapal, potulimy natchnienie. W pierwszej połowie szesnastego wieku jeszcze wielu (jako to: Ciekliński, naśladowca Plauta, nieznamy tłumacz Terencyusza i Jan Kochanowski) pisało wierszem miarowym; w drugiej i tego zanichano. Poezja coraz niżej upadać i pelzać po ziemi poczynała; po Janie Kochanowskim już prawdziwego poety nie było. Prócz tego sejmj elekyjne, frymarki korona, upadek ducha publicznego, gdy szlachta, zapatrując się na możniejszych, ubiegala się za prywatą, i w środkach nie przebierała uczyla; wreszcie przy coraz nowo wynurzających się sektach religijnych, zachwianie się w wierze, znalezione w literaturze rzymskiej przykłady urodziły i rozwinęły owego ducha satyrycznego, który się we wszystkiej polskiej poezji szesnastego wieku, a mianowicie od jego połowy, coraz mocniej przebija. Najlepsi poeci: Rej z Nagłowic, Klonowicz, Miaskowski, Grochowski, a nawet Jan Kochanowski, pisali satyry. Poeci więc polscy szesnastego wieku jeszcze byli nie wyspiewali wszystkich uczuć, które w nich wiek, tak pełen przygód i życia, mógł wznicić, gdy nowe nastawały czasy.

Bajki\* o zaklętych, w ziemi tkwiących skarbach krążą najwięcej między ludem leniwym, w okolicy ubogiej; podobnie sielanki, opiewające swobodę złotych wieków, zjawiają się w literaturze w chwilach powszechnego zwątpienia i unudzenia. Ta okliwa dla czerstwej duszy poezya jest ciężkiem zaskarżeniem przeciw pokoleniu, w którym kwitła; jest pewną oznaką, że tam coś w społeczeństwie zwicznio się; że geniuszowi poezji

leat który period, któryby w iakiej nie ukrywał się powieści. Nuż laćńsocy: Virgilius, Horatius, Lucretius, Lucanus, Seneca y wiele inszych, lak często wiersze swoje temi kwiatkami przeplatają. Nie wspomnę Polaków naszych, których pisma są w rękach, szad y ci, ile którzy się wyżey na Helikon wzbili, tych dowcipnych nie zażywają gadek?\*

jakiś upiór przyłamał złośliwie skrzydła, aby już wysoko i daleko podlecieć nie mógł; wtenczas spłozona imaginacya chroni się pod większą strzechę, w ustronia samotne, i usiadłszy nad przezroczytym strumyklem, marzy o niewinnem wśród natury, trzody i miłostek życiu. Takie właśnie w Polsce zbiegły się były okoliczności przy końcu tej epoki, kiedy znużeni satyrkami poeci rzucili się do sielanek. Najpiękniejsza więc epoka Zygmuntowska na sielankopisarzach: Szymonowiczu, Zimorowiczu i Gawińskim skończyła się, i inaczej skończyć się nie mogła; bo jak nas uczy historia poezji rzymskiej, (która polskiej za Zygmuntowska już za wzór i modłę), poezya, która nie miała młodości czyli *epos*, która cisnąwszy zawczasie lirą o ziemię, do satyr i sielanek porwała się, nie mogła się odrodzić i odmłodnić w dramacie, jak to w historii dramaturgii polskiej niżej zobaczymy.

W przyrodzonym biegu rzeczy ludzkich naród zwykle ma pierwiej poezję niż prozę, która bywa późnym owocem wykształconego już i dojrzałego rozumu. Dlatego mamy tak wiele narodowych poezji; ale wiele narodów długie przeżyło wieki i upadło, nigdy nie doszedłszy do prozy. Literatura, mająca dojrzałych i dobrych prozaików, dowodzi: iż naród ujrzał już i przybył szczęśliwie na granicę, prozę od poezji oddzielającą. Ale w naszej poezji wieku Zygmuntowskiego, zwicznijet zaraz na początku z prawego toru, mamy osoblwsze widowisko, jakiego w innych literaturach widzieć nie zdarza się; u nas bowiem nie przestano wierszować, choć proza przyszła już do dojrzałości. To przeciągnięne w wiek dojrzały dzieciństwo umysłu było skutkiem owego cofania się w oświeceniu, które się już w drugiej połowie szesnastego wieku zaczęło. Poznawali to współczesci: Witkowski (*Złota wolność* 1606 r.) powiada:

»Sila nas takich, co rytmik piszemy,  
Lecz wiersza mądre nigdy nie stawiamy;  
My rymolowcy, tamto poetowie,  
Znać ich po mowie.«

Zimorowicz w jednej z swoich sielanek tak na tych niematchnionych poetów narzeka:

»Pełna niedoszych nasza poetów oyczyna,  
Że miary zawierzona nie ma już polsyczyna;

Lada partacz wyrwie się z pospolitych ludzi,  
 To wiersze niepoczesne natychmiast paskudzi.  
 Przedtym rzadki kto Muzy iak świętości ruszył,  
 Tylko kogo swym duchem Cynthus napuszyl;  
 Teraz lada kto z niemi swata się po prostu;  
 Jeszcze nie umie kozie zawiązać i chwostu,  
 A iuż słowom ogony wzwięznie na rzeczy»...

Albowiem za Zygmunta III wszystkich opanował szal rymowania, wszyscy i o wszystkim wiersze pisali. Nie przykład Reja z Nagłowice, ale wrodzona w nas skłonność do poezyi zachęciła do rymowania nawet ludzi, poetycznej iskiarki w sobie nie mających; stąd poszło, iż tajemnice wiary, lekarstwa na choroby, żywoty królów, krwawe wojny i pobożne rozmyślenia wierszem opisując, najlichszemi ramotami literaturę zarzucać poczęto. Przy końcu więc tego okresu, gdy nie stało poetów, namnożyło się mnóstwo wierszopisów, wierszokletów i wierszorobów, którzy poezyi nawet od historyi odróżnić nie umiejąc, łatwość wierszowania brali za natchnienie, czem już Matys Strykowski odznaczył się; mając opisywać wspinały wjazd Walezyusza króla do Krakowa, pisze wierszem, a jednak nagania poetów!

»Bo poetowie oni, kiedy co pisali,  
 Folgując słów ozdobie, z gościńca chybiali.  
 Tak tylko słów, nie rzeczy, historyki byli,  
 A kto po prostu idzie, od prawdy nie zmyli,  
 Ja tobie czytelniku, com widział, to piszę»...

**830)** Str. 71—73. Jan Kochanowski, nie mając jeszcze w literaturze polskiej wzorów, musiał pierwsze kunsztu rymopiskiego łamać trudności; sam wynalazł kształty, język i styl poetyczny, czuły, poważny lub lekki, stosownie do przedmiotu; sam pierwszy dobiierał dłuższych lub krótszych wierszy, dobiierał miary, szukał średniówek lub końcówek, pisał wiersze rymowane i miarowe, których niewiele było i tylko w tłumaczeniu polskiem Terencyusza się pokazało. Wszystkie jego kilka- i kilkunasto-zgłoskowe wiersze, wyjąwszy wiersz czternastozgłoskowy, przydługi, którego użył w historii *Zuzanny*, i niektórych psalmach, wszystkie, mówię, jego rodzaje

wierszów dotąd z używania nie wyszły. On jeden ze wszystkich poetów polskich tej epoki pozostał wzorowym i co do języka i co do poezyi lirycznej.

Ma wiersze niedbale, a często dla rymu myśli rozwleczone i piękność pierwszego wiersza osłabiające; ale zato wszędzie język jego, noszący jeszcze barwę pierwotnej Słowian mowy, prostota wysłowienia, uczucia niezmyślane i niewymuszone, ale prosto z serca w słowa płynące, jakaś po wszystkim rozlana słodycz, sprawia: iż wiersze jego kilkakrotnie, nie tylko bez kłikowości, ale z prawdziwem czystym i wszędzie upodobaniem i rozkoszą. Jan Kochanowski jest zawsze i wszędzie złączył z serca, narodowy z upodobania; w wyrażeniu najszlachetniejszych uczuć dziwnie prosty, a jednak rozmaity. Na wszystko patrzył okiem polskiem, farb nie pożyzał, własne malując uczucia, właściwych z łatwością dobiiera wyrazów i myśli obrazami objaśnia; nie wznosi się, nie przelatuje nad siły swojego geniuszu, i swoje uczucie wprost z serca w słowa przelewa. Nietylko właściwością języka ojczystego, ale i duchem i powszechnemi narodu uczuciami cały się przejawsz, stał się zrozumianym od wszystkich, ulubionym, narodowym poetą; trzy, godne świątłego człowieka, duszy skłonności, które wówczas i cały naród ożywiały: religia (\*Psalm\*), duch obywatelski (\*Satyr\* i \*Zgoda\*, \*Odprawa posłów greckich\*) i miłość rodzicielska (\*Treny\*), przebijają się w jego poezyi, na której wysokiem wykształceniu widoczne są ślady wpływu literatury starożytnej, z którą tak dobrze się był w młodości obeznał i oswoił. I to jeszcze zadziwia, iż będąc poetą, równie dobrze pisał prozą, jak wierszem, że znał dobrze i nie przekroczył granicy, która prozę od poezyi przedziela.

Zwyczajne, spowszedniałe myśli umie on odziewać poetycznemi ozdobami i nowego im przydaje uroku:

»Złoto środkiem ianczarów poydzie snadnie,  
 A przez twardą opokę gwałtowniej przepadnie  
 Niżli raz piorunowy . . . . .

Takżeć słusna człowiekowi  
 Odeymać się frasunkowi,

A iako niewdzięczne brzemie  
Uderzyć troski o ziemię.

Albo gdy mówi o skonie Tarnowskiego:

»Nakoniec pelen wieku i przystoynie chwały,

Sam się prawie położył, iako ktoś dostaly.

Albo następujące:

»Wszystko się dziwnie plecie

Na tym tu biednym świecie...

Chwale, szczęście stateczne:

Nie chcieli też być wieczne?...

Spuszczę, com wziął, a w cnotę własną się ogarnę...

A nam wina przynosię,

Z wina dobra myśl rocię,

A frasunek podlany,

Taie, by śnieg zagrzany.

Przymiotnikami dziwnie pięknie cieniować obrazy i na główną ich stronę zwracać uwagę umie; np. *wieczne* światło, *ciosane* łodzie, *okrągłe* niebo, *przytomione* lata (Urszuli), śmierć *wszystkokrotna*, noc *nieprzespana*.

### E) Podróż do Włoch, Sycylii i Malty (pis. 1845—47).

(«Podróż do Włoch, Sycylii i Malty», 2 tomy. Warszawa, 1848).

Podajemy kilka ustępów z obszernego opisu Wenecji.

**831)** *Tom I. Rozdz. I. Str. 4—6.* ...W Tryeście krótko zabawiwszy, tegoż samego wieczora wsiedliśmy na statek parowy, który nas nazajutrz rano na mały rynek wenecki wysadził. Wjazd do poetycznej Wenecyi osobliwsze nastęrcza widowisko: »miasto pływające na morzu»; przyjezdny, nie umiejący jeszcze rozróżnić laguny od morza, nie pojmuje zrazu, jakim sposobem tu miasto stać może. Tu go na pierwszym zaraz wstępie rzeczy niezwyuczajne, osobliwsze, jakby z powieści arabskich wzięte, czekają; zamiast długich a częstokroć niebardzo powabnych przedmieść, rozspane po lagunie wysepki; zamiast doliny, na

których zwykle miasta stoją, równa i lśniaca jak zwierciadło laguna, plewka srebrną pokryta; zamiast murów, otaczających miasto, obrzynie groble, z ogromnych skał zbudowane; zamiast bramy, stojąca na trzęsawiskach twierdza św. Andrzeja z czerwonemi murami i strzelnicami, z trawy bujnej wyglądającami, mocna, jakby w żywej była wykuta skale, choć ją rozluhanne bałwany Adryatyku nieustannie tłuką. W tem to miejscu corocznie doża na złoconym statku, zwanym Bucentore (od łacińskiego wyrazu *bucentaurum*) wyjechawszy, brał ślub z Adryatykiem. Od roku 1520 do upadku Rzeczypospolitej, 250 pierścieni tu wrzuconych przetacza się po dnie morskiem, pomiędzy roślinami i muszlami; bo jeden tylko, polknięty przez rybę, później znaleziono; wypadek, który Paris Bordone w pięknym obrazie uwiecznił. Stąd płynąc ku miastu, cała Wenecya z wieżami i kopolami chwieje się i kołysze, jakby na czólnie płynęła; nareszcie po krótkiej żegludze wchodzi się odrazu na rynek najpiękniejszy, najosobliwszy, zaludniony, żyjący, ozdobny, a jednak cichy, jakby się bano obudzić śpiące duchy dożów w owym arabskim pałacu. Na rynku albowiem św. Marka nie slychać turkotu powozów, nie masz koni, prócz czterech bronzowych, nie trzeba się oglądać, żeby kto nie przejechał i dyszlem nie trącił; jest to przepyszny, ogromny salon, po którym wygodnie i bezpiecznie przechadzać się można. Tu się schodzą wszyscy cudzoziemcy, wszyscy, co lubią i mogą trawić czas na próżnowaniu. Przy wieczornym chłodzie i muzyce wojskowej niejedną miłą chwilę przepędzić tu można pod arkadami, które idą ciągiem przez trzy boki rynku św. Marka. W starych prokuracyach są sklepy i księgarnie niebardzo wielkie, nie tak okazałe jak w Londynie i w Paryżu, ale dosyć ozdobne i we wszystko opatrzone. Nad sklepami są nizkie pokoiki *Casino*, które panie weneckie wynajmują i tu wizyty przyjmują. Rzecz bowiem osobliwsza, mając ogromne pałace, w których ledwie jakiś kącik zajmują, panowie weneccy nie przyjmują w nich gości, tylko albo w *Casino*, albo w łoży na teatrze, albo na rynku św. Marka. Do domów idą tylko ci, co biletami wizyty zbywają. Tu więc w pewnych dniach przesiadują i przyjmują odwiedziny.



832) *Str. 9—14.* ...Plac św. Marka, który w każdym przychodzącym pierwszy raz podziwienie wzniesia, wygląda jak ogromny i najpiękniejszy na świecie salon, o którym Napoleon powiedział, iż tylko niebo godne być jego sklepieniem. W rzeczy samej jest to coś niespodzianie pięknego, coś do sennego marzenia podobnego; takiego drugiego rynku niema na świecie. Z trzech stron otaczają go *procuracie* nowe i stare, w łuki trzypiętrowe zbudowane, gdzie mieszkałi prokuratorowie św. Marka, którzy po *Radzie Dziesięciu* największą w Rzpłitej piastowali władzę. Kolo prokuracji starych wznosi się wieża zegarowa, która swą oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. Piotr Lombard, którego imię często się tu powtarza, po spaleniu drewnianej zbudował terazniejszą roku 1496. Front zdobi ogromne kolo z zodyakiem, ze zmianami księżycą, tudzież kolo podzielone na dwadzieścia cztery godzin włoskim obyczajem. Nad tym stoi N. Panna pozłacana, a kolo niej drzewiczki, z których co godzina wychodzą trzy królowie Maurowie w wielkim stroju i przechodząc po półkolistym ganeczku, klaniają się z uszanowaniem N. Pannie, podnosząc z głowy korony, i drugimi drzewiczkami znikają. Nad tym znowu stoi złoty lew św. Marka, na tle błękitnem, który swe niezmiennie godło *Pax tibi Marce evangelista meum*, już był raz zmienił na *Droits de l'homme et du citoyen*, co gondolierzy przeczytawszy, rzekli: »a przeciw lew kartkę przewrócić«. Nad lwem jest dzwon, w powietrzu zawieszony, o który dwóch Murzynów z miedzi ulanych młotkiem godziny wybija. Skoro druga z południa na tym zegarze uderzy, zlatują się z różnych stron tłumami gołębie i siadają na środku rynku, czekając na strawę, którą im pewna pani posyła.

Te gołębie nie chowają tu dla jedzenia, owszem, nie wolno ich nikomu zabijać ani łapać, jak w Moskwie; są one w takim poszanowaniu, jak w wielu krajach jaskółki i bociany; jednego majtka, który zaplacony przez Anglika, złapał był parę tych szarych gołębi, lud rozjuszony o mało nie zabił. Gdy admirał Trevisano na początku trzynastego wieku oblegał Kandyę, postrzeżono wiele gołębi w jednym ciągu kierunku lecących, na miejsce, gdzie flota genueńska na kotwicy leżała. Zastrzeżliwszy kilka, znalaziono pod skrzydłami każdego liścik, w któ-

rym Kandyoci donosili Genuzenom o wielkiem swem niebezpieczeństwie i prosili o odsiecz. Korzystając z tej wiadomości, Trevisano natychmiast wyładował i zdobył wyspę. W zamku gubernatora znalaziono wiele innych gołębi, które na posyłki chowano, które Trevisano, wraz z wiadomością o zdobyciu Kandyi, posłał do Wenecyi, a które lud jako największą odniesionego zwycięstwa pomoc szanował i za nietykalne poczytał. Karmiono je kosztem skarbowym aż do upadku Rzpłitej; i te więc gołębie są tu pamiętką historyczną, którą Wenecyanie szanować umieją.

Czwartą ścianą tego salonu jest pyszny front kościoła św. Marka z mozaikami na dnie złotem i stojąciami nad głównymi drzwiami czterma kołmi z bronzu, dzieło Lisippusa, sławnego snycerza za Aleksandra Macedońskiego, któremu tylko jednemu popiersie Aleksandra lać było wolno. Nie wiadomo, gdzieby te konie najprzód stały; to tylko wiemy, iż w pierwszym po Chrystusie wieku zdobyły w Rzymie łuk tryumfalny Nerona, a potem Trajana; przeniesione potem do Konstantynopola, stały przez dziewięć wieków na hippodromie. Marino Zen o, będąc gubernatorem zawojowanej stolicy Konstantego, przysłał je r. 1205 wraz z innymi dziełami kunsztu do Wenecyi, gdzie stały przez sześć wieków. W r. 1797 zabrał je generał Buonaparte do Paryża; potem przez dziewięć lat zdobyły łuk tryumfalny cesarza Napoleona. W r. 1815 wróciły do Wenecyi, gdzie je z uniesieniami radości przyjęto. Na wielkiem ozdobnie, czarnem suknem pokrytem, na podniesionem nieco rusztowaniu, wpłynęły te bluszczem przyozdobione zwierzęta na wielki kanał, otoczone wojskiem z zielonemi gałązkami u kaszkietów. Ten orszak otoczyło tysiące ozłoen różnego rodzaju; we wszystkich pałacach okna widzami były napełnione, których okrzyki gubily się w okrzykach tłumu płynącego. Wyszadziwszy je na brzeg na małym rynku, poprowadzono w uroczyści do ogromnego rusztowania, którem te konie na dawne dźwigano miejsce; rzecz nietatwa, jeśli zważymy, że każdy z czterech koni waży 1700 centnarów. Gdy je ciągnięto do góry, w tłumie, który cały rynek św. Marka zalegał, gluche panowało milczenie; dopiero gdy stanęły szczęśliwie na dawnem miejscu, po-

wstały okrzyki serdecznej radości, którą czytelnicy moi łatwo wystawić sobie zdolają.

Rynek św. Marka zarastał niegdys trawą i należał do stojącego na nim kościółka św. Zaccaria; i wtedy nazywał się *bruolo*, z czego później powstał wyraz *broglio*, oznaczający dolne galerie pałacu dożów. Gdy miano zburzyć znajdujący się na środku rynku kościółek św. Zaccaria, rząd posyłał o pozwolenie do Rzymu. Papież odpowiedział: »że nigdy do złego nie upoważnia, ale przebacza, gdy się już stało«. Po zburzeniu kościółka papież za pokutę nazmacył roczną procesję: co właśnie Wenecyanie namiętnie lubią. Szedł więc doża z wielkim orszakiem po rynku św. Marka na ono miejsce, gdzie dawniej stał kościółek; tam proboszcz zapytywał go: »kiedy wasza wysokość zechcesz odbudować mój kościółek?« Doża odpowiadał: »następnego roku«, i tak przez sześć wieków obiecywał.

Prokuracye nowo zaczęte w szesnastym wieku przez sławnego Sansovino, a skończone przez Scamozzega, który zmienił jego plan (z kolumnadą dorycką i jońską, na której stały posągi, jak to na *piazzecie* dochowało się), dobudowawszy jeszcze jedno piętro, psujące trochę harmonią. Między dwoma prokuracyami Napoleon zburzywszy kościółek, dobudował trzecie skrzydło, zupełnie według planu Sansovina, z posągami, służące za wejście i przedpokój do prokuracyi nowych, które teraz są pałacem królewskim.

Kościół św. Marka, zbudowany na wzór kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, ale mniejszy, przezwano złotym (*Chiesa aurea*), bo w pięciu swoich niszach u góry i u dołu i cały w środku pokryty jest mozaiką z dnem złotem, a z kilkaset kolumn zdobiących facyate, z których większa część nie nie podpiera, wiele jest tak rzadkich kamieni, że prawie równą są ze złotem wartości. Byzancyum, Grecya, Egipt, cały wschód swe bogactwa tu oddać musiał; to też mieszanina wschodniego gustu z greckim i rzymskim wybitnie tu się maluje; często na saraceńskim łuku stoi święty, średniowiecznym dłem chrześcijanina wyciosany, a przy gotyckich wieżyczkach kapitele arabskie i cztery konie greckie. Jest to przepych bogacza, który w wieku swoim nie mógł znaleźć artystów.

Kiedy Wenecyanie, przewoząc Krzyżaków na wschód, co

raz bardziej z tamtymi krajami się oswajali, a szkarlatna chorągiew św. Marka coraz większej nabywała powagi, bo zawsze do Wenecyi z sławą i z skarbami wracala, z przywiezionych drogości i osobliwości wielką część dla św. Marka ozdoby obracano. W r. 1204, kiedy im na wschodzie nie dotrzymano traktatu, Henryk Dandolo, już ślepy prawie starzec, sam na czele floty weneckiej wyprawił się, dwakroć Konstantynopola dobywał, i zabrał wszystkie bizantyńskie posiadłości na Archipelagu; odtąd Kandya, Morea i Cypr placily daninę Wenecyanom, którzy przed bazyliką św. Marka trzy chorągwie zdobytych państw zawiesili, a zwycięska flota złożyła w holdzie św. Markowi kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, posągi, wazy, plaskorzeźby, z starożytnej świątyni św. Zofii w Konstantynopolu wydarte, a część z Cypru, Lesbos i Kandyi. Każda więc kolumna św. Marka ma swoje osobne dzieje i wspomnienia, bo kościół ten z samych wschodnich łupów się budował. Na tych artyści weneccy kształcili się zaczęli i powoli sami go ozdabiać uczyli się, mozaiki w górnych i dolnych zewnętrznych sklepieniach kilkakrotnie odnawiając...

**833)** Str. 27 — 28. Wenecya, będąca dziełem ludzkim, jest jedynem miastem bardzo poetycznem, i niejednemu już pocie na widok tego miasta otworzyły się złote imaginacyi wrota. Lecz najpiękniejszym się wydaje przy świetle księżyca, kiedy gmachy i pałace z różnych wieków nabierają olbrzymich wymiarów, a wszystko przy panującym naokoło milczeniu jakąś tajemnicą wydaje się i mimowolnie ciekawość i obawę wznieca. Dziedziczne wewnętrzny starego dożów pałac, galerie i wschody olbrzymów i cała okolica rynku małego (piazzetta) przy świetle księżyca czarującej sprawuje widok. To poezya z kamienia wykuta. Przy tem albowiem świetle znikają niedoskonałości sztuki, a zostają tylko ogólne, teraz mocniej wyskakujące rysy, w których się pomysł architektury, dzieło jego duszy, najlepiej odbija; prawda, że do tego uroku i osobliwsza natura kraju i ruch morski, z spokojnego brzegu widziany, nie mało się przyczynia. Tu około wielkich i małych okrętów snują się cichaczem po srebrzystej wodzie czarne gondoly, już zwolna płynące, już pędzące z szybkością strzały; tam znowu jak cienie ja-

kie, występują z wody wieże, kolumny i kopuły; dalej lekkim południowym wiatrem, który nie wieje, ale chucha, poruszona laguna, pokrywa się białą plewką; tam żółte światło latarek przy gondolach palących się rzuca tysiące iskier po morzu; tu znowu odpływający do Tryestu statek parowy wlecze za sobą czarny pas dymu, który księżyc bladą obwódką otoczył..

**834)** *Rozdz. VI. Str. 181—188.* W mieście stojącym na tak osobliszem miejscu, które nie jest już morzem, a jeszcze nie lądem, gdzie po ulicach statkami pływają, gdzie drzewa i woda słodka jest rzadkością, zwyczaj i obyczaj inną zupełnie przybrać musiały postać. Godną jest zastanowienia rzeczą, jak tu się nasze ładowe obyczaje na ziemno-wodne zamieniły. Zamiast mijających się karek i turkotu koczów i wozów, ciche, lekkie jak piórka, przeslizgujące się po wierzchu wody gondoly; zamiast pięknych koni, rośli i zgrabni gondolierowie; zamiast herbów na powozach, zatknięta na przodzie gondoly chorągiewka; zamiast Corso, wielki kanał, przy którym mieszkając, koło pałacu Grimani, mieliśmy sposobność przypatrzenia się sposobowi życia na tej osobliszszej, jedynej w swoim rodzaju ulicy.

Rano dość długo okna w pałacach nie otwierają się; nie widać żadnej gondoli, tylko jarzyna, owoce, mąka, albo siano, cegła i ociosane kamienie płyną na ogromnej barce, którą dwóch a najwięcej trzech ludzi wiosłem popędza. Do przewiezienia tych rzeczy na lądzie potrzebaby kilkadziesiąt wozów i przynajmniej ze dwieście koni. Czasem widzieć można na dwóch czołnach jadący kocz lub karetę, machiny, która w tem mieście na nic się nie przydała, bo uliczki są tak ciasne, iż żaden kocz przemknąćby się nie mógł. Jednego poranku otworzyły się jednakże okna wcześniej, niż zwyczajnie, przechodził albowiem statek parowy, wyglądający przy gondolach jak słoń między myszami, który zabrał powozy W. Księżnej parmeńskiej, jadącej do Wiednia. Koło ośmiu już wszystkie okna i galerie powoli się otwierają; wychylają się mieszkańcy strony, które słońce nie oświeca, a na kanale tylko ludzie, mający różne sprawy i sprawunki do załatwienia, i Anglicy z rodzinami począynają się snuć w różnych kierunkach, dla zwiedzenia ko-

ściołów i obrazów. Od południa aż do wieczora zamykają się szczerlnie okiennice, szczególnież w stronie na słońce wystawionej, i nie otwierają, aż się słońce za pałac Pizanich skryje; wtenczas dopiero panowie starzy siedząc, a młodzi leżąc, wypływają na wielki kanał w gondolach, miękkimi wyłożonych poduszkami, które wreszcie z wierzchu niczem się nie odznaczają od innych, tylko iż mają po dwóch gondolierów w skromnej bardzo liberyi, najczęstiej z płótna lub nankinu, na której zamiast burtów i galońów, bawelniane białe wstążki bielegają się. Taki ruch jadących w różnych kierunkach gondol z damami trwa aż do godziny dziewiątej, o której wszyscy idą do teatru. Jeszcze i po teatrze słychać po ciemku częste uderzenia wiosel i krzyki: *»sta! he, ca premi«*, jeszcze długo migają się latarki, przy gondolach palące się; nakoniec wszystko się uciszyło; z jednej strony księżyc srebrne pasy rozrzuca po wodzie i między pałacami, które stoją ponure jak czarne widma i milczą; z drugiej ku Ponte-Rialto gazowe lampy błyszczą żółtym światłem, odbijającem się w zwierciadle kanału, a na samym końcu most Rialto, czarny obrzym, mający nad sobą w powietrzu zawieszoną dużą latarnię, wyglądającą jak oko Polifema.

Lecz to jest życie panów i cudzoziemców; bo lud wenecki żyje w innej stronie miasta, na Riva dei Schiavoni, począwszy od pałacu dożów, i tu tylko prawdziwym weneckim obyczajom przypatrzeć się można. Tu na brzegu stoi kilkadziesiąt statków, *trabacoli* zwanych, o dwóch masztach, z pomalowanemi żaglami, które z Tryestu, Fiume, Grecyi, a nawet z Neapolu i Sycylii przyplynęły; dalej znowu w porcie stoją okręta norwęgskie i angielskie; wiele znowu innych przy komorze zarzuciło kotwicę. Na brzeg słowiański wychodzi prostopadle kilka ulic czyli kanałów; z tych najszerszy, z mostem drzewianym zwodzonym, idzie do arsenału, na innych są piękne marmurowe mosty o jednej arkadzie bardzo wyniosłej. Domy na tym brzegu są dosyć niepozorne, a nawet nędzne: tu idą same szynkownie, proste kawiarnie, sklepy golibrodów i proste sklepy dla marynarzy i wyrobników. Najciekawsze dla cudzoziemca są huńki marynarskie i fezy czerwone; dalej sprzedają smołę, chorągwie morskie i inne rzeczy, i wszelkiego rodzaju



żywność, którą na odpływające okręta zakupują. Na przyległej zaś ścianie wiszą duże klatki z gołębiai, kosami, drozdami i t. d. Dalej idą koszarzy i magazyny, a ledwie gdzieś napotkając można dom weneckiej architektury, i w jednym z tych miał Petrarka od rządu naznaczone mieszkanie. A jednak jest to najpiękniejsze, od północy całkiem zasłonięte położenie, skąd wreszcie najpiękniejszy rozciągają się widok na Malamokko, na najpiękniejsze z nowszych trzy kościoły, S. Giorgio Maggiore, il Redentore i la Salute, i na komorę z osobliwą choroągiewką, to jest: brązowym posagiem fortuny, stojącej końcem nogi na bani, którą obrzym dźwiga, a która choć z kruszcza, za każdym powiewem wiatru w inną stronę obraca się. Skoro świt przyplływają tu rybacy kłodzeńscy z sardelami, które przedawszy, rozwieszają cienkie sieci, korkowem drzewem nacłoko obłożone, przez które widok jak przez zasłonę jeszcze piękniejszym wydaje się. Tymczasem chłopcy szybko naprawiają stare sieci, albo robią nowe, inni rozścielają na brzegu żagle albo maty, na których siadają kupkami, starsi zwykle ludzie w cy-cowych kurtkach, grubych pożyczochach z pilśni, bez trzewików, tylko w chodakach, na głowie czerwony fez ze zwieszonym granatowym kutasem, które od Greków przyjęli, albo ciemnobłękitną czapkę zwieszoną na głowę; ci znowu w wąskiego domowego płótna robią żagle, pilnie szyjąc, nie patrząc na przechodzących. Na ostatnim zaś krańcu tego brzegu czarną smolą obwodzą przewalony na bok okręt, tam znowu innemu nowe wstawiają żebra, a dalej całkiem nowy statek buduje się. Około dziesiątej zaczynają się i ładowi mieszkańcy przebudzać i wychylać z domów. Pod kościołkiem S. Francesco di Pola, naprzeciw ogrodu, kilku ludzi drzemie jeszcze, grzejąc się na słońcu. Tam znowu szwaczki biegają z gotową już robotą do sklepu, w którym cały dzień żyć mają. Już i kowale i blacharze na strada nuova stukają poczynają; już się związają zaczynają tokarze, szewcy, krawcy, ci co pleta kosze i t. d. Dalej, naprzeciw magazynu, przybiły do brzegu z mlyna parowego obladowane promy, z których silni parobcy, bez koszuli, tylko w kamizelce, znoszą wory mąki i chleba żytniego dla wojska. Około dziesiątej brzeg słowiański coraz więcej ludem zapelnia się. Ludzie, którzy, Bóg sam wie, gdzie noc przepę-

dzili, wloką teraz tutaj cały swój dobytek i tu się jakby we własnym roztasowują domu. Jest to rodzaj koczującego wóród miasta narodu, którego domowe życie nie kryje się w ścianach. Tu szewc, postawiwszy przed sobą mały stoliczek, naprawia stare trzewiki i naprawione na dziurawe mienia, na małym pieniężnym dodatku przestając; za nim żona coś niebardzo białego ceruje czy szyje, a koło niej na wpół nagie dzieci po ziemi, a raczej po bruku tarzają się. Tuż koło nich siada wyrobnik i na swoim płaszczu polatanym nową jeszcze latę pilnie przyszywa, tymczasem siedząca koło niego żona, rozrzuciwszy krucze włosy, czesze się w najpiępszą i z tyłu je nieco porządniej związuje. Tam znowu stary jakiś człowiek, mający przed sobą palącą się lampę, zlepia lakiem stłuczony talerz; tam przedają cukierki; tam pierniki, albo *galettini*, to jest buleczki z mąki kukurudzianej, drobnemi rodzenkami posypane. Ten znowu siedząc za większym nieco stołem, z wielkiego miedzianego dzbana nalewa w szklanki wodę z cysterny, (bo w całej Wenecyi niema wody źródlanej), a wpuściwszy kilka kropel anyżówki *del mistra*, robi poncz *à la barcajola*. Tam znowu przedają limonadę, to jest wodę bez cukru, kilku kropelkami soku cytrynowego zaprawną, albo wodę, w której się gotowały suszone jabłka i gruszki. Obok niego przedają te same jabłka na kijek wbite; im bliżej pałacu dożów, tem droższe przedają się owoce: figi, daktyle, rodzenki, migdały, kasztany i pomarańcze. Tymczasem z odległej części miasta Żydzi już rano przywieźli tu na kółkach ogromne skrzynie, i dobywszy z nich różne rupiecie, na bruku rozścielają: tu grzebiecie i szczotki, tam czarne i pomalowane litografie, tam znowu stopy różnokolorowych chustek i kamizelek, tam noże i nożycki, stare książki w różnych językach, obok drewnianych łyżek, fajek i różnego szkła starego. Obok tego marynarze kłodzeńscy siedli do obiadu na okręcie i poczeli jeść *potentę*, to jest ciepłą lemieszkę z żółtej grubej mąki kukurudzianej bez soli, a na wety muszle i ślimaki, *cape e caragoli*, które się na lagunie obnażonej polawiają; dobywszy je z muszli igłą, żywcem polykają. Tymczasem na pobliskim trójbocznym rynku rybackim, Campiello della pescaria, założonym stolami, różnego rodzaju ryby i skorupiaki przedają się: naokolo zaś przed domami, albo w sklepikach

drewnianych, przedaje się chleb, polenta, mięso, kielbasy, ser; jarzyny już ugotowane w wielkich kociach się dymią, tu gotują rybę, tam smażą fryturę, tam znowu kawałki polenty rzucają w skwarzący się smalec, skąd wyciągnąwszy blaszaną łyżką, prosto w gębę się kładzie; ale do tego trzeba wprawy i dawnego nałożenia. Tu młody, przystojny *marinero* polknął taką fryturę, a gdy mu smakowała, drugi kawałek cukrem posypać każe i kładzie w usta czarnobrewej dziewczce, która pod domem na długich kilku niciach paciorki nawleka. Tymczasem przybywa mała, zgrabna, w czarnym męskim kapeluszu, z czarną aksamitką, ale złotą frędzlą zakończoną, *furlaneria* czyli *bi-golante*, w białych półczoszkach i czarnych włosach, które jej nadobną twarzyczkę pięknie oceniają. Są to osoby ubiorem, wzrostem, postawą zwracające uwagę, osoby, które po całym labiryncie ciasnych uliczek, rano, w południe i wieczór spotkać można, roznoszą bowiem w małych miedzianych wiaderkach wodę, czerpaną w cysternach, do domów, które cystern nie mają. Zdaje się, że pochodzą z Friulu i od niepamiętnych czasów mają monopolium roznoszenia wody. Zwykle niezamężne, przez kilka lat roznoszą wodę w Wenecyi, a uzbierawszy cokolwiek pieniędzy, wracają do swojej ojczyzny. Taką *furlanerinę* zatrzymał dziarski wyrobnik, pije jej wodę, a w nagrodę pogłaskał ją po brodzie. Tymczasem na brzegu słowiańskim otwarły się popołudniu budy z woskowemi figurami, diorama i zbiór dzikich zwierząt; ale większe daleko kółko zebrało się około wysokiej budki *Poliszynella*, w której lubo zawsze na scenę te same wychodzą osoby, lud jednakże zawsze się niemi mocno uraduje i głośno uśmieje; ależ nie rozumiejmy, że tu same uliczne komedye się dają; czasem nawet *Goldoniego* komedye tu widzieć można. Właściciel tego teatru trzy lub cztery razy głos zmieniać umie i widzów swoich rzewnie ubawionych odprawia. Tymczasem improwizator, zrobivszy kolo z krzesel, rozpoczyna swoją powieść głosem cichym, który coraz wyżej się podnosi, coraz mocniej grzmieć poczyna i nakoniec w krzyk się okropny zamienia. Ten improwizator zowie się *Scior Tonin*, *Bona Gracia*, *Nobile di Torsello*. Otaczają go najwięcej marynarze; bogatsi i Grecy, przechodząc tędy, podawają kroki, bo chłopiec z puszką chwilowe zatrzymanie się

placić sobie każe. Stąd idąc, natrafiłem nakoniec na kosz pisanek czerwonych, w które tu grają zupełnie tak, jak chłopci na Wolyniu koło cerkwi w dzień Wielkanocy, ale tutaj oddzenie. Właściciel tych pisanek stłuczoną u siebie w rękę oddaje bezpłatnie; ci więc kupując pisanek od niego, próbują ją o zęby; znają się na tem równie dobrze, jak nasze parobeczki wiejskie.

Na ożywionym brzegu słowiańskim brakuje tylko krzykliwej gry *alla mora*, w całych Włoszech znanej, której zakazano dla częstych bójek i kłótni; przez to jednakże to miejsce nie jest wcale ciche; i owzem, zgiełk i wrzask chłopców z zapalkami i cygarami i rozmawiających Włochów zagłusza, choć rozwesela i niezwyeczajnością bawi.

#### F) -Myśli o ukształceniu siebie samego\* (1862).

(\*Myśli o ukształceniu siebie samego\*. Warszawa, 1873.)

Jakim sposobem matematyka do ukształcenia człowieka pomaga.

**835)** *Rozdz. III. Str. 19—23.* Wielu nieustannie mówią z pogardą o ludziach, co pracują nad urzuceniem lub powiększeniem swego majątku. Oni z inszej ulepieni gliny, do wyższych zmierzają rzeczy, takie zatrudnienia mając w pogardzie.

Tymczasem przychodzi do tego, iż ci, co tak górnje latają, muszą służyć tym, co się trzymają przy ziemi, i nietylko służyć. Częstokroć są oni dworakami, podchlebcami swoich panów, otaczają ich murem chińskim, a człowieka zacnego i światłego (który temu panu pożyteczniejszym mógł być) wcześniej obrzucają błotem, rzucając na niego z zawziętością obelgi.

Te przywary uważałem często w tych, którzy za młodości wielką odznaczeni się łatwością w uczeniu matematyki, łatwość, która niezawsze jest oznaką wielkich zdolności rozumu.

Gray, znakomity poeta angielski zeszłego wieku, którego *Julia*\*, w pięknym tłumaczeniu Niemcewicza dobrze polskim czytelnikom jest znana, w liście do przyjaciela szkolnegoowiada:

— Mamże się zatopić w metafizyce? Niestety! mnie nie jest dano widzieć w ciemnościach, natura nie wyposażyła mnie narzędziem optycznym koła. Mamże ślęczyć nad matematyką? Niestety! Nie mogę widzieć przy blasku światła, nie jestem orlem».

I rzeczywiście, nie niema, zwłaszcza dla umysłu od natury głębszym opatrzonego rozumem, nie niema do pojęcia trudniejszego, jak to właśnie, co w matematyce jest najłatwiejszem. Znałem dobrze zdadne głowy, dla których pierwsze zadanie Euklidesa było równie trudne do pojęcia i zrozumienia, jak dzieło Monteskiusza: »O duchu praw« dla Kanta; której to książki Kant, (jak sam wyznaje), nigdy zrozumieć nie mógł.

Ze wszystkich nauk matematyka jest najłatwiejszą. Łatwiej daleko nauczyć się matematyki, jak np. prawa, historii lub ekonomii politycznej.

Umysły, kształcone na samej wyłącznie matematyce, mają właściwą sobie cechę nieudolności. Przyzwyczajają się do wiedzy z pewnością niezachwiana, — wiedzą, że dwa a dwa są cztery — i na tem przekonaniu zasypiają spokojnie. Stąd wynika, iż pogardzają tem, cokolwiek z taką samoczewnością dowiedzieć się nie da, nabierają nalogów dogmatycznych, za którymi idzie zarozumiałość i pycha, rozum ich starczy nie ma potrzebnej w życiu codziennem podajności, giętkości; rozumiejąc, iż wszystko można wiedzieć z pewnością, (przynajmniej to, co wiedzieć można i warto), nie umie ocenić stopni prawdy, ani się wedle tego kierować. Pogardza więc wszystkim, co jest tylko przybliżeniem do prawdy, ale jeszcze nie prawdą dowiedzoną. A że wszystkie niemal powody działania i czynienia z takich tylko prawd wynikają, stąd pochodzi, iż w życiu potocznem nie wiedzą, czyli iść na prawo lub na lewo, i radzić sobie nie umieją. Napoleon, który w początkach swego olbrzymiego zawodu tylko matematykę szacował, uchwyciwszy największą we Francyi władzę, zaraz wezwał La Place'a, sławnego matematyka, do rady stanu, ale po kilku dniach z podziwieniem opatrzył się, iż ten wielki matematyk do rządów żadnej nie miał zdolności.

Matematyka przyzwyczają do poznania, jakby wszystko

być powinno, a nie uczy wcale, jak się wszystko dzieje i toczy na świecie, a nawet z tej drogi sprowadzać się zdaje.

Z tego wszakże nie wynika, iż matematyki teoretycznie uczyć się nie należy; owszem, przeciwnie, uczyć się matematyki, bo to jest logika praktyczna, przyzwyczajają do ścisłości w rozumowaniu i daje sposobność rozumowi rozwijania sił swoich. Uczy rozróżniać zasady, pierwsiastki prawd od prawdy wiedzionych, lub potrzebnie dowiedzionych, słowem uczy rozróżnienia prawd, wnioskowania i dowodzenia. Matematyka wtedy tylko ma szkodliwy wpływ na ukształcenie człowieka, kiedy jej wyłącznie całą młodzież poświęcamy, bo tym sposobem wszystkie inne władze umysłu, ile leżące odlegiem i zaniedbane, wraz z rozumem rozwijać się nie mogą, a tym znowu sposobem psuje się równowaga między własnym umysłem, który jest zdrowiem rozumu, i sprawuje, iż mimo wyższego światła, nigdy nie czynimy rozbratu z prostym rozsądkiem...

Dwa razy dwa, nie jest cztery.

**836)** *Rozdz. IV. Str. 27—28.* A naprzód, mój drogi, masz o tem wiedzieć, że dwa razy dwa, nie jest cztery. Jakiżto dwa a dwa nie jest cztery, a przecież nietylko to jest prawda, ale co większa, dwa a dwa jest cztery. Chcesz zapewne powiedzieć, że to jest prawda matematyczna, a zatem niezawodna, i tak to mówią, i z dachów opowiadają matematycy, i słusznie, bo to jest prawda, ale tylko w obrębie matematyki. Przeniesione bowiem do świata, najczęściej nie sprawdza się; — i tak, jeśli byś złemu człowiekowi wyrządził dwa razy tyle przyśług, zrobił dwakroć tyle łask, coś robił dotąd, nie okaże ci przeto dwa razy większej życzliwości jak dawniej.

W ekonomii politycznej najmocniej się to tem przekonano, że dwa razy dwa, nie jest cztery. Bo np. nakładając dwa razy większe cło na towary, nie ma skarb dwa razy większego dochodu, — owszem, najczęściej mniejszy, niżeli dawniej, i nawzajem — zmniejszenie o połowę opłaty od listów, zamiast zmniejszyć o połowę dochód skarbowy z poczty, powiększyło go znacznie, jak się to zdarzyło w Anglii, Francji i innych krajach. Powiększenie kapitału banku krajowego nie powiększa



o dwa razy jego kredytu, owszem zmniejsza dochody akcyonaryuszów. Napoleon, mając pięćdziesiąt tysięcy wojska, odnosi sławne we Włoszech zwycięstwa i zasiada na tronie francuskim; — wyprowadziwszy na Rosyę pięćkroć sto tysięcy wojska, zginął marnie i umarł na skale.

Więc dlatego tu o to bardzo mi chodzi, abyś tego dobrze się nauczył, iż dwa razy dwa nie jest cztery, co ci w życiu bardzo będzie pożytecznem. Kto tę prawdę pojmie i na nią nieustannie oglądać się będzie, uniknie w życiu wielu nieszczęść, które mu życia zatracać nie będą i w biegu zatrzymać mogą.

Wiedzieć: że dwa razy dwa nie jest cztery, jest wielkim w ukształceniu siebie samego krokiem.

O uczeniu się języków. — Jak się nauczyć języka polskiego?

**837)** *Rozdz. X. Str 99—105.* Języka polskiego dlatego najstaranniej uczyć się i w nim ciągle doskonalić się potrzeba, że mimo znajomości innych starożytnych i dzisiejszych języków, zawsze tylko macierzystego języka za narzędzie myśli używać możemy. Od tego wybiegać się trudno. Sama nawet pani hrabina, choć ciągle mówi po francusku, jednakże w szyku polskim myśli swoje układa, sama o tem nie wiedząc, — dlatego jej francuzczyzna jest tylko dyalektem francuskiego języka, który Francuz przez grzeczność tylko rozumie.

Jest u nas zwyczaj zaczynania wszystkiego od gramatyki; zaledwie dziecko nauczy się czytać, dają mu w ręce gramatykę — jeśli się zabiera do wyższych nauk, dają mu gramatykę łacińską, — jeśli chce nauczyć się jakiego obcego języka, dają mu gramatykę.

Co większa, chcesz się nauczyć swego własnego języka — powiadają ludzie uczeni i nieuczeni: weź gramatykę języka polskiego, a masz ich bez liku. Spróbujmy aby raz innego sposobu — gdy ten dawny, jak nas smutne doświadczenie uczy, nie na wiele się przydał: zamiast zaczynać od gramatyki, kończmy na gramatyce.

Ale jakże to być może! wszak przecież trzeba się nauczyć przypadkowania, czasowania przynajmniej? A któż ci broni? chcesz się nauczyć przypadkowania i czasowania, to się naucz, weź gramatykę, tam to znajdziesz łatwo.

A wszakże jeszczeby się trzeba nauczyć prawideł składni! A to się naucz, — ale co będziesz składał, kiedy jeszcze nic nie umiesz?

Otwarcie mówiąc, to wszystko nie na wiele się przydało. Chcesz się nauczyć języka obcego — to się go ucz tym samym sposobem, jakęś się nauczył po polsku, co umiesz najlepiej; ale jeśli tak nie możesz, bo do tego potrzebaby mieć mamę, mamkę, niańkę, mało co starszego brata i równolatkę siostrę, więc użyj innego sposobu: naucz się od kogo czytać po angielsku. A kiedy niema Anglika? To się sam naucz. A jakże się mogą nauczyć dobrego wymawiania? Jeśli się nie możesz nauczyć dobrze wymawiać, to wymawiaj źle — dość z ciebie, abyś rozumiał język. A jak pojedą do Anglii? To powiedzą, że jesteś cudzoziemiec. Czy widziałeś kiedy Anglika dobrze mówiącego po polsku?

Uczenie się gramatyki zaraz w pierwszej młodości nie tylko jest rzeczą nie przynoszącą pożytku, ale jest szkodliwą — bo na pierwszym wstępie do nauk uczy nieuwagi. Pewny poczciwy proboszcz, postregłszy w chłopaku, którego uczył czytać, uderzające zdolności, chciał mu otworzyć drogę do wyższych wiadomości; a więc torem zwyczajnym kazał mu uczyć się gramatyki, naznaczył mu kilka wierszy z pierwszej kartki, bo i to był zwyczaj naznaczania kilku lub kilkunastu wierszy, spodziewano się bowiem, iż tym sposobem młodzież nauczy się gramatyki, choć każdy mógł dobrze wiedzieć z własnego doświadczenia, iż tym właśnie sposobem nieczego się nie nauczył. Ale troskliwy o swego wychowanka proboszcz z nieposzedł zwyczajnym torem: kazawszy wypowiedzieć lekcję, nie przestał, jak to zwykle bywa, na tem, ale chciał jeszcze wypробować, czyli chłopiec rozumie, czego się wyuczył na pamięć. Była to »Gramatyka Kopczyńskiego«; zapytał go więc, czyli rozumie jej pierwsze słowa, t. j. »Czem się różnią ludzie od zwierząt?«

Chłopiec namarszczył czoło, podniósłszy oczy w niebo, i długo się namyśliwszy, nakoniec odpowiada: »Tem, iż ludzie piją szklanką, a zwierzęta językiem«.

Ale na cóż mam przytaczać przypadek zacnego proboszcza, kiedy ci mogę o sobie coś podobnego powiedzieć? tylko to zachowaj dla siebie. Byłem pierwiastkowo w szkołach, gdzie

naówczas dawano nam w ręce tak zwane szulbuchy; na syntaksymę był przepisany taki szulbuch, mający, ile pamiętam, bo to już temu pół wieku minęło, sześć cali grubości, — a zaczynał się od słów: »*Condita nuper urbe et aperta in eo asylo Romanus populus coaluit*«. O! tego okresu (ja, który czytam Tacyta i Sallustusza bez najmniejszej trudności) jeszcze teraz bez niejakiego zastanowienia się rozumieć nie mogę, takem się przyzwyczaił, żeby tego nie rozumieć.

Zwykle bywa, iż młodzież uczy się długo gramatyki łacińskiej, a nigdy samego języka, — to też go umieją tylko ci, którzy odłożywszy na bok gramatykę, sami się wzięli do języka.

Przypuścimy, żeby zamiast grubej gramatyki, młodzieniec wycyzył się wszystkich mów Cyncerona na pamięć; można za ręczyć, że dobrzeby umiał po łacinie, a zrozumienie innych trudnych autorów, jak Liwiusza i Sallustusza, jużby go nie wiele kosztowało pracy. Ale my w uczeniu się języka łacińskiego zaczynamy od końca.

Żeby się dobrze wycyzyć po polsku, trzeba czytać książki z szesnastego i siedemnastego wieku, wiązaną i niewiązaną mową pisane. Trzeba czytać Kochanowskich, (bo od poczciwego Reja niczego, i języka nawet, nauczyć się nie można), Zimorowicza, a szczególnie mowy sejmowe różnych, nawet »Swadę«, wszystkie kazania Skargi, choć w nim polszczyzna zbyt się do języka łacińskiego nagina; trzeba abyś czytał nawet jego Żywoty Świętych, bo lubo ś. p. biskup ołycki Osiński to dzieło z pewnych względów nagania, a i sam Skarga tylko przez posłuszeństwo dla swojej starszyny tego dzieła dokonał, wszak jako zaprzeczyć nie można, iż to jest niewyczerpany skarb pięknej, szczerzej polszczyzny. Jeżeli cokolwiek umiem po polsku, winienem to Żywotom Świętych Skargi, które — nie dla języka, ale z pobożności, — mając dopiero lat siedm, czytałem z takim upodobaniem i zajęciem się, iż mi już przychodziła ochota udać się na pustynię i tam przy żywym źródle kryształowej wody żyć korzonkami. Druga atoli książka, którą w tym wieku czytałem, na wcale inną mnie zaprowadziła ścieżkę: wzniciła chęć zwiedzenia świata, i dotąd jeszcze lubię żyć i waleśać się między obcymi, może najwięcej dlatego, iż wady

i przywary obcych znoszą się z obojętnością, a swoich z boleścią i smutkiem. Książki tej tytuł jest: »Nowe Ateny wszelkiej scienciey pełne, przez autora tu *enigmatice* wyrażonego... *alias* X. Chmielowskiego«.

Ta książka, rodzaj encyklopedyi, doskonale odbijającej światło swego wieku, tem silniej mnie zajmowała, iż zaczy ks. Chmielowski był proboszczem w Firlejówce, gdzie ja się urodziłem, a pierwsze kroki stawiałem w ogrodzie, który on pierwszy ozdobił był łacińskimi napisami na deszczkach, które w tem dziele pilnie i wiernie podał dla wiadomości potomnych. A lubo polszczyzna ks. Chmielowskiego jest zapstrzona łacina, wszelako co tu jeszcze jest w polskim języku, nosi cechę niepokalanej polszczyzny . . . . .

CVI.

## GRABOWSKI MICHAŁ

(1804—1863).

Miejsce i data urodzenia głośnego w swoim czasie, a później rychło zapomnianego krytyka i powieściopisarza, nie są dotychczas ustalone<sup>1)</sup>. W każdym razie ustanowić możemy w przybliżeniu, że urodził się w r. 1804 albo 1805, w Zolotyjowie albo Tajkuraach (miejscowości blisko siebie leżące, na Wołyniu w powiecie Rówieńskim). Ojciec jego Antoni wywieziony podczas Konfederacji Barskiej w głąb Rosji, wychowany był przez Dzwiczą, służył wojskowo i w dojrzałym już wieku powrócił do kraju, gdzie pojął za żonę Teresę z Dworzankich. O najwcześniejszej młodości Grabowskiego posiadamy bardzo skąpe wiadomości. Możemy tylko przypuszczać, że atmosfera do mowa nie była zapewne przesieknięta zbyt silnymi pierwiastkami narodowymi, co odbiło się później w sposób zmienny w pewnych przełomowych epokach życia Grabowskiego. W 10 roku życia oddano go do kolegium Jezuitów w Romanowie, skąd wyniósł nietylko »ugruntowanie w wierze« — jak twierdzi jego biograf Jan Krechowicki — ale zapewne i zadatki późniejszych przekonań konserwatywno-klerykalnych. Po kilku latach p. p. Grabowscy przenieśli się na Ukrainę, do Aleksandrówki w pow. Czernihrym, i oddali syna do szkoły bazylikańskiej w Humaniu. Nastąpiło to prawdopodobnie w r. 1818. Teraz

<sup>1)</sup> Jan Krechowicki («Wiadomość o życiu i pismach M. G. Kraków 1868») podaje rok 1804 »lub najpóźniej 1806« (str. 4), bezimienny autor »Kilku wspomnień biograficznych« («Czas» 1896) przytacza dokładną datę »25 września 1804 r.« rzekomo zaczerpniętą z autentycznego listu Grabowskiego. Chmielowski przyjmuje raz rok 1805. (W. Encyklop. Ilustr. t. XXV) drugim razem rok 1807 (Hist. lit. polskiej t. V, 207), Michał Rolle («Żywot polityczny M. G. Przewodnik naukowy i lit. 1908) i Tadeusz Grabowski (M. G. Kraków 1901) również rok 1805. Jako miejsce urodzenia podany jest w tych studiach bądź Zolotyjów bądź Tajkury.

rozpoczyna się nowa epoka w życiu młodzieńca, znana nam już nieco bliżej ze wspomnień Krechowickiego, oraz pamiętników i listów Goszczyńskiego. W szkole humańskiej uczyli się już od kilku lat Zaleski i Goszczyński. Ten ostatni w następujących słowach skreślił wrażenie, jakie na nich wywarł świeżo przybyły Grabowski: »Dziecko ładne... jak dziewczynka, niewinny, rumieniący się, a przytem zamknięty, poważny, arystokrata, zwrócił na siebie uwagę kolegów i wielu podbił jak kocieta, między innymi Bohdana Zaleskiego. Stąd ściślejszy między nimi stosunek, aniżeli był mój. Byliśmy jednak dobrzy. Kiedy Bohdan kochał się w nim prawie jak w dziewczynie, my byliśmy na stopie męskiej przyjaźni, związani wzajemnem ocenianiem naszych przedmiotów męskich, zalet męskich.« (Teki Goszczyńskiego VII. Chronologia mego życia. Cyt. u Tretiaaka: »Bohdan Zaleski«, Kraków 1911, str. 51). Niebawem po wakacjach roku 1818 znaleźli się trzej przyjaciele w jednej klasie. Było to w czasie, kiedy hasła nowej, romantycznej poezji zaczęły stawać się przedmiotem dyskusji w czasopiśmie polskich, zainaugurowanej przez Brodzińskiego rozprawą »O klasyczności i romantyczności«. Ze koledzy humanicy mieli i czytali te pisma, że zaczęli przejmować się nowymi prądami, świadczą o tem zapiski Goszczyńskiego. Szczególniej zaś upodobał sobie musieli »Ćwiczenia naukowe« wydawane wówczas przez Glücksberga w Warszawie, bo na wzór tego wydawnictwa założyli własne, uczniowskie pismo litografowane p. t. Ćwiczenia umysłowe, mające być organem trójki literackiej pod nazwą Za-Go-Gra. W tych czasach i w związku z tem pismem powstawały pierwsze próby poetyczne Zaleskiego i Goszczyńskiego. Możemy więc z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że i Grabowski próbował wówczas swych sił na tem polu, zwłaszcza, że znamy jego późniejsze utwory poetyczne i wiemy, że myśl o twórczości poetyckiej przesładowała go nawet w czasach, kiedy już dokładnie zdał sobie sprawę z braku talentu w tym kierunku.

Wspólna praca umysłowa trzech przyjaciół została jednak rychło przerwana przez zatarg z władzą szkolną. Surowy rygor, panujący w szkołach bazylikańskich, ciężki musiał młodym »literatom«, rwać im się do swobody i szerszej działalności, i wywoływać niezadowolenie. Stosunki zastrzyły się bardziej z powodu nietaktownego postępowania prefekta szkoły ks. Skibowskiego, zręcznego karyerowicza, który nie posiadał żadnych danych, aby wzbudzić w swych uczniach miłość i zaufanie ko sobie. Po zajęciu z Goszczyńskim, bardzo przykrem dla tego ambitnego i pełnego temperamentu młodzieńca — nastąpiło jeszcze przykrejsze zajęcie z Grabowskim. Prof. Tretiaak przedstawia je w ten sposób: »Poróżnił się on (Grabowski) z profesorem prawa ks. Rolińskim. Czy ks. Roliński przejął od ks. prefekta jego »ton pogoniści, despocyckiego«, tego nie wiemy; to tylko wiemy, że Grabowski, który pomimo panińskiej powierzchowności, miał w młodości bardzo awanturnicze usposobienie, uczył się przez niego obrażo-



nym i na obrazę odpowiedział obraźliwymi słowami. Za to musiał kłęść w klasie, co go tak ubodło, że z końcem roku szkolnego 1818/19 opuścił Humna... (l. c. str. 67). Nie mogło się to naturalnie stać bez zezwolenia rodziców, którzy jednak niezbyt fortunnie wybrali mu miejsce na dalszą edukację. Wystali go mianowicie do liceum Richelieu w Odessie «zapewne w widoku lepszej instrukcji — powiada J. Krechowicki — a więcej może idąc za przykładem moich swoich sąsiadów Rosyan»<sup>1)</sup>.

Przypuszczać można, że ten drugi взгляд był decydujący i świadczy wymownie o zaznaczonym już powyżej, braku starań o prawdziwie narodowe wychowanie syna. Pobyt w liceum Richelieu nie mógł wpłynąć korzystnie na rozwój młodzieńca. Uczono tam wprawdzie wszystkich języków europejskich, literatury starożytnej i nowożytnej, towarzystwo jednak młodzieży arystokratycznej rosyjskiej, którą wysyłano tam dla «nabrania poluru», nie mogło oddziaływać na Grabowskiego w tym dachu, co jego koledzy humaniści. Oto jak przyjaciel jego Krechowicki, do którego znowu się odwołujemy, jako do najważniejszego źródła biograficznego — przedstawia wpływ pobytu w Odessie na ukształtowanie i charakter Grabowskiego: «Pozostało mu wszakże z pierwotnych, tam w liceum odebranych wrażeń, jakieś kosmopolityczne wyobrażenie stosunków towarzyskich, gdzie forma pewnej dystynkcji zastąpić mogła brak istotnego wychowania i obyczajów... Polur był tam ostatnim cywilizacji wyrazem. ...Otóż młody podówczas Michał Grabowski, ośmiśniony był tym fałszywym polskiem, lubo dojrzałym potem poglądem różniece te dostatecznie oceniał, jednak z tem pobłażaniem, z tą łatwością wchodzenia w stosunki i zawikłania siebie w niewłaścive pozory prawie do ostatnich dni życia swego pozostał» (str. 7).

Pobyt Grabowskiego w Odessie nie mógł trwać dłużej jak rok lub najwyżej półtora roku, gdyż Zaleski i Goszczyński, przybywszy w jesieni 1820 r. do Warszawy, już go tam zastali. Udał on się tam zaraz po śmierci swego ojca, co mogłoby świadczyć, że niebardzo dobrze było mu w Odessie i uczuwszy się niezależnym od woli ojca, porzucił ją coplej. Przybywał do Warszawy w czasie coraz bardziej wzmagającego się ruchu literackiego wśród młodych (może to pociągało go najbardziej) i bardziej jeszcze intensywnych robót spisowych. Co do tych ostatnich jednak, zachował się już wówczas z rezerwą, nie okazując bynajmniej zapału, właściwego jego wiekowi, do tego rodzaju działalności. Na tem też różnicy temperamentów mu siały już teraz wyniknąć pewne nieporozumienia pomiędzy nim, a dwoma jego przyjaciółmi, którzy w początkach r. 1821 uroczystie wprawa dzeni zostali do związku «Wolnych Polaków». Goszczyński, pisząc o tych czasach, powiada: «...nasze kółko słabo się trzyma, harmonia

trudna. Grabowski salonowy panicz, Francuzik ze wszystkimi wdami Francuzika...» Słowa te, pełne goryczy i ironii, świadczą wyraźnie o zawadzie, jaki Grabowski sprawił swemu przyjacielowi, mównie o zawodzie, jak sam powiada, był «cały w polityce, rwący się do ruchu». Pomimo to jednak miała ta trójka jeszcze wiele wspólnego z sobą, kiedy — jak świadczy znowu Goszczyński, — «przeciągali swoją spółkę literacką, zbierali się i czytali swoje utwory». Nie brakuło i nowych znajomości, jak Żukowski, Ostrowski, Fr. Grzymała, Humnicki, Rydzewski i inni, wszystkie ludzkie młodzi, zachęceni nowymi prądami w poezji, rozdziałający swe zachwyty szacodrze pomiędzy Byrona, Mickiewicza i... Odyńca. Tryb życia Grabowskiego w Warszawie, jak się o tem dowodnie przekonujemy z listów jego pisanych do Zaleskiego, był dość urozmaicony i bynajmniej nie spokojny. Uczęszczał zdaje się początkowo do liceum, potem zaś do uniwersytetu jako wolny słuchacz, ale niedługo i bez wielkiej gorliwości. W dwa lata po przyjeździe zdecydował się wstąpić do biura ministerium oświecenia i wyznań, gdzie miał poparcie u imiennika swego, ministra St. Grabowskiego; został nawet po jakimś czasie referentem wydziału wyznań. Ale i praca biurowa niebardzo mu odpowiadała — wreszcie jego referaty zwracał<sup>2)</sup> i przestał chodzić do biura, co nieskończenie tolowano, ponieważ był protegowanym ministra (Krechowiecki l. c. str. 8). Potem studiował kronikarzy, Naruszewicza, poetów polskich w XVII, z zagranicznej literatury zaś specjalnie Byrona i Waltera Scotta — oraz tracił czas na hulankach, grze w karty, robieniu długów i częstych pojedynkach. W liście z 4 maja 1824 r. tak up. określa swój stan duchowy: «...nudzę się, robię długi, czytam romanse W. Scotta, tracę pieniądze bez potrzeby i przyjemności i staram się przekonać, że w chwilach, w których się najwięcej trapię i śmieję, jestem szczęśliwy... Gdybyś wiedział przytem, jakie życie chaos w mojem sercu, ile tam przeciwnych uczuć chcą przytłumić, nie dziwiłbyś się, że tak starannie unikam wszystkich, coby mnie mogło wyrwać z letargu, w który się pogrążyłem. Do tego wszystkiego przyłączyła się jeszcze remitość do pięknej śpiewaczki warszawskiej Wilkowskiej, która do remitość w melancholii, zwłaszcza, że «wkorzenie arystostry pogrążyła go w delirium, i duma» nie pozwalała mu wchodzić do aktorki. W wypowiedziach tych (i wielu innych podobnych) przebiega się wyraźnie stan duszy młodzieńca o walczących z sobą instynktach poziozowego używania życia i pewnych wyższych, szlachetniejszych potrzebach. Kto wie, czy nie właśnie w tych przymiatach, łącznie z kalkształtem warunków, wśród których się chował, tkwiło źródło jego chłodnego stosunku do spraw ogólniejszej natury, które entuzjazmowały podówczas jego najbliższych przyjaciół. Sam się do tego nawet pośrednio przyznawał w tych słowach pełnych bystrej autokrytyki, w liście z 30 marca 1824 r.: «Józefie, świat, pośród którego żyję,

<sup>1)</sup> l. c. str. 6. Podano tu przez omyłkę Moskwę jako miejsce wyjazdu G. i siedzibę liceum Richelieu'go.

nauczył mnie wstydzić się wszelkich uczuć głębokich i prawdziwych, nauczył mnie wstydzić się wszystkiego, co nosi na sobie piętno entuzjazmu i poświęcenia się... W wyznaniu tem jest wiele zniwalającej szczerości i mógłby się od niego rozpocząć zasadniczy nawet przełom moralny. Cóż, kiedy Grabowski równocześnie niemal marzy o karierze dyplomatycznej, a w liście z 2 lutego 1825 r. znajdujemy taki zastanawiający przepis: „Wyobraź sobie, że dotąd miałem jeszcze nadzieję, iż za przyjazdem Nowosiłcowa będę mógł się umieścić lub przy nim lub przy Mohrenheimie, nie potrzebowałbym jechać do Petersburga i t. d. Jakkolwiek nie można zapatrywać ówczesnych ludzi na Nowosiłcowa i Mohrenheima i na służbę »dyplomatyczną« przy nich mierzyć miarą dzisiejszych naszych poglądów — to jednak z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że Grabowski różni się wyraźnie pod tym względem od swoich najbliższych przyjaciół, Goszczyńskiego i Zaleskiego. Trudno sobie wyobrazić, aby oni mogli w takich czasach myśleć o takiej karierze jak Grabowski, którego dezorientacja i brak kontaktu duchowego z ówczesnym życiem podziemnym objawia się tu dobitnie. W ocenie więc jego stosunku zarówno do robót spiskowych i powstania jak i późniejszej jego działalności politycznej, nie należy tych momentów tracić z oczu, choć znaczną rolę odegrała tu niewątpliwie z natury trzeźwa i chłodna umysłowość Grabowskiego. Przebija się ona wyraźnie i w sposób ogromnie charakterystyczny w pierwszych jego wystąpieniach literackich. W r. 1825 ogłasza Grabowski w czasopiśmie »Astrea« wychodzącym w Warszawie pod redakcją Franciszka Grzymały, artykuł p. t. »Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polsce«. <sup>1)</sup> Poddając krytyce bardzo surowej, ale i bardzo słusznej ballady Witwickiego, wypowiedział kilka uwag ogólnych, ciekawych przez swój obiektywizm i spokój w traktowaniu tak drażliwej podówczas sprawy, jak stosunek romantyzmu do klasycyzmu. Dwudziestoletni krytyk oświadczał na wstępie, że nie należy do żadnego »stronnictwa lub bractwa naukowego«, pozabawiony więc jest wszelkich niechęci lub »zadróżki rzemieślniczych«, kładł nacisk na traktowanie poezji jako »wynikłości wyobrażeń, uczuć, obyczajów i stanu oświaty ludów, od których bywa uprawiana« i z tego punktu widzenia historycznego uzasadniał romantyczność w poezji. Następnie dawał bardzo trafną charakterystykę Brodzińskiego, jako polowicznego wprawdzie, ale w każdym razie pierwszego inicjatora nowego kierunku, w słowach pełnych uznania mówił o Mickiewiczu, zastrzegając się tylko przeciwko »brakowi smaku« tego »ucznia szkoły

<sup>1)</sup> Jest to stanowczo pierwsza drukowana praca Grabowskiego. Wprawdzie J. Krechowicki (l. c. str. 11) wspomina o jakimś artykule »o ludowej poezji« umieszczonym w »Bibliotece polskiej« a wiadomość tę powtarza za nim Nehring (»Z młodych lat B. Zaleskiego«, Bibl. warsz. 1887) — ale artykułu takiego niema w wydanych tomach tego czasopisma.

niemieckiej«, bez zastrzeżeń chwalił styl malowniczy i sugestywność poezji Zaleskiego. Rozumiał potrzebę wprowadzania do poezji pierwiastka nadprzyrodzonego i głęboko ją uzasadniał, protestował jednak silnie przeciwko nadużywaniu czarownic i upiórów, które w balladach Witwickiego święciło prawdziwe orgie. W zakończeniu artykułu nawoływał do zaprzestania kłótni o słowa: klasycyzm i romantyczność, które »są brzmienia próżne, same przez się nic nie znaczące«. Nową szkołę określał jako »wynikłość długiej kolei wieków i pojęć«, a obronę klasycyzmu jako »niedorzeczność, równającą się chęci cofnięcia »wieku daleko już za nami będących wyobrażeń, stanu rzeczy, a nawet uczuć <sup>1)</sup>. Do tej samej kwestyi powrócił Grabowski w artykule p. t. »Myśli o literaturze polskiej« ogłoszonym w »Dzienniku warszawskim« z r. 1828 <sup>2)</sup>.

Pisał go Grabowski już po wyjeździe z Warszawy, co nastąpiło w lecie 1825 roku. Niebardzo chętnie zapewne wyjeżdżał ze stolicy, z którą łączyło go wspomnienie »szerokiego« życia i w której pozostać musiał przedmiot swej miłości. Zamiary jego na przyszłość świadczył jednak wymownie, że w wyborze zawodu, a więc określeniu pewnego wyraźnego stosunku osobistego do życia — nie powodował się i dalej żadnymi względami głębszej natury. Oto przyjechawszy na Ukrainę, chciał początkowo wstąpić do wojska. Ponieważ zaś matka była temu przeciwna, więc podjął znowu myśl o karierze dyplomatycznej i postanowił jechać do Petersburga, gdzie wojenny gubernator Milanowicz (?), »rzadki« przyjaciel jego ojca, miał mu dopomóc do umieszczenia się w departamencie spraw zagranicznych. Podróż ta jednak odwiekla się, a tymczasem Grabowski żalił się w listach do Zaleskiego na brak wszelkiej atmosfery umysłowej na Ukrainie, na tych »barbarzyńców, Sętych i Antropophagów«, wśród których zmuszony był przebywać. Jedyną ucieczką stała mu się teraz praca literacka, do której zabrał się z całym zapałem. Zajął się przedewszystkiem żywo najnowszą literaturą rosyjską, z której sprawozdaniem przysłał swemu przyjacielowi; potem nie zaniedbywał i niwy poetyckiej, jakkolwiek oficjalnie wyrzekł się jej, pisząc do Zaleskiego (8 grudnia 1825), że z poezją zamierza się pożegnać na zawsze. Świadcząc o tem umieszczane w ciągu roku 1827 w »Dzienniku warszawskim« »Melodye ukraińskie«, którym brak rzeczywistej rzetelnej natchnienia poetyckiego. Równocześnie zaś pod wpływem lektury Waltera-Scotta, zamierzał spróbować swych sił na polu rمانس historycznego i w tym samym liście donosił, że zaczął już pisać powieść z czasów klęski warneńskiej, a układał sobie jeszcze inne dwie, mianowicie o Samuelsie Zborowskim i »spisku« konfederatów barskich. Nie zaniedbywał jednak i pracy krytycznej, zwłaszcza, że poezya szła mu dosyć opornie, niemniej jak zbieranie pieśni ukraiń-

<sup>1)</sup> Zob. Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Tom III str. 269.

<sup>2)</sup> Zob. poniżej wstęp do wyjątków z tej rozpraw.

skich, do czego się wreszcie zupełnie zniechęcił. Śledził także ruch literacki w Warszawie, jak o tem sądził młodym z ciekawych uwag, dotyczących »Maryi Malcezewskiego, a zawartyh w liście do Zaleskiego z 17 lutego 1826 roku. Nie wzbudziła ona w nim entuzjazmu: »...nie rozumiem — pisał — jak można upodobać sobie tak dziwną igraszkę rozumu, ażeby pełne energii pomysły i wysłowienia odziewać tą naciągniętą nienaturalnością i psuć wszelki efekt tak dziwacznej ciemnością stylu». W tym też czasie powstał zapewne omawiany powyżej artykuł »Myśli o lit. polskiej, jak również tworzyły się musiały pomysły rozpraw, które weszły następnie do 1-go tomu »Literatury i krytyki».

Przybycie na Ukrainę Goszczyńskiego (w kwietniu 1826 roku), wspólne przebywanie z nim i z Krechowickim w majątku tego ostatniego w Leszczynówce, wyrwało nieco Grabowskiego z przykrych rozmyślań nad atmosferą umysłową Ukrainy; pełen przedsiębiorczości i energii postanowił obecnie wprowadzić w czyn dawno już żywny zamiar wydawania Rocznika literackiego, któryby był organem nowej poezji i opierał się głównie na współpracownictwie czterech ukraińskich przyjaciół. Przynajmniej pierwszy rocznik tego wydawnictwa prawie wyłącznie miał być zapelniony ich pracami. Według dochowanego planu miał tam umieścić Grabowski »Rys historyi literatury polskiej od czasów przedchrześcijańskich aż do upadku kraju», recenzję »Pojaty» Bernatowicza, oraz nie oznaczoną dokładniejszym tytułem »powieść ukraińską prozą». Możemy się domyślać, że artykuł p. t. »Myśli o literaturze polskiej» był właśnie częścią projektowanego tu »Rysu hist. lit. polskiej». Z ogromnym zapalem donosił Grabowski o tym projekcie Zaleskiemu, prosił go o zdanie w tym względzie i o zajęcie się stroną wydawniczo-księgarską Rocznika. Projekty te jednak nie docekały się zrealizowania, częściowo z powodu niezbyt entuzjastycznego stanowiska, jakie zajął wobec nich Zaleski, a częściowo także z powodu prawdopodobnych trudności w znalezieniu nakładcy. Wśród takich projektów i zajęć upływało życie Grabowskiego na Ukrainie. Wpływ towarzystwa Goszczyńskiego i Krechowickiego okazał się bardzo dodatnim, gdyż Grabowski powoli zapominał o swoich marzeniach dyplomatycznych i coraz bardziej oswajał się z myślą pozostania na Ukrainie. »Pocóż mam się włożyć po świecie — pisał w liście z 4 lutego 1827 r. — i szukać cudzych bogów, kiedy mogę mieć kąt własny i spokojny w ziemi rodzinnej, piękny zawód nauk i przed sobą cel wielki i szlachetny na całe życie? Nie chciał również opuszczać matki, którą bardzo kochał, a ponadto miał zamiar ożenić się. Tak sobie ułożywszy plan dalszego życia, nie ustawał Grabowski w pracy i w pobudzeniu do niej swoich przyjaciół. Donosił więc Zaleskiemu o napisanej jeszcze w Warszawie legendzie z XVI w. p. t. W a w r z y n i e c P o w o d o w s k i, o 3 częściach powieści słowiańskiej w rodzaju »Atali» Chateaubrianda, o projekcie romansu historycznego z czasów Władysława Łokietka i t. p. Zajmaje

się również historią; jeszcze w r. 1825 zjawiała się w »Bibl. polskiej» recenzja 1-go tomu Historii Narodu Polskiego Naruszewicza, prawdopodobnie pióra Grabowskiego; teraz zaś przygotowuje on sobie materiały do historyi Ukrainy, która miała być umieszczona w 2-gim tomie Rocznika literackiego. Nie przerywał również studiów nad literaturą rosyjską, a pilne rozczytywanie się w czasopiśmie rosyjskich dało mu powód do skarg nad stanem czasopiśmiennictwa i krytyki literackiej w Polsce. (List do Zaleskiego z 13 marca 1828 r.). Próbował nawet nawiązać stosunki z »Telegraphem moskiewskim», a kiedy ukazał się tam artykuł o literaturze polskiej, »oparty na danych, poczerpniętych z pisma »o krytykach i recenzentach warszawskich», a więc następujący literaturę polską klasyczną i wystawiający ją w sztychym »wyborny pocisk polemiki», ale nie za »dokument historyczny, bezstronny i rzetelny» — napisał artykuł po francusku, w którym stał w obronie historycznego znaczenia klasycyzmu, powołanego w swoim czasie »do czuwania nad zachowaniem języka narodowego, do troskliwości o jego czystość, do pielęgnowania i wykształcenia według istniejących w tym czasie wyobrażeń<sup>1)</sup>. Artykuł ten nie został wydrukowany, ale redaktor »Telegrafa», Uszakow, przynależał Grabowskiemu rację i niebawem przy recenzji »Zamku Kaniowskiego» »zajął oględniejszy i sprawliwszy obraz literatury polskiej». Praca ta powstała prawdopodobnie już po powrocie Grabowskiego z Wiednia, dokąd udał się był w lecie r. 1828 na kurację w towarzystwie Goszczyńskiego. W drodze powrotnej zabawili przez kilka tygodni w Warszawie, i tu Grabowski odświeżał sobie dawne swoje wspomnienia karciane, ale równocześnie podjął na nowo zabiegi w sprawie wydawania czasopisma literackiego. Tym razem układał się jednak nie z Zaleskim, ale z Maurycym Mochnackim, którego świeżo właśnie poznał w Warszawie. Chodziło o pismo w rodzaju »Revue universelle», gdzieby »każdy miał swój cel, swoje przeznaczenie; a więc miały tam być działy następujące: informacyjny, o tem, »co się myśli i co się robi w Europie», dalej »Literatury Narodowej», któryby »centralizował prace naszych teoretyków i literatów», działy literatury zagranicznej t. j. przedwzrostkiem tłumaczenia, wreszcie specjalny dział przeznaczony dla poezji. Ale i tym razem sprawa się przewlekła tak, że Grabowski w lecie r. 1830 znnowu przybył do Warszawy, w towarzystwie Goszczyńskiego, ażeby wreszcie zamiar swój doprowadzić do skutku. Trafił jednak na czas zupełnie nieodpowiedni do zakładania czasopisma. Zbierali się wprawdzie w jego mieszkaniu wszyscy młodzi literaci dla omówienia tej sprawy, ale w dysputach coraz bardziej przeważać zaczął pierwiastek polityczno-rewolucyjny nad literacko-naukowym. Umysły były podniecone świeżym wybuchem rewolucyjnym w Paryżu, prochy nagromadzone w dostatecznej

<sup>1)</sup> Ob. »Kilka wspomnień biograficznych», »Czas» 1866, Nr. 133.



ilości. Doznał więc Grabowski znowu zawodu w swoich planach wydawniczych, a nawzajem sprawić musiał zawód wszystkim tym, którzy mogli jeszcze liczyć na jego współudział w przygotowywanym dziele. Znając jego usposobienie i rodzaj poglądów, a właściwiej powiadałszy, brak w danej chwili, wszelkich poglądów politycznych, nie będziemy się dziwili, że stanął w opozycji przeciwko przyszłemu Belwedercyzkom, a wśród tych nieporozumień rozbiły się i układy do pismo. Grabowski wyjechał z Warszawy na kilka miesięcy przed wybuchem powstania. Stosunki jego netylko z Mochnaackim i Ostrowskim, ale także z Goszczyńskim i Zaleskim musiały znacznie ochłodzić. Udziału w powstaniu oczywiście nie brał. Krechowicki usprawiedliwia to szybkim upadkiem działań powstańczych na Ukrainie i zapewnia przytem, że Grabowski brał udział we wszystkich przygotowaniach do ruchu na Ukrainie, jakkolwiek wie dobrze o stanowisku, zajętem przez niego w Warszawie.

Nie wiemy nie o tem, jakie wrażenie uczynił na nim wybuch powstania, jego przebieg i upadek. To lata jego życia przykrywa gruba zasłona. Wiemy tylko, że wtedy napisał „polowę tego dzieła, które w części ogłosił w 1-szym tomie »Literatury i krytyki« pod nazwą »O poezji XIX w.«. Przez kilka lat następnych trwa »zawieszenie trudów literackich«. Dopiero w r. 1894 znajdujemy w »Tyg. petersburskim« rozprawę Grabowskiego p. t. »O poezji narodo wej« (przedrukowaną później w 1-szym tomie »Lit. i kryt.«). Sam wybór tego ultrareakcyjnego pisma świadczy dowodnie, że wypadki 1831 r. popchnęli Grabowskiego jeszcze bardziej na prawo i że odsuwał on się ideowo coraz bardziej od swoich przyjaciół młodości, którzy tymczasem dzielił niedołą Emigracyi. W r. 1835 wstąpił Grabowski w związek małżeński z Pauliną Rościszewską i zajął się przygotowywaniem do druku swej »Literatury i krytyki«, którą pierwszy tom ukazał się w Wilnie w r. 1837.

Rozgłos i sława, jaką zyskał Grabowski umieszczoną w »Tygod. petersb.« rozprawą »O poezji narodowej« doszły obecnie, po wydaniu »Literatury i krytyki« do szeptu. Stał się on koryfeuszem krytyki literackiej w kraju, wydającym sądy i wyroki bez apelacyi. Wpłynęły na to zarówno niewątpliwa wartość tego wydawnictwa, jak i warunki i okoliczności, wśród których się pojawiło. Wobec zupełnego odrętwienia piśmiennictwa w kraju, wobec wielkiej szczyplności prasy periodycznej (która np. na Litwie i w prowincjach zabranych reprezentował wyłącznie »Tygodnik petersburski«) — mogła »Literatura i krytyka« robić rzeczywiście wrażenie meteora, zjawiającego się na ciemnym niebie ówczesnego ruchu umysłowego w kraju. Tem się też tłumaczy nadmierny wpływ, jaki zyskał Grabowski wśród niektórych grona pisarzy, działających podobnie na Litwie i Rusi. Z pomiędzy nich najściślej związał się Grabowski z człowiekiem, który miał niebawem odegrać wybitną rolę w literaturze polskiej, smutnie natomiast zapisać się w dziejach apokazyi narodowej. Hr. Henryk

Rzewuski oczarował Grabowskiego odrazu zaletami swego umysłu i talentu. Jeżeli wierzyć Krechowickiemu, poznał się z nim jeszcze przed wybuchem powstania listopadowego; bliższe jednak stosunki przypadają dopiero na czas powoastanowiu, od chwili zaś zjazdu w Cudnowie w czerwcu r. 1841<sup>1)</sup> datuje się epoka ścisłego współpracownictwa w kierunku politycznych poglądów Rzewuskiego. Znając do tychczasowe usposobienie polityczne Grabowskiego, mając na uwadze jego »słabość pobłażania dyktynyji rodu, jaką wyniósł z kosmopolitycznego liceum odeskiego«. (Krechowiecki l. c. str. 26) — nie będziemy się dziwili, że uległ on zupełnie i ślepo urokowi Rzewuskiego, i zaczął używać swego pióra i talentu na bezwzględne popieranie jego zamierzeń. Uwidoczniło się to wyraźnie już w recenzji »Mieszaniec obyczajowych«, którą umieścił Grabowski w »Tyg. petersb.« z r. 1841 i 1842. Oświadczył w niej, że »nikt z piszących dzisiaj w naszym języku nie stoi bliżej nadmieniu opinii religijnych, moralnych i społecznych nowozjawionego pseudonima« — nazywał go »człowiekiem z geniuszem, nauką, rozumem, siłą i oświeconą wiarą, z gorliwością istotną o dobro ziomków...« — zachwycał się takimi zdaniemmi Bejły jak np.: »naród wytrawiony z żywiołów społecznego bytu ma tylko dwa widoki: albo najohydniejszą i martwą dzikość, albo przejście przez podbój, który mu nową przyszłość otworzy...« i t. p.<sup>2)</sup>

Niebawem postanowili przyjaciele rozpocząć szerszą propagandę swoich poglądów. Na zjazdach literackich w Kijowie podczas kontraktów, na których bywali oprócz Grabowskiego i Rzewuskiego również Świdziński, ks. Hołowiński i czasami Kraszewski, ustalono ogólny program działania. Pod niewątpliwym wpływem Rzewuskiego program ten przybrał charakter ultraradogowy; chodziło w nim głównie o ocalenie wiary, języka i obyczajów, ale pod protektorem Rosyi, wyrzeczenie się wszelkich mrzonek, przeciwdziałanie wpływom Emigracyi i rosnącemu prądowi radykalno-demokratycznemu wśród młodzieży w kraju. Równocześnie powstał w tej grupie ludzi pomysł wydawania własnego organu p. t. »Słowianina«. Zredagowaniem jego programu i staraniami u władz zajął się Grabowski. W tym celu wysłał w r. 1843 do Pisarewa<sup>3)</sup> szefa biura generalnego gubernatora Bibikowa, pismo, w którym przedstawił program »Słowianina«, jako że wszecm niary godny poparcia ze strony radog. Pismo to wykradzione z kancelaryi general-gubernatora i rozpowszechnione wśród obywateli przybyłych na kontrakty, wywołało wśród nich latwo zroczniałe oburzenie, skutkiem czego Grabowski — jak świadczy Krechowicki — »w kraju dozna

<sup>1)</sup> Ks. Badeni: »Książd St. Choloniowski«, Kraków 1889, str. 318.

<sup>2)</sup> Jeszcze w r. 1841 pisząc do Rzewuskiego, apoteozował w słowach przesadnych jego rodzinę, w której »historja i soajalność polska przycho-dzily do samopoznania«.

<sup>3)</sup> Tak przedstawia sprawę Krechowicki (l. c. str. 33). Inni biogra-fowie nie wspominają o piśmie do Pisarewa, lecz tylko o liście do Stru-tyńskiego.

wał otwartego niemal prześladowania». Listu tego do Pisarewa nie znamy. Znamy natomiast inny list, do hr. Juliusza Strutyńskiego, który miał stanowić podobno usprawiedliwienie się i rehabilitację Grabowskiego. W jaki jednak sposób starał się tu Grabowski zrehabilitować i jakim duchem przejęte było całe pismo, niech świadczy o tem następujący znamieny ustęp: »Składam więc naprzód moje wyznania: umniemana historii polskiej samoisność jest zakochana, odąd byé ona tylko może jako członek Rosyi iłi Słowiańszczyzny. Patryotyzm więc Polaków zakładam na tem, ażeby był działaczem powolnym i użytecznym w losach wielkiego rosyjskiego państwa... Jedność słowiańska nie może się spełnić, tylko pod patronatem Rosyi... Jedynowładztwo rosyjskie uważam za jedyne i nieodzowne narzędzie. Uwazam nadto to jedynowładztwo za talizman potęgi i wyższości północy nad karłowaczącą i słabnącą coraz Europą i za najtwardszą posadę porządku, spokojności i szczęścia ludów«<sup>1)</sup>.

Pomimo to wszystko wydawnictwo »Słowianina« do skutku nie doszło. Zawiedziony w ten sposób w nadziejach jakiejś szerszej akcji politycznej, starał się Grabowski piórem i czynem przeciwdziałać przynajmniej tym prądom we własnem społeczeństwie, które uważał za szkodliwe. Działalność jego w tym kierunku zwróciła się przedewszystkiem przeciwko »Gwiazdzie«, czasopismu założonemu dla przeciwdziałania konserwatywno-ugodowym tendencjom »Tygodnika petersburskiego«. Zawziętość Grabowskiego przeciwko młodemu ruchowi radykalnemu, którego organem było to pismo, musiała być wielka, skoro jak świadczy jeden z redaktorów »Gwiazdy«, Benedykt Dolega, »znakomity estetyk ze swoim JW, przyjacielom, Konstantym Świdzińskim, obsedował nieustannie władzę tyżsamienną skargami na moją publikacyę, nawet z rąk prawie cenzora wyrwał przepuszczone już przez niego artykuły, tłómaczył je na rosyjski język po swojemu t. j. po jezucicku...«<sup>2)</sup> Starania grupy Grabowskiego odniosły też rzeczywiste skutki, gdyż w końcu listopada 1850 r. »Gwiazdę« zawieszono.

Co się tyczy działalności literackiej Grabowskiego — to była ona w tych czasach dosyć ożywiona. Należą tu liczne artykuły, zamieszczone w »Tyg. petersb.«, w »Rusalcu«, wydawanej przez Aleksandra Grozę, wreszcie w »Athenaeum«, wychodzącem w Wilnie pod redakcyą Kraszewskiego. W jednym z nich, a mianowicie w recenzyi z powieści Kraszewskiego »Poeta i świat« ujawnił Grabowski głębsze strony swych poglądów katolickich, którymi niemniej silnie był przejęty, jak konserwatywnym i skrajną ugodością. W tymże artykule znajdujemy również ciekawe oświetlenie dróg, jakimi szło pojęcie poety i poetyczności. Jest to niemal ostatni artykuł Grabow-

skiego, poruszający kwestye ogólniejsze, wykazujący pewną dążność do syntezy. Dalszy bowiem rozwój jego działalności krytycznej idzie w kierunku przeciwnym, a mianowicie drobiazgowej i szczegółowej, często pedantycznej analizy utworów, jakich dostarczała ówczesna literatura krajowa. Takim zbiorem analiz i roztrząsań jest wydana w r. 1842 w Wilnie, dwutomowa »Korespondencya literacka«. Powstała ona z rzeczywistej korespondencyi, jaką Grabowski prowadził z całą rzeszą literatów i poetów, którzy przysyłali mu swoje utwory do oceny, umawiali się doń po poradę w różnych kwestjach literackich i t. p. Omawia w nich autor cały szereg publikacyi, rozdzając na prawo i lewo pochwały i nagany, często bez należytego uzasadnienia, często budząc podziw swoim zachwytem nad dziełami, o których dzisiaj już nikt nie wie. Utworów literatury emigracyjnej omawiał mu nie było wolno; jest jednak rzeczą dziwną i znamienną, że utwory te, które niewątpliwie znać musiał, (wspomina raz o »Nieboskiej Komedyi«) nie pozostawiły na nim jakiegos trwałszego śladu, nie skłoniły do zastosoowania w metodzie krytycznej jakichś szerszych i głębszych kryteriów. Z tego niema ani śladu w tej »Korespondencyi«; niewątpliwie zaś czytanie, spora doza zdrowego rozsądku, pewne ciekawe nawet pomysły i błyski myślowe — giną w coraz bardziej przytłaczającej wszystko gadatliwości, w dosć płytkim utylitarystycznym oraz bardzo nieokreślonych i mglistych kanonach estetycznych.

Równocześnie zajmował się Grabowski w dalszym ciągu dziedziną, która interesowała go już dawno, a mianowicie poezją ludową. Artykuł jego w tej kwestyi umieszczony w »Rubonie« z r. 1845 p. t. »O gminnych ukraińskich podaniach« świadczy, że Grabowski rozumiał dobrze i zdawał sobie sprawę z wartości poezyi ludowej, nawoływał jednak zupełnie słusznie do krytyczności i jakiegoś systemu w zbieraniu pieśni i podań ludowych. Głos ten był bardzo na czasie, zwłaszcza wtedy, gdy już odczuwał się dawno pewne przesycenie »poezyą gminną« i bezkrytyczny zachwytność nad wszystkim, »układanie na wysokich szczytach nawet rzeczy zupełnie maledkich«. Chcąc takiemu stanowi rzeczy zaradzić, podał Grabowski sam w pomienionym artykule parę szczegółów poezyi ludowej ze zbiorów własnych i cudzych, dając równocześnie przykład metody zbierania i kolekcjonowania. W tym samym celu podjął obszerniejsze wydawnictwo p. t. »Ukraina dawna i teraźniejsza«, Kijów, 1850.

Wśród tyłu różnorodnych zajęć znajdował Grabowski jeszcze dosyć czasu na zajęcie się sztuką polską i dosyć fantazyi na pisanie obzernych powieści. W r. 1849 wychodzą w Warszawie jego »Artykuły literackie, krytyczne, artystyczne« jako dalszy ciąg »Literatury i krytyki« oraz »Korespondencyi literackiej«. Pisane również w formie listów, są to poprostu — jak powiada autor w przedmowie — ślady myśli i praktycznych starań, czy też sztuka nie potrafi się u nas rozwinąć«. W szeregu listów zastanawia się Grabowski nad tą kwestyą, rozbieając twórczość współczesnych ma-

<sup>1)</sup> Cyt. w rozprawie M. Rollego: »Żywoit polityczny Michała Grabowskiego«. Przewodnik nauk, t. II, 1908, str. 704.

<sup>2)</sup> P. Czmielowski: »Z dzieł, postępu i reakcyi u nas«. »Prawda« książka zbiorowa dla uczczenia A. Świętochowskiego, Lwów 1899, str. 97.

larzy polskich (głównie Suchodolskiego i Smokowskiego) i podając rozmaite projekty dźwignięcia sztuki polskiej oraz dostarczenia pomocy materyjalnej artystom polskim.

Pisaniem powieści przeplatał sobie Grabowski działalność literacko publicystyczną. Marzeniem jego było dać literaturze polskiej powieść na wzór Walter-Scotta — jego też naśladuje stale i wytrwale w swych płodach belletrystycznych. Już w r. 1838 wychodzi pierwsza jego powieść (pod pseudonimem Edwarda Tarszy) p. t. Koliszczyzna i stępy. Zachęcony powodzeniem, wydaje w dwa lata później 5 tomową »Stannicę hulajpolską«, dalej »Tajkury«, »Pan starosta Zakrzewski«, »Pan starosta Kanowski« i inne drobniejsze. Największym powodzeniem cieszyła się »Stannica hulajpolska«, w której autor na te przyrody ukraińskiej, zwyczajów, obyczajów i przesądów ludu ukraińskiego, oraz stosunku Polaków do Kozaczyzny, skreślił dzieje romantyczne Jerzego Mogiłańskiego. Wkładał autor i w tą i w inną powieści cały zasób swej wiedzy historyczno-archeologicznej, starał się o bardzo szczegółowe malowanie tła i kolorytu lokalnego, przeplatał opowiadanie legendami i podaniami. Tym sposobem chciał zbliżyć się do Walter-Scottowskiej metody odtwarzania rzeczywistości historycznej. W postaciach jednak i charakterach jego powieści, jak również w przeprowadzaniu akcyj znać zasadniczy brak fantazy i intuicji twórczej: są to wszystkie figury konwencyonalne, bez życia indywidualnego i bez ruchu. Gadatliwość i rozlekleńść Grabowskiego święcą tu triumfy. Obszerne epizody, wtrącone w bieg akcji, bez żadnego z nią związku — świadczą o bardzo słabym myśleniu kompozycyjnym. Trudno wobec tego nie zgodzić się z opinią Tyszyńskiego, że Grabowski »poświęcenia powieściowego« nie miał. Trudno przyznać im nawet jakiegoś znaczenia historyczne — bo wszak równocześnie tworzyli na polu powieściopisarstwa Kraszewski i Rzewulski. Pomimo zerwania stosunków z Tygodnikiem petersburskim (nieporozumienia z nim datowały się już od r. 1842) nie zaprzestaje Grabowski swej pracy recenziyjno-sprawozdawczej. Artykuły jego zjawiają się obecnie w latach 1851—1860 bądź w założonym i redagowanym przez Rzewulskiego »Dzienniku Warszawskim«, bądź w konkurującej z nim »Gazecie codziennej«, a również w »Nowinach lwowskich i w »Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych«. Utrzymane w stylu i metodzie »Korespondency literackiej« nie przynoszą już nic, co by mogło rzucić nowe światło na działalność krytyczną Grabowskiego.

O ile jednak w tej dziedzinie trwał na raz obranem stanowisku, o tyle w jego poglądach politycznych dostrzedz można pewną, nie zasadniczą zresztą zmianę. Dopiero teraz zrozumiał, że się w swoich poglądach politycznych co najmniej grubo mylił. »Ze smutkiem i żalem [za] trudną, ale możliwą, widzę teraz nieprzezwyciężone przeszkody i niepodobniostwa, dlatego żadnej z tego nie robię tajemnicy, a jeżeli

doświadczenie może być dla kogo przestroga, nie sądzę, że opłacane to będzie za drogo zawodami i upokorzeniami całego mojego życia«.

Wśród tych upokorzeń, najśmieszniejszym było chyba upokorzenie, wywołane owym słynnym listem do Pisarewa. I tutaj przyznaje się Grabowski szczerze do popełnionego błędu. »Co do wytłumaczenia mego postępu — pisze w r. 1860 do Strutyńskiego — sądzę, że go może wytłumaczyć całe życie... Jeżeli w ciąglem zaprzęgnięciu raz sobie poradzilem głupio, to niech mi to przeczeka«.

Częściowa ta zmiana przekonań politycznych, tycząca się głównie stosunku do rządu, przypada już na początek panowania Aleksandra II, kiedy to Grabowski osiadł w Kijowie, zawierając stosunki z Małorasinami i starał się przeciwdziałać ich rosnącej niechęci ku Polsce. Niebardzo mu się to jednak udało, a to z powodu zupełnej utraty popularności wśród młodzieży ukraińskiej i polskiej. Niezrażony tem, krząta się Grabowski około założenia Towarzystwa rolniczego i Towarzystwa kredytowego ziemskiego; doprowadza wreszcie do skutku stworzenia Komisji archeologicznej, której kustosem zostaje Krechowicki. Dzięki tej wytyczonej i zapobiegliwej pracy odzyskuje powoli dawne poważanie między obywatelstwem, które wybiera go na dyrektora Kijowskiego banku handlowego.

Tymczasem weszła na porządek dzienny kwestya uwłaszczenia włościan. Grabowski, trzeźwo obecnie patrzący na politykę rządu, a stale stojący na stanowisku zachowawczem, uważa projekty uwłaszczenia za rewolucyjną, z którą walka byłaby daremna; jedyny ratunek widzi w indemnizacyi przy pomocy banków włościańskich, przez które szlachta wzięłaby »w swoje ręce sterownictwo wszystkich wewnętrznych krajowych interesów«. O zmienionem, opozycyjnem stanowisku wobec rządu świadczy również wszczęta przez Grabowskiego polemika przeciwko polityce elasterycznej na Rusi, której dał wyraz w artykule, umieszczonym w piśmie moskiewskim »Parus« (Krechowicki l. c. str. 46), i w napisanej po francusku, przesłanej ks. Czartoryskiemu a nieogłoszonej drukiem odpowiedzi na artykuł niejakiego Józefowicza, umieszczony w dzienniku »Le Nord«, a występujący przeciwko »uroszczeniu« polskim na Rusi.

W r. 1862 powołał go Wielopolski z Petersburga, gdzie bawił w sprawie zatwierdzenia Tow. rolniczego i kredytowego, do Warszawy, na urzędnika w Komisyi oświeceniowej i wyznad religijnych. W r. 1863, po śmierci Korzeniowskiego, został Grabowski dyrektorem tej Komisyi. Umarł 19 listopada 1863 r.

Z wielostronnej spuścizny literackiej Grabowskiego wartość trwała posiadać będą chyba tylko jego pisma krytyczne z epoki 1825—1837. Już w pierwszych swych wystąpieniach, ujawnia Grabowski rzadkie zalety trzeźwego i zrównoważonego umysłu, znajomość literatury zachodnio-europejskiej w. XIX, przejęcie się poważnie nowym prądem romantycznym, co jednak nie przeszkadza mu poszczególnych jego objawów oceniać krytycznie i spokojnie, jak również



z wytrawnego i przemysłanego stanowiska historycznego przyznawać należne znaczenie przebrzmiałym już kierunkom w literaturze. Cechuje go ponadto w tej epoce widoczna i owocna dążność do syntetycznego ujmowania zjawisk literackich, uwytkliania ich na tle całokształtu stosunków społecznych, uzasadniania poszczególnych objawów twórczości obcej czy rodzimej, drogą związku ich z zagadnieniami filozoficznymi i moralnymi. Te zalety i dążności stawiają pierwsze prace Grabowskiego godnie obok współcześnie ogłaszanych artykułów Mochnickiego i dzielnie im sekundują w torowaniu drogi nowym pojęciom twórczości i krytyki. Pragnął Grabowski niewątpliwie, tak samo jak Mochnicki, stać się świadomością ruchu romantycznego, ukazać mu własne jego oblicze, a może nawet wpłynąć na kierunek jego rozwoju; to też tłumaczy jego genę i konieczność pojawienia się w danej epoce, analizował poszczególne jego objawy i cechy, wyjaśniał znaczenie i wartość dla kultury polskiej, opierając się w tym względzie głównie na rezultatach współczesnej mu filozofii i krytyki niemieckiej i francuskiej. Przystwoiwszy je sobie, starał się na ich podstawie dać własną teorię piękna i poezji w rozprawie »O poezji XIX w.« (zamieszczoną w I tomie »Literatury i Krytyki«) Zależność jego wywodów od twórców niemieckich i francuskich jest widoczna, czy są one jednak tylko »odbiem i przerobieniem części szczególnych z »Kursu literatury« Villemaine'a, dzieła Guizota o Cywilizacji i artykułów w »Edinburgh Review« — jak twierdzi bez przytoczenia dowodów Tyszyński<sup>1)</sup> — to pozostaje jeszcze do zbadania.

Pisząc stylem jasnym i przystępnym, jakkolwiek nierazwese poprawnym, nie przedadujące swych rozpraw zbytniem nagromadzeniem trudnych, skomplikowanych terminów i pojęć filozoficznych, mógł Grabowski łatwiej trafić do szerszych kół społeczeństwa, niż Mochnicki i oddawać tym sposobem wielkie usługi sprawie zrozumienia i odczucia poezji romantycznej. I tak się też działo, temu, między innymi, zawdzięcza Grabowski swą wielką popularność u współczesnych. Z wzrostem tej popularności jednak, w epoce od r. 1838 mniej więcej, zaczęła dokonywać się w jego poglądach ogólnych i metodzie krytycznej pewna ewolucja, polegająca na powolnem zanikaniu tych cech i dążności, które charakteryzowały jego działalność w pierwszym okresie, dochodzeniu natomiast do głosu właściwości i zamiarów odrębnych, pozostających z dawniejszymi w bardzo luźnym związku, a często nawet w sprzeczności. Z przyrodzenia chłodny i trzeźwy umysł Grabowskiego nie pozwalała mu na zrozumienie i odczucie literatury emigracyjnej, równie wrodzone skłonności zachowawcze bronią go od przejścia się ideami polityczno-społecznymi Emigracji; chłód zaczyna wyrażać się w obojętności, brak wrażliwości na przejawy tej drugiej epoki romantyzmu polskiego. Podstawy stanowiska

<sup>1)</sup> Rozbiory i sprawozdania, Petersburg 1854, t. III, str. 318.

historycznego, z którego dawniej tak słusznie oceniał prądy literackie, zaczynają się chwiać, a miejsce ich zajmują dość ciane orientacje moralizatorsko-utylitarne. Ujawnia się to bardzo dobitnie w obszernej rozprawie o »Literaturze szalonej«, w której Grabowski, przerażony przesadą i jaskrawością niektórych objawów literatury francuskiej współczesnej, potępia ją całą w zczambal — nie umiejąc w niej odróżnić wartości rzeczywistych i trwałych od nieistotnych i przemijających. Dążności syntetyczne i ambicie oparcia krytyki polskiej na dorobku filozofii zachodnio-europejskiej ustępują miejsca coraz bardziej rozwijającemu się zamiłowaniu do drobiazgowej, pedantycznej analizy i przystosowywania kryteriów krytycznych do rodzaju i zakresu ówczesnej literatury krajowej. Osobiste uprzedzenia i niechęci zaczynają wywierać wpływ widoczny na sądy krytyka, jak o tem świadczą, między innymi, zasadniczo zmieniony w tym czasie stosunek do Kraszewskiego i jego twórczości. Nawet styl i język Grabowskiego ulega niekorzystnej zmianie, staje się gawędziarskim, rozklekłym i bezbarwnym.

Na ten zasadniczy zwrot w działalności Grabowskiego złożyły się przyczyny różnorodne: zarówno niezbyt silny charakter, poddający się łatwo wpływom otoczenia (Rzewuski), jak pozbawienie towarzysztwa przyjaciół młodości, które działało nań pobudzająco, jak wreszcie okoliczności i warunki, wśród których wypadło mu kontynuować swą działalność krytyczno-literacką i polityczno-społeczną.

Co do jego poglądów politycznych, to nie należy oceniać ich zbyt surowo, mając na uwadze, że obłąd, któremu uległ Grabowski, był wówczas chorobą niemal ogólną, jakkolwiek przemijającą. Wychowanie jego i edukacja nie uczyniły nic albo bardzo mało, żeby go od niej uchronić, nie dziw więc, że jej uległ w stopniu silniejszym, niż inni. Cenił natomiast potrzeba szczerości, z jaką się wypowiadał i z jaką się potem do popełnionych błędów przyznawał. Nie również nie uprawnia do posądzenia go o złą wola lub chęć zrobienia kariery. W poglądach i działaniach społecznej opierał się Grabowski na zasadach konserwatyzmu i katolicyzmu. Sam szczerze religijny, umiał w uzasadnieniach potrzeby religii i jej znaczenia dla życia duchowego ludzkości, zdobywać na to akcenty głębsze, jak o tem świadczy kilka ustępów z zamieszczonej poniżej rozprawy o powieści Kraszewskiego »Poeta i świat«. Naogół jednak katolicyzm Grabowskiego nie ma w sobie nic z mistycyzmu i zachwycaenia, nie z apostołstwa czy reformatorstwa, jest dlań — jak sam powiada — »prawem a nie orężem«.

W pierwszej epoce swego życia związany ściśle z młodymi, wyruszącymi w bój przeciw klasycyzmowi, oddzielony od nich wybuchem powstania, pozostawiony, po upadku tegoż, w warunkach ciężkich i mogących zniechęcić zupełnie do jakiegokolwiek działalności — nie opuścił Grabowski rąk, ale jał się pracy na ziemi, opuszczonej przez najlepszych jej synów. Można się nie zgadzać z idealami i celami, jakie stawiał tej pracy Grabowski, można mieć wątpliwości co

do dróg, jakimi do nich zdążyć — nie można jednak zaprzeczyć, że pracował wszechstronnie, z wyteżeniem, wytrwale, niezrażony przeciwnościami i przeszkodami, cierpliwie znosząc dotkliwą przykrość, a nawet utratę wpływu i znaczenia wśród własnego społeczeństwa. Jeżeli w czasach po powstaniu listopadowym nie zamarto zupełnie życie du chowe i społeczne na ziemiach polskich, jeżeli wychodziły jakieś książki, drukowały się jakieś czasopisma, jeżeli nie ustał zupełnie ruch umysłowy i zainteresowanie się sprawami ogólniejszej natury, jeżeli powstawały nawet pewne instytucje o charakterze społecznym — to jest w tem wielka część zasług Michała Grabowskiego.

## BIBLIOGRAFIA.

I. a) Pisma krytyczne: »Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polsce.« (»Astrea« 1825). »Myśli o literaturze polskiej« (Tamże 1828). »O poezyi narodowej« (»Tygodnik petersburski« 1834, przedrukowane w »Literaturze i krytyce« t. I, str. 78—113). »Literatura i krytyka«, Tom I. Wilno 1837. T. II 1838. T. III i IV 1840 r. O »Mieszaniach obyczajowych« Jarosza Bejły. (»Tygodnik petersburski« 1841—1842). Tamże inne drobne artykuły. Artykuły w »Rusalcu« Al. Grozy (1838—1842) i w »Pielgrzymie« Ziemięckiej. »Świat i poeta« przez J. I. Kraszewskiego (»Athenaeum« 1841). »Korespondencya literacka«, 2 tomy, Wilno 1842—1843. »O gminnych ukraińskich podaniach« (»Rubon« 1845). »Do pana Aleksandra Grozy« (tamże). »Pamiętniki domowe«, Warszawa 1845 (obejmują Pamiętniki Wacława Borejki, Kazimierza Micowskiego i inne). Grabowski Michał, Prześdziecki Al. i Malinowski. »Źródła do dziejów polskich«. Tom I i II. Wilno 1843—1844. Grabowski Michał, Świdziński K. i Szoduar(?). »Pamiętniki«, Kijów, 1845. »Artykuły literackie, krytyczne i artystyczne«. Warszawa 1849. »Ukraina dawna i teraźniejsza«. Tom I. »O zabytkach najgłębszej starożytności«. Kijów, 1850. »Pamiętniki o literaturze polskiej« (»Dziennik warszawski« 1851). Tamże w latach 1851—1855 i inne artykuły. »Li sty o literaturze« (»Gazeta rodzinna« 1854 r. O Kaczkowskim, Ign. Chodźce i innych). Artykuły w »Kronice wiadomości krajowych i za granicznych« 1856—1860. »Graf Genrich Rzewuski« (po rosyjsku) Moskwa 1858. »Zamietki na statui: Otwet Polaka ruskim publiczistom po wprosu o Litwie i Zapadnych guberniach« (»Z Kijewskiego Telegrafu«) Kijew 1862.

b) Poezye: »Melodye ukraińskie« (»Dziennik warszawski« 1827).

c) Powieści (pod pseudonimem Edwarda Tarszy): »Koliszczyzna i stepy«, Wilno 1838 (toż p. t. »Opowiadania Kurennego«. Zytomierz 1860. Przekład czeski p. t. Koliština i stepi. Zpominki z dawného žiwota ukrajskeho. Praha 1851). »Stannica Hulajpolska« T. I.—V. Wilno

1840—1841. (Toż Kraków 1900—1901, nakładem »Nowej Reformy«). »Obłęzenie Plocka« (»Orędownik naukowy« poznański 1843). »Tajkury« T. I.—IV. Wilno 1845—1846. »Pan Starosta Zakrzewski« (»Pamiętnik umysłowy« 1845, Wilno i osobno Kijów 1860). — »Złotomierz« (»Dziennik warszawski 1851«). »Pan Starosta Kaniowski«, Warszawa 1856. »Zamieć w stepach«. Petersburg 1862. Poza tem urzynek powieściowy »Stypa« (»Rubon« 1843).

II. Prace o życiu i pismach Grabowskiego. J. Kreczowiecki: »Wiadomość o życiu i pismach M. G.« Kraków 1868. (Odbitka z »Czasu«). Anonim: »Kilka wspomnień biograficznych.« »Czas« 1866. Nr. 121 i n. Chmielowski: »G. M.« Wielka Encyklopedya powszechna ilustr. t. XXV. Tenże: »Dzieje krytyki literackiej«, Warszawa 1902. Tadeusz Grabowski: »M. G. jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne.« (Odbitka z »Prze glądu polskiego« 1900) Kraków 1901. (Tegoż art. o Grab. w »Albumie sławnych Polaków« t. II). M. Rolle: »Żywot polityczny M. G.« Przewodnik naukowy i lit. 1908. Wł. Jabłonowski: »Z korespondencyi M. G.« Tyg. ill. 1902. Nr. 41—44. Tyszyński: »Rozbiory i krytyki«, Petersburg 1854. T. III. (O »Stannicy Hulajpolskiej«). Tenże: »Dwa j ostatni krytycy w Polsce« (Tyg. Petersb. 1837. Przedruk w »Pismach krytycznych« t. I. Kraków-Petersburg 1904). Kraszewski: O »Literaturze i krytyce«, Tyg. petersb. 1839. Pośrednio o Grabowskim traktuje: Nebring: »Z młodych lat Bohdana Zaleskiego«, Bibl. warsz. 1887. Z. Wasilewski: »Narodzinny poety romantyka«, Ateneum 1895 (toż w książce »Od romantyków do Kasprowicza«, Lwów 1907). Tenże: »Między kolegami z Humanii«. Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza t. I. Warszawa 1899. Chmielowski: »Z dziejów postępu i reakcyi u nas.« »Prawda«. Książka zbiorowa dla uczczenia 25 letniej działalności A. Świętochowskiego, Lwów Petersburg 1899. Tenże: »Józef Ignacy Kraszewski«, Warszawa 1888. Tenże: Henryk Rzewuski (»Nasi powieściopisarze« Kraków 1887). Dr. Antoni J.: »J. I. Kraszewski i ks. St. Choloniewski«, Lwów 1878. Rawita-Gawroński: »Rok 1863 na Rusi«, Lwów 1903. Tretiak: »Bohdan Zaleski«, Kraków 1911. Ks. St. Choloniewski: »Obrazy z galeryi życia mego« Kraków 1890. Tąd. Bobrowski i Pamiętniki Lwów 1900 (t. II-gi).

III. Listy Grabowskiego: a) do A. Grabianki (»Kronika rodzinną« 1884), b) do G. Puzynina (Tamże 1891), c) do B. Zaleskiego (Tyg. ilustr. 1890 i w dziele Tretiaika o Zaleskim), d) do Kirkora (Księga pamiątkowa Mick. t. I), e) do Ziemięckiej (w artykule Chmielowski »Z dziejów Pielgrzymy« — »Charitas« 1894). Poza tem znajdują się wyjątki z listów G. w wyżej wymienionych rozprawach Wł. Jabłonowskiego, M. Rollego, i Wł. Nebringa.

### A) Myśli o literaturze polskiej.

(Dziennik warszawski, maj 1828 r. Nr. 36, str. 107—161).

Jest to pierwsza na większą skalę zakrojona praca Grabowskiego, poświęcona ogólnemu przeglądowi literatury europejskiej i polskiej, oraz najważniejszym zagadnieniom twórczości i krytyki. Stoł tu Grabowski zupełnie na stanowisku nowoczesnym, skodyfikowanym przez panią de Staël, Herdera i Schlegliów. Zaczyna od skarg, że krytyka u nas nie zdążyła za postępem literatury, coraz piękniej rozwijającej się («Grażyna», «Dziady», «Maryja», «Sonety Krymskie»). Stąd chaos, brak stanowisk i zasad, fałszywe zdania, krążące o literaturze nowszej, o «romantyzmie». Dalej zwraca uwagę na wielki przełom, jaki dokonał się w literaturze europejskiej. «Poeta-fantasmagoryk Goethe, poeta-filozof Schiller — powiada — ..dowiodli, że każdy wiek ma swoją poezję, wynikającą z ducha czasu». Zaznacza również wielką doniosłość prac p. de Staël, Simond'ŕego i W. A. Schlegla, który «dał teorię romantyczną». Takie samo zadanie mają Polacy wobec swojej literatury. «Cheemy, aby nasi nowi poeci mówili nam w duchu narodowym o dziejach domowych, o uczuciach jeszcze żywych w sercach i pojęciach przyrodniczych» (str. 111). Wielkie nadzieje pokłada w kursie literatury Brodzińskiego i w «pełnych zalety piśmiach» Borowskiego.

Poniżej przytoczamy dwa wyjatki z tego artykułu, w których podane jest niejako wyznaczenie wlyr literackiej Grabowskiego, jego poglądy na poezję jako twórczość, kreację, a nie naśladowanie natury, na krytykę, klasycyzm, jego zasługi i braki, wreszcie na niebezpieczeństwa, grożące romantyzmowi polskiemu.

#### II. Myśli estetyczne. Widok historyi literatury.

**838)** Str. 127—132. W naturze, gdzie się wszystko stopniuje, wszystko wiąże, gdzie łańcuch stworzeń; od mniej doskonałego do coraz doskonalszego postępuje, — człowiek kończy ten zadziwiający porządek. Doskonałością składu organów, pięknnością, zupełnością, on trzyma pierwsze w naturze fizycznej miejsce; lecz duszą swoją on zupełnie do niej nie należy. On ma pojęcia, same potrzeby, które zdradzają wyższe pochodzenie, wskazują inne przeznaczenie jego. Tą częścią swojej istności on żyje w świecie niematerialnym. Tak, obywatel dwóch światów, do obydwóch dwiema różnymi częściami swej należącej natury, co przyjmuje w jednym, wykonywa w drugim.

Człowiek na tej ziemi, gdzie się zagadka jego istnienia nie rozstrzyga, czuje nieraz nadmiar życia, przepelnienie uczuć bez-

celnych; żądze jego są olbrzymie w porównaniu z małością celów i ze sposobami ich osiągnięcia: miłość, entuzjazm, tkliwość, tęsknota, rodzą się nieprzygotowane w jego łonie i budzą w niem drżenia tem żywsze, im mniej zrozumiane. On chce przelać nadmiar wrażeń, które odbiera; dusza jego szuka, co by mogło jej odpowiedzieć, i nie znajduje nic, co by było tutaj jednej z nią natury. Przedmioty jej sympatyj są w innym świecie, z którego i ona pochodzi; więc się zwraca, zagłębia sama w sobie, chce znaleźć w kontemplacji własnych wrażeń ideał, którego w materialnym nie było świecie; — i tak w tem uczuciu niezaspokojonych dotąd życzeń już się odkrywa i źródło i potrzeba sztuk pięknych.

Lecz też dusza człowieka, która uczuła tę żądzę, tę potrzebę sympatyzowania z istotami jedneje z sobą natury, uczuwa nareszcie, iż ona może im zadość uczynić. W niej jest coś, co mówi: iż ona wrażenia swoje tajemne może wy dobyć z łona i do zewnętrznej natury przenieść; że jej myśl może także kształt oblec; że w niej jest część tej siły twórczej, która świat ten wyprowadziła z niczego; że może także pomysł duchowny zamknąć w dotykalne formy i utworzyć świat swój, gdzie wszystko tylko będzie dla niej i jej celem żyło, jej uczuciami sympatyzowało, jej wyrażało pojęcia. Tak, lecz ciemno, objawia się pierwsza siła inspiracyi; tak się wykrywa siła twórcza geniuszu artysty.

Już człowiek uczuł w sobie wzruszenie poezyi i siłę inspiracyi, lecz jakże ją wyda? On wstępuje w krąg natury fizycznej, której jest także obywatelem; i to, co pojął niematerialnie, wydaje przez emblematy materialnej natury. On zawiera w sobie dwa principia i utwór jego także musi zdradzać dwa początki. To, co było w jego duszy, on wydał na wierzch, i podobne wzruszenia obudził w sercach współczujących (liryk); lub z form zewnętrznej natury, która oczy jego uderza, utworzył nową kombinację podług ideału swej duszy, gdzie wszystko także żyje, sympatyzuje, lub się nawzajem odpycha (poeta epiczny). I oto już powstał kunsztmistrz, a stosownie do tego, rzeźbiarz, malarz lub muzyk.

W łańcuchu wszystkich sztuk pięknych poezja trzyma



pierwsze miejsce. Ona bowiem najbliżej stanęła swego początku, najczęściej oddała swą inspirację; ideał jej jest najrozsądliwszy, siła twórcza najobfitsza. Kiedy inne sztuki piękne musiały ograniczyć zakres swych działań, państwo poezji zostało zawsze jak myśl ludzka rozległe. Poeta mógł swoje umysłowe kreacje ożywić kolorem, podnieść harmonią, obdarzyć mową, ruchem, całem życiem namiętności. Świat, który on tworzył, mógł być niemniej żyjący i rozmaity, jak ten, z którego brał pojedyncze kształty i idealną całość. Ideał jego tworzył się skończony w jego duszy; dosyć mu było wydnieść go stamtąd w czystości, żeby osiągnął szczytu sztuki. Kiedy pierwszy człowiek otworzył oczy ze snu nicości i ujrzał około siebie cuda natury, a wszedłszy w siebie, zadumał się nad istnością swoją, której nie pojmował początku ni celu, — ten podziw, ta religijna twoga, ta niewiadomość, której nie zaspokoić nie mogło, był pierwszym uczuciem poezji; lecz kiedy, otworzywszy usta, nazwał słońce, rzeki i drzewa, każde swoim imieniem, — te słowa były najdoskonalszą poezją. Kiedy jeden z pisarzy tegoczesnych chciał wydać gorzkie przesycone wiadomości ludzkich, i ten stan umysłu objawił mu się w kształtach dziwnych, rozmaitych, a jednak harmonizujących z sobą, w obrazach sprzecznych nieba i ziemi, cnoty i występku, wiadomości i zabobonów, w sercach wzniosłych i gminnych, w malowidłach fantasmagorycznych i codziennych, powiązanych z sobą tylko jedną i smutną myślą, bujającą nad całym tym różnorodnym chaosem: — świat ujrzał jedną z największych kreacji poetycznych: Fausta Goetego. Tak w najdalszych od siebie epokach historii człowieka tworzenie się ideału jest też same. W kilku słowach, jak w całym utworze, gdzie wszystkie części odpowiadają sobie, zarówno silnie może się piętnować uczucie piękności, pojęte w głębi duszy, wydane w formach zewnętrznej natury; w jednym jak w drugim razie widzimy skończoność i doskonałość; w jednym jak w drugim razie zarówno się dziwny najwężniejszy fenomenowi umysłowej historii człowieka: nieśmiertelnej duszy ludzkiej, upłodnionej tworzącą siłą geniuszu.

Tak więc, poeta nie naśladował materialnej natury, on tylko przez jej zmysłowe symbole intelektualne swoje pojęcia wy-

raża; on jej nie naśladowuje, bo wzory jego kreacji są tylko w jego duszy; lecz, przywiązany do ziemi częścią fizyczną swojej istności, on musi na niej szukać znanych kształtów, które imby odziane jego myśli mogły innym komunikować wrażenia według jego intencji. Dlatego też, kiedy inne sztuki piękne mogą mieć formy stałe i niezmiennie, poezya ich mieć nie może, nie odstąpiwszy zupełnie od swego źródła, inspiracji swobodnej. Bo lubo jej ideał zostaje zawsze jeden i ten samy; jednakże głównym środkiem jej sił praktycznych będąc myśl ciągle się kształcąca, zapatrywanie się na naturę tak różne z różnych punktów towarzyskiego ukształcenia, formy poufale poecie, któremi swoje kreacje odziewa, ona musi być wolną i nieuległą żadnym jednostronnym prawidłom w wybieraniu sposobów, któremi mówi do imaginacji i uczucia, ona musi postępować razem ze stopniem oświecenia, kształceniem się charakterów, całym bytem ludów, u których powstaje, przebywa wszystkie epoki towarzyskiej cywilizacji, przybiera wszystkie barwy miejscowości, i zostając zawsze jedna w swoim początku — w wydaniu swego ideału może ulegać tylu odmianom, ile jest modyfikacji myśli, tyle przybierać kształtów, ile może być form, poufale poecie. Tą uwagą objaśnia się cała historia literatury narodów.

Następnie daje Grabowski charakterystykę poezji wschodniej, hebrajskiej, greckiej, rzymskiej i średniowiecznej, przychem Nibelungi nazywa „poematem romantycznym” a Szekspira określa jako pisarza, „któremu się natura w poufale objawiała jako ulubieniec swemu pojmować dawała” (str. 142). Przegląd poezji polskiej jest dość powierzchowny i chaotyczny. Charakterystyka literatury pseudoklasycznej zawiera taki znamieny ustęp: „To skierowanie (literatury) jakkolwiek mało sprzyjało rozwinięciu się sztuki, z drugiej strony było pomysłem dla ogólnego postępu myśli; i trzeba powiedzieć, iż tylko tym szczęblem mogliśmy się wznieść na to stanowisko, na którym dzisiaj jesteśmy”. W rezultacie widzi Grabowski w historii literatury dwa wielkie działy: literatury starożytnej i literatury nowej chrześcijańskiej Europy. W tych ostatnich trzy następne po sobie epoki: literatury romantycznej, w obyczajach, wyobrażeniach każdego i wspólnej cywilizacji chrześcijańskiej początek biorące, do końca XVI w.; literatury XVII i XVII wieku nowożytnego, klasyczne, towarzyskie, naśladownicze; nakoniec nową literaturę XIX wieku” (str. 151).

**839)** *Str. 152—161.* Teorya wyjaśnia i historya sztuki wspiera: iż poeta nigdzie nie kwitnie zdrowa i samotwórcza, nie będąc hodowaną na gruncie codziennych uczuć, wspomnień i wyobrażeń, nie harmonizując z ogółem bytu narodowego, nie żywna swobodną inspiracją; zostawmy więc jej wolne ruchy, nie narzucajmy jej systematów według upodobania, ona sama wynajdzie ton, który jej przystoi, i sprężyny, które właśnie będzie czas i miejsce poruszyć: to się nazywa poezją wieku.

Klasyfikowanie i prawidła tej tak nazywanej sztuki poetycznej zostawmy tym, którzy (w tym wieku, gdzie się tyle dróg otwarło poszukiwaniom i ciekawości człowieka) mają jeszcze czas do tracenia na dystynkcyach szkolnych, — tym nareszcie, którym mechanizm sztuki może się zdać na co; pedanckie przyjęcie nie powinno spotykać plody sztuk pięknych w obiegu towarzyskim. Nie mając innego zamiaru, jak nasłuchać się utworami sztuki, przyjmujmyż jej dary w sposób liberalniejszy. Radźmy się tylko uczucia i wrażenia, które odbieramy w sądzie, jaki o nich dać mamy. Mniej dbali o niewczesne teraz wyroki szkoły, to co będzie mówić do serca, co potraci strunę szlachetną i wielką duszy, bez wabania się miejmy za dobre i piękne; i nie omylimy się: bo przeznaczenie sztuk pięknych jest właśnie mówić do serca, rozwijać i ćwiczyć władze i pojęcia duszy. Jakiegokolwiek kształty oblecze sztuka, jeżeli jej przewodnikiem będzie geniusz, przyjmujmy ją jako niebieskiego gościa, który nam niesie orzeźwienie i ochłodę, część woni i światła swojej wysokiej sfery w nasze niskie, powszednie życie.

Falszywy smak wierszopisarstwa, z którego się ledwie otrząsamy, i gdzie wszystko prawie było w oderwanych sentencyach i antytezach, wraził nam złe przyzwyczajenie: i teraz jeszcze, mówiąc o plodach nowych naszych poetów, wybieramy z nich pojedyncze miejsca, i te, bez względu na całość, ganimy lub chwalamy, żalimy się na jakies nierówność lub gniewamy, że niektóre szczegóły nie są tak oddane, jak być powinny. Takowy sąd o sztukach pięknych jest zupełnie błędny i niesprawiedliwy. Zalety lub wady szczegółów w kompozycyi są bardzo względne, one zależą od tego, jak harmoni-

zują z całością; dlatego ganić je lub chwalić oderwane jest za równo niesłusznie. Poezja jest kreacyą. Szukajmy więc w niej tej pierwszej myśli, tego zarodu inspiracyi, którego cała kompozycja jest tylko rozwinięciem: poeta, tworząc swoje dzieło, ma ideał swojej kreacyi w duszy; wtedy on odżywia je kolorytem i formami według swojej intencji; do tej pierwszej myśli, nie do czyichś dowolnych żądań, ma stosować wszystkie części obrazu. Co na pierwszy rzut oka w całości lub częściach może się komu wydać nierównością i dysharmonią, bywa nieraz koniecznem do nadania utworowi kształtów, w jakich go chciał widzieć poeta. Choć myśli, iż *Dziady* Mickiewicza mógłby według innego przetworzyć planu, lub z *Maryi* Malczewskiego jedno poodtrącać, drugie przerobić miejsca, a przez to i *Dziady* i *Maryę* zrobić lepszymi, — daje dowód, iż nie rozumie, co to jest poezya, piętno pierwotne kreacyi, co to jest indywidualność utworów sztuki. Poznać błąd tej częściowej krytyki jest bardzo ważnem dla chodu naszej literatury. Zróbmy krok w tem jeszcze: przestaśmy uważać poezję jako zbiór sentencyi, wnieśmy się do rozumienia ogółu, do pojmnowania całości kompozycyi: wtedy sztuka z swoim posagiem różnaitości, życia i prawdy, odkryje wdzięki, da uciechy i nasłodzenia, których się, trwając w tym guście deklamacyi i tirad, ani domyślamy teraz.

Historya poezyi (nawet tak, jakęśmy jej ciąg przejrżeli), pokazuje nam, iż jedyną epoką, którąby nazwać można klasyczną, był wiek poezyi greckiej, a romantyczną tej poezyi, która kwitnęła w średnich wiekach Europy. Teraz więc nazwiska klasycznosci i romantycznosci używane są mylnie, i z takowego mylnego zastosowania mylniejsze jeszcze wynikają skutki.

Myślić, jak to u nas w niektórych utrzymywano pismach, iż nowa poezya bierze początek w obudzonych wspomnieniach i cofnięciu się ku przeszłości, wiekom rycerskim i feudalizmowi, jest rzeczą fałszywą. Kilka przykładów uwiodło w to rozumienie opaczne; lecz jest to brać szczegółowe zdarzenia za cały systemat, którego niema. Pocić niemieccy, zastawszy swoją literaturę leniwo zdążającą za cudzemi wzorami, upadli i martwą, uczuli, że jej potrzeba bujniejszego zarodu życia, niż to jałowe naśladownictwo, którem się dotąd żywila. Tego zarodu

szukali w zabytkach dawnych narodowych poezyi i wspomnieniach wieków rycerskich, które były przeszlnością ich historyi: oni zrobili to samo, co u nas J. B. Zaleski, który tony dum ukraińskich, kolory pieśni słowiańskich i figury krajowych dziejów zaczął przyswajać naszej poezyi. Tak Goethe pisał swego Gottfreda z Berlichingenu; Herder puszczal w obieg (*rendait populaires*) swoje ballady, a te nie były tam przywożone, tak jak u nas, one były oddawna znajome, jako gminne poemata niemieckiego ludu; i poezya oblekała wyłączną fizyognomię i charakter, które i musiały mieć w sobie coś feudalnego i gotyckiego, piętno ich rodu i historyi. Te rodzinne, czyste źródło orzeźwiło literaturę niemiecką, że odtąd bujna i zdrowa, mogła się rozwijać swobodnie i osiągnąć to wysokie stanowisko, które teraz zajmuje. Dziś już sami poeci niemieccy, lubo istotnie winni rewolucję swojej literatury balladom i wspomnieniom wieków feudalności, dalecy są jednak mniemać, iż poezya, którą romantyczną nazywają, nie powinna za te szranki wychodzić. Piętno nowej poezyi nie jest w jej przedmiocie, ono jest raczej w sposobie uważania tego przedmiotu. Nam więc dzisiaj szukać romantyczności w naśladowaniu mniejsocowych uczuć niemieckiej literatury, w poniewolnem nakręcaniu do naszych obyczajów obcych nam zwyczajów feudalnych, w tem nawodnieniu ballad, jest naprzód rzeczą niewczesną, potem błędem. Mickiewicz to uczuł i porzucił swoje ballady<sup>1)</sup>, jakkolwiek ich powodzenie mogło go z prawdziwej zbić drogi. Z przykładu Niemców uczmy się tylko hodować poezję na własnym gruncie, jeżeli chcemy, żeby stała i swobodnie zakwitła. My mamy także przeszłość i wspomnienia, które dla nas będą tem, czem jest dla Niemców rząd feudalny i instytucje kawalerskie. Zresztą nie mieszajmy koniecznie romantyczności z wyobrażeniami jakiegos gotycyzmu. Naszym poetom nie cofać się do nieoświecenia dawnych wieków, im raczej trzeba wszystkie usiłowaniałożyć, żeby się wzniesić i utrzymać na wysokiem stanowisku dzisiejszem. Te czasy i kształty tylko do nich należą, jak i cała puścizna prze-

<sup>1)</sup> My możemy mieć także rodzaj poezyi gminnej, który odpowie za granicznym balladom, o czem w dalszym ciągu tych uwag powiemy, te bowiem, które mamy, zbyt tracą cudzoziemczyna, aby się mogły unarodowić. Legendy już są lepsze. (Przyp. Aut.)

szłości jest własnością myśli każdego oświeconego człowieka. Tego nie można dosyć powtarzać: Poezya, jakiej potrzebujemy, poezya, którą romantyczną nazywamy, jest wynikiłością kultury Europy w dzisiejszym stanie, bez względu, co dało pierwszy popęd zdeklarowaniu się nowej reformy literatur. Childe-Harold Bajrona, liryczne poezye Szillera, Dziady Mickiewicza, nie mają w sobie nic gotyckiego, a jednak są arcydziełami nowej poezyi.

Klasycy w podobny błąd wpadają, każąc swoje wywie-trzałe teorye, lecz w nierównie więcej obrażając jakąś niesprawiedliwą i niczem nieusprawiedliwioną dumą i zarozumiałością. Z tytu [sic!] naśladować naśladowniczą literaturę francuską nie daje żadnego prawa pogardzać usiłowaniami (jakieby te nie były) młodych pisarzy, którzy chcą dać narodowej poezyi byt własny i niepożyczany. Zresztą, co to jest być teraz właściwie klasykiem? prawdziwie nie rozumiem! Pojmujemy, iż formy greckie mogą się podobać, iż poeta może lubić wskrzesić te formy skulpturyczne, piękne swoją harmonijną całością i starożytną prostotą. Tak pojmował je Goethe, kiedy nam dał jedyny może utwór klasyczny w nowej Europie Ifigenią w Taurydzie. Nasi klasycy niech nam podobną zrobią przysługę. W tym wieku tolerancyi gustów, owszem, kiedy wszystkie rozrody płodów umysłu ludzkiego zyskały równe prawo do uwagi i powszechnego interesu, my ciekaw będziemy widzieć między nami wskrzeszony duch starożytnej sztuki, i te formy proste i wspianiale poezyi Homera i Sofoklesa; lecz jeżeli zamiast tego oni będą nam tylko dawać, jak dotąd, swoje z drugiej ręki pseudo-klasyczne kompozycye, cały duch sztuki zakładać na zachowaniu jakichś dowolnych prawideł, i z namysłu prawie ociągając się za postępem wieku<sup>1)</sup>, to nie zwodźmy się nazwiskiem kla-

<sup>1)</sup> Jeden z takowych naszych klasyków nie wahał się powiedzieć na publicznej prelekcji, że takie tragedye, jak Szillera, może każdy student napisać. Na to nie potrzeba komentarza. Jest między śmiesznościami natury ludzkiej, że o niczem tak chętnie nie mówimy z pogardą, jak o tem, czego nie rozumiemy. — Drugi znova z tych wielkich (swojem własnem zdaniem) pisarzy, oświadczył jeszcze wyraźniej swój wstręt ku wszelkim postępom wieku i sztuki. Mówiąc, iż on się przechwalał, że od czasu, kiedy w szkołach uczul się zdolnym rozumieć Horacyusza, już nie otwiera żąd-



syków, które przybierają: to nie są klasycy, to są tylko źli poeci.

Te ostatnie myśli resumuję. Nową, taką, jak się już zdeklarowała, poezję zakładamy jedynie w jej duchu i wysokości inspiracji; na formy, które przybiera, obojętni być możemy. Goethe, prawdziwy Proteusz poezji, tą różnorodnością kształtów, pod którymi objawia swój nieporównany geniusz, dobrze tłumaczy swoją pogardę i małą wagę, którą potrzeba przywiązywać do zewnętrznych form sztuki.

Nie zwiędzeni pretensjami klasyków, nie bierzmy z innej strony mylnego kierunku, który nam nazwisko romantyczności dać może.

To nazwisko dane teraz nowej szkole jest błędne; lepiej by było zupełnie go zaniechać. Mając Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, mamy już nową szkołę w rzeczy (*de fait*); o nazwisko mniej być możemy troskliwi. Nigdy poezya w wieku, w którym kwitnęła, nie miała wyłącznego nazwiska. Poezję grecką Homera, Eschyla i Sofoklesa nie nazywali spóźniejsi klasyczną, ani poezję Szekspira i Calderona romantyczną, choć

tego społecznego obcego ani narodowego poety, bojąc się, żeby sobie nie popsuł i nie skaził smaku. To zdanie byłoby tylko zabawne, gdyby nie ukazywało zdala ułożonego całego systemu przesądów literackich. Jaki? Dzisiaj, kiedy ktokolwiek raz tylko z oka spuścił chód i postep wyobrażeń, już zaraz, po kilku latach, mógł się zobaczyć bardzo w tyle stanowiska wieku, — dzisiaj ten klasyk chce nam narzucić swoje pomysły, które niedożyły od czasu szkół? Jaki? z temż-to opóźnieniem Innego świata wyobrażeniami on myśli osiągnąć wpływ, który w rzeczy samej powinien mieć poeta nad swoimi współczesnymi? Wiek jest na górze, on jest na dole, i chce on, aby wszystko tylko krążyło około jego nieruchomego stanowiska? Na szczęście wiek nie daje się zatrzymać złowrożeńi klasyków z takowego chędną prognostykami; i może się zabawnie zdziwić, że kiedy właśnie ukończą doskonałe i oczyszczać smak, głazdź i poprawić przez trzy razy dziesięć lat swoje klasyczne utwory, wtedy wiek już będzie tak daleko, że im nie zostawi ani jednego czytelnika dla tych aredyńskich smaku. My notujemy takowe zdania, jak ciekawe pomniki obłędu w jaki fanatyzm systematu może wprowadzić. — Dwa zacytowane przykłady dają tego dotykalnie wyobrażenie. Dodajmy jeszcze do nich to uroczyste odesłanie do Laharpa o nawrończeniu barbarzyńców, któreśmy w N. 1 Biblioteki polskiej na rok 1825 z powinnem przerażeniem (!) czytali. (*Przyp. Aut.*)

te nazwiska jedynie tym epokom należą. Historia literatury sama tylko jest w prawie odróżniać nazwaniami różne od siebie sztuki, bo ma cały jej bieg przed sobą. Późniejszy wiek, stosując, co było wprzód, z tem, co było potem, da dopiero wierne nazwisko naszej poezji, którą my możemy przestać na nazwaniu nową, XIX wieku poezją. Zresztą lepiej się z tem nie śpieszyć, niżeli dawać nazwiska niewłaściwe i wprowadzające (jak się to już po części stało) w mylnie wyobrażenia.

W zakończeniu zapowiadał autor -obraz historii literatury polskiej- (z tego powodu zapewne poprzednio traktował poezję polską tylko bardzo ogólnie) — który jednak nie doczekał się opracowania; artykuł pozostał nieskończony.

## B) Literatura i krytyka.

(Tom I — 1837; II-gi — 1838; III-ci i IV-ty — 1840).

Tom pierwszy tego wydawnictwa składa się z 2 części i zawiera następująco rozprawy: «O poezji XIX wieku», «Literatura francuska», «Co znaczy kozaczyna?», «Pieśni ukraińskie», «O elemencie poezji ukraińskiej w poezji polskiej» i «Czy można mówić w dzisiejszych czasach epopeję narodową?». Cały tom drugi wypełnia obszernie studjum «O nowej literaturze francuskiej, nazwanej literaturą szaloną». Tomy trzeci i czwarty mieszczą prace: «O szkole ukraińskiej poezji» i «Literatura romanu w Polsce». Wartość tego zbioru, który powstał w ciągu szeregu lat, jest dosyć nierówna. Znajdujemy w nim zarówno rozprawy, charakterem swym należące do pierwszego okresu działalności krytycznej Grabowskiego, jak i takie, które zapowiadają już ton, panujący w «Korespondencji literackiej».

Ponizej zamieszczamy początek studjum «O poezji XIX wieku», napisanego w końcu 1830 roku. Mialo się ono składać pierwotnie — jak sam autor powiada — z dwóch części: «teorii i zastosowania». Z planu tego opracował Grabowski tylko część pierwszą, w której wypowiedział ciekawe poglądy o zadaniach literatury, ideałach i teoriach ogólnych w stosunku do życia, zastanawia się nad tem, co to jest poezya, sztuka, literatura, i stara się dać własne definicje i własny systemat estetyczny. Pozatem dajemy wyjętek z rozprawy: «O szkole ukraińskiej poezji».

**840)** Str. 7—21. Każdy wiek, każda epoka, tak w historii politycznej, jak umysłowej, tak w losach człowieka-człowieczstwa, jak w losach rozumu ludzkiego, ma swoje wyraźne a od-

dzielne od innych przeznaczenie, ku spełnieniu którego trudy całych pokoleń, wszystkie zdolności, wszystkie zasoby tego ułamku czasu czują się powołane. Są to jakby owoce, które pewne peryody usiłują wydać i wydają. Nasiona tego bywają rzucane zdaleka. Lono wieku się zapładnia i staje brzemieniem. Wszystko się zbiega i zaczyna sprzyjać nie świeżo odkrytym, ale już wcześniej istającym potrzebom; na każdej chęci, na każdym umyśle jest mus, niewola, która się nazywa duchem czasu. Cały wiek jest jakby zakłócony i już się nie ostoi póki się nie rozwiąże sprawa przeznaczenia. Wtedy bywa chwila ciszy, pogody, odpoczynku: aż nagle widzisz, jak się wszystko do niepoznania przemienia, bo wiek już znowu dzieło inne rozpoczął. Kto więc zechce sprawiedliwie ocenić fenomena jakiegokolwiek peryodu czasu, musi koniecznie odgadnąć jakie jest właściwie jego zadanie. Przechodząc do literatury, pytamy się, do czego zmierza to nowe dążenie europejskich literatur na początku XIX wieku, tak widoczne i od dawniejszego tak różne, żeśmy go nawet rewolucyjną nazwali, lecz z którego przeznaczenia nie zdaliśmy sobie sprawy, ani widzimy jasno celu dotąd?... Na to trudne pytanie odpowiadamy bez wahania się: zadaniem literatury naszego wieku jest utworzenie Poezyi narodowej, albo raczej Poezyi narodowych. Ciągami następnich uwag spodziewam się rozwinąć myśl moją i dowieść sprawiedliwie tego zdania. Rzucam go tutaj tylko jako aforyzm, dlatego, że ono jest myślą wziętą za osnowę tego pisma; że to, co się gdzieindziej powie, będzie w wielkiej części mówione dla wsparcia jego; że z różnych stron do niego wracać będę, i że właśnie zamiarem moim jest dowiedzieć się, ile prawdziwość tego zdania widna jest z kierunku naszej literatury, i jak daleko posunęliśmy przypadającą na nas część tej pracy, do której naszym zdaniem Europa w XIX wieku jest powołana.

Nie jest to bynajmniej myślą nową w historii politycznej, że każdy okres czasu był rozwinięciem pewnego a nie innego faktu, tej a nie drugiej idei, i że aby go sądzić, trzeba się umieścić na jego własnym stanowisku. Nikt już dzisiaj nie wątpi, że tażsama skala nie służy do ocenienia drobnych rze-

czypospolitych Hellady i kolosalnego Rzymu. Nikt nie mierzy moralności politeizmu moralnością objawionej religii. Każdy wie, że zadanie wojen krzyżowych a reformacji było zupełnie inne. Każdy z tych fenomenów historii rodu ludzkiego rozwijał się samodzielnie, w niczem niezależnie od innych, przebiegał on (że tak rzekę) swoję elipsę we własnej sferze, i wykonywał swoje przeznaczenie doskonale. Jeżeli tak się dzieje z losami towarzyskiego bytu, nie będzie zuchwałą rzeczą utrzymywać, że też same koleje przechodzi życie umysłowe. Jeżeli idea prawdy i dobra (tak nazwał ideę historii pewny pisarz), nie może przetrwać niezmienna i stała w ocenianiu dzieł ludzkich, możnaż wymagać, ażeby idea pięknego (idea literatury) była wciąż nieruchoma i wiecznie jednostajna?... Możnaż z wyobrażenia poezji, z wyobrażenia, które ze swojej istoty jest tak odmienne, tak ulotne i niecierpiące określenia, zrobić coś w najwyższym stopniu dokładnego, coś sztywnego, przeznaczonego, aby przez wszystkie wieki i miejsca było jedyną miarą najdelikatniejszych plodów umysłu ludzkiego? Tak nie jest. Idea poezji, jak wszystko inne, cierpi umiarkowania, zmienia się, nagina, i nie tylko to nie jest żaden niedostatek, ale owszem przymiot wielki, bogaty. Inaczej nie byłaby to wcale idea żywa, iż tak powiem z poetą, w korzeń bytu wszczepiona. Zrobmy sobie naprzykład stałą, jakby geometryczną ideę prawdy, czy piękności, jaką sobie co moment robią teoretycy, i rozciągniemy ją na przeszłość i przyszłość historii lub sztuki, ile zdolamy; prawda, jest w naszym umyśle coś foremnego, wymierzonego, ściśle pewnego; coż kiedy to takie smutne, takie nagie, ubogie, obok różnowzorego kobierca zdarzeń i myśli, jaki nam wystawia świat, nie naszym rozumem rządzoney? Dlaczegoż to? Dlatego, że zaraz instynktowie ostrzeżeni jesteśmy, iż gdzie zachodzi jednostajność, tam niema życia, którego rozmaitość i zmienność są najistotniejszym warunkiem. Tak jak w świecie dynamicznym odbywa się ciągle proces roślinny i chemiczny, tak w świecie moralnym na wszystko działa ustawny proces życia, który ciągle rozwija, zmienia, przeobraża i objawia się w tych niewyrachowanych fenomenach, których milionową część ledwo zatrzymuje w pamięci historia, przechowuje u siebie literatura. Ze wszystkich bowiem rzeczy tego świata jedno

jest tylko najwidoczniejsze, najpewniejsze i że tak powiem, dowiedzione: życie. Jakie przeznaczenie jego? Do czego wiedzie ostatecznie ród ludzki? Nie wiemy. Lecz nie jest już rzeczą małej wagi, żeśmy pośpieszyli dostrzedz stopniowo kształcenie, do którego ono losy ludzkie przyprowadza: nie jest rzeczą małej wagi, że widzimy, iż w danych okresach czasu wypadki jego składają jakby fakta dotykalne, wytrzymujące najcisłszy rozkład i analizę, iż kształcą jakby jakie wielkie osoby moralne, których dążenie, prace i powołanie najdokładniej zbadać możemy. Jeżeli więc nie znamy przeznaczeń życia ludzkości wogóle i ostateczności, znamy przynajmniej przeznaczenie niektórych jego działów, co już tak ważną jest rzeczą! Historia nie jest już dla nas dzisiaj prostą nomenklaturą nazwisk i dat: jest to raczej niezmierny łańcuch zdarzeń, charakterów, katastrof, uczuć, widoków, scen, zdumiewających swoją wielkością, bogactwem, poezją, zgola najrozmaitszą grą życia. Wśród jej perspektyw gubi się oko, zachwyca dusza człowieka. Nie wiemy, co to jest czas?— jak on stał się odłamkiem wieczności i ku czemu dąży? dość, że widzimy, iż w biegu swoim rozdrobił się na części przystępne naszemu pojęciu, charakterystyczne, w naturze swojej wyrozumowane, a więc świadczące głośno, że chód jego nie jest bez celu, że kres jego niemaloważny. Pociągająca nauka wyprowadzona z historii, a którąby i z literatury można było wydobyć.

Tak więc jako w historii są pewne periody różne i odrębne jedne od drugich, wypełniające swoje przeznaczenie oddzielnie, i każące się sądzić tylko stosownie do celu, do którego zmierzały; przez samą tedy analogię sądzić należy, że takież same działy muszą być w literaturze, jako w dwóch formach, albo raczej w dwóch kategoriach jednego rozwinięcia się ludzkości w czasie. Rzecz jest widoczna, że wśród tylicznych kolei, któremi świat nasz szedł dotąd, musiał unosić za sobą i zdania estetyczne. Literatura więc doświadczała tyleż przeobrażeń, ile i wszystko inne. Nie dziw zatem, że w różnych czasach zadanie jej bywało różne, i że nieraz odmiennie była widziana. Przenieśmy się myślą w te niedawne jeszcze chwile, nim się Europa zdobyła na Herderów, Nieburów, Simondich, Tierrych; przypomnijmy sobie, jakie sądy były o historii. Czerdziesiątowiekowy zawód ludzkości chciano mie-

rzyć podług wyobrażeń, wylętych w kilkunastu ostatnich leciech. Była, że tak powiem, urobiona forma na moralność, cnotę, swobodę, oświecenie: wszystko, co w tę formę wchodzić nie chciało, nazywano skażeniem, występkiem, niewolą i barbarzyństwem; bez względu, że moralność nie może być wciąż jedna, że swobodę jest kilkanaście, że cywilizacja jedna może być zupełnie niepodobną do drugiej; a i tak było jeszcze wiele zjawisk w losach ludzkości, co historyk poprostu odcinał, obciosywał; bo widząc, że się nie godzą z żadną ogólną formą, brał je za jakieś potworne wyrośnię, za brodawki ciała historycznego. Ponieważ zaś kochano się wyłącznie w wyobrażeniach swojego wieku (co zresztą bardzo naturalnie), a tym wyobrażeniom nie wiele było odpowiedniego w przeszłości, o mało więc szło, żeby nie przypuszczono zdania, iż od nich dopiero, to jest od ludzi XVIII wieku, zaczyna się prawa historia, a wszystko co było dotąd, było tylko wstępem, rodzajem nowicyatu rodu ludzkiego. Czyż nie to słowo w słowo dzieje się dotąd w zdaniach o literaturze?

Nie mówiąc już o tych śmiesznych teoriach, które początek poezji umieściły w naśladowaniu śpiewu ptaszego, ani o tej puściznie zastarzałej scholastyki, która dotąd przynajmniej pokątnie dyszy; weźmy owszem najnowsze idee krytyki estetycznej, oczyszczonej i filozoficzniej pojętej, tak jak je nowi badacze puścili w obieg pospolity, a które ośmielając się w pewnej części zbijać, daleki jestem, żebym je lekkie sobie ważył albo mało szacował. Dzisiejsze nawet teorie sztuki czyż zaspakajają wszystko, czego po nich wymagać możemy? Wyznaję, że co do mnie przynajmniej, nigdy się z nimi zgodzić nie mogłem zupełnie. W czemże główną ich niedokładność zawsze znajdowałem? Oto w tem, że najczęściej ogłaszano mi literaturę, jako rozwinięcie idei pięknego, a takowa definicyja wprowadza zaraz w wyobrażenia ciasne, sztywne, absolutne, że tak powiem, formalistowskie. Nie jesteście to samo, co w historii szukać ustawnie konwencyonalnej idei dobra, prawdy?

Wszystkie takowe idee nazywam konwencyonalnemi, bo istotnie na to wychodzi. Ponieważ nikt się nie sprzeciwi, że ostatecznego kresu rzeczy tego świata nie wiemy, wszystkie więc wyobrażenia absolutne są obłądne, wszystkie, że tak na-



zwę bite drogi, które chcemy przez świat i życie poprowadzić, wtykane są na domysł. Nie mówię bynajmniej, żeby dusza ludzka nie miała żadnego wiecznego typu tak sprawiedliwości jak piękności: ale ten typ nie jest także ani być może stały zupełnie; jest on owszem ruchomy, niejako przenośny (portatif) i dający się zastosować (applicable), i właśnie czyniąc coraz dalsze postępy, zastosowany do korzyści żyjącego, to jest zmieniającego się *individuum*. Ten typ porównaiby można do jakiego instrumentu matematycznego, np. linii, która raz położona nie zboczy z prostej drogi, ale położyć się może w tylu kierunkach, ile się komu podoba.

Tu wykrywa się jedna z własności moralnych, przyczyna skutków, często napotykanych na polu estetycznym. Przeciagając wyżej wzięte porównanie, — tak jako prosta linia matematyczna nie zdoła się w biegu swoim ugiąć ani skrzywić, tak również chce natura umysłu ludzkiego, ażeby utworzony raz ideał był koniecznie przez całą swoją rozciągłość równy, jednostajny, wyłączny, praw swoich zazdrośny. W różnych czasach i stosunkach ideał będzie odmienny: lecz jaki jest, musi być koniecznie bezwzględny, sam tylko udający się za prawdziwy, i ze wszelkiej różnorodności wymagający ofiary. Stąd absolutyzm w literaturze.

Tak nazwani klasycy nasi i europejcy nie mieli tak często jak my w ustach słowa ideał, jednakże mieli niemniej mocne jego uczucie. Ideałem ich poezyi była poprawność, gładkość, wykwinny gust rymotwórczej kompozycyi. Patrząc, jak nieprzeblaganie okrywali wzgardą, nazwiskiem barbarzyństwa, wszystko, na czem nie było tych znamion; jak stanowczo odsądzałi to od godności poezyi, literatury. Oddajemy im wet za wet. Nie przeczę, że może many zdrowsze od nich uczucie prawdziwej poezyi, lecz czy zdanie nasze mniej jest absolutne? Czyż nie tak samo, jak oni, z całego zbioru kwiatów dawnej i nowej literatury wybieramy to tylko, co sympatyzuje z nami i naszymi wyobrażeniami, a odrzucamy wszystko inne? Jakoż inaczej być nie może, skoro chcemy trzymać się logicznie raz przyjętego zdania. Owszem, musimy być surowi w sądzie naszym niż sami klasycy: gdy zdanie to nasze nie jest narzucone żadną powagą, ale wywiedzione i wyrozumowane przez nas sa-

mym, trzymamy go się więc z tem większem przekonaniem z tem mocniejszą wiarą, ponieważ bez zadania sobie moralnego gwałtu, nie możemy uznać za poezją, co w naszych oczach nią nie jest. Ideał nasz, chociaż jest mniej wyłączny, mniej wybredny i niesprawiedliwy, niż bywał w innych epokach, niemniej dlatego jako ideał jest pojedynczy, określony; panuje on nie tylko wyobrażeniem naszej epoki, ale rozciągamy go nawet na przeszłość i przyszłość sztuki; dlatego więc wszystko przyjmuje, co z sobą znajduje jednorodnego, od Ossijana do Bajrona, od pieśni kminnej do wykszałconej poezyi; co się z nim nie łączy, odrzuca. Na nieszczęście odrzuconego jest dużo. W oczach naszych stracono z pierwszego miejsca nie tylko pojedyncze sławy, ale nawet całe literatury, całe odnogi literatur. Naprzykład element komiczny, jeżeli nie został odsądzony od praw poezyi, to jedynie tylko jako ironia; inni idą dalej, nie przyznając zupełnie wesołej poezyi. U nas jeden zamienity pisarz, a co bardziej poeta, nie przystaje na poezję exaltowaną (Bajronowską). Drudzy w całej naszej literaturze do ostatnich czasów nie widzą poety. Ten tak obszerny ostracyzm literacki, ta proskrypcya, ciągnąca na tylu bezbronych głowach, zadają mi szczególnie do myślenia. Czy nie ma fałszu, niedokładności w gruncie opinii estetycznej, która się w obiegu powszednim w nietolerancją wyrodziła?... Mówią mi naprzykład, że poezya Krasickiego niepodobna do poezyi Mickiewicza; ani słowa przeciwko temu. Mówią mi, że poezya Krasickiego nie jest poezją — niech i tak będzie. Jednakże musi to być coś przecie: a więc co takiego? Dlaczego w swoim czasie ona nie tylko się podobala, ale nawet unosila, zachwycała i zaspakajała wszystkie żądania swoich współczesnych? To nie mogą być przynioty utworu całkiem chybionego, rzeczy zupełnie rozminionej z swym celem. Jeżeli literatura jest rozwinięciem idei pięknego, czemuż się dzieje, że to rozwinięcie szło takimi nierównymi skokami, nie było dokonane aż za naszych czasów, albo bardzo rzadko dawniej, i ustawicznie ulegało skrzywieniom i chorowitemu stanowi? Nie! Musi być jakaś idea obszerniejsza, prawdziwsza, która te rozdwojenia łatwiej pogodzi, te różności jasniej wytłumaczy, wystawi regułę nie tak rzadką, a wyjątki od niej mniej częste. Powtarzam, musi być jakaś wada w myśli teoretycznej, bo przy

tak sławionej naszej tolerancji jest podobno trochę zanadto wystawiać połowę plodów umysłu ludzkiego jako twór poroniony, niebłogosławiony od Opatrzności.

Tę ideę obszerniejszą znajduje Grabowski po długich i dość mętnych wywodach w definicji, określającej jako poezję «cały świat i jego dźwięki», i w zasadzie, uznającej wszystko co istnieje za konieczne.

#### O szkole ukraińskiej poezji.

[«Literatura i krytyka», tom pierwszy (tak na kartce tytułowej, choć jest to właściwie tom trzeci tego wydawnictwa) Wilno 1840, str. 1—142]. W rozprawie tej stara się Grabowski ująć charakterystyczne cechy twórczości «szkoły ukraińskiej», wykazując jej odrębność i znaczenie dla literatury polskiej. Omawia ogólnie twórczość Zaleskiego, Malczewskiego, szeregółowej zaś analizuje utwory Grozy i Ollzarzewskiego, w dodatku daje obszerniejszy rozbiór «Zamku Kaniowskiego». Podajemy tu wyjątek z tego rozbioru, jak również ustęp, w którym autor podkreśla oryginalność i odrębność poetów ukraińskich.

**841)** Str. 34—41. Poezja polska posiada istotnie oddzielną szkołę ukraińską. Nie jest to tak popollita, jak się здаwać może. Któż nie wie, że w wieku rozlanego powszechnie oświecenia szczegóły miejscowości najdalszych krajów, obyczajów tych krajów, zdarzeń, które się tam kiedykolwiek toczyły, mogą być doskonale wiadome Luźom oświeconym innego narodu, a więc mogą być brane za przedmiot utworów przez poetów tego narodu. Takim sposobem Irlandczyk Moor wybiera na scenę swych zmyśleń Indye, Kaszemiir, Persyę; zaprawia swą poezję barwami wschodu. Młody poeta rosyjski. Kukolnik w dramacie Dominikino przenosi się pomiędzy malarzy włoskich, wnika w ich pożyćcie z sobą namiętne, zazdrośne, miłości dla sztuki i natchnienia pełne; wystawia ich zabiegi o roznoszenie lub ozdabianie bazylik rzymskich. Nie idzie zatem, ażeby w poezyi angielskiej była szkoła indyjska, albo w rosyjskiej włoska. Bliższy przykład przywiodę. Za jedno z głównych praw do wielkiej sławy istotnie bardzo znakomitego rosyjskiego poety Puszkina mają niektórzy (nie ja) poemat jego Poltawę, wzięty z ukraińskich dziejów, a przynajmniej oparty na przeważnym zdarzeniu, rozwiązaniem na polach Ukrainy. Poemat ten winien swą wziętość wielu istotnie pięknym miejscom, które nie mogły nie powstać z pod pióra tego twórcą siłą obdarzonego człowieka; takimi są niektóre opisy

bitwy, figura Piotra W. i inne, lecz jako malowidło Ukrainy zachował on tylko profil publicznego, historycznego wypadku, na prywatny zaś byt tej krainy, na szczególny charakter mieszkańców, ich zwyczaje, wszystko, co malowaną powierzchowność narodów i krajów stanowi (a czego nawet nowi historycy skrętnie dziś śledzą), nie przelano najmniejszego światła. Figury, działające według swych tylko nazwisk i znajomych przygód życia, są ukraińskie, ale w ich mowie, w pobudkach czynności, nie słychać najmniej przyrodniego ich charakteru, nie znać właściwego im wtedy stopnia uboczajenia, który był jednak jednym z najcharakterystyczniejszych i w dzikiej swojej proście z najspobniejszych do wydatnego kształtowania w poezyi. Przynajmniej według mego osobistego zdania, Mazepa i piękna Maria Koczubejówna nikogo bardziej nie przypominają, jak Dożę i Dogaręsę z dramatu Marino Fallero, a jednak daleko z Wenecji do Poltawy. Samą nawet miejscowość ukraińską lekko i pobieżnie zbywa poeta, racząc ją ogólnemi przymiotnikami: nieobejrzane pole, siny Dniepr, noc ukraińska, co ostatnie jedynie ma niejakie znaczenie, przywodząc sobie na pamięć, że poeta musi porównywać w umyśle swoim noc tutejszą z surowszą nocą północy.

Inaczej się rzecz ma u polskich poetów ukraińskich. Ich prawa do stanowienia osobnej szkoły zasadzają się nie na tem, że obierają na treść swoich utworów przedmioty z historii tej ziemi, ale raczej, że przyjmują całkiem duch i barwę właściwej poezyi ukraińskiej, jednej z najdoskonalszych gałęzi samorodnej poezyi słowiańskiej, więc z pierwszych całego świata. To jednak, co powiedziałem, że jeszcze istotę dzieła tłumaczy. Wszak i Moor podszycwać się stara pod toki wschodnie, a jednak jest to pożyczona szata, jest to przebranie, które nikogo nie zwodzi; przeciwnie polscy poeci ukraińscy przejęli tę właściwość szczerze, unarodowili ją sobie; rozumieją ją głęboko, bo jest dla wszystkich domową, dla wielu rodzinną. Ten podział na szkoły pięknie tłumaczy pan Tyszyński w swoim wyżej wzmiankowanym dziele<sup>1)</sup> i w artykule Dwaj ostatni krytycy w Polsce, umieszczonym w Tygodniku peters-

<sup>1)</sup> «Amerykanka w Polsce» (Przyp. Red.)

burskim. Nadto ci poeci nie poprzestają na pożyczaniu ozdóbek u poezji ukraińskiej, oni sami rozwikływają dalej poetyckość tych miejsc i obyczajów, idą za bytem tej ziemi i losami tego ludu w rozmaitych czasach i rozlicznych stosunkach ich historyczności i w każdym z takowych dostrzegają jego poetyckiej fizjonomii; na miejscu, gdzie zastali tylko pieśni gminne, budują epopeję i romans.

Patrzmy na przykład na utwór Malczewskiego. On spoziera poprostu na Ukrainę, tylko jako na najsmutniejszą prowincję swojej ojczyzny; prowincją dziką, bezładną, pustą, *ora finitima* ukształtcej i weselszej Polski. Stąd ustawicznie powtarza:

I pusto, tęskno, smutno, jak gdy szczęście minie,

I pusto, tęskno, smutno w bujnej Ukrainie.

Malczewski widać kocha się w smutnym widoku tych pól, pól przyległych jego rodzinnemu Wołyniowi, i z których musiała nawiąć ta głęboka melancholia na jego charakter i umysł. Poemat jego składa się z tego tylko, że tę pustynię głuchą wybrał na scenę dzikiego uczynku przemocy i pychy, którym też najwłaściwsze miejsce w tej dziejczy i dalekości oka ludzkiego. Bez zachodu rozwijając swą rzecz szczykownie, przestaje na tem, że ukazał tam kilka obrazów poępnych i zakończy zawsze przez swoje «i pusto, smutno, tęskno» etc.

To przejęcie barw poezji gminnej ukraińskiego ludu, w którym nie chcieliśmy powyżej uznać, ażeby się miało zamykać całe znaczenie szkoły ukraińskiej, najsluszniej jeszcze możnaby przypisać samemu jednemu Zaleskiemu, choć i ten dalekim jest od przestawiania na rysach już gotowych, a owszem, jako prawdziwy poeta, tłumaczy dalej (nie mogą się inaczej wyrazić) serce ludu, którego został śpiewakiem. Mazepa, który jest bohaterem powieści Puskina, ale już jako starzec i dumny hetman, jest równie bohaterem jednej z dum Zaleskiego. W tej dumie Mazepa młody, tęskniący za wojenniczem życiem swego narodu, poniewolnie trzymany w przedpokoju króla polskiego Jana Kazimierza, gotuje się potajemnie uciekać do swego kraju. W słowach, które mu w usta kładzie Zaleski, słychać dobitnie tę narodowość kozacką, którą młody paź musiał chować jak tajemnicę rodzinną pomiędzy obcego

rodu i ukształcenia ludźmi, a która naturalnie odzywa się w nim głośno w tej chwili, w której sercem wyprzedzał swój powrót w kraj bujniejszych traw Oczakowskich, w kraj zdrowych wód dniewprowych. Być także może, że pan Zaleski pod zastaną historycznego imienia, wypowiedział swoje własną tęsknotę za Ukrainą, od której był oddalonym, i że odsłonił nam poufale barwy i uroki, w których jego własnej imaginacyi ukazywała się jego daleka, rodzinna, żywa, sprzeczna obyczajami i pozorem z Mazowszem strona. Ten to nieudawany duch ukraiński, te to głębokie rozumienie przedmiotu, bo osobistym uczuciom nieobcego nadaje inną przyrodę tworem polskiej ukraińskiej szkoły, jak innym, choćby skądinąd najgenialniejszym na przedmiotach ukraińskich zbudowanym dziełom. Ukazaliśmy to chociaż w lekkim zbliżeniu tworu Puskina; możnaby jeszcze było wespół dowodem z przykładu Bajrona, dwaj ci bowiem tak znakomici poeci nie tylko dotykali rzeczy ukraińskich, ale właśnie rozebrali niejako pomiędzy siebie przygodę życia Mazepę: jeden romansową i niebardzo prawdziwą przygodę jego młodości, drugi stanowiący jego starość historyczny wypadek..

W dalszym ciągu zastanawia się autor pokrótce nad «Zamkiem Kaniowskim» i wykazuje na przykładach, że wszystko w nim jest «wysnute z samej treści miejscowych podań, obyczajów, wierzeń, historyczności: stąd w wysokim stopniu oryginalne, ukraińskie» (str. 43—44). Do utworu tego wraca Grabowski jeszcze raz w «nocie», zamieszczonej na końcu rozprawy, gdzie rozwija swe poglądy szerzej i daje poniżej zamieszczonej analizę «Zamku Kaniowskiego».

**842)** Str. 135—142. Prolog czarodziejski, którym Goszczyński poprzedził swój poemat, zawiera niejako w sobie wątek całej kompozycji. Oprócz fantastycznego zdarzenia, które zawiązuje późniejszą tragiczną akcję, jeszcze w odsłoniętej nam romantycznej scenie widzenia się dwóch kochanków poznajemy te dwie główne osoby powieści i ich stosunki z trzecią, (Rządzącą), i już imaginacya nasza żywo jest podstrzyknięta, a interes obudzony do tego, co ma nastąpić. Tak pod względem poetyczności pomysłu jak sztuki wykonania prolog mam ledwie nie za najlepszą część kompozycji. Nasi diletanci, których tak razila rozmowa puszczyków, dali tą razą dowód, że zasła-



nia im jeszcze oczy bielmo klasycyzmu, którego się niespełna na chrzcie romantycznym wyrzekli; inaczej mogliby byli zostać uderzeni niepospolitym darem młodego pisarza, który odważa się nie na wzmiankę, jak inni, tego lub owego przesądu, ale dokazuje osnować na duchu wyobrażeń gminnych całą akcję; który bierze śmiało żywioł mytologicznych wierzeń ludu i z nich składa sceny, życiem i dramatycznym ruchem obdarzone. Od ballad Mickiewicza, które niektórzy mają za *nec plus ultra* romantyczności, do takiego utworu, jakim jest prolog Kaniowskiego Zamku, jest jeszcze bardzo, bardzo daleko! Ta noc, taka pełna dziwów i widzeń, odziana takim pełnym, mocy kolorytem i taką grą fantazyi tam, gdzie poeta polubił wymyśli ludu-poety, jest bezwątpienia najzupełniejszą kreacją romantyczną, jaka była kiedykolwiek w naszej literaturze: więcej powiem, prolog Zamku Kaniowskiego nie zblednie ani przy Sobótce Goethego, ani przy prologu Makbeta.

Właściwa część pierwsza zaczyna się od apostrofy do zachodzącego słońca. — To nie jest opis, to jest hymn wyniosły i uroczysty: uznano to powszechnie. Ze wschodem miesiąca lud kaniowski (śród którego odtąd ciągle będziemy) zebrał się na schadzki wieczorną na pobrzeżu dniewprowem. Pojawienie się Kseni topielicy i nieprzytomność atamana Nebaby nabawiają zgromadzonych niespokojnością i przeczuciem nieszczęścia. Ataman nie przychodzi dlatego, bo w umówionem miejscu, pod brzoza, nad krynicą, ścian zamkowych spodem, ma się widzieć ze swoją Orliką. Poeta robi piękny obraz z tego niespokojnego oczekiwania. Ale Orlika nie przychodzi i nie przyjdzie; zamek brzmi przygotowaniami uczt, i Orlika po długiej, tajemnej rozmowie z Rządcą, gdzie musiało iść o śmierć lub życie, zgodziła się zostać jego żoną; Nebaba dowiaduje się o tem od chłopaka, który spieszył na zamek z torbanem. Myśl rozpaczy i zemsty rodzi się w jego duszy; podczas kiedy zamek i jego okolice brzmią wesołemi odgłosy, on przesuwając się niepostrzeżony przez zakręty ciemnych, spadzistych ulic, — spieszy na brzeg i każe się przewozić na drugą stronę Dniepru, gdzie bliższą ognie hajdamaków, którzy rozpoczęli już powstanie. — Wszystko to się dzieje jednego wieczora, a poeta umie każde miejsce i każdą chwilę doby malo-

wać z właściwą barwą. Przeprowadzanie się Nebaby przez Dniepr w nocy i z rozpaczą w duszy, podczas kiedy z okien starościskiego zamku biją światła weselne, kończy poetycznie część pierwszą.

W obrazie nocy, od którego zaczyna się część druga, uderza nas znowu Szekspirowski pędzel, jakim Goszczyński maluje często naturę. U niego noc jest zawsze chwila tajemnicza, pełna brząków łagodnych, miłych, głuchych, któremi powietrzne igrające duchy ożywiają ciemnotę i ciszę. Nagle w tym uśpionym zamku we drzwi Rządcy puka goniec od granicznej czaty i przywozi groźące wiadomości o poruszeniach hajdamaków. Poeta prznosi nas zaraz w las, gdzie leży dziki obóz powstańców. W doskonałym obrazie, który z tego robi Goszczyński, wydaje się on prawdziwym malarzem. Następuje scena, w której Nebaba namawia kozactwo do buntu przeciw ospałego watażki; tu poeta obmyśla tok dalszych wypadków.

Od strofy jedenastej znowu prznosi się akcja do Kaniowa. Ze zwykłym talentem maluje poeta wieczór i wieczorną modlitwą garnizonu zamkowego; — z cudownym wdziękiem ciche zatrudnienia ostatniego dnia mieszkańców. Śród kobiet, zaprzątnionych niewieściami pracami, widzimy Orlikę zmienioną, obłąkaną rozpaczą i zamysłem zbrodni. — Sposób, w jaki poeta maluje stan jej duszy, daje przeczuć jej dzikie zamiary i usposabia do spodziewania się jakichś okropnych skutków jej rozpaczy; ten sposób jest pełen zręczności i odkrywa w geniuszu Goszczyńskiego nowy element tragiczny, którego nie spodziewaliśmy się dotąd. Tymczasem wieść o bunocie rozchodzi się po Kaniowie; wszystko jest w strachu i pomieszaniu; w obrazach takowego popłochu są właśnie miejsca, które mieliśmy w myśli, mówiąc wyżej o przejętej z żywej pamięci i serc ludu barwie poezyi Goszczyńskiego. Lecz już upłynął ten dzień pełen trwogi, rozjaśniony pod koniec zawodną spokojnością. W poemacie zaczyna się jedna ze scen największych. Przygotowania do morderstwa żony i sen trwożny przeczuciami męża są zaiste dziwną i wielką poetycką kreacją. Ponieważ kilka razy ośmieliliśmy się już wspomnieć wielkie imię Szekspira, znowu więc powiemy, że podobnej sceny może dać wyobrażenie chyba sen *Ledy Makbet*, tak cudow-

nie w grze pani Ledóchowskiej znajomy. Tego jednego miejsca dosyćby było, ażeby przekonać o wielkim talencie Goszczyńskiego. Zaraz dalej zaczyna się ciąg przerażających wypadków: wzięcie zamku od hajdamaków, zabójstwo rządcy, pogoń za zranioną Orliką. Okropność dochodzi do najwyższego stopnia; są to karty krwią pisane.

W trzeciej pieśni poeta, jak gdyby chciał nas uspokoić po silnych wstrząśnieniach, którychśmy doświadczyli, wprowadza nas w zupełnie inny świat poezji, w świat pełen światła, nieba i perspektywy. Cała połowa trzeciej części jest natury bardziej lirycznej i razem bardziej malowniczej, jak wszystko, cośmy dotąd widzieli. Sen Nebaby pod dębem puszczy Lebedyna przypomina liczne podobne obrazy w pieśniach i skazkach ruskich. Ślepy lirnik, tu wprowadzony, jest także na miejscu w takim malowidle; rysunek jego przytem pełen prostoty, a więc barwy; a wątpliwość, którą lubił poeta rzucić na przyrodę tej istoty, zamiast szkodzić tej kreacji, (jak to niektórzy myśleli) naszym zdaniem, nawodząc owsem lekki nań cień cudowności, robi ją jeszcze poetyczniejszą. W powieści i pieśni lirnika rozświeca się nam tajemnicza także istota Kseni. Nie romantyczniejszego jak jej historia, a wymysł pieśni do lat w cała jest to ta szczerą poezją gminną, o której ledwie że nie zropaczono w naszym wieku. Od strofy 9-tej zaczyna się dziwny rodzaj poezji, który formami i barwą jest prawdziwym malarstwem, a wyrażeniem głębokiem, tajemniczem, budzącem nieokreślne uczucia, szczerą muzyką. Cudowny tu jest widok z dębu, drugi Moszen, trzeci progów dnieprowych, — opis wieczoru Kupaly na jeziorze, — opis uczu i wspomnień Nebaby. Następują ciągle po sobie obrazy natury, obrazy stojące w myśli, w pamięci, w marzeniu, i jak fale morskie, kiedy w oczach naszych idą jedne po drugich, wprowadzają nas w rozkoszne i głębokie zamyslenie.

Po tem lirycznym wytchnieniu, od strofy 13-tej zaczyna się znowu dramat. Opis wieczornej drogi Kozaków jest wyborny. Bitwa. Potem powieść szybko idzie do rozwiązania. Wszędzie tam są miejsca z niezwykłą, atletyczną siłą pisane. Między najlepiej oddanemi wspomnę skon Kozaków, goniących

Orlikę, opis dymiących zgłiszcz w 27-ej strofie, strofę 30-tą, która może być uważana za epilog i ostatnią.

### C) Świat i poeta przez J. I. Kraszewskiego.

(Athenaeum z r. 1841, tom III, str. 142—169).

W artykule tym zasługuję na uwagę nietyle rozbiór powieści Kraszewskiego, dosyć zresztą pobieżny, ile pogląd Grabowskiego na poetów i poetyczność oraz na znaczenie religii w twórczości ducha ludzkiego. Przytaczamy go prawie w całości.

**843)** *Str. 143—165.* „Bardzo dowcipny i zdrowo myślący pisarz, który ukrywa swe istotne nazwisko pod przybraną nazwą Pana Pietruszki, wystąpił przeciwko panu Kraszewskiemu, za niewłaściwe, jak mu się zdaje, nazwanie bohatera powieści, o której mówimy, poetą. Nie można zaprzeczyć, że zdrowy sąd tego pisarza odkrył mu odrazu słabą stronę dzieła, a przynajmniej jedyną, z której można mu coś zarzucić.

Ten, który pisze te uwagi, najdalszym jest także od tego, ażeby w Gustawie uznawał prawdziwego poetę. Ta różność wyobrażeń, które w tym przedmiocie są mu zwyczajne i wydają mu się gruntowne, z temi, według jakowych pojął Pan Kraszewski swego słabego i namiętłego marzyciela, przesłađowała go w całym ciągu czytania tego dzieła, ujęła mu zaapewne wiele wdzięku w jego oczach, klóciła jego myśli, a jednak poddawszy teraz te same, oknione przez to czytanie myśli chłodnej rozwadze, powziąłem przekonanie, że nie możemy z Panem Pietruszką obwiniać Pana Kraszewskiego ani o błąd nierozwagi, ani o zamysł niegruntowny wystawienia, jakim go wystawił, swego poety. Widzę jasno przyczynę, dla której rozminęliśmy się z nim tak bardzo w naszych wyobrażeniach, i biorę się to wyłożyć, znajdując, że nastęrcza się przez to naj-posobniejsza pora przelać niemało światła na pytania o poezji i na całe jej dzisiejsze stanowisko.

Pan Pietruszka, naprzeciw wizerunku, skreślonego w Gu-

stawie, stawi obraz wieszczą z Czarnego Lasu, i w tym dobro-  
wolnym wiesniaku, niedostępnym ambioy obywatelu, czułym  
ojcu Urszuli, przyjacielowi kończącym życie na stawianiu o za-  
bójstwo krewnego, widzi urzeczywistnionym istotny wzór poety.  
Ma wszelką słusność za sobą. Życiem swoim, bardziej jeszcze  
niż zostawionemi pismami, dowiódł Jan Kochanowski, że nale-  
żał do rzędu ludzi, jednoczących w sobie najokazalsze przy-  
mioty człowieczeństwa, przymioty rozumu i serca. Był on więc  
niewątpliwy poeta; lecz chociaż był nim, któż go dotychczas  
uznawał za takiego nie jako pisarza, ale jako człowieka? Kto  
uznawał za znamiona własne poety to mądre panowanie nad  
postępkami życia, nad namiętnościami serca, tę głęboką czulość  
rodzinną, to wyrzeczenie się siebie i poświęcenie dla drugich,  
które składają piękny wizerunek moralny wiesniaka z Czarnego  
Lasu? Nikt do ostatniego krytyka, i nie można się temu dziwić,  
albowiem w najnowszych chwilach dopiero powstało takowe  
wyobrażenie o poetach i poezyi, a sprawiedliwiej może jeszcze  
będzie powiedzieć: powstaje, zamiast powstało. Już to samo, żeby  
odkrywać charakter poety w całości życia, a nie tylko w ry-  
mach i piśmiennych utworach, jest bardzo nowym pomysłem;  
do ostatniej wszelako reakcyi za jedynę znamioną tego cha-  
rakteru brano niespokojność geniuszu, serce namiętnę, umysł  
nieukrócony i wglądający głębiej w życie, niż jego powierzchowność,  
pogardzający niem, i cierpiący na nie. Po tych ce-  
chach poznawano istotę odmienną od pospolitej ciżby, poetę;  
takim wystawił swego Gustawa P. Kraszewski, i poparł to jesz-  
cze obrazem artystów i geniuszów różnego wieku. Taka cha-  
rakterystyka genialnych duchów nigdy nie wydawała się i nie  
była w samej rzeczy istotniejszą, jak w ostatnich czasach,  
w epoce Bajronizmu, kiedy poswarzenie się z życiem zdalo się  
nieuleczonem i wiodącym prosto do rozpacz. Tymczasem wy-  
padło, że właśnie w oczach naszych epoka rozczarowania,  
prawdziwa noc moralna, ustąpiła przed brzaskiem obecnej  
chwili, opromienionej piękniej niż kiedykolwiek słońcem wiary  
i nadziei. Tej przemianie musiał odpowiedzieć ogólny wzgląd  
na rzeczy; wszelako zaszło to tak niedawno, że umysły są po-  
dzielone między zakończonym i zaczynającym się peryodem;  
owszem, jedni i ci sami, z obydwu tych stron coś mamy w so-

bie i jak to o samym P. Kraszewskim powiedziano: »linia de-  
markacyjna przecięła go na dwoje: głową przeszedł daleko na  
jedną stronę; serce zostało na tamtej, i głos jego odzywa się  
jeszcze tęsknotą zeszłego wieku, chociaż już dziś ta posępna  
atmosfera mgły, chmur i burzy, z której są rodem jego pienia,  
jest u niego pod nogami«.

Są to trafne wyrazy wydawcy »Tygodnika Petersburs-  
kiego«<sup>1)</sup>, w przypisku do artykułu w Nr. 81 tego pisma umiesz-  
czonym, pod nazwą: duch poezyi Pana Kraszewskiego. Te dwie  
rozprawy, które zdają się być tylko ciągiem jedna drugiej, do-  
skonałe określają charakter przeciwny dwóch epok, i pokazują,  
czem ostatnia, jako sprzymierzona z religijnością, musi być dla  
poezyi, jako i ogólnie dla przyszłości; gdyż dzielić możemy w wielu  
wzglęдах zdanie historyzofów, jak np. ziomka naszego Au-  
gusta Cieszkowskiego, że stoimy właśnie na rozgraniczu naj-  
ważniejszych epok w życiu ludzkości i zaczynamy jedną z tych,  
która być musi doskonałszą od wszystkich dokonanych, jako to  
w której ludzie będą chętnymi i samowiednymi wykonawcami  
przeznaczeń Opatrzności.

(Patrz Prologomena do historyzofii, Berlin 1838).

Jeżeli tak wysokie nadzieje karmić się godzi, to jedynie  
na widok coraz rozprzestrzeniającego promienia światła wiary,  
które obiecuje być nieodstępnością i znamiem tej świeżo roz-  
poczętej epoki, światła wiary, które już dziś nie jest, jak nie-  
dawno jeszcze było, przeciwnikiem rozumu, odstaniem nieu-  
dolnem od jego pomysłów i odkryć, niezrównaniem z oświec-  
eniem wieku, własnością poziomych i pospolitych duchów; ale  
dziś jest przeciwnie zdobywcem najtęższych i najdalej na przo-  
dzie wieku stojących umysłów, geniuszów, przez które (jak  
tenże nasz sławny historyzof powiada) postępuje ludzkość,  
potów, w których pojętność czasu skupia się i odświeża.

«Chwała wam meze wyższego natchnienia,  
Bo przez wasze zjawienia  
Zegar mądrości idzie i bije».

(Goszczyński).

<sup>1)</sup> Przecławskiego. (Przyp. Red.)

Rzecz jawna, że co do usposobień moralnych i umysłowych, ludzie się różnią pomiędzy sobą; jest tłum mierny i spokojny, są także duchy niecierpliwsze, żywsze, dzielniejsze, wyższą zdolnością cierpienia i używania obdarzone; bądź życiem, bądź postępami, bądź utworami, muszą się one okazać, czem są. Te duchy dobiegną koniecznie do kresu ostatecznego, jaki w ich czasach był dostępnym, a od tego, jaki to był kres, zależy, czem się okażą drugim: mędrcaami czy szaleńcami? Otóż właśnie w oczach naszych kres się ten przemienił tak nagle, że widzimy jeszcze jednych zatrzymanych w pół biegu, drugich rozbieżających w przeciwnie strony, i tych nawet, co stają na stronie i przypatrują się tym zawodom, rozróżnionych w zdaniu, ku którejj mecie pośpiech jest słuszny. Lubo wątpliwość w tym względzie coraz ustaje, lubo żądalibyśmy sami jak najprędzej i jak najostateczniej ją rozstrzygnąć i dowieść, że jeden tylko jest tor prawy, tor zbawienny i istotnego naszego postępu, wszelako zdaje nam się, że to sprawić może tylko poznanie gruntowne przyczyny przeciwnych zaędów.

Jak właściwiej nazwać człowieka dręczonego sercem i imaginacją, i tym, jak znamieniem Kaima, od pospolitej, przestającej na swoim ciżby odróżnionego, jeżeli nie poetą? Miał więc słuszność P. Kraszewski, kiedy tak nazwał swego Gustawa; lecz dodajmy zaraz, że Gustaw jest poetą z przeszłej epoki, z epoki Bajronizmu, z epoki romantyzmu francuskiego, z tej, w której nie znano chrystyanizmu, lub używając co tylko jak nazwy, do najopaczniejszych naginano tłumaczeń. Pan Pietruszka i ja, i inni, co z nami trzymają, nie uznajemy go za takowego, bo równamy go w umyśle naszym z poetą myślącym i postępującym według tych religijnych natchnień, które nam się dziś zdają jedynie sprzymierzające z wyższym rozumem, które są w oczach naszych właśnie cechą geniuszów, znamieniem człowieka, stojącego na przdzie wieku; wszelako słuszność woła, ażeby przyznać P. Kraszewskiemu, że mógł on bez anachronizmu nawet wśród obecnej chwili wystawić swego Gustawa plemiennikiem Larów i Czyld Haroldów. Niesprawiedliwie powiada P. Pietruszka, że ten niedołężny marzyciel nie jest poetą; o nie, ta dusza płomienna nie jest niedołężną; to, co ją uniedolężnia, robi występną i nieszczęśliwą, to uległość wyż-

szemu prawu, które samo tylko i ludzi pospolitych i geniuszów może nauczyć, jak rozumieć i na co używać życia. Poetycka więc przyroda Gustawa jest niewątpliwa, ale że wydaje się nam dzisiaj zmarwonawą i poniżoną, jest to sprawą chwili naznaczonej na jej wystąpienie w szranki wieku, które ją w obwodzie ciastnym i fatalnym zamknęły.

Znajdując potrzebnem настаć, że P. Kraszewski nie chybił, wystawując swego Gustawa za poetę. Zawsze i wszędzie te przymioty, które mu przyznają, utworzyłyby niepospolitego człowieka; ale stosownie do wyobrażeń, z którymi się sprzymierzamy, stosownie do celu, który sobie założy, okaże się inaczej w innym czasie, w innych stosunkach, jak w drugih. Ta jest przyczyna tak nieobrachowanej rozmaitości spraw i postępów ludzkich, pomimo tak niewielkich różnic w charakterze, zdolnościach, namiętnościach ludzi wszystkich wieków. Skutkiem zbiegu w obecnej chwili dwóch różnych moralnych epok (o czemśmy wyżej mówili), ponieważ podobalo się P. Kraszewskiemu okazać swego bohatera obrońcom ku przeszłości, gniewamy się na niego, że nie widzimy na jego czole blasku promienistego wschodu, którym jesteśmy zachwyceni sami. Ta sama postać niechby się obróciła, nie poznalibyśmy jej za to, czem była pierwiej. Nie wolno więc wymagać, ażeby P. Kraszewski większymi przymiotami serca i rozumu nadał swego Gustawa, dla okazania go godnym imienia poety, lecz ażeby on dzisiaj naszym do tego słowa przywiązanym wyobrażeniem odpowiadał, należało było wystawić ten niepospolity charakter nie w rozpasaniu filozoficznej samowolności, niedawno panującej, ale pod prawem chrześcijańskiem, w które dziś najznajomitsze umysły właśnie jako w jedyny tryb możliwego doskonalenia się z upragnieniem i rozkoszą wchodzi. Gdyby jednak tak był postąpił autor Świata i Poety, zupełnie inny cel naznaczył swemu utworowi; bo nie tylko nie mogłyby się wysnuć te zdarzenia, które odmalować zamierzył, ale nawet musiałby był odrzucić całe to wejście ironiczne i anatomizujące na świat, ludzi i życie, które tu jest tłem niejako całego dzieła. Pod tym ostatnim względem szkoda była, żeby to zaszło; bo jakkolwiek mamy to wejście za błędne i niesłuszne, ale ponieważ w obcych literaturach długi czas było panującym, ponieważ zaprzeczycie nie



można, że i u nas było w obiegu, dobrze więc, że w obrazie narodowego pisarza pozostało dla śladu. Życie podobno to ma przeznaczenie, żeby wyczerpać wszelką myśl i wszelką kombinację myśli; sam błąd, żeby przeszedł i nie wracał, musi się przejawiać.

Warto prawdziwie zastanowienia, że z tego sprawiedliwego widoku, iż ludzie z geniuszem żywsze mają uczucia, piórnniejszą imaginację od reszty, wyciągnięto tak błędny wniosek, że właściwa im a nawet przywoita różnić się od innych dziwactwem i dziecinnością postępów. Dzieje się tak niestety, ale to wtedy, kiedy uczuciom serca i porywom wyobraźni nie panuje żaden przewodnik w rozumie, w przywoitości towarzyskiej, w karności religijnej; wtedy ich zapędy nie są zaiste torem genialnym, ale właśnie zapomnieniem na geniusz, wybocheniem zwierzęcej natury; nie rozjąwają jego szlachetną, ale owszem spodeniem i zmarnowaniem. Pojmujemy np., że ów wrodzony sercu ludzkiemu egoizm silniej szturmuje do namiętnego serca, ale zupełnie niewłaściwie, ażeby to serce tem też mu się łatwiej poddawało, — owszem szło za pierwszymi jego poszeptami, jak dziecię uwiedzione widokiem cacka. Jest to geniusz brać za jedno z dziecinną plochością, albo z chęcią nierozumnego bydlęcia. Jak upadła się wielce Gustaw, kiedy łamiąc wiarę i przywiązanie do dobrej żony, zamienia ją na napatkaną przypadkowie stroniczkę swoich literackich upodobań. Nietylko nie wierzymy odtąd w jego rozum i uczciwość, ale pomimo wszelkich jego rozpraw o duszy kwiatków, mamy go za człowieka płytkiego i zimnego serca, kiedy w nim upodobanie chwilowe mogło zagłuszyć tak łatwo ów wzgląd na cierpienie ukochanej osoby, owe przywiązanie do spółniczki losu, które w tkliwej duszy z każdym dniem, z każdą godziną się rozrasta i niebawem dwa istnienia w jedno i nierozdzielne na doczesność i wieczność spaja. Wystawiać, że człowiek z wyższym umysłem dla dogodzenia pierwszemu upodobaniu może przynosić tak wielkie ofiary, zrywać tak silne związki, tak nieczule siebie samego nad wszystko przekładać, jest to wystawiać, że człowiek godziwie może nie mieć innego celu w życiu, jak dogodzenie samemu sobie; jest to stawiać go niżej od tych wszystkich dusz pospolitych, które z nim mają sprzecz-

ność stanowić: bo jużciż taki marzący samolub nie jest w niczem wyższy od głupiego skąpca, podłego spekulanta, całej tej ciżby wiążącej dusze w brudnych uciechach tutejszego świata. Biednyż to geniusz, który się tylko obaleniem szczęścia własnego i spodeniem się dobrowolnem dowodzi! Lecz nie sam Gustaw służy w dziele, o którym mówimy, za przykład niepodobieństwa genialnemu człowiekowi trzymać się cichego i prostego toru zwyczajnego życia; dowieść tego potężniej jeszcze mają przytoczenia z biografii artystów, stanowiące epilog. Widzimy tam ludzi pamiętnych imion w sztukach, występujących przed swymi współczesnymi z plodami rzadkich talentów i postępkami szalonymi, a przynajmniej zupełnie dziecinnymi. Mająż one być nierozłączne? mająż ostatnie być warunkiem pierwszych? Nigdy się na to nie zgodzimy; pierwsze są tylko przejawą geniuszu; drugie dowodem, że lub nieszczęśliwa epoka, lub fatalne okoliczności, lub położenie towarzyskie i stosunki życia, nie dozwolily połączyć ten geniusz z wyższem pojęciem celów człowieczeństwa, z szacunkiem, na który zasługiwałyby te rzadkie przymioty od samych szczęśliwych ich posiadaczy. Przynajmniej już wyżej, że namiętniejsze dusze łatwiej dojdą do zbytków w każdym rodzaju, lecz kiedy te zbytki są widocznie potępienia warte, nie uszlachetnia ich w naszych oczach udział, który w nich brali geniusze, ale owszem w nich mamy widzieć przyczynę, dlaczego się te geniusze jeszcze okazały, jeszcze obficie nie przejawily. Wskutek tylko obłędu ostatniej epoki, która miała cały porządek rzeczy wywrócić na nice, i dla nowości sprawy wszystko dawniej pogardą odkryte za rzecz ważną i uczciwą ogłaszała, stało się, że w anegdotach o nieporządnem życiu artystów szukano źródła ich talentu; ktokolwiek zna wycieńczający wpływ rozpuści na władze moralne, nie uzna w niej zapewne żywiołu talentu. Jeżeli widzimy tyle przykładów geniuszów, których życie było ciągiem sprzeczności, bujania samopas pod natchnieniem chwilowych namiętności; zadziwienie nasze na ten widok ustać powinno, kiedy się zastanowimy, jak do dzisiejszej pory publiczna karność moralna zostaje na niskim stopniu, jak właśnie zbywało jej na środkach ujęcia najznamienitszych umysłów i jak rozliczne mniemania panowały, że jest dla nich niepotrzebna i szkodliwa?! Dzisiaj-

szy wiek dopiero, gruntując ideę religijną, ustawia naturalnie panowanie prawa, uczciwości i rozumu nad człowiekiem w powszechności, nad geniuszem i ubogim w duchu zarówno, i nikomu pod żadnym pozorem walki przeciwko niemu nie przebacza. Ta dążność, jeżeli się ustali, przeważnie zaiste zmiany sprowadzi i istotnie nowy okres stanowiąc będzie. Należy najnamiętniej tego pożądać; tymczasem ci wszyscy, którzy chcą zalecić geniusz jako szlachetną część ludzkości i znamię odróżnienia od pospolitej ciżby, nie mogą przestać na wystawieniu go w niezmiennej naturze gwałtownego ale ślepego uczucia, widnego z przejaw świętnych, ale nieraz bardzo blizkich szaleństwa. Za to go dość powszechnie miewano, i usprawiedliwiał to w części owe tysiąc razy kłatwą odkryte sądy pospolitego zdrowego rozsądku, który go pogardzał, a przynajmniej który go się lękał. Najstosowniej będzie dowieść, co jest istotna, że to tylko zewnętrzne i najszkodliwsze jemu samemu wpływy, duch czasu, kraju, towarzystwa, widły go czasami do tych dzikich nadżyć; lecz sam z siebie usposobiony był jedynie do przejawień wzniosłych, czystych, rozumnych. Kiedy mówię rozumnych, nie wywodzę tego przymiotnika od wyrazu rozum, który w nowem i najpospolitszem rozumieniu kładą jako władzę duszy w wielkiej hierarchicznej niższości od geniuszu;— gdzie tam? mają go ledwie nie za przeciwność geniuszu; ja używam tu wyrazu rozum, jako sumienia myśli, jako sądu, czy też rzecz dana z żadnej strony zarzutowi i naganie nie podlega. Taka tylko rzecz, jest rzecz rozumna. Jeżeli geniusz jest siłą, rozum jest władza. Ostatnia może godziwie wymagać od pierwszej, żeby na rzecz słuszną była użyta; może jej naznaczyć pęd i kierunek, da wsparcie i pomoc, według tej myśli, w którą choćby jak w przypuszczenie wierzyć można, że najzaczniejsze władze ducha naturalnie się sprzymierzają i godzą. W powierchownem nawet wejrzniu łatwo zmiarkować, że poważny widok życia, wyższe cele użytku nazaczy dla geniuszu, niżeli niewiadomość i poziome pojęcia o przeznaczeniu człowieka, tak samo, jak w moralności nauka poświęceń i cierpliwości innym będzie żywiołem dla duszy, jak przestawanie na zaspokojeniu zwierzęcych gustów i swawoli!! Byłoby w biografjach geniuszów nietyle ulicznych i szynkowych anegdot, ale o ileż mniej

mogłoby być zapoznani te zaszczyty ludzkości! W najogólniejszem zdaniu byłaby to różnica geniuszu w ludziach, od geniuszu w dzieciach.

Tak samo, jak zbytek władz i życia w genialnych duszach otacza je niebezpieczeństwem nadużycia, albo wywarcia na niegodne przedmioty; równie też niespokojność umysłu im właściwa, że chcieliby przeniknąć w głąb bytu, wtedy, kiedy jej żaden przewodnik nie służy, dowiedzie łatwo do rozpaczliwej pogardy życia, do cierpkiego nieukontentowania z siebie i ze wszystkiego. Zaledwie wynurzamy się z przeciąglej epoki, gdzie ten czarny zamęt kłębił się we wszystkich głowach, a w sztuce wyjawil przez poetyzm Bajroński. Niektórzy myślą, że jest to ostateczną poezią ekscentryczną, tak jak rozczarowujące i rozpaczliwe myśli, z których powstaje, są ostatecznym wypadkiem wszelkiego logicznego, potężnego i genialnego myślenia. Dziś już można zaprzeczyć, żeby tak było. Wejrzniecie to, obnażające tak doskonale całe życie, jest ostatniem dojrzaniem umysłu, zostawionem samemu sobie; lecz stanowisko następne, wyższe od poprzedzającego, chociaż także takiej wyniosłości, że pod niem życie maleje i znika, przynależny wejrzniu geniuszu, oświeconego przez najwyższą mądrość i prawdę, przez objawienie. Narowem ludzi wykarmlonych plewą światowej mądrości XVIII wieku, i tutaj jak we względzie moralności, gotowimy się obawiać, ażeby ta prawda opowiadania zarówno mędrcom i prostaczkom nie zrównała głów genialnych pod poziołm głów pospolitych; lecz to jest marne lękanie: bo chociaż religia daje jednostajne pewniki dla wszystkich, ale zaiste nie sprawi, ażeby dusze wrzące zamieniły się w dusze obojętne i nietrwożne nigdy zagadką bytu; uspokoi je nie przez nieuczłość, ale owszem przez ukazanie im wyższych widoków i szlachetniejszych nadziei. Ostatni wypadek myśli badającej życie jest przekonanie o nicości tutejszego świata, jesto to samo, co religia jako najprostszą prawdę ogłosiła; lecz podczas kiedy odkrycie myśli oburza człowieka, do narzekań i walki go powołuje, twierdzenie religijne jest spokojne, bo objawia to jako rzecz koniecznej i dostatecznej przyczyny. Jednem z miejsc, wywierających najdzielniejsze wrażenie na czytelnika Świata i Poety, jest lekcya anatomiczna;— lecz nie wiedzieliśmy-że

dawniej, że człowiek składa się z nieśmiertelnej duszy i śmiertelnego ciała, które ostatnie nie jest w niczem innym różne od każdej innej ziemi, każdego innego prochu? Znajduję wszelako właściwem to wystawienie dotykającego obrazu znikomości: śmierć ciała nie zdaje się być ku temu głównie wymierzona, ażeby trwożyć ducha widokiem nicości, i zmysłowe dowody śmierci stawić w walce z instynktem tylko i nadzieją nieśmiertelnego życia? W uczuciu religijnem nie zapoznajemy bynajmniej tej przeraźliwej rzeczywistości; nie jest nam wprawdzie nawet przenikać się zgrozą tego widoku; słabym tylko umysłem godzi się zejść stąd do grubej doktryny materializmu. My przeciwnie, pojmując, że zawsze śmierć fizyczna powinna być pozornem zniszczeniem człowieka przerażała; rzeczywisty widok sali anatomicznej, obraz poety, który nam wszystkie jej obrzydliwości odsłania, uważamy za wspierające to mocne wrażenie, które nam wytrzymać nie zawadzi; lecz wynosimy stąd jeszcze szersze przekonanie o różnicy pomiędzy duchem ożywiającym a organami, które mu służyły, póki ich do swych usług używał. Tak samo wejście poety, które wykrywa wszystko złe i niedoskonałość tego świata, wykrywa istotną prawdę, lecz taką, którą umysł religijny dawno znał i spodziewał się, dlatego panuje nad nią z wysoka i do niepotrzebnej z nią walki, do gniewu nań i oburzenia nigdy nie schodził. W umysłach religijnych musi być zatem pogoda i cierpliwość, których inne nie znają, a które nie są wcale nieuczulością. Owszem, człowiek wierzący cierpi zarówno z całą ludzkością wszystkie ciosy, nieodłączne od pielgrzymki po tej krainie próby, lecz znosi to, uznając za warunki swojego bytu. Wiara jego nie uwalnia go od cierpienia, ale naucza go z szlachetną jej cierpliwością ponosić. Ci, którzy zasadzają wielkość człowieka w cierpkości, rozczarowaniu i sile melancholii, do których według ich mniemania dostępuje tylko śmiały umysł, zgłębiający wszystkie sprzeczności, czczość i smutek tego życia, myślą się, kiedy zapoznają, że przy religijnem wejściu, te sprzeczności, ta czczość, ten smutek, są równie widne i ciągle umysłowi przytomne, a to właśnie że wierzący, jako te prawdziwe znamiona doczesności są konieczne i w wyraźnych, lubo teraz dla nas nieprzenikniętych celach dopuszczane, daje tym pomysłom i uczuciom rozle-

glejsze jeszcze wymiary melancholii, przy których dzieciństwem jest najszczytniejszy gniew Bajroński na świat i ludzi. Jest bowiem i siła, i energia w poddaniu się chrześcijańskiem, w znoszeniu życia, od którego odbieramy tysiączne bole; w przywiązywaniu do pewnego, chociaż nieznanego porządku, fenomenów, sprzeczności i bezładu, które dostrzegamy. Zresztą inna jest natura cierpień odnoszonych z niesłusznymi wymaganiami do życia, albo ze skutków własnych przewinień (na co się zwyczajnie skarżą poeci rozczarowania), od cierpień, które wytrzymuje człowiek z niesześciwymi nieuniknionych, z niesześciwymi warunków bytu jego na tej ziemi, bez winy, bez oburzenia, bez skarg, poddając serce pod krwawe ciosy, w boleści, której wie, że niema tej ziemi ratunku i lekarstwa, a w zagrobowej tylko nadziei, że tam się dopiero odsłonią tajemnice Miłosierdzia, które mu wytłumaczają cel tych niewymownych udręczeń życia.

Niech się nikomu nie zdaje dziwnem, że bronię religijności pod względem sprzyjania melancholii życia, która zdaje się wielu osobom (i niezapelnie niesłuszenie) głównym żywiołem poetyckim. Ci mniemają, że stała wiara zawraca do martwej i ograniczonej spokojności. W tem nawet religijność jest przyczyną postępu; rozszerza ona jeszcze granice i oddzielność melancholii pojmowania świata, lubo wstrzymuje ją w godziwych szrankach i zamiast urojonych, daje jej sprawiedliwe przyczyny.

Rzecz uwagi godna, że podczas kiedy wizerunek poety, skreślony według wyobrażeń niedawno panujących, a nawet i teraz w połowie przynajmniej istnących, wydał się nam wielce niewłaściwym, upatrzyliśmy wzór najodpowiedniejszy naszym pojęciom w tym względzie w poecie XVI wieku, w Janie Kochanowskim. Jest to rzecz bardzo naturalna, o tyle bowiem musi nam być jednorodną wszelka przynależność religijnej choć oddalonej epoki, ile jest obcym i sprzecznym graniczący z nami okres. Jan Kochanowski jest wyższy człowiek i chrześcijanin razem; dzisiaj każdy wyższy umysł musi odpowiadać wyobrażeniom chrześcijańskim, jeżeli ma być synem swojej epoki, nie zaś opóźnionym za wielkiem i ostatniem stanowiskiem czasu. Nim zaś epoka nasza zdobędzie się na wzór takiego męsa, godziwie

bardzo możemy go szukać w wiekach nieposzczerbionej idei religijnej, szczęśliwiej, że nasza własna literatura następcza nam wizerunek tak doskonala, jak wieszczą z Czarnego Lasu. Mam za prawdziwą zasługę pisarzowi, który ukrył swoje nazwisko pod tyle razy wspomnianym pseudonimem, że dotknął tak istotnego względu; radymy, żeby kto jeszcze rozwinął tę samą myśl szczegółowiej, w poważniejszym nawet tonie i w umiejętnem skreśleniu wizerunku Jana Kochanowskiego, który przy skromnym i spokojnym biegu swego życia był tak genialnym, tak czułym, tak wzniosłym, wystawi ów godny wzór człowieka, do którego nie możnaby zbliżyć nawet poety według ostatnich wyobrażeń, żeby się nie okazał chyba śmiesznym tylko historykiem<sup>1)</sup>.

Po najdziwniejszej przerwie czyli zawieszeniu wyobrażeń religijnych, Europa dziś do nich powraca; przynajmniej jawne i liczne są tego ślady, a jeżeli te nie zawiodą, jeżeli szczególnie fatalizm jaki nie zwiedzie na uboczne te szczęśliwe dążenia, zostanie godziwie myśleć, że świadkami jesteśmy najważniejszego i wielce błędnego kroku ludzkości. Prace pokoleń, koszt doświadczeń, koszt klęsk, walka wyobrażeń, wszystko, z czego się ostatni wypadek rzeczy wysnuł, nie mogą pozostać bez śladu, stąd więc ta zmiana nie może się uważać za prosty powrót, za wznowienie dowolne raz już umarłej przeszłości (jak to niektórzy utrzymują); nie, to będzie peryod nowy, peryod samostny, peryod postępu, który we wszystkim musi wystąpić z własnem obliczem. Wszyscy wiemy, że dwuwiekowy kończący się okres, który najwłaściwiej okresem reformacji nazwaćby można, był wypadkiem rozumu powstającego nad wiarę, dzisiaj przeświadczenie rozumne o pierwszeństwie i nieomyślności wiary jest zapewne zawodem niemniejszej i niemniej osobliwej ery. Śród właściwości tej rodzącej się w oczach naszych

<sup>1)</sup> Nie mamy takiego wizerunku J. Kochanowskiego. Dawniej silono się tylko na cześć deklamacje. Krytyka w Przyjacielu ludu przed kilku laty umieszczona, była wcale gruntowna, ale ciężka, oderwana, zbyt technicznie niemiecczyzną odbijająca. Panna Tańska napisała jakąś chwalebną biografję, gdzie nawet nazwisko Kochanowskiego od Kochania, jak gdyby jaki Jezuita wywodzi. Uwagi o pismach Kochanowskiego przez byłego profesora Borowskiego z wielkim naszym żalem spoczywają w rękopiśmie.

przyszłości w rozmaitych względach, jakim uleżać będzie musiał namiętnościom geniusz można dziś chociaż z wątpliwych analogii wnosić.

Żeby wszelako uniknąć nieporozumień, teraz do wyrazu religij wiażących się, znajduję stosownem opowiedzieć z góry, że ile razy mówię o Chrystyanizmie i powrocie do Chrystyanizmu, rozumiem zawsze rzeczywistą naukę naszego kościoła i przyjęcie jej, nie zaś nieokreślne widzimisię modnych dzisiejszych pisarzy, albo rozliczne zapędy tak słusznie potępione od stolicy apostołskiej. Najłatwiejszą próbą rozeznac istotny Chrystyanizm od tylu dzisiejszych doktryn, pożyczających tego płaszczyka, byłoby pamiętać, że nasza religia nie jest bynajmniej modlą, do której innych naginać powinniśmy, ale według której własne namiętności karcieć nam i poskramiać należy; nie namawia ona nas do reformowania świata, ale do poprawy osobistej, do starania się o doskonałość własną, czyli jak skromnie nazywa, o zbawienie; i przez pilnowanie dróg sprawiedliwości przez każdego pojedynczego człowieka, zgola, jest ona dla nas prawem, a nie orężem. Jedynie więc zasady, zgodne z jej mądrością, są miłość ludzi, skromność ducha, baczność nad sobą, a dla wszystkich innych powolność i wyrozumiałość.

Wtedy więc tylko przyznam, że duch religijny rozwija się we właściwym sposobie i w zawarowaniu od groźnych mu teraz zbroczeń (na które uskarżałem się w innym miejscu), kiedy znacznie działał w swoim zwyczajnym charakterze trybu moralnej uprawy na umysły i serce, kiedy znacznie działał z dawną powagą i prostotą, a w tem cechę wieku wykaże, że przyjmowany będzie z przekonaniem na doświadczeniu opartem, że on jest jedynym i najdoskonalszym środkiem doskonałości i jej warunkiem. Ta wiara, poślubiona przez umysły przodkujących wiekowi i ludom, przez artystów, przez geniusz, przez piszących, rozproszy natychmiast wszystkie wyobrażenia o mniemanych cechach wyższości i talentu w rozpasaniu się na szaleństwo albo na namiętność; wrazi myśl, że ani talent, ani charakter artysty nie może się udowodnić tem, co jest poniżeniem człowieka; zaszczepi nadewszystko wstyd i obrzę sumienia puścić się tą drogą dobrowolnego błędu. Tak mistrzując



nad sumieniem i postępkami artysty, wpłynie naturalnie na sposób, w który przejawiać się będzie w artystycznym dziele. Tu zbiega się filozofia moralna i krytyka literacka.

Wyniknie naturalnie z powyższego założenia, że wszystkie zewnętrzne przesadne okazy muszą zostać powściągnięte, że wszelkie uczucia muszą zejść do samych rzetelnych, głębokich, w duszy skupionych; pomysły więc nabiorą nieznaną dotąd gruntowności, będą oparte na szczerości i przekonaniu; uczucie będzie przenikliwsze, jako mimowolny prawie wpływ nieudanej, ale urodzonej i powszechnie pojętej tklivosti.

Wszystko zaś to wyjawi się rzadziej przez pośrednie, niżeli przez bezpośrednie środki, co zawrze sztukę w najwłaściwszych dla niej granicach; skracając bowiem wodze temu zbyt uczuciowemu liryzmowi, który żywi się to mędrkowaniem umysłowym, to manią obnażania się teatralnego i który zapłynął całą dzisiejszą poezję, zwróci ją raczej ku poważnemu epos i żywej dramaturgii. Niech bowiem co chcą mówią, poznać poety jest możność tworzenia postaci ludzi żywych, świata i życia swojego wymysłu. Ten, który posiada ten dar szczególnie, przejawia swój obraz myślenia, swój sposób uczucia przez ten tryb artystyczny. Wielka owa karność chrześcijańska, którą będzie wywierał nad sobą, posłuży mu do pojmnowania bezstronnego, ogólnego, z wysokiego punktu świata i ludzi, ich losów, ich namietności i gry ich życia. W tym ostatnim widzieć on będzie zachwycający i nieprzepatrzony świat, który od t w r a z a c jest powołany, i takim sposobem na tej kończynie cywilizacji znówu będzie miejsce temu niepofalszowanemu odzworowywaniu się rzeczywistości w poezji, które nad młodzieńczemi epokami jak jasna luna dotąd świeci.

Staaliśmy tu wobec kwestyi obszernej, różnostronnej, nowej; powiem przynajmniej, jakimi ogniwami myśli się może tu wiązać.

Myślę, jak wszyscy myślimy, że wstąpiliśmy od lat kilkunastu w epokę zupełnie nową; lecz widzę zaród tej nowej ery nie w czem innym, tylko w przeświadczeniu rozumu o potrzebie znacności i nieomyślności wiary. Po gruntowaniu się wyobrażeń religijnych miarkuję stopień dojrzenia nowej epoki, usamo-

wolnianie się jej od przeszłości, coraz wyraźniejsze odróżnianie od niej.

Sądzę, że te zmiany pociągną za sobą zmiany w całym ogóle, w wyjawie ducha, a zatem i w poezji; o tej ostatniej duchu i kształtach wnioskuje.

Wbrew mniemaniom, że Chrystyanizm uduchowiał na zawsze poezję i dał przewagę lirycy i idealizmowi, zdaje mi się naprzeciw, że w epoce to spokojnej i doskonale chrześcijańskiej zjawi się znówu doskonała poezja obiektywa, realna.

W religijnem bowiem dopiero oświeceniu i uspokojeniu trafimy na prawdziwy punkt widzenia natury i świata, i będziemy mogli ją odobrazowywać zupełnie. Tak było zawsze w epokach wiary, co liczne przykłady potwierdzają; a ponieważ dzisiejsza ma to być wiara gruntowniejsza i całkowitsza niż kiedykolwiek, jako przez ludzkość na postępie uzyskana, rozumienie natury powinno też być teraz zupełniejsze jeszcze i doskonalsze.

Że ugruntowanie się religijnej cywilizacji wyda poezję przedmiotową, możemy wnosić chociażby z tego, że epoki przechodowe zupełnie przeciwne temu płodzą zjawiska. W istocie wśród wyobrażeń wrzących, ścierających się z sobą, wątpliwych, nie rzetelnego nie powstaje. Myśl niespokojna nie może stworzyć obrazu skończonego. Widzimy tego najjawniejszy przykład na poezji Bajronowskiej. Lary, Konrady, Giaury są usobieniem myśli rozpaczliwych o świecie i życiu. W odpowiedniość myślom błędnym, powstaje świat z pół szatanów i z pół aniołów, ale nie z ludzi rzeczywistych złożony; świat sofistyczny, różny od istotnego. Świat ten jest dziki, posępny, wzniosły; ale zapewne świat rzetelny celuje go harmonijną proporcją, a szczególnieją tą niewyczerpaną rozmaitością, przy której ustawiczna jednostajność tamtego jest nigdy niezamaskowanym śladem ubóstwa.

Według takiego wyobrażenia o naturze postępu, leżącego dzisiaj przed ludzkością, nie dziwnego, że nie wszystko, co dziś mają za krok ostatni, mam jeszcze za takowy; a niejedną przejawę niby nowego ducha, widzę za pochodzącą wyraźnie od przeciwnego jemu pierwiastku niedosunutej przeszłości.

Tak samo jak idea religijna, dzisiaj chodząca, z trudno-

cią otrząsa się z nawyknień bujającego racjonalizmu, tak samo w sztuce barwami chrześcijańskimi chcą osłonić dawne natchnienie. Stąd niemało jest dzisiaj utworów, które mają stanowić nową szkołę, a nie stanowią jej bynajmniej. Takimi są, według mego mniemania, epiczne fragmenta Lamartina; takimi u nas nawet niektóre poemata. Kiedy postrzegam wybujałość marzeń, zaciekłość namiętności, wyobrażenia o świecie w złem czy dobrem przesadzone, widzę, że ten poeta używa jako obcej przyprawy znaków chrześcijańskich, tworzy dalszy ciąg tej poezji ogniistej, która niedawno była najjaśniejszym symptomatem gorączki i cierpienia wieku; płodem człowieka, który cierpiąc od życia i nie wiedząc, na jaki to cel on cierpi, rwał się przynajmniej w sztuce samowolnie niem rozrządzać. Nie jest to jeszcze plód duszy uleczonej, uspokojonej chrztem prawdziwej wiary. Ciągłe bowiem powtarzam, że Chrystyanizm nie jest systemat filozoficzny, ale prawo moralne; widny on nie przez słowa, ale przez uczynki. Chrześcijanin wie, że ten świat jest znikomy, koniecznie niedoskonały, padł płaczu i cierpienia, naznaczony na szranki bolesnego doświadczenia; nie namawia go więc żadna namiętność, żadna gorycz, żadne zamniemanie geniuszu, ażeby ten świat według własnego wyobrażenia przetwarzał; ale jeżeli w nim jest zdolność twórcza, bądźle go bez usiłowania swobodnie i ustawicznie odtwarzał, i to dopiero jest poezya rzetelna, szczerza, nigdy niewyczerpanej treści, jak sama natura.

Jest to kilka tylko w bardzo małej liczbie względów wiele zajmującego przedmiotu; boję się wszelako, ażeby i to nawet nie okazały się równie powierzchownie dotknięte, jak niespodziewanie (zdawać się komu będzie) w tę rozprawę zajęte. Ten ostatni zarzut byłby niesłuszny. Mówiąc o tem, jak wyobrażenia o poezyi i poetach, niedawno jeszcze panujące, przestały rymować z wyobrażeniami ostatniego stanowiska pojęć, przywiedzeni zostaliśmy naturalnie do mówienia, czem jedna i drugą, według nich i w zgodzie z nimi będą?..

Stąd wypadało nam wytłumaczyć się, za co głównie uważamy nowe dążenie wieku?.. i wyznaliśmy za wielką liczbą znakomitych głosów, że za wzmagającą się powagą idei wiary; następowało pytanie: jaki będzie poeta religijny?.. jakie będą

utwory poety katolickiego?... a to ostatnie wiodło do rozległych i zupełnie nowych literackich widoków. Na niektóre z nich ukazaliśmy chociaż pobieżnie. Przystajemy tą razą na odsłonienu samem tego obszernego horyzontu nowej krytyki, którą nazwiemy krytyką katolicką. Dotąd bowiem wejrzeniu krytycznemu panowały przeważnie wyobrażenia innego rodzaju; od niejakiego czasu poznać się dało dążenie ku zmianie stanowiska; teraz za ustaleniem się nowych pojęć, czas ażeby otwarcie one przewodniczyły sądowi gustu i rozumu. Zostaje więc obejrzeć w zupełnie nowem świetle całą prawie literaturę; zostaje odtąd zdanie o rzeczach i osobach zasadzić nie na przeminiomych i cudzych, ale na obecnych i własnych naszych pojęciach; zostaje, uchylając niedorozumienia, zgodzić sąd nasz literacki z ogółem mniemań, które za prawdziwe i wiary naszą mające ogłaszamy.

Otóż tej to zgody dotąd niedostawało. Za zasługę sobie kładę, że pierwszy tu krytykę literacką na wyraźne stanowisko katolickie wwodzę. W wątlej tej rozprawie sama ważność, rozległość i nowość przedmiotu utrudzała mi wyłożenie jego porządne i jasne; lecz nie wątpię, że odtąd i mnie i każdemu łatwo będzie tę myśl rozwinąć w jej ciągu, następstwach i szczegółowych przystosowaniach.

CVII.

## TYSZYŃSKI ALEKSANDER.

(1811—1880).

Po r. 1831 i wyjeździe Mochnackiego z kraju, przez długi czas nie było w Polsce wybitnego krytyka. W r. 1837 ukazały się dwa dzieła pokrewnej treści, których autorowie odtąd przez szereg lat stali na czele krytyków, w kraju piszących: »Literatura i krytyka« Grabowskiego i »Amerykanka w Polsce« Tyszyńskiego. Po r. 1840 powaga Grabowskiego jako krytyka powoli maleje, Tyszyńskiego — wzrasta; od r. 1854 (od wydania »Rozbiorów i krytyk«) Tyszyński dzierży już berło krytyki, na filozofii ugruntowanej, przez czas dłuższy niepodzielnie.

Tyszyński pochodził z województwa krakowskiego; w w. XVIII osiedli na Podolu. Ojciec Aleksandra, Erazm Tyszyński, prawnik z zawodu, urzędnik w Sądzie Głównym podolskim, ożenił się z Teresą Sartyni (wołoskiego pochodzenia). Zostawszy plenipotentem ks. Michała Ogińskiego, przeniósł się do Helenowa w powiecie Oszmiańskim (gub. Wileń.), a w parę lat potem osiadł w Petersburgu. Dnia 21 maja r. 1811 urodził mu się tu syn Aleksander. Wiodło się w Petersburgu Erazmowi Tyszyńskiemu nieźle, bo prowadził dom na pańską stopę przyjmując u siebie przedstawicieli sfer arystokratycznych i dygnitańskich. Po wojnie 1812 r., wraz z interesami księcia Ogińskiego zachwiał się interesy i jego patrona. W 1815 Erazm Tyszyński udaje się w sprawie swego patrona do Warszawy i na Litwę, pozostawiając rodzinę w Petersburgu. W Mińsku, po krótkiej chorobie, umiera, zdala od rodziny. Wdowa z dziećmi porzuciła stolicę nadweską (w 1816) i zamieszkała w Mołodecznie na Litwie, ale już w następnym roku przeniosła się do pobliskiej Miassoty (w pow. wilej.), przekazanej jej przez ks. Ogińskiego na własność, tytułem wynagrodzenia za trudny przez Erazma Tyszyńskiego około jego interesów położony.

Aleksander Tyszyński uczył się w szkole OO. Trynitarzy w Mołodecznie, w której przed nim pobierał nauki Tomasz Zan, a przygotował go do niej brat jego, Stefan. Mając zaledwie lat 15, wstąpił Tyszyński do uniwersytetu w Wilnie, na wydział prawny, w r. 1825, równocześnie z Słowackim. W czasie studiów Tyszyńskiego i Słowackiego uczęszczali do uniwersytetu wileńskiego m. i. Hipolit Klimaszewski, Józef Mianowski, Stanisław Kierbedź, Ignacy Holowiński, Konstanty Tyszkiewicz; czy się z nimi znał Tyszyński, niewiadomo. Uniwersytet ukończył w r. 1828, a więc w tym samym roku, co Słowacki; obaj ze stopniem kandydata obojga praw. W pamiętniku swoim wspomina Słowacki z goryczą, że ominęła go pierwsza nagroda, przeznaczona dla najbardziej celującego, której był pewny, i że się ona »komu innemu dostała«. Tym »kim innym« był właśnie Tyszyński. (zob. L. Janowski. Lata uniwersyteckie Słowackiego. Lwów, 1909, str. 36).

Po ukończeniu nauk wrócił Tyszyński do Miassoty. W powstaniu r. 1830—31 udziału nie brał. W 1832 r. został urzędnikiem kancelaryj powiatowej marszałkowskiej w Wilejce, a wkrótce potem — sądu gubernialnego w Mińsku. Po trzyletnim urzędowaniu udał się Tyszyński w r. 1835 do Petersburga i tu oddał do druku pierwszą swoją pracę literacką — »Amerykankę w Polsce«; ale ukazała się ona dopiero w r. 1837. Przez lat kilka (3) był też Tyszyński współpracownikiem »Tygodnika Petersburskiego«; umieszczył w nim m. i. artykuł o Mochnackim i Grabowskim p. t.: »Dwaj ostatni krytycy w Polsce« (1837).

Powróciwszy na Litwę, Tyszyński został wybrany na sejmiku w Mińsku (pod koniec r. 1835), na 3 lata sędzią granicznym, poczem przeniósł się do Warszawy, gdzie w 1839 r. otrzymał posadę w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych. Bywał na zebraniach literackich w salonach Rozalii Rzewuskiej, Niny Łuszczewskiej, Lewockiej, Nakwaskiej, Leona Lubińskiego i innych. Zawiązał serdeczny stosunek z A. J. Szabrańskim, redaktorem »Panoramy literatury krajowej i zagranicznej«, któremu jeszcze w r. 1839 dał oceny dramata, jak sądził Krupniński, (a za nim Chmielowski), nieznanego z tytułu i drukiem nieogłoszonego, bo skrytykowany widocznie przez Szabrańskiego. Był to zapewne wydrukowany w »Przeglądzie Warszawskim« Skimborowicza z r. 1840, w streszczeniu i w wyjątkach, dramata w trzech obrazach, p. t. »Próba«. Po chybionej »próbie« dramatycznej i chybionym również trzech obrazkach powieściowych, wydanych p. t. »Marena albo powieści blade« (1842), Tyszyński zwrócił się niemal całkowicie w dziedzinę krytyki literackiej, oddając się jednocześnie studyum filozoficznym; pomieszczał, od czasu do czasu tylko w »Bibliotece Warszawskiej« i w »Przeglądzie Naukowym« poezje oryginalne i tłumaczone. Głównym odtąd polem działalności piśmienniczej Tyszyńskiego staje się »Biblioteka Warszawska«, do której pierwszych założycieli należał, wraz z Michałem Balińskim, Leonem Potockim

i Antonim Szabrańskim. Przez lat 40, aż do zgonu, był Tyszyński najczynniejszym współredaktorem i współpracownikiem tego pisma. Pierwszą pracą, którą w nim umieścił, była cenna na swój czas rozprawa: »Rys historyczny oświecenia Słowian« (1841); najobszerniejsza, rzecz w »Bibliotece« r. 1850 i 1851 drukowana p. t.: »Początki filozofii krajowej«. W r. 1854 zebrał Tyszyński wszystkie swoje artykuły, w ciągu lat 12-stu z górą w »Bibliotece Warszawskiej« ogłoszone, i wydał je w trzech tomach p. t.: »Rozbiory i krytyki«. Zamykają one pierwszy okres współpracownictwa Tyszyńskiego w najstarszym mieszczańskim naszym.

W roku następnym (1855), po śmierci brata Kazimierza, gospodarującego w Miassocie, Tyszyński opuścił Warszawę i wrócił na Litwę. Wybrany teraz został »deputatem dworzańskim« z powiatu wilejskiego do Zgromadzenia Szlacheckiego w Wilnie. W dwa lata po powrocie Tyszyński (1857) zaślubił pannę Felicyę Frybeshównę, córkę Wincentego Frybessa, b. gubernatora archangielskiego.

Obowiązki ziemiańskie, nieraz uciążliwe, nie zrywają łączności Tyszyńskiego z literaturą i nauką. Pisuje (1856) do »Dziennika Warszawskiego« i późniejszej »Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych«, bierze udział w redakcyi »Teki Wileńskiej« (1857), umieszcza artykuły literackie w »Piśmie zbiorowem« wileńskim (1859), w »Kuryerze Wileńskim« i w »Gazecie Codziennej« warszawskiej; do »Biblioteki Warszawskiej« posyła w r. 1860 p. t.: »Trzy loiki«, ustęp z dzieła, nad którym oddawał już pracował, a które miało mieć napis: »Książka o biegu dziejów czyli Logika filozofii przyrodzanej«.

Z powodu zmiany warunków ekonomicznych po r. 1861 i 1863 i uszczuplenia się dochodów z gospodarstwa, Tyszyński podążył pod koniec r. 1865 znowu do Warszawy, do której zawitał po 10-letniej w niej niebytności. Mianowany profesorem historii literatury polskiej w Szkole Głównej, objął katedrę w r. 1866. Wykładał przez lat trzy, aż do przeszedłacenia Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski w r. 1869. Wykłady jego odznaczały się sumiennością, metodycznością i źródłowym opracowaniem. Pomimo krótkiego swego profesorstwa, zdołał Tyszyński wykształcić kilku wybitnych później historyków literatury i krytyków; z ich grona wyróżnił się szczególnie Chmielowski i Chlebowski.

Po ustąpieniu z katedry, Tyszyński zabrał się do wykończenia dzieła, nad którym pracował lat około 30-tu, i które uważał za najważniejsze z dzieł swoich, owej »logiki przyrodzanej«; przerobiwszy ją ostatecznie, wydał w r. 1870 pod zmienionym tytułem: »Pierwsze zasady krytyki powszechnej«. Następnie, w ciągu lat trzech (1870—73) ukazał się cały szereg jego studyów literackich w »Bibliotece Warszawskiej« i w »Kronice Rodzinnej«: o »Wizerunku« Rejsa, Szymonowicza, Starowolskim, Komedyi polskiej XVIII w., Marcinie Bielskim, Wacławie Potockim, Drużbackiej... które, wraz z późniejszymi, o Kadłubku, W. Pola, Kondratowicz, przedrukowano w jednym zbiorze

(z wyjątkiem rozprawy o Potockim) p. t.: »Wizerunki polskie« w Bibliotece najcenniejszych utworów (1875). Osobno wydano »Dwie Świsetiański«.

W r. 1873 Tyszyński opuścił po raz drugi Warszawę i wrócił do swej Miassoty. W tym samym roku (d. 7 lipca) krakowska Akademia Umiejętności wybrała go na swego członka czynnego. W ostatnich latach, oprócz kilku większych i mniejszych rozpraw, pisał Tyszyński przeważnie sprawozdania krytyczne do »Biblioteki Warszawskiej«, »Kroniki Rodzinnej«, »Ateneum«.

Zmarł 5-go listopada 1880 r. w Miassocie. Pochowany w Radzokowicach.

Znaczenie Tyszyńskiego najtrafniej określił Chmielowski w zdaniu: »Tyszyński był pierwszym u nas gruntośnie w filozofii wywiniętym krytykiem literackim«. Istotnie, nie był nim ani Brodziński, ani nawet Mochnacki, wielbiciel zrazu metafizyki niemieckiej, której się potem wyparł, ani tembardię Grabowski. W chwili, kiedy 24-letni Tyszyński rozpoczynał swoją działalność na polu krytyki, starszy latami Grabowski, który już wtedy miał 10 lat pracy krytyczno-literackiej za sobą, występował z głównem swem dziełem, a więc z sądem wytrawnym. Z młodzieńcem jeszcze zapalem Tyszyński rozprawa o poezyi w »Amerykanem w Polsce«, określa, czym jest w długim wywodzie, ale nie stara się jeszcze sformułować krótkiego określenia, dać definicyi poezyi; czyni to już Grabowski (»Poezja — sztuka jest to swobodna kreacja umu ludzkiego, nosząca na sobie znamię piękności« — Liter. i kryt. I, 68). Grabowski sięga nawet głębiej i stając na gruncie filozoficznym, (choćby krytykiem filozoficznie wykształconym nigdy nie był), dochodzi do przekonania, że właściwie cała natura, t. j. świat widomy, jego fenomena (zjawiska), które odpowiadają czemuś, co jest poza granicami naszej wiedzy, jest wytworem naszej wyobraźni, a więc poezją (Liter. i kryt. I, 32...). Takiego stanowiska wobec pojęcia poezyi Tyszyński w r. 1837, filozoficznie jeszcze nie wyćwiczył, zrozumieć nie może. (Zob. »Dwa ostatni krytycy w Polsce«). Później, po latach studyów filozoficznych, Tyszyński tworzy sobie definicyę poezyi, którą oddał, z małemi modyfikacyami, powtarza w swoich rozbiarach utworów poetyckich (Zob. np. Rozb. i kryt. III, 14, 178—9, Pisma kryt. I, 283). Pogład Tyszyńskiego na poezję da się, odrzucawszy niejasne jego wyśłowienie, sformułować w sposób następujący: »Głównym żywiołem poezyi: jest fantazja; poeta więc jest twórcą, przetwarza bowiem (nie naśladowe, przerabia) artystycznie rzeczywistość (podmiotowa czy przedmiotowa), albo cudze pomysły Tak np. Słowacki (jak Szopen) przetwarzał samistośnię motywy cudze i tworzył, jakby się wyraził Tyszyński, »coś nowego«.

Przeciwko mniemaniu, że sztuka sama sobie jest celem, które Grabowski podzielał, Tyszyński, rozbiegając jego »Literaturę i krytykę«, jeszcze nie występował; uczynił to później, w walce przeciwko heglistom, Kremerowi i Libeltowi. Grabowski sądził, że »poezja wy-



maga nieodzownie inspiracyi swobodnej i nie cierpi w żadnym razie innego celu, jak siebie samą» (Liter. i kryt. I, 74). Tyszyński godził się z Grabowskim tylko pod tym względem, że natchnienie uważał również za niezbędną czynnik poezyi: »Poeta nie pisze wtedy, kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa.« (Zob. »Ameryk. w Polsce« I, 248.).

Spostrzegłszy niejednołitość charakteru poezyi polskiej, odrębności w duchu i w stylu poezyi twórców oddzielnych prowincyi, Tyszyński skupił niektórych poetów XVIII-go i XIX-go w pewne grupy, które nazwał »szkołami«. Każda prowincya Polski: Litwa, Ukraina, Mazowsze, Kraków i t. d. ma oddzielną przeszłość, oddzielne podania ludu, oddzielną naturę wokółu i oddzielne niebo... »Jakie były przyczyny, które jedną lub drugą (poezję) stworzyły: niebo, ziemia, czy ludzie — o tem, jak sam Tyszyński wyznaje, nie pewnego powiedzieć nie może, można bowiem tylko domyśle co do tego tworzyć zasady. Przyznawał uprzedzić, że np. klimat na umysłowość człowieka »wywierca wpływ musi. Stąd mamy ów podział poezyi świata na południową, której cechą imaginacya wesoła, i na północną, której melancholia matką.« (»Ameryk. w Polsce« I, 246—7) ale tego czynnika i innych nie podkreślił wyraźnie i myśli swojej nie rozwinął. Starał się to uczynić, w 50 lat potem, Chlebowski, idąc za wskazówkami Taine'a, i wykazał dobitnie znaczenie różnic terytoryalnych, etnograficznych, i t. d. dla naukowego badania dziejów literatury polskiej<sup>1)</sup>. Z teorią Taine'a Tyszyński się nie godził, przyznając wpływ główny na rodzaj i jakość twórczości czynnikowi duchowemu, tkwiącemu w indywidualności twórcy (Zob. »Wizerunki polskie«, 207 208, i »Pisma kryt.« I, 147—8). Wszystkich wybitniejszych poetów polskich nie udało się Tyszyńskiemu podzielić na »szkoły»; takich szkół upatrzył tylko cztery: litewską, ukraińską, połuską i krakowską. Poza tem, wbrew swej zasadzie terytoryalnej, (zresztą »połuska« nie reprezentuje nawet prowincyi), wspomina jeszcze o »rycerskiej szkole«, do której zalicza Godebskiego, Goreckiego, Tymowskiego i t. d. czyli t. zw. legionistów. O wielu poetach nie wie, do której szkoły ma ich odnieść; niektórych, według niego, sami dla siebie wyłączną stanowią szkołę. Tyszyński sam czuje chwibność swego podziału. Charakterystyki szkół i poetów są naciągane lub niedokładne, a powody, dla których tego lub owego poetę zaliczył do pewnej grupy, bardzo słabo są uzasadnione. Sam to przyznaje co do Woronicza. Charakterystycznym jest, że poetów nie grupuje na klasyków i romantyków; a czynił to rozmyślnie. (Zob. »Pisma kryt.« I, 437). Pod wpływem Tyszyńskiego niektórzy historycy literatury (Bartoszewicz, Nehring) dzieliłi potem poetów XIX w. na »szkoły«, wogóle jednak nazwy te się nie utrzymały, z wyjątkiem »szkoły ukraińskiej«, określenia używanego i przez

<sup>1)</sup> Zob. rozprawę Chlebowskiego »Zadanie historyi literatury polskiej w Atenum 1885 i w »Pismach«, I.

Grabowskiego. Można się jednak zgodzić na zdanie Chmielowskiego, że »obok pracy Mochackiego (O Literaturze pol. w XIX w.), obok jednostronnej i pesymizmem przejętej rozprawy Goszczyńskiego (»Nowa epoka poezyi pol.«) traktacik Tyszyńskiego »O szkołach poezyi polskiej« przedstawia się jako najlepszy, najpełniejszy i najbezbzowniej-szy na owe czasy zarys poezyi naszej z początku w XIX.

Inny podział Tyszyńskiego — dziejów literatury na okresy — również się nie utrzymał. Podał go Tyszyński w swej »Prelekyi wstępnej w Szkole Głównej« w r. 1866 (Pisma kryt. II). Podział ten jest niewątpliwie oryginalny, ale sztuczny, nienaturalny, jak też podobne podziały Maciejowskiego, Majorkiewicza i innych. Upatrzywszy analogię między rozwojem duchowym narodu a rozwojem pojedynczego człowieka, podzielił Tyszyński dzieje literatury polskiej na 3 okresy: 1 okres pamięci (od XII—XV w.), odpowiadający okresowi dzieciństwa (główne utwory — kroniki); 2 okres fantazyi (1500 1650) odpowiadający okresowi młodości (główne utwory — poezye) i 3 okres rozważy (1650—1800), odpowiadający wiekowi męskiemu. Wieku XIX go wprawdzie do tego podziału nie włączył, ale uważał go niewątpliwie za ciąg dalszy okresu rozwoju. Podział ten jest wynikiem ogólnego poglądu Tyszyńskiego na dzieje rozwoju umysłowego ludzkości. Jak ludzkość wogóle, tak i pojedynczy naród przechodzi, według niego, przez trzy stadia rozwoju, podobnie jak pojedynczy człowiek. Ludzkość w rozwoju swoim »przeżyła niegdyś dobę swego dzieciństwa, dobę młodości, a dzisiaj w wiek swój męski wstępuje. W dobie pierwszej wzniosta i wyraziła swoją zbiorową pamięć, w następnej zbiorową fantazyę, w obecnej, jak musi wznieść, tak i mieć, jeden zbiorowy sąd. (»Pierwsze zasady krytyki powszechnej« I, str III; por. »Rozb. i kryt.« I, str. XVIII). Podział zatem Tyszyńskiego dziejów literatury na okresy jest podziałem filozoficznym, nie historycznym, jedynie racjonalnym. Odbił się w nim wpływ tryjady heglowskiej.

W rozprawie, oryginalnie pomyslanej, p. t. »Dwie Świtezianki«, Tyszyński dał charakterystykę poezyi naszej w okresie, »który się zaczął w r. 1822 a ukończył w r. 1862«. Napisał ją w formie t. zw. przez siebie »paraleli« czyli przeciwstawienia sobie dwu utworów, z jednej strony pokrewnych, z drugiej wręcz, kontrastowo odmiennych. Tyszyński pierwszy u nas używał tej formy w rozbiorach krytycznych<sup>2)</sup>. Do tej kategorii należą jeszcze jego rozprawki: »Stefan Czarniecki« i »Pacholek hetmański« i »Dwie poezye przedśmierne — ojca i syna Słowackich«.

Tyszyński był jako krytyk subiektywistą (»Kryterium prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest.«. Cel krytyki. Rozb. i kryt. I, XV) uznającym, jak sam powiada, jeden kodeks krytyczny:

<sup>2)</sup> Te formy krytyczno-badawcze przejął od swego mistrza Chmielowski, pisząc rozprawę »Dwie Sobótki«.

»pamięć na przyszłość» (Wizer. pol. str. 273). W sądach swoich jest zwykle wytrwały i spokojny; nie na wszystkie atoli jego sądy można się zgodzić. Tak np. »Grażyna« nie docenia i wyżej od niej stawia »Mindowsa« Kraszewskiego (Pisma kryt. II, 704, I, 456); nie docenia Mochnackiego, Garczyńskiego; przecenia natomiast Gosławskiego, Józefa Massalskiego, Deotymę, Siemińskiego, Boguckiego (»Pisma kryt.« II, 295).

W »Amerykanie w Polsce« Tytyski posługuje się jeszcze manierą pseudoklasyków, którą już Mickiewicz wyrzucił w »O krytykach i recenzentach warszawskich«, — charakterystycznymi postępowych utworów lub stylu za pomocą nie mówiących określeń: Szerególnie upodobał sobie określenia słodki, słodyca, słodkość; (np. »styl Odyńca ma więcej jeszcze, niż styl Mickiewicza słodyczy; Niemcewicz odznacza się słodkością stylu; Duch słodki Schillera; Feliński najśłodszy z postępow; Baz, Słowacki słodki prozaista; styl wiersza Korzeniowskiego budują słowa słodkie; Szymonowicz w stylu słodki, najśłodszy w czterowerszach i t. p.)

Artystą słowa Tytyski nie był; pisał stemper ciężkim i zawiłym, miał swoje ulubione słowa, którym nadawał nieraz odmienne znaczenie, formy przestarzałe i zwroty, niezawsze zrozumiałe, (np. zawarcie, rozwicie, stanność, istnąć i t. d.)

Jako filozof, Tytyski był zależny od filozofii niemieckiej, pomimo, że wobec Hegla zajął stanowisko krytyczne i, wraz z Trentowskim, Libeltem i Cieszkowskim rozwijał ideę filozofii narodowej. (Zob. »Początki filozofii krajowej«, t. j. narodowej i »Pierwsze zasady krytyki powszechnej«.) Strawe uważa Tytyski, jako kierającego się w wywodach swych filozoficznych względami praktycznymi, za poprzednika t. zw. pragmatyzmu.

Ostatecznie, objawwszy wieloletnią działalność Tytyskiego, naukową i literacką, zgodzić się trzeba z Chmielowskim, że Tytyski »gruntownością, bezstronnością, wytrawnością smaku i głębokim filozoficznym poglądem przyczynił się w wysokim stopniu do rozwoju uświadomienia narodowego«.

## BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Tytyskiego: Osobno wyszły: »Amerykanka w Polsce« 2 t., Petersburg, 1857. — »Rys historyczny oświecenia Słowian« Warszawa, 1841 (przedruk z Bibl. Warsz.) — »Marena albo powieści blade« Warszawa, 1842. — »Rozbiory i krytyki« 3 t., Petersburg 1854. (Tom I zawiera rozprawę wstępną »Cel krytyki« (I—XVI) oraz »Początki filozofii krajowej« (1—424), w której autor rozbiega głównie dzieła przedstawicieli filozofii idealistycznej w Polsce (w 1 oto-

wie w. XIX), poprzedziwszy rzecz ogólnym rzutem oka na rozwój filozofii aż do Hegla; w t. II i III zebrał Tytyski recenzje swe i krytyki, przeważnie w »Bibliotece Warszawskiej« umieszczane (z l. 1841—54); niektóre w przerobieniu. — »Pierwsze zasady krytyki powszechnej« 2 t., Warszawa, 1870. W »Dodatkach« do t. II przedrukował Tytyski wyjątki z dwu rozbiorów dzieł Majorkiewicza i Maciejowskiego, oraz rozprawy: »Cel krytyki« i »Trzy loikicza« (z Bibl. Warsz. 1860). — »Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej«. Warszawa, 1871 (odb. z Bibl. Warsz.). — »Wizerunki polskie« Warszawa, 1875. (Bibl. najc. ul. utworów liter. europ.); obejmują rozprawy: Wincenty Kadłubek, »Wizerunek« Mikołaja Reja, M. Bielski, Szym. Szymonowicz, Szym. Starowolski, Elż. Drużbacka, Komedya polska w w. XVIII, Ludw. Kondratowicz, Winc. Pol (druk przedtem w Bibl. Warsz. i Kron. Rodzinnej). Nie weszło do tego zbioru studjum o Waclawie Potockim, druk w Kron. Rodz. 1874, a przedruk w r. 1880 przy »Wojnie Chocimskiej« (Bibl. najc. ul. liter. europ.). — »Pisma krytyczne« 2 t., Kraków, 1904 (zebrał Piotr Chmielowski); zawierają ważniejsze artykuły i rozprawy z czasopism wydobyte, nie objęte poprzednimi zbiorami; przedrukowano tu nadto trzy listy o literaturze polskiej z »Amerykanki w Polsce« i studjum o Winc. Kadłubku z »Wizerunków polskich«, oraz cztery artykuły, nie należące do zakresu krytyki: »Sextus«, podanie rzymskie, »Czynsz czy pańszczyzna«, »Ty, wy, pan« i wspomnienie o Antonim Muchlitskim. Oprócz rozbiorów znajdujemy tu następujące rozprawy: »Prelekcję wstępną historii literatury polskiej z r. 1866« (z Bibl. Warsz.), dwa wykłady w Szkole Głównej, z rękopisu ogłoszone: »O pisarzach historii literatury polskiej« i o kronice Galla, »Dwie Świtezianki«, »Doświadczenie jako kryterium prawdy« (z Bibl. Warsz. 1876) i »J. I. Kraszewski i jego powieści historyczne« (z Ateneum 1877 i 1879). — Artykuły swe i rozprawy krytyczne pomieszczał Tytyski w »Tygodniku Petersburskim« (od r. 1837), w Piśmiennictwie krajowym (1840), »Przeglądzie Warszawskim« (tu wyjątki z dram. »Próba« 1840), Bibliotece Warszawskiej (od r. 1841; najwięcej), w »Athenaeum« Kraszewskiego (tu w r. 1847 o »Listopadzie« Rzewuskiego), »Przeglądzie Naukowym«, »Dzienniku Warszawskim« (i »Kronice wiadomości kraj. i zagran.), »Kuryerze Wileńskim«, »Gazecie Codziennej«, »Kronice Rodzinnej«, »Kłosach«, »Ateneum«, »Tygodniku Ilustrowanym«, Piśmie zbiorowym wileńskim (1859), Encyklopedii Wychowawczej (art. »Bojaży Boża« w t. I). — Z rzeczy, pominiętych lub przecoczonych przez Chmielowskiego w ostatnim zbiorze wydaniu pism Tytyskiego w Warszawie w grudniu 1846 r. (Kłosa) wspomnienie »Józef Kraszewski w Warszawie w grudniu 1846 r.« (Kłosa 1880) i rozprawy: »Korespondencya Mickiewicza« (Kron. Rodz. 1875), »Stefan Czarniecki i Pacholę hetmańskie« (Kłosa 1873), »Wacław Potocki« (Kron. Rodz. 1874), »Dwie poezje przedśmierne — ojca i syna Słowackich« (Tyg. Ilustr. 1879). — Listy Tytyskiego: trzy

do Michała Wiszniewskiego, w Kronice Rodz. 1886, trzy do Kirhora i Odyca, w »Księdze Pamiątek Mickiewiczowskiej« (1898).

**II. O Tyszyńskim pisali:** Chmielowski: »A. T. Żarys biograficzno-literacki«, oparty na materiałach rękopiśmiennych i wspomnieniach rodziny, na czele t. I »Pism krytycznych« Tyszyńskiego (1904). Tenże: A. T. — w wydawn. »Szkoła Główna Warszawska«. Tom I. Kraków, 1900. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako profesora). — Tenże: A. T. w »Dziejach krytyki literackiej w Polsce«. Warszawa 1902. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako krytyka). — Fr. Krupiński: »A. T.« Bibl. Warsz. 1881, t. I. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako filozofa). — T. Grabowski, »A. T. jako krytyk literacki«. Pamiętkowa Księga dla Tarnowskiego, I. Kraków, 1904. — Struve: Historia logiki jako teorii poznania w Polsce. Warszawa, 1911. — G. Korbut: O Aleksandrze Tyszyńskim. Pamiętnik Literacki. 1905. — Zob. nadto artykuły o Tyszyńskim: Wójcickiego w »Kłosach« 1866, K. Kaszewskiego w »Tyg. Ilustr.« 1866, A. Pługa w »Kłosach« 1880, Chmielowskiego w »Tyg. Ilustr.« 1880 r.

### A) »Amerykanka w Polsce« (1837).

(»Amerykanka w Polsce«. Romans. 2 części. St. Petersburg. 1837).

Powieść napół psychologiczna, napół dydaktyczna, napisana w formie listów; pierwsza powieść psychologiczna w naszej literaturze; (po Tyszyńskim dopiero wystąpił z takimi powieściami Strymer i Żmichowska).

Legionista Adolf Rajceki, po rozbiściu się w r. 1802 okręta, dążącego do St. Domingo, dostał się do Huronów w Ameryce Północnej. Tu ożenił się z Indyanką Karista. Po latach kilkunastu wysłał swą żonę, wraz z córką Anakoanę, na Litwę, do Mińskogrodu; tu z woli stryja i jej żareczyła się z Władysławem Odorskim, ale pokochała Zbigniewa, młodzieńca o uosobieniu wrażliwym i zmiennym, o bujnej wyobraźni i umyśle refleksyjnym i krytycznym. Zbigniew pokochał gorąco Anakoanę, ale gdy ona rzuciła mu się w objęcia, zerwał z nią i wyjechał. Gdy wrócił do kraju, zastał już Anakoanę zamężną. Zbigniew jest fatalista, ale wierzy jednocześnie w wolną wolę człowieka. Jest on główną postacią powieści i charakterystyce jego psychy poświęcił Tyszyński najwięcej uwagi. — Do osnovy powieściowej wplótł Tyszyński kilka rozpraw, pisanych przez Karistę, zdająca mżewi sprawę ze swych studiów na Litwie: »O religii chrześcijańskiej« (Cz. I, str. 79—90); »O języku polskim« (I, 155—211); »Rys historyczny oświecenia w Polsce« (II, 1—16); »O szkołach poezji polskiej« (II, 17—108); »O dawnej poezji polskiej« (II, 120—186); »O poezji polskiej komiecznej« (II, 187—209).

Podajemy dwa ustępy: a) z osnovy powieściowej, z rozmowy o wpływie klimatu na człowieka i rodzaj literatury, o natchnieniu i o poezji gminnej, oraz b) z rozprawy »O szkołach poezji polskiej«.

**844)** Cz. I. Str. 246—272. List XX. Zbigniew do Walerego. ...»Tak jest, odpowie Pan Pryzma, i cośmykolwiek w tym sporze do doświadczeniu powiedzić mogli, nie przestaje ono być jawnem w tem, że na rodzaje ludzi wpływ klimatu jest widoczny; dla czegoż innego byłby Europejczyk białym, zachodni Indianin miedzianym, a mieszkaniec Afryki czarnym? Czyliżbyśmy odmiennych naznaczał im przodków chcieli?»

— Tego, rzekłem, dowodzić nie myślę, i owszem wierzyć musimy, że jak na ciało, tak i na dowcip człowieka klimat wywierać wpływ musi, dowodzę tylko, że nie na stopień, ale na rodzaj wpływa; i oto nowy jest dowód, jak jedną i tę samą uwagę brać ilorako możemy. Przez długie lata i wieki ludzie jednego kraju zostają w dzikości stanie, nagle odmienia się obraz, lubo nie zmienia się klimat. Za czasów dawnego Rzymu Gallia, Germania, Brytania były to zapewne barbarzyńskie ludy, któż więc żareczy, że i te, które są nimi dzisiaj, nie zmienia się w ciągu wieków? Co większa, oto wiek jeszcze nie mija, jak klimat dzisiejszych Niemiec do natchnienia geniuszem za niesposobny był miany, a oto tegoż wieku umysłowe dzieje jak świetnie odparły potwarz. Co do wpływów fizycznych zatem, to tylko to dodać możemy: że rodzaj klimatu, rodzaj tego powietrza, które nad nami krąży, w siłę żywotną się wpaia, wpływa w odcieniu swoim na rodzaj natchnionych geniuszów; stąd mamy ów najpierwszy i najwyraźniejszy (przynajmniej w niepospitych początkach natchnienia) podział poezyi świata: na południową, której cechą imaginacya wesola, i na północną, której melancholia matką. To zaś wszystko, co mówię, dodadem, nie nazwę doświadczeniem zapewne; doświadczenie albowiem bierzemy za rzecz skończoną i dowiedzoną, tu zaś zostaje pole do dalszych postrzeżeń, warunków i wniosków; a utrzymuję i twierdzę, że nie wadą to klimatu było, iż pierwiastkowe północnej Ameryki ludy tak długo w zupełnym dzikości zostały, i jeszcze zostają, bycie.

— »Mocno przeprosić muszę, odpowie mi P. Pryzma, ale co mię z tego wszystkiego zadziwia najmocniej, to w ustach

zimnej rozwagi słyszane słowo natchnienie, igdyby zaczęto ze słowników mniej potrzebne wykreślać słowa, to zaprawdę o biedne natchnienie mocnym się trwożył. Cóż bowiem jest to natchnienie, które tak światem nazywać lubią imieniem? Jest-że to ów wykrzyknik, który się wyciska miled albo boleśnym wrażeniem? Jest-że to jaka nowa serca albo umysłu władza, nowego znaczeniu swemu wymagająca dźwięku? i nie jest-że to raczej nadanie świętego brzmienia temu pospolitemu słowu, które po prostu zwykło się mówić uczucie?\*

— Natchnienie, rzekłem, jest to uczucie, to pewna, jednak między natchnieniem, a uczuciem prostem różnica jest nader wielka; wszakże i brylant jest kamieniem tylko, a przecie odmiennego wymaga nazwiska. Za najlepszy tu dowód różnicy natchnienia od innych codziennych uczuć położycy można to, iż osoby, które go nie doznały, pojąć go nawet nie mogą. Natchnienie jest to ogień, obejmujący umysł, stawiący mu nowe ludy i nieznanne światy; natchnienie jest to siła niezatrzymana niczem, budząca do wcielania ludzkich uczuć w słowa; rodzą je jego są liczne, jak liczne mogą być źródła; jedno unosi, drugie rozrzewnia; jedno nas dręczy, drugie mile bawi. Są natchnienia tak silne, udzielane Twórcą, że posuwają umysł do widzenia przyszłości nawet, jak to widzimy w poezjach hebrajskiego ludu. Owe źródła natchnienia, dodałem, są niewyliczone; może nas natchnąć natura, może piękne oko, może wielkość Boga i Niebo. Jaka zaś tegoż natchnienia jest rzadkość i nad inne uczucia wyższość, czują najlepiej to ci, których jest ono udziałem, czują to wieszczki. Poeta nie pisze wtedy, kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa; im ono silniej uderza, tem potem naglej opuszcza. Miłość pozostała własna, chęć udzielenia natchnień, każe rozumem dotaczać przerwy utworu i tak go potem objawić; i stąd to w płodach geniuszu te nagłe spadki i zmiany. Spokojne natchnienie talentu może go utrzymywać ciągle w przyjemnej równości; geniusz podnosi się wyżej, lecz też i niżej upada. Wszystko to jest dowodem bytności natchnienia. I nie jest to, wręczście dodałem, gwałtowne wrażeń uczucie, owszem, przybywa ono, gdy uspakaja się umysł i gwałtowność uczucia przemija.

Te powiedziawszy słowa, znużony przydłuższą rozmową,

nie czekając odpowiedzi, wstałem i do miłszego przesunąłem się grona; ujrzałem wolne miejsce przy Anakoanie i tam usiadłem. Moja rola kochanka uczyniła mi to kazala.

Ona się usmiechnęła, kiwając się do niej przybliżała.

— »Dziękuję ci, rzekła, Zbigniewie, za twe uczone rozmowy; kiedy się niemi zapalił mocno, pamiętać musisz o tem, co cię otacza, mocno czuć musisz serca, co koło ciebie biją; gdyś mówił o przekleństwie naszej ziemi ludów, każdyby sądził, że one ci obce zupełnie«.

— Jakżeś niesłuszna, rzekłem, o Anakoano, mamyż się zdradzać przy świetle; ale jeśli to wszystko, com o natchnieniu mówił, może mieć jaką zaletę, spojrzj mi w oczy choć na jedną chwilkę, niechaj dziękuję tym, co pierwsze poznać je dały.

— »Pierwsze ci dały poznać, rzekła, ścisłując mi skrycie rękę, po co ta obluda, Zbigniewie; czyliż nie widział przede mną natury, która, jak powiadasz, również natchnąć może«. I jakby zazdroszcząc skrycie: »co do mnie jednak, dodała, przyznam się, że nie mogę pojąć, jakim sposobem to, na co patrzymy z dzieciństwa, niepowszedniem wrażeniem natchnąćby nas mogło«.

Jam już nie kochał, ale Anakoana tak była piękna dnia tego, że myśl szatańska w tej chwili nagle mi objęła.

— Natchnienie jedno, rzekłem, nie jest równo drugiemu, dlatego, Anakoano, natchnienie twojego oka nazywam najpierwszem mojem; ale być-że to może, aby twe czule serce nie mogło pojąć natchnienia pięknej natury; patrzmy na naturę z dzieciństwa, to pewna, lecz nie zawsze ona jest jedna; o, gdybyś o wschodzie słońca mogła tę widzieć dolinę, po której strumyk szeleści i którą odcienia gaik, te naprzykład dolinę, co leży za drzewy tamtemi; wody wtedy strumyka czystsze, rzeświejsze i żwawsze, gaika cichość bardziej uroczysta, piękność jego nowsza i pogodniejsza; gdybyś, Anakoano, mogła tam być o tej porze, poznałabyś wtedy, co to jest moc natchnienia.

— »Spróbuj jutro«, odpowie, czulej wzrok topiąc w mych oczach, a ręka, jak głos jej drżały; »jutro tam będę, by poznać, czyli istotną są prawdą twoje, Zbigniewie, słowa«.



Kobieta, która kocha, żadnej prośbie nie da odmowy, byleby nie występny był pozór.

— Jutro tam będziesz o wschodzie słońca, rzekłem, o, jakąż rozkoszą będę się poił ukryty, jeśli twe oczy odwołujące ujrzą, zadane kłamstwo mym ustom!

Mówiliśmy jeszcze chwil kilka, Anakoona była szczęśliwa i o jutrzejszym tylko wspominała ranku.

Tymczasem powołany, zmuszony byłem powstać i przybliżyć się znowu do kończących spór o natchnieniu; z natchnienia poszło do szczegółów poezyi, i o niej teraz mówiono. P. Pryzma oburzał się na poezye gminu, będące utworem prostego, nieokrzesanego dźwięku, i stąd na poemata z owych poezyi tworzone, na w nich zawarte dziwactwa.

— »Dziwactwa w nich są wielkie, powie Henryk, który się niemilosiernie poważną rozmową nudząc, pragnął jakkolwiek ją zmienić, a może i inny powód miał jaki, w którym go podejrzewam mocno; blisko bowiem nas siedział, gdyśmy z Anakooną poufałą wiedli rozmowę, a głos jego, którym się odzywał, nie był głosem szczerego, właściwego mu zawsze wesela — »dziwactwa w nich są wielkie, mówił, tak jest; jest jednak zawsze razem i pewna nauka; teraz np. słyszałem już o balladzie żydowskiej, umiem ją nawet na pamięć; ballada ta, wyjąwszy, że jest żydowska, z wielu mi się względów podoba. Zaczęto prosić, aby ją powiedział; zdaje się, że Henrykowi zło o to właśnie, z radością się zgodził i gdy się wszyscy uciszyles, tak głosem złośliwym zaczął:

Lija.

(Ballada żydowska).

Słuchajcie pieśni, dziewczęta młode,  
Pięknej wam Lili śpiewam przygodę.  
Czulej jak miesiąc, jasnej jak zorze,  
Powabnej myśli w każdej dnia porze.

Efraim z Sarą miał córkę Liję,  
Zrobił ją mądrą po długim trudzie,  
Kochał ją, ścisnął i daby szyje,  
Iż nie jest taką, jak inni ludzie.

»Proś ją do gości — ona się chowa,  
Mów jej o mężu — ona jak skała.  
Cud nie istota na moje słowa!  
A Lijka na to skrycie się śmiała.

— »Odwiedź, żołnierzu! odwiedź nasz kątek,  
Weźmij mię z sobą, ja mam ochotę,  
Ale żołnierzu, nie przychodź w piątek,  
Nie w piątek tylko, ale w sobotę.

W sobotę rano przyjdź tamtą grzędą,  
Jak tylko zacznie świt się rumienić,  
Rodzice w szkole modlić się będą,  
A my, żołnierzu, będziemy się żenić.

Przywieź trzy konie, ale z wózkami,  
Na jeden włożym kufer bogaty,  
Na drugi wózek suknie, piernaty,  
Na trzecim wózku pojedziem sami.

W sobotę rano przybywa żołnierz,  
Na piękną Lijkę mruga z oddali;  
Ona drży, leci, chwytą za kolnierz,  
Na wózek skacze — i pojechali.

A żołnierz zaraz — w miłość się odział  
Cieszył się z Lijką, bawił się, kłócił;  
Gdy się nacieszył, nie miał gdzie podziać,  
Powiózł do rzeki — i w rzekę wrzucił

— »O ja nieszczęсна!.. o ty zwodniku!..  
Już woda we mnie, jam w wodzie cała;  
Pośród zgrzyzoty ginę ja krzyku,  
Ojcam ni matki nie pożegnała.

O Niebo!.. daruj!.. jakżeś skaralo!  
Ach, moje nogi szarpie gad srogi,  
Ach, moje ręce u ryby w szczyce,  
Ach, moje ciało, jak ślizkie ciało!..

Taką to Lili śpiewam przygodę,  
Słuchajcież pieśni, dziewice młode,  
Czule jak miesiąc, jasne jak zerze,  
Pieśń tę śpiewajcie o każdej porze.

— Co za przeklęta ballada, myślałem i długo nie śmiałem zmieszany spojrzeć na Anakoanę; gdyś się jednak ośmielił, ujrzałem ją śmiejącą się, wesołą i najspokojniejszą; kobiety nieraz więcej daleko mocy i przytomności mają, i nas odważnych i śmiałych ratują i widują jak dzieci. Sam jednak lękając się wydać z mojem zmieszaniem, starałem się czynnie oddać nowozaczącej rozmowie.

— »Ciekawy jestem, powie P. Pryzma, wysłuchawszy cierpliwie ballady, co znaczy wyrażenie czulej jak miesiąc«.

Henryk, który z rodzaju miłości własnej czuł powód uniewinniania ballady:

— »Zapewne, powie, pieśni tej twórca uważał miesiąc czułym, że lice jego bywa nieraz czułych obrazów świadkiem; albo też może dlatego, że lice jego jest zadumania pełne; i wręście może dlatego, że od kochanka-słońca jest wzięte«.

— »Treścią ballady tej, rzekłem, zda mi się być pieśń gminna, w niektórych guberniach Litwy śpiewana«.

Tu znowu P. Pryzma na pieśni gminne powstał, na gust tych, którzy je wyszukują: »Jeżeli już tak poeci nasi polubili bliskość natury, rzeczy, czemuż już lepiej nie smakują w sielankach; nie jesteż to właśnie pieśń gminna, piórem wykształconego smaku oddana?«

Miałem potrzebę mówienia, chwyciłem się podanego przedmiotu.

— Lubo wyrazy gmin i siolo, rzekłem, tak są znaczeniem bliskie, poezya jednak gminna różni się wiele od sielskiej; poezya sielska jest ta, która ma lud wiejski za przedmiot, poezya gminna jest ta, którą sam lud ów tworzy; pierwsza mająca na celu kreślenie rozmów lub obyczajów ludu, zawsze musi być płodem spokojnego ducha, wyobraźni sztuką popsutej, naśladowniczej; druga przeciwnie samego natchnienia jest dzieckiem, stąd zawsze życia i wdzięku pełna, w myśli i wyrażenia nowa, mocą natchnienia błyszcząca. Wypracowaniem więc tylko może

sielanka od pieśni gminnej być wyższą, z każdej zaś innej strony pierwszeństwa ustąpić jej musi. Dzisiaj Teokryt i Gessner mało zajmuje kogo, przeciwnie w Europie całej wyszukują się gminu natchnienia. Statystyk i historyk, filozof i poeta, z równą chęciwością je zbiera, równe owoce z nich ciągnie. Nie skąpe to zapewne dla miłośnika moralnych badań, dla filozofa źródło, gdzie widzi, jak nieopospita natura ludzka z otaczających przedmiotów wrażenia odbiera, jak je drugim udziela, jak i jakim kształtem; jak harmonia duszy z harmonią mowy połącza.

Obficie zasili się jeszcze ów dziełom ludzkich badacz, który z piosenek dawnych poznaje narodowego w każdym czasie ducha, uczy się obyczajów i zwyczajów ludu, z uwagą je roztrząsa, natrafia na podobne w oddalonych krajach, stąd wgląda bliżej w ich dzieje, słucha ich języka, dochodzi dawnych ich ze swoim związków, ich wzajemnych stosunków; nowe mu błyska światło w zbyt ciemnej nauce o przesiedlaniu się ludów, ich początkowych dziejach; a i do późniejszych czasów historii i prawodawstwa uczony komentarz pisze. Możemyśmy, mówi jeden z pisarzy, doszli z piosenek naszych, że z nad Gangesu idziemy. Nieraz jedna myśl pieśni, nieraz i jeden wyraz jej przeniesienie się zdradzi; w śpiewach np. ludu, z których wzięta ballada, którąś dopiero słyszeł, nieraz natrafia się wzmianka o kryciu kitajką zmarłego, kiedy tymczasem lud ów nietylko obrządku podobnego nie zna, ale nawet nie wie, co to jest kitajka; trafia się nieraz wzmianka o cisowem drzewie, o którym nie wie nawet, czy jest gdzie na świecie; z pomiędzy tychże śpiewów są jedne podobne całkiem do pieśni wielko-rosyjskich, inne znów do śpiewanych litewskim językiem, do serbskich i nowogreckich.

Jeżeli jednak filozof i historycznych prawd badacz tak wieloliczne owoce ze śpiewów gminnych wyciąga, ileż ich ciągnie poeta, ile poezya, która właśnie głównym ich celem, a raczej źródłem była. Oryginalność myśli, wyrażań i zwrotów, duch i kształt twórców owej poezyi gminu podaje geniuszowi poety nowe zasady do utworzenia nowej, odrębnym duchem błyszczącej. Dziś mianowicie, przy usunięciem tyle od miejscowej domowej natury, a tak podobnem do siebie wszystkich

europjskich ludów wychowaniu, samo tylko zajrzenie do natchnień prostego ludu oświecić drogę nam może. Słabą jest sama przez się wyobraźnia siłą. Królowa władz umysłowych, zewnętrznych wrażeń jest sługą<sup>1)</sup>. Jest ona czystem zwierciadłem, jest jasnym morzem bez głębi, otaczającą przedmioty bez końca odbijającym, ale wymaga przedmiotów, które odbijaćby mogło. Ludy, pośród płaszczyzny i pustyni żyjące, w silne widoki ubogie, więcej wrażenia ciągną z czytania opisów obcych, niż z tego, co ich otacza; ich natchnienie bywa pośrednie, poezya ich naśladowną; lecz jesliby te ludy zapragnęły wiedzieć, jakie to silne władze po ich ziemi krążą; co po niej rozsiane serca, nietknięte złamanym smakiem, może poruszyć, unosić? — niech zajrzą do pieśni ludu, on nie zna cudzego nieba, on obcych natchnień nie czytał; z jego pieśni będą odpowiedzią.

Jakoż każdego kraju narodowa poezya ze śpiewów ludu wzrastała. Z pieśni Eumolpa, Orfeusza i owych Skolijów powstała poezya grecka; z bretońskich bardów, minstrelów i skal-dów, wzrosła Anglików i Szkotów; z trubadurów teutońskich niemiecka; z przedstawień prostego ludu wśród hiszpański dramat. Poci Rzymscy naśladowali Greków, Włosi i Francuzi jednych i drugich; dlatego też ani Francuzi, ani Rzym starzy i nowy narodową poezją chlubić się nie mogą. W Polsce jej nawet dawni poeci nie pogardzali pieśnią gminu. Jan Kochanowski w opisanu święta sobótek, w śpiewach w niem przytaczanych, tak jest prostota, naturalnością myśli i wiersza blizkim poezji ludu, iż nie możemy nie wierzyć, aby lub wprost jej przekładaczem nie był, lub arcyblizkim naśladowcą; Zimorowicz wyraźniej jeszcze w sielankach i Roxolankach swoich ze znacznej liczby pieśni czerwonoruskich korzystał. Mimo to jednak, (mówilem dalej, zbierając i przytaczając wspomnienia dla poparcia potrzeby wpatrywania się w pieśni ludu), mimo to jednak ani Jan Kochanowski, ani Symeon Zimorowicz naśladowani nie byli; i poezya polska w ogóle swoim nie była narodową; owszem kształciła się długo na wzór starożytnej i włoskiej, a wkońcu, tak co do toku myśli, jak co do powierzchownego

<sup>1)</sup> Mimo tak jawne zdanie, nie sądzimy, aby Zbigniew miał być sensualistą; inna jest rzecz: lubię Alpy, a inna lubię Sewajczkę.

poematów składu, naśladowcami się stano naśladowiczej Francuzów szkoły. Przeniesienie do poezji polskiej smaku tak odległego narodu, naśladowanie poetycznych form tak niepoetycznego jak francuski języka, nie dziw, że nie utworzyło tyle lubionej od narodu i mocno nań działającej poezji, jaką tylko własna być może. Upadał smak poetyczny, zmniejszała się liczba piszących, i ledwie w niedawnych czasach, obeznając się bliżej z sąsiednią literaturą Niemiec i dziwiąc się jej nagłemu wzrostowi, przekonani się wreszcie musiano, że tylko z piosenek gminnych, własnego kraju dziejami i własnem niebem natchniętych, poezji narodowej gmach budować można. Mnóstwo nowych utworów, w które w niedługim czasie poezya odziała się polska, mocniej jeszcze dowiodły tej prawdy. Wprawdzie znajdują się ludzie, którzy ją odtańd naśladowną poezji niemieckiej mianują, ale krzywe ich oko bierze w obrobie swoim przyczyny za skutki, sposób za samą istotę. Podobnie możnaby twierdzić, że np. francuski Lafontaine był naśladowcą Szekspira, równie bowiem jeden jak drugi brali przedmioty utworów ze znanych skądinąd powieści. Inna jest naśladować duch obcy, oryginalny, inna zaś naśladować drogę do odkrycia nowego ducha.

— «Ciekawiz jesteśmy bardzo, przerwie mi tu P. Pryzma, co to za narodowa powstała u nas poezya? Mamyż się pysznić i chlubić, że dzięki powieści o Nebabie i Szwacze albo też o litewskich upiarach i potępieniach stanowią narodowość poematów naszych? Zaprawdę, dlatego jedynie pragnąłbym usunąć wiarę w zalety poezji wyrabianej z gminnej, a wolę powtarzać i wierzyć, jak też to jest istotnie, że narodowej poezji polskiej szukać raczej mamy w pełnych tkliwości Jana Kochanowskiego trenach, w Kazimierza Brodzińskiego Wiesławie i Franciszka Książna Sielankach».

— To zdanie, odpowiedziałem, może być w części i słuszne; zbyt mało, a przynajmniej nie nazbyt trafnie trudno się u nas dotąd rozbiorem poezji naszej, dlatego więc żadnym poważnym nie poparty głosem, nie śmieć własnego wyjawiać; zdaje mi się jednak, iż krytycy polscy w rozbiore krajowej poezji nazbyt na cudze patrzą. Chcieliby ją widzieć odrębną i narodową, a wzoru narodowości szukają po wszystkich kra-

jach! Sielanki Brodzińskiego, Książnina są narodowe istotnie, powieści o Nebabie i Szwaczce są narodowe równie, poemata treści litewskiej są narodowe także; duch jednak i sam pozór tych wszystkich poezji niezmiernie są różne od siebie; jedni więc, zalamując ręce, tracą nadzieję wszelką, abyśmy mogli mieć kiedyś jedną narodową istotnie, drudzy znów w jednej jej części zamilowani tylko, na inne spoglądać nie chcą, zowią ją przypadkowiek, wyrodołek; a nie znalazł się dotąd głos żaden, któryby zdania te złączył, wyobrażenia zbliżył, i niepodległem spojrzawszy okiem, jedno ogólne wyciągnął.

— »O, co z tej strony, powie Pani Rajceka, istotnie poezja polska bardziej jest nieszczęśliwą, niż wszystkie; przy tem nieporównanem bogactwie wewnętrznem jest za ubogą mianą; przy najsilniejszych narodowości cechach, za dziwną lub nąśladowną. Jak niegdyś gramatycy polscy, pisząc prawa języka swego, nie w tym ich języku szukali, ale we wzorach łacińskich, tak i rozbierający poezję polską, nie patrzą na jej od rębna, w jakiej wyrasta, szate, ale szukają zdań angielskich, francuskich, niemieckich, któreby do niej zastosować mogli; chcą koniecznie widzieć tę jedność, tę wspólną wyłączną barwę, jaką każdy widzi we swojej, nie pomnąc, że rozmaitość, że wielostronne tej barwy lice, właśnie nowy, oryginalny budować nam musi obraz. Istotnie, narodowa poezja polska ten nowy i zajmujący przedstawia nam widok, iż zbiorem jest kilku innych, narodowych, odrębnych. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Poznań, Mazowsze i Kraków, w jednym języku polskim natchnienia swoje piszące, są to oddzielne w pierwiastkach swych ludy. Każdy z nich ma oddzielne historyczne pamiątki, własne miejscowe wspomnienia, klasyczne miejsca, zabawy, zwyczaje; każdy z nich ma oddzielny charakter, obrót, ledwie nie mowę; a ten zbiór wspomnień i ten duch miejscowy, oddzielne piętnem na swoich twórcach wyciska. Te charaktery, zwyczajów, mówiła dalej Amerykanka, w odległych prowincjach różnice, i innym znane są krajom; ale w nich wspólną modą, lub wychowaniem wspólnem tłumią się, w jeden zlewają; tu w Polsce czy przypadkiem, czy wychowania rozkładem, czy też może silniejszą, bo nie prowincjonalną, ale istotnie różnoplemienną w pierwiastkach swoich różnicą, te odrębne duchy miej-

scowe wybiły się w odrębnych poetycznych szkołach, a recenzenci polscy to nieznanne gdzieindziej bogactwo, ten nowy i szczególnie poezji polskiej charakter ubóstwem nieszczęśliwym i nieszczęśliwym brakiem charakteru mienią. Co za różnica w duchu i stylu tych poezji polskiej gałęzi!... Jaka np. różnica w poetycznych utworach Litwy i Ukrainy!«

— Uwagi te nader są trafne i słuszne, rzekłem, żalować tylko musimy, że nie przywykliśmy do nich.

— »Ha! już też przyznać należy, odpowie P. Pryzma, że na rozumowaniu nigdy u nas nie zbywa, ale proszę mi powiedzieć przez liłość, jakie to skutki z postępu tych rozumowań widzimy? Oto romanse dzisiejsze, zamienione na historyczne, stały się wręcz tak suche, iż w nich ani historycznej prawdy, ani też powieściowej nie mamy rozrywki. W utworach zaś poetycznych, zamiast malowania natury, przebiega się wszędzie słabość malowania siebie. Homer nie był rycerzem, ani Wirgiliusz wędrownikiem, weźmyż dzisiejszy jaki zagorzały utwór, Korynnę, Larę, Harolda, cóż w nich ujrzymy, jeśli nie autora, samego siebie na plac wystawującego?«

— Wielu dziś siebie samych robi bohaterami swych twórow, ale to wcale, rzekłem, nie jest słabością skutkiem, pochodzi to raczej z doznania zbyt mocnych, gwałtownych uczuć, które się w nasze serca wpoily i naszym kierują piórem. Pojęć niekierzy nie mogą, dlaczego kreślenie siebie, tak przykre w mowie potocznej, w mowie piśmiennej tyle ma pociągu; przyczyna tu jednak jasna: autor za bohatera sztuki nie kładzie siebie wyraźnie, za szczegóły, przesadę w obrazie, odpowiedziałym nie jest; a domysł, że przedstawiony charakter, że liczne kreślone uczucia są właściwe i dobre temu, który je kreśli, znane, więcej uderza nas prawdą, większą przejmując ufnością, silniej porusza, unosi. Malowanie też siebie nie jest naszych czasów nowością. Sofokles, krzywdzony od synów, przedstawił siebie w Edypie; Seneka w trajedji *Oktawia* prosto siebie na scenę wprowadził; sam Homer i Wirgili, jeśli nie w swych naczelnych poematach, to w innych, drobniejszych, stan swój, swe zajęcia opiewali. Pieśni Ossyana i innych północnych bardów, chociażby pierwiastkowe nie były prosto takimi, jakie nam dziś wypisują, zawsze jednak widzimy, iż są nader często własnych



czynów młodości kreśleniem (Evir-Allen, Oina Moral, Cromia i t. p.); i wręście, że pomijając wielu, przystąpimy bliżej, sławny Geneweński filozof i krasomówca opisał wyraźnie siebie w Nowej Heloizy kochanku. Jednak o tym ostatnim wspominał dlatego tylko, aby mi zdanie poparł, bo z innej strony (dodałem) ten tak sławiony Nowej Heloizy romans nie podoba mi się wcale.

— »Może dlatego, przerwał mi P. Pryzma, że jest zbyt prosty«.

— Tego powiedzieć nie mogę, i zarzut taki nie mógłby być zarzutem; więcej owszem zalety, większej potrzeba sztuki zająć naturalnym ludzkich wypadków biegiem, niżeli ostrzającymi ciekawość wężłami; lecz aby nastąpić to mogło, nie powinniśmy najprzód widzieć owej przesady...

— »Przesada, przerwie mi P. Pryzma, w malowaniu uczuć, jak w malowaniu na płótnie, powinna być konieczną, nazbyt albowiem sztuka jest od natury niższą, aby uderzyć nas mogła prostem jej podobieństwem zdjęciem«.

— Temu nie przeczę, rzekłem, lekka przesada natury jest nieodbitą nawet, aby sprawiła wrażenie, ale nie lubimy przesady nienaturalności. Autor Nowej Heloizy obarcza nas mnóstwem rozumowań i filozoficznych uwag; czuję wrodzoną odrazę do tych rozprawiań i twierdzeń hipotezyjnych, dowolnych; nie łatwiejszego, jak rozumować długo, kłaść wyraz po wyrazie, jak go przyniesie pióro, mówić słowo po słowie, co nam przyniesie ślina; jabym chciał uwag filozoficznych mocnych, na pewnej, widocznej, dotykającej zasadzie wspartych, w działaniu innych osób i w naturze własnej postrzeganych; te tylko prawdziwy użytek w postępowaniu naszym przynieść zaiste mogą. Miłość Nowej Heloizy jest także w nienaturalności swojej przesadna i w wyrażaniach się okliwa. Pierwsze listy, najgorętszej miłości pełne, już dzisiaj w swym stylu i składzie zbyt zdają się pospolite, słabe. Możemy się popsuć, jednak to naturalnie skądinąd, że więcej dziś gwałtowności pragniemy w obrazie, i dzisiejszy pisarz romanu bez poetycznej siły poruszyć już nas nie może.

— »Podobają się więc panu zapewne, odpowie mi P. Pryzma, owe ciągle karykatury lub zbrodnie, które wyłącznym

prawie przedmiotem dzisiejszych się stały romansów; szacując nowość, jeśli pełna zalet, tej jednak klaniam się nisko, każdego bowiem kraju czytelnik powieści lubi się stawać kopią kreslonych w nich bohaterów«.

— Nie sądzę, odpowiedziałem, by to, co sprawia odrazę, stać się nam mogło wzorem; z drugiej zaś strony trochę cierpliwości nam trzeba. Zapewne ową skłonnością do samych gwałtów i zbrodni pochwalili się nie możemy, zdaje się jednak, że to zjawisko smaku, natchnione we Francji zwłaszcza krwawej mej ostatniego wieku scenami, będzie, jak owa burza, która je natchnęła, krwawicę, wytępiła, niszczy, aż z pośród niepospolitych tych dziejów powstanie umysłowy, jako był powstał polityczny olbrzym, który się wzniesie geniuszem i całe lądy podbije. Chybabyśmy nie mieli *Boratynskiego*<sup>1)</sup>, dodałem po krótkiej przerwie, gdybyśmy mogli narzekać na historyczne romanse; co za wspaniały widok żyjących w XVI wieku charakterów, jak zajmujące obrazy. Romanse towarzyskie, które się u nas tworzą, a nawet administracyjne<sup>2)</sup>, zbyt wiele mają jasnych i dotykalnych zalet, byśmy potrzebowali dłużej dowodzić skutków, jakie z postępów rozumowania w naszych czasach widzimy.

— »Z pomiędzy romansów towarzyskich i narodowych polskich, powie pani Rajeczka, żaden mi nie zachwylił tyle, jak *Pierwsza Młodość, Pierwsze Uczucie*<sup>3)</sup>. Gustaw w milczeniu tylko żalujący Augusty, nieznaczne przejście Karoliny z miłości Henryka do miłości Gustawa, jej niewinność i niegwałtowność uczucia, skreślenie towarzysztw naszych i sąsiedzkich zabaw, wszystko jest nowe, wierne i poruszające. Styl i uwagi

<sup>1)</sup> »Hippolit Boratynski«, powieść Aleksandra Bronikowskiego. *Przyp. Redakcyi*.

<sup>2)</sup> *Pan Podstolic* (Tomasa Massalskiego *Przyp. Red.*) pod prostą formą romanu jest zbiorem tytu niepospolitych i nieraz wielkich (zwłaszcza w ostatnich 3-ech tomach) myśli, że słusznie do rzędu arcydzieł europejskich z lat ostatnich policzyć się może; co zną w nim szczególnie nderza, to owa pewność zasad, systematyczność pióra, gruntowność uwagi każdej i jasne jej rozwinięcie, przynioty, tak dalekie od wszystkich prawie dzisiejszych jakiegobądź kraju pisarzy.

<sup>3)</sup> *Pierwsza Młodość, Pierwsze Uczucie*, powieść narodowa w 4-ech tomach przez autorkę *Wieczoru Adwentowego*, tudzież *Zofii i Emilii*.

autorki tak z każdej strony śmiała są i pewne, iż mocno przypominają nam tę, która na czele niewiast autorek stanęła<sup>1)</sup>.

— Zdziwiła też nas autorka, dodając, nowością i poetycznością porównań. Co jednak do prowadzenia rozmowy towarzyskiej, rzekłem, więcej zajmują nas jeszcze Hr. Skarbka powieści; nie wspominam tu o prawdziwie narodowym *Ruszczycu* i innych historycznych tegoż autora romansach, ale jego obrazy dzisiejszych towarzystw, a mianowicie *Pan Starosta*, są w swym rodzaju jedyne<sup>2)</sup>.

— »Malo czytując romansów, powie P. Pryzma, ważniejsza jednak zdaje mi się być *Pojata*.

— »Z poetycznych utworów P. Bernatowicza, rzekłem, najwięcej podoba mi się *Naleca*; ładnym stylem pisane *Nierozsądne śluby* są niczem więcej jak *Heloizą Nową*, z jednej strony zmienioną dodaniem powikłań, z drugiej ujęciem filozoficznych rozpraw. *Pojata* naciskiem tylko dziwnych romansowych wypadków, ich powiązaniem sztucznem i uromantycznieniem historycznych pamiętek Litwy zalecać się może. Co się zaś tycze historycznych Franciszka Wężyka romansów, ponieważ już tu wspominaliśmy cenniejszych tego rodzaju pisarzy, te...

Wtem, właśnie kiedyś to mówił, drzwi się otworzyły i weszła niespodzianie Pani Lińska z córką i mężem; wracali z Minogrodu i zajęchali po drodze. Przerwały się nasze rozmowy i pomieszało się w różne kształty nasze towarzystwo. Panna Melania mię zachwyciła; tak była ładna, tak miła, ciągle siedziałem przy niej; Anakoona nieraz na mnie wyrzucającem

<sup>1)</sup> Zapewne tu mowa o autorce *Korynny i Niemiec*.

<sup>2)</sup> W kresleniu towarzyskiej rozmowy i szczególnych towarzystw obrazów niedorównanym jest dzisiaj autor *Czterech Weseł i P. Karola*. Niekiedy w P. Kraszewskim nie więcej nie widza, jak Paul de Kocka polskiego; krzywdą pierwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuskiego pisarza, ale do siły komicznej tego ostatniego łączy i siłę trzeczną, obrazy pełne okropności i mocy, plotące się razem z śmiesznymi i nagłe, niespodziane z jednych do drugich przejście, są główną sztuką i pięknem P. Kraszewskiego utworów. Styl komiczny autora, nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach tragicznych nieraz jest pełnym poezją (*Cztery Weseła, Raj i piekło, Improwizacye; dawniejsze: Pan Karol, Wielki świat małego miasteczka i t. d. i t. d.*)

spoglądała okiem, mogłem jednak siedzieć bezpiecznie, bo ciągle jedna tuż przy drugiej była. Mile spędziłszy wieczór, musieliśmy się wreszcie rozjechać; ja powracając, myślałem o umówionej schadzce.

Leżąc już mi oczy kleją się, Walery, patrz na zegar, już trzecia. — Dokończę jutro.

O szkołach poezji polskiej<sup>3)</sup>.

**845)** (*Cz. II, str. 17—27. List XXII. Karista do męża*). Do innych odkładam listów uwagi me o wymowie, z którego kraj wasz tak słusznie nawet u obcych słynie<sup>4)</sup>, a o samej poezji mówić dziś tylko będę.

Poezja! Jakież to są obrazy, które to czarodziejskie wiążą do siebie słowo. Nie widzę ją bardziej zimnych, mniej pojmujących ją ludzi, jak tych, co ją pragnąc wyjaśnić: wierszowaniem, rymotwórstwem, wierszopistwem<sup>5)</sup> zowią i szukają greckiego pierwiastku, z którego jej brzmienie urosło! Jest to nieszczęściem mowy początkowej, że nieraz na wydanie obrazu, tysiące mieć mającego znaczeń, tysiące umysłowych, dla słowa nowych odcieni, musi używać znanego, do znanem znaczeniem dźwięku, ścieśniać i krzywić nowego pomysłu obraz. Nieszczęściem to jest, powiadam, mowy pierwiastkowej, mowa

<sup>3)</sup> Winniśmy tu dodać i ostrzedz, że tak o czasie pisanych przez Amerykankę listów, jak o ich całkowitem zawarciu wiadomości żadnej nie mamy; mamy tylko znalezione w jej zbiorach urywki, kawałki, o których z omdlenia jedynie piśmiennych materyałów i treści mogliśmy robić wniośki, iż do jednego albo do drugiego, do poprzedniego lub do późniejszego należeć muszą listu; i podobnie je tu przedstawiamy, najczęściej bez początków i końców.

<sup>4)</sup> Maury w dziele *Principes de l'éloquence*, w rozdziale de l'éloquence anglaise, przyznaje, że sejmów polskich wymowa najbliżej do rzymskiej i greckiej przystępuje. — »S'il était permis (powiada Caraccioli w listach do zmarłej Polki) de faire de compliments aux morts, je vous féliciterais sur l'éloquence de votre pays... Oh! que nous sommes faibles dans nos productions, malgré tout notre bel esprit, en comparaison de ce qui sort de la plume de vos orateurs! (Caraccioli, *Lettres à une illustre morte, décedée en Pologne 1771 p. 222*.)

<sup>5)</sup> Pisarze polscy rozmatle lubią poetów mianować: poeta, rymotwórcę, wierszopis, pisarzem, rymopis, składacz i t. d. mają to być wszystkie niby jednoznaczne wyrazy.

bowiem pochodna, a tem lepiej obca, znajdując wyraz gotowy, nie ze słów mu znanych powstały, całą nowość, całą nieokreśloność może w nim widzieć pomysłu. Nie pragnę zatem tłumaczyć, zostawiam wyraz nietknięty; jeżeli bowiem jaki, tedy zapewne obraz niewysłowionego uczucia poezji równego do brodziejstwa wyciąga.

Jakież więc jej znaczenie? skąd wielkość? Poezja jest to doskonała władza wyobraźni, władza, która istotę ludzką od innych ziemi tej istot najsilniej, najznakomiej odróżnia; jest zatem przeznaczeniem, jest ona potrzebą człowieka, i nie było podobno jednego na całym świecie ludu, któryby jej nie poznał, nie uczył, i nie zostawił uczucia swego pomników. Poezja jest to wrażenie owe, które odbieramy ze wszystkiego tego, co proste zmysłowości przechodzi granice; wszelki więc pomysł wyższy nad pospolite, znajome oku obrazy i jego widoma szata, ze słów mowy ludzkiej związana, od potocznych języka wyrażań daleka, budują ludzkiemu oku tę półzmysłową, półmysłową całość, którą poezją zowiemy.

Jakież jej prawa? ustawy? — Prawa, ustawy poezji objęte są w jej określeniu. Im dalej myśl utworzona umiosła wyobraźnię z pospolitego uczuć i wyobrażeń kola, im bardziej szata, która ją wydaje, odległa jest od prozy potocznych wyrażań, tem owa myśl, owo jej wydanie, poetyczniejszymi być muszą. Ich niepowszedniość, ich układ, dają nam poetyczną budowę. Mogą uderzać nas łącznie, mogą i rozłącznie, dostatecznym jest bowiem jeden z tych warunków, by proza przestała być sobą. Z tej ostatniej uwagi tłumaczę się jaśniej. Proza być może poezją, jeżeli myśl, która ją ożywia, strojna jest w poetyczne zalety, a myśl pospolita i prosta może się odziać w poezję przez wyrażenie jej samo. Tak kiedy odludnego, ponurego *Edmunda*<sup>1)</sup> przyjaciel wyrzuca mu z żalem, dlaczego odepchnął szczęście, wesołość i pokój, ten mu odpowiada: ...»A więc jestem spokojny, wesoły, szczęśliwy; spokojny, jak puls umarłego, wesoły, jak kwiat w jego rękę, szczęśliwy... jak mi życysz, panie». W tej odpowiedzi nic nie widzimy zapewne, jak pospolite słowa, w pospolitej złożone mowie, lecz o jakże dalekie od prozy! Przeciw-

<sup>1)</sup> Bohater poematu Stefana Witwickiego. (*Przyp. Red.*)

nie, kiedy poeta śród lirycznego zapału, śród ognistego na zdradliwą niewiastę gniewu, wola:

»Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!»

kładzemy książkę zdumieni, jak śmiały geniusz poety mogli tu użyć, zamienić w poezję prosty zduszenia pomysł. W pierwszym przykładzie myśl sama, w drugim sam wyrażenia sposob, uczucia pospolite zmieniły w poezję.

Ciągła nowość, ciągle uniesienie, ciągła słowem poetyczność myśli lub zbytina w wyrażaniu się sztuka, musiałyby nas mordować, przysycać; słusne więc dla pośredniego imaginacji naszej bawienia wynalezione są zewnętrzne i stałe formy, które prosto samym swym składem mogą pragnienie nasze niepowszedniej piękności nasycić; te formy powynajdywane są: tony, miary, liczby zgłosek, rymy, układ których ogólnym nazwiskiem mianujemy wiersza; samo zaś ich zachowanie tak okazało się wdzięczne, że nieraz poemat cały, nie mając jednej poetycznej myśli, poetycznie nas ludzi i bawi, jak to widzimy nieraz w powieściach, poematach żartobliwych, bajkach, satyrach, dramatach komedycznych i t. p.

Raz tedy jeszcze powtarzam, że czuć poezję możemy wewnątrz i zewnątrz, że myśl i wydania jej sposób główny wpływ wywierają na poetyczne uczucie. Utwór i układ myśli tworzą w poemacie to, co duchem jego zowiemy, a wyrażań odcienia budują nam styl. Duch zatem i styl są to naturalne, bijące o umysł nasz władze, z ich to rodzajów, gatunków odmienne tworzą się cechy, odmienne lica poezji; przynajmniej na mnie, Adolfe, niemągiętej z dzieciństwa do waszych przedmiotowych na poezye liryczne, dydaktyczne i t. p. pedziałów, owe odmienne lica działają najsilniej. Nie znam ja jeszcze dobrze dawnej poezji polskiej. Pozwolisz mi więc, mój drogi, że o poezji i poetach waszych nie czasowam, czyli chronologicznym mówić będę porządkiem, ale przedstawię dzisiejszą w ogólnej, jak uderzyła mię, masie; i że nie będę ją dzielić na bajki, elegie i t. p. ale na te wielkie oddziały, które duchem i stylem w mych oczach silnie się odznaczają i stałe.

Na szerokich, rozległych ziemiach rozsiarne różnorodnie pierwiastkiem, a jednym językiem, zwanym powszechnie polskim, wyrażające się ludy, tak rozmaite położeniem i przezna-

czieniem swoim, grodzone jedne od drugich wychowaniem wewnętrznym i zewnętrznym przedmiotów wpływem, mające oddzielne dzieje, pamiątki, zwyczaje, musiały koniecznie w swych odrębnych masach odrębny wycisnąć charakter, który mianowicie na owej gętkiej, zapalnej władzy, na imaginacyi, najwyraźniejszy odcisk objawia. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Podlasie (Jadźwingi), Prusy, Poznań, Mazowsze, Kraków; każdy z tych krajów ma oddzielną przeszłość, oddzielne podania ludu, oddzielną naturę wokoło i oddzielne niebo; każdy jednak z tych krajów jednym językiem pisze, i lejąco natchnienia swoje, tworzy jedną, ogólną, pełną różnorodności krajową poezję, jedynym na stałym łądźcie przykładem. Przypomnijmy dopiero, jakie ów duch wewnętrzny, w tak oddzielnych umysłach krążący, w języku, którym miał władać, znalazł zewnętrzne sposoby. Język ten, jakieśmy to widzieli, w różnorodności dźwięków nad wszystkie obfity, w bogactwie słów nieprzebrany, w naginaniu ich nieskończony, w swobodzie szyku i składni nieograniczony, tyle okazał się zdolnym do wybijania swym stylem różnaitego poezyi ducha, i tak był szczęśliwie przez tych, którzy go użyli, chwycony, że prawdziwie, drogi Adolffie, kiedy widzę przed sobą rozmaite szkół waszych poetycznych twory, wierzyć prawie nie mogę, że są jednym i tymże pisane językiem, i umiejąc jeden wasz język, zdaje mi się, że umiem ich kilka.

Chcę zatem przejrzeć, ocenić postów, czyli raczej poezję polską, nie mogę to trafniej uczynić, jak dzieląc ją podług charakteru i stylu na główne wybijające się skłasy. Nie wszystkich z wymienionych tu krajów błysnęły już własną poezją; wymieniliśmy tylko prowincje, z którychby każda podobnie mogła odznaczyć się nową. Jakże zaś były przyczyny, które jedną lub drugą stworzyły, niebo, ziemia czy ludzie, i do jakiego stopnia każda z nich postępować, wiązać się wzajem i dalej odmieniać może, o tem nic nie mówię, Adolffie, bo jakem to rzekła wyżej, wszystkim zjawiskom ziemskim jedną tylko — przedwieczną naznaczam wolę. Przyczyny wszelkie, okiem widziane ludzkiem, nader są liczne, nader różnorodne, a owe oko nader przytępione (przynajmniej tak jeszcze jest dotąd), aby z nich czyste, niezmiennie wyprowadzać umiało wnioski. Nie myślę

więc prorokować, ani domyślne tworzyć i opowiadać zasady, rozważałam tylko, co widzę, i rozważone określałam. Te liczne ciała, co nas otaczają, cel wrażeń ich nie jest nam jasny; a dlonie nasze ślepe to narzędzia. Ja sama, mój Adolffie, która ci list ten piszę, nie wiem zaprawdę, co czynię; jeśli go piszę, to nie dlatego może, aby ci przyniósł rozrywkę, bo czy przyniesie ją, nie wiem; nie dlatego, by stał się wzorem albo bodźcem, bo nie wiem nawet, czy go kto czytać będzie; nie dlatego nareście, że mi pisanie jest miłym, pisanie ma swe przykrości; lecz oto dlatego prosto, że mi go pisać dano; dla którego zaś z owych celów? lub może dla innych jakich, których nawet nie znam, to dopiero bieg czasu okaże.

W obrazie poezyi polskiej odróżniają się mianowicie swą twarzą; szkoła litewska, szkoła ukraińska, szkoła puławska i szkoła krakowska; te przynajmniej dotąd najznakomiciej swe odznaczyły piętno. Nad każdą z nich pokrótce chcę się zastanowić, nie rozbiegając pisarzy, nie wchodząc ściśle we wszystkie ich znane twory, to bowiem musiałoby stworzyć oddzielną krytyczną księgę; ale o tyle tylko wzmiankując o każdym, ile wyciąga potrzeba, by jaśniej odróżnić szkoły i główne ich rysy wykażeć.

#### Szkoła litewska.

Dziwna, że owa Litwa, tak długo obojętna, milcząca, przez cały ciąg połączenia się swego z Polską nie wydająca żadnego prawie znakomitego poezyi ni prozy pisarza, w przeznaczaniu swem miała w ciągu lat kilku nową utworzyć poetyczną szkołę, a szkoła ta stać się miała w Poezji Polskiej naczelną.

W ogólności uczucia słodkie są panujące w tej szkole. Uniesienie miłości platońskiej, uczucie przyjaźni bratniej, widzenie poetyczne każdego powszedniego obrazu, każdego powszedniego uczucia, rozbiernie, drobnienie owych obrazów i uczuć, oto główne znamiona poetów Szkoły Litewskiej. Nie mając oni wokoło zewnętrznej dźwięcznej natury, a siłą nieubłaganą wewnętrznego natchnienia parci, w sercu swoim, w jego uczuciach znaleźli poezyi żywioł; bawią się z niem, jak z dzieckiem, miotają niem w różne strony, na końcu świata, pod niebo; zdają się lekać piekła i jego obrazu, a jeśli czynią gdzie wzmiankę, to mówią jakby o miejscu, co z niebem w zgo-



dzie zostaje, w stylu rozkosznym, uśmiechem przeszłości. Ta idealna piękność, ta umysłowa miłość, która jest celem i ich pióra życiem, oni ją widzą wszędzie; widzą ją w opisie natury, w obrazie miejsc niewidomych; czuje ją nawet dusza uwolniona z ziemi i ciała. Miłość poetów Litewskich nie jest radośna, wesola, jak w śpiewach szkoły Krakowskiej, — wesele i radość jest ich poezyi obce, nie jest ona cielesna, rozwijała lub dalka, jak miłość Ukraińskich poetów; ani też zalotna, deklamacyjna, jak miłość poetów Puławskich; nie jest też ona w deklamacyjnej próżni, rozwlekłe narzekania na okrucieństwa, na zdradę obfitą; zbytnia okliwość rzewności, jak z innej strony ponurość i dzikość, są obce poetom Litewskim; niepokój duszy, słodkie zadumanie, pokrycie myśli i uczuć jakąś mgłą tajemną, w nieskończoności niknącą, są to, jak to już rzekłam, cechy poetów Litewskich. Styl równie, pełen słodyczy i wykończonych wdzięków; mnóstwo wyrazów miejscowych, już dzisiaj powszechnie utartych; rym nie zbyt łatwy ni trudny, nigdzie nie zaniedbany; zupełny brak i wygnanie wyrazów przesadnych, nadętych, a używane słowa znajome, potoczne, z połączenia jedynie, z użycia ich formy poezyi nabierające, oto jest widoma, poetyczna poezyi Litewskiej szata.

Naczelnii i znakomici poeci Szkoły tej są: Adam Mickiewicz, Józef Korzeniowski, Antoni Edward Odyniec, Stefan Witwicki, Chodźko Aleksander i Julian Korsak . . . . .

## B) Cel krytyki (1852).

Rozprawa pomieszczona jako »rozdział wstępny« na początku »Rozbiór i krytyki« t. I. Petersburg, 1854. Przekręcał ją później Tyszyński w dodatkach do »Pierwszych zasad krytyki powszechniej« (1870).

### I.

**846)** *Tom I. Str. I—XVI.* Cel krytyki, to jest sądu, do różnych rozwić ludzkości przez nas zwracane, zawartym jest w tym koniecznym skutku, takim lub innym, który kiedyś ma być wypadkiem tych rozwić. Gdybyśmy mogli wiedzieć, jakie być mają szczegóły tego wypadku, wiedzieć moglibyśmy, jakim być winien, w najdrobniejszych szczegółach swoich cel krytyki.

W wszechświecie jest wszechjedność, jest wszechharmonia; — z tychże przyczyn płyną też skutki; — z rzeczy znanych możemy więc dochodzić biegu oraz istoty rzeczy nieznanach.

Ludzkość ma rozwicie i życie, bieg jej przeto przypodobnym być może wszelkiemu szczegółnemu bytowi, który ma rozwicie i życie. Od gorzycznego ziarna i jego losu, od figowego drzewa, od plonu roli możemy się uczyć podobieństw losów ludzkości. Ziarno zboża po swym upadku, swej śmierci, idzie w przebieg roślinny, a ostatnim wypadkiem tego przebiegu jest podobne mu ziarno lub liczne ziarna. Tak też i ludzkość. Rozrosła jako krzew z ziarna, jako krzew stopnie wzrostu swego przebywa, jako krzew doby przemian objawia, do kwiatu i do wydania kiedyś owocu dąży. Lecz czyniąc wnioski z podobieństw, powinniśmy też pamiętać na warunki podobieństw. Podobieństwo to nie tożsamość. Ziarno zboża ma za wypadek ziarno sobie podobne, nagie, — ziarno wiśni albo jabłoni, ziarno otoczone mięsem owocu, — istotność z pierwiastkiem ducha, a ducha żywego — człowiek, w wypadku swym musi wydać owoc z nowym odcieniem ducha i wyda go w obrazie przewagi duchowej. »Stał się, mówi Pismo, pierwszy człowiek Adam w duszę żyjącą, pośledni Adam w ducha ożywiającego« 1. Korynt. XV. 5.

Ten owoc, ten nowy Adam, czyli ta ostateczna ludzkość w swem przeroznięciu i odrozdzeniu, ten cel, do którego dążymy, jakież nam mają dać obraz w swych szczegółach?

Nie zadawaliśmy jeszcze sobie podobnych pytań na drodze nauki, — i jest w tem słusność.

Wiemy wprawdzie, iż obowiązkiem jest naszym dotykać je, a dotykać coraz częściej i śmieiej, gdyż nad inne rzeczywistszej wagi są dla nas; — gdyż winnibyśmy poraz drugi uniknąć wymówki Bożej: iż »postawy niebios i ziemi rozróżniają umiemy, a nie umiemy rozróżniać i zgłębiać znamion okresów« (czasów). Matt. XVI 3. Łuk. XII. 56.

Wiemy, iż jako środek w badaniu tem każdy z nas otrzymuje od Twórcy talent pojęć, z których jeśli nie dziesięć, tedy przynajmniej pięć albo cztery w zarobku przysporzącyby wienien; — iż każdy z nas ma dar uczuć, uczuć wiary, nadziei i t. p., i te winny mieć swój wpływ równoległy na talent po-

jęć; — iż za pomoc i źródło kierunków na drodze badań mamy przed sobą przeszłość z dziejami ludzi, mamy dzieje sztuk, nauk, mamy zwłaszcza wśród innych: Pismo mówiące o czasach przyszłych, a duchem Bożym natchnięte (Pismo Święte), i że to w ramach należnych zgłębiać, i z niego, jak ów człowiek gospodarz ze skarbu swego «stare i nowe rzeczy» powinniśmy umieć wynosić. Matt. XIII. 52.

Wiemy o tem wszystkiem, mówimy, lecz wyznaczyć też trzeba: na nasz czas za twarde są jeszcze treści owe pytania; na nasz czas dosyć jest, że je przynajmniej zapiszemy przed sobą. Cokolwiek rozróżniamy i oceniamy naszym pojęciem, nie możemy rozróżniać i oceniać innem jak naszym, to jest ludzkim, ułomnem.

Koniec biegu dzisiejszego ludzkości przyjąć kiedyś musi, równie to pewnem jest, jak to, iż był kiedyś jego początek. Jako jednak ten czas początku (który był, lecz nawet chociażby nie był nigdy) przechodzi zawsze swoją istotą nasze dzisiejsze pojęcie, tak też i koniec.

Naszym pojęciem pośredniem oceniamy i rozróżniamy tylko dokładnie rzeczy pośrednie, nie wyższe i ostateczne.

W naszej dobie, na swoją skalę, nasze pojęcie ludzkie cóż widzi, i co umie rozróżnić w świecie? co wie z pewnością?

Patrząc na świat przed siebie, na naszą ziemię, widzimy najprzód w stworzeniach: ich pozór, zewnętrzne kształty, i widzimy, że te kształty, ten pozór, to piękność, lecz że je ranią co chwila: szpetność, kalectwo, ohydy, bóle i wręście śmierć.

Widzimy, że w te tych stworzeń jest myśl, znaczenie każdego, iż we wszechświecie jest światło, lecz iż to światło niszczy cienie, pomroki, burze, głupstwa, szaleństwa i t. p.

Widzimy, iż w szczegółach tworów, w ich związkach, stosunkach wzajemnych, jest wszechharmonia, zgodność, czyli tkwi miłość; lecz że tę niszczą co chwila zawiść, nienawiść, wzajemne żarcie się tworów, żarcie żywiołów i t. p.

Bieg rzeczy, widzimy słowem, to walka, a walka Dobra i Zła. Rdzenia rzeczy (i to jeszcze na oko widzimy) jest Dobro, — przybytkiem, przechodem Zła. Walkę wygra silniejszy z pierwiastków, a przeto Dobro.

Skoro jednak ten czas dopełni się kiedyś, skoro nadejdzie,

kiedy, mówiąc słowy Pisma Bożego (i jak to przepowiada codziennie Kościół Chrześcijański), Duch Pański raz zstąpi, i «oblicze tej ziemi odnowi się»; lub — jaśniej (a mówiąc zawsze samego Pisma słowami): kiedy ten świat nasz dzisiejszy skończy się, a wszelka nieprawość, zło wszelkie, w piec ognisty będą wrzucone. Matt. XIII. 41. 49; gdy nasz ostatni ludzki nieprzyjaciel, śmierć, będzie zniszczoną 1. Kor. XV. 26. i «otarta z oczu ludzkich łza wszelka». Apok. XXI. 4. i gdy tem samem pozór, myśl, związki rzeczy nam znanych, przybiorą znowu byt rajski: gdy Piękność zstąpi i wszelką piękność przemienią zmienni w niezmienną,

gdy Światłość zstąpi i wszystko, co jest ciemniem, rozproszy,

gdy Miłość zstąpi i wszystko, co jest złością wyniszczy,

gdy Żywoć zstąpi i wszystko, co jest śmiercią wytraci, i co było umarłe w Duchu, do życia zbudzi,

i słowem:

gdy Prawda zstąpi i rozporządzi wszystkim według swej treści,

będzie to stan, który, powtarzamy, jeszcze w swych szczegółach zbyt nadbiegające dziś pojęcie ludzkie jest wyniesionym, będzie to stan, o którego szczegółach to tylko dziś wiedzieć możemy, iż te będą harmonijnym wpływem z dzisiejszych szczegółów; iż będzie w nim (jak Pismo św. w odniesieniu do ludzi mówi) oddane każdemu według uczynków (dzisiejszych) jego, według każdego drobiazgu tych uczynków, lecz co do reszty, tę w idealach tylko dziś pojmujemy.

Wszakże wypadek ostatni, owoc, poprzedza w roślinie każdej, w każdym przebiegu roślinnym czas przed-owocu, czas kwiatu, czyli przyście do stanu blasku pierwiastków, które składają przebieg życia rośliny. Owoc dziejów ludzkości, to ów, taki lub inny, wieczny i ostateczny wypadek jej dzisiejszego biegu, życia jej roślinnego; lecz kwiat, to zakwitnienie pierwiastków i szczegółów jej, jeszcze za tego jej życia, «najprzód trawa, potem kłos, potem pełne ziarno w klosie, potem (dopiero — uczy nas Ewangelia mówiąc o losie na ziemi Królestwa Prawdy) żniwo». «czyli ów ostateczny koniec». Mar. IV. Ten kłos z pełnym ziarnem czyli ów kwiat, czas jego, jeszcze wśród dziejów ludzkich nie istniał, —

ten czas jest to więc cel bezpośredni, do którego dążymy. Cel ten tkwił zawsze w rozwiciu, w szczegółach rozwiń ludzkości, lubo bez wiedzy jej (wschodziło i rosło nasienie, gdy on nie wiedział. Mar. IV), lecz dalej ma się stać przedmiotem i wiedzy, gdy i sama ta wiedza (stosownie do raz nadanego porządku przez Stwórcę, i jego woli), dochodząc do czasu kwiatu, sama siebie świadomą stawac się będzie, i pozna -wszelką prawdę i przyszłe rzeczy-. Jan XVI. 13. Czasów jednak i bliższych jak dalszych nie przekraczajmy, a cofając się jeszcze o stopień, spojrzymy według dzisiejszych słów naszych, poranionych i biednych, na łączące dzisiaj w nas samych i nami będące szczegóły i kierunki.

## II.

Trzy są względy, które w każdym stworzonym szczególe rozróżnia głównie nasze pojęcie: pozór, wewnętrzne (jak to już uważaliśmy) i łączność, t. j. powód, iż ten pozór i to wewnętrzne łączą się i przedstawiają tak, nie inaczej.

Względy te, nauki dociekające, dyalektyka, według różnych odcieni tych nazwisk, zowią: obiekt, subjeKT, idea; — treść, forma, istota i t. p.

Względy te, uważane w składzie utworu, który śród stopniowania utworów, w największem ukazuje rozwiciu składowe utworów pierwiastki — w człowieku, przedstawiają nam i pozyskują nazwiska: ciało, myśl, duch.

Jak człowiek, tak też odbiła te względy w swoim rozwiciu Ludzkość, czyli zbiorowy człowiek.

Wzgląd 1-szy czyli Ciało Ludzkości, uosabia nam w jej rozwiciu i bycie to wszystko, co wydaje jej pozór, wpływa na byt jej zewnętrzny, formy, pomoc, ozdobe i t. p. jako: Przemysł, Sztuka, Kształty społeczne, Daje i t. p.

Wzgląd 2 gi czyli Myśl, uosobiły: szereg umiejętności i nauk.

Wzgląd 3-ci czyli Duch: Natura (w czasach danych) pozoru i myśli; — a tło to, jako wyraz związku cząstek ze wszech-łością, wszechczasem, związku stworzeń ze Stwórcą, od słowa *religere* łączyć, otrzymało w głównem uosobieniu swoim nazwisko Religii.

Te szczegóły, uważane odrębnie, tak różne, tak niezależne od siebie, nieraz sobie przeciwne, mają jednak wydać w końcu wypadek łączny i spólny, więc pewną jedność (chcąc, aby byli jedno... aby byli doskonałymi w jedno... Jan XVII).

Jeśli tkwi jedność w skutku, tedy i w biegu. W którymże z względów powyższych źródło jest?

Ta jedność (przyczyna jedności) nie leży w pierwiastku ciała, to jest nie znajdujemy jej w tych szczegółach, które uosobiły bieg ciała ludzkości, bo bodźcem i celem chwili w rozwiciu tych szczegółów jest jakby utrzymanie jedynie zdrowia materialnego czyli bogactw, piękności, dobrego bytu i t. p.

Nie leży w pierwiastku Myśli, bo myśl nie znała i nie zna istoty tych ostatecznych szczegółów, do których dąży.

W czemże więc?

Oto w tym bodźcu, w tej sile, która i kroki ciała i zwroty myśli, we wszystkich czasach i miejscach, mimo ich celów chwili i mimo ich niewiedzy o swoim ostatnim celu, stale, harmonijnie i łącznie do tegoż celu zwracała i zwraca, — w sile, która iż jest w nas, czujemy, i dziś poznajemy, lecz której materialnie nie znamy, a przeto zowiemy ją — duch.

W treści i prawach ducha tkwi powód, który sprawia jedność i łączność w biegu wszystkich gałęzi rozwiń ludzkości; — gdybyśmy poznać mogli tę treść i te prawa, i w oddzielną naukę je ująć, otrzymalibyśmy naukę, łączącą i kierującą wszystkie nauki.

Lecz oto kiedy mówimy, nauka, choćby nauka ducha, już nie jesteśmy wyłącznie w krainie ducha, jesteśmy w gałęzi myśli.

Punkt wpływu pierwiastku ducha na kroki ciała i zwroty myśli w człowieku, jakże nazwiemy myślą? — Punkt ten ma w sobie cel, t. j. głównym jest sprawcą celu. Punkt ten przeto w stopniu podniesienia do myśli, do wiedzy, t. j. do stopnia, który może dać nam naukę, nie możemy nazwać inaczej, jak tylko są d.

I na odwrót więc:

Sąd jest to moment śród myśli, który w treści swej wpływa i pierwiastek ducha głównie odznacza.

Autor pism, wydanych pod ogólnem nazwiskiem Filozofia

i Krytyka<sup>1)</sup> w tomie ich 3-cim t. J. Systemie Umnictwa, użalając się, iż jedna z władz ducha ludzkiego, wyobraźnia, pomiataną dotąd była w filozofiach rozumu, jako podrzędna, służebna, uznał w niej, jako twórczej, wyższość nad rozum i tworzy w tym swym systemie filozofię nową twórczości czyli wyobraźni (Umnictwa), zarcęzając jej wyższość stopnia nad filozofią rozumu. Jeżeli to ujęcie się za wyobraźnią, za ten odcień myślenia błędny, niesforny, przechodni, ale żywy i rzeczywisty, ma swoją słuszność, tem więcej wymagającym sprostowania, tem szczególniejszym jest pomiatanie w dotychczasowych systemach dyalektycznych pierwiastkiem sądu.

Sąd, to »w budowie zdania połączenie subiekty i predykatu«, uczyły logiki scholastyczne.

Sąd, to »poznanie na stopniu przypuszczenia będące« (Locke), to »drugi moment myślenia podmiotowego« (Hegel), »drugi moment myślenia jako przeczenia« (Trent).

Sąd, słowem, to »nikły, podrzędny moment, jednego z podrzędnych działów naszego poznania«. To była ogólna teoria logiki i dyalektyki.

Ocenianie to nie tłumaczy jednak i nie rozjaśnia bynajmniej tego pierwiastku, tej władzy.

Sąd w sobie nie jest wcale nikłym i podrzędnym pierwiastkiem. Wódz ludu może nie wiedzieć wcale, co podmiot, co zda nie, a rzutem sądu staczać i stanowić o bitwach, które przemieniają dzieje całej ludzkości.

Artysta muzyk, albo Artysta-malarz, owszem Artysta-poeta, mogą nie wiedzieć wcale co jest Filozofia, a sądem swym tworzyć rzuty genialne barw, perspektywy, melodyi, efektu, pieśni i t. p.

Prostaczek może nie wiedzieć nawet, iż istnieje wyraz ten filozofia, a całodzienne uczynki sądem swym tak lub inaczej rozrządza.

Nie przypuszczeń, nie przeczeń, nie odcienia podmiotu odebranego, lecz twórczą, twierdzącą, główną, w rozwiciu sztuk, nauk i dziejów ludzkości gra rolę sąd.

Sąd jest to moment myślenia, ale ów moment, który jak

<sup>1)</sup> Karol Libelt. (Przyp. Rod.).

właśnie rzekliśmy, obecność i czynność w nas ducha głównie wyraża, i jest jakby myślą-narzędziem tego pierwiastku. Mieści i wyraża go w sobie i kolej utworów i kolej dociekań. Odbija go równie Praw Kodeks i dzieło Sztuki, Historia i Teologia, traktat o roli i traktat o matematyce; jest to właśnie punkt tego związku, który łączy wewnętrzenie te tak na pozór różne i nie łączące się gałęzie rozwoju ludzkości; — punkt związku, który je razem do takich, niż innych następstw ukształca i zwraca.

Gdybyśmy prawa sądu ująć, uosobić mogli w oddzielną naukę, zyskalibyśmy właśnie naukę, mogącą łączyć i kierować wszystkie nauki.

Sądu w życiu ludzkości jakież są dzieje?

Sąd jest tak dawny, jak ludzkość, dawniejszy, niż którykolwiek system *dociekań*, niż jakakolwiek *ustawa*, niż *wynalazek*, niż nawet *pieśń*; — objawił się on już wówczas, kiedy, jak mówi Pismo, wszelkie utwory ziemskie przywiódł Bóg do Adama »i nazwał je Adam imionami ich«. Sąd ten choć bez nazwiska istniał i przebijał się dalej we wszystkich zwrotach i dojsiach ludzkich, w wynalazkach, ustawach, sztuce, gałęziach nauk, dziejach i t. p. Jego dzieje, obecność, leżą w tem piętnie, tym charakterze, jaki w danych czasach i miejscach odbijał, albo odbija w kierunkach rozwić natura ducha. W tym stosunku zawarta i jego przyszłość. Spuszczający się, to jest stopniowie kształtujący się i odnawiający (w miarę odnawiania się gruntu swojego: *ducha* ludzkiego) *sąd*, jak był sprawcą stopniowych przemian, okresów, tak stopniowie rozwijając się, wznosząc, dzieje i odcienia dziejów ludzkich zmieniając, sprawiać ma nowe, aż kiedyś (kiedyś jeszcze po wiekach) wyrzeknie wkońcu o wszystkim, i zjednoczy go z sobą, Sąd Boży, sąd ostateczny.

Lecz to ideal wypadku, a w naszym biegu do kwiatu, w tej liczbie potworzonych i rozwijanych nauk, w tych moralnych gałęziach, które się pokształciły, nie ujęłaż i nie uosobiłaż dotąd żadna tego pierwiastku?

I owszem; — uosobiła go właśnie ta, o której i z powodu której piszemy te słowa: — *Krytyka*.

Krytyka, wyraz grecki, ukształcony od wyrazu *krinein* sądzić, jest gałęzią uosobioną w rozwiciu nauk, która za swój



źdego widzi się prawdą, — iż co rzetelnie jest *piękne*, dla każdego widzi się piękne. Kryterium więc prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest. To jest z pewnością prawdą, z pewnością pięknem, co sami przed sobą mamy rzetelnie za prawdę, mamy za piękne. To kryterium z pozoru tak lichy, je dnak istotne jest. Samolubstwo, zawiść, nienawiść, pycha, cel zysku, sławy chwilowej i t. p. sprawiły lub sprawiają co chwila w sądach, — tak w sądach oceniających jak i tworzących — niepamięć lub raczej zacieranie z umysłu owego kryterium. Źródła te, zrazu najmniejsze, zrodziły jednak, wydały te wszystkie rozrosłe fałszy, ohydy, szpetności, drogi wsteczne i błędne, owszem, nieraz zbrodnicze, w gałęziach sztuk, nauk, związków społecznych i t. p., które świat kształca.

Zwrot więc najprzód do prawdy w duchu to jest kryterium kryteriów.

Dane dzieło mamy oceniać, powiedzieliśmy, w odniesieniu do swej gałęzi, w odniesieniu do innych gałęzi, do praktyki.

Krytyka ma kierować nauki, stosować do życia; — obowiązkiem więc krytyka jest: poprzednia znajomość nauk, znajomość życia. Rzetelny krytyk winienby znać nie jedną tylko gałąź z rozwić ludzkości, lecz wszystkie. Nie jeden tylko zawód z życia ludzkości, lecz wszystkie. Znać winien wszelkie rodzaje pojęć i dzieje ich; — wszelkie rodzaje uczuć i dzieje ich; — znać przeszłość, znać obecność, znać owszem przyszłość. Musząc w sobie być takim, jakiemi działać ma innych, winienby nadto i przede-wszystkiem: *Wiarę* mieć w siebie i umieć zaprzecić się; — *Nadzieję* mieć i poddanie się; — *świat Kochać* i nawidzieć go.

Złączenie tych wszystkich warunków razem wziętych, tak nieraz sprzecznych, na pozór niepodobieństwem jest; — i owszem, jest niem istotnie.

Miara wszakże zbliżenia się gruntu objawianego sądu do tych warunków może być tylko miarą zbliżenia się do ideału dobrego sądu. Ten się też wkońcu pozna w całości swojej, i pozna szczegółowie i jasno cel swój, cel krytyki.

### C) »Pierwsze zasady krytyki powszechnej« (1870).

(»Pierwsze zasady krytyki powszechnej«. 2 tomy. Warszawa 1870).

Główne dzieło Tyszyńskiego, nad którym pracował lat około 30-stu. Pierwotnie miało nosić nazwę »Logiki filozofii praktycznej«. »Celem tej książki jest: śledzenie i oznaczenie zasad sądu powszechnego, to jest tych części ludzkiego sądu, które się odnosić mogą i muszą do wszelkich zarówno gałęzi rozwoju ludzkiego: nauki, sztuki, praw, codziennego życia, dziejów, religii i t. p.« Tych zasad krytyki powszechnej filozofia dotychczasowa określić nie potrafiła. Tyszyński chce tedy »użyć i uczynić próbę metody nowej«, którą, że będzie wychodził głównie ze względów praktycznych, nazywa »metodą *myśli praktycznej*«. Metoda ta zasadza się na »prostocie w sądzeniu«, t. j. na uznaniu oczywistości, że »zmysły i rozum człowieka dostatecznymi być muszą dla potrzeb i losów człowieka«, więc i dla poznania »*prawd ludzkich*«, »umysł nasz bowiem« nie jest zdolny do poznania prawdy bezwzględnej. Z tego stanowiska Tyszyński przystępuje do rozpatrzenia dziejów ludzkości w przeszłości, w których rozwoju widzi okresy niemowlęctwa, dzieciństwa, młodości i wieku męskiego; rozwój tych dziejów rozważa pod trzema względami: ducha, myśli (dzieje umysłowe) i ciała (dzieje zewnętrzne). Przedstawwszy, jaką była przeszłość ludzkości, zastanawia się Tyszyński nad przyszłością, wreszcie i tych rozważań wyciąga wniosek, jaką ma być obecność, t. j. jakim być winien nasz, zwracając do wszelkich przedmiotów sąd, t. j. na jakich zasadach moralnych ma być oparta »krytyka powszechna«. Innymi słowy, jakim ma być człowiek, a więc i krytyk, aby jego sądy były słuszne.

Podajemy »Słowo wstępne«.

#### Słowo wstępne.

**847)** *Tom I. Str. I—III.* Nauka krytyki nie ma dotąd spisane go swego kodeksu. Nauka ta nie ma nawet jeszcze swych bliższych określeń, spisanych dziejów. Ma ona, rzecz to można, dopiero się stworzyć i przedsiębiorzemy rzecz nową, mając zamiar skreślić tu jej pierwsze zasady<sup>1)</sup>.

Wyraz krytyka (od wyrazu greckiego *krisis* sądzenie) użytym był niegdyś po raz pierwszy przez uczonych Szkoły Aleksandryjskiej pierwszej (z czasów Ptolomeuszów), a zadaniem jej wtedy było szkować tylko, poprawiać i wreszcie oce-

<sup>1)</sup> Spółczesna nam obszerna publikacja Renouvier'a »La critique générale«, jest zestawieniem obok siebie krytyk różnych gałęzi, nie zaś wyszukiwaniem i oznaczaniem spólnych im zasad.

niać szczegóły kodeksów rękopiśmiennych pierwotnej literatury greckiej, a rozbiierać i oceniać prawie tylko wyłącznie pod względem użycia głosek, wyrazów, wyrażeń, i była ona zaledwo nie jednoznaczna wtedy z gramatyką. Po wskrzeszeniu wyrazu za wieków nowych, odniesionym on był głównie do oceniania sztuki, i gałąź poezji była jedyną, która otrzymała spisane swe prawa krytyczne (Poetyki). Z końcem jednak zeszłego, a początkiem obecnego stulecia znaczenie wyrazu wzrosło i wszechstronnie się rozszerzyło. Kant wszystkim swym głównym traktatom filozoficznym nadawał nazwisko krytyk. Wkrótce też okazała się ścisła krytyka źródeł dziejowych. I owszem, wzrost dzisiaj w ogólnem rozwiceniu umysłowości ludzkiej pierwiastku sądu (który to wzrost w tym czasie tak się stał snąć koniecznym i naturalnym, jak wzrost tego pierwiastku w pojedynczym podrosłym człowieku) wnet się dobitnie objawił w uprawie i wszystkich innych gałęzi umysłowości. Filozofia, Historia, Sztuka, Nauki przyrodzone, Prawo, Polityka, sama nawet Religia (Teologia), wszystkie słowem te wielkie działy, które wydała myśl ludzka, z ich poddziałami bez końca, zyskały i ukazują dzisiaj i dział swój krytyczny. Uprawie tej towarzyszy nawet szczególna czynność, poświęcane są jej, widzimy, liczne pióra, liczne talenta, stałe nawet pisma czasowe, kwartalne, miesięczne, tygodniowe, nawet codzienne (polityka); ta czynność, to rozwinięcie, okazały w ten sposób nowe, a szczególnej wagi znaczenie dawnego skromnego wyrazu. Przez krytykę, jak to widzimy, rozumianym jest dzisiaj nie tylko sąd prosty, czyli ocenianie, lecz nadto i kierowanie, kierowanie piszących, kierowanie myślących, kierowanie danej gałęzi, razem wziętych gałęzi, czyli całego wogóle umysłowego rozwinięcia ludzkości, życia ludzkości, do pewnych celów.

Jeżeli jednak ta czynność i to znaczenie krytyki jest dziś tej wagi, jeżeli jasnym to jest, że jej zadanie kierować rozpadłe i rozdrobnione drogi ludzkości, a mianowicie różne gałęzie jej nauk do jakichś celów; — rażącym i smutnym zarazem jest to, iż w tej pojomości nie dostrzegają się dotąd wcale jakowaś jedność, w pojowaniu przynajmniej tych szczegółów bytu i rozwinięcia, które odnosić się muszą do każdej zarówno gałęzi i które tem samem służyćby powinny i mogły za punkt związków

w sądach i kierowaniach — w pojowaniu np. ogólnego znaczenia i treści istnących rzeczy, ich ogólnej przeszłości, ogólnej przyszłości, stosunku do Siły Stwórczej i t. p. Wyobrażenia i przekonania krytyków w tym względzie tak są dziś owszem różne i sprzeczne, a z taką objawiane pewnością, iż rzeczy można, że są wyplywem nie jednego spólnego ludziom pojęcia, iż idą od różnych istot stworzonych, — i że wszelkie dalsze kształcenie krytyki w duchu jedności jest niemożliwe.

A jednak:

Ludzkość (jak to ujrzymy wkrótce) to pewna Jedność. Wysza ona z jednych łącznych początków i zdąża do łącznych celów. Jest to Zbiorowy Człowiek, który jak w swem życiu zewnętrznem, tak i w życiu wewnętrznem takież przeżywa doby i takież rozwija siły, jak Pojedynczy. Przeżyła ona niegdys dobę swego dzieciństwa, dobę młodości, a dzisiaj w wiek swój męski wstępuje. W dobie pierwszej wniosła była i wyraziła swoją zbiorową Pamięć, w następnej zbiorową Fantazję, w obecnej jak musi wnieść tak i mieścić jeden zbiorowy Sąd. Sąd ten jest i właśnie ma być przewodnikiem do owych jej celów łącznych, musi więc mieć i jakąś skrytą łączność w swoich zasadach. W jego kierunkach różnych, kierunkach sprzecznych, tkwić musi i pewna jedność, a w jej tle i owa zgodność z ostatnim celem. Idzie tylko o ujęcie tych zasad, rozróżnienie ich i oznaczenie.

Temu to rozróżnieniu, ujęciu i oznaczeniu poświęcone jest właśnie pismo obecne.

## D) »Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej« (1871).

(»Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej«. Warszawa, 1871).

Zestawiwszy »Świteziankę«, fantazję dramatyczną Lueyana Siemińskiego (1843) z »Świtezianką«, balladą Mickiewicza, Tyszyński charakteryzuje okres romantyczny w naszej literaturze i zastanowiwszy się głównie nad twórczością Mickiewicza, Krasńskiego i Słowackiego, dochodzi do wniosku, że okres ten stanowi nie tylko krok naprzód w rozwoju naszej

poezyi, ale także w powszechnej, z powodu rozwinięcia idei «miłości wszech-ludzkiej» i wieszczenia czasów, które tę ideę urzeczywistnia.

Podajemy następ, w którym Tyszyński daje ogólny rzut oka na rozwój poezyi naszej, oraz charakterystykę Słowackiego.

**848)** *Str. 11—12.* Poezja polska od XVI-go wieku bogatą już była w nader liczne i nieraz obszernie utwory. Kolorem ich wtedy był prawie wyłącznie dydaktyzm, niekiedy liryzm (zwłaszcza religijny) i opisowość, a w drugiej połowie wieku XVII głównie historyczność. Po upadku (w tej drugiej połowie XVII wieku) smaku poetycznego pamięć o tej poezyi znikła była prawie wśród kraju; a po wskrzeszeniu następnie smaku (w połowie XVIII wieku), za przedmiot jej było też wzięte obszerniej i serce ludzkie, to serce, którego słabości zdaje się, iż się wstydzili dawni poeci nasi i jeśli jej ulegali, ukrywali się pod maską wiejskich jednostek (Sielanki). Te jednak pierwsze śpiewy o sercu ludzkim nie przedstawiły się w naszej poezyi zbyt idealnie.

Okres poezyi polskiej z końca wieku zeszłego (z czasów Stanisława Augusta) stworzyli byli wyłącznie poeci miasta, natchnienie miasta, a to miasto odbijało głównie natchnienie oddanego zabawom Dworu; w stronie więc swej wybitnej, oryginalnej, a odznaczonej talentem, miał on głównie za wyraz: galanterię tylko i satyryczność (epopeje komiczne, dramata komiczne, satyry, satyryczne bajki i t. p.)

Początek naszego stulecia, który tchnął bojami po świecie, stworzył był też i w naszej poezyi poetów-żołnierzy, poetów, śpiewających niekiedy wdzięcznie, których śpiew nie wznosił się był jednak nigdy do utworów poezyi głębszej.

Wiek pokoju, który po wojnach nastąpił, stał się był zrazu jakby ciszą i w kraju poezyi; był to, że tak rzec można, czas jakby spoczynku sennego, pokoju nocy, tej jednak nocy, która poprzedza gwar pieśni, mających nagle zabrzmieć wśród pól i lasów.

Gwar ten świeży rozpoczął się właśnie w owym 1822 r. Literatura nasza przed rokiem 1822 nie miała oryginalnych poetów. Niemcewicz za Stanisława Augusta, na chwilę genialny komik, w wierszu poważnej treści, był tylko wierszopisem tkliwym i gładkim. Brodziński silnym był tylko w prozie,

a wyjątkowy wśród poezyi jego obrazek *Wiesław* był raczej echem szkół dawnych, nie twórcą nowej. Smak estetyczny wśród kraju kształcił się wprawdzie i wzrastał, lecz celem kształcenia się natchnień, celem upodobań powszechnych, (którymi kierują wzór nie teoryje) były głównie: piękna struktura wiersza, jego rozsądek i gładkość; berło poetów-mistrzów trzymali tylko tłumacze. Okres ten był jednak zapewne z pewnej strony postępowym nad wiek Stanisława, w miejsce epopei komicznych, dramatów komicznych, przedmiotem zamilowania stały się były wtedy raczej epopeje bohaterские, wyższych lotów tragedye i t. p.; wiersz przekładów dochodził nieraz istotnie jakby rzeźbiarskiej piękności.

Te przedmioty i taka szata uznane właśnie zostały za szczyt piękności w poezyi, ideal do naśladowań; gdy nagle w roku owym 1822, w stronie kraju i w miejscu, z których (mimo rytmotwórcze duchy Kolakowskich, Krajewskich, Ejsmontów, Bartoszewskich, poetów z XVI w. i innych), właściwie mówiąc, nie ukazywały się nigdy i nie nadlatwały kwiaty poezyi, wyszedł zbiorek, który równie wewnętrznie jak i zewnętrznie ukazał się w zupełnym kontraście z modą społeczną, a losem którego jednak było: sprawić okres na polu, na które przyszedł.

Zbiorkiem tym były dwa małe tomiki poezyi Adama Mickiewicza.

**849)** *Str. 22—28.* ...Słowacki zrazu był przyjacielem autora Irydyona, podobny mu z upodobania w poezyi, z oddawania się wyłącznie poezyi, był z nim jednak wielkim kontrastem w nucie swych pieśni. Jeżeli w gruncie serca śpiewaka *Brzasku* [=Przedświtu=] tkwiła miłość dla samych swych nieprzyjaciół, Słowackiego serce i śpiewy gorzały, można rzec, nienawidziła dla samych przyjaciół. Obdarzony siłą ironii, chwycił za nią co chwila, śmiał się z wszystkich, z wszystkiego; i w jednym z poematów swoich, półpsychicznym, półhistorycznym, w którym skądinąd najwięcej może rozspalał kwiatów i myśli i słowa (*Beniołowski*), oraz w niejednym dramacie, zdaje się, iż wziął był za temat wszystko, co czcili ci przyjaciele, co kraj: osoby, czyny, wypadki, śpiewać na nutę sztyderstwa, okrywać sztyderstwem. Dotknięty w owych *Trzech pieśniach* [=Trzech

*psalmach*] jakimś słowem autora ich, może właśnie ustępem, na który wskazaliśmy, jako zwróconym do partyi, której sprzyjał więcej, napisał do tegoż autora wiersz, który w czasie swym nader był głośnym (lubo może z powodów ujemnych), a w którym pożegnał przyjaźń i na nutę zupełnie odmiennych zasad zaśpiewał<sup>1)</sup>.

Ta niezgodność nie trwała jednak długo. Słowacki, którego historia pieśni w trzech różnych rozwiązaniach się dobach, w ostatniej zbliżył się wiele, może nawet zupełnie, do zasad, przeciw którym wychodził, i przyjaźń z autorem *Pieśni* [= *Psalmów*] znowu wróciła. Pozostanie to zagadką na zawsze, w czym tkwiła ta skryta moc i ten pociąg, któremi (w czasie, o którym mówimy) autor *Biesiady* [Towiański], autor tak niewielkich zdolności piśmiennych i przynoszący naukę duchową tak mało nową, zdołał być, począwszy od mistrza, tyle umysłów tak wysokich zalet, takiej różności zasad, a serc tyle dumnych ołśnić, zadziwić, podbić i jedną ich wspólną nauką duchową na czas jakiś zjednoczyć. Był to fakt jednak, a w liczbie tych umysłów złączonych znalazł się i Słowacki. Zstąpił on z tronu pychy z innymi, uderzył przed nowym mistrzem czołem, i od zwrotów do materyjalizmu i ironii przeszedł w ekstazę.

Słowacki w pierwszym okresie swych natchnień (do wydania początku *Trylogii*) [*Kordyana*] dawał wprawdzie utwory ram dłuższych, o wierszu paradnym, ale treści zimnej, naśladowanej. Od trylogii i Balladyny dał szereg utworów oryginalnych i poetycznych, które jednak nazbyt właśnie odznaczał ów sarkazm lub materyjalizm — w ostatnim zaś tym zwrócił obok bogactwa słowa, poezyi słowa, odznaczył też treść ich wewnętrzną dogmatyzm duchowy.

Słowacki zostawił wiele powieści i wiele dramatów, należąc do każdej z tych epok, a jakkolwiek, jak Bajron, w żadnym z nich nie dał ani arcydzieła powieści, ani arcydzieła dra-

<sup>1)</sup> W wierszu tym («Do autora trzech pieśni») zaczynającym się od słów: «Według ciebie, mój szlachciu!»; poeta zarzucał między innymi ich autorowi, iż siedząc przy ciepłym kominku, wszystkich miał za podobnie siedzących, że zbyt szafował porównaniami, bramami z Miekiewicza.

I napelnit wóz Chrystusem

Jak Owidysz Faetonem i t. p.

matu, to jednak przyczyną tego nie była, jak u Bajrona, wyłączna subiektywność, ale przeciwnie, zbytne oddawanie się szczegółom obiektywnym, z zapominaniem na mechanizm utworów.

Słowacki nie dał nam ani genialnych powieści, ani genialnych dramatów; dał jednak genialne ustępy powieści i genialne sceny w dramatach.

Tu dosyć będzie wspomnieć na ostatni z tych zwrotów, jako głównie oryginalny i będący ostatnim kwiatem myśli i fantazyi autora. Do okresu tego należą mianowicie w dramatach: *Sen srebrny Salomei* i *Wieszcz-kapitan* [*Książę Marek*], z powieści: *Król-duch*.

Owo unoszenie się w wiek przyszły, wiek ów pokoju ducha, miłości w duchu, — wiara w jego nadejście, stały tu się, widzimy, uznaniem także natchnionem szycdercy-materyjalisty. Wyrażała się ta treść natchnienia w różnych odcieniach i zwrotach, a nieraz i bezpośrednio, jawnem była wyznaniem.

Ow *Wieszcz-kapitan* np. który poprzednio w «Beniowskim» kreślonym był na nutę ironii, w dramacie z tego okresu przedstawiony jako rzetelnie natchniony, i w swych lirycznych wołaniach, czyniąc aluzyją do owego przyszłego wieku, tak się np. wyraża:

...bo tu, gdzieśmy żyli,  
Śród naszej niby opieki,  
Bogu i ziemi na chwałę  
Poczęło się *dziecko małe* (owa idea),  
Które będzie żyło wieki.  
Kto jest ono, (dodaje), nie powiem,  
Ale że tu jest to dziecko,  
To wiedzą nawet ptaszęta,  
Świergocące na błękitie.

O tem wie i on, jako prorok, i tak określa się (terminami swej szkoły duchowej):

Bo zaprawdę, jestem w lidze  
Z duchami i ze świętymi;  
A chociaż niski na ziemi,  
To duchy okryte zbroją  
Na ramionach moich stoją,



I kończą się gdzieś w bezkońcach,  
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,  
W gwiazdach, meteorach, słońcach,  
Za słońcami, w słońcu Ducha.

Arcydziełem Słowackiego z tej epoki jest jego poemat szczególnie bogaty i w myśl i w obrazy, jakkolwiek w swym skutku chłodny, jako z serca niegdyś egoisty idący. Za bohatera poematu tego obrany został przez autora Duch-duchów, Duch-rządca ludzi i dziejów, czyli *Król-duch*. Ten *Król duch*, jak się okazuje w końcu, to *Duch-miłości*: wszakże nie przemówił z pozorów słowami miłości; rozumiejąc sam siebie, nie troszczył się, aby być zrozumianym od innych, i obkleił się w obrazy i słowa szczególnej ciemności. Czyli to było skutkiem tego powodu, że jednocześnie ze śpiewem tych naszych poetów, o których mówimy, na pierwszy plan wystąpiły były w kraju i po świecie nauki spekulacyjne, i odrzuciły były utwory fantazyi na drugi plan, czyli iż mieliśmy poetów żadnym innym zawodem niezajętych, a oddających się, rzecz można, po dniach i nocach poetycznemu rozmyślaniu, czyli z obu tych przyczyn razem, lub z jakiejś trzeciej; dosyć, iż było to faktem, że mieliśmy w owym czasie całą szkołę poetów ciemno pisaćcych. Do takich należał między innymi nie w jednym swym utworze wierszem i prozą, i autor „Trzech pieśni”, a jakby kwiatem manieri tej błysnął właśnie w owym poemacie swoim Słowacki.

Czy ciemność ta była skutkiem bezloicności, pomieszanych władz umysłowych, czy tylko jakiejś loicności odrębnej?

Ciemność myśli zdarza się i zdarza się nieraz na polu spekulacyjnym, począwszy od Platona do pism filozofów niemieckich z ostatniej epoki; jeśli bowiem myślą filozof oddany rozbiorowi, rozwadze prawd umysłowych, przechodzi w procederze swej myśli od pojęć do pojęć, od wniosków do wniosków i dochodząc do pewnego wypadku, kreśli tylko wypadek, bez objaśnienia owego procederu: frazes albo frazesa, które wtedy wyraża, mogą być bardzo jasne dla jego własnego pojęcia, ale dla czytelnika muszą być bardzo ciemne; stają się owszem wkrótce takimi i dla samego autora, i wiadoma jest powieść z życia Kanta, który na zapytanie, co znaczy jeden z jego fra-

zów w któremś z pism jego, po odczytaniu miał odrzec szczerze: iż należało go o to zapytywać w kilka dni po wydaniu.

Skutek taki, który się nieraz zdarzał wśród sfery dociekań, zdarzał się właśnie wśród sfery poezyi i w utworach poetów naszych; oddani oni wyłącznie tworzeniu obrazów, przechodząc w procederze swojej fantazyi z obrazu do obrazu, od myśli do myśli, i w końcu bez objaśnienia tej drogi, czyli tych obrazów i myśli poprzednich, kreśląc tylko wypadki, tworzyli wyrażenia, strofy i poemata całe, tak zakwilałej całości i szczegółów, iż niejednokrotnie, jak szczegółów, tak nawet i sama całość, zaledwo nie przez samych tylko autorów rozumiane być mogły. Wypadkiem takiego skutku, takiego procederu, był też właśnie *Król-Duch*. Iż poemat ten nie był tylko fantastyczną zabawką myśli i na żart z czytelników kreśloną lamigłównką, dowodem tego jest stosunkowa loicność strof pojedynczych i dowodem jest mianowicie ta okoliczność: iż mimo nader zimne przyjęcie ogłoszonych ustępów tego poematu, autor jednak całą prawie resztę swojego życia poświęcił na ich prowadzenie dalsze (jak widzieć to można z ogłoszonego po śmierci autora obszernego dalszego ciągu i objaśnień wydawcy). Stylu tego i takiej manieri pisma bynajmniej nie uwielbiamy<sup>1)</sup>, i obojętność w tym razie na zdanie czytelników egoizmowi chyba przypisać możemy; nie idzie jednak z tego, aby tak piszący poeta nie był poetą, iżby jego poezya nie była poezyą przez to tylko, iż ro-

<sup>1)</sup> Jeden z reprezentantów tej szkoły ciemności, poeta *Cypryan Norwid*, broniąc tej metody czyli tego faktu w poezyi Słowackiego, wyraził zdanie: iż gdy prawda i życie są ciemne, przeto i obraz, jeżeli jest istotnie z prawdy i życia, musi być ciemnym. (Prawda, mówi, obejmuje życie, jest więc niejasna, bo obejmuje rzecz ciemną, gdybyśmy odjął prawdziwe życie, odjąłbym to, co ją sprawdza, ale byłaby jasnym fałszem). (*Odczyt o Słowackim*) Nie zajmujemy się tu tą rzadką rozbiorem tej kwestyi, zwracamy tylko uwagę, iż twierdzenie to jest kontrastem z twierdzeniem tych, którzy na polu spekulacji są zdania: iż przeciwnie prawdziwym kryterium prawdy jest jasność, — iż ci poeci, których głos powożeczny uznał za poetów pierwszego rzędu, wszyscy mieli przymiot jasności, — i wreszcie, że hieroglif, chociażby miał się najszczytniej, za dnia historyi i dla postępu myśli człowieka znaczenie żadne. Jakoż i wszystkie, widzimy, poezye Cypryana Norwida, mimo swe rzetelne zalety, z żalem dla sztuki, tenże los właśnie mają.

zumianą być nie może bez komentarza. *Król-Duch* we wszystkich swych szczegółach i odcieniach nie jest zapewne i dotąd nam jasny; znając wszakże zasady szkoły autora, jest on nam jasny o tyle, iż możemy rozumieć główną myśl jego, główny cel. Autor śpiewu, widzieć to można, wierzy (razem ze szkołą) w rodzaj metempsychozy, wierzy w harmonię epok, czasów, rozwojów, w istnienie pewnych podobieństw, tak w rozwoju całosci i części, jako też tych między sobą i t. p. Król-Duch (bohater poematu) istnieje więc i wyrażać się może i musi i w jednej i w drugiej jednostce ludzkiej, mieścić go może taki wódz, taki wieszcz (do jednostek takich autor zalicza i siebie), taki rządcza, jak jednostka, tak naród, tak jakaś cząstka ludzkości, okres ludzkości i t. p. Pojęcia te czynią zapewne jawny zamęt, gdy bowiem poeta mówi np. w poemacie: »ja«, nie jest łatwo odgadnąć, czyli to mówi o sobie, o kraju, o jakiejś epoce ludzkiej, o samym duchu i t. p.; gdy kreśli jakiś wypadek, wyraża uwagę, jest to zawsze prawie zagadką, o czem mówi, do kogo je odnosi? Mimo to wszystko jednak dosyć to jasne, iż jeżeli treścią poematu jest opowiadanie różnych dróg Króla-Ducha śród dziejów ludzkich, to znowu, iż celem zarazem jest: wieszczenie i wyznawanie wieku, w którym na nastąpić jego wygrana. Iż duch ten jest to duch *miłości*<sup>1)</sup>, jest duch *chrześcijaństwa*, objasnia to najlepiej samo zakończenie tego ustępu, który autor sam jeszcze za życia był ogłosił i według którego najprędzej możemy go sądzić.

Ogłoszony ten przez autora ustęp poematu opowiada jeden z okresu dziejów Króla-Ducha, a treścią pieśni są wyłącznie obrazy mordów i krwi, »Cierpienia moje« (t. j. Ducha), jak wyraża autor w zaczęciu. Tak bowiem jak brylant, nim się stanie owym kosztownym brylantem, w pierwszej epoce bytu być musi kamieniem ciemnym, tak również każda idea, każdy bieg, każdy utwór, nim wzrosną, nim się rozjaśnia, muszą pierwszej przebyć swe doby ujemne; taki los jest też losem rozwoju świata: ci pięć, którzy przedstawiają w tym losie swe doby,

<sup>1)</sup> Popiel, bohater ogłoszonych pieśni, morderca rodu, wyraża tu między innymi:

Okropne ze mnie na wiatr wyjął cienie,  
Wszemmiłości zmyna w krwi...

straszą czynami, ale zaletą tych czynów, iż przyspieszają czas kwiatu, epokę lepszą.

Takim np. był wiek Popielów (który właśnie jest głównie treścią ustępu) w kraju Popielów, nim przyszedł Mieczysław, takim był cały wiek dawny, nim przyszło chrześcijaństwo i t. p.; ale zakończy to wszystko z czasem wiek ducha, królestwo ducha. Autor więc kończąc ustęp, żegna epokę krwawą, która minęła, niby (zarazem) cały wiek starożytny, ową pierwszą formę dziejową, i tak się wyraża:

»Spijże, mój kształcie pierwszy, z ducha zdjęty!  
Świecący w dali jak księżyc na nowiu,  
Upiorny, za krew wyłana przeklepty!  
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.  
Klątwa na ciebie!.. jak na *dyamenty*,  
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu,  
Pierwszej natury z ducha budowane,  
W ciemność i w chmury i w piorun odziane.  
Lecz *ja* na tobie nogę postawiłem,  
I szedłem dalej, a jużem był *Boży!*

Przy wzmiance tej o chrześcijaństwie, pożyczca też autor wyrażenia z prorocत्व chrześcijańskich.

»Morza się cofną, góry pójda pylem,  
I świat się komet deszczami zatrwoży,  
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem!  
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,  
Któremu Pan Bóg zaslon swych uchyla,  
A lat tysiące są jak jedna chwila.

## E) Z »Wizerunków polskich« (1875).

(»Wizerunki polskie«. Zbiór szkiców literackich. Warszawa 1875).

Podajemy wstęp do studjum: »Ludwik Kondratowicz i jego poezye«, (druk. pierwotnie w Bibl. Warsz. 1872), w którym Tyszyński występuje przeciwko jednostronnej, materialistycznej teorii, że poezya jest wytworem przyrody, która warunkuje jej charakter.

**850)** *Str. 205—208.* Wiek nasz nie jest wiekiem poklasków dla dzieł poezji. Zainteresowanie się dziś tak silne i tak powszechne treścią i wypadkami badań materialnych nie sprzyja zwrotom duchowym. I nie twierdzimy bynajmniej, iżby ten prąd materialny był prądem wstępnym. Po wyubianiu tak silnym, lecz jednostronnem w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia badań przeważnie duchowych, a po zawodzie ich, stosownie do praw rozżycia, przyjąć musiała z kolei doba kontrastu. Członkowie doby, nie możemy owszem i sami odjąć się dobie i nie podzielać jej wrażeń, ale w okresie każdym, jakkolwiek hasłem każdego jest jednostronność, tkwi i wszechstronność. Okres nasz, lubo jest materialny przeważnie, jest jednak chronologicznie postępnym, a jako taki, nim dopełni swe koło i ustąpi znowu z kolei miejsca zwrotom przerwany (t. j. nowemu okresowi ducha w postępie nowym), może i musi wydać i niejedno dojsięcie postępnę wśród swych gałęzi, a dojsięcie to, jeśli będzie dojsięciem postępnem istotnie, chcemy rzecz »dojsięciem prawdy«, musi pójść mimo wiedzy swych sprawców i na ogólną korzyść wszystkich gałęzi. Takie np. prawdy, do uznania których, myśląc tylko o swym zakresie, woszedł był ostatni okres duchowy, jako: istnienie praw pewnych rozwoju, jedności bytu, harmonii i t. p., przejął i zastosował do dojsię swoich obecny materialny, podobnie też niejedno dojsięcie i tego, które sam mniema być śmiercią, pogrzebem ducha, może w istocie pójść raczej na jego tryumf.

Objaśnimy to bliżej.

Po zakwitnieniu i śmierci z końcem wieku zeszłego, a po wskrzeszeniu w polowie naszego czci wyłącznie materyi, reprezentanci tego kierunku, po ponowieniu zrazu dawnych swych twierdzeń o odwieczności materyi i odwieczności jej kształtów<sup>1)</sup>, pochwycili następnie, przejęli za własną i poparli masą dowodów tę niedawno zjawioną hipotezę: iż owszem pierwotnem nastaniem (t. j. sposobem stworzenia) tych wszystkich istot ziemskich, na które patrzymy, było nie ich trwanie odwieczne w dzi siejszych formach, lub też ich samorodne zjawienie się obok

<sup>1)</sup> Rozprawić o powstawaniu gatunków istot jest to rzecz próżna, gatunki bowiem odwieczne są te same. Aug. Comte.

w formach sobie podobnych, ale ich stopniowe i harmonijne wywijanie się (ewolucya) z formy w formę, przez odmet wieków. Szkoła wniosła, iż dojsięcie to jest pokonaniem ostatecznem ducha i wszelkich z tego wyobrażenia idących »duchowych mrzonek«. Dojsięcie to jakież jednak istotnie musi mieć skutek? i do jakich właściwie wieść wniosków?

Jeżeli ten pomieniony dopiero wykład nastania różności istot jest prawdą, (a sądzimy, iż wszelki wykład, który w stworzeniu rzeczy widzi harmonię i mądrość, nie zaś bezład i bezpowolność, jest bliższym prawdy<sup>1)</sup>), jeżeli istotnie nad naszą ziemią przepływały miliardy wieków i w biegu tym wydawały tylko przemiany form materialnych, a dopiero przed czasem stosunkowo niedawnym, przed kilku tysiącami lat, jedna z tych form, z tych utworów, ukazała się z przybytkiem nieznanego dotąd pierwiastku: ducha żywego (z pierwiastkiem twórczym), pierwiastku, który ją odróżnił o całość i wyniósł o całość nad wszystkie utwory poprzednie; tedy o ileż nam droższym, o ile silniej strzeżonym i wyżej wielbionym być winien ten tak świeży na ziemi goszcz, ten duch ludzki! Jak ciekawie badane, jaką ciężką otaczane sąstankie jego objawy, jego produkty! Z formą ludzką (właśnie według teorii tej nowej) ukończony, wypada rzecz, został zewnętrzny rozwój natury, a wszelka odąd zjawiana na ziemi nowość rozla tylko od ducha ludzkiego.

Pierwiastkiem tym (duch i twórczość) połączył się bezpośrednio człowiek z pierwiastkiem (Duchem-Stwórcą) wszechzręczy. Pierwiastkiem tym zapanował on na ziemi, rządzi i włada wszelką istotą ziemską, z dniem każdym wnosi jakąś na ziemię nowość, nieznaną od dni stworzenia; w świecie swoim (ludzko-

<sup>1)</sup> Wykład ten wyrozumowanego dzisiaj (w wieku XIX) logicznie dojsięcia, dziwnie się nawet zbiega z podaniami lub nauką natchnień pierwszych historyków ziemi. Główne np. punkta twierdzeń Genesis Hebrajskiej: iż ród ludzki nie jest odwiecznym na ziemi, iż na ziemi, po jej nastaniu przybywały epokami postępnie coraz bogatszej organizacyi utwory, i że wreszcie ludzkość cała dzisiejsza jest rozrodem z jednej pierwotnej pary, są to właśnie główne punkta teorii dzisiejszej o pochodzeniu istot, zwanej teorią Darwina. (Co do ostatniego z tych punktów, t. j. wyjścia wszelkich pokoleń ludzkich z jednej spójnej pary, widzieć misłowicie dowody w najnowszym dziele Darwina: »Pochodzenie człowieka i wybór pleciowy«).

ści) wydał on i wydaje szczegóły takie jak: dzieje, religie, świat wyznalazków i nauk, dzieła sztuki i t. p. Badanie i ocenianie każdego z tych szczegółów jest to więc owszem głównej żywotności zadanie dla badań ludzkich. Zajmuje nas i naucza zapewne badanie i przebywanie śród np. starych jaskiń i skał, śród sfery lodów i wód, pośród prochu i kości istot zaginionych, i badania te jako badania także ciężą otaczamy; lecz badania te jako badania, w razie nawet skutków najlepszych, objaśnić nam tylko mogą i objaśniają martwość i przeszłość. Zagadkami głównymi dla ludzi są: wnętrze istoty ludzkiej i losy ludzkie, a rozwiązanie tych zagadek prędzej i bezpośrednio nam dadzą, dać nawet, zdaniem naszym, jedynie mogą, nie tyle badane np. przepaście i ognie śród kształtów i treści ziemskich, ile raczej przepaście i ognie serc ludzkich i myśli ludzkich.

Poezya, ta właśnie jedna z gałęzi dzieł sztuki, jeden z głównych utworów ludzkiego ducha, według objaśnień i twierdzeń szkoły materialnej, jest to tylko przYGONIA produkcy wrażliwszych mózgów, a treść jej to odbicie działań przyrody na nerwy czaszki. Ten też właśnie był grunt i krytyki materialnej z wieku zeszłego, zwanej klasyczną. Skala zgodności poezyi danej z jej typem t. j. naturą, której jakoby naśladowniczką tylko być miała, poczytywaną była za jedyną skalę wartości utworu. I nie wszystko też wcale było fałszem śród sporządzeń i reguł krytyki tej; ujemnością i fałszem w krytyce tej było to tylko, co jest ujemnością i fałszem w ogólności całej tej (materialnej) szkoły, to jest jednostronność w poglądzie i pewna ciasność. Iż poezya, a zwłaszcza słowa poezyi, są dziećmi mózgu, iż obrazy jej mogą, a nawet muszą być odbiciem natury zewnętrznej, jest to istotną prawdą; wszakże nie tylko w tym fakcie i nietylko w tej treści leży jej całość.

Mamy właśnie przed sobą zbiór natchnień śpiewaka z nad Niemna, zbiór obszerny, dziesięć tomów utworów obejmujący, a treść ich była to istotnie produkcy jego mózgowej tkanki, działań na nią okolic i słońca nad Niemnem. Lecz oto nad tymże Niemnem, śród tychże okolic, jakaż ilość (uważać to można) i istnieje i istniała od tyłu już czasów innych mózgowych tkanek i czaszek, na które działają też słońce, też okolice, które nawet łącznie lub jednocześnie wzrastały i żyły ze śpiewakiem

utworów tych, a więc śród tychże wrażeń zewnętrznych i wrażeń wewnętrznych, śród myśli podobnych dziennych i uczuć dziennych, które nawet dzieliły jawnie takąż wrażliwość, miały równie upodobanie w śpiewach i chęci własnej do śpiewu<sup>1)</sup>; dlaczegoż jednak z liczby tych kroci jednej tylko danem było odezwać się i długo odzywać, a odzywać na taką, nie inną miarę, na taką, nie inną nutę? Dlaczego śród tejże strony, śród tych okolic, niegdys płynęły wieki i nie dawał się słyszeć śpiew żaden? Dlaczego nie dał się słyszeć odtąd? Dlaczego (że się wyniesiemy na chwilę za punkt i mgnienia) i tam i gdzieindziej, śród biegu dziejów i wieków, śród kroci, milionów jednostek, jedna tylko w danem miejscu i czasie ukazuje się taka, nie inna, otrzymuje przywilej śpiewu, i łącznie ze śpiewami, myślami i innymi utworami społecznych mózgów i czaszek sprawnia jakąś epokę daną, jakiś odcień w ogólnej, jakąś miejscową? Oto wszystko to właśnie dlatego: iż oprócz tych ludzkich mózgów i myśli, istnieje jeszcze, jak śród wszechświata, tak w świecie ludzkim, pierwiastek trzeci, który obraca i rządzi, tak treścią mózgów jak myśli, który ich wypadki i dzieła układa do jednej harmonii, który sprawia, iż w takich, nie innych kształtach ukazują się czasy przeszłości, w takich, nie innych nadejdą kiedyś przyszłości, w takie, nie inne obleka się tło obecności, a który ma imię — duch.

Duch jest początkiem wszystkiego i końcem wszystkiego, tak nauczyła nas właśnie szkoła materialna dowodem nowym. Z utworów, które pośród dzieł ludzkich najbogaciej odbijają i rozwijają pierwiastek ten, jest właśnie, mówimy, poezya — i powtarzamy znowu: zajmować się tą gałęzią, nie jest to wcale zajmować się sferą »mrzonek«.

<sup>1)</sup> Przychodził nam tu na myśl mnogość z owego czasu poezyi w Riecznikach, Noworocznikach, Pamiętnikach i w innych ówczesnych zbiorach miłoścowych, a które dla podpisanych pod nimi nazwisk były (w razie najlepszym) zarazem i głosem skowronka i głosem labędzia.



## F) Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna Słowackich) (1879).

(«Tygodnik Ilustrowany» 1879, t. II).

W «Amerykance w Poisce» (II, 103) Tyszyński scharakteryzował twórczość swego współzawodnika szkolnego w 7-wierszowym przypisku («Syn słodkiego prozaita, poeta paryski, Słowacki, stylem Szkoły litewskiej przedmioty ukraińskie opowiadać się stara. Budowa wiersza w poematach jego wspaniała i harmonijna. Obrazy i myśli pospolicie poezyi pełne. Ale tak w ich układzie, jak w układzie całości, brak pospolicie trafnej, uderzającej harmonii. W samym zaś stylu rozwlekłość, lubo wystawna»). Niniejsza paralela jest uzupełnieniem charakterystyki Słowackiego, w «Dwu Świteziankach» zawartej.

**851)** Mamy przed sobą dwa wiersze, napisane przed zgonem przez dwóch naszych poetów, i chcemy je zbliżyć. Słusznie albo niesłusznie, lecz jest to mniemaniem powszechnem, iż duch ludzki, gdy już skończył swój rozwój i na odlocie jest z ciała, widzi ostrzej, widzi proroczo; stąd poezye przedśmiertne podwójny miewają interes. Nieczęsto to są jednak produkcye. Duch ludzki w godzinę śmierci, nawet u poetów, zajęty jest zwykłe raczej znoszeniem cierpień fizycznych, lub myślą o losie swym wiecznym, niż dobiieraniem rymów. Ma jednak kilka i takich nasza poezya, a o dwóch, ojca i syna Słowackich, chcemy rzec właśnie słów kilka.

Ojciec i syn Słowacy, Euzebiusz i Juliusz, byli to dwaj nietylko krwią z sobą złączeni nasi pisarze, ale w części i losem. Obaj oni byli przeważnie zwolennikami jednej sztuki — poezyi, obaj umarli młodo (w latach około 40-u), obaj z choroby piersiowej. Były wszakże i dobitne różnice w obu tych losach. Ojciec był przyjacielem pracy; prócz poezyi zajmował się i obowiązkiem publicznym — syn przez cały ciąg życia tylko poezyą. Ojciec, który miłował spokój, był oddany życiu familijnemu i pozostawił syna, a syn ten, mimo burze fantazyi, wdychał wprawdzie także przez całe życie do założenia domowego ogniska, całe jednak spędził samotnie i umarł samotny. Lecz nadewszystko, jakkolwiek zamilowani w jednej sztuce, różnili się z sobą o epokę całą w jej pojmowaniu. Ojciec lubił sztukę dla sztuki, dla wdzięków jej, jako ozdobę; syn pojmował ją

i oceniał z punktów jej związku z życiem, z ludzkością, światem, a same nawet zewnętrzne jej wdzięki czuł różnostronniej. W zawodach obu były więc różnice fizyczne, różnice umysłowe, różnice duchowe. I o tem kilka słów bliższych.

Biografia nader mało nam przechowała szczegółów z życia Euzebiusza. Urodzony w r. 1772, po ukończeniu szkół, mimo powzięte upodobanie głównie do nauk zwanych pięknymi, zajął się jednak zarazem uprawą gałęzi, przynoszącej i materyjalną korzyść, był bowiem zrazu geometrą rządowym. Zajęcie się to dało go bliżej poznać w jednym z zamożnych domów Wołynia, który zatrzymał go na domowego przewodnika syna, a tu poznany i oceniony przez Czackiego, wezwany został do wykładania wymowy i poezyi w gimnazjum krzemienieckiem. Konkurs, ogłoszony w r. 1811, zjednał mu powołanie na katedrę tegoż przedmiotu w uniwersytecie wileńskim. Zajmował ją prawie do końca r. 1814, w którym zakończył życie.

«Głównym charakterem Euzebiusza, mówi jego biograf (Leon Borowski), była łagodność duszy, która spokój nade wszystko przenosiła». Charakter ten odznaczył też wszystkie główne kierunki jego zawodu.

Miłość spokoju zwróciła go do szukania szczęścia w zaciszu domowym, śród życia familijnego.

Miłość spokoju kazała mu umiłować sztukę, uprawę poezyi, a uprawę właśnie w smaku tej poetycznej szkoły, która mu była społeczną. Szkoła ta, wychodząca rzec można z zasad dzisiejszego pozytywizmu, to jest czerpiąca swój sąd z doświadczenia, patrząc na arcydzieła, które wieki uznawały za piękne, wniosła, że dla tworzenia piękna, potrzebnem jest tylko wierne odbicie wzoru. Nauczając o tem klasycznie, zwaną też była klasyczną. Łagodność (t. j. nie gwałtowność, namiętność, rzutność) sprawiała więc, że poeta Euzebiusz szczerem był zwolennikiem podobnej szkoły. Mógł mieć gotowe ramy, gotową dykcję, prawie treść całą. Prace swoje poświęcał nado głównie przekładom, rzadko tworzeniom własnym; pisał wszakże i dramata, a z zawodu swojego niekiedy krytyki. Czulość (że tak powiemy suchotnicza) smaku sprawiała, że styl jego prozy miał zawsze gładkość i słodycz, że wiersz zawsze był gramatycznie i logicznie ściśle poprawnym, a rozbiory (zwracane głów-

nie do strony zewnętrznej utworów) umiały trafnie schwytać odcienia zbroczeń i zalet.

Miłość wreszcie spokoju, łagodność, oddziała też w taką nie inną cechą i ducha Euzebiusza. Wychowaniec moralny końca XVIII i początku XIX stulecia, być on musiał pod względem duchowym (religijnym) takim, jakim była większość naszych uczonych z owego okresu t. j. wielbicielem i zwolennikiem słynnej Encyklopedyi. Iż nie był ateuszem, tego dowodem jego przekład «Modlitwy powszechnej» z francuskiego (Dziela IV, 355); iż dotykalnie uznawał praktyczną potrzebę religii, tego dowodem jego ustęp w mowie, mianej w Krzemieńcu do uczniów i ich rodziców w r. 1808 o religii, w którym wyraził, iż ona tylko istotnie jest źródłem i porąką wszelkiego porządku i szczęścia na ziemi (III, 333); — że jednak nie był żadnym ze ściśle określonymi pojęciami mistykami, ani też wogóle zwolennikiem mistyki, tego dowodem także treść jego pism. Pomimo rozmaitość rodzajów i przedmiotów, nigdzie prawie nie widzimy w nich zwrotów do religijnej treści. Tłumacz Henryady był oczywiście wielbicielem autora Henryady. W rozbiarach naszych pism dawnych (t. III) czynił głównie przytoczenia z pism protestanckich, a przytaczając ze Skargi wyjątek z dzieła jego: «Cztery końce życia ludzkiego», uprzedzał, iż było to dzieło «pochylonej starości polskiego kaznodziei». Cechą, słowem, i religijnym wyobrażeniem tego autora była także owa miłość spokoju, t. j. nie żadna trwoga, troska lub zapal, lecz — obojętność.

Blizki zgonu, stygnącą już, jak mówi jego biograf, ręką skreślił Euzebiusz Słowacki uczucią swe w owej chwili ulubioną sobie formą rymową. Tu wyznaje, iż kończąc zawód, spotyka się z tajemnicą, iż może go oczekiwać przejście do innego żywota; lecz ufny w rękę, której opieki doznawał przez cały swój żywot, z ufnością i spokojem patrzy i w los swój dalszy. Dykcya gładka, zdrowy rozsądek (te dwa główne warunki szkoły) i wreszcie ów spokój, to są główne, zewnętrzne i wewnętrzne, cechy tego wierszyka — a brzmi on następnie:

Wędrowiec, w drodze życia mlą stargawszy się,  
Wkrótce rzuce, co mile i co mi niemiłe.

Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,  
Który zagnała w nieznanne przeniesie mię strony,  
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa,  
I które chmura pełna tajemnic ukrywa<sup>1)</sup>.

Nazwanie w tym wierszyku miejsca, «gdzie wieczność przebywa», spokojną uchroną, pozwalał mi myśleć, iż poeta, kreśląc go, myślał raczej o materialnym swym grobie, niż o nowym żywocie ducha, a jednak i to jasno wyrażał, iż się tu miał za przechodnia, iż miał przeniesionym być nagle w nieznanne strony, a wyrażenie ostatnie, że cały los jego przyszyły «chmura tajemnic ukrywa», jest wyrażeniem, które mógłby powtórzyć każdy chrześcijanin. Euzebiusz Słowacki słowem, lubo nie był, jak uważaliśmy, żadnym twierdzącym mistykami, ale też nie był, jak widzimy, twierdzącym sceptykami.

Poeta z nader odmiennym słowem, odmienną barwą był syn Euzebiusza, Juliusza. Jeżeli mówiąc o ojcu, musieliśmy zacząć od tego, iż nie mamy prawie żadnych bliższych szczegółów z jego biografii, o synu można przeciwnie rzec, iż nie mamy pisarza, o którego życiu mielibyśmy ich tyle, a mimo to treść tego życia krócej jeszcze da się określić, niż ojca, t. j. iż całą tą treścią, jedynym zawodem i wypełnieniem jego była — poezya. Drażliwych uczuć, odbijał Juliusz Słowacki epokę sobie społeczną. Jedną z cech epoki owej było wyswobodzenie poezyi ze wszelkich więzów; — nie kępowały też, dodać trzeba, poezyi żadne więzy społeczne, żadne nawet zawodu materialnego. Swobodne więc i najswobodniejsze bujanie myśli, swobodne i najswobodniejsze chwile ich wcielania, były powodem, iż szczególnie bogactwem obrazów, szczególnie bogactwem formy lśniły jego utwory, jakkolwiek przedstawiając jedynie wnioski, bez objaśniania poprzedniej drogi rozmyślań, stawały się też i zbyt ciemnymi nieraz dla czytelnika. Takim był jeden z odrębnych, a najogólniejszych rysów charakteru utworów poetycznych Juliusza. Blizsze ich cechy zawarte są w charakterze tej szkoły, którą odbijał.

<sup>1)</sup> Dzieła E. Słowackiego t. IV, stronica ostatnia. Wierszyk ten przytaczając, biograf, we wstępie, w wierszu ostatnim które zamienił na które. Wypada trzymać się przedruku z autografu.

Szkola ta, to jest ostatni okres naszej krajowej poezyi była trochę potrącaną i poniżaną w ostatnich czasach. Autor naprzykład głośniejszy przed dwoma laty rozprawki p. n. Romanizm i jego skutki (F. K.)<sup>1)</sup> objaśniał: iż szkola ta, powoławszy do życia średniowieczne wierzenia, czary, widma, upiory i t. p., poniżyła rozum krajowy, i że mistrz jej powoływał nawet wyraźnie do wzgardy tego pierwiastku. Nie zaprzeczając wcale ani zdatności pióra, ani rozlicznych zasług autorowi rozprawki, nie możemy jednak nie dodać, iż sąd taki był raczej spleenem krytycznym, nie krytycyzmem. Bo oto najprzód, zbliżając i przypominając treść głównych utworów tej szkoły, któremi są Grażyna, Marya, Wallenrod, Pan Tadeusz, Zamek Kaniowski, Irydyon, Nieboska, Przedświt, pieśni Pola, wszystkie prawie dramata Słowackiego i w. i. nie znajdujemy w żadnym z nich ani widm, ani czarów, ani upiorów. I powtóre, nie znaczy to wcale czynić zarzut poezyi, gdy się mówi, iż jest poezją. Alegoryczne widma, alegoryczne upiory i t. p. nie więcej mogły poniżyć rozum, jak naprzykład rozmawiające strumyki i pieski bajki klasycznej. Co do stosunku wreszcie naszej ostatniej poezyi do tego pierwiastku (rozumu), dodajmy pół słowa.

Jest to pewnik, na który wskazuje i najsurowzysy dziś pozytywizm, iż śród natury istniejącej jest sfera »nieznanego« (Herb. Spencer). To istniejące nieznanne, przez to samo, iż jest dla nas nieznanne, poświadcza: iż to, co istnieje, jest wyższe nad nasze poznanie, więc nad nasz rozum, iż pośród wszechistnienia wszechświata istnieje jakiś układ głębszy, stosunki doskonalsze, niż je dziś znamy; lub jaśniejszy, iż pośród świata istnieje jakiś wszystko tworzący i wszystkim rządzący rozum, który nasz ludzki, powszedni, dopiero badać i do którego stopniowo zbliżać się ledwo może. To nieznanne nie przestaje też istnieć, mimo to, iż nam nieznanne, i łączący się w taki lub inny sposób z resztą stworzenia. Nie łączy się ono z nami dziś przez nasz rozum, gdyż jest »nieznane«, a jednak łączyć się musi — łącz-

<sup>1)</sup> Ks. Franciszek Krupiński w rozprawie, drukowanej w »Ateneum« z r. 1876. *Przyp. Red.*

czy się więc i działa przez inne koryta, jako to: przez instynkta, uczucia, natchnienia i t. p. więc np. i przez poezję.

Poeta (jest to niemilą dła naszego ludzkiego rozumu prawdą, lecz jednak prawdą) przejdzie też nieraz i jaśniejszy uczuwa porządek ów wyższy, miszę spółludzi i własna, niż nawet filozof. Wie, iż jest wykonawcą, narzędziem owej skrytej a wyższej siły, jej celów — i stąd też np. woła: »Jam, czego rozum nie zlamie«, to jest »lam (z woli rozumu wyższego to), czego (nasz powszedni ludzki) rozum nie zlamie«. Wykrzyk ten więc nie był wcale potępieniem rozumu ludzkiego, lecz owsem podniesieniem do potęgi wyższej tego pierwiastku<sup>1)</sup>.

Te cele mistrza istotnie odbiła i cała szkola. Szersze ramy, głębsze poglądy, polot ku nieznanemu, wyższość w obrazach, uczuciach, samych pojęciach, bogactwo w formach, to były główne cechy i główne różnice tej szkoły od szkoły poprzedniej. Szkoły takiej jednym właśnie z budowników głównych był Juliusz. Oddany jedynie poezyi, tworzeniu jej, poznananiu, skutki tej łącznej pracy objawiał w swoich utworach. Były też one z kolei odblyskiem dzieł głównych mistrzów poezyi, jak Bajrona, Szyllera, Szekspira, Kalderona i i. Zaś w końcu, oddany wyłącznie zgłębianiu własnego ducha, skutki tego odbił w obrazach z gruntu oryginalnych. Ten był zawód Juliusza fizyczny, ten umysłowy.

Kiedy zgon nadszedł, uczucia swoje w tej chwili, równie jak ojciec, skreślił wierszem, a wierszowi temu dał nazwę Testament mój.

Wiersz ten przechował nam jego biograf (Malecki) i zakończył nim jego biografie. Wiersz ten odbija też naturalnie również głównie swą chwilę t. j. myśl o nadeszłej śmierci; ale podczas gdy ojciec (representant epoki swojej) myślał tylko o sobie — syn myślał ledwo nie więcej o bliźnich, o rodzinie,

<sup>1)</sup> Iż taki, nie inny, był tu rzeczywiście cel poety, dowodem jest między innymi jego pismo z epoki późniejszej p. n. »Ludzie rozumni i ludzie szaleni«, w którym krótko, ale faktami objaśniał, że sprawy przewrotów większych, tak w polityce, jak w nauce, przez społecznych nie są rozumnych, ale za szalonych byli zwykłe miani. Potępiał więc w gruncie nie rozum, ale sądy ludzkie o rozumach, i tylko śród poezyi wyrażał się poetycznie.

spółziomkach, o tem, co spełnił, jak się łączył z przeszłością, w czem i jak wpłynął na przyszłość i t. p. — pod względem słowa nie okazał się w tym utworze Juliusz takim mistrzem liry, jakim w podobnej chwili okazał się np. Siemieński, jakim bywał sam w innych chwilach. Zawsze jednak był mistrzem, i powtórzmy tu ten wiersz jego <sup>1)</sup>...

»Duma jest duszą duszy mojej« — te słowa, które wyraził o sobie jeden z bohaterów dramatów Juliusza Słowackiego (Horsztyński), wyrażał jeszcze o sobie i sam poeta w tej nawet ostatniej chwili. »Sternik duchów«, z laurem na czole, przypisywał nawet sobie zasługę w tem, iż się zgadzał: »iść bez oklasków«, mieć »nieplakaną trumnę«, co jednak nie zależało wcale od zgody i woli jednostki. Kreśląc Testament swój, poeta nie był jeszcze tym, jakim się okazał w chwili ostatniej, gdy oddając w rękę przyjaciela (Szczęsnego F.) rękopis swój, z którego w wigilię dyktował, rzekł: »wszystko to głupstwo« — (Malecki 345). Słowacki (Juliusz) w swych utworach z lat młodszych nader lubił szyderstwa. Odnaczył się niemi mianowicie jego poemat Beniowski — poemat, który na szczęście nie mógł nigdy być popularnym, bo jak treść jego wogóle, tak i każda nieledwie strofa w szczególności, złożone są z samych nawiasów, — poemat jednak jeden z najbogatszych tego autora w fantazyę, dowcip i sztukę słowa, ale jedną z cech którego były także ciągle a kolejne ironie ze wszystkich i wszystkiego, co kraj jego miał za najświętsze. W Testamencie odbił się wprawdzie w miniaturze cały Juliusz Słowacki, ale Juliusz już ostatniego okresu. Poeta był tu jawnie duchowo twierdzącym, chrześcijańskim, z odcieniem tylko jakiejś ostatniej mistycznej szkoły, zaciemnej dla nas. (»Jeżeli będę duchem« — wyrażał — to się wam ukazę«. Czemuż innemu może być dusza, jeśli nie duchem? Chciał chyba poeta rzec: jeśli będę materją). Autor nie żenował się tu, jak widzimy, jawnego wyznania Boga, wiary swej w żywot pośmiertny i w nagrody lub kary w owym żywocie. (»jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę«). Miłość i mizantropia, wółduma i wółporka, — Bóg i świat — matka i spółziomkowie — myśl o tem,

<sup>1)</sup> Tu autor przytacza »Testament mój«. (Przyp. Red.)

co żyjąc sprawił, co pragnął sprawić, plotły się tu naprzemian. W rozżaleniu do ludzi, do swych spółziomków, nie mógł im i przy zgonie oszczędzić mniej wdzięcznego przydomku zjadaczy chleba, ale przeblagał wkońcu wyznaniem, iż cokolwiek czynił za życia, to czynił dla nich, iż ufał, że pokochają duch jego, i że ten duch przerodzi ich pokolenie.

Takie były te dwie poezye przedśmiertne ojca i syna, reprezentantów dwóch naszych szkół poetycznych. Zbliżyliśmy je, jako ostatnią spowiedź dwóch poetów, jako obraz dwóch różnych poezyi i obraz ostatniej ich wiary, a treść ta nie może być, jak sądzimy, niemiała i dla przyjaciół poezyi, i dla przyjaciół wiary.

Przyjaciel ostatniego okresu naszej poezyi ujrzy i w tem odbiciu całą różność wewnętrznego bogactwa dwóch szkół.

Przyjaciel wiary pozna, iż kwestya pośmiertna przez zwolenników szkół obu w chwili przedśmiertnej dodatnio była poparta.



CVIII.

## CYBULSKI WOJCIECH.

(1808—1867).

Wybitny sławista, krytyk i historyk poezji polskiej romantycznej, poprzednik Nehringa na katedrze sławistyki w uniwersytecie wrocławskim. Urodził się 10 kwietnia 1808 w Koninie w Poznańskim, (w pow. bukowskim) z rodziców niezamożnych. Uczył się w gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Nauki wyższe odbył w uniwersytecie w Berlinie, w latach 1828—1830; poświęcał się tu studiom filologicznym, filozoficznym i historycznym; chodził na wykłady Hegla wraz z Libeltem i Garczyńskim. W 1829 r. Cybulski poznał Mickiewicza, który w początkach czerwca tego roku przybył do Berlina, »powitany przez uczęszczającą tu wówczas na uniwersytet liczną młodzież polską z niewypowiedzianym zapalem i przyjmowany przez nią z czcią, prawie do ubóstwienia posuniętą, jak opowiada Cybulski w relacji swojej o pobycie wieszca w Berlinie (w art. »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« — »Rok« 1845, VIII, 34—35 i w »Geschichte der polnischen Dichtkunst«, I, 298—302).

Gdy wybuchło powstanie Listopadowe, wziął udział w kampanii r. 1831 i dostał się do niewoli rosyjskiej, która trwała trzy lata. W r. 1834 powrócił do W. Ks. Poznańskiego, ale musiał odsiedzieć 6 miesięcy więzienia w twierdzy Świdnickiej, poczem wrócił (1836) do przerwanych studiów w wszechniej berlińskiej. Za rozprawę »De bello civico Sullano« otrzymał w r. 1838 stopień doktora filozofii; odąd oddał się wyłącznie badaniu piśmiennictw i języków słowiańskich. Odbył w tym celu dwuletnią podróż po krajach słowiańskich; rok bałwił w Pradze czeskiej, korzystając z wykładów Szafarzyka i zawiązując stosunki z Palackim, Jungmanem, Hanka, Presslem i innymi wybitnymi uczonymi czeskimi; w Wiedniu wszedł w stosunki z Kopitarem; był też w Krakowie, Budapeszcie, Belgradzie, Zagrzebiu. W r. 1840 powrócił do Berlina i habilitował się jako docent prywatny na kate-

drze filologii słowiańskiej. Prelekcje swoje rozpoczął Cybulski w r. 1841. »Kursa słowiańskie bardzo dobrze mi idą«, pisał Cybulski do Wacława Hanki w r. 1843 (w liście z d. 12 kwietnia); »co raz więcej obudza się tu dla wspólnej literatury naszej interesu. Usiłowania i prace uczone Czechów imponują Niemcom«.

I oto w dwu stolicach europejskich na katedrach uniwersyteckich przez kilka lat jednocześnie prowadziło swoje »kursy słowiańskie« dwu Polaków — na jednej poeta improwizator (Mickiewicz), na drugiej uczony sławista (Cybulski), i jak różne były organizacje duchowe obu profesorów, tak różne być musiały ich wykłady. W półroczach zimowych 1842/43 i 1844/45 wykladał Cybulski o poezji polskiej najnowszej, t. j. romantycznej. Prelekcje uniwersyteckie nie przeszkadzały Cybulskiemu nauczać oficerów pruskich języka polskiego w Królewskiej Allgemeiner Kriegsschule. W tych latach i następnych pisywał dużo do czasopism poznańskich: »Rok«, »Przegląd poznański«, »Tygodnik literacki«, »Orłownik naukowy«, m. i. artykuły z dziedziny słownoznawstwa (»Przegląd literatury słowiańskiej« w »Roku«, »O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego« w »Przeglądzie Poznańskim« i inne). Z tych artykułów na szczególne wyróżnienie zasługuje w ewolucji poglądów na stanowisko Mickiewicza jako poety narodowego, w dziejach poezji i ducha polskiego wogóle ważne znaczenie mająca rozprawa: »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« (»Rok« 1845).

W r. 1848 (w marcu) bierze Cybulski udział w ruchu rewolucyjnym w Berlinie; przewodniczy, wraz z Janem Koźmianem i Henrykiem Szumanem (późniejszym prezesem Koła Polskiego w Berlinie, zmarłym w r. 1910), obradom młodzieży akademickiej i urzędników Polaków; chwiliowo był komendantem legii akademickiej polskiej, którą po nim objął H. Szuman; uczestniczył następnie w Zjeździe słowiańskim w Pradze. W latach późniejszych po dwakroć posłował z W. Ks. Poznańskiego do sejmu pruskiego. Zostawszy członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, umieścił w jego »Rocznikach« m. i. pierwszą naukową rozprawę o »Dziadach« (1864), która miała wpływ na późniejsze studia nad tem arcydziełem. W r. 1860 otrzymał Cybulski katedrę (założoną w r. 1842) profesora zwyczajnego filologii słowiańskiej w uniwersytecie wrocławskim (którą nigdyś zajmował Czelakowski), i aż do śmierci z niej wykladał. Zaproszenia Wielopolskiego objęcia katedry historii literatury polskiej w Szkole Głównej nie przyjął. Ożeniony był z Józefą Máchczyńską (siostrą znaney autorki, Antoniny Máchczyńskiej). Zmarł nagle dn. 16 lutego 1867 r. we Wrocławiu.

Cybulski jeden z pierwszych pogłębił krytykę polską i w wywodach swoich szukał oparcia w filozofii. Z rozpraw jego estetyczno-krytycznych wyróżnić należy przedewszystkiem: »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko«, studjum o idei »Dziadów« i »Dzieje poezji polskiej w pierwszej połowie XIX wieku«. W rozprawie o Mickiewi-

czu, napisanej z powodu potwarczej broszury Wł. Golembiowskiego, popełił mesyanizm, ogłoszony przez wieścza z katedry Kolegium francuskiego, który nazwał »marzeniem sennem«, ale wysoko podniósł Mickiewicza jako poetę narodowego. Głęboko ujął charakterystykę jego ducha i znaczenie jego poezji; wyprzedził wprawdzie Cybulskiego Krasiński, dając po raz pierwszy w naszej literaturze głębsze i trafne określenie stanowiska i znaczenia Mickiewicza jako poety, ale Cybulski szerzej rozwinął i pierwszy naukowo uzasadnił swoją charakterystykę. On pierwszy spróbował wyjaśnić zasadniczą ideę »Dziadów«, które uważał za »najszczęśliwszy plód twórczej wyobraźni poety, zeit i potęgi geniuszu jego«. On też pierwszy nakreślił na szeroką skalę obraz poezji naszej romantycznej w wykładach swoich berlińskich, których nie opracował, niestety, jak zamierzeli, w języku polskim w całości. Ogłoszono je w oryginalnie niemieckim tłumaczeniu w »Geschichte der polnischen Dichtkunst in der ersten Hälfte des laufenden Jahrhunderts.« (Przekład polski, niezbyt udatny, wyszedł o dziesięć lat wcześniej — w r. 1870). Po wstępie, w którym wystąpił przeciwko panslawizmowi i ostro skrytykował prelekcje Mickiewicza paryskie ze stanowiska naukowego, Cybulski scharakteryzował dobie, poprzedzając wystąpienie Mickiewicza, poczem przystąpił do charakterystyki jego twórczości przed r. 1830 i twórczości Szkoły Ukrainskiej. W części drugiej na tle historii powstania Listopadowego rozbióra Cybulski poezję rewolucyjną r. 1830—31, w której się odzwierciedlił przebieg Wojny narodowej, a więc utwory Garczyńskiego, Słowackiego, Goszczyńskiego, Pola, Gaszyńskiego i innych; Cybulski jest tu pierwszym dziejopisem poezji powstania Listopadowego. Następnie omawia utwory Mickiewicza z doby popowstaniowej, poezje jego religijne, Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, III część »Dziadów«<sup>1)</sup>, oraz Garczyńskiego »Wacława dzieje«. Scharakteryzowawszy krótko twórczość Słowackiego, w przeciwstawieniu do Mickiewiczowskiej, stając w obronie Słowackiego przeciwko Mickiewiczowi, przechodzi do oceny twórczości Zaleskiego po r. 1831, głównie »Ducha od stepu« i »Przenajświętszej Rodziny«. Kończy swój obraz charakterystyką poezji poety »Bezimiennego« (t. j. Krasińskiego) — »Irydyona«, »Nieboskiej Komedyi«, »Trzech myśli Ligenzy« i »Przedświtu«.

Ten kurs poezji polskiej z pierwszej połowy XIX w. Cybulskiego, zawierający pierwszy w naszej literaturze naukowo traktowany zarys dziejów romantyzmu naszego, nabiera tem większej wagi, gdy go zestawimy z improwizacjami genialnego dyletanta na polu historii literatury, jakimi były, wspólnie z wykładami Cybulskiego wygłaszane, prelekcje paryskie Mickiewicza.

<sup>1)</sup> Rozbióra »Pana Tadeusza« nie daje, odkładając to na później.

## BIBLIOGRAFIA.

A) Pisma Cybulskiego: Osobno wyszły: »De bello Sullano civili«. Berolini 1838. — »Slavische Ortsnamen der Insel Potsdam und der allernächsten Umgegend«. Berlin 1859. — »Dziady Mickiewicza«. Krytyczny rozbiór zasadniczej idei poematu. Poznań, 1864. (Odb. z Roczników Tow. Przyj. Nauk. Pozn.) — »Odczyty o poezji polskiej w pierwszej połowie XIX wieku«. Przekład z niemieckiego Franciszka Dobrowolskiego. 2 tomy. Poznań 1870. (Drezno. Druk. J. I. Kraszewskiego). Z przedmową Kraszewskiego. Przekład nieszczygólny, nie nadający się do użytku naukowego. — »Geschichte der polnischen Dichtkunst in der ersten Hälfte des laufenden Jahrhunderts.« (»Vorlesungen über die neueste polnische Poesie gehalten in den Wintersemestern 1842/43 und 1844/45 an der Berliner Universität.«. Posen 1880. 2 tomy. Z przedmową Ludwika Kurtzmana. — W czasopiśmie i innych wydawnictwach ogłosił m. i.: »Przeglądy literatury słowiańskiej (w »Roku« 1843 i n.). — »O Ewangeliu Rheimskiej« — »O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego« (Przegl. Poznań.) — »Kilka uwag nad prelekcjami Mickiewicza«. (Ogrodnik naukow. 1841). — »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« (»Rok« 1845). — »Die letzte Revolution Polens und die ihr vorangehende politisch-literarische Bewegung« (Prutz's Litterar-historisches Taschenbuch, 1846). — »Obecny stan nauki o runach słowiańskich« (Roczniki Tow. Przyj. Nauk. Pozn. 1860). — Listy W. Cyb. do Wacława Hanki (1840—1847) ogłosił Edw. Jellinek (Poznań 1894, odb. z »Przegl. Pozn.«) oraz Franczew w dziele »Pisma k Wacławu Hankie«. Warszawa 1905 r.

B) Materiały do życiorysu ogłoszono mało.

O Cybulskim pisali: Kraszewski w »Rachunkach« 1867, II. — Tenże w przedmowie do »Odczytów«. — L. Kurtzman w przedmowie do »Geschichte d. poln. Dichtk.« — Zacharyasiewicz: W. C. (»Tyg. Ilustr.« 1867). — Chmielowski w »W. Enc. Powsz.« — Wł. Mickiewicz w »Żywocie Ad. Mickiewicza« t. II i III. — H. Szuman w »Wspomnieniach Berlińskich i Poznańskich z r. 1848«. Warszawa, 1900. (Bibl. dzieł. wyb.) — Nehring in Götting. Gelehrte Anzeigen. 1880. — Chmielowski scharakteryzował Cybulskiego jako krytyka w »Dziejach krytyki literackiej w Polsce«. Warszawa 1902 (str. 323—333). — Tretiak pisał o krytycznym rozbiórze »Dziadów« w »Młodość Mickiewicza« t. II, str. 184—199.

## A) Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko (1845).

(«Rok» 1845, III).

Rzecz napisana z powodu pismka Wł. Golembiowskiego p. t. «Mickiewicz odsłonięty i Towiańszczyzna» (Paryż, 1844), które było paszkwilem, wymierzonym przeciwko Mickiewiczowi; miała być wyjątkiem z nie-drukowanego dzieła «Historia nowocześniejszej poezji polskiej». (Por. Geschichte der polnischen Dichtkunst, I, 298—302 i II, 181 następną). — Cybulski wynosi w tej rozprawie wysoko Mickiewicza jako poe-  
ta, ale surowo go ocenia jako profesora i mistyka. Potępia meşyanizm Mickiewicza, który nazwa plodem chorobliwej imaginacji; powstaje przeciwko poglądom watecznym i szowinistycznym «Przedświtu»: niema wybranego narodu, — wszystkie są wybrane do spełnienia misji; nie wuódźmy się nieszcześliwą meşyanistką teorią Mickiewicza, ani słowami wieszczka «Przedświtu»: «Zgńdźcie me pieśni, wstańcie czyni moje!» «Więcej w zdaniu tem szumu, niż treści. Pieśni, literatura — to dzisiaj czyni nasze!» Poczem daje Cybulski charakterystykę Mickiewicza i określa wymownie znaczenie jego twórczości dla narodu. Opowiada następnie o pobycie Mickiewicza w Berlinie, o jego improwizacji i wrażeniu, jaki wywarł na młodzieży, w uniwersytecie berlińskim studyjacej. Wyjaśnia dalej stosunek Mickiewicza do powstania i do emigracji; broni go przed zarzutami, że nie wziął udziału w powstaniu i że nie chciał należeć do żadnej partji politycznej na emigracji, że nie przyjechał do kraju, aby pobudzić zapal wojowniczymi wierszami. Mickiewicz nie mógł być Tyrtusem, poe-  
tą rewelacyjnym, poe-  
tą ludowym, natchnionym chwila, bo był poe-  
tą-w i e s z c z e m, poe-  
tą-artystą. Mickiewicza nie jest poe-  
tą okolicznościowym, lecz ideowym; «Dziady» to najszczytniejszy plód twórczej wyobraźni poe-  
ty, dzieło potęgi geniuszu jego». Żaden z poe-  
tów współczesnych więcej od Mickiewicza fantazji swej na wodzy nie trzymał, dlatego tworzył prawdziwie dzieła sztuki. Kończy Cybulski swą rzecz rozbiorem wiersza «Do Matki Polki» i słowami: «Za-  
hując dzisiejszego obłąkania Mickiewicza, szanujmy przeszłość jego i umiejmy w nim już dzisiaj wleebić wieszka, któremu potomność posgi stawiąc będie».

Podajemy charakterystykę Mickiewicza jako poe-  
ty narodowego i twócy, oraz opis pobytu jego w Berlinie.

**852)** Str. 20—25. Jeżeli powiedzieliśmy wyżej, że Mickiewicz stał się głównym jego [t. j. pierwiastku narodowego] wyobraźnikiem w naszym czasie; powiedzieliśmy to nie w innej myśli, jak w tej, że w nim duch narodowy nie tylko jako szczegółowo-polski, ale także jako ogólnie ludzki, czyli europejski, najzupełniej i w formie najskończeszej, przyszedł do uznania się w swoim jestestwie. Duch ten jest owocem całej przeszłości narodowego życia. Najgenialniejszy poeta

nie byłby w stanie na jaw go wyprowadzić, gdyby go w całym jego pochodzie przeszłym nie starał się przeniknąć i żywotną się stroną jego napęlić. Każdy prawdziwy geniusz ma zawsze, już to skutkiem daru nadzwyczajnego, już pracy osobistej, świadomość przeszłego i obecnego ducha czasu. Tworząc, zdaje się, że stary świat z gruntu wywraca i buduje nowy. Tymczasem wywraca on tylko, co spróchniało, co się zużyło, zmario; to, co zdrowem, co silnem, co żywotnem pozostało, zachowuje, bierze i pcha do ruchu, już to tworząc od razu, już też tylko przygotowując nowy kształt rzeczy i porządek. Prawdziwy geniusz ma tę samą dyalektyczną naturę ducha, co historia; jest razem wywracający i budujący; chociaż są ludzie genialni, między nimi i poeci, którzy tylko negacyjni mają kierunek. Mickiewicz należy do pierwszych. Jest on poetyckim geniuszem w całym znaczeniu wyrazu, geniuszem, który wyrócił świat stary poezji i stworzył nowy, to jest, odrzucił to, co stało się martwem, a zachował i pchnął do nowego życia i nadal kształt doskonalszy temu, co było i jest dziś jeszcze żywotnem w organizmie ducha narodowej poezji. Mickiewicz, odbywszy w duchu swoim, jak w mikrokosmie, cały historyczny rozwój poezji europejskiej, przejawy się wykończoną plastycznością poezji greckiej i rzymskiej, przyrodzoną fantastycznością poezji średnich wieków, głębokiem uczuciem poezji włoskiej, dowcipnym rozsądkiem klasycyzmu-francuskiej, wszechstronną psychologicznością angielskiej, a filozoficzną idealnością poezji niemieckiej; poznawszy nadto gruntownie to, co z nasłodownictwa poezji tych weszło jako przyswojony, nieodłączny żywioł w poezję polską, a co w niej było pierwiastkiem odrębnym, samoistnym, własnym, i przenikawszy tym sposobem bystrością geniuszu swego i pracą wszechstronnej i głębiej, niż którykolwiek z poprzedzających go wieszczów, to, co wogóle absolutną jest zasadą poezji każde; — Mickiewicz miał tem samem za sobą bezwzględne prawo geniuszu, historii i ducha narodowego; gdy przed dwudziestu laty, wbrew istniejącym teoryom i zwyczajom, inne poezji polskiej wskazywał zaczął kształcenia się drogi, wracając jej przedewszystkiem przyrodzoną myśli i formy swobodę. Wiadomo, jakie wówczas było usposobienie ducha narodowego wogóle. Duch ten potrzebował

czynu, a nimby do niego przystąpił, potrzebował słowa, któreby go objawilo i poniosło od Niemna do Warty i Dniepra. Słowem tem miała być literatura narodowa wogóle. Lecz gdy literatura ta, oprócz matematyki i nauk przyrodzonych, ani w historii, ani w polityce, ani w filozofii w formie im właściwej, bezpośrednio, rozumowej, objawiać się nie mogła, bez ściągnięcia na siebie niezwłocznego przesładowania ze strony rządu; objawiać się musiała w formie pośredniej, fantazyjnej, poetycznej. Rozum bowiem bierze rzeczy za takie, jakimi są; bada, rozkłada, łączy i wskazuje istotę ich wprost; nie umie zataić zbadanej prawdy; czarne nazywa czarnem, białe białem, i zdradza tym sposobem bezpośrednio dążność pracy swojej.

Przeciwnie fantazyja, wyobraźnia, zostawia rzeczy nieknięte i w całości; przenika wzrokiem swym duchowym naturę ich bez rozbioru; wydobywa na wierzch stronę ich tylko najwewnętrzniejszą, tę bierze za rzecz samą, nadaje jej kształt nowy, odmienny, podnosi do ideału, odziewa w szatę fantastyczną, eteryczną, i przenosi niejako w świat nadziemski; żyjąc przeto jakoby poza granicami świata rzeczywistemi, zakrywa, zataja tym sposobem pozornie istotną swą dążność. Duch Polski owego czasu, pełen nadziei, pełen oczekiwania, był rzeczywiscie pod wpływem wyobraźni. Poezyja była jego obłubienicą, jego zwiastrunką, jego słowem, słowem, tem więcej czarującym, że lekką, powiewną wyobraźni szatą przesłonięciem. Mickiewicz wyrzekł to słowo tajemnicze — a jednak przystępne, zrozumiałe dla każdego, kto serca i ducha swego nie oderwał od Iona i oblicza cierpiącej Matki swojej. Oto cała podstawa moralnego i poetyckiego stanowiska Mickiewicza i stosunku jego do narodu. Kto zdania tego nie podziela, niech sobie przywoła w pamięci wrażenie, jakie sprawiały na umysłach poezyje jego przedrewolucyjne. Widzieliśmy ludzi wszelkiego wieku i stanu, stawających w ich obronie ustnie i piśmiennie, przeciwko tym, którzy trzymali się dawnego, przeżytego rzeczy porządku. »Od czasów klótni Orzechowskiego z Stankarem i Modrzewskim, uważa słusnie Mochnacki, żaden rozsterek piśmienny nie był u nas tak głośny, jak walka Romantyków z Klasykami«. Mickiewicz poezyjami swemi rozstrzygnął ją zwycięsko na stronę pierwszych. Wielkie były zwycięstwa tego skutki w estetycznym

i moralnym względzie. Poezyja stała się odtąd udzielnym, wyzwolełym kunsztem, a zarazem wyobraźcielką ducha narodu, głosem opinii publicznej; stała się, jak kiedyś u Greków, poezyją ludu, w wyższem wyrazu tego znaczeniu. Mickiewicz ducha jej i mowę rozwiązał. Więcej powiem: Mickiewicz nauczył mówić Polaków po polsku; nauczył ich mówić z serca i z ducha, tak jak niegdy książę poetów Stanisławowskiich nauczył ich mówić po polsku — z formy. Literatura i historia zbiegły się tu po raz pierwszy do jednego ogniska, przy którym poznały się wszystkie dzieci rozdzielonej Matki. Mickiewicz »serce ku sercu zaśpiewał swem pieniem z środka goryczy — tak jak Lumirów, co potęgą pień i słów wstrząsał Wyszegrad i włości wrzuceniem, on wstrząsał braćmi, wstrząsał ich duszą. Śpiewaj, dobrego piewę bogi kochać muszą; śpiewaj, ty śpiewaj — wolał ku niemu naród — ty masz dar od bogów, pieśnią zagrzewać serca przeciw wrogom«. Mickiewicz wreszcie kochać nas nauczył, dawszy nam mowę miłości, mowę zdolną tłumaczyć najkrytsze uczucia serca. Mieliśmy poetów miłości Boga, miłości Ojczyzny, rodziny, kraju; nie mieliśmy poetów serca, poetów miłości, właściwie tak znanej. Mickiewicz wprowadził nas w ten świat idealny młodości naszej. Wypłynął z niego cały rój poetów drugiego i trzeciego rzędu, którzy tę stronę serca ludzkiego aż do okliwkości ośpiewali. Mickiewicz tem się odznacza przed nimi, że uczucie jego jest prawdziwe, rzeczywiste, nie w głowie, nie w fantazyi, lecz w sercu mieszkające. Dlatego to poezyje jego miłose, większe i mniejsze, jakkolwiek w bezpośredniej, indywidualnej osobistości poety poczęte, mają przeciw wszystkie jeszcze coś ogólnie ludzkiego w sobie. Miłość bowiem prawdziwa, będąc pierwszym uznaniem się człowieka jako jednostka, jako osoba, jako ja — udzielne, niepodległe, wolne, będąc pierwszym poczuciem się iskry nieśmiertelnej ducha jego, ma w samej naturze swojej charakter ogólnie ludzki, że nie powiem boski. Uczucie to, uduchowione i uświęcone przez religię chrześcijańską, stało się źródłem prawdziwej moralności, duszą wszelkich towarzyskich związków ludzi między sobą, węzłem społeczeństw narodowych, kamieniem węgielnym postępu i ostatniego urządzenia się ludzkości. Uczucie to jest planetą i w świecie poetyckim Mickiewi-



cza. Okolo niego krążą wszystkie jego, większe i mniejsze, arcydzieła sztuki. Nie znam poety, któryby istotę, ducha miłości głębiej pojął i obszerniej i cudowniej przeprowadził przez niemal wszystkie życia ludzkiego sfery. Miłość ta ciągnie się przez nie, jak nie złota, poczawszy od bezpośredniego związku człowieka z naturą, aż do zlania się ducha jego z Bogiem. Drobnym sonet, malujący ciszę stepową, i Rozmowa wieczorna z Ojcem niebieskim, prosta piosenka na cześć kochanki i śpiew bohaterski Wajdeloty, pełen ognia i górnego polotu Hymn do młodości i rozzdzierająca serce Elegia do Matki Polki, obłąkany pozornie Gustaw w chacie pustelniczkiej i jasnowidzący Konrad w więzieniu, ballada i epos, romans i powieść historyczna, zgola cały wewnętrzny i zewnętrzny świat poety płynię z jednego miłości źródła i ściśle jest z sobą na wszystkich punktach związany. Świat ten jest pełen życia i prawdy. Mięsi się w nim cała psychologiczna strona ducha polskiego. Indywidualność poety jest tu zarazem narodową i ludzką. To właśnie, co jest prawdziwą cechą każdego wielkiego geniuszu. Mochnacki, powiedzieliśmy wyżej, indywidualność tę Mickiewicza nie należycie ocenił. Wszystkie bowiem utwory tego wieszca, czy to z bezpośredniej osobistości jego poczęte, czyli z treści świata zewnętrznego układane, mają na sobie ową potrójną cechę geniuszu. Stąd to ich wielki wpływ moralny na naród; stąd ich szybkie po całej Polsce rozpowszechnienie; stąd owo rzadkie w dziejach ludzkości zjawisko: że ludzie wszelkiego wieku, płci i stanu, objawiając sobie wzajemnie uczucia, myśli, marzenia, nadzieje, smutki, lzy swoje — objawiali je słowy Mickiewicza; stąd wreszcie i czynie trwała utworów tych świeżość, ich wdzięk, ich urok nieśmiertelny. Naród, mówiąc po prostu, żył Mickiewiczem; mówiąc właściwiej, żył samym sobą, ale w Mickiewiczu znalazł wieszca, którego serce było jego sercem, którego słowo było jego słowem.

**853)** *Str. 32—35.* I gdybyśmy w ciągu historii naszej wiecej takich, jakim jest Mickiewicz, mieli byli indywidualności, naród nasz nie byłby nigdy przyszedł do dzisiejszego poniżenia. Mickiewicz uratował go od takowego przynajmniej w literackim względzie. Naród nasz choruje na brak indywi-

dualności; a oto tym, którzy nad powierzchnią gminu głowę podnoszą, uraga lada duszek i ciągnie w błoto, z którego sam dla własnej nieudolności wyleźć nie może, a z osobistej pychy przez drugiego wyciągnięty być nie chce. Kiedy przed dwudziestu laty Mickiewicz stanął na grobie Polki, i jako geniusz narodu dźwiękiem pieśni swej poruszać zaczął prochy i kości ojców i wskrzeszać postacie zmarłej przeszłości, budząc do nowego, jedynomyślnego życia zgnękanę kłeskami i walką drobnymi ambicjami, rozprzężone i podupadłe czasu swego plemie; — podniosła przeciwko niemu — jak żaby Arystofanesa — wrzask zawiści i niedołęstwa cała czereda zwolenników przekwitłego klasycyzmu, nie rozumiejąc ani ducha czasu, ani potęgi geniuszu, który wstąpił na widnokrąg poczynającej odradzać się narodowej literatury. Mickiewicz, świadomy swego powołania, przejęty uczuciem swojej wyższości, przekonany o historycznej konieczności wziętego przez siebie kierunku, Mickiewicz mógł sumiennie i bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu zarozumialości, z dumą odeprzeć powstałą przeciwko sobie krzykliwość a niepojętą zgraję literatów, krytyków, pamfletiarzy, paszkwilarzy i tym podobnych pismaków, kładąc na czele jednej swojej w tym literackim sporze rozprawy owe pamiętne, przeciwników na łeb porażające słowa: »Krzyknęli, nie pozwalam! uciekli na Pragę«. Któż dziś nie przyzna, że Mickiewicz miał rację? Kto poważny się, nie chcąc być wymianym, posadzać go z tego względu o zarozumiałość, dumę i uporczywość w zdaniu? Zwycięstwo Mickiewicza odniesione nad klasycyzmem wywarło niesłychany moralny wpływ na naród, bo było zwycięstwem ducha nad formą. Pod wpływem tym rozwijała się cała następna literatura; wpływ ten do dziś dnia nie ustał. Tylko geniusz, który ducha narodu na wskróś przeniknął, zdołał być sprawić takową w umysłach przemianę. Od Mickiewicza liczyć się też będzie *nowa epoka* literatury polskiej.

...Mickiewicz, wyjechawszy za granicę, przybył w r. 1829 do Berlina. Powitany przez uczęszczającą tu wówczas na uniwersytet liczną młodzież polską z niewypowiedzianym zapalem i przyjmowany przez nią z ciężką prawie do ubóstwienia posuniętą — poeta na zgromadzeniu jednym, w ciągu żywej o rze-

czach ojczystych rozmowy, którą wszystkich umysły i serca ułożył już był ku sobie, nagle zatrzymał się i oświadczył, że będzie improwizował. Uroczyste milczenie nastąpiło w zgromadzeniu. Wieszcz sam stał przez chwilę nieporuszony i niemy. Wnet jakaś cudowna siła rozpromieniła jego oblicze. Wzrok pełen nadzwyczajnego blasku i niewypowiedzianego wyrazu jednym rzutem jak iskra elektryczna przeleciał po przytomnych. Cała osoba Mickiewicza w nadziejską zdawała się być przemienioną istotą. Jakich dźwięk czarujący jego głosu! jaka niepójeta potęga słów jego! Wieszcz-Mistrz — Posłannik Boży — uderzył głosem, jak ródka Arona, w serca słuchaczy — i lży stanęły im w żrenicach! Wieszcz-Prorok — zwiastował przyszłość Polski i Litwy — i wszystkich dlonie, jak w modlitwie, wyciągnęły się ku niemu! Wieszcz-Rycerz — wiódł na bój święty waleczne hufce braci — i każdy z przytomnych krokiem naprzód ku niemu postąpił. Entuzjazm doszedł był do najwyższego stopnia, kiedy poeta, czy to w uczuciu boskiej twórczości w sobie, czy w świadomości bezwzględnej władzy swej nad duszami, czy też w zamiarze, aby młodzież, kształcąca się za granicą, i w zagranicznej poezji i literaturze więcej może upodobania, niż w swojej własnej znajdująca, właściwszym i zbawiennejszym dla kraju natchnął duchem — kiedy poeta, mówię, w chwili powszechnego uniesienia, kończąc swoją improwizację, wyrzekł z całą dumą wewnętrzną przekonania słowa, któreśmy wiernie zachowali w pamięci: »Czyś ty mi, Szyller lub Göthe — widział równego poetę?« O nie! nie! odpowiedziały głosy. Tyś wieszcz nad wieszczami! Tyś wieszcz z ramienia Boga! Wieszcz z archanielskimi skrzydłami i głosem, dzierzący w rękę miecz Archanioła! Tyś Polski, tyś naszym duchem! Tyś Polski, tyś naszym Archaniołem — Stróżem! Tyś naród, jak nas w tej chwili, uszczęśliwił... Oto wrażenie, jakie na słuchaczach sprawiły słowa Mickiewicza. Oto bezpośredni sąd o potęgę jego geniuszu. Ludzie zimni i krótkiego wzroku nazwą natchnienie takie zarożumieniem i dumą. My nazywamy wewnętrznym przeświadczeniem ducha, iskrą boską, która wszędzie, gdzie padnie, nowe życie zapładnia. Jaki zaś od czasu pobytu Mickiewicza w Berlinie aż do chwili Powstania panował duch pomiędzy młodzieżą polską w tem

mieście, nie tu pora o tem mówić. Dostyć nadmienić, że od tego czasu zgoda, miłość, braterskość, zapal do nauk, obyczajność w życiu i pożyciu, przytem pewien rodzaj egzaltacji, przecucia i oczekiwania, nadzieja i wiara w przyszłość, ożywiły wszystkich umysły i serca. Zdawało się, jakoby duch Promienistych przeniósł się z Wilna do Berlina. Całą tę przemianę sprawił kilkodniowy pobyt Mickiewicza...

**854)** *Str. 42—43.* ...W wykonaniu dzieł sztuki przedewszystkiem idzie o to, aby forma zupełnie odpowiadała idei, to jest, aby obiedwie jedną nierozdzieloną, idealnie wykończoną całość stanowiły. To nazywamy kompozycją. Takowa nie będzie zupełną, jeżeli, przy najwykończonej nawet formie, idea będzie przewrotną, albo niejaśnie pojętą; również nie będzie zupełną, jeżeli, przy najprawdziwszej i najgłębiej pojętej idei, forma będzie koszlawą lub surową. Najwyższy stopień fantazyi nic tu nie tylko nie pomoże, ale nawet zaszkodzi, jeżeli artysta nie ma wrodzonego i wykształconego estetycznego uczucia. Cóż to jest to uczucie? Nie innego, jak jasność w widzeniu istoty rzeczy i prawdziwego związku ich z sobą w świecie zmysłowym i umysłowym zastosowana do dzieł sztuki. Bez tego jasnowidzenia fantazyja tworzyć będzie kształty dziwaczne, powtarzalne, sennie, niemające ani duchowej podstawy, ani rzeczywistego bytu. Takie dzieła sztuki mało dla nas mają wartości i są tylko zabawką wyobraźni. Wyobraźnia powinna być rozumna, to jest: artysta w najwyższym stopniu uniesienia, natchnienia, szalu, powinien zachować równowagę innych władz ducha, czyli przytomność umysłu. Przymiot ten rzadki, niezmiernie wysoko ceniony przez Starożytnych, i uważany przez nich sprawiedliwie za najwyższą cechę geniuszu i za cechę prawdziwej twórczości boskiej, zwany u Greków *σωφροσύνη*, co Rzymianie oddawali przez *mens sana, integra*, a my wytłumaczyć możemy wyrazem: rozumność albo wględność; przymiot ten, który powstrzymując swawolę fantazyi i zachowując wszędzie słuszną i piękną miarę, zarówno w pomyśle, jak w wykonaniu, dzieła geniuszu greckiego uczynił tak plastycznymi, że dotychczas pierwotną swą świeżość i żywotność i cechę prawdziwie ludzką zachowały; przymiot ten, przyglu-

szony niesformą egzaltacją i fantastycznością średnich wieków, powróciwszy do swego prawa w epoce odrodzenia się nauk, oderwany od wyobraźni i pogrążony w martwej prawidłowości epok następnych, oswobodzony nareszcie z więzów i uznany w naszym wieku za to, czem był u Greków i czem jest istotnie, to jest za przytomne a rozumne wiedzenie się ducha w chwili twórczego natchnienia; przymiot ten, który w każdym pomysle i przedsięwzięciu, w każdym słowie i czynie, tak plastycznym czynił Napoleona, a z poetów nowego czasu najwięcej może odznaczał Goethego; przymiot ten, mówię, jest także panującą cechą w geniuszu Mickiewicza. Mickiewicz nie nie tworzył, czego jasno nie widział, a tworząc, nigdy fantazyi z wodzy nie spuszczał, nigdy swawolnie bujać nie dozwalał, nigdy jej niewolnikiem, a zawsze był panem. W najwyższej nawet ekstazie ducha; w *Improwizacyi Konrada*, nie stracił świadomości siebie i rzeczy. *Improwizacya* ta pełna jest rozumu i rozmysłu, a niezrównana w formie. W tym podwójnym względzie, powiedzieliśmy wyżej, żaden z poetów naszych Mickiewicza nie przewyższył, chociaż niejednen blaskiem fantazyi i śmiałością pomysłów prześcignąć go usiłowal. To właśnie idealne przeniknięcie się myśli i formy czyni także utwory jego poetyckie tak plastycznymi, a przymiot ten mógł tylko być osiągniętym przez poetę, że panem był przedmiotów, które śpiewał i przedstawiał artystycznie, to jest z życia powszedniego przenosił w życie idealne...

### B) Dziady Mickiewicza (1864).

Krytyczny rozbiór zasadniczej idei poematu.  
(Poznań, 1864).

Podług Cybulskiego, zasadniczą ideą całego poematu «jest uczucie miłości, przenikające wszystkie warstwy i stosunki świata społecznego». Uczucie to miłości przytem «przedstawia się wszędzie jako naruszone, pokrzywdzone, pogwałcone w naturze swojej». Rozwijając tę myśl, stara się Cybulski dowieść, że II cz. *Dziadów* «przedstawia nam uczucie miłości w sferze pospolitego życia ludowego, w jego pierwotnych, bezpośrednich, przyrodzonych stosunkach, które stanowią grant dlaższego towarzyskiego rozwoju». IV cz. «przedstawia w szczególownem rozwinięciu uczucie miłości indywidualnej», ostatnia zaś t. j. III cz. — «uczucie miłości, obrazowane na tle historycznego i politycznego życia narodu».

855) *Str. 1—3.* Ze wszystkich poetyckich utworów Adama Mickiewicza najwięcej trudności, tak pod względem treści jak formy, przedstawia naukowej krytyce poemat, noszący nazwę «*Dziady*». Treść jego różnorodna, zmienna, nie osnuta na tle jednego, w przyczynach, przebiegu, skutkach rozwiniętego i skończonego wypadku, czynu lub pomysłu; forma liryczno-dramatyczna z opisowymi ustępami; artystyczny układ czyli kompozycya bez organicznej całości, podzielona na części, zewnętrznie tylko z sobą spójne, rozszerzona ustępami, całkiem na uboczu stojącymi; cały poemat, tak jak go mamy przed sobą, zamiast z czterech, z trzech złożony części, zdaje się, że niedokończony. Te są trudności, które na pierwszy rzut oka przedstawiają się estetykowi i krytykowi, gdy po ochłonięciu z doznanego wrażenia zaczną się temu cudownemu utworowi bliżej przypatrywać.

Zwyczajny czytelnik, oczarowany pięknością poematu, mało pospolicie zważa na estetyczne skrupuły ludzi z profesyi. Wrażenie, którego doznaje, jest dla niego wszystkim. To też żaden utwór Mickiewicza nie był więcej czytany, jak «*Dziady*», żadnego nie uczono się więcej na pamięć. Po wyjściu dwóch pierwszych części nie było młodego człowieka w Polsce, któryby ich nie był umiał w całości, lub w większych ustępach powtórzyć. Poeta przemawiał w taki sposób do serca każdego, że nie swoje, lecz drugich uczucia wyrażał, lub drzemające jeszcze w pierśiach rozbudzać się zdawał. Pojedyncze części poematu zdawały się być, albo były rzeczywiście dla każdego zrozumiałemi. I to może też było przyczyną, że nad istotną myślą, nad właściwą zasadniczą ideą poematu, mało się kto zastanawiał, a wielki tłum czytelników wcale się nawet o nią nie pytał. A jednak o wykazanie tej to myśli, jak w każdym utworze poetyckim, tak i w «*Dziadach*», idzie przedewszystkiem naukowej krytyce.

Nikt też, o ile mi wiadomo, bo nie mogę tu nawet policzyć Mochnackiego, o poemacie tym w obszerniejszej naukowej rozprawie nie traktował. Na ogólnych, zarazem i na inne utwory poety rozciągających się krytykach, nie zbywało. Rzekłbym niemal, że upiór Gustawa, bohatera jednej części poematu, odstraszył teoretyków od przypatrzania mu się bliżej. A wyjęte z Szekspira godło, które poeta umieścił na czele utworu: «*Są*

dziwy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom, aż nadto wystarczało, aby tych filozofów z góry uprzedzić przeciwko niemu i wbić ich w pychę, że się czuli zwolnionymi mozołu i pracy, wprowadzać z pomocą krytycznego rozumu »duchy karczemnej twory gawiedzi, w głupstwa wywarzone kuźni«, na widownią rzeczywistego świata ludzkiego. Wszakże nie inaczej obszli się z poematem, mający się także za filozofów tego rodzaju, klasyczni krytycy warszawscy, gdy znaną wrotkę tegoż przerobili na: »ciemno wszędzie, głupio wszędzie, co to będzie, nic nie będzie«, mniemając w najlepszej wierze, że zadość uczynili swemu powołaniu.

Z tego samego prawie stanowiska świata rzeczywistego zapatrywał się na osnovę »Dziadów« i przeciwnik klasyków, Mochnacki. Przedstawiała ona mu się tylko jako omamienie i złudzenie fantazyi, ale tak silnego uroku, »że poeta podbija nią pod posłuszeństwo swojej wiary rozum i imaginacya czytelnika«. Jest w tem orzeczeniu »*contradictio in adjecto*«. Złudzenie, o którym się wie, że jest złudzeniem, może bawić imaginacyą i zajmować umysł, ale nie podbija rozumowi. Mochnacki czuł jednak potęgę osnovy poematu, nie umiał sobie tylko zdać należytego rachunku z tego, co tę potęgę stanowi. Znalazł ją w uroku formy. Nie winimy go o to. Znal on tylko dwie pierwsze części poematu, kiedy pisał swoją książkę »O literaturze polskiej«. Trzecia zaś część, wydana w parę lat później, odsłoniła dopiero jego właściwą ideę zasadniczą, a tem samem podała klucz i do gruntowniejszego pojęcia dwóch pierwszych...

**856)** Str. 6—7. ...Co sobie Mochnacki pomyślał, przeczytawszy trzecią część »Dziadów«? Coby był pomyślał, gdyby był dożył wyjścia na świat »Pana Tadeusza«? Byłby zapewne zmodyfikował zdanie swoje? Ja wątpię o tem. Zdanie wypłynęło z teoryi, rozwiniętej na obszernej i pod wielu względami uzasadnionej podstawie. Pisarz krytyk, takiego zakroju jak Mochnacki, nie zmienia odrazu teoryi, chociaż mu coś do niej nie przypada. Sądzę, że uznając wysoką poetycką wartość »Pana Tadeusza«, byłby powiedział o nim to, co o Grażynie, to jest, »że poeta zapomniał w nim o sobie«. Trzecia zaś część Dziadów, mimo rzeczywistości większej części osnovy, byłaby

go tylko, tak mi się zdaje, podobnie jak Konrad Wallenrod, utwierdziła w zdaniu; byłby prawdopodobnie powtórzył, co o tym ostatnim wyrzekł: »Jedno z największych dzieł literatury naszej, choć się tylko z pięknych fragmentów składa, i zarazem przykład, jawnie i jasnie pokazujący, jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu (?), subiekto w o m u, przenieść się z swej idealnej sfery w sferę wielkiego poetyckiego realizmu«.

Ta to właśnie niedostatecznie zgłębiiona i jednostronnie pojęta subiektywość i obiektywość, idealność i realność teoryi Mochnackiego, obalamucila i skrzywiła sąd jego i wielu następnych pisarzy o naturze poetyckiego ducha Mickiewicza i jednej części jego poezyi. Znajomość pierwszych elementów filozofii i estetyki powinna była wystarczyć na sprostowanie tych teoretycznych błędów. Dziwić się przychodzi, że tak myślący pisarz sam się na nich nie spostrzegł. Prawda, że w piśmie swoim nie chciał być ani filozofem ani estetykiem, zowiąc wszystkie i wszelkie teoretyczne prawidła w dziedzinie sztuki »wymysłami krytyki, techną obskurantyzmem estetycznym«. Sam jednak nastawił tak teoryą, która właśnie w niektórych kierunkach wiodła wprost do podobnego obskurantyzmu, to jest: »do zapatrywania się na poezyą z punktu optycznego fantazyi, i do wykreślenia z tego punktu linii architektoniki poetyckich efektów«.

**857)** Str. 8—12. ...Otóż i teorya Mochnackiego. Jego podział poezyi na realną i idealną, albo wedle innej nazwy, na obiektywową i subiektywową, jest pojętym i zdefiniowanym podziałem na poezyę epiczną czyli opisową i na liryczną czyli uczuciową. Główną różnicą ich ma być to, że w pierwszej poeta całkiem zapomina o sobie, w drugiej jest całkiem samym sobą. Jakże się tedy ma rzec z poezyą dramatyczną, która, jak wiemy, jest jakoby zespoleniem poezyi epicznej i lirycznej? Wedle teoryi Mochnackiego, rozumując ściśle, powinna to być taka poezya, w której poeta zarazem i zapomina i pamięta o sobie. Mochnacki czuł snąc śmieszność takiej konsekwencyi, bo nic o poezyi dramatycznej nie powiedział. Z przytoczonych tylko nazwisk Getego i Szekspira dowiadujemy się, że ją polczył do poezyi realnej. Natura, charakter, istota, idea treści



poetyckiego utworu mniej Mochnackiego obchodzą. Niespodzianką jest prawie dla nas, gdy w rozbiórce Wallenroda mówią: »że Mickiewicz nie wyczerpnął idei swego poematu«. Daleko więcej zajmuje pytanie: jak się poeta indywidualnie stał w i a do treści swoich utworów. Wedle tego sądzi i o nim i o tych. Im więcej poeta o sobie zapomina, tem wyższy i on i utwór jego. Mochnackiemu nie przyszło na myśl, że najposledniejszy twór opisowy da się pod tę rubrykę podciągnąć. Również, im więcej poeta z indywidualnej istoty jestestwa swego snuje i wyrusza, tym znikszym jest utwór jego « w architektonice poetyckich efektów». Ostatecznie forma o wszystkim decyduje: postaciowa, snycerska (?), plastyczna dla realnej, śpiewna, muzyczna dla idealnej poezji. »Iamta zmierza do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych« — »tej kształty mniej określone, coraz bardziej oddalają się od statuty (!), od posągu, i rozwiewają w nie przed obliczem naszym, jak duchy, na chwilę jawiące się w cielesnej postaci, jak nikiące cienie«. — »Figury marmurowe (!) poetyckiemu służą realizmowi; muzyczne jest misterstwo poetów filozofujących, dumających«.

Widzimy z tego wszystkiego to, com już wyżej powiedział, że subiektywość, w pojęciu Mochnackiego, wychodzi ostatecznie na jakieś błędne, znikome, żadnego stałego i rzeczywistego gruntu pod sobą nie mające filozofowanie, rozmyślanie, dumanie, marzenie, widzenie. Z stanowiska takiego pojęcia niepodobna mu też było rozumieć istotnej treści i idei poematu »Dziady«, ani zgłębić natury poetyckiego ducha jego twórcy. To też wedle przytoczonego wyżej sądu, wypadłoby pomieścić Mickiewicza w tłumie tych pseudo-poetów pomiędzy romantykami owej epoki, których tak słusznie i dowcipnie wymślał Franciszek Morawski. Bez ducha, bez natchnienia, bez wyobraźni, bez nauki, bez wiedzy, bez treści w głowie i w sercu, bez walki i doświadczenia w życiu.

»Ledwie, że się z infimy, a nawet z pieluszki  
 Jakis tam romantyczny wyrwie geniuszek,  
 Jużci się do nieszczerzcia powołanym sądzi,  
 Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi,  
 Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,  
 Je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha«.

Takiego to rodzaju poetów twory nie mają zaiste żadnej realnej, rzeczywistej treści w sobie. Wszystko tam jest zmyślonem, znikomem, przelotnem, nie prawdziwem, trwałem; ale także i nie indywidualnem, nie idealnem, nie subiektywem. Bo subjekt jest duchem, ma przyrodzony pęd do rozwoju, do napełniania się treścią, wyrabianą albo w samym sobie pod wpływem i naciskiem zewnętrznego świata, albo przejmowaną i przyswajaną z tegoż bezpośrednio. Wśród trudów i przeszkód, wśród walki i znoju, wśród nadziei i zawodów, wśród doświadczeń i cierpień, treść ta coraz więcej się wytrawia, uszlachetnia, idealizuje. Mówi poeta niemiecki:

»Kto nigdy swego chleba nie jadł z łzami,  
 Kto nigdy swoich troski pełnych nocy  
 Nie spędzał, siedząc na łożu z smutkami,  
 Ach! ten was nie zna, o! niebieskie mocy!«

Z kolei przyrodzenie, nauka, wiara, przyjaźń, miłość, rodzina, naród, rzeczo-polita, ludzkość, napełniają treścią swoją umysł i serce człowieka. One w nim istnieją i żyją. On bywa ich wyobraźcielem, przedstawicielem, prawodawcą, apostołem, wieszczem. Subjekt przedziera się wtedy, że tak powiem, w objekt. Dzieje ludzkości opierają się i wnoszą na tej dyalektyce ducha.

Taką jest prawdziwa subiektywość. Ona już w przyrodzonym, bezpośrednim uczuciu ma zaród rzeczywistej treści, a zdolną jest przyjąć w siebie uczucia i myśli, wiążące się w łonie całego świata. Im większa ich pełność, im głębsze pojęcie, im szczytniejsza rzeczywistość, tem silniejszy skutek artystycznego, idealnego obrazowania. Siłą takich to przymiotów i własności, a nie »optycznym złudzeniem fantazyi«, podobił twórca »Dziadów« pod posłuszeństwo poetyckiej wiary rozum i imaginacyę swoich czytelników. Toż i koloryt stylu, zamietności, uczucie w utworze tym nie jest pośmiertny, jakby zafarbowany tynkiem myśli namiętego wywołańca grobów, tulańca martwych krain; nie jest stylem rozpamiętywań upiara, lecz stylem rzeczywistego, w rzeczywistym świecie żyjącego człowieka, stylem rozpamiętywań kochanka poety. Więc i czwarta część »Dziadów« nie jest jakoby drugą częścią i dokończeniem »Wertera« Getego, z którym nasz poemat nie ma właściwie nic wspólnego. Lecz

przypuszczając porównanie, powiedzielibyśmy, że Gustaw nie jest z grobu wywołany, lecz żyjącym duszą i ciałem Werterem. A o ileż on jest rzeczwiśtszym, prawdziwszym i wyższym od Wertera Getego! bo on nie uśmierca się duchowo i fizycznie w skutku rozmarzonej, przesadzonej, chorobliwej sentymentalności, lecz siłą ducha unosi miłość swoją z rozbitej rzeczywistości świata przypomniał, wyższą, duchową, idealną rzeczywistość świata rzeczywistego, świata prawdziwej artystowskiej obiektywności. Zewnętrzny tylko stosunek miłości rozerwał się i zakończył, ale wewnętrzny, duchowy związek pozostał, wraz z indywidualium. Więc zmysłowa śmierć tegoż jest tylko pozorna, dokonywa się tylko w dyalektyce ducha Duchowe indywidualium zwycięża, nie umiera, nie ginie. Subiektywność wstępuje w krainę wyższej obiektywności.

Lecz nie uprzedzajmy bliższego, istotnego rozbioru poematu. Chciałem tylko zaraz na wstępie okazać, że osnowa i idea poematu, tak jak je Mochnacki przedstawił, i jak dość powszechnie, przynajmniej co do dwóch pierwszych części, dotąd są pojmowane, nie mają ani realnego ani idealnego gruntu pod sobą, a bynajmniej nie wystarczają, aby sobie wedle nich złożyć i wyobrazić strukturę kompozycji całego poematu, a zwłaszcza, aby poznać i pojąć panującą w nim ideę.

Bo o cóż właściwie i głównie w tym poemacie chodzi? Treść podaje się, jak tego każde prawdziwe arcydzieło sztuki wymaga, sama przez się: częścią wypływa z religijnych obrzędów i wyobrażeń ludowych, częścią wynika ze stosunków prywatnego życia poety, częścią wzięta jest z męczeństwa narodu polskiego w Litwie i w Koronie. Uważam to za znane, i szczególnie skreślenie treści w tem miejscu za zbyteczne. Rzeczby się zanadto rozciągnęła. Poeta zresztą sam oznaczył w dwóch przedmowach charakter treści utworu swego. Chodzi mi tu głównie o wykazanie: jaką jest zasadnicza idea znanego nam w trzech częściach poematu? Czy poemat stanowi artystowską całość, czy nie? Czy był tworzony według pewnego planu, według pewnej odrazu i z góry powziętej idei? czy też jest owocem różnych czasowych wrażeń, wpływów, poglądów? Jakim sposobem nareszcie, chociażby druga połowa ostatniego pytania okazała

się uzasadnioną, dadzą się pojedyncze części poematu ująć i spoić w jedną całość?

Wyznaję otwarcie, jak to już na samym wstępie rozprawy uczyniłem, że pytania te, które każdemu nieuprzedzonemu krytykowi nasuwają się same przez się przed oczy, są w niemałej mierze ambarasującymi dla chcącego śmiało, stanowczo, bezwzględnie na nie odpowiedzieć, odpowiedzieć, być może, z uszczerbkiem dla kompozytorskiego talentu poety. Przyczynia się do pomnożenia skrupułu rozgłoszona, nie wiem, pewna czy niepewna, wiadomość, że w pozostałych po Mickiewicza rękopismach znalazła się jeszcze jedna część Dziadów. Niebezpieczna zaiste jest sądzić poetę, dopóki całego głosu z piersi nie wydobył, dopóki ostatniego słowa nie wyrzekł; niebezpieczna konstruować niedokńczony utwór. Mamy przykład obojga na Mochnackim. Ależ jeżeli ze szczęki przedpotopowego zwierza można wnosić o całym jego ustroju organicznym, jeżeli ze szczątek greckiej świątyni można wykreślać całą jej budowę, jeżeli z torso starożytnego posągu można odgadrywać całą jego postawę; toż z trzech skończonych i wykończonych części poematu »Dziady« godzi się, mniemam, sądzić o jego całości, o jego artystowskim układzie, o jego zasadniczej idei, bez zbytecznego kłopotania się o treść nieznannej części. Może ona przydać jakiś nowy szczegół: wchód, przedświełek, facytę do przedstawiającej się oczom naszym budowy; ale nie może zmienić jej głównej, widomego zarysu i kształtu. Okaze się to bliżej jeszcze z następującego rozbioru <sup>1)</sup>...

**558)** Str. 20—21. Zawód profesora odwiedził Mickiewicza od powołania poety. Myśl nowej części dramatu utonęła w kursie literatury. Wielka i stosowna dla pierwszego, nie była na swoim miejscu w drugim. Ma ona jednak dla nas tę ważność, że rzuca światło na tworzenie się poematu, który powstał nie odrazu, i nie wedle odrazu wogóle i w szczegółach wykreś-

<sup>1)</sup> Po zapoznaniu się z fragmentami I-czej cz. »Dziadów«, ogłoszonym w paryskim wydaniu poezji Mickiewicza z r. 1861, Cybulski w »Dopisku« na końcu rozprawy dodał m. i. słowa: »Nie mają one na krytyczny pogląd rozprawy mojej żadnego wpływu, jak to z góry przewidywałem... Dla mnie część I Dziadów nie istnieje.« (Przyp. Red.)

lonego planu, lecz w różnych epokach, każda część w takiej epoce, w której poeta indywidualnie żył kalkowicie jej treścią i myślą, wcielał je niejako w siebie, stawiał się żywym ich wyobraźcielem, przedstawicielem, wieszczem. Ogólna tylko myśl poematu zabyłsnąć mogła odrazu w duchu wieszczą; szczegółowy jej rozwój coraz pełniejszy, coraz szerszy, coraz wyższy, mógł się tylko stopniowo, w czasie, z wiekiem poety dokonywać. Na ostatnią część dramatu zabrakło mu siły, odstąpił swego poetyckiego posłannictwa, »stał się synem ziemi«. Bohater nie dopięwanej pieśni, zamiast po drugi raz z Bogiem rozmawiać, wdał się w rozmowę z codziennymi ludźmi; oni go nie zrozumieli, nie pojęli, nie poszli za nim; słowo objawione nie przeszło w czyn, lzy się nie skończyły, sny nie spełniły, słowiczek zaśpiewał bez skutku na pożegnanie i nie przyniósł Dawidowego hymnu narodowy i ludzkości na pocieszenie, na zbawienie.

A jednak — jednak — losy świata i narodu naszego nie przedstawiły się w zupełnej osłonie apokaliptycznemu widzeniu wieszczą. Jedna część już się spełniła, drugą wiedzie »Anioł puchole«. Lecz to już nie należy do przedmiotu rozprawy.

**859)** *Str. 35—38.* „Otóż to we wszystkich sferach i polozieniach wszechwładne i w objawach swych cudowne uczucie miłości, ta wieczna, ciągle krzywdzona i podkopywana, a żadną inną niezastąpiona zasada społeczeństwa chrześcijańskiego, to mówię uczucie miłości jest, mojem zdaniem, główną i zasadniczą ideą poematu »Dziadły«. Czy ją sobie poeta odrazu w całem szczegółowem pojęciu rozważył lub nie, trzecia część dramatu poświadcza, że znalazł jej logiczny rozwój, i że jak na drugim, tak i na trzecim stopniu jego wyzerpnął ją aż do najgłębszych głębi. Dzieło takie nie mogło też powstać na jeden raz i w jednym czasie. Są myśli i pojęcia, tak w historii, jak w literaturze, które powoli w duchu ludzkim dojrzewają, i wtedy dopiero przechodzą w czyn, gdy świat zewnętrzny i człowiek, ich przedstawiciel, zetkną się z sobą i usposobią jakoby na narzędzia do ich urzeczywistnienia. Historyczna przeszłość życia narodu leżała jak otwarta księga przed oczyma poety, ale obecność była jeszcze w walce. »W krajach ludzkości noc głucha, żywiły chęci jeszcze są w wojnie«. Poeta prze-

czuwał blizki wybuch narodowego boju, sam miał najczynniejszy udział w patriotycznych owego czasu dążnościach i stał się wraz z innymi ofiarą prześladowania, które barbarzyństwem swem mogło tylko przyspieszyć chwilę pożądanego oswobodzenia.

Ten więc stan wewnętrznej duchowej fermentacji i walki musiał wprzód rozwinąć się w całej swej sile, musiał wyjść z siebie na zewnątrz i przyjąć jakąkolwiek postać skończonej rzeczywistości, zanim mógł być stosowną materją do poetyckiego utworu, w którym sumienie umęczonego narodu miało spowiadać się przed światem i Bogiem. Dopelniono się to powstaniem narodu 1831 r. Katastrofa jego i w ślad za nią idące barbarzyńskie prześladowania wycisnęły ostatnie piętno na historii całego poprzedniego męczeństwa. Osnowa, jakkolwiek świeża, była w myśli i w rzeczywistości dokonana, skończoną, była w skutku plastycznym bezwstydu prześladowców dojrzałą dla historyka, dojrzałą tem więcej dla poety. On wzrósł w niej, żył w niej, patrzył na nią żywymi oczyma prerażonych zmysłów i bolejącej duszy, a jak w latach pierwszej młodości przejął się wyobrażeniami i pomysłami gminnego ludu, jak w latach wieku młodzieńczego zapalił się uczuciami przyjaźni i indywidualnej miłości, tak w wieku dojrzałej męskości wcielił w siebie żywot i ducha rozbitego na krzyżu narodu i stał się jego przedstawicielem i wieszczem. Trzecia część »Dziadłów« jest tego wcielenia słowem i czynem. Tu się właściwie skończyła liryczno-poetycka myśl wieszczą. Mógł on odtąd być tylko epikiem i nauczycielem objawionego słowa.

Był jednym i drugim. Czy tego ostatniego posłannictwa nie byłby skutecznie dopełnił, tworząc nowy dramat, osnowany na tle przyjaźni, braterstwa, umi narodów, dramat, przedstawiający walkę przeznaczoną ludzkości, »wychodzący z zamętu świat ducha«, świat wyłaniającego się w boleściach Królestwa Bożego na ziemi, na który wskazywał inny natchniony współczesny wieszcz i jeden przed innymi myśliciel, w księdze, mającej tytuł pożyczony od Modlitwy porannej<sup>1)</sup>; czy, mówię, wieszcz takiego dramatu, który, jak się tego już wyżej domyślałem, stał mu prawdopodobnie przed myślą, nie byłby silniej i skuteczniej

<sup>1)</sup> Krasiniński i Cieszkowski. *Przyp. Red.*

odpowiedział powołaniu swemu, aniżeli nauczyciel kursu literatury? nie daje na to odpowiedzi, bo takowa, w braku rzeczowego dramatu, byłaby tylko nowym domysłem. Dosyć, że się tak nie stało i stać nie mogło. Czas wcielenia w słowo nowego poetyckiego ideału i wspomnianego filozoficznego systemu nie był jeszcze przyszedł. Odemknęły się na chwilę jego podwoje w r. 1848, i na nowo zatrzaskły, bo wdzierali się przez nie do przyszłego kościoła braterskiej unii narodów poświęceni i niepoświęceni, z bronią w rękę, brat na brata. Niedługim tą razą był czyściec zwycięskiego despotyzmu. Duch-czas jak karze samolubstwo fałszywych przyjaciół wolności, tak nie przepuszcza samolubstwu jej wrogów, i oto podwoje arki nowego przymerza znów stanęły otworem. Spieszą ku niej ludy wielkie i małe. Jest w ich liczbie i lud polski, który czuje i wie, że go Opatrzność postawiła na straży dokonywających się w ludzkości wyroków swoich, i uczyniła »widomym namiestnikiem wolności na ziemi«. Jakżź będzie koniec tej nowej walki, której zdaje się, że na przemian aniołowie i szatany przywodzą?

Wieszcz nasz oddał ducha Bogu w tem oczekiwaniu. Umarł jak bohater tragicznego dramatu, za ideę, której zwycięstwo ma naród polski z domu niewoli, ludzkość z nocy przesądów i z kaluży materialnego samolubstwa wyprowadzić. Umarł, dziwnem zrządzeniem Opatrzności, prorok narodu daleko od ojczyzny, na pograniczu cywilizacyi i barbarzyństwa, jakby na znak, że tam się losy narodów i ludzkości ostatecznie rozstrzygną i wznijdzie nad światem »zbawienia słońce«.

Okazawszy ogólną, zasadniczą ideę poematu, którą jest uczucie miłości, przenikające wszystkie warstwy i stosunki świata społecznego, zobaczmy teraz, jak się ono szczegółowo w utworze naszym uwewnętrznia i obrazuje, i jaka moralna dążność spowita jest w tych idealnych obrazach sztuki. Nie mam zamiaru wdawać się tu w wszechstronny ich rozbiór; powszechna i gruntowna znajomość utworu uwalnia mię od tego. Chcę tylko w krótkości podnieść to, co szczególniejsze i wyraźniej, aniżeli co dotąd było powiedzianem, charakteryzuje pojedyncze strony idei zasadniczej.

Przedewszystkiem ogólnie co do wszystkich części poematu zauważyć należy, że uczucie miłości przedstawia się wszę-

dzie jako naruszone, pokrzywdzone, pogwałcone w naturze swojej. A że ono jest przyrodzonym pierwiastkiem istoty ducha ludzkiego, nieodłącznym czynnikiem życia człowieka, źródłem i podstawą moralności wszystkich jego stosunków, więc pogwałcenie to pociągać musi w każdym razie karę za sobą i dopóki takowa nie nastąpi, i uczucie miłości nie powróci do swego prawa, indywidualum, rodzina, społeczność, naród, ludzkość znajdując się w stanie moralnej walki z potęgami gwałtu, — cierpią. Wiara i nadzieja osładzają ich cierpienia, czynią gotowemi do ofiar i poświęcenia, wskazują drogi ratunku i wiodą ostatecznie do zwycięstwa, do tryumfu panowania miłości nad panowaniem gwałtu. Taka jest moralna dążność poematu...

**860)** *Str. 63—66.* „Uważmy dalej, że w istocie poetyckiego geniuszu Mickiewicza leżała spowita od samego początku myśl odrodzenia się ojczyzny przez rozbudzenie i podniesienie w narodzie tych wszystkich moralnych sił i potęg, przez które pierwotny duch chrześcijański pokonał materialny pogański świat, wskazał tworzącym się narodom i państwom ich misye i przeznaczenie i położył w związku nową wiarą społeczeństwie ludzkim fundamenta do zapowiedzianego Królestwa Bożego na ziemi. Pielęgnowała myśl tę braterska spójność w życiu młodzieży uniwersyteckiej w Wilnie; podnosiły naukowe, literackie, polityczne, patriotyczne, mistyczne kierunki pojedynczych ludzi i towarzyszt lokalnych; umacniało ogólne nateżenie i oczekiwanie ducha całego narodu; wstrząśniętą i zawiedzioną chwilowo przez nieszczęśliwy koniec powstania narodowego rozłączyły na nowo i rozplomięły aż do egzaltacyi nieznane dotąd cierpienia i prześladowania. To, co wieszcz wyśpiewał w swym dramacie, nie jest niczem innym, jak wiernem odbiciem różnych promieni tej jednej myśli, która miała się stać nowo w pierwotnym duchu chrześcijańskim odrodzoną wiarą narodu polskiego, mającą go usposobić i poprowadzić do spełnienia wskazanej mu przez Opatrzność misyi w dziejach ludzkości.

Za dalekobył się oddalił od właściwego zadania rozprawy, gdybym się wdał w szczegółowy rozbiór tej głównej myśli poety. Nie potrzeba tego. Uczynił to wieszcz sam w swoim



»Kursie literatury słowiańskiej«. Mniemałem dawniej, że teorie kursu tego nie mają żadnego związku z moralnem i poetyckiem stanowiskiem wieszca, i że tylko przypadkowy i zewnętrzny wpływ zrodził je w duchu jego. Pisałem o tem w piśmie peryodycznem »Rok«, które wychodziło w Poznaniu, w tomie za rok 1845. Głębsze zastanowienie się nad całym psychologicznym rozwojem ducha poety i ściślejsze porównanie myśli, złożonych w utworach jego, a mianowicie w dramacie, o którym tu mowa, z myślami, rozwiniętymi w kursie literatury, przekonały mię, że pomiędzy poetą a profesorem nie było wtedy w gruncie tak wielkiego, jak wtedy mniemałem, rozstępu. Rozstęp ten, rozstęp widomy, był w formie, był w zewnętrznym przedstawieniu; był w usiłowaniu przenoszenia idealów sztuki w świat powszedniego biegu rzeczy; był w wysnowaniu z poetyckich pomysłów i idei wszelakich umiejętnej teorii: politycznych, socyalnych, literackich, dziejowych, ba i religijnych; był w pojmowaniu i urządzaniu jedną wyłączną siłą uczucia, egzaltacyi, entuzjazmu, takich nawet stosunków realnego świata, które tylko rozumem pojmwane i urządzane być mogą — co było na swoim miejscu u poety, ale nie u profesora; — był nareszcie rozstęp ten — a to była najsmutniejsza ostateczność — w przedzierzgnięciu się raz jeszcze w ducha wyższej potęgi, Konrada w Apostoła nowo objawionego chrystyanizmu, według którego ludzkość potwornie się miała odrodzić i urządzić.

Plato wygnal poetów z rzeczypospolitej swojej, jako ludzi niepraktycznych i szkodliwych, bo zmysleniami bezrzeczywistemi umysły ludzkie zajmujących. Mickiewicz wygnal filozofów z odrodzić się mającego świata i jako poeta i jako apostoł, bo »martwe znają prawdy, nieznanne dla ludu«, i formułują tylko to, co się już przeżyło. Plato głosił, że rzeczypospolite wtenczas dopiero będą szczęśliwe, kiedy filozofowie niemi rządzić będą. Mickiewicz śpiewał:

»Daj mi rząd duszl...  
Niech ludzie dla mnie będą jak myśli i słowa,  
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa,  
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,  
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe, niżli ty, zrobiłbym dziwo,  
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!»

Plato pół wieku strawił na próżnych usiłowaniach, aby rzeczypospolitę swoją w którym z państw greckich praktycznie zaprowadził. Mickiewicz nie znalazł sposobności nawet w r. 1848, w tym roku powszechnej miłości, egzaltacyi i entuzjazmu, do zrealizowania swoich poetyckich i apostołskich idealów. Ale widzieliśmy wtedy innego poetę, który stał na czele rządu wielkiej rzeczypospolitej, Wiemy, co z niej zrobił, co zrobił z obrzymiej potęgi ówczesnego ducha czasu. Są ludzie najwyższych zdolności, wieszczych pomysłów, proroczych objawień, którzy zdają się być żywą inkarnacją narodów, przenikniętych i przenikających się za posłyszeniem ich głosu temż samymi myślami i uczuciami, a którzy przeciw do szczególnych sfer życia praktycznego żadnego nie mają zmysłu. Takim był Mickiewicz przed, podczas i po powstaniu, w kraju i za granicą. Bo on był duszą i ciałem poety, i tylko poety, i tylko też jako poetę sądzić go można w teoriach tych, które wykreślał jako ewangeliczne zasady przyszełego życia społecznego.

Improvizacya była istotnie, jak to sam czuł i wyrzekł, zenitem jego poetyckiej twórczości. Walka wieszca Konrada z Bogiem powtórzyła się w wykładzie Apostoła Mesianizmu. Upadek pierwszego był osobiwem zrzadzeniem losu przepowiednią upadku drugiego. Pierwszy upadł, bo poeta nie był jeszcze tak daleko doszedł w uznaniu mesyjańskiego przeznaczenia swego, aby się nie był miał przed mądrością Opatrzności i świętością i powagą wiary upokorzyć. Drugi nie myślał podobno ani o upadku ani o upokorzeniu się. Świat cały był słuchaczem wykładu. Bo świat ten napajany w tym czasie różnemi filozoficznemi, ekonomiczno politycznemi, socyalnemi teoriami, przeczuwający blizkie przesilenie ducha swego, niezmiernie był ciekawy, co też szczególnego do tego powszechnego, umysłowego ruchu wniesie poeta tak głośnego imienia, wieszcz tak słynnego a nieszczęśliwego, ale o przyszłość swoją nie rozpaczającego narodu, co wniesie członek obrzymiego, w ciele i w duchu swym ruszać się poczynającego, i straszna, bo tajemniczą przyszłością brzemiennego Słowian plemienia? Niemale zadanie!

Opracował G. KORBUT.

dzenie archaizmów i form mowy ludowej — jak i w obrazach — przez podsuniecie pokrewnych rysów kulturalnych. Jednocześnie próbował S. tworzyć oryginalne opowiesci z odległej przeszłości ojczyznej języcznym i stylem przekładła powyższego. Owocem tych usiłowań były: »Trąby w Dniestrze« obrazek z czasów Chrobrego, dość udatny w pomysłach i wykonaniu, i niefortunna, pod wpływem opowiesci o pułku Igora, z wysiłkiem wymoczona, ciężka i zimna »Potrzeba warnieńska«.

Dla scharakteryzowania tego utworu dość przytoczyć takie wypowiedzenie się Warnieńczyka:

I król zgromił sny swoje: Tfu, mary!  
 Patrona Ungariae! Ptak kary  
 Siadł na gałce i trąbił mi w ucho  
 O Dunaju, a Dunaj, ot stary,  
 Szklni zorsami, by pogańską jucha.  
 I w namiotach czeladka na poly  
 Śpi, wrzasko w ogroju apostoły.  
 Jedno u mnie jakaś w myśli burka.

Drobny obrazek »Cień królowej Barbary« (Przyjaciel ludu 1885) ukazał się jednocześnie w przekładzie niemieckim: »Königins Barbara's Schatten« w lwowskiej »Mnemosyne«.

W ciągu pięcioletniego pobytu w Lwowie S. bierze żywy udział w budzeniu życia narodowego i umysłowego przez rosnące stopniowo koło młodych poetów i literatów. Uwieszony przez policję austriacką w r. 1837, po półtorarocznym pobycie w więzieniu, ucieka, z pomocą Fran. Morawskiego udaje się do Francji i osiada na czas dłuższy w Strasburgu, oddając się studjom przez uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie, a zarazem propagandzie idei demokratycznych, którymi się przejął we Lwowie jeszcze, pod wpływem stosunków z Goszczyńskim. Bierze teraz udział w redagowaniu »Pzonki«, noworocznika, wydawanego przez Zienkowicza, przedstawiciela skrajnej grupy w obozie demokracji emigracyjnej. Urządza tu r. 1839 uroczysty obchód z powodu zgonu powieszonego w Wilnie Szymona Konarskiego. Pomieszcza następnie w »Pzonce« opis ostatnich chwil Konarskiego i powiastkę: »Pana Antonina, czyli wejście Austriaków do Lwowa r. 1809«. Z tego czasu pochodzi też utwór »Trzy wieszczby« (Paryż 1841 str. 115), wprowadzający w formie udratmowanych obrazów postacie trzech przepowiadaczy przyszłości narodowej, opata jedrzejowskiego, z wieku XVI, i pociągające tak wyobraźnię i serca ówczesnych wieszczów i patriotów świeższe osobistości: ks. Marka i Wernyhorę. Anegdotyczne traktowanie przedmiotu odebrało jednak tym postaciom powagę i wieszczom ich grozę. Słabym również jest drugi utwór z tego czasu, »Świtezianka« (Poznań 1843 str. 100), fantazja dramatyczna, parafraza arcydzieła mickiewiczańskiego, rozwekła, rażąca niesmacznymi pomysłami. Świtezianka w postaci Królowej Palmiry przypluwa okrętem — (na jeziorze), po swego lubego, porywa

## CIX.

## SIEMIĘŃSKI LUCYAN HIPOLIT.

(1809—1877).

Poeta, tłumacz, krytyk i publicysta, urodził się dnia 13 listopada 1809 r. w Kamiennej Górze, w par. Magierów, w okolicy Rawy Ruskiej. Podstawę bytu rodziny stanowił niewielki kapitał, zniewalający do cichego życia na wsi. Nauki szkolne, odbywane u Pijarów w Lublinie, ukończył r. 1828. Szkoły wszczepiły mu cześć dla klasyków starożytnych, upodobania i zasady pseudo-klasyczne. Mimo to, w młodzieńczych próbkach poetycznych, z lat 1828—1830, odbił się wpływ ballad Mickiewicza, znajomości z Szyllerem i Byronem. Obok ballady sentymentalnej »Janusz i Mitona«, znajdujemy tu melancholiczną alegorię życia w wierszu: »Podróżny« i erotyczną »Lzę«. W r. 1831, porwany prądem uczuć patriotycznych, wstępuje do wojska i w jesieni tegoż roku jako jeniec przebywa z kolei w Żytomierzu, Kijowie, Odessie. Uwolniony, wraca r. 1832 do Galicji. Zetknięcie się, w wojsku i w niewoli, z rzeczywistością życiową wywołało przewrót w upodobaniach i pojęciach literackich młodzieńca. Świat ballad i romansów rycerskich, zamków średnio-wiecznych i minstrelów, stracił swój urok i, jak sam się wyraża w późniejszej powiastce »Romantyk«, jedna pioseneczka ukraińskiej baby... jedna karta starej kroniki, wreszcie rzeczywistość poetyczniejsza, bo prawdziwsza, niż wszystkie ballady almanachowe, zaczęły teraz pociągać ku sobie młodą wyobraźnię. To też gdy, po przybyciu do Lwowa, zapoznał się z żywo interesującym młode koła literackie »Rękopisem Królówdorskim«, zabrał się bezwzględnie do jego przekładu. W r. 1834, w wydawanej przez młode koło »Ziewonii«, ukazały się części tego przekładu p. t. »Dumy czeskie«, całość zaś wyszła z druku r. 1836 w Krakowie. W tej pracy uwydatnił Siemieński swe uzdolnienie do odtworzenia obcych utworów, łączącego wierność oryginalności co do tonu, myśli, obrazów, z piętnem polskości tak w języku i stylu — przez wprowa-

go wśród uczy i odpywa, zostawiając strwożonych gości, ginących od zalewającej ich powodzi.

Po niefortunnych próbach twórczości oryginalnej zwrócił się S. do najwłaściwszych jego uzdolnień — przekładów pieśni ludowych obcych. Pod tytułem »Piosennik ludów« ogłosił naprzód zbiór pieśni bretońskich (Poznań 1842 str. IX i 88), a następnie w drugim zeszycie pieśni skandynawskie (Pozn. 1843 str. 96). Jednocześnie, zachęcony radą Grabowskiego Michała (w ocenie przekładów Bielowskiego i Siemińskiego), przełożył na próbę szóstą pieśń Odysei i ogłosił ją r. 1844 w »Oredowniku naukowym«. Użył tu wiersza rymowanego 13 zgłoszkowego. Powtórna próba, dokonana wierszem 11 zgłoszkowym, białym, był przekład Pieśni I, ogłoszony r. 1845 w Poznaniu. W związku z tym zwrotem ku poezji ludowej i pierwotnej i przekonaniem, że »poezja w znaczeniu prostym i pierwotnym nie istnieje dziś prawie, tylko między gminem, który sam jeden jest panem potrzebnych do tego warunków« zostaje, ogłoszony r. 1845 w Poznaniu zbiór p. t. »Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie« (str. X, 163). Najpiękniejszym owocem ludowego okresu w działalności S. są skreślone popularnie opowiadania z dziejów Polski, włożone w usta starożytnego wojaka Grzegorza, p. t. »Wieczory pod lipą«, (Poznań 1845 str. 424). Prostota i wdzięk naiwnej opowieści Homera, w której się współcześnie rozczepiał, przyjęcie się duchem poezji ludowej, którą się wtedy zajmował, pozwoliły mu obrazy dziejowej przeszłości ukazać w odbiciu duszy ludowej, pońkadek, ciekawej i odczuwającej żywo duszy kronikarza poety, nieświadomego zadań historyka i celów dydaktycznych.

Książka ta, której tytuł pełny brzmiał: »Wieczory pod lipą, czyli historia narodu polskiego, opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic«, pomimo tamającego jej obieg zakazu cenzury rosyjskiej, zyskała odrazu gorące uznanie i szerokie rozpowszechnienie. Już w r. 1847 wychodzi drugie wydanie, a w 1848 trzecie w Paryżu (Wal. Wielogłowski), czwarte z kolei w Krakowie 1851 (dla użytku młodzieży szkolnej) z drzeworytami. Wreszcie, pod zmienionym tytułem, jako »Wieczory w Ojcowie« i ze zmianami względów cenzuralnych, ukazuje się w Warszawie r. 1853, 1860 i 1873. W przeobrażeniu i powiększeniu (przez J. K. Turskiego) z 46 rycinami wychodzi w Krakowie 1863 i następnie 1868, 1872 i 1873. Przekłady czeskie ukazały się w Bernie (1863 i 1868) i Pradze (L. Röttersberg 1866 r.)

Na kierunek i charakter działalności obecnej S. wywarło wpływ przeniesienie się do Wielkopolski i zetknięcie zarówno z tamiecznym ludem, jak i życiem umysłowym, bujnie dość wtedy rozkwitającym. Poślubiwszy w r. 1841 Ludwikę hr. Potocką, osiedla się r. 1843 w Poznańskim. Jako podejrzany politycznie, z powodu swych poprzednich stosunków z emigracją polską we Francji, zostaje uwięziony. Odzyskawszy wolność za staraniem Seweryna Mielżyńskiego, przebywa trzy

lata w jego domu, lecz skutkiem wypadków r. 1846 zmuszony jest szukać schronienia w Brukseli. W tych latach, prócz wymienionych wyżej z życiem i twórczością ludową związanych prac, ogłosił S. jeszcze swoje drobniejsze utwory wierszowane (»Poezje« Poznań 1844 str. 118) i obszerniejsze znacznie dłuższe powiastki i obrazki 1844, ogłaszanych dawniej w »Rozmaitościach lwowskich«, »Zielonii«, »Przyjacielu ludu« i innych wydawnictwach, pod wyszukany, romantyczno-orientalnym tytułem: »Muzamerit, czyli powieści przy świetle księżyca« (Poznań 1843 r. 2 tomy, t. I 246, t. II 230 str.). Zarówno ściśnienia cenzuralne jak i woga kultura umysłowa ówczesnych czytelników, szukających w lekturze zadowolenia potrzeb wrażliwej lecz słabej i płytkiej uczuciowości, nie dozwalały ówczesnej beltryście sięgać do głębin duchowych, rozwijać doniosłe idee, dążąc do artystycznego wykończenia. Siemiński, przy wysokim uzdolnieniu odtwórczym, nie posiadał twórczej wyobraźni, wynalazczości, opracowywał i przerabiał zwykle obce pomysły lub zdarzenia prawdziwe, lecz nie umiał wtać życia w przedstawiane postacie. Czytelników ujmował jedynie wdziękami opowiadania, tonem rozlaną w nim uczuciowości, starannością wysłowienia. Kraszewski, któremu wydały się one »miłuchnemi«, scharakteryzował je w słowach: »Z jednego nic, z podania, z wieści przelotnej umie on wynudzić coś bardzo zajmującego — wskrzesza, ożywia, ustawia, każe żyć, i żyją i uśmiechają się umarli. Życzliwy dla S., z którym zostawał w korespondencji, przyznał mu, w drugiej połowie powyższej charakterystyki, zalety, jakich brak właśnie odebrał twarzą wartość opowiadaniom »przy świetle księżyca«, które pojawiwszy się w ponownym wydaniu p. t. »Powieści« (Petersburg, Wolf 2 tomy 1852), z opuszczeniem niecenzuralnych obrazków, nie znalazły gorętszego uznania u publiczności. Inny zbiór późniejszych drobiazgów literackich S. wyszedł p. t. »Wieczornice«, powiastki, charakterystyki, życiorysy, podróże — Wilno 1854, tom III str. 263, 385, 294). Do okresu wielkopolskiej działalności piśmienniczej S. należy wydanie »Pamiętników o Samuelu Zborowskim, zebrańnych ze współczesnych dzieł i rękopisów biblioteki kórnickiej« (Poznań, 1844, str. XXIII i 77), wspomnienia poświęconego »Cichy Anioł« (Joanna Boczkowska) — Paryż 1845 str. 21, książeczki dla szkół ludowych: »Czytania postępowe«, zbiór powiastek, legend, żywotów, wyd. szkolne, Leszno i Gniezno 1848 str. 133, i wreszcie broszura: »Pomyśły o harmonii społecznej, napisał Jan z Węgnańczyce Dąbrowa« (Poznań 1845, str. 73). Oprócz powyższych Estreicher podaje, jako autor S., książeczkę: »Przewodnik myśliwa« (Leszno i Gniezno 1848, str. 158) tudzież »Księcia Don Huana Manuela, Rady Patroniuszowe czyli historyczne przykłady opowiadane hr. Lukanorowy, z hiszpańskiego wydane po polsku przez L. S.« (Poznań 1847, 2 tomy, str. 156 i 148). Podejmowanie dla zarobku przekładów i przeróbek dla księgarzy, zapakających potrzeby i upodobania ówczesnej publiczności, jest zwykłym zjawiskiem w ciężkich warunkach naszego życia umysłowego.

Różnorodna działalność literacka S. i uwypatnione w niej uzdolnienie, obok nawiązanych przez ożenienie z hr. Potocką i pobyt w domu Mielżyńskiego stosunków ze sferami arystokracji i zamożnego ziemiaństwa, urotowały drogę S. do zajęcia katedry literatury w Krakowie i stanowiska redaktora zakładanego w tym mieście, wobec wzmagających się prądów rewolucyjnych, demokratycznych, bronić interesów i zasad zachowawczych. Dziennikiem tym był »Czas«, rozpoczynający swe istnienie dnia 3 lutego r. 1848. Chociaż j-dnak na zachym z tych stanowisk dłużej się nie utrzymał, bo z katedry uniwersyteckiej, z rozkazu władzy centralnej, musiał wkrótce ustąpić, a redaktorstwo na czelne »Czasu« złożył po roku w ręce M. Manna, który od 5 maja 1849 r. podpisuje już dziennik, jednakże, jako redaktor działu literackiego, a głównie »Dodatku do Czasu«, wychodzącego od r. 1849 w dziesięciodniowych odstępach, a od 1856 do 1861 r. w postaci miesięcznika, rozwinął teraz S. żywą działalność literacką, trwającą niemal trzy dziesięciolecia. Pozyskiwawszy rozgłos i uznanie, stał się pożądanym współpracownikiem dla rozrastającej się prasy periodycznej polskiej i różnorodnych wydawnictw. Działalność swoją skierował głównie na pole krytyki literackiej i artystycznej, tudzież przekładów poetów starożytnych, wschodnich, włoskich, hiszpańskich. Obok tego zajmuje się wydawnictwem i opracowaniem różnych świadectw historycznych i publicystyką. Twórczość oryginalną zato maleje. Ogłasza teraz tylko przedruki w Petersburgu, Wilnie i Krakowie: »Mozaika« 1853) zbiorów dawniejszych obrazków i opowieści i zbiory poezji »Rapsody historyczne i liryki« (Petersburg 1853 str. 201 w »Sklarczyka poezji polskiej«) w Lipskiej »Bibliotece Pisarzy polskich« (t. XXII, str. VII, 308). Kilka opowiadań S. w przekładzie niemieckim wyszło r. 1877 w znanej Bibliotece Reclama. »Ogrody i poeiz« (Warszawa 1881) ukazały się też po niemiecku w »Magazim f. d. Liter. des Auslandes« (Lipsk). Z oryginalnych utworów uzyskał jedynie szerszą popularność »Wachmistrz Jaszczółd«, gawęda wierszem, osnuta na fakcie rzeczywistym z dziejów kampanii r. 1809 w Galicji (Kraków 1848, str. 31). Ogłoszona w »Tece wileńskiej« r. 1858 (i osobno) powieść sentymtalna »Mimosa« przy kwicistości stylu nie budziła interesu dla ubogiej i bladej akcji. »Fantazja majowa w Giusulianie« poświęcona Mannowi (r. 1872), jest ciągiem refleksji wiosennych człowieka starszego, nie mogącego się pogodzić ze zmianami, jakie zaszły dokoła niego w pojeciach i uczuciach. Z prac i wydawnictw historycznych, rozpoczętych ogłoszeniem Pamiętników o Zborowskich, ważniejsze są: »Opowiadanie szambelana Stan. Augusta« (»Mozaika« Kraków 1853), »O dąbnościach w pisaniu historyi z powodu dziejów panowania Augusta II« (Dodat. do »Czasu« 1853), »Żywot i pamiętniki St. Malachowskiego« (»Czas« r. 1853 i odbitka), »Prace historyczne Lelewela« (Dod. do »Czasu« 1858), »Dwór Jana III w r. 1688 i 1689« (Dod. do »Czasu« 1859), »Ostatni rok życia Stanisława Augusta« (Kraków,

1862 str. XXXX i 191). »Ostatnie chwile króla wygnadca« (Wizer. i rozstrząs. nauk. Poznań 1869), polski przekład dzieła Bigon'a »La Pologne en 1811« (Paris 1861) wydany w Krakowie 1862. »Listy Kollataja pisane z emigracyi w r. 1792, 3 i 4, zebrał L. S.« (w zbiorze Pamitn. z XVIII w. t. XII — dwa tomy w jednym — Poznań 1872). »Kilka ustępów z życia Kościuski« (Bibl. Ossolin. VII, 1865). »Żywot Tadeusza Kościuski« (Wyd. dzieł tanich i poży. Kraków 1866 — niedokończony). »Listy Tadeusza Kościuski do gen. Mokronowskiego i innych osób« (Lwów 1877). »Kaz. Pułaski w Ameryce« (Przeład pol. 1870 i »Dzieła« t. II r. 1881). »General H. Dąbrowski i jego oszczercy« (»Amilkar Kosidaki — Legiony polskie we Włoszech 1795—1803 — Poznań 1877), »Wawóz Samosierra« (»Czas« 1875, i Dzieła). »General Bem w Siedmiogrodzie i Węgrzech w r. 1848 i 1849 wedle podań szefa sztabu armii siedmiogrodzkiej ułożył L. S.« (Poznań 1862, str. 162). »Dwaj Juliusze — kartki z ostatnich dni ich, zebrał L. S.« (Kraków 1869 r. str. XXIV i 195 z 2 rycin.) (Wspomnienia o Jul. Malachowskim poległym r. 1831 i Tarnowskim w r. 1863). »Machiavelli i jego system polityczny« (Kraków 1850 str. 45), też z dodaniem aforyzmów, (Lipsk i Kraków 1851 str. 71). Prace te mają małą bardzo wartość. Materiały i świadectwa różnorodne są tu zużytkowane dla celów literackich na lekturę dla szerszej publiczności. Pospieszne opracowanie, przy braku przygotowania naukowego, powierzchowna znajomość przeszłości, odbierają tym robotom i wydawnictwom trwałe znaczenie. Powstały one dla zaspokojenia potrzeb czytelników, pragnących łatwo i zajmująco, anegdotycznie, poznać się z przeszłością. Ubieśtwo sił umysłowych zniewało w tych czasach każdego niemal racliwzego i zdolniejszego pracownika do rozpraszania się w różnych kierunkach i podejmowania najróżnorodniejszych zadań. Działalność Wójcickiego, Kraszewskiego i wielu innych stwierdza to częste bardzo w naszym życiu umysłowym zjawisko. Zajmując stanowiska redaktorów różnych miesięczników, tygodników i t. p. wydawnictw, musieli jeszcze ówczesni pisarze zastępować brakujących im współpracowników w różnych działach, zwłaszcza w dziale sprawozdań krytycznych, przycem otrzymywali do zużytkowania nadsyłane im pamiętniki, zbiory listów i rozliczne materiały, które, dla braku specjalnych wydawnictw, pomieszczać trzeba było po czasopiśmie, a nawet w odcinkach pism codziennych. W takich warunkach rozwijała się również działalność S. w zakresie historyi literatury i sztuki, tudzież krytyki literackiej. Artyzm, uwypatniony w oryginalnej twórczości, a w całej pełni jąniejący w świetnych przekładach, umożliwiał S. zajęcie wydatnego na tem polu stanowiska, jednakże brakło gruntowniejszego wykształcenia filozoficznego i naukowego, nawyku do sumiennej, systematycznej pracy, pogłębienia moralnego i pojeciowego w duszy rozpraszającej się w różnych kierunkach i stąd niezdołnej do koncentracji, do sięgania w głąbie pisarzy i artystów, których twórczość wypadła mu rozbiierać.



Działalność w tym kierunku rozpoczyna S. dopiero z chwilą objęcia katedry uniwersyteckiej i redaktorstwa »Czasu« w Krakowie. W pierwszych numerach »Czasu« z r. 1848 pomieszcza ocenę »Palmów przyszłości«, a w pierwszym numerze tegoż dziennika z r. 1849 zdaje sprawę z wiersza »Do autora trzech palmów«, przyznając wieszającą palmę twórcy »Przedświata«. Biografowie S. wyrażają swe zdumienie wobec przewrotu w pojęciach, skutkiem którego niedawny radykał-demokrata stał się głosi-cielem i obrońcą zasad konserwatywnych, szukając jakichś ukrytych, nieznanych czynników tego nagłego jakby nawrócenia. Przyczyną tej nie należy szukać daleko. Przy swej wrażliwości, uczuciowości rozlewnej, nie posiadał S. głębszych przekonań, silnych uczuć i dążeń, wyrobionych przez myśl pojęć religijnych, filozoficznych, społecznych, stąd łatwo ulegał wpływowi otoczenia, dostosowywał się do atmosfery, w której żyć mu dłużej wypadło. Gdy więc znalazł, na nowem stanowisku, tak przyjazne warunki dla użytkowania posiadanych uzdolnień i zadowolenia upodoban literackich, estetycznych i towarzyskich, zespolił się z nowem otoczeniem tem łatwiej, iż pobyt u Międzyńskich już osłabił zapewne poprzedni radykalny nastrój.

Jako krytyk zaczyna S. swą działalność od oceny ostatnich poematów kończącego się, poza granicami kraju rozkwitu wielkiej poezji, a rozpoczynającej się we wszystkich dzielnicach Polski reakcyi konserwatywnej po klęskach i zawodach r. 1846 i 1848, w połączeniu z osłabieniem twórczości i obniżeniem poziomu umysłowego. Rozpatrując i oceniając skromnej bardzo wartości formalnej i treściowej utwory, zmuszony przytem obowiązkami stanowiska i przynależnością do obozu konserwatywnego chwalił niejednokrotnie, wbrew przekonaniu, mienoty i nędzoty, produkowane przez członków stronnictwa, zwłaszcza z pośród duchowieństwa, przyzywał do powierzchownego, gładkiego, zręcznego omawiania ocenianych książek, bez wnikania w ich wewnętrzną, istotną wartość. Przeciwny ze swych upodobań artystycznych wszelkiej tendencyjności w sztuce, chwalił przecie każdą książkę, choćby najlichszą, która głosiła pojęcia i dążenia obozu, któremu służył. Tak np. w obszernym rozbiornie podnosi wysokie zalety słabej bardzo powiastki *Manna p. t.* »Szara godzina«, a zamilczenie o wadach kompozycy w »Felicycie« Odyca usprawiedliwia względem na świętość przedmiotu, którego nie należało profanować przez poddanie wymaganiom artystycznym. Pozbawiony zdolności do syntezy, nieskory do analizy, objętny dla zasad i teoryi, wrażliwy jedynie na piękno formy, o które tak trudno właśnie w ówczesnej literaturze, unika S. w swych ocenach zdania stanowczego, sądu umotywowanego, nie umie pochwycić zasadniczych cech rozbiernego dzieła. Czytelnika stara się pozyskać przez zręczną, powabną co do języka i stylu pogadankę, nie wymagającą wysiłku umysłowego. Dobry smak stanowi dla niego kryterium sądu estetycznego. Stąd ceni on w dziełach sztuki głównie harmonię i ład, miarę i wdzięk, średnie tony i stopnie uczucia —

głębi i szczytów nie lubi. Odyseja i Horacy odpowiadają najlepiej jego idealowi artystycznemu. Wielkie dzieła współczesnych wieszczów nie pociągają go wcale, Mickiewiczowi i Kraśińskiemu poświęcił tylko pobieżne »Wspomnienie poemietne«. Woli on zajmować się dragorzędnymi postaciami z przeszłości i chwili obecnej; strona anegdotyczna ich życia i twórców interesuje go więcej, niż sama twórczość. Ufny w swój dobry smak, zaleca i podnosi w utworach to, co mu się podobało, nie troszcząc się o rozjaśnienie istoty i czynników ukazwanego piękna.

W związku z krótkotrwałą działalnością profesorską S. zostaje ogłoszony później »Przeład dzieł literatury powszechnej« (Kraków 1855, tom I str. 364), praca niedokończona. Późniejsze studia nad poetami obcyimi ogłasza bądź w odbitkach z czasopism jak: »Św. Franciszek z Assyżu« (Przeł. lwow. i odb. Lwów 1873, str. 39), »Mistyka i poezya św. Teresy Hiszpanki« (Kraków 1870, str. 31), bądź w większych zbiorach jak: »Roztrząsania i poglądy literackie« (Poznań 1869, str. 405) mieszające: »Historję romanusa«, »Juliusz Cezar i Szekspir«, »Byron«, a obok tego prace: »Zakon kaznodziejski«, »H. Raewski i Bartłomiej Michałowski«. Przekłady poetów starożytnych, wschodnich i włoskich, poprzedzają zwykle obszerniejsze wstępy, charakteryzujące autorów. Prace poświęcone pisarzom polskim dawniejszym i nowszym ukazywały się również w oddzielnych zbiorach, z których najważniejszych są: »Portrety literackie« (Poznań, 4 tomy 1865—1875 — i ponownie w Zbiorze pism). Zaczawszy od Dantyska, Kromera i Reja, przesuwają się tu zrećnie i powabnie, lecz bez głębszego i pełniejszego ujęcia naskiokowane wizerunki, zarówno pisarzów jak wybitniejszych osobistości, przeważnie z końca XVIII i pierwszej połowy w. XIX. Morawskiemu Franciszkowi poświęca S. cały tom (pierwotnie w »Przeł. pol.« z r. 1856). Tu również mieści się »Obóz klasyków, wstęp z wyobrażeń literac. w XIX w.« (pierwsze wydanie jako odbitka z »Czasu« Kraków 1866, str. IX, 116). Do lepszych należy wizerunek Trembeckiego. Drugi, wcześniejszy zbiór, mniejszej wartości ukazał się p. t. »Kilka rysów z literatury i społeczeństwa od r. 1848 do 1858« (Warszawa 1859, tom I, str. 406, II str. 439). Mieszczą się tu, między innymi: Deotyma, Wielogłowski, Syrokomla, Odprawa posłów, Felicyan, Pamiętniki Felickiej, Groza i Padalica, Kajetan Koźmian. Mniejsze zbiory wychodziły jako odbitki z »Czasu« p. t. »Pogadanki literackie« (Kraków 1855, str. 89), »Polne kwiatki« (1871 r. z 19 listop. str. 14). Osobno wydane były: »Żywot Kaz. Brodzińskiego w powiastkach« (Kraków 1851, str. 120 — przełożył na czeski F. Volsk, Praga 1864). »Religijność i mistyka w życiu i pocyach Ad. Mickiewicza« (Krak. 1871 str. 157). »Wincenty Pol i jego utwory« (Kraków 1873, str. 272). Praca poświęcona Węgierskiemu: »Podróże i pamiętniki« zamieszczona w dodatku do »Czasu« z r. 1850 przedrukowaną była w »Wieczornicach« (Wilno 1854 t. I) a »Manu-

skrypt podhorodecki« (Wacław Rzewuski i Emír) w »Muzameryce« (Pozn. 1843).

Do zakresu historii sztuki i archeologii odnoszą się prace: »Przeгляд wystawy starożytności i sztuki w Krakowie« (odh. z »Czasu« 1858 str. 57), »Kartka z dziejów sztuki i poezji« (Żyтомierz 1860, str. 171), »O kobieractwie i arrasach z kobiera Zygna Augusta« (»Przeгł. pol.« 1875—76). Różnorodność pojawy kulturalne dostarczyły S. osnovy do popularnych, felietonowych pogadek i obrazków jak np. Ogrody w historii i poezji (Zoiówka głównie), Księżyce w archeologii, poezji, sztuce; Dzwon Zyguntowski i Dzwony; Pióro i pisanie, Słowik, Róża, Starożytnie i nowożytnie widowiska; Biografi, Pamflet i paszkwily; Dramat historyczny, Nowiasta homeryczna, Album amicorum, (»Przewod. nauk. i liter.« 1877); Wigilia Bożego Narodzenia; Wierszokleta starej daty (Jaksa Marcinkowski). Oprócz wspomnianych już, dla szkół ludowych przeznaczonych wypisów z r. 1848, wydał jeszcze w r. 1860 książeczkę: »Godzina czytania dzieciom ku rozrywce i nauce, ułożył autor Wieczorów w Ojcowie«. (Żyтомierz 1860, str. 258) Najtrwalszą wartość w tej obfitiej a tak różnorodnej spuściznie literackiej S. mają jego przekłady, łączące ze starannością i wiernością piętno artysty i twórcę. Na pierwszym miejscu postawić tu należy najwcześniej rozpoczęty i najsześciwiej dokonany całkowity przekład »Odyssey«, jedyny dotąd w naszym piśmiennictwie. Pracę nad tym poematem, przerwaną r. 1848 po ogłoszeniu na próbę dwu pieśni, podjął na nowo S. w Krakowie i r. 1856 ogłosił w dodatku do »Czasu« pieśń 22, w której powrócił do formy wiersza 13-głoskowego. W dziesięć lat później ukazały się w »Bibl. Ossol.« (z r. 1866 i 69) pieśni: 1, 2 i 4 (z tych 1-a na nowo przetłózona wierszem 13-głos.) W r. 1871 »Kiosy« warszawskie pomieściły pieśni: 3, 5 i 8. Wreszcie w 1874 r. ukazała się całość eposu, z ilustracjami, wydana w 800 egzemplarzach. Nowe wydanie w »Bibliotece najcenniejszych utworów« (Lewentala) wyszło w Warszawie r. 1876. Kilka późniejszych wydań świadczy o rosnącym, dzięki piękności przekładu, zainteresowaniu się czytelników polskich tą czarującą opowieścią Homera. Zarówno zaznaczone powyżej cechy artysty i uczuciowości S. jak prace nad przekładem Rękopisu Króldworskiego i Piosennikiem ludów, uzdolniły go do odczucia i odtworzenia prostoty, spokoju i wdzięku opowieści homerycznej, wypowiedzenia duszy bohaterów, a zwłaszcza nieśmiertelnych, ukrokiem swoim, postaci kobiecych. Dla wzbudnych czytelników, ceniących w »Odyssei« harmonijne zespolenie wdzięku i prostoty, płynących z duszy twórcy, owładniętej czarem tych postaci i obrazów, wpatrującej się w nie z zachwytem artysty-Greka — przekład S. niejednokrotnie obniża ton opowieści, nadając jej charakter gawędy, wprowadzając rysy słowiańsko-polskiej kultury przedhistorycznej do obrazów życia helleńskiego. Niepodobna jednak żądać od tłumacza czy kopyisty, by zajął względem przedmiotu — w swem odtworzeniu — stanowisko już nie identyczne, ale

choć współmierne ze stosunkiem uczuciowym i wierzeniowym twórcy samego. S. w przekładzie swym zbliżył się — o ile to było możliwe — do pierwowzoru i dla niezających oryginału odtworzył, z możliwą wiernością, ducha i cechy formy oryginału.

Wysoką wartość ma również leżący w skali artysty S. przekład częściowy Horacego, ogłoszony w »Bibliot. Warsz.« z r. 1867 (osobno Kraków 1869). Mniej sześciwiejąca była próba przekładu Eschylasa (Agamemnon w »Bibl. Warsz.« 1851 t. III). Interesującą się literaturą Wschodu, przełożył — nie z oryginału jednak — ustęp z »Szach Nameh« poematu Firdusiiego, poety perskiego p. t. »Biszem i Menisz« (Bibl. Warsz. 1853 i osobno Warsz. 1855). Zwrociwszy się do poezji włoskiej, przełożył z twórców M. A. Buonarrotiego 40 sonetów (ze stu) i ogłosił je w r. 1861 (Kraków i Cieszyń). Pod wpływem rosnącej w ostatnich latach życia religijności, której wyrazem była »Legenda liryczna o św. Stanisławie« (odb. z »Czasu« 1870 str. 48), zajął się przekładem poezji mistyków, włoskich i hiszpańskich głównie. W r. 1877 wydał p. t. »Święci poeci. Pieśni mistycznej miłości« (Lwów 1877) przekłady poezji, wizji i modlitw św. Franciszka z Asyżu, św. Bonawentury, Jacopone de Todi, św. Teresy, św. Jana od Krzyża, Anioła Salsąka. Wyrazem nastroju religijnego, z jakim kończył swój ziemski zawód, był na niedługi czas przed śmiercią, przypadał r. 1877, skrócony wiersz: »Komu w drogę, temu czas«. Zwłoki S. zostały złożone na Skalce, w grobach dla zasłużonych krajowi meźów.

#### BIBLIOGRAFIA.

a) Biografia. Szeroka popularność S. sprawiła, iż zaraz po śmierci pojawiło się kilka biograficzno-krytycznych zarysów jego życia i działalności. St. Tarnowski ogłosił wspomnienie poświętne w »Roczniku« Akad. Umiej. za r. 1878 i obszerniejszy zarys w »Przeглядzie polskim« (r. 1878 t. III i odbitka 1879 r. oraz w tomie II jego »Rozpraw i sprawozdań«). Zathej H. podał nekrolog w »Przeгł. polskim« (1878). Duchńska Seweryna ogłosiła »Wspomnienie poświętne« (Kraków 1879), wreszcie gruntownie, trafnie charakteryzujące człowieka i utwory, opracowanie skreślił Adam Belcikowski (»Bibl. Warsz.« t. III i IV r. 1879 i odbitka Kraków 1879). Ocenę S., jako krytyka, podał Chmielowski w pracy: »Dzieje krytyki literackiej w Polsce« (Warsz. 1902, str. 263—281 i 496—500. Odtąd pojawiła się tylko rozprawka Fr. Walczaka: »L. Siem. i jego stanowisko w literaturze polskiej«. (Spraw. gimn. w Bochni za r. 1899 i odbitka, Kraków). Korespondencję Siemięńskiego z Gaszyskim (listy Gaszyskiego z lat 1851—1866) wydał S. Kosowski (Lwów 1911 r.). Listy Siem. do W. Hanki podał Francuz w »Piśmie k Wiaczesławu Hankie« (Warsz. 1905); listy do A. Bielowskiego i curriculum vitae (pisane w r. 1834), ogłosiła H. Fischówna w »Pamiętniku literackim« r. 1910.

b) Bibliografia pism. Oprócz ogłoszonych za życia i wymienionych w zarysie biograficznym wydań, po zgonie S. wyszło w Warszawie wydanie zbiorowe w 10 tomach (1881 r.) obejmujące z jego utworów: zbiory opowieści i obrisków zawartych w »Mazamurach« i »Wieczornicach« przekłady: Królóworskiego Rękopisu, »Odyssei« Firdusiego, Horacego, Pieśni mistycznej miłości, Piosenek ludów, Podania i Legendy, poezje oryginalne, Roztrząsania i poglądy literackie, Kilka rysów z literatury i społeczeństwa, Portrety literackie (wraz z Obozem klasyków). Jedyne przekład »Odyssei« miał po śmierci S. trzy wydania (licząc pomieszczone w zbiorze pism), w Warszawie, z tych jedno ozdobne, miniaturowe, w r. 1895.

A) Poezye oryginalne.

a) Trąby w Dnieprze (około r. 1835).

861)

Stał obóz polski, stała Ruś w taborcze,  
 A między nimi Bugu święte łożo.  
 Rusin jedwabne rozpiął namioty,  
 Pawłoczemi opończami czerwiem!  
 Srebrne tam szable i złoczone grotty;  
 Obóz Rusinów jak połoz się mienił.  
 Pod gołem niebem, w koźluchu baranim,  
 Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim; —  
 Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,  
 Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.  
 W dzień pierwszy głązy miotali kamienne,  
 W dzień wtóry strzały miotali kalenne;  
 W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miało  
 Na króla Lachów:  
 — Ej ty tuczny wieprze!  
 Ażąc Bug przebrnąć nie bierze ochota,  
 Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?  
 Ażąc żal sadła na ruskie pazury?  
 — Na tu! na! wieprzu! ryknie Ruś, jak tury.  
 A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze,  
 Zaklął Peruna i wszystkie kumiry,  
 Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery;  
 Rzucił zwierciadło — i woda po pasy;  
 Iglę na rolę — wstały w okrąg lasy;  
 Kamień na stępy — i góry na stepie. —  
 Trafiają, Lachu, choćbyś miał sto ślepie!

— Żle z nami, wiara! czart nas wziął do koła,  
 I k'kopijniku król: — Hejno! zawola.  
 Włóczę Maurycyego i szabla aniola!  
 Krzyż Pański, imię Chryste i Marya! —  
 Ciało szablą w zmyro, kopią mgłę przebijaj.  
 Jak sen o świecie pierzchył precz tumany,  
 Znów świeci słońce, i Bug płynię szklany.  
 — Bogarodzico! wiara wplaw, koń łodzią!  
 Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,  
 Aż rzeka na brzeg brzyzną powodzią,  
 Tyła w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,  
 Strach im do szyków i oręży nie da!  
 Lachy na karku siedzą, koła, rąbią;  
 Z martwych, do Bugu, krew wali się rzeką —  
 Chorągwie w piasku; z ciał wstała mogiła;  
 Pycha batnego w piasek się wtoczyła,  
 Pycha Błudowa. A gdzie Błud? — daleko—  
 Wyprzedza wiatry.

Kniaziu Jarosławie!

Klasnąłeś w ręce po krwawej rozprawie,  
 Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijowa.  
 Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,  
 Padły zdobyłczą, — z grodów biją luny.  
 Ba! Kijewowi on pożar dogrzewa,  
 I sam Nowogród: »Gorze mnie!« zaśpiewa.  
 — Tam, czy to zorza na dachy opadła?  
 Czy góra złota siedzi wśród zwierciadła?  
 Pytają Lachy. — To Kijew, gór trójca  
 Czteryśta cerkwi dźwiga, pasem z głazu  
 Biedra mil siedmiu okręca; do razu  
 Wytrąbił ze sto tysięcy molojca.  
 A Lachy na to: — Na głązy i bramy  
 Many baksztele i tarany mamy;  
 Na sto tysięcy tuty pełne grotu,  
 Szable tożone, rumaki do lotu.  
 Stadami kawek czernieją dzwonnice;  
 Wilk zadnieprzański wyje korowodem —  
 Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem  
 Wybija wnuków. Sokół zozulice  
 Porzucił młode, Synu Włodzimierza!  
 W mur Nowogród niesie cię łódź chyża  
 Od siostr i żony! — A gdzie dzwon wiecowy?  
 Za gockie brzozi tyś pocie gotowy!  
 — Uniż się, grodzie! pas się twój rozkował,  
 Pożar złociste stropy pozejmował..

Zgasieś! — Bolesław konia w skok wypuszcza,  
 Oburącz mieczem w bramę ciął ze złota;  
 Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota:  
 Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza!

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiej ziemi!  
 Chleb, sól i kości świętych! Pawłoką  
 Salak ci wymościm; dzwony sofijskimi  
 Odzwoim sławę. Ośm dziewic, jak oko,  
 Siostr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.  
 Stolec Ruryka podeprzem wysoko,  
 Szeroko stopnie wybijem poklonem.  
 Cześć tobie ninie, chrobry po wsze czasy! —

I szedł król, za nim oszczepów szły lasy  
 W храм świętej Zofii, Pieśń: Bogarodzica!  
 Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzezie i lica  
 Pokorą pyłu przed ołtarz się miotył,  
 A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.

Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą.  
 Jezdny czy drabant brał proporce, tuły,  
 Opończe, resztę grzywnami doliczą.  
 Skarbiec cerkiewny siał do kapitały  
 Gnieźnieńskiej, kędy święty Wojciech w grobie.  
 Sam król nie nic brał, tylko dziewczkę młodą  
 Z brankę książeńcych rad podobal sobie  
 I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,  
 Syny bojarów puszcza na swobodę,  
 A sobie wybrał Błuda czarownika.

— Nie byłoć, Błudzie, bojować językiem!  
 Snać go pan w łaźni ochłoszcze winnikiem,  
 I da mu ścierkę. — Bies wie, czy nie gorzej,  
 Może rozerwą kołmi na rozdroży?  
 Tak przebakali dwaj: ciura z łuczniakiem.  
 Tak po Kijewie krzywym tropią torem —  
 Król wyżej buja niż Diw z białozorem.

Co mi za tuman? Czy to turów stado  
 Hasa na błoniu? czy to hufce jadą?  
 Co mi tam ciemno w Dniepru błękitcie?  
 Czy wodni goście? Wstałże Igor stary  
 Zbierać nomady na latyńskie cary?  
 Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzcić?  
 — Ni Ruś to chrzcimy, ni z Igorem płyną,  
 Jeno król Lachów ze zbroją drużyną  
 Wjechał na zalew dniewproy w półkresze.  
 — Tu kres! — grzmiał pierśią. — Tu kres! —  
 Tu słup żelazny! — Gdzie koń wrył kopyty,  
 Koń Bolesława, słup żelazny whity.

Na środek rzeki łódź wygnaty wiosła,  
 Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,  
 Dziw będzie. Z łodzi wielkie trąby cztery  
 Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,  
 I zatopiono razem w Dniepru wiry.  
 Podwodną pieśnią zagralo powietrze.  
 Taką czcił Błuda pieśnią bohaterzy,  
 Gdy wieszczynym palcem bił o struny żywe,  
 Rusalki pieśń tę po szuwarach wtórzają,  
 A białą pianę chwyciwszy za grzywę,  
 Na Czarne morze pławią się; a z burzą  
 I wendzka Odra, i morze Waregów  
 Pieśnią tę grały gwoli lachickich brzegów.  
 Sam Lach, a nie kto, tę gędźbę rozumie.  
 Lud ją podziwiał, a król rzekł: — Hej! kumie  
 Błudzie! rzeka gra darmo, żern głodna.  
 I wnet z kamieniem Błud porwał aż do dna!  
 Błuda bies porwał. Stoi słup, a rzeka  
 Chrobrego sławą gra z wieka do wieka.

## b) Zakłęte koło.

862) Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi —  
 I żeglarz śpiewa na wzbранеj fali;  
 Biedny wyrobnik z piosenką się budzi,  
 Żołnierz ponuca, oparty na stali,  
 Kochanek pieśnią lżę z oczu wyludzi —  
 Skarży się drzewom i wiatrom się żali,  
 Mnje, choć te wszystkie dokucają bole,  
 Nie mogą śpiewać w tem zakłętym kole!  
 Ptaszki codziennie, kiedy wstają zorse,  
 Wdzięcznemi chóry gwiazdę dnia witają, —  
 A mnież co słońce najwyższe pomoże,  
 Gdy zewsząd takie chmury naciskają?  
 Darmo! choć palce na struny położe,  
 Brzękną raz dziko i wnet się zrywają...  
 Kiedyż w harmonię przeroda się bole,  
 Kiedy zaśpiewam w tem zakłętym kole?  
 Niedyś, gdym wierzył w gorączkowe sąły,  
 Bywał dla pieśni tajemny zakątek,  
 Zwodnicze życia wokóło mię grały,  
 I napowietrzny wił się jakoś watek.



Dziś one postać szatanów przybrały,  
 Burzących świata nowego początek;  
 Zewsząd cząstcowe dojmują mi bole —  
 Jakże zaśpiewać w tem zakłętym kole?  
 Baśń o labędziu chodzi dawnej treści,  
 Że pieniem zgonu zwiastuje zbliżenie;  
 I tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,  
 I zlekka w wieczne przenosi go cisnie.  
 U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!  
 Zaśpiewam — może śmierć przyjdzie na pienie...  
 Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,  
 Nie mogę śpiewać w tem zakłętym kole.

### 863)

c) Komu w drogę, temu czas.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękitcie,  
 Gwiazd stada z swoim pasterzem — księżycem!  
 Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie  
 Wesoleń lub chmurnem licem!  
 Jutro już może nie powitam was:  
 Komu w drogę — temu czas!  
 Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,  
 Bora szumy mistyczne w nocną ciszę,  
 Śpiewne jeziora, mrużące kryształy,  
 Rozmyślań mych towarzysze!  
 Jutro już może nie usłyszę was:  
 Komu w drogę — temu czas!  
 Wonných balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni  
 Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,  
 Ni technień żywicznych od lasów nagoni,  
 I róż mi nie pootwiera.  
 Jutro nie przyjdę pierśią chwytając was:  
 Komu w drogę — temu czas!  
 Wy uskrzydłone duchy, z dłotem, pendzlem, piórem,  
 Coście od ziemi rwali mię do niebie,  
 Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,  
 A częściej chodził po niebie!  
 W górnej pracowni dachu spotkam was:  
 Komu w drogę — temu czas!  
 O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne,  
 Marzenia wieszczca, zapalu ekstazy!  
 Życia miraże już mi niepotrzebne,  
 Rzeczywistsza milion razy

Jutro mię wieczność oddzieli od was:  
 Komu w drogę — temu czas!  
 O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,  
 Twórcą był ze mnie — twórczość to nieplodna;  
 Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,  
 Nigdy nie dopił się do dna.  
 Bezsilne... więcej grób powie od was.  
 Komu w drogę — temu czas!  
 Smem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,  
 Pójdę ku słońcom, w przestwoiry szafiru,  
 Gdzie czysta prawda będzie mi podana  
 Wykuta, jakby z porfuru.  
 Żal mi serc kilku... moi! żal mi was...  
 Komu w drogę — temu czas!

### B) Przekłady.

a) *Odyssea.*

Pieśń VI.

**864)** Nauzykaa, córka króla Feaków. Atene jej każe w sennem widzeniu jechać nad morze do pralni. Odyszej, zbudzony krzykiem dziewcząt Nauzykai, pokazuje się i błaga o pomoc. Królewna każe go wykazać, odzisać i towarzyszyć sobie do miasta.

Usypiał boski tułacz Odys; sen już spada  
 Twardy na złamanego trudem. Wraz Pallada  
 Idzie w grodziec Feaków, leżący precz dalej.  
 Przedtem oni w szerokiej Hiperyi mieszkali,  
 Gdzie, wojenne Kiklopy mając za sąsiady,  
 Wciągał nękanych, od pewnej ratujacy zagłady,  
 Wywiódł ich Nausitooz on, bogom podobny,  
 I osadził na Scheryi, kędy kraj zasobny,  
 A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyni;  
 Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy.  
 Lecz Kerą zwaloz, zstąpił w Aisa podziemie...  
 Dzisiaj mądry król Alkinoja wziął w rządy to plemię.  
 Zatem Pallas-Atene w jego dworczec dały,  
 A powróć Odysseja na myśli jej cięży.  
 Szła prosto; do panińskich komnat się przemeyka,  
 Gdzie córka Alkinoja śpi, piękna Nauzyka,  
 Boginiom równa wzrostem, a wdzięczna jak one.  
 Niepośledniej urody dwie dziewey uspiłone

Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.  
 Pallas, jak lekki powiew, do łóżka dziewoi  
 Przemknęła się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,  
 Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarza,  
 Druchny jej najmilszej i jej równolatki —  
 I mówiła Bogini, owiana w kształt gładki:  
 — »Oj, Nauzyko! toż z ciebie leniaszek nieład!  
 Drogie szatki, bielizna, precz brudem przepada,  
 A wesele za pasem! Miecisz co pięknego  
 Dla družek, co-ć powiodą do pana młodego,  
 A i dla się. — Bo zwykle strój czysty u ludzi  
 Zyszcze imię, w rodzicach ucieśnienie budzi.  
 Dalej zatem do prania! wyprzedź ranne zorze!  
 By raźniej poszła praca, każda ci pomoże:  
 Ja pierwsza. Raj panieński się kończy: wszak swaty  
 O ciebie już zachodzą od młodzi bogatej  
 I przedniejszej; bo przecież ród twój nieposłedni!  
 Nuże! poproś rodzica pierw, nim się rozedni,  
 Aby ci kazał muly zaprządź w wóz drabiaty.  
 Nalóżysz nań sukienki, przepaski, makaty;  
 Jechać będzie wygodnie; pieszo, zbolą nogi;  
 Przecież pralnie od miasta taki kawał drogie.  
 To powiedziawszy, Pallas sówioka wraca  
 Znowu na szczyt Olimpu, do bogów pałaca.  
 Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,  
 Śnieżna zamieć nie prószy; tylko się przewija  
 Nieustanna pogoda, ni to namiot lity,  
 Tam bogom raj wesela płynie niepożyty;  
 Tam wróciła Atene, napomniawszy śpiącą.  
 Wstała jutrznia, kotarą swą złotem kapiającą  
 Budząc Nauzykę. Panna swoim snom się dziwi,  
 Prędko do komnat do komnat bieży, by co żywiej  
 Rodzicom opowiedzieć. Zastala rodzice:  
 Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice —  
 I lekuchnem wrzecziosem krasną wełnę skręca;  
 Z ojcem zbiegła się w progę; właśnie go książęca  
 Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie;  
 Zabiegła mu i w uszy taką prośbę kładzie:  
 — »Dobry tato, każ dla mnie zaprządź wóz, a długi,  
 Z wartkami koły; pilno mi jechać do strugi  
 Pracć bieliznę; bo tyle już jej się zebrało!  
 Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,  
 Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.  
 Wszak i doma jest pięciu dorosłych junaków:  
 Dwóch żonatyh, trzech jeszcze chłopiąt już niemających,  
 Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych

Na płasy, — a wszystkiemu radź tu moja główko!  
 Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słowko  
 O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego  
 I rzekł: — »Nie bronie-ć, córko, ni mulów, ni czego;  
 Natychmiast niech pranie wóz zaprzęgną mulmi,  
 Wysoki, wyplatany, i z wartkami kołmi.«  
 To rzekłszy, krzyknął; celadź przyskoczyła żwawo:  
 Wóz koleśny wytocon stoi przed wystawą;  
 Wiodą muly; zaprzęgną idzie w dyszel para.  
 Nauzykaa z komory znosi co niemiarą  
 Cienkich szat i bielizny; wóz naladowywa;  
 Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa  
 I jarzynek tka w rękę; była i lagiewka  
 Skórzana z winem w drogę (na wóz siada dziewczka);  
 O dżbanusku z oliwą matka też pamięta,  
 By, wyszedłszy z kąpieli, ona i dziewczęta  
 Miały czem się nanaścić. O! już wzięła wodze,  
 Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze  
 Pokłusowały muly, ciągnąc ciężar z panią:  
 Wądy nie samą, i dziewczki siedziały tuż za nią.  
 Owóż gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,  
 Gdzie w cembrzyni kamienne sączą się poniki  
 Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne;  
 Prędko muly wyprzęgą i puszcza swobodne  
 Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą  
 Wyściela brzegi rzeki. Potem z wozu znoszą  
 Bieliznę i po sztuce w ocmbrzone wody  
 Kładą, depęcąc nogami, piorą na wyprzody.  
 Wypłukawszy do planki wszystko, jak należy,  
 Rozpościerają rzędem, wzdłuż ciepłych wybrzeży,  
 Skończywszy, — wraz się gładki żwircek ścielą.  
 Oliwą maszczą członki, potem na trawniku  
 Siadają do smacznej strawy, a szatki w wietrzyku  
 Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyli łakotki,  
 Staną do piłki, z głowy odrzucą namiotki;  
 Postępując piosenkę zaśpiewa królowna.  
 Rzekłbyś, że z Artemidą łowczynią pokrewna,  
 Co przez bór Erymantu, lub Tajget ugania,  
 Rada, gdy z rąk jej padnie odyniec lub łania;  
 A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem  
 Pustają wkoło. Leto cieszy się widokiem,  
 Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,  
 I snadno poznać, czem jest w orszaku dziewczyczm.  
 Owo tak rej wśród swoich królowna prowadzi.  
 Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,

Zaprzęga muły, suche już składa odzieże,  
 Wtedy Pallas-Atene na sposób się bierze,  
 By Odyszej się zbudził, zobaczył dziewięć  
 I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.  
 Więc ku dziewcom racuona piłka w rąk Nauzyknim  
 Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,  
 A one w śmiech i wrzaski. Odys ze snu rwie się,  
 Usiadł — strwożone serce to myśli mu niesie:

— Biada mi, do jakichże dostalem się krajów?  
 Między dzicz nieochajną, czy kupę hultajów?  
 Bodaj między gościnnny lud, do cnot nałożon!  
 A toż co za niewieści wrzask? niby dziwożon,  
 Co rade zamieszkują skal wierzchy wyniośle,  
 I źródła rzek i legi, trawami zarosłe.  
 Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:  
 Dalej, zobaczmyż tedy, skąd one chychoty?

To powiedziawszy, Odys wypełznął na raku  
 Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku  
 Liściastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.  
 I tak sunął, jak górski lew, kiedy zachwalo  
 Kroczy w deszcz, zawieruche; we łbie gorą ślepia,  
 Aż przydybie gdzie bydlę, trzodę owiec w stepie,  
 Albo w boru jelenia; a gdy głód doskwiera,  
 Dusić drobnią chadobę do obór się wdiera.  
 Otóż tak szedł Odyszej ku pannom; nie żeby  
 Nie zwał na swą nagosę, ale szedł z potrzeby.  
 Straszny im zdał się, morskiem owalany błotem;  
 Widząc go wszystkie w nogi, i na wzgórek potem;  
 Jedną Nauzyka stoł. — Atene jej tchnęła  
 Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła.  
 Nie rusza się i czeka, Odyszej sam nie wie,  
 Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzacej nań dziewię,  
 Czyli, jak stał, zdaleka wnieść prośbę pochlebłą  
 O pokazanie drogi i odzież potrzebną?  
 Ta myśl, w ciężkim kłopotcie, przyszła mu wyborne;  
 Więc, jako był zdaleka, pochlebnie, pokornie  
 Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie;  
 I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:

— »Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panna śmiertelną!  
 Jeśliś jedną z tych bogiń w niebieskich uzdla,na,  
 Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona,  
 Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona.  
 A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padola,  
 Błogosławiony ojciec z twą matką pospola,  
 Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie  
 Serce przy tobie! jak się rozplywa radośnie,

Gdy w skocznyu korowodzie ujrzą twój postać  
 Lecz szczęściu oblabiedca cóż mogłoby sprostać,  
 Jeśli za hojne wiano zawieszę cię do dom?  
 Różnym ja się, przerożnym napatrzył narodom,  
 A równej nie znam tobie. Czasę i podziw razem!  
 Niegdyś widziałem w Delos, przed żertwiennym głazem  
 Feba latorośl palmy; jak ty, w górę strzela —  
 Bom się i tam zapędził także, z ludu wiela  
 W tej tułaczce, gdzie zbieram same łzy i znoje, —  
 I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoje.  
 Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!  
 Owoż równe zdumienie i podziw jednaki  
 Ina mię, gdy ci objąć ze czią chcę kolana!  
 Tak wielka moja nędza, iście niesłychana...  
 Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał,  
 Dni bowiem tyle rwał mi prąd, a wicher chłostał  
 Wciąż od wyspy Ogigii, aż z demoniem piosy  
 Wyraconym jest tutaj na nowe kłopoty.  
 Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo, z bogów woli!  
 A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli  
 Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej  
 Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.  
 Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało,  
 Choćby płachtą z bielizny; i toby się zdało,  
 A bogi cię najmilszą opatrzą nagrodą;  
 Dadząż męża i domek, przenantwójstszą zgodą  
 Pobjogłosławia! Skarb to najcenniejszy w świecie,  
 Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie,  
 Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,  
 Ciesza druhy! a oni nad wszystkich szczęśliwi!

Białoramienna panna w te owzie się słowa:  
 — »Widno, żeś człek niepody, ani miatka głowa.  
 Darmo! woli Zewswowej nikt się nie wybiega,  
 I czy pan, czy chudzina, losowi podlega.  
 Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię,  
 A teraz kiedyś noga wstąpił w nasze ziemie,  
 Okryjem cię, niezego-ć nie będzie brakować,  
 Co tylko obcy tułacz może potrzebować.  
 Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko;  
 My Feaki, tą ziemią zamieszkuje wszystkie;  
 Jam córka Alkinoja; wyższego tu niema:  
 On władzy i potęgi w ręku berło trzyma!  
 To rzeka i na dziewczki zawoła z daleka:  
 — »Stójcie już, stójcie! za cóż uciekać od człeka?  
 Czy myślicie, że do nas jako wróg przychodzi?  
 Zaprawdę, nie urodził się, ani urodzi

Taki, coby nieprzyjaźń wniósł do naszych progów  
I spokój zmieszał. Wszak my, kochani od bogów,  
Siedzimy na odludziu, w krąg morzem oblani,  
Prawie na krańcu świata, nikomu nie znani.  
Ugościć raczej trzeba przybyzsa, gdyż bieda  
Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida  
Są tułacze. Dar mały często uszczęśliwi.  
Sam tu, dziewczeczki! gość nasz niechaj się pożywi;  
I wykapać do trzeba w rzecę, gdzie zaciszna.

Na jej głos dziewczki wróć i idą z niepyzszą  
Prowadzić Odyseja w cienisty brzeg rzeki,  
Postuszne rozkazaniu swej pani, Nauzyki.  
Więc chiton przygotowują i inne sukienki;  
W złotęj bańce oliwy podadzą też miękkiej  
I każą do kąpieli iść mu kryształowej.  
Na to rzecze Odysej: — »Mile białogłowy,  
Ustapcie kęs na stronę; sam sobie poradzę.  
Z barków sól spluczę, ciało oliwą wyładzę;  
O bo to dawno takiej wygodki pragnąłem.  
Lecz się kąpać nie mogę przy was żadnym czołem;  
Moja nagość mię wstydzi przed plcią pięknowłosa.

To rzekł, — one ustąpią i pani doniosą.  
Boski tułacz obmywa sól morską w strumieniu,  
Na grzbiecie, na obojem przysechłą ramieniu;  
Ze skroni gęsty namul zgarbia do ostatka;  
A gdy po łaźni przyszła oliwa nań gładka,  
Wdziął szatki, w podarunku od panny nu dane;  
I wraz Pallas-Atene — cudo niesłychane! —  
Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy  
Rozsypie mu na barki, by kwiat hyacyntowy.  
A jako cienkiem złotem srebro się obleka  
W rękę ucznia Hefajsta, umnego złotnika,  
Co z kruszcą tworzy dziwy, — w takie same czary  
Obleka go boginia, i, piękny bez miary,  
Poszedł nad brzeg nadmorski i siadł w swojej krasie.  
Ujrzawszy go, królowa wiele zdziwiła się;  
Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:  
— Słuchajcie no, dziewczęta! tak mi się coś roi,  
Że nie wszystkich on bogów gniewem obraczony,  
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
A teraz, jak bóg który, niebianin promienny.  
O, gdyby mi się trafił mąż, coby mu sprostał  
Z młodzi naszej!.. lub gdyby on sam moim został!..  
Ależ jadło, napitek co temu mu zaniesie!  
Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:

Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;  
A Odysej zajał i pił z nieposledniem  
Łakomstwem, bo nic w ustach nie miał już oddawna.  
Teraz Nauzyka inną robotą zabawna.

Włożyła na wóz szatki, poskładane zręcznie;  
Ochocze myła w dyszel zaprzęglą i wdzięcznie  
Zachęca Odyseja i z wozu tak prawi:

— »Cudzoziemcze, ku miastu zbieraj się, a żwawiej!  
Zawiodę cię do dworu, gdzie ojciec mój stary;  
Tam poznasz i przedniejsze feackie bojary.  
Acz sam zdasz się roztopny, przyjmij rady ostrożne:  
Póki szlak idzie polem, między łany zbożne,  
Póty, razem z dziewczkami, pospieszonym pochodem  
Będziecie szli za wozem; ja pojadę przodem.  
Lecz kiedy wjedziem w gród nasz, tymem ogrodzony,  
Znajdziesz przystań wyborań, z obojem tam strony  
Wązkiej grobli; koraby, na warsztatach swoich  
Leżąc tam, zawalają drogę z stron oboich.  
Jest też, przy Posejdonie chramie, plac szeroki,  
Wymoszczony płytami ciosanej opoki,  
Gdzie się przysposabiają we wszystko okręty,  
W płótno żagłowe, w liny, wiosła, inne sprzęty.  
U Feaków łuk, kołczan, nie na wiele służy;  
Za to maszty i wiosła, korab do podróży —  
W to im graj! to ich dumą mknąć po modrej fali!  
Lecz przytem są złośliwi, pewnieby wymiśiali  
Gdzie nas z bolu; u gminu nie trudno o baśnie, —  
I widząc nas, zły język mógłby mówić właśnie:  
— »Jakiż obok Nauzyki przybylec się kręci?  
Skąd go wzięła? Oj, z tego coś się nam wyświeci!  
Czy nie okręt zaniesion do brzegu tu jaki  
Nam go przyniósł? Wszak goście u nas rzadkie ptaki!  
Pewnie to bożek który zeszedł, na wezwanie  
Modłów jej, aż tam z nieba i przy niej zostanie.  
Najpewniej, że gdzieś sama jeździła daleko  
I znalazła małżonka: boć wiemy, jak lekko  
Wazy sobie zaloty feackich paniatek!  
Takby ludzie gadali; pozor daję watek  
Do obmów; i ja sama zganiałbym w innej,  
Gdyby się z uległości rodzicom powinnej  
Wylamawszy, przed słubem z mężczyzną zadala.  
Lecz słuchaj mojej rady: checzb by się udala,  
I ojciec mój w ojczyście odprawił cię progę. —  
Gdy więc gaj topolowy ujrzysz podłe drogi,  
Poświęcony Atenie, — w gaju strumyk dzwoni,  
Niżej futor i sady ojcowskie wśród błoni, —



A stamtąd już do miasta nie dalek nad staję —  
 Tam więc usiądź, gdzie miły chłodek ronią gaje,  
 I czekaj, póki w mieście i domu nie staniem.  
 Lecz skoro drogę naszą wymierzysz czekaniem,  
 Pośpieszaj w gród Feaków i pytaj — rzecz twoja —  
 O mieszkanie mego ojca Alkinoja.

A nietrudno ci będzie; lada żak najmniejszy  
 Wskaże ci, bo z feackich dworów najpyszniejszy  
 Dwór mego ojca, nawet różni się w strukturze.  
 A gdy się tam dostaniesz i wnijdziesz w podwórze,  
 Przebiegniesz wielką izbę; dalej masz na stronie  
 Kmnatę mojej matki; przed nią ogień płonie:  
 Ona kręcąc wrzeczono z purpurową wełną,  
 Siedzi o stęp oparta; przy niej kobiet pełno.  
 Tam również i mój ojciec, przed ciepłym kominem,  
 Siedzi jak bóg na tronie i krzepi się winem.  
 Tego pomiń, wprost tylko matce do nóg padnij;  
 Jeśli chcesz dnia powrotu doczekać się snadniej,  
 Choćbyś na końcu świata gdzie mieszkał najdalej;  
 Bo skoro ona nędzy twojej się użali,  
 Bądź pewien z przyjaciół mieć prędką uciechę,  
 Witać pola rodzinne i ojczystą strzechę.

Tak mówiła królowa i nagli do biegu  
 Muly błyszczącym biczem. Więć od rzeki brzegu  
 Kopnęły zrazu klusem, potem mniej się spieszą,  
 By zaś Odys z dziewczkami mógł nadążyć pierzo,  
 Toczy się wóz ni prędko, ni nadto powoli.  
 Słońce już gasło, kiedy do gaju topoli  
 Przybyli — więc Odyszej usiadł w świętym gaju;  
 Nuż modlić się Atenie, jak to miał w zwyczaj:

— »Choć raz usłysz mię, córo Diosa wszechwładna!  
 Nie wysłuchana jeszcze z gorących próśb żądna,  
 Odkąd na łąd mię cisnął groźny Burzywoda.  
 Spraw, spraw, niechaj feacki lud rękę mię poda!  
 Tak się modlił. Atene słyszy skargi rzewne,  
 Lecz się mu nie objawia; boi się zapewne  
 Brata swojego ojca. Gniewu on nie złoży,  
 Aż póki w dom nie wróci Odyszej nasz boży.

## b) Glossa św. Teresy.

*Vico sin cir en mi,  
 Y tau alla vida espero,  
 Que muero, porque no muero.*

865)

Żyję, nie żyjąc w sobie,  
 W wyższe się życie wydzieram,  
 Z nieumierania umieram.

Miłością z Bogiem złączona,  
 Cała w Panu moim żyję,  
 On jeńcem mego łona,  
 Swobodniej serce mi bije.  
 Lecz Boga trzymać w niewoli  
 Uczucie moje się wzbrania.  
 To boli, ach srodze boli,  
 Umierać z nieumierania.

O jakże długie to życie,  
 A to wygnanie jak męczy!  
 Kiedyż się męki skończycie?  
 Kto mię rozkuje z obręczy?  
 Czytam już w moim wyroku  
 Nierychły koniec wygnania.  
 Miecz srogi tkwi w moim boku...  
 Umieram z nieumierania.

Żywoť mam struty gorczą,  
 Bo Ciebie nie mam, o Panie!  
 Choć miłość poi słodyczą,  
 Zabija oczekiwanie.  
 O Boże! zdęj z mnie brzemię,  
 Co mię w tę turmę pochłania —  
 Błagam! wydobądź mię,  
 Bo umrę z nieumierania.

Ze wytrwam w próbie wygnaćczej,  
 Słodka nadzieja mię krzepi,  
 Ze śmierć mi życie wyniańczy  
 I z życiem złączy mię lepiej.  
 O śmierć! dawczyni życia,  
 Staw się na moje wołania:  
 W chwili twojego przybycia  
 Wraz umrę z nieumierania.

Nie żyję już sama w sobie,  
 A żyć bez Boga nie mogę;  
 Cóż z sobą bez Niego zrobię,  
 Jak życia przebędę drogę?

Sto śmierci na mnie tu czyha;  
Od zguby nic nie zasłania,  
A choć się życie uśmiecha,  
Umieram z nieumierania.

Ten żywot, który tu sączę,  
Życia się ujma nazywa —  
I nim się z Tobą połączę,  
Jam ciągle jakby nieżywa,  
O Boże! usłysz, gdy wołam  
Od zmkroku aż do świtania;  
Zniszcz mię, życie we mnie połam,  
Niech umrę z nieumierania.

Patrz na tę miłość szalona,  
O życie! przestań mi ciężyc —  
Bo chcą być z Tobą złączoną,  
Pierwej się trzeba zwyciężyć.  
O śmierci! o słodki gończe!  
Przyspiesz chwilę rozwiązania,  
Niech raz już ze światem skończą  
I umrę z nieumierania.

Tylko w nadziejskim tam świecie  
Wita nas życie prawdziwe,  
Dopóki śmierć nas nie zmiecie,  
Znamy rozkosze wątpliwe.  
Śmierci! niech żaden z twych ciosów  
Mej głowy już nie ochrania!  
Grób jest przedsiönkiem niebiosów...  
Umieram z nieumierania...

Czemże odpląć Ci, Boże!  
Coś w piersi zamieszkał mojej?  
Życie Ci oddam w pokorze,  
Ta strata z Tobą mię spoi.  
A że tylko przez śmierć mogę  
Zdobyc ten przedmiot wzdychania,  
Więc się wydzieram w tę drogę,  
Umieram z nieumierania.

I cóż po życiu skazanej!  
Żyć tak od Ciebie daleko!  
Takie życie, to kajdany,  
To trumny gniotące wielko,  
Już się i sama lituję  
Młokom długiego konania —  
Gdy niebo mąk mych nie czuje,  
Umieram z nieumierania.

## C) Portrety literackie.

Stanisław Trembecki.

(Podajemy tu rozdział IV).

**866)** Podobnie jak Horacy, Trembecki zjawia się w nowym rzeczy porządku. Ostatni wysilek starej Republiki, konfederacya barska, sprowadzająca katastrofę zaboru, nie ma dla niego takich wspomnień, jak dla rzymskiego poety miały ostatnie zapasy republikańskie ze wznoszącym się cezaryzmem; stąd całą duszą przystaje do Stanisława Augusta, potrzebującego być otoczonym przez ludzi światłych i dobrej woli, i nie targuje się z nim zapewne o swoją niezawisłość, ale mu ją poświęca jak doświadczonemu sternikowi, co osiadły na mieliznie statek ma wyprowadzić na pełne, choć namiętnościami rozhu-kane morze... Pokładając nieograniczoną ufność w jego mądrości i sercu, chce, aby mu cały naród tak samo ufał. Tę swoją wiarę i przekonanie przelewa w te przepyszne wiersze, rzeźbione wzorem antyku, na tle dzisiejszej myśli, i rzuca je publiczności, aby *mobiliūm turba Quiritium* opamiętała się i poznała szczere intencje monarchy. Są one jakby dzisiejsze broszury, wychodzące u Dentu i tłomaczące myśl imperyalistowską. Rymowana ich forma zaręczała im pewniejszą popularność, niż gdyby się pojawiały w suchej prozie dogmatycznych traktatów o monarchii; za Poniatowskiego bowiem, jak za Cezara Augusta, graso-wała gorączka pisania i recytowania wierszy:

„*Puerique patresque severi*

*Fronde comas vincti coenant et carmina dictant.*”

Trembecki był więc organem królewskim w ścislem słowa znaczeniu. Dymy kudzidel, którei, jak obłokiem, otaczał tron Stanisława, zarywały często na przesadę, defigurowały prawdę, dając jej niewłaściwe rozmiary, lecz były to reminiscencye panegirycznego stylu, a po części i grzech, od jakiego żadne stronictwo nie jest wolne.

Wiersz na dzień 7 września, w rocznicę koronacji Stanisława Augusta, rozpoczyna szereg tej apologii. Widać, że poeta obawia się, czy jego słowu uwierzą, czy go nie nazwą bajazrem,

kiedy na początku wzywa bóstwa Prawdy, aby kierowało jego piórem. Rzeczywiście, wśród umysłów rozgorączkowanych tak świeżą wojną domową i świeższym jeszcze faktem pierwszego podziału, potrzebna była ta pomoc, aby przygotować źle uprzedzonych do słuchania wymownej obrony. Nie wchodzi on *in medias res*, jakby tego żądać można po publicyście, lecz bierze Poniatowskiego od kolebki i znaczy go piętnem wysokich przeznaczeń.

Sklonności jego pierwsze i wiek nader młody  
Wydały w nim do berła zdatności dowody,  
Czuł swe losy wspaniałe i zaraz z pielnuszek  
Wyższe zabawki kochał świeży geniuszek.

Cwiczenia się w językach, podróże, funkycje dyplomatyczne  
przygotowywały go do berła, tem więcej, że:

Wuj prowadził, którego w polityków kole  
Kładą między Ryszeli i między Walpole.

Wyniesiony wolą narodu na króla, zajął się leczeniem  
ran w schorzałem ciele Rzeczypospolitej. O porwaniu senatorów,  
wybuchu konfederacji barskiej, ani słowa; zato rozwodzi się  
nad zamachem spiskowych w nocy 3-go listopada i dość komicznie  
przedstawia uwięzienie króla:

...wleczonej po błoście,  
Z jedną nogą w trzewiku, drugą nie w swym bocie.

Wiersz ten trywialnością swoją tworzy taką dysharmonię  
w całości, nastrojonej na wysoki ton, że śmiałym go uważać  
za dopisany przez kogoś innego dla sparodyjowania tej apoteozy  
niemiłego mu króla.

August przebacza swoim porywcom. Dziwna rzecz, poeta  
nagania mu zbytnią łaskawość:

...Gdy jej bardzo wiele,  
Zwykła czasem okropnie ośmielać Kromwele.

Naganiano Horacemu, że przez pochlebstwo dla Cezara  
Augusta, nieprzychylnego imperyalizmowi Antystesa Labeona,  
znakomitego prawnika, nazywa szaleńcem:

...Labeone insanior inter  
Sanos dicatur.

Trembecki w gorliwości swojej idzie dalej i wyrzuca królowi zbytnią dla buntowników pobłażliwość:

Jak nie miały brać rogów buntownicze duchy,  
Gdyś uprzedzał odpustem, nie czekając skrucchy?

Czuł on potrzebę żelaznej ręki, chciał, żeby energia kary  
wypyływała z energii żelaznych postanowień, ale król był chwile-  
nego umysłu i zawsze w kolizyi. Miałże karać konfederatów,  
że chcieli kraj wyswobodzić z pod wpływu Moskwy? Polityka  
jego, zasadzająca się na temporyzowaniu z opiekunem mocar-  
stwem, obierała zawsze pośrednią drogę, noszącą znamię słabo-  
ści. Ale Trembecki umie i to obrócić na jego korzyść, i aby  
upięknąć portret powiada:

Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie.

Bijąc na potwarz, obwiniającą króla o uległość mocniej-  
szym sąsiadom, wyprowadza łańcuch przyczyn ze złej polityki  
lub słabości poprzednich królów. Przepyszny to ustęp, wielkimi  
rysami historyka malujący koleje upadku Rzeczypospolitej,  
a kończący się wymownym argumentem:

Gdyś Polsko, sił, ni rady, ni dostatków miała,  
Nie dziw, żeś uszkodzona, — dziw, żeś kiedyś stała.

Rezygnacye, wśród tej konieczności politycznej, łagodni na-  
dzieją, że August, to co jest, uchroni od upadku i zagłady;  
wpada nawet w prorocze natchnienie, widzi dziedziczną dyna-  
stycę, króla piastującego prawników, których uczy »trudnej  
królowania sztuki«.

Ten wiersz, wyglądający na program, możnaby odnieść  
do roku 1773; przebiega w nim bowiem wiele goryczy i oburze-  
nia, jak to się dzieje zazwyczaj po politycznych katastrofach.  
Zapewne nie podołał się on w przeciwnym obozie, z tem zwyczaj-  
kiem fakty przywalające smutną rzeczywistością, przeciw któ-  
rym niepodobna było zasłaniać się patryotycznymi intencjami,  
kazaly chwycić się tej drogi, jaką Trembecki wskazywał, i umy-  
sły nagłym zwrotem zaczęły skłaniać się do króla.

Tę zmianę widać już w późniejszym o lat kilka liście do Sta-  
nislawa Augusta powracającego z podróży wołyńskiej. Celem  
podróży był Wiśniowiec, rezydencya Mniszchów, dokąd w roku

1781 jeździł dla widzenia się z hrabią du Nord czyli wielkim księciem Pawłem, następcą rosyjskiego tronu. Poeta i tu hojną ręką sypie kadziła uwielbieni dla pana, atoli o wiele w nich umiarkowańszy; znać, że opozycja mniejsza, tron czuje się silniejszym, a król używa popularności.

Poczwarą już zapadły, czarna potwarz znikła,  
Ojczyzna cię poznała i kochać przywykła.

Ubezpieczony co do głównego punktu, widzi już ład i rządność, nauki krzewiące się, zgola zdobycze wewnętrznej pracy, a byle kraj kierował się roztropnością, to nawet złych sąsiadów może zrobić sprawiedliwymi dla siebie. Tu nawija mu się nader szczęśliwe porównanie: słabości i bezbronności Polski do pierwszego człowieka, stojącego w bezbronnej nagocie pośród silniejszych od niego potworów i zwierząt.

Zdawało się, że postać najprzód zginie nasza:  
Lew ją kłem, słoń ogromem, wół rogami przestrasza.  
Słabszy zwierz, ale który wziął roztropność w podział,  
Zjadł wołu, wsiadł na słonia, lwia skórą się odział.

W tym malowniczym obrazie rozumnej walki, w tem zwycięstwie siły ducha nad siłą fizyczną, wytknął poeta wprawdzie nie krzyżową drogę, wybrukowaną holokaustami z życia i mienia, bo wierzył więcej w cierpliwość, roztropność i męską energię, niż w fanatyzm ofiary, — ale dał zdrową radę na dziś, a wiele pewności na przyszłość... Znałem wielu staroświeckich ludzi, którzy umieli te cztery wiersze na pamięć i lubili je przy sposobności przytaczać. Znana apostrofa Krasickiego jakże wydaje się mdłą i deklamacyjną obok tych genialnych isker umysłu, mającego głęboką świadomość rzeczywistego położenia!..

Jeżeli w poprzedzającym wierszu, na rocznicę koronacji, dziwiło poniekąd, dlaczego poeta nie zrobił najmniejszej wzmianki o Katarzynie, choć zaczął pod zaklęciem bóstwa Prawdy, to już w tym niepodobna mu było nie spotkać się z tą... »nieśmiertelną matką«:

Która... jak owa niegdyś... pióro się dumieje,  
Chcę ją równać — równego nic nie mają dzieje...

Zapewne cisnęła się pod pióro Semiramis północna, lecz to byłby plagiat z Woltera, wołał więc uciąć i niezrównaną otoczy obłokiem kadziła.

Jak już powiedziałem, wiersze te miały tekst gabinetowej dyplomacji!..

Z tem wszystkim Trembecki, pochlebca w rymach, nie wydaje się być dworakiem, goniącym za pensyjkami, orderami, pierścieniami. Nie mógł nie wiedzieć, że przy boku królewskim w Kaniowie łatwoby mu było jakim zgrabnym madrygałem zwrócić na siebie uwagę monarchini; przecież niema go tam, jest tylko Naruszewicz, który się przedstawia Katarzynie, ofiaruje jej Taurykę z szumną dedykacją i w zamian dostaje komplement, krzyż i brylantowy pierścień. Wprawdzie, jak sam powiada, już miał szczęście oglądać ją, i:

Wtedy najfortunniejszą uczulem godzinę,  
Kiedym tę ujrzał panią, przepłynawszy Dźwinę.  
Noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy,  
Niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy!

Zapewne widział ją w Smoleńsku lub Połocku, może wysłany tam przez króla dla powzięcia wiadomości o osobach, towarzyszących imperatorowej, o zwyczajach, jakie zachowuje w podróży, a może też dla zniesienia się z jaką zaufaną figurą dworską. W Kaniowie go jednak nie było. Wróciłże do Warszawy? Takby się zdawało, gdy na wstępie pomienionego wiersza pisze jakby ze stolicy:

Już nam Kijów rozlicznych wrócił partyzantów,  
Ujrzały żony mężów, kochanki amantów,  
A ciebie biskupie jak niema, to niema:  
Wysoka w odległości trzyma cię usługa.

I ciesz się z tego, i co moment podsuwa mu materję do opisanja tych miejsc i zdarzeń, jakich jest świadkiem. Nigdzie ani półsłówkiem nie zdradza zazdrosnej rywalizacji, tak zwykłej między dworakami, do tego z autorskiego cechu, a dającej się łatwo wytłumaczyć przez żądzę pozyskania sławy i zwrócenia na siebie uwagi koronowanej głowy, co już wystarczało, ażeby w owym czasie nabyć wielkiego rozgłosu i znaczenia.



Wolter, Diderot, d'Alembert, Grimm niedawno ubiegali się o to. Trembecki w żadnym wierszu nie przymawia się o takie względy dla siebie, ani dziękuje za otrzymane. I nie wiem, czy kiedy dostał jaką pensję lub upominek. Przecież gdyby mu szło o taką gratkę, byłby niezawodnie wśrubował się do kaniowskiego orszaku, i tak samo jak Naruszewicz, jak tytu innych, uniósł jaką wstążeczkę. Filozofia jego, mająca wiele stron bardzo nagannych, ratowała go od tych zdradliwych pokus, łatwiejszych u dworu niż w innym położeniu; fej on winien, a może wrodzonemu lenistwu, które także jest małym odzieniem filozoficznych uosobień, że, poza obrębem obowiązku względem króla, umiał zachować pewną niezawisłość charakteru.

Nie wiem szczególnych przyczyn, dlaczego nie znajdował się z królem; czy go do Warszawy ciągnęły naukowe prace, czy osobne polecenia monarsze? Lecz z innych wierszy, pisanych w tym czasie, daje się widzieć, że, na spotkanie wracającego pana, znalazł się w kole obywateli województwa Sandomierskiego i ułożył pieśń na powitanie króla, nawiedzającego dom kasztelana Popiela; jedną z piękniejszych, gdzie, uderzając w historyczną tradycję, wielką przeszłością podnosi teraźniejszość:

Tu się założyć zdało niebiosa

Gniazdo dzielności i cmoty;

Stąd był Czarniecki, co smutnym losom

Szczęśliwsze dawał obroty.

We krwi arabskiej, gdzie wschodzą zorze,

Zwycięskie zmoczywszy znaki,

Nieśliście one nad sławskie morze,

Między niewierne Prusaki.

Krewnych niezgoda gdy kraje traci,

Was gniew Łokietka poruszył,

Wasz miecz odzyskał ciśnionych braci

I czeskie jarzmo rozkruszył.

Wasza waleczność szerzyła ziemię

Niebezpieczeństwem i znojem;

Wyście rzetelne Słowaków plemię,

Inni są waszym podbojem.

Któż się podejmie dojść do zawodu

Beockich wierzchów skalistych?

Doszedł ich jeden z waszego rodu,

Książę poetów ojczystych.

O Czarnolesia dziedzicu dawny!

Dziś tu nam byłbyś potrzebny,

Śpiewałbyś panu, a wiersz twój sławny

Bawiby okrag podniebny.

Jeżeli poruszył te wielkie postaci i wspomnienia, to jedynie żeby wzbudzić większą miłość dla „ojca ojczyzny“, który umyślnie odwiedza patryotycznych tych stron mieszkańców, kiedy innych nasuwał mu tylko trafunek. Jedną królowi umysły i serca, oto cała jego usilność i zabiegliwość. W Radomiu, gdzie monarchę witało obywatelstwo województwa, nie rzuca mu już lirycznych wieńców, lecz poświęca jedną z tych argumentujących apologii, gdzie każdy wiersz urobiony na efekt, chce wszczepić w przekonanie, wstawić w opinię ogółu, i nie przypuszczając, żeby ktokolwiek tak oczywistym faktem śmiał zaprzeczyć, wielkimi cięciami dłuta rzeźbi zasługi Stanisława Augusta:

Tobie winniśmy światło, które nas ożywia,

Tobie polor, co oba narody zadziwia.

Tyś nam bezpieczne w domach uczynił mieszkanie,

Tyś nam młódź ugruntował, świetne wychowanie;

Ojcowską się nad nami opiekującą strażą,

Dowiodłeś, że Polacy wszystkiego dokażą.

Słowem, tyś nas nauczył, wślawił i ozdobił...

Jędzo! powstań i powiedz: co mógł, a nie zrobił?

Ostatni ten wiersz, to jakby rzucona rękawica powątpiewającym jeszcze o dobrych zamiarach króla, a razem usprawiedliwienie go przed potomnością, że w warunkach, pod jakimi panował, zrobił wszystko, co można było zrobić. Uległość Rosji była tym warunkiem, który polityka jego przyjmowała jako nieuniknioną konieczność; naród myślał inaczej i zaczął szukać innego opiekuna...

Chwila ta zbliżyła się. Czy przecuciem, czy też bystrością, ogarniająca bieg wypadków, natracił o niej Trembecki w kilka wierszy wyżej, gdy w imieniu Sandomierzan błaga Stanisława Augusta:

Czas ci spocząć, nas zażyć. Dziel trud między nami:  
Nas jest tylu, jednego tylko ciebie mamy.

To jakby zapowiednia nowego okresu, w którym naród przygotowany wychowaniem, wdrożony w nowy rzeczy porządek, ma być powołany do podzielenia się władzą z panującym.

Ledwo też dwa lata upłynęło, jak Trembecki znowu przemówił do współziomków zebranych na sejm, zwany czteroletnim. Jest to pełna powagi i znajomości charakteru narodowego przestroga.

Pojawszy całą ważność tego prawodawczego zgromadzenia, zabierającego się do reform, z góry zaczyna od znanego przysłowia, któremu używa całej patetyczności odpowiedniej wielkiemu dziełu:

Mądry Polak po szkodzi? — już były te szkody...  
Dziś na nas obrócyli wzrok mają narody:  
Lub nas rządnych, przezornych, czynnych świat pochwali,  
Lub nas chcących swej zguby, nikt się nie użali.

Nie znam nic patryotyczniejszego z tych czasów rozbudzonego publicznego życia nad ten przepyszny wiersz. W kamieniu kuć każdy wyraz, taką ma wagę i doniosłość. Jasna prawda, przestroga, groźba, wylatuje jak z ust drugiego Skargi, a choć niema w niej ciepła i skrzydeł religijnego uczucia i zapala, za to jakież ogrom intuícyi politycznego rozumu, umięjącego możebne ewentualności zważyć, ocenić, przewidzieć! Jak we wszystkich swoich manifestach, i tu na piedestale stawia osobę królewską i pokazuje pierwszy raz ze strony, z jakiej jeszcze nie pokazał. Wprawdzie wzywając w pomoc wszystkich bogów z Olimpu, nie potrafiłby ze Stanisława Augusta zrobić ani bożka wojny, ani hetmana, robi więc przezornego monarchę, który wie, że tylko siła zdobywa sobie bezpieczeństwo i poszanowanie. Król od samego początku myślał o podźwignieniu siły zbrojnej. Jakaż najdzielniejsza młodzież? zapytuje, jeśli

nie ta, co wyszła z korpusu kadetów? Któż Kraszewskiego zrobił możliwym za ranę poniesioną dla ojczyzny, jeśli nie król? Kto budząc ducha rycerskiego, wznosił Sobieskiemu posąg? Król, i zawsze król. Wywiódłszy to, zawiązuje zagrzewającym wezwaniem:

Idźmy uczció ten posąg walecznego Jana,  
A przed nim na dobyte przysiężmy pałasze  
Za niepodległość krajułożyć gardła nasze.

Posąg lazienkowski króla Jana nasuwa mu uwagę o niewdzięczności tych, których orężem swym zbawił, i wkłada w usta Mustafy smutną o losach Polski przepowiednię, zwróconą szczególnie do polityki, jakiej chwytaly się już umysły wielu gorliwych patryotów na sejmie, polityki szukającej aliansu z Prusami. Nie podzielał jej król, nie podzielał Trembecki; mimo utłudnych obietnic Lucchesiniego, partya dworska widziała większą rękojmię w sojuszu z dworem petersburskim. Toż i dwa wiersze:

Jeszcze ci nie wiadoma tego Niemca sztuka:  
Napelni nadziejami, a w rzeczy oszuka.

zawierały wymowną przestrozę i obawę, która, niestety! aż nadto się sprawdziła..

Wiersz Trembeckiego: Do posłów powracających z Grodna r. 1793, jest ostatnim z szeregu okolicznościowych poetycznych jego odezw do narodu. Po tym sejmie, który wyczerpał siły fizyczne i moralne Rzeczypospolitej, nie miał co pisać; rola dworskiego poety skończyła się dla niego..

Pierwszy raz mówi tam o sobie, i nie bez znaczenia. Zdawałoby się, że jednym silnym wierszem chciał powetować wszystkie przekąsy i zarzuty opinii, pomawiającej go o brak uczuć polskich. Polityk, póki ten rodzaj manifestacyi był mu potrzebny, nie tłumaczył się; gdy przeminęła potrzeba, serce swoje odsłonił..

Wszystkie poezye Trembeckiego politycznej treści propagały konserwatyzm ostrożny, nie wylęczający powolnej zmiany średniowiecznego organizmu i układania się do równowagi z innymi państwami. Poeta wypowiadał z dziwną wytraw-

nego publicyści zręcznością systemat, jakim się król kierował, i jaki rzeczywście prędzej doprowadziłby do celu, niż niefortunna polityka wielkiego sejmku, lub zabójcza konfederacyi targowickiej.

Czuł Trembecki, pisząc ów List do Posłów z Grodna, że rola zachowawcza już się skończyła. Zabolala go może i miłość własna, że tyle jego wielkich przestróg, odzianych w najpyszniejszą szatę poezyi, przebrzmialo; dlatego też kończy ironicznym uklonem:

Jestem waszności bratem życzliwym uprzejmie.

Niesłusznie więc błotem obrzucono Trembeckiego za ten wiersz, tem więcej, że on nie ganił ustawodawczych czynności sejmku konstytucyjnego, tylko wytknął polityczne grzechy, jak alians z chytrym Prusakiem, jak porwanie się do wojny bez wojska i pieniędzy i t. p. Przeciwnie podziwiać należy jego odwagę cywilną, że w tak gorących i rozjątrzonych chwilach śmiał nagą prawdę powiedzieć w oczy.

Dla epoki Kościuszkowskiej muza Trembeckiego nie znalazła ani jednego akordu; fakt ten całkiem wykraczał za obręb monarchicznej doktryny, której był najwymowniejszym organem. Samemu tylko Kościuszcze poświęcił dwa wiersze, z powodu obiadu, który jadł w jego namiocie:

Taż miłość swej ojczyzny, też cnotliwa dusza,  
Taż waleczność, a nawet obiad Kurcyusza.

Opowiadają o tej wizycie, jaką szambelan złożył był naczelnikowi w jego kwatery, że go zastał w kuchni, jak sam rozdymał ogień...

Na lutni Trembeckiego nie było elegicznej struny; więc bóle swoje, wśród gromów nieszczęść publicznych, zamknął w głębi duszy.

Natchnienie jego wiązało się z osobą króla; to był jedyny punkt wyjścia, z którego spoglądał na losy kraju; nie stało go, więc i on zamilkł...

On, co się umiał tak z rzeczywistością zespolic, i tak już na wskróś przenikał, nie znalazł dla siebie żadnej już podstawy,

jak żyjący, któryby na cmentarz poszedł szukać dawnych towarzyszyów życia...

Zresztą nie był to młodzian, żeby w różowym obloku przyszłość sobie wystawiał, i leciał w nią, śpiewając hymn nadziei. Jego nadzieja była w Stanisławie Augustcie. Hamletowa zagadka, być albo nie być? rozstrzygała się w tej jednej osobie, i odtąd cały szereg faktów pomyślnych i niepomyślnych nie zdołał tej zagadki inaczej rozstrzygnąć.

CX.

## ANTONI BUKATY.

(1808—1876).

Litewska rodzina Pomianów Bukatych po raz pierwszy wystąpiła na widownię publiczną z czasów Stanisława Augusta. Sejmowi czteroletniemu dała Franciszka, dzielnego przedstawiciela Rzpltej w Anglii, którego później od r. 1793 zastąpił brat stryjeczny Tadeusz Pokrewieństwo Antoniego z nimi nie dalo się ściśle oznaczyć. Urodził się w Augustowskim 1808 r. W szkole wojewódzkiej w Sejnach celował. Ks. rektor, Paweł Chrzanowski, tak wysoko go cenil, że będąc do Łomży przeniesiony, ze sobą go tam zabrał w Sejnach zetknął się z Hieronimem Kajstewiczem i Leonardem Niedźwiedzkiem, dożgonym swym potem przyjacielem, bratem w Hoene-Wronskim, wydawcą swych pism i jedynym biografem. W uniwersytecie warszawskim studyował ten późniejszy inżynier, strategik i filozof — prawo. Nie przeszkadzało mu to przecież być równocześnie wyróżnionym podobno uczniem Brodzińskiego, który, wedle Niedźwiedzkiego, wypracowania jego »sam z katedry w głos czytał, pokazując w ten sposób, że zasługiwały być wzorem dla piszących». Podobno był też wówczas w »ściślejszej przyjaźni« (?) z Zygmuntem Krasńskim i używał protekcji jego ojca, chcąc wstąpić do wojska. Po rozkazie przerwili ten plan i choć już wpisany, cofnął się, rzeczywiście głuchotę na jedno ucho podając za powód. Po wybuchu powstania — akademik jeszcze, nie skorzystał jednak Bukaty z przysługującego mu prawa do stopnia podchorążego, ale służył zrazu w artylerji jako żołnierz. Mając obzrymą siłę i żelazne zdrowie, trudów nie potrzebował się lękać. Pod Grochowem stracił oko, ale dopiero po dwudniowej bitwie na szanach Warszawy, gdzie jak Podbięta drugi miał walczyć, do krzyża i szlifów go przedstawiono. Po upadku powstania przybył do Paryża i tu, nie chcąc w bezpołdnych swarach czasu trawić, wstąpił do Szkoły dróg i mostów. Musiał ją nawet ukończyć, skoro na późniejszym memoryale swym dla cesarza Napoleona

z r. 1867 podpisał się jako inżynier cywilny. Wśród tych studyów niemniej niż inni jednak rozmyślał nad sprawą narodową i jej świeżym upadkiem, a rozmyślał napewne głębiej. Świadczy o tem wydana już w r. 1833 Sprawa polska, wywołana przed sąd Miecza i Polityki w 1830 r. Książka ta (pod pseudonimem: Tomasz Pomian) stanowi pierwszy tom historii powstania listopadowego a za razem wszechstronnej tego wypadku oceny. Wyprzedziła ona Mochnackiego, a trzeba przyznać, że na porównaniu z nim wcale nienajgorzej wychodzi. Talentem pisarskim wprawdzie nie dorównywa Bukaty Mochnackiemu, ale za to stanowczo przenosi go bezstronnością sądu o ludziach, w których psychikę i pobudki postępowania bardzo bystro wnika, a także w samej ocenie wypadków przez nadzwyczajną ostrożność sądu i subtelne obliczanie wszelkich możliwości, kto wie, czy nie częściej do prawdy obiektywnej się zbliża. Tok opowiadania przerywają niekiedy dygresje a zarazem wiara w słowiańskie co najjmniej, jeśli nie polskie poslannietwo. To fakt, że książka nosi znamiona wcale niepospolitego umysłu. A jednak mimo tego i mimo aktualności, nie zdobyła ona rozgłosu i do dziś najnieustudziej jest zapomnianą. Zdaje się, że i u współczesnych i u potomnych zaćmil ją blaskiem swego pióra Mochnacki. Drugiego tomu Bukaty nie wydał, może zrażony, a może z braku funduszy, który i pierwszemu tomowi pewien czas był przeszkodą. Doprowadził jednak rzecz dalej niż Mochnacki, bo do końca bitwy grochowskiej.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Bukaty zapoznał się z Wronskim i jego systemem. To fakt, że już przed r. 1840 jest jego najgorętszym wyznawcą, uczniem, a prawdopodobnie i współpracownikiem. Całe dalsze jego życie wypełniają wysiłki nad przystosowaniem tak idei filozoficznych jak i wynalazków Wronskiego do sprawy polskiej. W tem, że jest łącznikiem między Wronskim i jego pomysłami a Polską, leży chyba cała jego w stosunku do mistrza oryginalność. Już w r. 1841 przedkładał ks. Adamowi Czartoryskiemu memoryał w sprawie przystosowania lokomoty parowej do sztuki wojennej, w którym rozwija pomysł parowozu uzbrojonego działami, niezależnego od drogi żelaznej. »Jeden wóz taki po drodze głównej komunikacji, osadzony tyralierami, na spódzie mający jedno działo lub dwa, rozbiłyby milion dzisiejszego wojska. Wystawny sobie jeden wóz taki na płaszczyznach Grochowa lub Woli, i gdzieby byli nieprzyjaciele nasi?« W wynalazku tym widzi stanowczo rozwiązanie losów Polski. Zaklina, aby nie zwlekać z jego zrealizowaniem. »Biorę akt pisze — że zaniedbanie, zotak widocznie przez Opatrzność nastręcone środka zbawienia, zotak stałoby dowodem, że Polska sama dobrowolnie rezygnuje z godności swej moralnej, ze swego istnienia«. Otóż cały ten projekt jest z pewnością niczem innym, tylko przeniesieniem na teren wojenny obmyślonych przez Wronskiego szyn ruchomych t. j. zespolonych nie z drogą ale z wozem. Już bowiem w r. 1837 ogłosił Wronski rozprawę p. t.



*»Rails mobiles ou chemins de fer mouvants, prêts a servir sur toutes les routes et avec toutes les voitures«* a w r. 1838 nawet modele na Polach Elizejskich wystawil.

Na ks. Czartoryskiego nie wywarl widocznie memoral tego wrazenia, jakie sobie autor obiecywal. Ale marzenia jego zwiazane z tym wynalazkiem nie rozwiazaly sie latwo. W r. 1867 ofiarowal zdow udytek z niego Napoleonowi III we wspomnianem juz piśmie z datą 9 stycznia. Równie bezskutecznie.

Podobnież na podstawie pojęć autora Mesyanizmu zbudowane jest historyzoficzne dzieło Bukatego: *»Polska w apostazyi czyli w tak zwanym russo-slawianizmie i w apoteozie, czyli w tak zwanym gallo-kosmopolityzmie, jako warunkach założenia irozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy«* (Paryż 1842). Najbardziej ono stosunkowo znane z jego pism, a to dzięki Mickiewiczowi, który z wielkim szacunkiem się o niem w Collège de France wyrażał. Dla dzisiejszego czytelnika nie przedstawia ta książka żadnej już innej wartości prócz historycznej. Typowy to wprost pomnik jałowej spekulacyi, ujmującej rozwój dziejów ludzkich w formuły niby matematycznych szeregów, a budującej je z naiwną dowolnością. A jednak nie tylko Mickiewicz — także i Libelt nie szczędził autorowi uznania, a nawet Trentowski mimo bardzo ostrej krytyki, jakiej książkę wnet po ukazaniu się, poddał, przypuszcza na jej podstawie, że Bukaty może się stać polskim Heglem. Sprawiła to, zdaje się, miłość tego samego ideału. Wierzy bowiem Bukaty głęboko w bliską godzinę Królestwa Bożego na ziemi i wierzy, że Polska je urzeczywistni. Na swoich matematyczno-historycznych dowodach oparty, sądzi, że nietylko wierzy, ale wie. Jest mesyanistą par excellence. Z tej to przywzrostkowość książki przejął Słowacki kult *la veto i wolnej elekcyi*.

W r. 1844 wyszła nowa praca Bukatego p. t. Hoene Wroński i jego udział w rozwinięciu ostatecznem wiedzy ludzkiej. Miała ona zdaje się na celu spopularyzowanie filozofii uwielbianego mistrza, ale wobec nad wyraz zawilego stylu i dzikiej wprost terminologii autora (zarodki dzwiazwa stylowego byly już w Sprawie polskiej), nie bardzo temu celowi odpowiadała. Przeszło dwie trzecie (całość str. 90) wypełniają wytyki z Prodrôme du messianisme i Metapolitique messianique, dobrze wybrane i zestawione, ale bardzo ciężko tłumaczone. Zdaje się, że zglebianiu twórczości Wrońskiego i marzeniom nad nią oddawał Bukaty cały czas, jaki mu praca na utrzymaniu pozostawiała. Chleb znalazł dzięki swemu wysokiemu wykształceniu. Skoro tylko powstała (1849) za staraniem ks. A. Czartoryskiego t. z. Instytucya przygotowawcza polska, mająca na celu przygotowywanie młodzieży wychodzącej do studiów w uniwersytecie a głównie w szkole *»Min«* (ustalona potem jako Wyższa szkoła polska na Mont-Parnasse), Bukaty został jej dyrektorem, a zdawszy bakalaureat, zatwierdzony był

na tem stanowisku przez francuskiego ministra oświaty, decyzyą z 4 stycznia 1850 r. Jeden z pozostałych po nim papierów (Bibl. polska w Paryżu), świadczy, że przedtem jeszcze proponowano mu katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim. Od polityki trzymał się zdala. Sentymentem lgnął do Hotelu Lambert i tam miał potem przytułek na stare lata, ale poglądy, jak to choćby z Polski w apostazyi i apoteozie widać, zachował niezależnie i jedynie w katolicyzmie niezachwianym, o który go Trentowski zaczął, zachowawcze. Do Trentowskiego za tę jego krytykę w *»Ogrodniku«* poznańskim r. 1843 nie chował widocznie urazy, skoro mu do Panteonu posłał całe studjum o matematycznych pracach Wrońskiego. Pozatem rezultaty swych badań nad matematyką Wrońskiego strzeżzał po francusku. Wierny przyjaciel i wielbielcu obu, Niedźwiedzi, wydał w 1873 r. *Deduction et demonstration de trois lois primordiales de la congruence des nombres, constituant la troisième loi de l'algorithme, donnée par H. Wroński, a w r. 1878 już po śmierci autora, Méthode spéciale ou téléologique de H. Wroński*. Obie te prace są w ścisłym związku z działalnością tego grona osób, które po śmierci Wrońskiego zajęły się gorliwie porządkowaniem i publikowaniem jego spuścizny. *Méthode speciale* etc. jest nawet dedykowana protektorowi owego przedsięwzięcia, Janowi Działyńskiemu. W miesiącu po jej napisaniu Bukaty już nie żył. Śmierć zaskoczyła go nagle 19 września 1876 r. w ufundowanym przez ks. Czartoryką Domu św. Kazimierza, którego w ostatnich latach był mieszkającym.

W jedenaście lat potem wydał Niedźwiedzi jedno jeszcze jego dzieło: *Trzy grzechy śmiertelne Polski*. Rzecz widać nie skończona, bo zaledwie o pierwszym z tych grzechów się tu dowiadujemy, a mianowicie, że *»nie umiała bronić słowiańszczyzny przeciwko Niemcom«*. A wyrzucha do Bukaty swęj ojczyznę na tle obszernego wywodu o rozmieszczeniu się narodów i plemion w Europie, która przed wtargnięciem Niemców cała była słowiańska. Nietylko Goci (Wszegodźce i Ostrogoźdźce), Herule (Górale), Franki (Wręczki), Gannowie (Hońce czyli Gońce) i t. d. ale nawet Grecy i Rzymianie byli Słowianami. Wskazują na to Bukatemu wzmianki oleg jedny plemion, ale niemniej imiona naczelników, jak macedoński Oleg jedny (Alexander), gocki Oleg jary (Alaryg), wandalski Gąsiorek (Genzeryk) lub frankoński Głowicz (Klodwik), wreszcie i nazwy krain, jak Głowecya (Helwecya), Gonnower od Konna wiara (Hannover) i t. d. Wydawca — który złą tym razem oddał przyjacielowi przysługę — podaje, że powstał ten dziwotwór zaraz po r. 1863. Jakoż zwroty do Mierosławskiego, pełne najstraszniejszych obelg, zdają się to potwierdzać. A jednak nie chce się wierzyć, żeby autorem Trzech grzechów był ten sam człowiek, który głęboką i naprawdę dziś jeszcze godną czytania *Sprawę polską* w r. 1830 napisał. Jeżeli

mają co wspólnego te dwie książki, to chyba to, że z obu bije bolesna a gorąca — w drugiej aż do obłędu dochodząca — miłość ojczyzny.

## BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma: 1) »Sprawa Polski wywołana przed sąd miecza i polityki w roku 1830«. Paryż 1833. 2) »Polska w apostazji czyli w tak zwanym russo-sławianizmie i w apoteozie czyli w tak zwanym gallo-kosmopolityzmie, jako warunkach założenia i rozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy«. Paryż 1842. 3) »Hoene Wroński i jego udział w rozwinięciu ostatecznym wiedzy ludzkiej«. Paryż 1844. 4) »Trzy grzechy śmiertelne Polski«. Paryż 1887. 5) »Deduction et demonstration de trois lois primordiales de la congruence des nombres, constituant la troisième loi de l'algorithme, donnée par H. Wroński«. Paris 1873. 6) »O filozofii matematyki i o zasługach matematycznych Wrońskiego — w Panteonie wiedzy ludzkiej Trentowskiego Tom II, str. 394—424. 7) »Méthode spéciale ou téléologique de H. Wroński démontrée par...« Paris 1878.

II. O Bukatym pisali: 1) Leonard Niedźwiedzi: »Biografia A. Bukatego«. Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, 1873—1878. (Toż samo potem przy »Trzech grzechach śmiertelnych Polski«). 2) Br. Trentowski: »Listy naukowe«. List drugi: O Floryanie Bochwicu, Antonim Bukatym i Eleonorze Ziemięckiej. »Oreodnik naukowy« (Poznań) 1842 Nr. 52 i 1843 Nr. 1 i 2. 3) Mickiewicz: »Literatura słowiańska«, rok drugi, lekcya XXXI z 21 czerwca 1842 r. 4) K. Libelt: »Kwestya żywotna filozofii. Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej«. Poznań 1845, str. 198—193. 5) Chmielowski: »Filozoficzne poglądy Mickiewicza«. Warszawa 1899, str. 55 i 56.

## A) Sprawa Polski wywołana przed sąd miecza i polityki w r. 1830.

Część pierwsza. Paryż 1833.

Autor, rozważając stosunki w Królestwie Kongresowem i uosobienie wszystkich warstw narodu, dochodzi do przekonania, że powstanie było koniecznością historyczną, i dlatego ubolewanie nad niem byłoby rzeczą жалową. Nie pogwałcenie konstytucyi było jego powodem, ale samo poczucie żywotności i prawa do samodzielnego bytu w narodzie. Nie chodziło też o wolność socyalną — ta była na miejscu drugim. Była to walka na-

rodu z narodem a nie wyobrażeń z wyobrażeniami. Tem więcej śmiechem umiemanie, że w cudzej sprawie broń podnieśliśmy. »Tryumf nasz byłby bez zaprzeczenia tryumfem wolności; lecz tryumf wolności czy byłby naszym, to podlega jeszcze rozstrząśnieniu«. Francyci zasłoniłiśmy w gruncie rzeczy tylko przpadkiem, a było właśnie błąd. Pora wybuchu była właśnie ze względu na pogotowie Rosyi do wojny z Francyci, przeciw nam z łatwością obrócone, najfatalniej wybraną. Trzeba było raczej w czasie wojny rosyjsko-tureckiej zaczynać. A w każdym razie należało powstanie we wszystkich trzech zaborach podnieść, bo w trwałą neutralność Austrii i Prus autor zupełnie nie wierzy i ręczy, że po rozbiu ewentualnem Rosyi, wystąpiłyby przeciwko Polsce czynnie. Wojna przeciw tantom nie byłaby zatem pogorszyla położenia.

Opisując obszernie noc 29 listopada, okres rządów Rady administracyjnej i Dyktatury, potępia bardziej niezdecydowaną politykę Lelewela i Ostrowskiego niż początkową Lubeckiego, Chłopickiego zaś postępowanie uważa wprost za zbrodniacę, choć nie wątpi w czystość jego intencji i na dowód tego całą zdumną logikę jego rozumowań jasno wyklada. Szczególniej nie może mu darować, że nie rozbroił wojak ks. Konstantego i nie zagarnął zaraz na początku korpusu litewskiego. Wogóle nieszczerdciem największem była ustawiczna walka dwóch systematów pojmnawia rewolucyi. Jednym hasłem było odzyskanie niepodległości w przedziorobrych granicach, a zatem walka na śmierć i życie, drugiego — ratowanie Kongresówki, a zatem dyplomacya. Autor, zdecydowany zwolennik pierwszego, sądzi przecież, że lepszy byłby drugi sam jeden, niż oba obok siebie. Bo -los nasz niezblagany zawsze tak zrządał, że wtenczas właśnie ten system przeważać zaczynał, kiedy wszystkie korzyści z niego płynące minęły, a tamował swego przeciwnika, dla którego właśnie najdogodniejsza do działania nastawiała para«.

Książka kończy się dość szczegółowym opisem początków kampanii do bitwy grochowskiej włącznie. Autor przedstawia naprzód ogólny plan Dybicza, następnie reagowanie na ten plan ze strony Chłopickiego, dla którego taktyki ma pełne uznanie. Sądzi, że to był mimo wszystko jedyny wódz, stojący na wysokości zadania. Bitwie pod Grochowem poświęca cały rozdział, broniąc Chłopickiego przed wszelkimi zarzutami. Wierzy, że zwycięstwo wydarło mu tylko nieposłuszeństwo Krukowieckiego i Żymirskiego, wreszcie kula. Wierzy też, że ta bitwa mogła zaważyć na losach Europy

**867)** Polska, lub sławianizm, tak ogromny, tak silny, jak Ocean Północny, ramiony go swemi obejmujący, wykwiitnąć z dziewiętnastego wieku musi; zna to Europa, zna to i ziemia cała. Myśl ta będzie charakterem wieku naszego; a Austriya i Prusy nie pojmnawałyby jej jeszcze? Znają one to dobrze; i Austriya ta sama, co w wojnie tureckiej robiła intrygi, Prusy choć spowinowacone z domem Romanów, choć we

wskrzeszeniu Polski niepodległej, bezwarunkowem upatrujące niebezpieczeństwo zbliżać się do siebie dotykające, radeby przecięć widziały rozstrzelone dążenie szczerpów sławiańskich, emulacyę ich między sobą, i osłabienie w skutku sił ich strasznych, przez kierunki naprzeciw siebie wytknione. Jak przeciwnem ich polityce jest wykluczenie państwa rosyjskiego przez ufundowanie nowego, równie potężnego, nienawidziąc ku nim za krzywdy doznane palającego, z innych pod względem systemu rządowego wychodzącego zasad, jednym ramieniem o Bałtyk, drugim o Euksyn opierającego się, tak pożądanem byłoby, przy zachowaniu widocznej przewagi Rosyi, jako mniej niebezpiecznej z przyczyny oddalenia i tożsamości zasad, zapewnić narodowość Polakom, któraby skutecznie oprzeć się mogła zamalgamowaniu się tych ludów i interesów wzajemnych.

Z tej przyczyny dyktator niewiele się mylił mniemając, iż odstąpienie prowincyi polskich, przynajmniej ostatnim podziałem kraju naszego przez Rosyę zabranych, pod warunkiem panowania którego z domu Romanów; lub co pewniejsze, zapewnienie im swobód narodowych, odrębności, indywidualności ludu polskiego, pod wspólnem berłem cesarza rosyjskiego Mikołaja i jego następców, nie bez rozlewu krwi, nie bez walk, za wpływem jednak polityki, przez interes monarchów i ludów, Austrii, Prus, tembardziej Anglii, i Francyi podobnem było. Możeby się dołączyły do tego cząstki nawet Galicji i Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Te myśli powodowały dyktatorem, one stanowiły podstawę polityki jego; i nietrudno słyszeć powtarzających, lecz nie tak łatwo zgłębiających rzeczy: że Chłopicki postanowił załatwić sprawy polskie przez wpływ króla pruskiego. W pierwszych dniach rewolucyi młodzież z Wielkiego księstwa Poznańskiego i Galicji hurmem cisnęła się w granice Królestwa, pragnąc walczyć w sprawie nieszczęśliwego narodu; wielu z nich znakomitszych stawilo się przed dyktatorem, który ich przyjął najozięblej, nawet z nieukontentowaniem, uważając ich poświęcenie za szkodliwe, i w głos z tem się oświadczać, że ono służyć może za jawny dowód wypowiedzenia wojny Prusom i Austrii.

W takim pojęciu rzeczy trudno jest ganić kroki jego.

Można im zarzucić niewyrachowanie, pomyłki i grube błędy, lecz nie brak intencji, jakieśmy już je tyle razy nazwali, zgrubno-czystych; można się spytać, dlaczego polityka Austrii i Prus, na którą rachował, pokazała się przecieć tak nieprzychylną dla nas? On na to odpowiada: boście poszli inną drogą nie tą, którą wskazywał, a przeto usunęliście powody, dla których podług mnie przychylnie być miały; boście chcieli całej, niepodległej, i co w ich oczach najgorszą, wolnej Polski.

„Zdumiewię się czytelniccy moi, bo może mię pojąć nie zechcą, gdy powtarzając myśl, wyżej już choć niewyraźnie namomknioną, powiem: że i w świecie przeszłych usiłowaniach naszych wolność była jedną z przyczyn naszego upadku i naszych żalów pogrzebnych. Tymczasem to jest niezaprzeczoną prawdą, że Polska jest ofiarą, tylekroć mordowaną przez spór dwóch principów, o przeznaczenie ludzkości walczących. Polakiem jestem przedewszystkiem, Polakiem tylko będąc, wolnym być mogę i czemużbym nie miał wyznać, wiele razy Polska za wolność zabita była? Rozwijam rzeczy dalej; gdyby nie wolność, pół Europy despotycznej życzyłoby, a nawet poparło wskrzeszenie nasze. Tymczasem wolność zaspala, ani jej ocucić można było; jak dziecko zbudzone zlekła się budzącego, a despotyzm, mogący się interesować, odstraszyliśmy krzykami naszymi. Gdybyśmy z orężem w rękę mogli się byli o samą dopominać niepodległość, tak niesprawiedliwie nam wydartą, Austrii i Prusy wyraźnie przeczuwające straszliwą sławianizmą naszem. Gdybyśmy się zajęły czynnie sprawą naszą, tem chętniej, im pewniejszą miałyby gwarancję wychodzenia naszego z jednych zasad w przyszłych stosunkach w systemie rządowym. Nie inny cel miała Austrii na względzie, gdy na traktacie Wiedeńskim dobrowolną robiła ofiarę z krajów przez siebie Polsce wydartych; i Prusy równowadze europejskiej poświęciłyby Wielkie Księstwo Poznańskie, od Księstwa Warszawskiego oderwane. Lecz kiedy sprawa nasza zagrzmiiała głosem reformy socyalnej, wywracającej rony ich, co atoli nieuchronnem i koniecznem, bo z natury rzeczy płynącym było, mogłyż podnosić głos swój dla potępienia siebie samych i wspierać rękę, w której miecz błyszczyący w ich pierśi godził? Straszny jest Sławianizm, lecz jego chmura grożąca, na skrzydłach wieków niesiona, znośniejsza dla niej była

i będzie, nad wichery wyracający wszystko współcześnie. Takie było zapatrywanie się na rzeczy, taka polityka dyktatora, i ona mu wzbronila nawet próbę kroków zaczepnych, jaką powinno było być działanie przeciw korpusowi litewskiemu.

...Otóż wolność dla Polski od niej odebrać nie zdola. Prózne więc wszelkie z tej strony rachuby: żadna Austria, żadne Prusy, tuczne naszymi członkami, nie wiele okazują, ani okazą chęci do wyrzucenia ich z siebie, chyba by smaczniejszym kawałkiem były zastąpione.

...Dyktator zląkł się i w tonie pokornym broń polityki wraz z mieczem odpornym schwycił: gdyż nie godzi się przypuszczać, aby bez dobytka oręża wszystko chciał skończyć. Ani szafce Pragi, ani wszelkie przysposobienia wojenne nie dowodzą tego; lecz przypominając, żeśmy mogli zadać despotcie cios stanowczy; że w jednym tygodniu mogliśmy mu odebrać wszelką nadzieję zwycięstwa własnej sily, że była pora nagięcia niezłomnego jego charakteru, choćbyśmy przez to i Austryę i Prusy nieuchronnie wyzwali; pomni, że za ich ruchem poruszyłaby się Europa cała, że pioruny zagrzniałyby razem nad Wisłą, Dźwiną, Dnieprem, Renem, Odrą, i w Kronstadtzie, zdołamy wstrzymać się od złorzeczeń? W takim pojęciu rzeczy dyktator był jednym z zabójców Polski; on jej sprawę europejską, sprawę całego świata zamknął w ciasnym obrębie poddaństwa, w granicach królestwa Aleksandra; spodlił jej święty charakter, odebrał jej sily, linią jej działań naturalną, ramiony o Bałtyk i Euxyn opierać się winną, oparł o jeden brzeg Wisły. Wy! co mnie czytacie, wróćcie się w tył o kart kilka, przypomnijcie moje przedstawienie dyktatora; ja w nim tylko człowieka widzę.

**868)** *Str. 197—206.* Bezprzykładną była gorliwość nasza dla sprawy, czy wogóle, czy pojedynczo uważana. Rzadki naród mógłby w tem z nami wytrzymać porównanie: nikt nam tego nie umie. Było to tło najpiękniejsze od odciśków bohaterstwa mas, lono do przyjęcia nasion cudownych w szczególne działaniu zmartwychporodnem ludu; był u nas czarowny pociąg, skupiający sily w punkt jeden; ale gdzie był stempel,

tlóczyący wszystko w formy życia? Niedość na ołtarzu ojczyzny złożyć w ofierze święty zakład związków lubych, niedość wydobyć gorliwością prywatną kilkadziesiąt tysięcy ze źródła milionów, niedość przez nią uzbroić kilkaset koni; potrzeba było wszystko skupić na stos ofiarny Matki, rzucić w ten ogień namiętności najświętsze i pomagać trawieniu grzebaczem miłości ogólnej, energią musomilną, aby z popiołów wznosił się ołtarz zmartwychwstania. Wszelki głos prywatny, cień interesu osobistego, związki nawet najświętsze zawieszono być by winny; bo wisiał topór nad narodem, bo z nim wszystko polskie ginęło razem.

...Narodzie przez nieszczęście ulubiony! chciałżeś czego innego, kiedy wyszedłszy z grobu pierwszym uczuciem twych piersi ulżonych była potrzeba natchnieniem dyktowana wrycia sil wszelkich w punkt jeden? Wszystko, coś działał wielkiego, zadziwiającego, cudownego nawet, płynęło z twojego bezprzykładnego poświęcenia się; wszystko zgubne, śmierć cię tłócząca ciążyła na sumieniach, które poświęceniu się twemu kierunek dawały.

Posuwanie sil armii starej przez formowanie trzecich i czwartych batalionów w piechocie, a piątych i szóstyh szwadronów w jeździe, szło przecież porządnie.

Tu dyktator ma wiele zasługi pod względem nawet surowo od wieków nad Polską ciążącym. Edyktem swoim, wzywającym starych weteranów dymisyonowanych do obrony ojczyzny, stanowil, że każdy, wróciwszy po uwieńczeniu sprawy skutkiem zbawienia, dobrze zasłużony, otrzyma od niej w darze posiadłość gruntową prawem własności rzeczywistem.

Też była właściwa i jedyna pora przy najwyższym rygorzynie uwolnoszlachecką sprawę naszą przez własnodarstwo dziedzinne wieśniakom ziemi, ich potem sprawianej. Nie szło tu o usamowolnienie, bo w Królestwie Polskiem nie było innej cholopka niewoli, tylko niewola nędzy. W prowincyah przez Rosyę oderwanych jest przywiązanie jego do skiby, ale odwiązanie dokonać się może tylko pokonaniem Rosyi. W Polsce potrzeba i można było obdarzyć włóścian własnością.

...Najlepszym dowodem naszego poświęcenia się dla ludów, narodowości i liberalności było w kraju własnym postępowanie,



przez które bylibyśmy wleli w żyły dawnej Polski trucizną zubożniejszą dla wrogów, ożywniejszą dla niej nad cały testament Konstytucyjny 3-go maja.

...Wolaliśmy, że się bijemy za kogoś, a ten ktoś siedział spokojnie i dzisiaj na tło śmieśności cisnąc nasze pretensje, nieraz się bawi szyderstwem zbrodnicze. W domu to trzeba, w domu było dowodzić liberalności, a narodowość i liberalność w szerokiach socjalności poskokach zyskałyby nieskończenie.

Ależ za dyktatury któż podniósł głos o to? A tu był czas jedyny rzucenia tego leku przerażającego, tej sily wypieczniającej kwiecistość opieszałej krainy, bo po jej zalaniu hordami trudno było co przez ich fale przesunąć. Żołnierzowi, który poszedł bić się, trudno było coś zrobić na korzyść własności drugich, kiedy sam się z wszystkiego wyzuł, legal w śniegu lub błocie na ziemi własnej, aby jej błogość wywalczył. Wiem ja, że sprawa nasza pomyślnym skutkiem uwięczona wrychle byłaby się wypłaciła z tego długu wieków, byłaby odkupioną za swój grzech pierwotny, i pocóżbym wrzeszczał i czernił mój naród? Ach! gdyby nie los niezblagany, prawda, że z błędów naszych zrodzony i ich się uczepiony, chłopiek nasz byłby dziś najzamożniejszy z pocających ziemię; bo czegoż nam brak pod względem rolnictwa, gdzie sika tak przeważna i płodnością i obszarem nad ludność przyzłuszoną, ugorującą? Zgadżam się z tymi, co oplakują błąd ten, którzy choć nie głównie lecz wraz z tyłą innemi w roku 1831 nas zabił. Można mieć ziemię bez gruntu, drzewo bez korzenia, budowę bez fundamentów i mas? Szczególniejsza, ojcowie nasi, o których nie można rzec, by byli zbyt zazdrośni o klejnot szlachectwa dla przybyszów<sup>1)</sup>, tak twardymi okazali się dla braci chłopków. Nie bez fundamentu zdaje się zdanie: że pokolenie szlacheckie musiało być inne, które zdobywczą zagarnawszy ziemię, samo wolne, wszystko na niej w niewolę obróciło.

...O ziemię moją złodolna! czegożeśmy nie powiedzieli o tobie? Złe, dobre, mądre, głupie, żal, rozpacz wołały na przemian bez przerwy nad grobem twoim; i kiedyż zawoła radość z two-

<sup>1)</sup> Za dowód tego może służyć to, iż Izraelita, skoro przyjął religię chrześcijańską, t. j. tak zwany neofita, był już z prawa szlachciocem.

jego zmartwychwstania? Filarze zdruzgotany, a jednak sterzący! Okopie, szanocu wolności rozryty, który przelazi dzisiaj zwierzę nieczyste! Pojmieź kto łatwo, że stać się możeś zawadą najstraszniejszą i najtrwalszą przeciwko temu, coś w starych wiekach i świeżo pieściła? a jednak niemniej to pewna, że wal opuszczony zaslaniał zawsze zdobywców. Zbliży się nieco do rzeczy; Polska zabita, będzie tak właśnie zawadą dla wolności ludów, jak zmartwychwstała byłaby jej twierdzą najmocniejszą. Duch zdobywczy i rozszerzania się jest w naturze człowieka i ludów; i duch narodu nie znika w jednej chwili z ziemi: ludy konają wiekami. Polonizm przeto torturowany nie odda tchnienia bez reakcyi wieków; reakcyja ta, jeśli nie innego nie zrodzi, niewątpliwie drażnić będzie namiętność podbójczą rosyjanizmu, a to podług mnie jest najstraszniejsza trucizna dla liberalizmu Sławian.

...Kto zna nasze ujarzmione przez Rosyję ziemie, z trwogi zdradzić musi, jak tam łatwa wszelka narodowość sławiańska do zaprowadzenia i zniszczenia, bo żadna nie jest odczechowana; kto to ma na względzie, nie będzie lekceważał w sprawie naszej narodowości polskiej; ani tak niepodobnym w tym razie przenacyonalizowanie. Zabójcy nasi to dobrze czują; własnodarstwo chłopkom ziemi byłoby najwyższą ich klęską. Polonizm przeto to w grobie się młodził. Niestety! sejm nasz przeszły opieszale, zabójczo brał się do tego; prawda, że kwestyja ta co do dóbr narodowych wprowadzona, nieszczęściem trafiała na porę, w której największej dzierżawców w nichże zasiadało w sejmie, nie mogła przeto rychło zdecydować się skutecznie; odłożona, nie wziępłi wszakże, aby nie była dokonana. Dzierżawcy ci są pijawkami kraju; panoszą się dobrem ogólnem i krwawą oracza pracą. W Litwie, szczególnież Kongresową Polską objętej, taki dzierżawca prowadzi ton udziałnego księcia Niemiec, jeśli jeszcze dobrze przesiąki oberamtmanizmem pruskim. Tacy panowie przy odrodzeniu się sprawy narodowej polskiej, w swym egoizmie mało na nią rachując, ciągnęli zyski frymarczne z okoliczności złe kierowanych, uwalniali chłopków wykupujących się, a bili, tyranizowali, aby odstrzączyć od sprawy wolnej do niej powołanych, gdyż oni byli pierwszymi ludu komendantami.

Dość bito, dość tyranizowano u nas i w wojsku, a przeciw rygoryzm być musi tylko służby i obowiązku; za niemi ani ruchu palca, ale tak generał, jak żołnierz nieomylnie rozstrzelany być winien za niedopełnienie kreski zakonu, zbawić mającego ojczyznę. Był on w przeszłej sprawie naszej dość ciasny dla niższych, za przestronny dla wyższych.

**B) Polska w apostazji czyli w tak zwanym russo-sławianizmie i w apoteozie czyli w tak zwanym gallo-mopolityzmie, jako warunkach założenia i rozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy.**

Paryż 1842.

Władzą tworzącą jest rozum czysty, objawiający się w ciągłym pytaniu Czemu, wznoszącym się stopniowo aż do absolutnego *Bo*. Utrata czystości tej władzy w człowieku, konieczność posilkowania się poznaniem empirycznym jest wyptwem upadku człowieczeństwa. Dotychczasowy rozwój jego dziejów jest dążeniem do rehabilitacji, do odzyskania dla rozumu możności działania a priori, do uczynienia go Słowem twórczem. Wszystko, co dziś przyjmuje jako konieczność, pojmie wówczas jako Prawo i będzie już samodzielnie stwarzał Przyszłość mocą nieskończonej »wirtualności«. W pracy ku temu celowi zmierzającej, przeżyto już Człowieczeństwo cztery periody. Każdemu z nich przewodził cel, będący stopniem w szeregach matematycznym, ustalony oczywiście dopiero dziś a posteriori, przez rozwiązanie »wiedzywiedzy« historycznej, którego dokonał Wroński. Pierwszemu więc — po zajęciu ziemi przez prokreację siłą człowieka — periody był celem Dobrobyt cielesny czyli uczucia (Assyrja, Babilon, Medya, Persya). Drugiemu Dobrobyt moralny, polegający na wolności politycznej. Zrealizował go świat grecki, a uniwersalizował jego dokonywał Rzym, który jednak w końcu dopuścił się jego zabojuwstwa przez cesarstwo. Trzeci periody dokonał przeniesienia nakazu moralnego z zewnątrz, gdzie istniał jako pojęcie obowiązku — funkcya rozumu praktycznego — do wewnątrz, do sumienia człowieka, gdzie wystąpił jako pierwsze poczucie bóstwa w człowieku. »To jest znaczenie hebraizmu, Proroków i Mesjasza«. Ale to nowe światło przez to samo, że było jeszcze prostem objawieniem, nie mogło w tym trzecim periodyzie rozciągnąć się poza granice uczucia i wiary. Aby się stać samowiedzą i świadomą wolą, musiało przejść — po długiej walce uniwersalizujących je antytek: papiestwa i cesarstwa rzymskiego — przez periody czwarty, którego hasłem: Wolność myśli. Podstawowe tutaj principium krytyczne wydały Niemcy (reformacya). Principium to jest

jednak i rozkładowe zarazem; ustawiło ono naprzeciw siebie systematy sprzecznych opinii religijnych czy politycznych, ustawiło też w polarnych stosunkach do siebie narody. Jedyne tylko Umiejętność sama ponad to się wyniosła i utworzyła »prawdziwe stowarzyszenie umiejętnieze pomiędzy ludźmi, zapowiadające panowanie rozumu na ziemi«. Kwiatem — filozofia niemiecka. Ona to, doszedzszy do samowiedzy Słowa w człowieku, najbliższej dotarla peryody piątego, do którego wступujemy, a którego celem jest wyzwoleucie tego Słowa z zapór fizycznych »objętych organizmem jego doczesnym«, czyli danie mu całkowitej swobody twórczej. Wówczas człowiek stanie się równy Człowieczeństwu, indywidualum będzie reprezentowało tę samą »wirtualność« i nieskończoność twórczą, co i uniuersum. Że jednak od człowieka do człowieczeństwa przeskok olbrzymi, dlatego konieczny tu jest wyraz pośredni: zrównanie Narodu z Człowieczeństwem. Potem dopiero przyjdzie (w tym narodzie, który owego zrównania pierwszy dokona) zrównanie człowieka z narodem, a wówczas *eo ipso* zrównanie człowieka z człowieczeństwem. Wszystko to będzie dziełem Polski. Najbardziej ogólnonarodowa religijność a zarazem religijna jedność, tworząca z tego narodu prawdziwe Rycerswo (zakon) chrześcijański, cechy umysłowe (uniwersalna zdolności), miłośnicy stosunek do innych narodów, a wewnątrz Elekeja wolna, czyli wybór nacelnika rządu »przez tych Absolutów równości« i Liberum Veto, ten »wyraz jedyny, wielki, imponujący, majestatyczny«, który »już przypuszcza obywatela świętym« — wszystko to o posłannictwie świadczy. Niestety, tym obywatelem, który w Polsce przez *veto* zrównoważył się z państwem, był tylko szlachcisk. Było dopiero zrównanie Stanu, a nie człowieka z narodem. Stał osłabienie i wreszcie upadek: eliminacya narodu. Ale fakt ten, »zabijając naród szlachecki, nie zabił narodu polskiego, dla którego pozostało to samo zadanie do spełnienia«. Owszem eliminacya ta była konieczną dla naprawy wymienionego grzechu, a zarazem dla »okazania znamion narodu...« Wiedzieć potrzeba, iż w założeniu każdego zadania istotnem i gruntującym są warunki zatwierdzone, samą swą warunkowością wymagające warunków sprzecznych«. W zadanu Polski pierwsze ujawniły się najdobitniej w apostazji wyrozumowanej własnych dzieci. Oto Gurowski i jego obydny »wymiot« p.t. Prawda *eo do Rosyi i Rewolucyi* prowincyj polskich. Drugie wyrażają się, jako w członkach narodu »jego dzieciach, żyjących, a przez obcych, przez oddalonych uznana i dowodzona, racjonalnie grantowna Apoteoza«. I oto jest znamienne, aez grubą skorupą materializmu obarezony i zadania absolutnego Polski nierozumiejący głos Franca (Raspalla): O Polsece nad brzegami Wisły i w emigracyi. Jak apostazya ostatnim wyrazem Eliminacyi, tak znów apoteoza pierwszym wyrazem odrodzenia, smartwychwstania czyli Ewaluacyi Narodu. Autor uważa człowieczeństwo jako problem, który aby rozwiązać trzeba wyeliminować pewne wyrazy, a dopiero ewaluacya ich przeprowadzi do zrównania szeregów« (Mickiewicz). To zrównanie to solucya, etnologiczna czyli zupełne rozwiązanie narodowości na ziemi.

Ta solucya etnologiczna ma być poprzedzona naprzód solucya umy-

słowa, t. j. rozwiązaniem absolutnem wszystkich tajemnie wiedzy, następnie solucją religijną, t. j. absolutnem pogodzeniem wiary z rozumem, Prawdy z Dobrem. Autor kreśli drogę, jakimi naród jego jako wybrany dojdzie do obu tych solucyi, poczem przechodzi do trzeciego momentu solucyi etnologicznej — politycznego.

**869)** *Str. 136—144.* W całej Solucyi Religijno-etnologicznej dostrzegano się łatwo, że, lubo Religia, jako związek Nieskończoności pierwotnej twórczej ze Skończonością stworzoną, dla wyniesienia jej do stopnia Nieskończoności pochodnej, w czystości swej brana, jest w takim stosunku do wszelkiego interesu doczesnego, w jakim Stworzyciel do Stworzenia, a więc, w stosunku nieskończonym, przestępnym: wszakże, w operowaniu podniesienia ludzkości do swoich sfer nieśmiertelnych, dla jej samego ograniczenia, nie może być oderwaną od spraw ziemskich człowieczeństwa, od ufundowania sprawiedliwości powszechnej, moralnego jego odtworzenia się w stosunkach społecznych. Miłość niebieska w rozlanu się swem nieskończonym w stworzeniu pragnie zapełnić i uświęcić same interesa znikome; ani przeto zniżona jest. Jeżeli prawda, że bez sprawiedliwości niema Religii, i bez uczynków Wiary: nie przeto Doczesnością ma się określać Wieczność, tylko taka jest potrzeba jej własnej nieskończonej Przeczystości. Nie Religia zatem się zniża, lecz ziemskość podnosi się do Niebieskości w tym tu stosunku; w tem bowiem rozumieniu nie ma rozwiązania religijnego, bez rozwiązania ludzkości społecznej. Taki wpływ wzajemny nieskończoności na interesa doczesne jest trzecim momentem Solucyi Etnologicznej, Solucją Polityczną.

Starożytność, jakeśmy widzieli w Filozofii historii, rozwijając w okresie drugim ludzkości cel drugi uniwersalny na ziemi, miała za zadanie Równość Polityczną i przez nią rozwiązanie Stanu. Jakoż, równość Człowieka z Człowiekiem prowadzi do równowagi Stanów w Państwie; a przeto, w ostatecznem następstwie, do zrównoważenia Stanów z Narodem; ani tam jeszcze może Człowiek zrównoważyć się z Narodem, ani Naród z Człowieczeństwem; aż przez przyjście Zbawcy Narodów zrównoważa się Człowiek z Człowiekiem, i w tem nowem zadaniu powstaje nowy szereg rozwinięcia się społecznego ludów

chrześcijańskich, którego wyrazem nowym i niezbyt dawno osiągniętym jest zrównoważenie Stanów w Narodzie, w państwach konstytucyjnych; ale nie jest to jeszcze zrównoważeniem Człowieka w Narodzie, ani Narodu w Człowieczeństwie, a tem mniej jeszcze zrównoważeniem Człowieka w Człowieczeństwie.

Już zaś zrównoważenie Człowieka w Narodzie i Narodu w Człowieczeństwie jest działaniem społecznym jednego rządu, jedno przez drugie tylko dokonać się mogącem; a przez dokonanie ich obojga, dokona się zrównoważenie ostateczne i absolutne Człowieka z Człowieczeństwem. Przedewszystkiem zrozumiejmy się dobrze. Czegóż chce Ludzkość, tak żałośnie skargi rozwodząca na Niesprawiedliwość, panującą w każdym dotychczasowym stanie jakiegobądź państwa? Jasna jest, że woła o równowagę Człowieka w Narodzie Jego, nietylko o równowagę Stanów w Nim; gdyż Stan przeważający ciemięży Człowieka dla zbytnej od siebie ich odległości. Ale zrównoważenie Człowieka z Narodem w nich samych jest niepodobne, przeto że wyraz, w którym się równoważą, (Człowieczeństwo) nie może być niemi objęty; dokona go więc jedynie zrównoważenie Narodu z Człowieczeństwem: ale zrównoważenie Narodu z Człowieczeństwem jest niepodobne w nich samych, przeto, że wyraz, przez który się równoważą (Człowiek), nie może być niemi objęty; dokona go więc jedynie zrównoważenie Narodu z Człowiekiem; i przez tę polarność opozycyjną, obadwa dokonane, dokonują zrównania politycznego Człowieka z Człowieczeństwem. Naród tedy, dokonywający Solucyi polityczno-etnologicznej, czyli zrównoważenia Narodu z Człowieczeństwem, ma mierzyć wewnętrznemi swojemi siłami do zrównoważenia w sobie Człowieka z Narodem. Stąd świętość osobista obywatela jego jest równoważna ze świętością Narodu; ten w nim skrzywdzi i zabije naród cały, kto w czemkolwiek bądź skrzywdzi prawo, równoważące z Narodem Obywatela. Tym sposobem Naród składa się z sumy potęg z sobą i z nim równoważnych tyłu, ile jest nietylko wyrazów, ale ilości w szeregu narodowym; i tak się tylko pojmuje ta ogromna potęga, wymagalna do zrównoważenia Narodu z Człowieczeństwem. U tego przeto ludu Wszewładztwo polityczne, a nasamprzód władza prawodawcza, polegać będzie na równości Człowieka z Narodem, to

jest na zupełnej równoważności głosu Obywatela z Narodem całym. Atoli dla odległości jeszcze zbytecznej Człowieka od Człowieczeństwa, głos ten dalekim będzie, nader dalekim od znaczenia absolutnego, jakie już przecież miało miejsce w historii w sławnym Liberum Veto. Większość absolutna głosów w Narodzie takim, objawiona środkami absolutnymi, będzie Kryterium absolutnem Prawdy i Prawa. Wszakże ten charakter absolutny, przywiązany do większości, nie odbiera swojego znaczenia skądinąd, jak z principium absolutnego zrównania Człowieka z Człowieczeństwem, jako celu ostatecznego; a więc polega na absolutnej, koniecznej i rozkazującej powadze Rozumu, którego nieosiągnięta, nieskończona doskonałość niemniej przeto dosięganą być powinna; przez nią tylko nabiera wagi i znaczenia głos większości; i przez nią także ten głos większości, zbity w głos opinii, idzie kierunkiem, nadanym przez natężenie umysłu z punktu najwyższej wybujałości tej siły twórczej w narodzie. Stąd wypływa zupełna wolność dyskusji spraw publicznych, a przeto i środka koniecznego dla zbliżenia opinii, to jest Wolność absolutna druku; lecz obok tego absolutne szanowanie świętości, zarówno osobistej obywatela, jak społeczności.

Udział we Władzy Prawodawczej Człowieka w Narodzie jego jest wypływem równowagi ich z sobą w charakterze przeważającym Społeczeństwa nad Osobistością; lecz że społeczność nie może ani powinna wynosić się nad członki swoje dla własnej swej Nieskończoności; nawzajem osobistość nabywa na nią wpływu przeważnego: od jej podniesionego sumienia w stopniu równoważenia się narodowego zależy cała wysokość natężenia społecznego. Społeczność nie ma swojego sumienia, tylko w osobach swoich; nie dokonywa czynów jak przez nie. Że zaś dla zbytecznego jeszcze oddalenia Człowieka od Człowieczeństwa, sumienie to nie może być zupełne i równe; powstaje potrzeba szycowania, porządkowania osób i czynów i ich wzajemnego wpływu na siebie: to jest potrzeba władzy wykonawczej, a wogóle potrzeba Rządu i uszczęblowania społecznego. Niezależną ona jest bynajmniej od Władzy Porównawczej; i Naród, wyznający absolutną równość w obliczu prawa, może być jeszcze najgorzej uszczęblowany, najprze-

wrotnie rządzony. Jakiż rząd ma być właściwy u Narodu, rozwiązującego się etnologicznie, to jest, równoważącego się z Człowieczeństwem? Ponieważ Człowiek dalekim tu jeszcze od Człowieczeństwa, ale Naród już się ma zrównoważyć z Niem, Rząd jego ma być wykładnikiem potęgi osobistego wpływu na Społeczność, odpowiedniego temu zrównaniu: i wnet ponieważ Człowiek ma tu zrównoważać Naród, uszczęblowanie jego czyli Graduacya, wynosząc się do nieskończoności, ma się rozwiązywać przez pierwiastki, dające sumienie <sup>1)</sup> najciślejże Członkom, naród składającym, ich współdziałania, jako współczynników tego wielkiego zrównania.

Z wpływu wzajemnego na się społeczności na Osobistość, to jest, ze zrównoważenia się Władzy Prawodawczej z Wykonawczą, wypada władza pośrednia, głównie Sprawiedliwość cechująca, i jej właściwa sfera w ocenieniu względem czynów ludzkich, władza sądowa. Jakaż być winna tam, gdzie Naród ma być równy Człowieczeństwu, a Człowiek Narodowi, choć jeszcze nie przeto równy Człowiek Człowieczeństwu? W prawdzie nieśmiertelnej, w ugruntowaniu sprawiedliwości wiecznej, jest rozwiązanie absolutne Sądu: ale w stanie przechodnim ziemskości, w okresie zrównania się Człowieka z Narodem, właśnie dla tego samego zrównania się, odpowiadać ma Człowiek za sprawy swoje przed sądem swych bliźnich równych jemu; i ta jest zasada Sądu przysięgłych. Wszakże, że naród tylko mierzy do zrównoważenia Człowieczeństwa, a jego ekspresją czynną i umysłową jest Rząd jego i na powadze jego oparta siła czynna i umysłowa Sprawiedliwości i Prawa: ten sąd przysięgłych nie odbierze swego absolutnego znaczenia i powagi skądinąd, tylko z tego majestatu wszechmocy, zuniwersalizowanej widocznie, Rozumu i Prawa; wszelki Sąd jest pod jego kontrolą. Społeczność dlatego sądzi przez przysięgłych i swoją władzę, iż Osobistość przekroczyła z nią równowagę słuszną; i dlatego też właśnie Naród, równający się z Człowieczeństwem, ma eliminować to zerwanie, a więc i potrzebę samego Sądu. U niego świętości i szanowanie osobiste mają być kładzione na rita ze sprawiedliwością samą; nie

<sup>1)</sup> Sumienie znaczy u Bukatego tyle co świadomość.



wolno przez sprawiedliwość krzywdzić nikogo. Że zaś pójdzie pod sąd jest krzywdą najwyższą, zarówno skarżący jak oskarżony pod sąd i ten sam rygor prawa zewnętrzny iść winni; tak się odejmie zbyt pochop obraźliwości i szukania sądu; a rygor sprawiedliwości wstrzyma zbrodniarza. Przez jedną najmniejszą niesprawiedliwość więzi się ludzkość cała. W równoważeniu się absolutnem Człowieka z Człowieczeństwem ani równy, ani społeczność cała, mieć nie będą, ani prawa, ani mocy sądenia Człowieka, dla zrównanej jego Indywidualności z Uniwersalnością.

Wypadkiem Sądu jest Kara. Kara absolutna jest kara śmierci; będziec ona miała miejsce w Narodzie, równoważącym się z Człowieczeństwem? Odpowiedź na to prosta: o ile przez Naród mierzy Człowiek do swej równowagi z Ludzkością, kara absolutna już zniesioną być winna; o ile oddalonym jeszcze, trwać w swej zupełności musi. Wypadkiem tego jest: Znosi się kara śmierci, ale tylko usunięciem powodów i środków zasłużenia i podlegania jej. Trudne to wszystko; ale takie jest zadanie dla Solucyi polityczno-etnologicznej.



Opracował: DR JOZEF UJEJSKI.

CXI.

## LUDWIK KRÓLIKOWSKI.

(1799—1878 ?).

Pisarz ten i opowiadacz »słowa Bożego« emigracyjny umarli zapomniany tak, że krótkiego bodaj nekrologu nikt o nim nie napisał. Listy jego, których spory plik przechowuje muzeum Rapperswilskie, a kilka także biblioteka Jagiellońska, mało kiedy zajmują się osobistością piszącego, do życiorysu niewiele zatem przynoszą szczegółów; niezbyt wiele też i skądinąd można ich było wydobyć. Z faktu, że do Album uniwersytetu warszawskiego zapisany został 10 września 1828 r. jako 24-letni, trzeba wnosić, że urodził się w r. 1799. Miejsce urodzenia: Piotrkowice, obwód Słobnicki; gimnazjum i matura w Kielcach. W uniwersytecie zapisał się zrazu na wydział budownictwa i miernictwa, ale już w r. 1824 przeniósł się na oddział administracyi wydziału prawa i tam też na podstawie rozprawy p. t. »Rozbiór krytyczny opisu statystycznego Prus, znajdującego się w dziele Steina: Handbuch der Geografie und Statistik II. str. 167—300« i egzaminu, odbytego 27 września 1827, otrzymał stopień magistra administracyi. Ale studia jego ówczesne znacznie przekraczały te granice, jakiegoby z dat urzędowych wynikały. Wypełniając w kilkadziesiąt lat później jakiś kwestyonaryusz, tak przedstawia obraz swego wykształcenia w odpowiedniej rubryce: »Un peu familiarisé avec le grec ancien, le hebrau, avec l'anglais, je sais le polonais, l'allemand, le latin. J'ai étudié le droit, la physique, la chimie, les sciences naturelles, la culture de plantes, l'anatomie, physiologie vegetale, humaine et surtout, autant que j'ai pu, j'ai cherché à approfondir tout ce, qui concerne à la question sociale et les destinées de l'humanité, sans même négliger la théologie«. Jakoż dochowane w rękopisie prace, pisane na uniwersyteckie konkursy, wykazują istotnie wcale niepoślednie odczytanie przyrodnicze i filozoficzne, a zwracają się zawsze ku najbardziej już wówczas zaprzątającej umysł

autora kwestyi »szczęścia społeczeńskiego«. Jedna z nich — odpowiedź na pytanie: »Okazać, co należy rozumieć przez uwagę, odznaczyć ją od innych władz umysłowych, wyłuszczyć jej działania i określić tych działań granice i t. d.« zdobyła nawet Królikowskiemu w r. 1827 drugą nagrodę t. j. medal złoty mniejszy<sup>1)</sup> i to na wydziale filozoficznym. Tak w tej jak i w innych, wcześniejszych od niej pracach (por. wykaz rękopisów na str. 442) uderza przedewszystkiem oryginalny zespół materyalistycznego tłumaczenia wszelkich zjawisk, nie wyłączając psychicznych, teoryi poznania, jakby od A. Comte'a przyjętej, z równoczesną głęboką wiarą w prawdę i boskość nauki Chrystusa. W niej widzi Królikowski najwyższe i jedyne rozwiązanie kwestyi społecznej. To zarazem najważniejszy zadatek tych lat na przyszłość.

Związany był najściślej przyjaciąnią, wspólnością studiów i ideałów z kolegami Teodorem Olechowskim i Bogdanem Jańskim. »Wzłem naszej przyjaźni — pisze w jednym z listów — była miłość ojczyzny, nauka i apostołstwo. Uznaliśmy, że połączenie nasze we trzech było spełnieniem rady ewangelijnej i dawało nam rękojmię spełnienia wszystkich obietnic Chrystusowych, tak w nas jako i w Ojczyźnie«. W r. 1827 wyruszył Królikowski z Olechowskim do Paryża. Stał w nim jednak dopiero w 1828 i to bez przyjaciela, którego choroba i śmierć w Berlinie zatrzymała go w tem mieście przez dłuższy czas. W Paryżu zastał już Jańskiego, który otrzymawszy stypendjum rządowe, wnet za nimi pojechał. Wkrótce razem utonęli w Saint-Simonizmie. Niebawem jednak przyjaźni nie wiadomo z jakiego powodu, ostygła, aż wreszcie rozłączył ich zupełnie r. 1831. Jański pozostał nadal w Paryżu, a Królikowski 11 kwietnia wyjechał do Warszawy. Przybywszy tu z początkiem czerwca, wstąpił zaraz do redakcyi »Gazety polskiej«, w której często umieszczał radykalne artykuły, a równocześnie, będąc członkiem Towarzystwa patryotycznego, od połowy lipca zasiadając nawet w jego Radzie, już tam podobno »zalecał Chrystusa i jego despotyzm«. Opaścił Warszawę jeszcze przed jej zdobyciem. Już 7 września tego roku otrzymał od Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego upoważnienie do założenia prywatnego pensjonatu wychowawczego w Krakowie. Zakład ten zdobył sobie wnet wyborną reputacyę, a Królikowski, dzięki niej, nawet skromny majątek. Wśród wychowanków nie brakło nawet paniczów, mimo że wychowawca służył z ogromnej surowości, a był przytem zdeklarowanym wrogiem klas uprzywilejowanych. Całą duszą łączył się z »zasadami ludowemi« wyprawy Zaliwskiego, a wnet i swoje ogłosił w bezimiennym artykule, na ręce Mickiewicza przesłany i drukowanym w ostatnim półarkuszu »Pielgrzyma« (1834) p. t. List apostołski z Warszawy. »Książki pielgrzymstwa« musiały głęboko trafić do jego serca, i to tak treści swojej

<sup>1)</sup> Wiadomość o tym medalu, zarówno jak poprzednią o dacie i miejscu urodzenia, oraz o rozprawie i dyplomie magistra, zawiądzam p. Józefowi Bielińskiemu.

jak i tonem. I on bowiem całą swoją doktrynę społeczną wy dobył z Ewangelii. Wierzy mocno w rychłe spełnienie przepowiedni Apokalipsy, w Śąd ostateczny nad dzisiejszym światem i nastanie Królestwa Bożego, w którym lud sam będzie spożywał owoce swojej pracy, w którym i sług, w którym lud sam będzie sprowadził owoce swojej pracy, w którym nie będzie »oszustwa handlowego, ani wojny przemysłowej, ani nędzy i ucisku«. Wierzy też, że Polska jest tym kamieniem odrzuconym od budowy, o którym mówi Ewangelia, że ona przeto stanie się natychmiast stawianiem fundamentów. Całe to orędzie Królikowskiego jest wielkiem do niej o to wolaniem. Nie przypuszczał może wówczas, że niedługo sam stanie w jej szereżach. We wrześniu r. 1839, na skutki niedługo sam stanie w jej szereżach. We wrześniu r. 1839, na skutki orzeczenia policyi, że daje w swym zakładzie zatrudnienie osobom »pod względem politycznym mocno skłompromitowanym«, że zatem »jeżeli podobnych zasad nie podziela, to przynajmniej, jako niedosyć przezorny w doborze nauczycieli domowych, zdaje się nie posiadać stosownych do stanu nauczycielskiego usposobień« — Senat Rządzący »wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego« miasta Krakowa zamknął mu pensjonat. Jeszcze przed końcem tego roku znalazł się z żoną (ożenił się prawdopodobnie w pierwszych latach pobytu w Krakowie) i dwójkiem małych dzieci w Paryżu. Nadszarpany majątkowo nagłem zwinięciem zakładu, wyszukał sobie zaraz jakieś zajęcie, przynoszące 1500 franków rocznie, i wziął się natychmiast do pracy apostołskiej. »Gdy powstanie gdzie dadno doskonałej społeczności, gmina wzorowa, cała ludzkość t. j. wszyscy wybrani zleca się do niej« — pisał wów czas do J. N. Janowskiego. Chciał tedy czemprędzej taką gminę stworzyć, aby w ten sposób emigracya spełniła swoją misyę. Z istniejących stronnictw nie zadawało go żadne. »Dla sprawy naszej Bożego i apostołów, którzyby jej opowiadali«. Werbował tedy do swej sprawy dawnych kolegów i znajomych (przeważnie bezskutecznie), a równocześnie wydał pierwsze obszerniejsze swoje pismo, w którym wyłożył, na jakim to piśmie Bożem ma być wzorowa gmina oparta. Rzecz ta, w Krakowie jeszcze napisana, nosi tytuł: »Westchnienie pobożne za dynastyę Czartoryjskich w Polsce, przesłane z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu«. Poruszony wieścią o powstaniu stronnictwa monarchicznego na emigracyi, uznał Królikowski za właściwe zwrócić się wprost do samego króla *de facto* z groźnym wezwaniem do pokuty i pouczy go o obowiązku chrześcijaństwa w istotnym tego słowa pojęciu. A trzeba z góry powiedzieć, że pojęcie to nie miało u Królikowskiego wspólnego z religią w zwykłym znaczeniu. Przemawia on wprawdzie zupełnie jak rozplumieniony kaznodzieja z ambony, posługuje się setkami ale tysiącami cytat z Pisma świętego — ale w gruncie rzeczy chrystyanizm jest dla niego tylko najdoskonalszym systemem społecznym — systemem urzeczywistnionym niegdys przez pierwszych



Sam należał wówczas do redakcyi pisma »Zjednoczenie«, organu »gminy« polskiej w Hawrze, ale że w opiniach często się z niem nie zgadzał, począł od r. 1842 wydawać własną »Polską Chrystusową«, której trzy grube zeszyty ukazały się w latach 1842, 1843 i 1846. Komplet objętości przeszło 750 str. a w tem przeszło 650 samego Królikowskiego. Nadał on bowiem tej rzeczy charakter pisma peryodycznego tylko dlatego, że to najlepiej odpowiadało rodzajowi jego talentu. Cała jego obfita twórczość to właściwie szereg kazań. Prawił w gruncie rzeczy zawsze jedno i to samo, tylko w różnych przystosowaniach, nie wychodził przytem nigdy poza obręb ogólników, nie potrafił też skonstruować jednolitego dzieła, któreby przedstawiło wreszcie zupełny obraz jego idealnego społeczeństwa we wszystkich szczegółach życia i rozwiązywało, bodaj w teorii i pozornie, trudności jego urzeczywistnienia. Poprzestawał na pisanie krótszych lub dłuższych artykułów, a raczej listów apostołskich, które składał potem w całe tomy. Tu, w »Polsce Chrystusowej«, w obszernym artykule p. t. »Zjednoczenie« podał wreszcie niby plan zewnętrznej formy zespolenia się ludzi. Dowiadujemy się z niego, że każdy powinien sobie wyszukać dziesięciu umiłowanych braci i uspołecnić się z nimi i ich rodzinami w jedną rodzinę. Dziesięć takich rodzin utworzy orszak, dziesięć orszaków gromadę, dziesięć gromad gminę, dziesięć gmin zastęp, dziesięć zastępów naród, dziesięć narodów szczep, dziesięć szczepów wszechwładztwo. Dowiadujemy się dalej, że każda rodzina wybiera sobie jednego sługę dla swych spraw duchowych, Bogumila, i jednego dla swych interesów materialnych, Bogusława. W orszaku Miłowite i Sławowite tworzą osobne dwie Rodziny służbowe, i oni już tylko wybierają wśród siebie Chrystomila i Chrystostawa. Tą samą metodą idzie dalej wybór sług Bożych aż do Wszemila i Wszewłada, a odbywa się wszędzie jednomyślnie, w zupełnem pozanowaniu indywidualnego *liberum veto*, bo nie można nikomu inaczej, jak tylko miłościwie t. j. dobrowolnie być posłusznym. Ale co teraz ci ludzie w takim społeczeństwie robią, jaki jest podział pracy i jej harmonia i t. d. tego nie dowiemy się ani tu, ani nigdzie.

Można natomiast z »Polski Chrystusowej« lepiej niż z innych dzieł Królikowskiego poznać to, co stanowi rodzaj jego metafizyki. Jest on w gruncie rzeczy panteista. Bóg przedstawia mu się jako powszechność, której najistotniejszym atrybutem, niemal samą istotą, jest miłość. Stąd najwyższem znaniem człowieczeństwa, jako stanu natury najbliższego Bogu, jest usposobienie społeczne. A im bardziej wyrzeka się człowiek osobniewa czyli indywidualności, a zlewa się z ogółem, rozpuszcza w zbiorowym duchu swoje ja, tem jest podobniejszym Bogu, tem mędrszym i potężniejszym. Osobnik to zwierzę, bo tej najbardziej Boskiej cechy t. j. powszechności się wyżył. Człowiek stopiony duchowo z ogółem, czuje się nieśmiertelnym, czuje żywot wieczny, bo ludzkość jest nieśmiertelna, tylko jednostki umie-

rają. Wolę Bożą stanowią odwieczne i niezmiennie prawa przyrody. W odniesieniu do siebie znajduje ją człowiek w głosie wewnętrznym swego sumienia (podobnie Towiański). Królikowski nie wątpi, że kto się w ten głos wsłuchaje, ten niezawodnie znajdzie tam nakaz miłości społecznej, i gdyby ludzkość nigdy żadnych innych, prócz tego jednego, nie słuchała głosów, gdyby jej nigdy czyjaś osobnicza, ludzka na miejsce Boskiej wdzierająca się wola, narzeczana nie była, to królestwo Boże, jedna oweczarnia, dawnoby już było urzeczywistnione. Będzie jednak i tak, bo od Boskich praw przyrody można zbroczyć, ale triumf ostateczny zawsze przy nich być musi.

»Polska Chrystusowa« jest jedynem pismem Królikowskiego, które nosi jego nazwisko i to tylko jako wydawcy. Wszystkie inne są bezimiennie. Stąd też tylko w związku z tem jednym dziełem zachowała się jego pamięć; a i to tylko głównie dzięki Mickiewiczowi, który je w swych wykładach wysoko podniósł, a autora zaliczył nawet do rzędu głównych filozofów polskich. Niemniej prawie poważnie traktuje go Libelt. Tylko Trentowski — zanim jeszcze w »Panteonie wiedzy ludzkiej« poddał obszerniej krytyce »Polskę Chrystusową«, już teraz w liście bez ogródek Królikowskiemu powiedział, że »na filozofii nie zna się wcale«. A w korespondencji był z nim dość częściej, bo naprzód Królikowski usiłował go, jak tyłu innych, nawrócić na swoją wiarę, a powtórę, począwszy od r. 1842, miał swoją własną księgarnię (słowiacką) i Trentowski wszystkie swoje dzieła w komis mu powierzał. Czynił to także i Słowacki, który zresztą, podobnie jak Mickiewicz, pokrowieństwo pewne idei między Królikowskim a sobą upatrywał. (Por. Dzieła Słowackiego t. X, str. 350). Poza pracą apostołską i zarobkowiemi na utrzymanie rodziny, zajmował się jeszcze K. w tych latach bardzo gorliwie sprawą szkoły dla dzieci emigrantów, późniejszej batygolskiej. Od początku t. j. od maja 1841 r. zapisany w poczet członków założycieli Towarzystwa wychowania narodowego dzieci wychodźców polskiego, miał tam z początku, jako były kierownik zakładu wychowawczego, głos bardzo poważny. Wybrano go na członka Rady, używano do redagowania odezw, powierzano wypracowywanie programów, oddano do spółki z generałami Dwernickim i Sznajdem administrację fundusów, chciano nawet oddać dyrekcję zakładu. Tej wówczas nie przyjął. Pracował energicznie przeszło rok, potem nagle dobrowolnie wystąpił z Rady, aby swą nieszczęśliwą w rządzie francuskiego reputacją dziełu nie szkodził. Przyjęto ten krok z żalem. Ale kiedy w r. 1843, już po otwarciu szkoły, na nowo wstąpił, zaczął niebawem swem doktrynerstwem ciężać, aż wreszcie, z powodu sporu z posłem Ledochowskim i zacietości, z jaką tym sporem posiedzenia całe zaprzętał, został w czerwcu r. 1844 zmuszony moralnie do powtórnego ustąpienia, tym razem niepowrotnie<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Wszystkie szczegóły, dotyczące działalności K. w Towarzystwie  
32\*



Okolo r. 1846 widocznie zdobył nareszcie jakieś grono zwolenników, bo bezpośrednio po »Polsce Chrystusowej« rozpoczął wydawać nowe pismo, »Zbratnienie«, już jako organ »Braci zjednoczonych«. Jest to po prostu dalszy ciąg »Polski«, tak pod względem doktryny, jak i formy. Różnica tylko w tem, że mniej tu odsyłaczy do Pisma św. a więcej polemiki ze stronnictwami i dziennikarstwem emigracyjnem. Więcej też artykułów obcego pióra. Wyszedł jeden obszerny zeszyt tego pisma w r. 1847, zaczął wychodzić drugi z początkiem r. 1848, gdy nagle wstrząsnęły umysł Królikowskiego wypadki lutowe. Zrazu, wbrew swej dawnej teorii unikania walki orężnej, którą już w trzecim zeszycie »Polski Chrystusowej« (z r. 1846) porzucił, uderzył na ostatnich marcowych kartkach »Zbratnienia« w hasło powstania. Rzucił przytem odrazu szkic projektu organizacji sił narodowych, analogiczny zupełnie do przedstawionego powyżej planu społecznienia. Wnet jednak stracił nadzieję urzeczywistnienia tego planu, począł nawet prawdopodobnie wierzyć, że Francya Polskę w zgotowaniu Królestwa Bożego wyprzedzi, i wtedy to oddał się w całkowite lenno duchowe sławnemu podówczas twórcy t. zw. ikaryjskiego komunizmu, autorowi wielkiego utopijnego romansu »Voyage en Icarie«, Stefanowi Cabet. Pisma Cabeta jeszcze w r. 1841 polecał J. N. Janowskiemu, a w r. 1846, z widocznym już uwielbieniem, Trentowskiemu. Teraz może niedawno wydane dzieło »Le vrai Christianisme« przekonało go o zupełnej identityczności zasad — dość, że już w r. 1847 jest współpracownikiem organu Cabeta »Le populaire«, a od chwili, w której Cabet wyjechał do Ameryki, aby tam osobiście urządzić swą gminę komunistyczną (Ikaryę), t. j. od ostatnich dni grudnia 1848 r. zostaje naczelnym redaktorem tego pisma i pełnomocnikiem swego mistrza we Francyi. Trwał na tem stanowisku do października 1851 t. j. jak długo »Populaire« wychodził, oddany całą duszą. Ogromna korespondencja, jaką w tych latach z Cabetem prowadził, świadczy o bezgranicznem wprost przywiązaniu i poświęceniu. Przyplacił je nawet chwilowem więzieniem w czasie, gdy rząd francuski, chcąc zabić na opinii popularnego, a niebezpiecznego, jak miałem, agitatora, wytoczył Cabetowi w jesieni 1849 proces o oszustwo, a sąd (niesłusznie) zaocznie go skazał. W ciągu czasu od r. 1849—1851 wydał znów Królikowski szesć broszurek francuskich pod wspólnym tytułem »Système de Fraternité«. Obejmują one, zwykłym a niego trybem, jego własne artykuły z »Populaire'a«, a także korespondencje innych tego pisma współpracowników, z Cabetem na czele. W doktrynie nie się tu nie zmieniło poza tem, że o posłanictwie Polski niema mowy. Za najdonioślejszą rzecz w tem dziele sam Królikowski uważa to, że usunął niby wszelką sprzeczność między komunizmem a wolnością. Już

stwie wychowania dzieci wychodźców polskich, zawdzięczać niezwykle uprzejmej pomocy p. W. Gasztowta w Paryżu.

w poprzednich pismach dowodził on, że w marzonym przez niego społeczeństwie — choć osobnik jest niczem, a gmina, czy zastęp, czy naród, czy — i t. d. wszystkim — to jednak równocześnie panuje największa swoboda. Nikt tu nie żąda jednoci wyznania, każdy może wierzyć, w co mu się żywnie podoba; nie żąda też nikt jednoci myśli i zdania, owszem zachowuje się prawo liberum veto, i nikt nie powinien być nikomu i niczemu inaczej posłuszny, tylko miłościwie t. j. dobrowolnie. Jedynym obowiązkiem prawdziwa miłość braterska. Ta będzie zawsze »strojem w rozstroju«. Otóż ten paradoks w »Zbratnieniu« i w »Système de Fraternité« rozwija w szczególnym naciskiem.

Ostatni zeszyt Système, najobszerniejszy i całą tę »teoryę szczęścia społeczeńskiego« wykładający, wyszedł w maju 1851, właśnie nie w chwili, gdy do Paryża wrócił Cabet, aby osobiście bronić się przed Trybunałem apelacyjnym, sądzącym powtórnie jego sprawę. (Trym Cabet był zupełny). Wydawcietwo wyznaczył nie znalazło taski w oczach mistrza. Nietylko tożsamości zasad między nim a sobą Cabet nie stwierdził, ale nawet osądził, że Królikowski jego ideę podkopyje. A głównym kamieniem obrazy było właśnie to, czem się autor Systemu najbardziej szczylił — owo rzekome pogodzenie komunizmu z wolnością. (Nawiasiem powiedziawszy, to najbardziej oryginalne marzenie Królikowskiego było zarazem pierwiastkiem rodzimo-polskim w jego nauce, bo przecie nie o inną, tylko o dawną szlachecką wolność tu chodzi). Nieporozumienie, które Królikowski nad wyraz boleśnie odczuł, zaczęło się wnet coraz bardziej powiększać przez intrzygi jego kolegów w redakcyi »Populaire'a«, wreszcie nawet kobiece (pani Cabet), aż z kołosem 1851 r. stosunek z Cabetem rozchwiał się zupełnie. Musiało to ogromną gorączką napędlć Królikowskiego, bo odtąd milknął na czas dłuższy. W r. 1854 próbował zapoczątkować drogą korespondencyi jakąś organizację komunistyczną polską w Ameryce, ale te zamysły przerwała mu jakaś ciężka kłębka materialna, która zmusiła do myślenia przedewszystkiem o chlebie. W poszukiwaniu go znalazł się w latach 1854—1856 w Bordeaux, gdzie otrzymał zajęcie w »Compagnie des chemins de fer.« W r. 1855 zamysłał o przeniesieniu się do Ameryki i już wchodził w układy z jakimś Towarzystwem kolonizacyjnym; w r. 1856 znalazł się nakoniec z powrotem w Paryżu, gdzie odtąd przez lat kilka nastąpił pracował na życie w biurze pewnego przedsiębiorstwa budowy okrętów. Ustaliwszy w ten sposób swój los, zabrał się natychmiast do nowej pracy apostołskiej. Zrazu w związku z jakąś nieznaną bliżej Alliance chrétienne universelle projektował propagandę tego stowarzyszenia wśród Słowian, a należał do niego jeszcze w r. 1861. Ale już w następnym formuje znów z Fourierystą Czyńskim, z którym jeszcze w »Polsce Chrystusowej« polemizował, jakiś nowy związek, z samych Polaków i Żydów złożony. Równocześnie zaś — zapewne dla zawstyżenia opornych jego propagandzie ludzi, wydał »Pochwałę rodu

gęsiego», który żyje według prawa Bożego, zawsze społecznie, nie znając zupełnie osobnictwa. Przemyt:

Nigdy myśl żadnej gęsi nie sięga poza grób,  
Bo nigdy nie wychodzi ze społecznych prób.

Cały ten utwór, krótki zresztą (48 stron), jest... poematem. Królikowski już w »Polsce Chrystusowej« i w »Zbratnieniu« występował z wiernszami. Doradzając mianowicie jako dobry środek do wchodzenia w komunję duchową z braćmi śpiewy chóralne, sam sporządził do tego celu różne pieśni, hymny i pobożki. Czasem też trafi się bajka, czasem żwawość, będący prostym przekuciem w rymy krótkość z własnych ustępów prozaicznych.

Powstanie 1863 skierowało żar apostoła Królikowskiego na nowo z wielką siłą ku Polsce. Wiedział on dobrze, że się na powstanie zanosi, i w »Pochwale rodu gęsiego« ostrzegł przed dyktaturą. Bał się go może, bo w tym samym utworze powraca do swej dawnej teorii antiorzędnej, którą był w ostatnim zeszyście »Polski Chrystusowej« na »Rozbudki powstańcze« zamienił. Wnet też po upadku (1865) wydał grubą książkę p. t. »Zbawienie ojczyzny hasłem naszym«, w której »wszelkie niedojrzałe, na oślep czynione, patryotyczne niby przedsięwzięcia i usiłowania, które prócz rozdrażnienia i rozwścieklenia wroga, a strasznych klęsk narodowych, nie mogą mieć żadnego innego skutku«, wprost »glupkami, jeżeli nie w najwyższym stopniu zbrodniczymi«, mieni. Tem goręcej też odzywa się tutaj do młodego pokolenia, do nowej emigracji przedwzrostkiem, aby zamiast takich porywów, doskonalsko »społeczność« co prędzej realizowała, i na nowo jej obraz szeroko a rozwlekle, ogólnikowym zawsze i kasmodyjskim sposobem roztacza, nową paczkę wierszy też przydając. Dzieło to ma zresztą podtytuł: »Słowo z powodu pisma jakiegoś jegomościa, niby Anioła Bożego z Amatei, a rzeczywiście najemnego służalca ciemniństwa habsburskiego w Polsce«. Chodzi o list pasterski ks. Antoniego Gałęckiego, biskupa amatejskiego, administratora diecezji krakowskiej, wzywający do lojalności wobec rządu i cesarza austriackiego, a ostrzegający przed agitacją powstańczą, a zwłaszcza odezwą p. n. »Supremax salus populi«. Ale w rzeczywistości ataki i obelgi na kościół rzymski, jakie ten list tutaj wywołał, pozostają w takiej samej tylko proporcji do reszty treści, jak i w poprzednich pismach tego autora. Uderzają natomiast bardzo gorące wezwania do Żydów. Był już wprawdzie i w »Polsce Chrystusowej« artykuł p. t. Słowo do Żydów, mieniący ich starszą bracią Polaków w świętem powołaniu, a wzywający do nawrócenia i wspólnej pracy nad Królestwem Bożem, ale tu, — zapewne pod wpływem wspomnianych już usiłowań organizacyjno-apostolskich, wspólnie z Czyńskim podjętych, kwestya ta została wprowadzona daleko goręcej a szerzej.

Jak się owe usiłowania skończyły, nie wiadomo; z końcem r. 1866 jest Królikowski członkiem, a zapewne i założycielem związku p. n. »Zbratnienie wszystkich wyznań«, ale wśród nazwisk apostołów tego związku, które komunikuje w liście Mierosławskiemu, niema ani jednego z tych, które poprzednio spotykamy w korespondencji z Czyńskim. Niema i samego Czyńskiego, choć jest inny Fourierysta, St. Bratkowski. To pewna, że były to wszystko działania, nie mające nic wspólnego z ówczesnymi głoszącymi organizacjami socjalnymi, bo Królikowski utopijnością wszystkie przerażał i ze swym *liberum veto* nigdzie nie musiał obserwować i wszędzie głosił ze swego jednak wszystkie pilnie musiał obserwować i wszędzie głosił ze swego Królestwa Bożego nastachował. Teraz zainteresował go z jednej strony panslawizm, z drugiej nihilizm rosyjski. Już dawniej, wsiądc o »Chrystusowej Polsce«, pragnął, aby ona stała się bramą naprzód o Chrystusowej Słowiańszczyzny, a poza tą dopiero wrota Chrystusowej Ludzkości — jednej owczarni, mu widniały. Ale dotąd ta Słowiańszczyzna nie miała w jego pismach żadnej wyraźnej treści, bo nie wiedział, do jakich Słowian poza Polakami warto się odezwać. W r. 1868 nareszcie postanowił zaapelować do nihilistów. Jakież trudności jednak opóźniły wydanie tej odezwy aż do r. 1874, a że tymczasem narosło różnego materiału, więc książka, która się w owym roku w Zurichu (a więc w głównym gnieździe nihilistów) ukazała, jest jedną z najgrubszych, jakie Królikowski wydał. Tytuł nosi: »Do Panslawistów. Pogłosz z odwiedzin niby słowiańskich w Moskwie 1867«. Ale temu tytułowi odpowiada naprawdę tylko pierwszych trzydziści parę stron, wypełnionych rymowanemi obelgami na ówczesnych przedstawicieli panslawizmu, którzy »dla rozbju tylko chcą być Słowianami«. Potem idzie około 2000 maksym, najczęstiej dwuwierszowych, streszczających całą doktrynę, wszystkie jej marzenia, wszystkie miłości i nienawiści. Pouczają o idealnej gminie słowiańskiej, czyli naprawdę »prawosławnej«, o jej rozwoju aż do Wszecchności, pouczają o tem, co to jest Prawda i jak ją poznać, o tem, co to jest prawdziwy Chrystus, to znów przedstawiają dzisiejsze zaślępienie Żydów i wzywają ich, aby z niego wyszli, jak Jonasz z wnętrzości ryby, to znów głoszą konieczność i świętość *liberum veto*. Jedne i te same myśli, powtarzane wciąż na tysiące nareszcie do upragnionej całej tej powódź rymów, aby dotrzeć nareszcie do upragnionej prozy, która w postaci obszernego pisma »Do Braci Moskali Nicestniaków« stanowi właściwy punkt ciężkości całej książki. Królikowski ceni w nich zresztą tylko dobrą wolę i na tej podstawie spodziewa się nawrócenia, ale teorie ich, poznane czy to z artykułów w piśmie »Narodnoje dielo«, czy z występowania Bakunina na kongresie Ligi wolności i pokoju w Bernie (1869), potępia najzupełniej. Są one bowiem, jego zdaniem, wyłącznie negatywne, »nicestne«, nie mówią nic o Chrystusie i o jedynej społecznej ustawie: prawie miłości; owszem, i Boga i Chrystusa zupełnie się odrzekają.

namiast szermują Proudhonem, którego Królikowski w dawnej chowa nienawiści, wreszcie pozytywnie „Koncjalów i Litraczków” (od Comte’a i Littré’go), który może mieć wartość dla nauki, więc dla niektórych, ale zgola nie ma wartości religijnej czyli społecznej, więc dla wszystkich. Przedewszystkiem żaden system społeczny, choćby najlepszy, nie może być zrozumiany i z pełnią świadomości przyjęty przez wszystkich, bo wszakże większość ludzkości jest nieświadoma. W rezultacie więc trzeba go tej większości narzucić, tak samo jak ukazy, przemocą egzekwować, zbawiać zaimo woli zbawianych. To się godności ludzkiej sprzeciwia. Tymczasem Królikowski głosi jedną tylko Chrystusową zasadę miłości i zbratnienia, a to nie teoria ani prawodawstwo, tylko praktyka. Ale „Koncjalci” ani do teorii dobrej dojść nie mogą, bo oni to, co być powinno, określili usiłują na podstawie tego, co było i co jest — tak właśnie, jakby ze znakomości można było wysnuć wiecznotrwałość. Bracia Królikowski tę długą polemikę Odezwą miłościwą do Braci Moskali Niceści-niaków, powołującą dwunastu Apostołów Słowian do prawdziwej służby Bożej, propagandy samej tylko miłości braterskiej. Sam nie poniechał jej do ostatniego tchnienia. Z listów wynika, że jeszcze w 1875 r. miał około siebie grono ludzi, z którymi odprawiał wspólne „modły”, a znajdując za mało zwolenników w Paryżu, starał się koniecznie ściągnąć nowych to z kraju, to ze Szwajcaryi. Układa w tym czasie nowy *Projet de Statut pour la Société fraternelle*, zaczyna też pisywać do „*Religion laïque*”, pisma redagowanego przez niejakiego Karola Fauvety, gdzie np. podaje *Explications des Mystères du Christianisme*. Czując coraz większy ciężar wieku, pragnął koniecznie znaleźć jednego przynajmniej człowieka, któryby go mógł kiedyś w „Służbie świętej” zastąpić. Upatrzył sobie nawet do tego celu jakiegos młodego Polaka, który świeżo w Monachium doktorat medycyny uzyskał, i wzywał go przez kilka lat szeregiem gorących listów. Z końcem r. 1876 przeniósł się do Ameryki, do swojej, zamieszkałej w New Yorku, zamężnej córki. Częścią może upadające zdrowie kazało mu szukać jej opieki, częścią zaś spodziewał się znaleźć tam nowe pole działania. Jakoż choć od sierpnia 1877 jest już sparaliżowany, nie ustaje w pracy ani na chwilę. Cudzą ręką się wyręczając, pisze jeszcze odezwy i artykuły apostołskie do „*Etoile du Kansas* et de *Jova*”, pisma Juliusza Leroux. Wzywa tamtejszych Ikarzyczyków do porzucenia „le malheur originare de Cabot et de ses disciples” qui „avait sa source dans leur prétension chimérique de marier la Fraternité, la Dictature et le Parlamentarisme”. Tamże drukuje „*Appel apostolique, adressé aux Reverends Pasteurs des toutes les Cultes*”, po którym spodziewa się doniosłych skutków, a w przygotowaniu ma takich publikacji daleko więcej. Równocześnie zaklina wciążowego przyjaciela lekarza, aby przybył do Ameryki, gdzie zupełna swoboda działania, a 300.000 Polaków oczekuje apostoła. Oddanie komuś godnemu wy-

sawającego się już ze stygnącej ręki dzieła, staje się teraz głównym pragnieniem fanatycznego starca. Nie mając już przed upatrzonym spadkobiercą żadnych tajemnic, wyjawia mu wreszcie w przedostatnim liście z 1 sierpnia 1878 rzecz, której w pismach swych nie śmiał wyrazić wyraz — przekonanie, że Chrystus nigdy nie istniał „*Le Christianisme n’a pas été conçu et fondé par un seul individu, mais par un certain nombre de patriotes Juifs, les plus exaltés, qui voyant leur plus pur dévouement tout a fait stérile contre la puissance romaine, dans leur recueillement et dans leur piété la plus exaltée furent inspirés et éclairés des idées mieux fondées et plus salutaires, non seulement pour leur patrie, mais pour toute l’Humanité.*”

Osobliwie zjawisko! Wielcy meşanisci polscy upatrywali w upadku Polski analogię z meşą Chrystusa — Królikowski odwrotnie: początki Chrystyanizmu wytłumaczył sobie najwyraźniej przez analogię ówczesnego położenia Żydów do dzisiejszego położenia Polaków.

Umarł Królikowski najprawdopodobniej jeszcze w tym samym r. 1878.

#### BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma: A) Drukowane. 1) „List apostołski z Warszawy”. — „Piełgrzym” (czasopismo paryskie) 1834. 2) „Westchnienie pobożne za dynastją Czartoryskich w Polsce, przesłane z ziemi uciaku do synów jej w rozproszeniu”. Paryż 1840. 3) „Przedmowa do książki p. t. *Memoryał historyczny i polityczny o stanie obecnym W. M. Krakowa i jego okręgu, na poparcie Adresu obywateli krakowskich podanego Rządowi francuskiemu i angielskiemu w październiku 1839, z dołączeniem zbioru dokumentów*”. Paryż 1840. 4) „Toż samo po francusku p. n. „*Mémoire historique et politique sur l’état actuel de la ville libre de Cracovie*”. Paryż 1840. 5) „Przedmowa i bardzo obszernie przypisy do książki p. t. *Dziesięć obrazów z wyprawy do Polski 1833 r., poema z muzyką do dwu pieśni i czterema portretami ze stali*”. Paryż 1841. 6) „Polska Chrystusowa”, pismo poświęcone za sadom społecznym, wydawane staraniem... Paryż, tom I, zeszyt I, 1842, II 1843, tom II, zeszyt I, 1846. 7) „Zbratnienie”, pismo poświęcone sprawie polskiej. Paryż 1847. 8) „Systeme de fraternité”, 6 livraisons. Paryż 1849—1851. 9) „Pochwała rodu gęsiego, wypowiedziana przed obliczem Bożem, ku przestrodze i zbudowaniu braci, szukających zbawienia wiecznego swojej ojczyzny”. Paryż 1862. 10) „Zbawienie ojczyzny hasłem naszym!” Słowo z powodu pisma jakiegos jęmogomcia, niby Anioła Bożego z Amatei, a rzeczywiście najemnego służalca cięmięstwa habsburskiego w Polsce. Bendlikon 1865. 11) „Do państwa-

stów. Pogłos z odwiedzin niby słowiańskich w Moskwie 1867 r. Część pierwsza. Zurich 1868—1874.

Prócz tego artykuły w czasopiśmie: »Gazecie polskiej« z 1831 r. »Zjednoczeniu« (Paryż 1841—2); »Le Populaire« (Paryż 1848—51), »Religion laïque« (Paryż 1876—7); »Etoile du Kansas et de Jova« (Corning w Jova, w Stanach Zjednoczonych 1877).

Listy dwa do Edmunda Calliera o Bogodnie Jańskim, wydrukował adresat w książce p. t. Bogdan Jański. Poznań 1876 (część III, str. 5—12).

B) Rękopisy: 1) Jaki może być wpływ upowszechnienia zasad ekonomii politycznej na podział bogactw i moralność narodu. 1825 r., stron ćwierćarkusowych 44. 2) »Ogólne uwagi na porządek przyrodzony, nad zdolnościami człowieka i nad jego uształceniem moralnem, stosownem do potrzeb towarzyskich«. 1826, str. j. w. 22. 3) »Odpowiedź na zadanie o uwadze«. 1826/7, str. j. w. 104. 4) »Słowo grzesznika o związku miłości bliźnich z poznananiem prawdy i powszechnem szczęściem rodziny ludzkiej«. 1831. 5) »O wdzięczności«. Kraków 22 lipca 1834. 6) »Wyznanie wiary«. (Drukowane jako wstęp do »Polski Chrystusowej«.) 7) »Zjednoczenie«. (Drukowane w »Polsce Chr.«) 8) »O narodowości« 1842. 9) »La doctrine sociale de Jesu Christ c'est la communauté«. 10) »Des miracles«. 11) »Słowianstwo«. 12) »Zajrzyjmy w siebie« (Duży zbiór wierszy i artykułów). 13) »Tak Żyd jak nie Żyd potrzebuje dostąpić zbawienia«. (Drukowane w książce »Do panslawistów«.) 14) »Polanka wiernych Bogu«. (Wiersze z r. 1876). Wszystkie te rękopisy znajdują się w bibliotece muzeum Rapperswilskiego.

II. C) O Królikowskim. Życiorysu nie było dotąd zupełnie, z wyjątkiem pobieżnego artykułu Wł. Strz. w Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej. Serya I, tom XLII. O książkach pisano tylko dwóch: »O dziesięciu obrazach« Sew. Goszczyński w »Pszoncu« z 1842 (marzec i kwiecień); por. też samo w Dzielnach S. G. ed. Żyg. Wasilewskiego tom IV, str. 198—206; i o »Polsce Chrystusowej« Mickiewicz w kursie III Lit. Słow. lekcya XXIV, Libelt w książce p. t. »Samowładztwo rozum i objawy filozofii słowiańskiej«. Poznań 1845 str. 154—164; Trentowski w »Panteonie wiedzy ludzkiej«, tom II str. 182—200; wreszcie Chmielowski w rozprawie o »Filozoficznych poglądach Mickiewicza« (Warszawa 1899) str. 66—69.

Pewne szczegóły znaleźć można jeszcze w dziele B. Limanowskiego »Historia ruchu społecznego w XIX w.« w rozdziale IV o komunistach, oraz w wielkiej monografii J. Prudhomeaux p. t. »Icarie et son fondateur, Etienne Cabet«. Paris 1907.

## Polska Chrystusowa,

pismo poświęcone zasadom społecznym (Paryż 1842—1846).

Wśród wielu artykułów, wypełniających trzy zeszyty tego pisma, główne miejsce zajmuje traktat »O zjednoczeniu«, jedyny systematyczniejszy wykład teorii Królikowskiego, zawierający też plan organizacji społeczeństwa. (Zeszyt II, str. 209—388). Dopelniają go — zwłaszcza oświeczeniem duchowej strony społecznego życia człowieka, artykuły »O modlitwie« (zeszyt I, str. 8—80) i »O komunii świętej«. Pierwszy wywód, że słowo modlić się znaczy tyle, co doskonalić się, bo pochodzi ono od modla; podaje też wszelkie sposoby i środki umiejętności takiego modlenia się i ukazując jego owoce. Ten artykuł szczególnie podobał się Mickiewiczowi. Drugi (I, str. 113—122) poleca praktykowanie komunii świętej, czyli ćwiczeń w pełnem miłości łączeniu się z duchem zbiorowym braci, w umiejętności wyzrekania się siebie, zatracania własnej indywidualności. Prócz tych drugich stronnictw emigracyjnych artykuł p. t. »Rozbudki powstańcze«. (Zesz. III, str. 63—204). Prócz prac Królikowskiego, znajdują się w »Polsce Chrystusowej« jeden większy artykuł Jana Czyńskiego p. t. »Urządzenie gminy« (po prostu Falanster Fouriera), z którym Królikowski następnie obszernie polemizuje, wywołując tem znów replikę; rzecz p. t. »Trzy widzenia« Zenona Świętosławskiego, tegoż »Przyszłe powstanie Polski« i wreszcie Mowa w rocznicę listopadowego powstania, Stanisława Iwanowskiego. Prawdopodobnie też wśród wierszy niektóre są obcego pióra.

### Nadanie własności.

**870)** Str. 99—101. Usiłowania wiecznej całej nawet Ludzkości nie potrafia przydać ani jednego pyku do tego, czem Ojciec niebieski Rodzinę ludzką udarował i uposażył — nie zdolają nawet zmienić przyrodzonych własności żadnego atomu, wchodzącego do składu Wszechświata, a wy niezbożnie marzycie o nadaniu własności, o nadaniu przywileju używania i nadużywania darów Bożych — prawie o nadaniu własności: przez kogo?... z czego?... komu?... Któż sobie przywłaszczać rozdawnictwo tego, co jest Boże?... Kto może mieć świętokradkie prawo do rozdawania ziemi polskiej, nawet pomiędzy Lud polski, zwłaszcza z wolnością używania jej podług swojej woli i upodobania?... Do kogoż ona innego należeć może, jeżeli nie do Ludu polskiego, który ją swojami łzami i krwią i potem od tyłu wieków ustawicznie skrapia?... Zbrodnia surowej kary go-



dną byloby, w czasie potrzeby Ojczyzny zatrzymywał w swoim posiadaniu działa i używać ich podług swej woli i upodobania, zamiast oddać je w ręce najbogiejszych i najemotliwszych artylerzystów; zbrodnią jest zawsze wzniciącają powszechne oburzenie, zatrzymywał żywność w czasie publicznego głodu i używać jej podług swojej woli i upodobania, zamiast podług potrzeby umierających z głodu braci; nie jestże daleko większą zbrodnią przywłaszczając sobie samą ziemię — źródło wszelkiego dostatku i bogactwa Rodziny ludzkiej — używać ją na swoją wyłączną korzyść i według swojej woli i upodobania rozporządzać, bez żadnego względu na Boga i bliźnich?..

Z jednego słówka, napróżno wyrzeczonego, mamy zdać Bogu rachunek; nie godzi się nam zatem używać, nawet i języka własnego podług swej woli i upodobania, a wy całą ziemię narodową, najdroższy i najświętszy skarb każdego Ludu, jedyny jego posąg, z ręki Ojca niebieskiego otrzymany, chcecie płocho, lekkomyślnie i świętokradzko rzucić na pastwę samolubstwa, wyłączności, lakomstwa, wystawności, pychy, zbytku, rozpusty i wszystkich występnych żąd, które są wiecznymi i nieodstępnymi towarzyszami wszelkich przywilejów, przywłaszczeń i panowania nad Bracią, i które się nigdy ciemnotą, spodleniem, niewolą i nędzą Ludu nasycić nie mogą.

Cóż czyni ... i podobne do niego ....., których bardzo często nawet na jednej ubogiej zagrodzie napotkać można? Czyliż oni także nie roszczą sobie niezbożnie prawa do zarządzania wszystkim podług woli swojej i upodobania, co przez swoją nieprawość, przywilej, przywłaszczenie, kłamstwo, oszustwo, przemoc i uprawniony rozbój na ubogim, pracowitym i bezbronnym Ludzie zyskali!.. Czyliż ... także nie rozdaje świętokradzko naszej świętej ziemi pomiędzy największych wyrodków, którzy celują podłością, przewrotnością i służalstwem, i którzy w rozboju przeciwko drogiej naszej Ojczyźnie największą się odznaczyli?..

A jeżeli ziemia żadnego narodu nie powinna być rozdawana, wspaniałomyślnie ....., ale według woli Boga, — według Jego świętej i odwiecznej sprawiedliwości — według warunków szczęścia społeczeńskiego — według potrzeby Oj-

czyzny; wy, którzy nie szukacie znajomości Woli Bożej, którzy się nie troszcycie bynajmniej o Królestwo Boże i Jego Sprawiedliwość, którzy wysmiewacie badanie warunków szczęścia społeczeńskiego, i dla których potrzeby Ojczyzny są jedynie środkiem dogadzania swoim żądom i przesądom, jak śmiecie przywłaszczając sobie świętokradzko to rozdawnictwo? Jak śmiecie marzyć o rozdawaniu własności, z wolnością używania jej podług woli osobniczej, nawet najwystępiejszej, i takiegoż samego upodobania? Jak śmiecie to nazywać nadaniem, co może być jedynie podaniem obowiązku względem Boga i Ludzkości?.. Jeżeli Sprawiedliwość Boża wymaga, aby Włóścianie polscy byli właścicielami uprawianej przez siebie roli, jak śmiecie to nazywać nadaniem — darem, co być może jedynie prostem oddaniem — zwróceniem tego Ludowi wiejskiemu, co mu się od wieków należy, i co mu już wyroki Boże, zapisane w sercu wszystkich ludzi prawych, przyznają i przysądają?.. Jeżeli zaś przeciwnie Sprawiedliwość Boża inne nadaje przeznaczenie ziemi — jeżeli zbrodnią jest drobić ją, rozdzielać, rozrzucać na ślepo pomiędzy złych i dobrych, gnuśnych i pracowitych, nieuków i umiejetnych, niedołęgow i dzielnych Synów Ojczyzny; jak śmiecie niezbożnie wdierać się w rząd Boży i świętokradzko rozdawać to, co nigdy nie powinno być rozdane, i czego nikt, bez dopuszczenia się ciężkiej przeciw Bogu i Ludzkości zbrodni, przywłaszczając sobie żadnym sposobem nie powinien?..

**871)** *Str. 106—108.* Jeżeli rozdacie ziemię polską pomiędzy wszystkich, największej się niedorzeczności dopuście; pogwałcicie najgłośniejsze zasady gospodarstwa narodowego; zmarnotrawicie siłę produkcyjną roli w całym kraju; rozzerwiecie i rozproszycie jeszcze więcej niż dziś społeczność narodową; zamkniecie każdego właściciela, jak ślimaka, w ciasnym obrębie ubogiej zagrody, zaledwo wystarczającej na samo liche wyżywienie; zrobicie z całą Polską to, co by się z nami samymi stało, gdybyśmy upornie i zapamiętałe nie chcieli w potrzebie używać razem i spólnie wszystkich członków naszego ciała, ale skazywali je wszystkie na to, aby każdy z nich żył i służył sobie, osobno — każdy swoim dworem — każdy w sobie

i dla siebie, aby nawet żaden palec nie mógł się z innymi członkami ciała łączyć do służenia ciałemu ciału.

Tym sposobem zahipotekujecie ciemnotę, spodenie i nędzę całego Ludu, ściętnicie dla całej Polski wrota do Królestwa Bożego; bo zmusicie każdego, aby żył samolubnie w odosobnieniu — aby przedewszystkiem pamiętał o sobie — sobą samym się zajmował, a sprawę społeczeńską — sprawę Królestwa Bożego, zostawił wyłącznie wzgardzonym przez siebie utopistom i marzycielom, i najwyższe nawet dla dobra ogółu poświęcenia poczytywał za nierozsądek i zagorzalstwo, niosące cierpienia, nędzę i zgubę dla rodzin.

Jeżeli zaś chcecie rozdać ziemię pomiędzy pewną tylko liczbę mieszkańców, a nie pomiędzy wszystkich, na jakiejże się opiecie zasadzie?... Czyliż na sprawiedliwości i równości, które niszczą, albo też bez dostatecznego wyrozumienia, za godło wszystkich swoich teorii przyjmujecie?... Dlaczego wyłączenie więcej niż połowę swoich spółziomków od używania tego dobrodziejstwa?... Godziż się wam wydierać własność ziemską jednemu, rozdawać ją pomiędzy drugich, ale tylko niektórych; a odmawiać jej dla przeważnej większości całego narodu?... Dlaczego mielibyście święte poszanowanie dla wszelkiej innej własności, prócz dla wielkiej własności gruntowej?... Cóż będzie prawidłem waszego postępowania i gdzie wasza krzycząca niesprawiedliwość znajdzie dla siebie granicę?... Nie jesteście to największy nierozum działacz na oślep i bez żadnej zasady, któraby w dobru pospolitum i sprawiedliwości Bożej odwiecznej znalazła potwierdzenie?... Jeżeli chcecie bezwarunkowo liczbę właścicieli pomnożyć, czemuż się nie staracie o nadanie własności dla wszystkich bez wyjątku?... Czemuże usprawiedliwicie wyjątek, i jakąż mu naznaczą granicę?... Czemuże się różnić będziecie od . . . , który swoje szalone pomysły całym narodem za prawo samowolnie i gwałtem narzuca?...

Sami wyznajecie, iż: »człowiek ustawicznie pchany namiętnością ku posiadaniu, użył najprzód ziemi, poszukiwał jej poza wodami, wejrzał w jej wnętrze; ale ani ziemia, ani wody, nie nasyciły jego żądy, — targnął się na podobnego sobie, swego równego, jak on, pana ziemi«. Jeżeli każdego człowieka uznajecie panem ziemi; jeżeli jesteście przekonani, że każdy jest

ustawicznie pchany żądzą ku posiadaniu, dlaczegoż nie staracie się o to, aby każdy wasz spółziomek był rzeczywście panem ziemi; i aby żaden nie był daremnie, jak Tantal, trapiiony żądzą posiadania? Albo przynajmniej czemuż się nie staracie o to, aby żaden pan ziemi nie umierał z nędzy i głodu?... Gdybyście wynaleźli sposób zapewnienia każdemu, chrześcijańskiego pożywienia, odzienia i pomieszkania, znikłaby wtenczas dla każdego potrzeba posiadania; zbieranie majątku nie miaoby więcej rozsądnego celu, i ludzie zostaliby na zawsze uwolnieni od tej przykrej żądy, która ich ustawicznie pcha ku posiadaniu, i w której wy sami dostrzegacie źródło przywłaszczeń, bratobójstwa i ciągłej między ludźmi pod różnemi postaciami wojny. Widzenie wasze pod tym względem zgadza się zupełnie z Ewangelją, która żądzę majątku nazywa korzeniem wszystkiego złego i nakazuje każdemu, szukającemu doskonałości, wyzbyć się wszelkiego mienia na korzyść ogółu, a mianowicie ubogich; gdyż bogaci wsparcia nie potrzebują.

Chcąc więc złemu zaradzić — złemu, które ludzkości trapi od Kaina do Judasza, a od Judasza do Roźnieckich i Szaniawskich, Szynderów i . . . — należałoby wynaleźć taki układ społeczny, w którymby albo wszyscy posiadali — wszyscy mieli dostateczną własność — albo też w którymby nikt nie potrzebował nic wyłącznie posiadać; bo każdemu społeczeństwo zapewniłoby na zawsze pod warunkami braterskimi zaspokojenie wszystkich potrzeb chrześcijańskich.

Kto wychodzi z zasady Równości, Sprawiedliwości i Miłości braterskiej, we wszystkich swoich poszukiwaniach warunków szczęścia społecznego, musi zawsze natrafiać na te dwie formy tegoż samego zadania, nad którego rozwiązaniem wszystkie umysły poczciwie pracują, a które Chrystus Pan swoją nauką i przykładem rozwiązał.

zwyczajną siłą obdarzonych. Gdy w r. 1828 Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło konkurs na pracę «O zwyczajach i obyczajach w Polsce», żądając uwzględnienia w niej przedewszystkiem zwyczajów, obyczajów i pieśni ludowych, młody zbieracz, rozporządzając dość obfitym materiałem, przedstawił swą pospiesznie wygotowaną robotę, jedyną zresztą, lecz nagrody nie otrzymał. Z okazji tej pracy nawiązał stosunki z Brodzkiem a później i z Lelewelem. Zbliżył się również do koła młodych poetów i literatów, zbierających się wtedy w kawiarni przy ul. Miodowej w domu Teppera. Zaprzyjmał się w tym czasie z Dominikiem Magnuszewskim, który, po utracie rodziców, wraz ze swymi siostrami wychowywał się u swego dziadka, sędziego Borakowskiego, Polaka starej daty, nie rozstającego się z kontaszem. Magnuszewski, student uniwersytetu, próbował już swych sił na polu literackim. Zebrane do pracy konkursowej materiały posłużyły Wójcickiemu do wygotowania zbioru, który wydał p. t. «Przysłowia narodowe z wyjaśnieniem źródła, początku, oraz sposobu ich użycia. Okazujące charakter, zwyczaj, obyczaj, przesady, starożytności i wspomnienia ojezycze». W Warszawie. Nakładem Huguesa et Kermesz r. 1830, tom I, str. 222, II, str. 299 i III str. 247. Poświęcone J. Ogińskiemu, Ka. Adamowi Czartoryskiemu, senatorowi i wojewodzie». Wydawcy zapłacili autorowi 300 złp. gotówką i tyleż książkami. Określając czas powstania niektórych przysłów, odnosi np. do Kazimierza I: «Mądry Polak po szkodzi», do Bolesława Śmiałego «Ten to dyabeł, co Ruś wiąże», do Jagielly: «Siedzieć jak na niemieckim kalczaniu», do Batorego: «Zeby na kogo ostrzyść». Do przysłów zalazła wyrażenia: Bazyliusz, Faryzeusz, Błazen, Łokietek, «et de hayda et de jure», dyabeł wenecki, doktor półcozka i t. p. Bezkrzyżność, pospieszność i powierzchowność w gromadzeniu i objaśnianiu materiału, zamasztyłość w rozstrzygnięciu — bez podstaw i namysłu — nasuwających się trudności — uzupełnianie i przekształcanie spisanych przysłów, podań, pieśni własnymi dodatkami, rozszerzająca je i zmieniająca własną frazeologią, brak jaśniejszego i głębszego pojęcia o zadaniach pracy zbieracza i o celu naukowym podejmowanych robót, oto cechy, które — do wybaczenia w pierwszych młodzieńczych próbach — pozostaną przeciw stałą właściwością licznych, bo do setki dochodzących robót i przeróbek, dokonanych w ciągu półwiecznego przeszło okresu działalności Wójcickiego. Jedynie literacka strona wydatnia w późniejszych latach postęp w łatwości i gładkości wyśłowienia. Zubożenie jednak rozpacziwe naszego życia umysłowego, po katastrofie r. 1831, brak warunków dla rozwoju pracy naukowej sprawiło, iż taka nawet trudna do określenia — bo ni naukowa ni literacka — zbieraczko-wydzianczo działająca działalność, samem przypomnieniem i odtwarzaniem anegdotyczno-dekoracyjnem przeszłości narodowej, oddawała zbieżnemu duchowo społeczeństwu istotną usługę, budziła zadowolenie czytelników, a pracownikowi zyskiwała rozgłos, uznanie i coraz szerszą popularność. W r. 1830 odbywa

## CXII.

**WÓJCICKI KAZIMIERZ WLADYSŁAW.**

(1807—1879).

Popularny i głośny za życia, ruchliwy zbieracz zabytków twórczości ludowej i materiałów z zakresu starożytności polskich, wydawca i literat, szerzący w formie gawędziarskiej szczegóły z przeszłości narodowej, używający sład u współczesnych opinii uczonego i malarza życia narodowego, urodził się dnia 3 marca r. 1807 w Warszawie. Ojciec jego, w latach od 1792 do 1794 chirurg wojskowy, zajmujący się następnie praktyką lekarską w mieście, posiadał na Podwalu własny domek; matka, Zofia Zienkiewiczówna, szlachcianka, zostająca przedtem na służbie u wojewodziny Mniszchowej, kobieta z elementarnym zaledwie wykształceniem, ale zająca i rozsądna, dbała wiele o wychowanie syna, który ukończywszy szkoły pijarskie, uczęszczał do szkoły przygotowawczej (1826—1827), mającej przysposabiać młodzież do projektowanego instytutu politechnicznego. Przyszły technik jednak więcej się interesował wykładami Osifskiego i Brodzkiego w uniwersytecie, niż zasadami chemii, i pod wpływem szerzącego się wtedy wśród młodzieży zapału dla pieśni, podań i wierzeń ludowych, i zajęcia przeszłością ojczyzną, oddał się zbieraniu tego rodzaju zabytków tak w czasie wakacji, spędzanych na wsi pod Białą Radziwiłłowską, gdzie ojciec jego nabył folwarczek, jak i na specjalnych wycieczkach pieszych, w różne okolice kraju przedsięwziętych w latach od r. 1827—1830. Zwiedza wtedy Podlasie, okolice Puław, Sandomierskie, Krakowskie, Wielkopolską i Mazowsze. Jednocześnie rozpoczyna w r. 1827 pomieszczać w ówczesnym «Dzienniku Warszawskim» zebrane z różnych źródeł, różnorodnej treści, drobne, kompilacyjne opracowania, jak: Warszawa pod panowaniem Jana Kazimierza, Jan Reynold Patkul, Szmigielski, Danckerts de Ry, malarz Władysława IV, Stańczyk, Zamek warszawski, Kościół Bernardynów w Warszawie, Kościół św. Krzyża na Łysej górze, O ludziach w Polsce, nad-

młody zbieracz wycieczką do Krakowa, gdzie poznaje Ambrożego Grabowskiego i Bandtkiego, a następnie przez Tatry do Pesztu i ziem słowackich królestwa węgierskiego. Za powrotem znajduje szerokie pole dla swej ruchliwości w życiu gorączkowym, wywołanem przez wybuch listopadowy. Podejmuje wtedy okolicznościowe wydawnictwa, jak ogłoszone w połowie grudnia 1830 r. »Pamiętniki Jana Kilifńskiego« (»W oswoobodzonej Warszawie«), a następnie »Pieśni ojczyznie« i »Guslar gwardyi honorowej«, dwa zbiorki poezyj patryotycznych — przeważnie pieśni — mieszające tak utwory bezimiennie (pierwszy) jak i świeże produkty współczesnych poetów (Goszczyński, Słowacki, Brodziński, Mickiewicz i wśród nich Wójcicki). Wstępuje przymtem do służby wojskowej. Po upadku powstania wraz ze swym towarzyszem, Dominikiem Magnuszewskim, udaje się do Ellblaga, zwiedza przytem Prusy wschodnie i zachodnie, a następnie odwozi chorego przyjaciela do jego krewnych, Raciborskich, mieszkających w Załuczu na Pokuciu. Tam poślubia Wójcicki sprowadzoną z Warszawy siostrę Dominika Hannę i bierze w dzierżawę od Raciborskich wioskę. Wyrugowany z tej siedziby przez władze miejscowe, udał się do Lwowa, gdzie pozwolono mu zamieszkać. Podczas całoroceznego pobytu (r. 1833) nawiązuje bliższe stosunki z kołem budzieli życia narodowego i umysłowego (Bielowski, Siemiński, Pol) i korzysta ze zbiorów Zakładu Ossolińskich, gromadząc liczne odpisy i wypisy z rękopisów i druków, głównie rzadkich broszur i mniej znanych utworów wierszowanych. Blerze udział w przygotowywaniu noworocznika »Ziemoni« wydawanego przez Bielowskiego. W roczniku z r. 1834 znajduje się jego opracowanie »O pieśniach ludu polskiego.«, »Rozmaitości« lwowskie z r. 1833 mieszczą pracę: »Postępy w badaniach starożytności polskich«. Prócz tego wydał w r. 1834 we Lwowie powieść »Kurpie« (2 tomy, drugie wyd. uzupełnione. Lwów 1856) słaby bardzo utwór, osnuty na oporze, stawianym przez Kurpiów najzdowi szwedzkiemu za Augusta II. Nie mogąc dłużej pozostawać we Lwowie, wraca r. 1834 do Królestwa. Na granicy żonę z dzieckiem przepuszczono, ale jego, jako wychodźcę, osadzono w kazamatach Zamocia, gdzie nawiązał się dotkliwych cierpień fizycznych. Wypuszczony wreszcie osiadł u rodziców na Podlasiu, a następnie w r. 1835 wraca do Warszawy i przez stosunki otrzymuje miejsce rzadcy cegielni Banku polskiego w Jachronce koło Zęgrza, gdzie spędza kilka lat nad Narwią, następnie dzierżawi Górę pod Modlinem. W r. 1845 Wyczechowski, ówczesny dyrektor Komisji Sprawiedliwości, daje W. urząd archiwisty i bibliotekarza Senatu, a następnie zarząd drukarni Komisji sprawiedliwości.

Działalność literacko-wydawnicza rozpoczyna się w okresie marstwy, wywołanej klęską r. 1831. Warszawa, a z nią kraj cały, utraciła zarówno swe instytucje naukowe jak cały zastęp młodych sił, obiecujących bujny rozkwit życia duchowego. Pozostała garstka druzgodnych literatów, jak Dmochowski, obojętnych lub chłodnych d-

życia narodowego szperaczy, jak Linde, W. Al. Maciejowski i dogorywający, zmarły r. 1836 w Dreźnie Brodziński. Zamknięcie wyższych zakładów naukowych przy trudnościach edukacji zagranicznej obniżyło wkrótce poziom umysłowy ziemiaństwa i mieszczaństwa. Praca naukowa ustanie w nieprzychylnych tak warunkach. Cenzura zacieniła sferę twórczości literackiej i naukowej. Przy takich warunkach Wójcicki, mimo braku wykształcenia naukowego i uzdolnień pisarskich, będzie mógł, przy swej ruchliwości i żręczności, wyrosnąć szybko na uczonego i pisarza, czyniącego zadość niewybrednym upodobaniom i skromnym potrzebom ówczesnych czytelników, w zakresie wiedzy o przeszłości ojczyznej i podtrzymywaniu ukrywanych trwoniście uczuć narodowych. Głównie w Paryżu współcześnie pojawiając się błąd roku po roku takie arcydzieła jak »Dziady« (trzecia część), »Pan Tadeusz«, »Nieboska«, »Irydyon«, »Kordyan«, »Pamiętki Soplicy«, dzieła Mochnackiego, to Warszawa dostarczać zaczęła krajowi biedny tak formą i treścią, a jednak chętnie przyjmowany pokarm w zbiorach przysłów, pieśni, klechd i gawęd Wójcickiego. Podobne zjawisko spotykamy w literaturze wieku XVII, w upodobaniu zniechanego i zubożonego przez klęski wojenne społeczeństwa do gawęd, anegdot i przysłów. Szereg wydawnictw Wójcickiego rozpoczynają: »Starożytno przypowieści z w. XV, XVI, XVII, zebrał i wydał K. Wl. W.« (Warszawa. Nakładem autora 1836) Jest to niewielki jednotomowy zbiorek, będący kompilacją ze zbiorów Rysińskiego i Knapkiego, z dodaniem dość fantazyjnych objaśnień i mało uzasadnionej klasyfikacji, wedle czasu powstania. Przedmowa nosi podpis: Podlasie, 26 lutego 1835 r. Też roku ukazały się też: »Pieśni ludu Białochrobotów, Mazurów i Rusi z nad Bugu, z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i słowiańskich zebrane«. Ozdobione rycinami i muzyką. Wydanie Józefa Kaczanowskiego. (Warszawa, w drukarni Piotra Barzyckiego, 1836, 2 tomy). Na czele dedykacja: Wacławowi Al. Maciejowskiemu, a na przedmowie: »Pisałem w Podlasiu 24 czerwca 1836 r.« W przedmowie wydawca oświadcza, iż zbiór ten już w r. 1828 był gotowy, że zbieranie trwało lat cztery, zastrzega się, iż nie korzystał z ogłoszonego w r. 1833 zbioru pieśni Wacława z Oleska, wreszcie oświadcza, iż zbiór ten jak i wydane poprzednio »Przystawia narodowe« są materiałami, przygotowanymi do dzieła »Badania starożytności polskich i ruskich«, nad którym obecnie pracuje. Jednakże pomimo ponawianych zapowiedzi dzieło to nie ukazało się światu, a współczesny zbieracz i szperacz, Żegota Pauli, w wydanych r. 1838 »Pieśniach ludu polskiego« (Lwów), oskarżył Wójcickiego o użytkowanie udzielonych mu do przejrzania materiałów. Zakład Ossolińskich również miał do niego pretensyję o rzadkie druki, unikaty z w. XVI, które, zniknawszy z półek biblioteki, ukazywały się później w częściowych przedrukach w wydawnictwach warszawskich. W uwagach, do danych do powyższego zbioru pieśni, rozwija Wójcicki, zapewne pod wpływem zajęcia się w kołach lwowskich mniemanymi pomnikami sta-



rej poezyi słowiańskiej (Pieśń o pulku Igora i Królowski rękopis — w przekładach Bielowskiego i Siemińskiego) a przytem i sławianofilstwa W. A. Maciejowskiego, modne wtedy myśli o znaczeniu tradycyi słowiańskich. »Poznany tedy dokładnie, patrząc na prawodawstwo, poezyę i pomniki języka, jak dalece odstrychnęliśmy się od prawdziwej naszej drogi słowiańskiej, ile zepsuliśmy język i jak go do pierwotnej pięknoty doprowadzić możemy, i jaka powinna być poezya krajowa, ażeby w niej piękno słowiańskie wskrzesić i uchować, o co kuszono się długo i nadaremnie... podobnie jak nasi gramatycy, co walcowali język na wzór łaciny od wieków zmarłej». (T. II 383). Myśli te były poniekąd zapowiedzią przygotowanego już wtedy zbioru baśni i podań ludowych, który ukazał się w r. 1837 p. t. »Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi« (Warszawa, 2 tomy; drugie wyd. r. 1851, trzecie ilustrowane jubileuszowe w jednym tomie r. 1876, i czwarty przedruk w Grudziądzu, 1910 r. jako dodatek do miejscowej gazety). Wstęp do »Klehd« nosi datę 20 grud. 1835 r. w Warszawie. Zbiór ten, który zjednął sobie szeroki rozgłos i wywarł wpływ na ówczesną twórczość artystyczną, w zakresie poezyi zwłaszcza, mieści kilkanaście baśni i podań ludowych i narodowych jak np. »Oczy nroczone«, »Nędza z biedą«, »Zajęcie serce«, »Wichrem porwany«, »Janek«, »Wilkołaki«, »Morskie oko«, »Waligóra i Wyrwidąb«, »Madej«, »Twardowski«, podanych jednakże nie w wiernej transkrypcyi z ust bajarzy ludowych, lecz w obrobieniu i stylizacji zbieracza, nie troszczącego się o ścisłość i nie wskazującego zwykłe źródła, miejsca i osoby, od której otrzymał podanie. To też dla dzisiejszego ludoznawcy »Klechdy«, podobnie jak i wszystkie inne zbiory rzeczy ludowych ogłaszane przez Wójcickiego, przedstawiają mziory bardzo wartości naukowe. Współcześni czytelnicy przyjęli je gorąco. Wkrótce pojawił się przekład niemiecki, dokonany przez P. H. Lewestama (»Polnische Volkssagen und Mærchen« Berlin 1839). Na czeski przełożył je J. B. Maly (Praga 1838), a kilka z nich ogłosił w przekładzie francuskim Lewestam (»Revue du Nord« 1837). Wreszcie w r. 1880 Grimm wydał przekład rosyjski (»Polskija skazki« Petersburg 1880). Równie gorące przyjęcie znalazły w szerokich kręgach czytelników ogłoszone w r. 1840 »Stare gawędy i obrazy« (Warszawa 4 tomy), odpowiadające wyborne poziomowi umysłowemu i tradycyjnemu upodobaniem ówczesnego ziemiaństwa i urzędniczej inteligencji miejskiej. Sam autor wymownie i nieświadomie przytem scharakteryzował w przedmowie treściwe i formalne ubóstwo tych utworów: »Powiada pismo: Uderzysz w opokę, a wynijdzie woda, ażeby lud pił. Owóż tą wodą, którą pił lud nasz szlachecki, bywała na dworze szlachecka i na zamku pana — Gawędą. Byłe gdzie zjechało się co przyjaciół i miłych sąsiadów, zasiadaliśmy spolem, a dobywszy z piwnicy starego madiara, alboi swojskiego miodu, przyjaciela zdrowia ludzkiego, dalejże w gawędę... W niej to miałeś naukę, oj, było co posłuchać. Ten swój żywot rycerski opisywał, tamten jako bywał dwor-

rganinem u pana, co widział, gdzie przebywał... Myśliciele uczyły sokoły ćwiczyć... układał psy do łapania niedźwiedzi. A tak młodzieńcy nie potrzebowal był niemiamem, a wykształcał się na człowieka. Była gawęda taka akademią i szkołą, zwłaszcza przy owem życiu przyjacielskiem ziemianów naszych». Zarówno ten charakterystyczny wstęp jak i cały szereg gawęd i obrazów, wypełniających cztery tomy, świadczą wymownie, iż Wójcicki nie był zdolnym zrozumieć, odczuć i odtworzyć życia przeszłości. Usiłuje on przez powytkanie i tówdzie, niefortunnie zwykle, przysłowia i wyrażenia nadać dialogom tok i ton staropolski, charakteryzując ludzi za pomocą ubiorów, sprzętów, napojów, form, zwyczajów, pozbieranych z różnych broszur i pozostawianych, bez względu na czas i miejsce akcji, stanowisko i charakter osób wprowadzonych. Osoby te usiłują odgrywać narzuconą im rolę, lecz w każdym ruchu, czynności, zdaniu, zdradzają swą nieudolność aktorską. W zestawieniu z Polem czy Syrokomlą, Wójcicki okazuje zarówno ubóstwo i nieudolność swego artysty w pomysłach, kompozycyi, opisach i charakterystykach, jak i jeszcze większą nieudolność odczucia i zrozumienia akcji, przeszłości, dusz tych postaci. Polskość swą zaznaczają one jedynie kontuszami, szablami, czapkami, wąsami, wychyleniem kielichów miodu czy wina i recytowaniem, bez potrzeby najczęściej, znanych nam już z poprzednio ogłoszonych przez autora zbiorów: przysłów, podań, zwrotów i wyrażeń, powypisywanych z różnych źródeł i zabytków dawniejszej literatury. Następna, w r. 1841 ogłoszona praca: »Teatr starożytny w Polsce« (Warszawa 2 tomy) datowana z »Góry nad Narwią 29 maja 1840 r.« jest właściwie bibliografią dramatu polskiego, połączoną z obszernymi wypisami i streszczeniami rzadszych utworów, tudzież przytoczeniami uwag i myśli rozmaitych autorów piszących o teatrze. Zaslugę tej książki było ze stawienie chronologiczne świadectw i utworów, mających związek z przeszłością teatru polskiego. Bezskrytyczność autora wystąpiła jak skrawo już na pierwszych stronach wstępu, głoszącego o »zapęszczających się w Polsce widowiskach teatralnych za Leszka Białego po kościolach, a za Przemysławem i Jagiełłą na »publicznych teatrach« i »ustaleniu się teatru dworskiego« na zamku krakowskim za Zygmunta I. Jednocześnie wchodził Wójcicki w skład redakcyi założonej w tymże roku »Biblioteki Warszawskiej« i zaraz umieszcza tu ze swych materialyów wrywek p. t. »Cedula czyli zapis na sądy Boże w 1511 r.« (Bibl. Warsz. 1841 r. t. II), a w dziesięć lat później (1850) zostaje jej redaktorem. Uznanie i rozgłos, wywołany całym szeregiem wielotomowych prac, staje się jednak nie bodźcem postępu, ale przeciwnie zachętą do wyzyskania zdobytej popularności pospieszną fabrykacją nowych tytułem jedynie i układem, lecz ze starego przeznaczenie materialy kłonekny książek. Taką fabrykacją są ogłaszane w r. 1842 »Zarysy domowe« (Warszawa 4 tomy), przypominające różnorodnością zestawionych tu licznych wrywek, wypisów, gawęd, przysłów, dawne »silva rerum«. Zaczawszy od »Zarysów z podań szla-

checkich» (Mor, Boruta, Napad) i przysłów, objaśnionych anegdotycznie (Słowo się rzekło — kobyla u płota), podaje Wójcicki różne wypisy do zamierzonych starożytności (karykatury, budownictwo, gościnność), tom drugi wypełnia obrobieniami dowolnymi rzeczy ludowych (klechdy, przysłowia, ptaki, drzewa, ziola, kwiaty, zwierzęta), tom trzeci mieści różne wrytki treści historycznej, czwarty zaczyna ją zarys życia domowego (Panna starościanka, Stary sługa, Pan Jan i pan Michał), a dalej idą zarysy bibliograficzne, zbiory pieśni ludu, bibliografia pism Trzcieskiego, dwa dzieła Reja (Pigliki i Zwierzyniec) i przedruki pieśni i psalmów tegoż poety. W r. 1843 ukazują się znowu »Obrazy starodawne« z drzeworytami Winc. Smokowskiego (Warszawa 2 tomy). W przedmowie autor oświadcza: »Obrazy, które wydają obecnie, są ciągiem rozpraw, wyjaśniających szczegóły starożytności historycznych, dotąd albo zupełnie nieziane albo lekko dotknięte«. Tom I mieści: Prysłowia umarłe (Wygląda jak Jadźwiga, Napad litewski), Husarze, Lisowczyki, Hajducy, Żaki, Błazny, Pieśni historyczne, Dawna siła, Artykuły cechu haftarskiego w Warszawie. Tom II zawiera: Turnieje, Gonitwy, Zbytek, Tatarzy, Kalwarya, Włochy, Pątnicy, Astrologia, Chorażwie, Dworzanin i wkońcu przedruk »Reasumpey ordynacyi szlach. magistratu Torunia z r. 1722«. Nie są to jednak opracowania a tembardziej »rozprawy«, jak je zwie autor, lecz zestawienia wypisów z dawnych broszur i utworów różnorodnych, a wreszcie z rozpraw i książek, w tych przedmiotach ogłoszonych w wieku XIX. Przytem wszystkie wydane dotąd dzieła cechuje dążność do sztucznego rozdymania rozmiarów przez mnożenie działów i poddziałów i nadawanie każdemu drobiazgowi cech odrębnego opracowania. To też Michał Grabowski w swej »Korespondencyi literackiej« (Wilno 1842 r. tom I, str. 185 i nast.) ostro skarcił taką »mityfikacyę« najwchlebnym, którzy »zwabieni tytułami dzieł pana Wójcickiego, zabierali je stosami«. Przynajmiej »Teatrowi starożytnemu« względną wartość, a samemu autorowi zasługę »szperacza«, nie dostrzega w jego »wędnych Gawędach« śladu talentu, a wytyka ostro jego »szczególną fabrykacyę książek«. »Każda książka pana Wójcickiego w danym przedmiocie wydrukowana była postrzegając, że w tymże samym przedmiocie trzeba nową książkę zrobić i drukować«. Ogłoszone świeżo »Pamiętniki Deotymy« (Warszawa 1911) świadczą, iż w gronie inteligencji, gromadzącej się w salonie jej rodziców, autor »Gawęd« nie cieszył się uznaniem, dostrzeżono w nim »płytkość umysłu« pozbawionego wyższej kultury. To też gdy od r. 1843 osiadł Wójcicki stale w Warszawie, zbliżył się do kółka młodych literatów i poetów, imponować im będzie tylko erudycją w zakresie dawnego piśmiennictwa, bogatym w rzadkie druki księgozbiorem, znajomością pieśni, podań i przysłów ludowych. Młodzieńcy ci z gorącym sercem, z miłością kraju, ludu i poezyi łączyli skromne zasoby wiedzy, wyniesionej z ówczesnych gimnazjów. Stąd autor »Klechd« i »Zarysów domowych« będzie dla nich powagą. Choć jest wtedy czynnym współpracownikiem

»Biblioteki Warszawskiej«, bierze też udział w radykalnym, postępowym i demokratycznym »Przeglądzie naukowym«, wydawanym przez Edwarda Dembowskiego i Skimborowicza. W ściślejszym jednak kole entuzjastów i entuzjastek, skupiających się koło redakcyi tego miesięcznika, nie znajduje uznania i nie uczestniczy w ich zebraniach. W zbiorowym noworoczniku »Saopek nadwiślański«, wydawanym przez młodzież w r. 1844 i 1845, spotykamy różne wrytki i zarysy Wójcickiego, rozpoczynającego wtedy właśnie (1843) wydawnictwo »Biblioteki starożytnej pisarzy polskich«, która miała obejmować 24 tomy, wedle zapowiedzi na czele tomu pierwszego ogłoszonej, ogarniały się do sześciu. (Warszawa 1843 i 1844 — ponownie, ze zmianą okładki a częściowo i układu w r. 1854). Wbrew tytułowi, pomieszczono tu obok przedruków i wydanych z rękopisu utworów literackich, wiele aktów i dokumentów historycznych, opisów bibliograficznych. Z rzadkich druków ukazały się tu niektóre pieśni ze zbiorowego kancjonału z nutami z r. 1560 (około), »Jephthes« Zawickiego »Zywot Józefa« Reja pomieszczony dopiero w drugim wydaniu, »Nowy Merkuryusz« Wacława Potockiego, »Schadzka Ziemiańska« Piotra, i »Droga do Szwecyi« Andrzeja Zbylitowski, i inne pomniejsze. Rozszerzona znajomość pomników dawnej literatury ułatwiła ułożenie — nie opracowanie bynajmniej — z materyałów zebranych i przeważnie ogłoszonych już lub zaryskowanych, wydanej w r. 1843 »Historji literatury polskiej w zarysach« (Warszawa 1845 tom I, str. 492, tom II str. 671; drugie wydanie, rozszerzone r. 1860 w czterech tomach — objęło już i wiek XIX). We wstępie twierdzi autor, iż »Zygmunt III w dzięgiem aż nadto panowaniu, służka Jezuitów, potrafił z nimi oświatę stłumić, literaturę polską na zgubę i zniewagę narazić. Kiedy umierał, już nie było jednego znakomitego pisarza, ale zakonów Jezuitkich wiele nieznanych dotąd, fanatyków więcej wychowanych w tym celu... Odatą ciemnotą jezuitka coraz większa ogarniała cały naród... Lud zniewany, masa szlachty była narzędziem ślepego zepsutych panów, igraszką Jezuitów«. Powtarzając panującą podówczas pojęcia o wpływie Jezuitów na upadek Polski, pojęcia mogące pozyskać książkę względy młodzieży, okazał w ujęciu i rozwinięciu tej myśli jaskrawą płytkość umysłu. W drugim wydaniu ustęp ten został pominięty. Samo dzieło przedstawia się jako obszerne, bez planu jednak i głębszej myśli ułożone wypisy z różnych, rzadkich przeważnie utworów i broszur. Dzieło zaczyna wstęp obszerny (173 stron), mieszczący różnorodnie, chaotycznie podane szczegóły o drukarniach, bibliotekach, księgiarniach, pieśniach, rycerzach, rzezcypospolitej babińskiej, fraszkach, trenach, wierszach króla Jana III, z dodatkiem wyjątków z Grażyny. Wraz z Lesławem Łukaszczykiem — którego książeczka tak długo stanowiła najpopularniejszy podręcznik historii literatury — rozpoczyna dzieje literatury od okresu ludowego (rok 700 do 1000), w którym umieszca dudarzy i lirników, pieśni i przysłowia, rozprawa o urnach, popielnicach, runach, mogiłach. Okres ten

zajmuje 160 stron. Właściwa literatura zaczyna się dopiero przy końcu tomu I, a kończy na wieku XVII w tomie drugim. Pracą autora było staranne, w porządku chronologicznym przeważnie wybrane i zestawienie wypisów i różnorodnych kawałków, które były pomieszczane w ogłoszonych już poprzednio wydawnictwach, Książka ta jednak, jak i «Biblioteka starożytnych pisarzy» oddawała usługę ówczesnym czytelnikom, umożliwiając im poznanie się z usuniętą ze szkół, pozbawioną katedr uniwersyteckich, literaturą ojczystą. Mimo swej płytkości umysłowej, bezkrytyczności, niedbalstwa i pośpiechu w fabrykacji wypisujących się bez przerwy wydawnictw i opracowań, ruchliwy ten szperacz i zręczny wydawca był w ciężkich tych latach ucisku i związanego z nim zacięciem życia duchowego i narodowego pożytecznym szerzycielem anegdotycznej wiedzy o przeszłości. Jednocześnie z «Historią literatury» ogłasza w podobny sposób zlepioną z różnych anegdot, cytat, wypisów, książkę: «Niewiasty polskie». Zarys historyczny. (Warszawa 1845 str. XXXX i 311, z drzewor. Smokowskiego). Niewielki ten tom mieści aż 31 różnorodnych działów. W tymże samym roku wychodzi pod redakcją Wójcickiego, ilustrowane przez W. Smokowskiego, «Album warszawskie», mające, wraz ze współcześnie odbywającą się wystawą przemysłowo-rolniczą, dać wyraz życia umysłowego w ognisku warszawskim. W r. 1846 ukazują się: «Domowe powiastki i wizerunki» (Warszawa, 2 tomy) a także «Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza» (III, Warszawa 1846, Władysława IV i Jana Kazimierza» (Warsz. 2 tomy). Pomieszczono tu między innymi część przekładu polskiego Kroniki Piaseckiego. W r. 1847 dla uczczenia pięćsetnej rocznicy Statutu wiślickiego wydał Wójcicki «Statuta polskie króla Kazimierza w Wiślicy ułożone» (Warsz. w drukarni komisji rządowej sprawiedliwości, str. 179, z ryciną wierzchniej części grobowca króla). Jest to przedruk tekstu statutu z przechowanej w Archiwum głównym Księgi z w. XVI, zawierającej polski tekst ustaw Kazimierzowych. W latach 1848 i 1849 wyszło pod redakcją Wójc. «Album literackie» (tom I 1848 r. str. 864, tom II r. 1849 str. 425), mieszczące utwory poetów (Baliński, Lenartowicz, Padura, Żochowska Seweryna), historyków (Bartoszewicz, Maciejowski W. Al.) a także różnorodne prace: Bandtkiego, Borowskiego Leona (Wykłady historyi literatury w Akademii duchow. w Wlnie) i samego Wójcickiego. Znajdujemy tu także popularny monodramat Ładnowskiego «Pan Stefan z Pokucia», powieść Żochowskiej Seweryny, rozprawę Sobieszcańskiego o Marcinie Bielskim. W tychże latach (1849 i 1850) wydał Wójcicki: «Życiorysy znakomitych ludzi» (2 tomy Warszawa) mieszczące w chaotycznej mieszaninie krótkie biografie wielkich poetów całego świata, (Dante, Szekspir, Milton, Bajron), współczesne znakomitości europejskie (Auber, Thiers, Lacordaire, George Sand, Puszkina, Dobrowski) i kilkadziesiąt życiorysów pisarzy i uczonych polskich, począwszy od Reja i Skargi (umieszczonego koło George Sand) a głównie współczesnych, dowolnie wybranych (Kraszewski, Korzeniow-

ski, Maciejowski W. Al. i tacy szperacze jak Gawarecki, Golebiowski, a między nimi nic nieznaczące osobistości jak Piotr Śliwicki (+1774), wzytator ks. misjonarzy w Warszawie, autor aż dwu kazań drukowanych). Po r. 1850 czy to wskutek objęcia redakcyi «Biblioteki warszawskiej» a więcej może z powodu wyczerpania się materiałów, słabnie nieco produkcja literacko-wydawnicza. W r. 1852 ukazuje się książka: «Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik» (od 1655 do 1690), w r. 1853 «Latopisiec albo kronika Joachima Jerlicza z czasów Jana Kazimierza» (Petersburg 1853) a jednocześnie: «Domowe powieści» (2 tomy Mohylew, Głasner i Warszawa, Merzbach — druk. Ungra). W r. 1855 pojawia się pierwszy tom «Cmentarza Powązkowskiego» (tom I str. 261, tom II r. 1857 str. 264, tom III r. 1858 str. XLIII i 269, rycin 60) książki, która miała być owocem kilkoletniej pracy i zyskała wielkie powodzenie, śród warszawian naturalnie, pomieszczonymi życiorysami ludzi, odgrywających w życiu kraju i miasta wybitniejszą rolę w pierwszej połowie wieku XIX. Przeważają tu jednakże osobistości, mające tylko lokalne znaczenie i to w dość ograniczonym okresie czasu. Współcześnie, w r. 1856 ukazało się: «Archiwum domowe», mieszczące rozmaite z rękopisów wydane dokumenty, listy z różnych epok, a między nimi z rękopisu Magiera Antoniego: «Dwór i zarysy życia domowego Stanisława Augusta». Przedrukował tu również Wójcicki «Sprawę rycerską i Sejm niewieści» Marcina Bielskiego. Jako zarządzający drukarnią przy Komisji Sprawiedliwości, mógł korzystać z jej usług Wójcicki dla wydawnictw charakteru naukowego, na które nie znalazłby nakłady. Jednocześnie ogłasza on swą powieść: «Dworek i pałac» (Warsz. 1856, u Rafalskiego i Klukowskiego» trzy tomy str. 186, 185 i 161). W r. 1858 wydaje «Mazowieckie powiastki» (Warsz. u S. Orgelbranda) tadzież życiorys Mickewicza przy dozwoleniu wówczas pierwszym wydaniu zbiorowemu pism wielkiego poety (Warszawa, L. Merzbach, 10 tomów). Rozwijają się, dzięki złagodzeniu cenzury, ruch wydawniczy otworzy nowe pola dla działalności Wójcickiego, który, pozostając na stanowisku redaktora «Biblioteki Warszawskiej», przyjmuje obowiązki jednego z czterech naczelnych redaktorów rozpoczętej w r. 1859 «Encyklopedyi powszechnej» Orgelbranda, a jednocześnie zostaje stałym współpracownikiem założonego w tymże roku «Tygodnika Ilustrowanego». Następnie zostanie współredaktorem założonych w r. 1865 «Kłosów», współpracownikiem «Błuszcz», «Tygodnika Powszechnego» i rozmaitych wydawnictw. Współpracownictwo Wójcickiego polegać będzie na rozmieszczaniu, pod różnymi tytułami i w różnych kombinacjach, dawno zebranego i ogłoszonego dotąd materiału; pieśni, przysłów, podań, wypisów z dawnej literatury, życiorysów z «Cmentarza powązkowskiego». Opracowania pomieszczone w «Encyklopedyi» są tylko zlepkami mechanicznymi różnorodnych, już wielokrotnie ogłaszanych, wypisów i notatek. Ten sam materiał w rozlicznych kombinacjach wypełnia pomieszczane po czasopiśmie zarysy życia przeszłości, wierzeń i zwy-

czajów ludowych, urzędów, obyczajów, faktów dziejowych. Obok tego nie przestaje, mimo zupełnego braku talentu, oddawać się twórczości w zakresie belletrystyki. W r. 1859 pomieszcza w »Tece wileńskieje« (i osobna odbitka — Wilno 1859 str. 54) utwór p. t. »Lekarz domowy«. dyalog dramatyczny w dwóch odsłonach; następnie zbiór p. t. »Silva rerum«. »Staropolskie powieści« (Wilno 1861, 2 tomy), »Amerykanin« powieść z czasów Kościuszki (Poznań 1869, przedrukowana w zbioru: »Biblioteka dla wszystkich« (Warszawa 1907 r.). Zbiór drobniejszych różnorodnych opracowań ogłasza p. t. »Szkice historyczne« (Kraków 1869 i po zmianie okładki jako nowe wydanie 1875). Do wydanego w Warszawie r. 1875 »Albumu Matejki« pisze tekst, objaśniający dzieła tego mistrza. Pomieszcza w »Bluszcze« r. 1872 i 1873 »Trzy wieki niewiasty polskiej« a następnie wydaje osobno: »Niewiasta polska w początkach bieżącego stulecia« (Warszawa 1875). Zwróciwszy się ku czasom swej młodości, kreśli Wójcicki anegdotyczne, wątpliwej ścisłości opowiadania: »Kawa literacka w Warszawie — rok 1829 i 1830.« (»Bibl. Warsz.« i osobno, Warsz. 1873 str. 68). »Ostatni klasyk« (odbitka z »Bibl. Warsz.« 1873, str. 121). »Fryderyk hrabia Skarbek« (1873 str. 65) wreszcie: »Warszawa i jej społeczność w początkach naszego stulecia« (Warsz. 1875); druga seria p. t. »Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia« (Warsz. 1877) i trzecia p. t. »Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat 30« (Warsz. 1879). Wydaje też w Krakowie »Resztki z pozostałych prac zgasłego przyjaciela« 1869, toż samo p. t. »Spuszczana po nieznanym (Berezowskim) wydał K. Wł. Wójc.« (Kraków 1875 str. III i 381). Ostatnią serją robót Wójc. były książki dla młodzieży i dzieci, mające zaznajamiać je z przeszłością narodową. Pod ogólnym tytułem »Z rodzinnej zagrody« wyszły tu: »Pokój dziaunia« opowiadanie z dziejów przeszłości, (Warsz. Hoessick, 1878), »Zarys literatury w opowiadaniach dla dzieci« poświęcony J. Kraśzewskiemu, (Warsz. 1879, str. 266 z ryc.), »Życiorys znakomitych ludzi z w. XVIII i XIX« (Warsz. 1881, str. XI, 323). Prócz tego jako »Biblioteka obrazkowa dla grzesznych dzieci« ukazały się w oddzielnych zeszytach z rysunkami Wł. Szymanowskiego klechdy dwie: »Pan Twardowski« (1879 r.) i »Nędza z biedą«. W r. 1870 rozpoczął Wójc. druk dzieł: »Pamiętniki dziecka Warszawy« (Kraków, nakładem autora, 1870), lecz z powodu nieporozumienia z drukarnią wstrzymano robotę, odbita cząstka książki ukazała się w obiegu księgarskim dopiero w r. 1909. (Kraków, Gebethner, str. VII, 79). Rozgłos i popularność, jaką pozyskał Wójcicki swemi licznymi piśmami i wydawnictwami, mającemi za przedmiot wyłącznie przeszłość narodową i życie ludowe, uwydatniały się w składanych mu za życia zbiorowych holdach. Gdy w r. 1862 Wielopolscy, jako dyrektor komisji sprawiedliwości, zaprowadzając różne zmiany w tej komisji, zwinął posadę zarządzającego drukarnią do niej należącego, skutkiem czego Wójcicki stracił swój urząd i związane z nim mieszkanie, niechętna mar-

grabiemu opinia ogółu przyjęta ten fakt z wielkim oburzeniem. Jako protest świata literacko-naukowego przeciw pokrzywdzeniu popularnego tak pisarza, z inicjatywy Adolfa Henela, wydano, przy udziale licznego grona wybitniejszych pisarzy i gorącym poparciem zewsząd zapisujących się prenumeratorów, »Książkę zbiorową« (Warsz. 1862 r. str. 450), mieszczącą na czele życiorys autora »Gawęd i klechd« skreślony przez gorącą wielbicielek, Sewerną Pruszkową, (Duchlińska), a następnie prace i uryki prac, podpisanych najgłośniejszymi wtedy nazwiskami. Między innymi Matejki dał tu początek swej pracy o Słowackim. Obok tego, by zapewnić Wójcickiemu stałą pomoc materyalną, wybrano go na prezesa komitetu właścicieli listów zastawnych przy Towarzystwie kredyt.-ziemskim. Urząd ten piastował aż do śmierci. W r. 1876, z powodu przypadającego pięćdziesięciolecia pracy piśmiennej Wójcickiego, odbył się w Warszawie obchód jubileuszowy, połączony z wydaniem ilustrowanem »Klechd«, na które zapisało się kilka tysięcy prenumeratorów. Na uroczystość w Resursie obywatelskiej, w dniu 15 maja przemawiali: Jan Pajłowski, Adam Plug, Al. Kraushar i Winc. Korotyński. W trzy lata potem tknięty atakiem paralizu, zakończył Wójcicki życie w dniu 1 sierpnia. W czasie obchodu pogrzebowego w dniu 5 sierpnia 1879 r. przemawiał ks. Krupiński, nad grobem zaś Adam Plug.

## BIBLIOGRAFIA.

Wydawnictw zbiorowych prac Wójcickiego nie było zarówno za życia jak i po śmierci autora. Nieliczne przedruki pośmiertne wskazane zostały przy wyliszonych powyżej pracach. Życiorysy i oceny działalności W. są nieliczne, przeważnie pochwalne i bezkrytyczne. Pomieszczały je: E. S. Świeżawski w »Bibl. Warsz.« z r. 1879, Seweryna Duchlińska (Pruszkowa) w »Książce zbiorowej« z r. 1862, ponownie to samo rozszerzone i dopelnione w »Bibl. Warsz.« z r. 1888 (t. III), A. Plug, w »Kłosach« (z r. 1876 i 1879), Piotrowski w »Tyg. ilustr.« z r. 1879, Zygm. Głogier w »Albumie znakomitych Polaków wieku XIX« (Warsz. 1881). Rozbiory dzieł i ogólne krytyczniejsze oceny działalności W. ogłaszał: Michał Grabowski »Literatura i krytyka« (t. II), »Korespondencja literacka« (t. I, 185), Trębicki (Uwagi nad »Teatrem starożytnym w Polsce« »Bibl. Warsz.« 1843), H. Skimborowicz »Historia liter. polsk.« »Przegl. nauk.« 1846), Edward Dembowski (Piśmiennictwo polskie, Poznań 1845), A. Tyżyński (»Rozbiory i krytyki« tom III, str. 442—487), J. Bartoszewicz »Historia liter.« wyd. 2-gie, tom II, str. 247—250), W. Pol (»Pamiętnik do literatury polskiej w. XIX«,



Lwów 1866, str. 316—317), P. Chmielowski («Metodyka historii literatury polskiej» ocena prac i wydawnictw W. z zakresu historii literatury).

### Klechdy.

Wilkołaki.

(Pierwsze wyd. w Warszawie r. 1837).

Jest to zbiór podań i wierszy ludowych, przerobionych na opowieści, skrócone językiem literackim, z dodatkami i uzupełnieniami autora, zmieniającymi ludowe pomysły i pojęcia. Naukowa wartość zbioru mała bardzo, literacka również.

#### I.

**872)** Na kwiecistym pagórku, nad brzegami Wisły, brzmiała huczna kapela, a drużyna rzeźwych parobków i dziecięcych skakała radośnie. Piwo i wódka stały w beczkach, z których się posilali wieśniacy, zgromadzeni na uroczystość rolniczą dożynek. Wśród wesołej zabawy krzyk przeraźliwy zagłuszył i brzmienia muzyki i śpiewki radosne. Przerwano taniec; poskoczono, skąd krzyki powstały, i ujrano z przestachem, jak wilkołak unosił w paszczy najpiękniejszą dziewczkę z siola. Rzuciła się za nim odważna młodzież i wkrótce dognana; ale potwór zajadły, rzucający pod nogi zdobycz, którą unosił, stanął z wściekłością do obrony. Przestraszeni i bezbronni, nie wiedzieli, co czynić; niektórzy pobiegli po strzelby, reszta ustąpiwszy na bok, czekała na wylaniem. Skoro to spostrzegł wilkołak, porwał rzuconą na ziemię dziewczynę i w największym poście uciekł do lasu.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od tej doby, gdy na tymże pagórku młodzież bawiąc się wesoło, spostrzegła siwizną okrytego starca. Zaproszony do zabawy, usiadł w milczeniu i wychylił ze smutkiem kubek wódki, który mu podano. Równy mu prawie wiekiem jeden z wiejskich gospodarzy, przystąpiwszy do nieznanego, powitał i zaczął rozmawiać.

Starzec długi czas mając w niego wlepione oczy, wreszcie zawołał ze łzami: «Tyżś to, mój Janie?»

A gospodarz poznał do razu starszego brata, co zginął przed pięćdziesiąt laty. Zdziwieni wieśniacy otczyli starca, który im opowiadał, jak zamieniony przez czarownicę w wilka, dziewczynę ukochaną porwał z tegoż samego pagórka, gdy obchodzono uroczystość dożynek: jak żył w lasach rok cały, jak później mu z żalem umarła.

— Odtąd — mówił dalej — wściekły i zażarty rzucałem się na wszystkich; pożerałem, z tej krwi dotąd ślady niczem zatrzeć nie mogłem: tu pokazał zbroczne ręce. Lat już czterech, jak się błąkam przywrócono do postaci ludzkiej; chciałem raz jeszcze was zobaczyć i te dymiące chaty, w których się zrodziłem i wychowałem; potem — o! uciekajcie! znowu mam być wilkołakiem.

Ledwie tych słów domówił, gdy zmieniony w wilka, poskończył, zawył przeraźliwie i znikł na zawsze w pobliskim lesie.

#### II.

Czarownica, rozkochawszy się w młodym wieśniaku, daremnie usiłowała wszelkimi sposobami pozyskać sobie jego wzajemność. Rozgniewana nareszcie tą wzgardą namiętna niewiasta przysięgła srogą zemstę.

Spotkawszy raz dorodnego parobka, zapowiedziała mu: «iż jak tylko do lasu po drzewo pojedzie, za pierwszym uderzeniem siekierą przemieni go w wilkołaka».

Mniej na to baczny wieśniak, zaprząglszy woły do wozu, pojechał do lasu; ale zaledwie wymierzył cios silny, siekiera wypadła mu z ręki. Przestraszony tem zdarzeniem, spojrzął i widzi przelękły, że ręce jego zmieniły się w wilcze łapy. Bezprytomny zaczął biegać po lesie, a natrafiwszy zdrojowisko, przejrzał się i spostrzegł, że cały zamienił się w wilka; widać było jeszcze gdzieś niedziedzie ostatki sukmany, bo przeobrażenie nie tak rychło wszystkie ślady zatarło.

Pośpiesza do swoich wołów, ale te przestraszone, uciekają od pana. — Chciał je zatrzymać znajomym im glosem; ale zamiast wydania głosu ludzkiego, zawył przeraźliwie. Widząc tedy

z żalem, że się sprawdziły pogroźki pogardzonej czarownicy, nie mogąc pomimo przemiany w wilka oderwać się od strzechy rodzinnej, błakał się po okolicy. Nadaremnie usiłował przyzwyczaić się do pokarmu z surowego mięsa; nie mógł tego przemódz na sobie, a tembardziej nie mógł żywić się ludzkim ciałem. Dlatego zaczął straszyc pasterzy i żniwiarzy, którym wyjadał chleb, mleko i inne potrawy.

Lat kilka tak przepędziwszy, uczul do snu pociąg nadzwyczajny, położył się więc na murawie i zasnął. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy po obudzeniu ujrzał, że napowrót człowiekiem został.

Uniesiony szczęściem, niepomny na stan swój, — gdyż po takim odczarowaniu i przemianie z wilków na ludzi osoby mają pozostać bez ubrania — na skrzydłach niemal leciał do rodzinnej chaty.

Ale zawsze, jak to dobrze mówią, radość nie jest trwała; doznał tego i on parobczak na sobie. Przybiegł do domu, lecz rodzice już pomarli; Kasienka, którą nadewszystko kochał, poszła za innego i była już matką szwagra dzieci; a z przyjaciół młodości jedni poumierali, drudzy się rozeszli.

Zniósł to odważnie biedny wieśniak, lubo z zakrwawionem sercem; pracował, uprawiając w pocie czoła kawałek ziemi, a gdy sąsiedzi w niedzielę zgromadzili się do karczmy na zabawę, opowiadał im nieraz swoje przygody i nieszczęścia, jakich doznał z przyczyny pogardzonej czarownicy.

### III.

Gospodarz sielski był przez lat siedm wilkołakiem; a odkpotowawszy przeznaczony od czarownicy lata, przemieniony został napowrót w człowieka. Cały dzień bez odzieży i pokarmu spieszył do domu, w którym zostawił żonę i dzieci kilkoro. Już w późny wieczór przybywszy do swojej chaty, zaczął stukać do drzwi zamkniętych.

— Kto tam? — zapytano z chaty — a gospodarz poznał głos swojej żony.

— To ja, twój mąż! otwórzcie prędzej!

— Wszelki duch Pana Boga chwali, mężu! wstawajcie — zawołała wystraszona niewiasta, a gospodarz ujrzał przed sobą

dawnego swego parobka, który posłubiwszy jego żonę i objawszy gospodarstwo, wybiegł uzbrojony widłami odpedzać ode drzwi prawego właściciela domu. Oburzony gospodarz niewiara małżonki, wykrzyknął z boleścią:

— O! czemuż nie jestem wilkołakiem, ażebym ukarał wiarołomną i nie czuł mego nieszczęścia.

Stalo się zadosyć jego życzeniom, napowrót przemieniony w wilka, z wściekłością rzucił się na żonę, obalił ją z dziećciem z drugiego małżeństwa, które sama karmiła, a poarłszy niemowlę, dokonał zemsty na matce, pokaleczywszy ją śmiertelnie.

Na jęki nieszczęśliwej niewiasty zbiegli się wieśniacy i tłumnie na dzikiego uderzyli zwierza. Niedługo się opierać potrafił; padł pod licznemi ranami, a gdy wieśniacy wydawali okrzyki radości z odniesionego zwycięstwa, gdy przy świetle rozpalonego luczywa zaczęli przyglądać się zwierzęciu, spostrzegli że wstrętem i przestraczem, że zamiast wilka leżał zabity gospodarz, co zniknął przed siedmiu laty, i o którym wieść biegła, że był wilkołakiem. Wszelki ratunek był już nadaremny, i gdy użalano się nad tak smutnym wypadkiem, wieśniaczka z zadanych ran przez tego wilkołaka wkrótce potem skonała.

### Stare gawędy i obrazy.

(Warszawa, 1840.)

Opowieści te zawdzięczały swe powodzenie u współczesnych swej treści, zarysom życia przeszłego, a przytem anegdotyczności. Nizki stopień kultury umysłowej i estetycznej u czytelników czynił te gawędy utworami wiele poczytnymi.

Straszny dwór<sup>1)</sup>. — Gawęda dworzan w baszcie nad broną.

### I.

**873)** — Hej! miły Boże, jakoś nudno i tęskno na sercu człowieka, by kamień położył: zadyмка śnieżna, że świata nie zobaczysz, mróz piekielny! Rozpajno, kmotrze, spory

<sup>1)</sup> Gawęda ta posłużyła za osnovę do libretta znanej opery Moniuszki, napisanego przez J. Chęcińskiego.

ogień na kominie; niech jodla da nam płomień ciepły, przy nim zgrzejem częstochowskiego piwa z grzankami, a wtedy rado pogawędzić.

To wyrzekłszy pan Maciej Siwy, tak zwany w zamku stary dworzani, z pod opieczki dobył dwa dzbanki potężne sławnego piwa i począł wlewać w dwa wielkie polewane krakowskie garki. Kmotr jego, strażnik brony (bramy), tymczasem nanieciwszy ogień, zaczął krajać glony ogromnego chleba promnickiego i solić na obydwie strony. Kiedy w garkach zawrzało piwo, każdy z nich sobie wlewając w szklanicę, popijał rado. Wówczas pan Maciej, głaszcząc długie wąsy, co roztajały w ciepłe od zamrozu, począł szeroko młode przypominać czasy, a strażnik z wielką uwagą nadstawił ciekawego ucha.

— Owóż, miły kmotrze mój, miałem wam prawić o straszny m dworze; posłuchajta przeto. Będzie temu z lat czterdzieści, służyłem za pacholę na dworze Chorążego z Radziwia. Panisko stare i słabe, upadło najprędzej na nogi, a niedługo i zmarło, płacząc zawsze swej miłej małżonki, co przed dwoma laty przeniosła się do wieczności. Było niemало placzu, bo każdy żałował dobrego paniska. Zostawił dwóch synów: Zbigniewa i Zygmunta, już dojrzałe wyrostki, bo jeden miał 29, drugi 30 rokó w. Po żalu trzeba myśleć i o sobie, zaczęli więc razem gospodarzyć i przeglądać papiery ś. p. swego rodzica. Należeli niemало pieniędzy, rozpozyczonych różnym sąsiadom: więc jakoś w pół roku począł się wybierać panicz Zygmunt w daleką drogę, aż na Mazury, do jakiegoś stolnika, u którego najwięcej mieli grosiwa do odebrania, a w skrypcie zaręczenie było święte, na słowo szlacheckie<sup>1)</sup>. Kiedy już dzień nznaczono wyjazdu, panicz mię zawołał i rzekł:

<sup>1)</sup> Na długi w wydawanych rewersach, które cerografami (cerograph) nazywano, zaręczano słowem szlacheckiem oddanie należności. Rzadki w tym względzie pomnik mam właśnie przed oczyma w kopii przepisanej z oryginału biblioteki Jana Dzierżkowskiego we Lwowie. Jan Herburt z Falsztyna, w Tarnowie i Biebnach (?) pan, dnia 12 sierpnia 1575 r. wystawił cerograf panu Michalowskiemu na dziesięćdziesiąt talarów węgierskich, oznaczając czas oddania, w którym gdyby długi nie złożył panu Michalowskiemu:

— No, mój Maćku, pojedziecie z nami, jedziem daleko, aż za Wisłę.

— Dobrze paniczu—odrzekłem—gotowym na wasze usługi,— i w godzinę siedziałem na koźle, a paniczowie ścisкали się serdecznie.

— Pamiętaj wracać prędko, miły bracie mój! — zawołał pan Zbigniew, mało nie płacząc, jak baba! A pan Zygmunt, ze łzami w oczach wskoczył w brykę i gnać kazal.

Tydzień cały jechalim, aż wjechalim na Mazury. Przeprawywszy się ze strachem przez Wisłę, zobaczyłim przecie dworzec pana Stolnika. Straszny to był dworzec.

\* \* \*

I Maciej dopił reszty z garka, a strażnik z bojaźnią wlepił oczy w starego dworzani, spodziewając się, że będzie prawił o czarownicach, wiedźmach i strachach.

\* \* \*

— Tak, miły kmotrze; owóż był to straszny dworzec, bo moje panisko nie zobaczyło długo swego rodzica (brata?). Zajeżdżamy na podwórzec, aż tu jak wyskoczy cała psiarnia ogarów, kundliów, brytanów i chartów — mało nas nie pościągała z bryki. Zajeżdżamy przed ganek; tu panicza powitał poważny gospodarz. Nie zapomnę tej postawy pańskiej i miłego oblicza. Powitał rado panicza, wprowadził w dużą gościnną komnatę; ja tuż za swoim panem szedłem bojaźliwie. Że to był blizki czas wieczery, niedługo roztwierają się podwoje alkowy, i wchodzi pani Stolnikowa, wiodąc za sobą dwie urodne córy, a za niemi gładką służebnicę. O! kiedy na nią spojrzal Maciej, co tu siedzi i to wam gada, zdechł na poly i serca nie uczuł, jakby mu je czarownica wyjęła. Aleć i z moim panem nie było

•bendzie wolno o mnje mowycz y przed każdym człowiekiem szle skarzczy, yako na tego, który niepomny na powynnoszcz słowa swego slacheckiego, także na cznothy y na wiare swą. Dalej zaręczając, iż żadnych prawnych nie uczyni wybiegów, przyrzeka -themu cerographowy memu, we wiastkym slubnie, pod cznotą y pod wiarą.

lepiej, zaczerwienił się po uszy, a kiedy pani domu zaczęła pytać o brata, moje panisko, co zawsze było rezolutne, ani bę, ani me: wszystko zerka na panny z boku. Po wieczery długo siedzieli, a gdy chwila spoczynku nadeszła, pan Zygmunt stracił głowę i niedługo trzeba by mu czarną kokosz przyłożyć<sup>1)</sup>. Nie umiał zdjąć szaty, jeno siedział zadumany. Żal mi było paniska, a więc jąłem pytać, azali nie chory?

— Dobrze mówisz, Macieju, widzę, żeś chory — i to wyrzekłszy, upadł na łożo. Calej nocy oka nie zmrugał, boć i ja nie spałem: on ciągle widział przed oczyma młodszą Stolnikównę, pannę Jadwigę; a ja miłą służebnicę. Dzionek duży zajął w okna nasze, a panicz wdychał i wdychał. Niedługo nadchodzi pan Stolnik i zdziwił się niepomalu, że młody ziemianin tak długo bawi się łożem. Po śniadaniu radził łowy. Wyjechalim, ale panicz, choć strzelał do zwierzyny pod nosem biegnącej, żadnej nie trafił; każdy go więc miał za bajbardzo. Wstydno mi było, że krwi tak zaczej młodzian, zaczarowany oczami gładkiej dziewczki, na pośmiechy wychodził: rzekłem więc śmiało:

— Panie mój! czy wam tuman<sup>2)</sup> w oczach stoi, czyścieś miłosnego zjedli chleba?<sup>3)</sup> Do nikogo słowa nie przemówita, a choć zwiernia w kniei, by kawek na słotę, przecież ani jednego nie możeta zwalić! Cóż się z wami stało, miły mój panie?

— Żle się dzieje, (odrzekł na to), ale w Bogu nadzieja. Trzeba odjechać. Każ, Macieju, zaprządz co rychłej, zaraz wrócimy doma.

<sup>1)</sup> Czarna kokosz żywcem rozdarta na poly i przyłożona do głowy była uważana za lekarstwo skuteczne dla mających pomieszane zmysły lub dostających bózka. Mikołaj Rej z Nagłowic zaleca na to wielce czarną kokosz.

<sup>2)</sup> Tuman, wedle wyobrażenia ludu, jest to dymek niewidzialny, przez kuglarzy puszczany z ziół przyprowadzonych, który albo przedmioty zaściania i niewidzialnymi czyni, albo tak usposabia oczy widzów, iż widzą tylko to, co czarownik lub kuglarz chce, aby widzieli. Stąd łądź wyraz zatumanic, to jest obłąkać, zaślepić drugiego, wedle swaj woli.

<sup>3)</sup> Chleb święty dziewczęta noszą pod pachą przez trzy dni i trzy nocy i dają ulubionemu, który się wnet rozkocha. Mąka do tego chleba ma być zmielona na nowiu, o samej północy, na wschodnim wietrze.

Więc co rychłej skoczyłem do stajni, wróciwszy z łowów, i zaraz po obiedzie dałem znać, że wszystko gotowe.

Panicz chciał się pożegnać: aż tu jak wyskoczy z furią pan Stolnik na ganek, jak krzyknie na swoją czeladź, aż tu, jak mrygnął okiem, zdjęto nam wszystkie cztery kola z bryczki, i woźnica nasz ze wstydem, na osiach jeno, zaciągnąć musiał bryczkę do wozowni. Wtedy pan Zygmunt prosił na osobność pana Stolnika i tam mu wyznał, dlaczego dłużej bawić nie może.

— Janko! (krzyknął pan Stolnik, a ja pode drzwiami słuchałem). Waś się ważysz tam nieść oczy! Nie ujdzie Waci na sucho.

Jużem zadrzał, słysząc gromiący głos starego, ale niedługo wyrzekł łagodniej:

— W moim domu nie za wysokie progi na Waści nogi. Wszystko to dobrze pójdzie; tylko Bogu służ, a ręki przykładaj, a lepiej mi Wać strzelać, niż dzisiaj rano.

Otwarły się drzwi, jam na stronę uskokczył i zobaczyłem panicza uradowanego, jak ścisł kolana pana Stolnika. Niedługo weszła i pani Stolnikowa, a za nią dwie córy: mój panicz zadrzał, aleć nabrawszy otuchy, patrząc w oczy panny Jadwigi, jak żółw na swoje jaja, począł prawie kłócić i rozumnie, aż wszystkich zadziwił, co się zrobiło z niemowy wczorajszego. W godzinę sędziwy rodzic panny wezwał go do siebie i, aby zmyl hańbę z łowów rannych, kazał mu z janczarki strzelać do celu.

Wonczas zawołał panicz na mnie:

— Macieju, weź tego bitego talara w palce.

Jam go porwał i poskokczył aż do brony, a trzymając w dwu palcach lewej ręki wyniesionej nad głową, krzyknąłem z gardła:

— Strzelać, paniczul!

Pan Stolnik począł temu oponować, razem z małżonką i pannami, a miła ich służebnica zbladła. Ale gdy ja ochotnie wołał, a strzelcy uśmiechali się szydersko, mój panicz wymierzył — pa! i talar wystrzelił mi z palców. Służebnica krzyknęła, a jam się radował, bom zobaczył, żeś jej nie obył!

Odtąd dzień po dniu mój panicz bliżej panny Jadwigi, ja



bliżej Rozalii swojej. Tak mija miesiąc jeden, mija drugi, aż nareszcie przybywa poseł od brata z domu, oddał list paniczowi, a mnie wziął na stronę.

— Na wszystkich świętych! (zawołał Jaśko, on poseł), co się tu dzieje? Pan nasz, co doma został, miał sny okropne; czekał więc choć listu, a tu ani brata, ani pisma; przyjechała tam niedługo stara Skarbnikowa i napędziła mu więcej Pietra.

— Czy wierzyta (opowiadała), że w tym strasznym dworze czarami zatrzymano pana Zygmunta; że co noc straszne wiedmy z ognistymi ogony latają nad dworem; że pan domu i pani są to same heretyki, które sprawę z dyabłem trzymają!

Na takie wieści wszyscy niemal poczuli płakać, mając wac wszystkich za zgubionych, bo Skarbnikowa zaprzysięgała prawdę swoim słowom. To gdy usłyszał pan Zbigniew, zawołał mnie do siebie i rzekł:

— Jaśko, weź mego stępaka i z tem pismem jedź co żywo z Bogiem do mego brata, azali żyw jest?

A więc wsiałdem na konia, wziąłem szkapierz z relikwią i trochę wody święconej od złego i pogałem: owóz piątego dnia staję w tym dworze strasznym.

— Tak! tak! miły bracie (odrzekłem mu na to), straszne tu dzieją się rzeczy, i ani mój panicz, ani ja, nie odjedziemy doma. Niedługo z pismem jeno wrócicie.

Jak-em myślał, tak się stało. Mój panicz odpisał bratu, a z listem Jasiek na drugi dzień odjechał.

## II

Wielki był ożrucz na dworze młodych braci w tydzień po odebranych liście. Jasiek wróciwszy, dziwy nagadał, że straszne się dzieją rzeczy we dworze pana Stolnika. Zbigniew ponury, siadał w kolasę milczący. Jasiek ze strachem poganiał konie.

Wesoła była uczta u pana Stolnika. Zygmunt po drugim puharze wzniosłym głosem wznawiał *trzeci viva*, gdy drzwi się roztwarły, i błądy Zbigniew ukazał się w komnacie.

— Bracie mój miły! — wykrzyknął pan Zygmunt, stawiając próżny puhar, i rzucił mu się w objęcia.

Stolnik zaprosił do stołu strudzonego podróżą, sadzając go naprzeciw óceek swoich, a obok małżonki. Zbigniew raz rzucił wzrokiem na Hannę, starszą Stolnikównę, i wnet się zaczerwienił, by toruńska cegła<sup>1)</sup>, oczy zaiskrzyły się, by u wilka w nocy, a serce bilo na odpust. Panna też raka upiekła, owo trafił bies na pogana, bo trafił swój na swego.

Kiedy po uczcie obaj bracia zobaczyli się sami w oddzielnej izbie, pan Zbigniew, co nigdy nie miał się żenić i ubolewał nad oślepieniem brata, już teraz tak żwawie nie powstawał i wkończu wyrzekł:

— Miły bracie! widać, że takie zrządzenie Boskie było, jać przeciwko temu nie mam.

Mój panicz uwiesił mu się u szyi, całował, szepnąwszy z uśmiechem do ucha:

— A waści gładka Hanna?

Ale pan Zbigniew uściśnął go za rękę, prosząc, by jej nie wspominał.

W parę dni potem wysłano mnie z dworu pod wieczór uzbierać malin w ogrodzie; biegnę, aż pod lipą słyszę cichy rozhower; podkradam się i widzę, jak kłęcz pan Zbigniew przed gładką Hanną, koperczaki smali i wdychając, wypowiada miłość. Wskok wracam napowrót, sprowadzam swego panicza z panną Jadwigą i panią Stolnikową. Wysłuchali wszystko i odeszli niepostrzeżeni. Uwiadomiony pan Stolnik, po wieczery, gdy obcy odeszli, kazawszy podać puhar herbowy, nalął węgierskiego i rzekł, pijąc w ręce pana Zbigniewa:

— Oby lipa, świadek miłosnego święgotania dwojga kochanków, gęściejszym co rok liściem okrywała konary swoje.

Hanna ukryła zawstydzona lica na lonie siostry, a pan Zbigniew, to błądy, to czerwienią farbowany, upadł wtedy na kolana.

Zaplakał z radości stary Stolnik, ucałował go w czoło,

<sup>1)</sup> •Zaczerwienił się by toruńska cegła« przysłowie dawniej często używane, czasem w takim wyrażeniu: »Zbladł jak cegła toruńska«, to jest zarumieniał się. Książę Jabłonowski w rękopiśmie swoim z r. 1702, wyjaśniając to przysłowie, powiada, że dobroć i kolor cegły toruńskiej daly powód do niego, a świadczyć o tem mogą gmachy wielkie i trwałe, jeszcze przez Krzyżaków zbudowane.

żądając, aby dawnym zwyczajem przez swatów oświadczyli swoje chęci. Więc tego wieczora posłano Jaśka po stryja rodzzonego paniczów, pana Cześnika.

W pięć dni wyjechali o milę paniczowie przeciw stryja, tam wsiadli w jego kolaszkę i razem zajęchali do dworu. Stary Cześnik wystrojony, kazał nie wyprzęgać koni woźnicy, wedle zwyczaju dawnego.

Pięć dzielnych koni zadzwoniło chomątami krakowskimi przed gankiem Stolnika, który już czekał na przyjęcie milego gościa.

Przy śniadaniu, kiedy chleb podano, małżonka gospodarza, spód mączny chleba nożem do siebie skrobała, dla dania znaku, że tu zalotnicy swata nie dostaną grochowego wieńca. Jakoż w godzinę woźnicy Cześnika wyprężono konie, a radość w całym dworze była, wszyscy już wiedzieli, że dwa wesela odbędą się razem.

\* \* \*

— Nalej no, bracie, jeszcze w garnek częstochowskiego piwa (rzekł do strażnika Maciej), bo jeszcze tu nie koniec, trzeba odwilżyć gardło.

Kiedy dobrze skropił usta:

— Owóż jako się skończyło. Gdy było po zapowiedziach, i ja skloniłem czołem swoim paniczom, prosząc, aby wyjednali rękę Rozalii. Uśmiawszy się ze mnie, dali na nasze zapowiedzi: aż tu niedługo i podżyły Jaśko zaczął im ścisnąć kolana, żeby mógł się ożenić z tłustą Magdaleną, co posługiwała kucharzowi, bo w niej serdecznie rozmiłowan. Kiedy się o tem dowiedział pan Stolnik, uradowany serdecznie, zawołał:

— Moi mili braciszkowio, nie zwóćcie mnie tu więcej ani swoich pacholików, ani czeladzi, bo wybiierzecie, jako ptaki na lep, wszystkie z dworu dziewczęta.

— To nie nasza wina w tem, nasz ojciec (odrzekł pan Zbigniew, ścisnąc za kolano starego pana), tu każdy z nas uwiązł, jako ptak na lepie.

— Nie daremność u nas doma (dodał pan Zygmunt), dwór Stolnika nazwano strasznym dworem.

\* \* \*

We dwa miesiące wróciłem doma, każdy wioząc sobie panią, żyłim długo szczęśliwie, dopóki Bóg raczył trzymać je przy zdrowiu i życiu. Jeden Jaśko nie mało miał kłopotu z swoją tłustą Magdaleną i nieraz z podbitym okiem mawiał: »iż ze strasznego dworu pana Stolnika on tylko jeden dyabła za rogi wyciągnął«.

CXIII.

## MECHERZYŃSKI KAROL.

(1804—1881).

Urodził się w Krakowie w 1804 r. Podobnie jak ojciec, sposobił się od lat najmłodszych do zawodu nauczycielskiego. Po ukończeniu gimnazjum i uniwersytetu w Krakowie, został w 1820 r. t. zw. kollaboratorem w liceum krakowskim św. Barbary, po roku zaś zastępcą profesora w gimnazjum św. Anny. W 1825 r. po złożeniu rozprawy »De philosophiae in poesi primordiis«, uzyskał stopień doktora filozofii i nominację na zwyczajnego profesora języka polskiego i łacińskiego w gimnazjum krakowskim. W 1828 r. zaliczono Mecherzyńskiego w poczet członków Towarzystwa naukowego krakowskiego. W 1849 r. mianowano go wyższym profesorem gimnazjalnym i powołano zarazem na zastępcę profesora literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, po przyswojeniu ustąpieniu z tej katedry Lucyana Siemiedzińskiego, źle widzianego przez reakcyjne rządy bachowskie w Galicyi. Po dwu latach uwolniony od obowiązków nauczyciela gimnazjalnego i mianowany 1855 r. rzeczywistym profesorem uniwersytetu, wykładał aż do 1871 r., w którym uzyskał emeryturę i usunął się od zawodu nauczycielskiego.

Mecherzyński, jako profesor, gorliwie spełniał swoje obowiązki, ale głębszego wpływu na młodzież nie wywierał, ani też nie potrafił jej zachęcić do badań nad literaturą ojczystą. Nie miał przedswastykiem daru wymowy; wykłady jego, które odczytywał ze skryptów, były suche i bezbarwne, brakło mu przytem zdolności krytycznej. »Najulubięszymi okresami naszej literatury dla Mecherzyńskiego — pisze uczeń jego, A. Belcikowski — były te, w których piśmiennictwo polskie szło w parze z łaczną i starymi klasykami, a więc okres kronikarski, czasy Zygmuntofskie i wiek XVII-ty. Literatura Stanisława Augusta mniej już, zdaje się, miała dla niego powabu, a wszel-

kie żywsze sympatyie podobno na Brodzińskim się kończyły«. O Slo wackim i Krasieńskim nie wykładał wcale.

Daleko większe zasługi, niż na katedrze, położył Mecherzyński, jako badacz naszej literatury. W tym zakresie pozostawił długi szereg rozpraw i monografi, ogłaszanych przeważnie w czasopiśmie, zwłaszcza w »Bibliotece Warszawskiej«, »Rocznikach« Towarzystwa naukowego w Krakowie i t. d.

Najwybitniejszym dziełem Mecherzyńskiego jest »Historja wymowy w Polsce«. W trzech tomach opowiedział autor dzieje wymowy od czasów najdawniejszych do końca okresu jezuickiego; zapowiedziany tom czwarty pozostał podobno w rękopisie. Mecherzyński przecenia niekiedy znaczenie mówców polskich, obciążał przytem dzieło swe niepotrzebnym balastem nazwisk ludzi, po których nic nie pozostało, prócz tradycyi o ich powodzeniu oratorskiem.

Mecherzyński był nadto autorem podręcznika do nauki historii literatury, który trzech nawet doznał się wydać. Praca ta, nacechowana znakami pośpiechu i zgammatwania pojęć elementarnych, żadnej już dziś nie posiada wartości naukowej (por. ocenę Chmielowskiego w »Niwie« 1877 r. t. II, str. 31—37).

Do poważniejszych prac Mecherzyńskiego należy przekład dwunastu ksiąg »Historji« Długosza, wydany w zbiorowej edycyi dzieł tego pisarza (Kraków, 1859—64). Tłumacz, niepospodyty znawca łaciny średniowiecznej, dał przekład wierny i staranny. Za sprawą Mecherzyńskiego ukazały się po raz pierwszy z rękopisów poezye Woronicza, nowa edycja kazań Skargi i kilka pomniejszych utworów literatury naszej.

Zmarł Mecherzyński w Podgórzu pod Krakowem dn. 9 sierpnia 1881 r., do ostatnich chwil niemal gromadząc materiały do prac zamierzonych.

## BIBLIOGRAFIA.

A) Bibliografia dzieł. 1) »O duchu i dążności literatury polskiej wieku XVI«. (Odbitka z »Rocznika Towarzystwa naukowego«). Kraków 1849. 2) »Historja literatury polskiej dla młodzieży, opowiedziana w krótkości«. Kraków, 1873. (Drugie wydanie w 1874, trzecie w 1880). 3) »Historja języka łacińskiego w Polsce«. Kraków, 1829. (Drugie wydanie w 1833 r.) 4) »Historja wymowy w Polsce«. T. I, II i III. Kraków, 1856—1859 (tom IV pozostał w rękopisie). 5) »O magistratach miast polskich, a w szczególności miasta Krakowa«. Kraków, 1845. 6) »Historja wymowy karnodziejkiej w Polsce, obejmująca wiadomość o najcenniejszych mówcach Kościola polskiego w czasach Zygmuntofskich«. Kraków, 1864. (Jest to właściwie tom II dzieła:

»Historia wymowy w Polsce« z inną tylko okładką tytułową. 7) »De philosophiae in poesi primordiis«. (Rozprawa doktorska Mecherzyńskiego). Kraków, 1825. 8) »O poetach czasów Stanisława Augusta«. (Odbitka z XXXII »Rocznika Towarzystwa naukowego). Kraków, 1865. 9) »Prawidła pisania«. Kraków, 1841. 10) »Przegląd literatury ludów wschodnich, poezji greckiej, średniowiecznej, polskiej XVI i XIX w.«. Odczyty publiczne. Kraków, 1851. 11) »Przykłady i wzory z najcenniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do Historii literatury polskiej, opowiedzianej w krótkości dla młodzieży«. Kraków, 1874. 12) »O reformie Akademii krakowskiej w r. 1780 przez Kollataja«. Rzecz historyczna z archiwalnych źródeł zebrana i na uczenie 500-letniej rocznicy wydana. Kraków, 1864. 13) »Stylistyka czyli nauka, obejmująca prawidła dobrego pisania«. Do użytku młodzieży szkolnej ułożona. Kraków, 1876. 14) »Świadcstwa uczonych krajowych i postronnych o kwitującym stanie nauk w Polsce w wiekach dawniejszych«. Rzecz czytana przy obchodzie rocznicy założenia Akademii krakowskiej na posiedzeniu publicznem d. 2 czerwca 1828 r.. (Odbitka z tomu XIII »Rocznika naukowego). Kraków, 1828. 15) »Uwagi nad dziełem L. T. Rycharskiego: »Literatura polska w historyczno-krytycznym zarysie«. Kraków, 1867. 16) »Wiadomości o Wetach Parnaskich Wacława Potockiego«, w bezimiennym rękopisie, znalezionym w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, 1868. 17) »Wypisy polskie dla szkół żeńskich, z najcenniejszych pisarzy krajowych zebrane i ułożone«. Kraków, 1872. 18) »O pobycie Konrada Celtesa w Polsce«. Kraków, 1876. 19) Wawrzyniec Korwin z Nowego Targu, poeta szlaski XVI w.. Kraków, 1878. — Nadto szereg rozpraw pomniejszych w »Bibliotece Warszawskiej«, »Tygodniku literackim poznańskim«, »Kwartalniku naukowym« i inn.

**B) O Mecherzyńskim pisali:** K. Wł. Wójcicki. (»Tygodnik Ilustrowany« 1865 r. Nr 292). — Adam Belcikowski (»Tyg. Ilustr.« 1881 r. Nr. 297). — Henryk Biegeleisen (»Złota Przędza« t. II-gi, str. 887—889).

### Historia wymowy w Polsce.

(Kraków, 1856 r. t. I, str. 8—9).

**874)** Zadaniem historii wymowy jest: opowiedzieć w dzielnym porządku pierwiastkowy związek, wzrost, rozmaite koleje kwitnienia i upadania wymowy, — wyswiecić oko liczności przyjazne jej powodzeniu, lub nawzajem przyczyny,

które działały nań odwrotnie, — wskazać godne uwagi, w każdym rodzaju wymowy i każdej z osobna epoce, zabytki i pomniki, z wymienieniem celniejszych utworów mówców i ocenieniem ich krytycznem, tak pod względem rzeczystwej wartości, jako też wrażenia i wpływu, jaki na współczesnych wywierali.

Pierwszym tu obowiązkiem dziejopisa jest pogląd uważny na te psychologiczne, społeczne i polityczne warunki, od których zawisła wymowa, już jako zdolność przyrodzona, już jako sztuka, umiejętnie kształcona i doskonalona. Bada on wewnątrz i zewnątrz naród, jego charakter, uprągę społeczną, tudzież język, jako narzędzie powszechne i organ umysłowości, — zważa rozmaite objawy w życiu domowem i publicznem, świeckiem i religijnem, i z ich zarysów układa swój obraz, scenę historyczną, z głównym jej działaczem wymową. Stąd postępując do szczegółów, ocenia stanowisko każdego z osobna mówcy, — zbiera z ich życiorysów główniejsze barwy i znamiona, i roztrząsa ich dzieła, zważając, co w nich było własnością geniuszu, a co owocem działających nań wpływów; co wyniknęło z potrzeb krajowych, dla życia rzeczywistego, a co z wyłącznego powołania, dla sztuki. Dwojaką bowiem w swym historycznym obrazie ma ukazać stronę: praktyczną i teoretyczną — wymowę i jej naukę — mówców i ich szkołę.

Jakkolwiek historia wymowy jest częścią tylko ogólnych dziejów literatury, i jedynie w najściślejszym z niemi związku pojmowaną i należycie wyluszczoną być może; przecież, ze względu na sam przedmiot wymowy, jej wyłączne w życiu społecznem posłannictwo, niemniej ważność i rozległość zawodu, w którym odrębne i poniekąd niezawisłe od historii innych nauk i sztuk zakreśla sobie epoki, stanowi niejako oddzielną całość, i na szczegółową zasługuje uwagę.



## Piotr Skarga.

(«Historja wymowy w Polsce». Kraków, 1853).

**875)** *T. II. Str. 184—188.* Chcąc rzetelny przedstawić sobie obraz Skargi, należy uważnie ocenić stanowisko, jakie wobec wieku i społeczeństwa swego zajmował. Prawy Polak, gorliwy obywatel, był on przedewszystkiem kapłanem Jezuitą. Znając dobrze powołanie swoje, a razem czasy i okoliczności, w których do wspólnego dzieła wystąpił, mierzył się własnem uczuciem i roztropnością, niemniej jak obowiązującą modłą zakonu, którego misję sprawował; razem wyobraził ducha chrześcijaństwa i dążności katolickiego kościoła, i narzędzie Boże, przeznaczone do przygotowania ważnych zmian w społeczeństwie. Mimo głośną na kazalnicy wziętość, społeczeńści (a zwłaszcza reformiści) zrzucali mu dążenia przeciwne duchowi narodowemu, prawom i obyyczajom polskim. Krytyka nowoczesna podniosła też same paradoksa, jakby na osłonięcie słabości i przesądnych wyobrażeń jego wieku. Kochał Skarga swój kraj i dlatego pragnął go widzieć rządym, wtedy najbardziej, kiedy Rzeczpospolita nachylała się swoim nieładem do upadku. Podpierał władzę królewską, gdy właśnie jej osłabienie rozprzęgało wszystkie spójnie politycznej budowy. Namawiał do jedności wiary, widząc, że za rozerwaniem kościoła szło powszechne rozbratanie serc i jedności narodu. Politykę uważał z tej samej wysokości, z jakiej zapatrywał się na wszystkie rzeczy ludzkie: zasady jej, jak kapłan, prowadził z nieba. Sprawiedliwość i pobożność ze strony panujących, wierność i uległość ze strony poddanych — kapłaństwo królujące, rząd duchowny z królem i przez króla, to jego polityka. Stawia on wszystkich zarówno pod władzą i wyrokami Boga, który dzierży w swym ręku serca ludzkie, i w skarbniicy swojej wszechmocy ma równie nagrody dla ułomności cnotliwej, jak kary dla występnej wielkości. Jakoż żywił w sobie Skarga raczej uczucia, niżeli zdania społecznych republikanów. Mniemał, że idea rzeczywistej mogła karmić wysokie cnoty obywatelskie, ale nie przypadła do miary z rzeczywistym stanem społeczeństwa. Tron uważał za jedyną twardzę i podporę wol-

ności — wolność za nieoddzielną od monarchizmu. Dlatego obstawiał za powagę i przywilejami władzy królewskiej, przeciw nadużycom, rodzącym się z bezzładu i swawoli.

Pelen charakteru i odwagi cywilnej, roztropnie jednak kierował kroki — ulegał okolicznościom, ale nigdy nie odstępował swego zdania, ani plocho przemieniał roli. Mając za pierwszą cnotę posłuszeństwo zakonne, ani sięgając do głębi politycznej Jezuitów, nie dziwił, że w prostocie i szczeroci ducha stawał się poniekąd ich narzędziem: teorie swoje rozwijał nie po dworsku, jako pochlebca, ale w sposób godny kapłana obywatela, z czystego przekonania o potrzebie powagi tak świeckiej, jak duchownej.

Aby wiernie odpowiedzieć powołaniu, niedość było karności ówczesnemu stać na ogólnem stanowisku chrześcijańskiem: trzeba było zgłębiać wady i słabości przemagające w narodzie, i nad ich wykorzenieniem pracować. Podjął tę pracę chwalebna Skarga, każąc przeciw zepsuciu powszechnemu, i światle, gorliwości pełne dając rodakom swoim przestrógi.

Było usiłowaniem jego budować serca ludzkie i skłaniać różność społeczną do wzajemnej pomocy i miłości. Kazał za nieszczęśliwymi, stanem gminnym i ludem wiejskim, zastępując swą religijną opieką przywilej owej wolności, która nie wszystkim zarówno służyła. Śmiało w tym celu podnoszone głosy przeciw szlachcie i możniejszemu panom do najwomniejszych należą.

Filozofia jego czysto-religijna, objaśniona światłem i pomocą prawd objawionych, w tłumaczeniu przeznaczeń ludzkich i obowiązków odkrywa zasady równie wzniosłe, jak prawdziwe. Podobny uczuciem Bazylemu W., jest on przedewszystkiem mówcą — jałmużnikiem, z równą gorącością ducha pojmującym tę Boską zasadę chrześcijaństwa, która buduje równość społeczną przez religijną miłość. Wszystka wymowa jego leżała w sercu, które nawzajem swe wzruszenia winno było tej wielkiej inspiracyi chrześcijańskiej — miłości.

## CXIV.

## MACIEJOWSKI WACŁAW ALEKSANDER.

(1793—1885).

Niezwykłą pracowitością i rozległą erudycją wyróżniający się badacz przeszłości Słowian i Polski w zakresie prawodawstwa, stosunków plemiennych, wyznaniowych, obyczajów, piśmiennictwa, głośny i ceniony w swoim czasie w całej Słowiańszczyźnie, z której przedstawicielami, w zakresie nauki, utrzymywał stosunki i prowadził ożywioną korespondencją, podtrzymywał swą ruchliwą działalnością słabnącą po r. 1831 życie naukowe, lecz nie znajdował w społeczeństwie uznania i sympatii, zarówno dla braku wyższych uzdolnień naukowych i literackich, jak też dla uwydatnionej w pracach sympatii dla słowiańskiego obrządku i jego początkowego rozpowszechnienia w Polsce. Pomoc materyjalna, jaką otrzymywał od rządu na badania naukowe w postaci stałej pensji, budziła pewną, niesłuszną jednak, nieufność do jego przekonań i sądów.

Urodzony r. 1793 w Cierliku na Śląsku (pow. cieszyński), pobierał nauki od r. 1805 w szkołach pijarskich w Piotrkowie, gdzie brat jego starszy, Józef, był nauczycielem języków nowożytnych. Jednocześnie uczęszczali tu dwaj bratankowie jego: Ignacy i Franciszek, późniejszy profesor prawa rzymskiego w Szkole Głównej warszawskiej. Szkoły te wspominał Maciejowski do końca życia z wdzięcznością za obudzenie w nim zapala do nauki. W r. 1812 rozpoczęła studia we wszechniej Jagiellońskiej, obsadzonej wówczas na nowo siłami polskimi. W Krakowie spotkał zwany się do nauki młodzieńcem Jerzego Samuela Bandtkiego, bibliotekarza, wykładającego podówczas bibliografię, który jako sekretarz Goedikego, wizytatora szkół za czasów pruskich, zwiadał poprowadzić szkoły piotrkowskie. Wziął on teraz do siebie znanego mu widocznego młodzieńca i przez lat dwa pracował nad nim, uzupełniając ubogie zasoby, wyniesione ze szkół piotrkowskich, studiowaniem pisarzy łacińskich, greckich, a obok tego Woltera. Jak później sam

Msc. przyznawał, Bandtkie był mu »więcej niż ojcem«. Za wpływem tegoż protektora, ówczesny minister oświecenia w Królestwie Polskim, Stan. Potocki, wysłał młodego pracownika na dalsze studia za granicę. Przez trzy lata przebywał M. na uniwersytetach w Berlinie, Getyndze i Wrocławiu, słuchając wykładów: Savignego, Wolfa, głośnego ze studiów nad Homerem, Boeckha, Nieubuhra, Raumera, Hngona, Eichhorna prof. historii prawa germańskiego, którego wykłady pobudziły w słuchacza myśl opracowania historii prawodawstw słowiańskich. W r. 1818 po uzyskaniu stopnia doktora za rozprawę: »De vita et constitutionibus M. Trajani Decii« (Getynga 1818) wraca do kraju i obejmuje stanowisko nauczyciela w liceum warszawskim, a jednocześnie profesora historii i instytucji prawa rzymskiego w świeżo otwartym uniwersytecie. W związku z tymi wykładami ogłasza: »Principia juris romani« (Warsz. 1820, drugie wyd. p. t. »Historia juris romani«). Od r. 1825 rozpoczął wykłady pandektów. W r. 1828 ogłasza »Opusculorum Syllogis prima« (Warszawa). Po zamknięciu uniwersytetu w r. 1831 został sędzią apelacyjnym trybunału województwa mazowieckiego. Od r. 1837 wykladał literaturę starożytną w otworzonej podówczas w Warszawie Akademii duchownej, a na kursach prawnych (1840—1846) historię prawa polskiego. Wreszcie w r. 1832 pojawia się w Warszawie pierwszy tom »Historii prawodawstw słowiańskich«, która młodemu uczonemu zjednała rozgłos w całej Słowiańszczyźnie i uznanie w świecie uczonych niemieckich. Na ten kierunek studiów M. wpłynęło z jednej strony rosnące u nas interesowanie się przeszłością Słowiańszczyzny i torowanie drogi do badań naukowych na tem polu przez takich pracowników, jak Chodakowski, Surowiecki, Rakowiecki. Obok tego nauka niemiecka wywarła wpływ doniosły nie tylko na metodę naukową M. lecz i na cały system pojęć. W odradzających się, po walkach okresu Napoleońskiego, krajach niemieckich szerzył się właśnie zaczynał ruch narodowy, którego badzicieli i kierowników spotykamy i na katedrach uniwersyteckich. Późniejszy sławizm Maciejowskiego niewątpliwie powstał pod wpływem idei, z którymi zetknął się podczas swoich studiów niemieckich. Rzecz charakterystyczna, że sam M. zdawał sobie sprawę z wpływu, jaki wywarli myśliciele niemiecy nie tylko na naukowe, ale i jego słowiańskie pojęcia. We wstępie do pierwszej części swej »Historii prawodawstw słowiańskich« nawołuje M. »żeby odczytywać i rozważać pilnie« dzieło »wiekopomnego męża« Herdera »Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit«. Herder każdej rasie przypisał specjalne rysy charakterystyczne, które miały odbijać swe piętno na całych ich dziejach. Otóż Słowian scharakteryzował niemiecki myśliciel, jako plemie odznaczające się łagodnością usposobienia, wrodzoną pogodą umysłu, zamilowaniem miły, zmysłem gościnności i pracowitością, ale z drugiej strony brakiem inicjatywy w działaniu, łatwą zdolnością do poddania się jarzmu niewoli, brakiem ducha wojennego i zabobrości, wielką rozprężliwością organizacyj politycznej, niezdolnością utworze-

nia silnego, spoiętego organizmu państwowego. Ten sąd Herdera stał się gwiazdą przewodnią w całej działalności naukowej M.

Już w Niemczech marzył nasz uczonek o napisaniu dzieła, poświęconego prawodawstwu słowiańskiemu, w którym to dziele pragnął on, nie porzucając doktryny Herdera, wykazać, że oprócz rzymskich i niemieckich, istnieją jeszcze w Europie prawa, o których, urywkowo dotąd mieliśmy i mamy wiadomości, a prawa te są w zasadzie swej oryginalności, w rozwinięciu osobliwe, w użytku praktyczniejsze, niż wszelkie inne średniowiekowe. Do wprowadzenia w życie swego planu wziął się M. przy pierwszej nadarzonej sposobności. W r. 1820 młody uczonek powołany został do udziału w pracach komisji, która pod przewodnictwem Józefa Wybickiego miała przejrzeć i poprawić prawa krajowe. Uczestnictwo w tej komisji z jednej strony upewniło M. o znaczeniu praktycznym planowanego przez niego dzieła, z drugiej strony ułatwiło mu wykonanie tej pracy, która stała się osią i główną podstawą wszystkich późniejszych dzieł M. Dzieło to p. t. »Historia prawodawstw słowiańskich« ukazało się w Warszawie w latach od 1832 do 1835 w czterech tomach. Dziś prawie zapomniane, wywołało ono swojego czasu podziw nie tylko w Polsce, ale i w całej Słowiańszczyźnie, a nawet i w Niemczech. Sam autor przypisywał mu wielkie znaczenie, uważając, że objawił w niem miłośnikom prawdy nowe ustawodawstwo, że pokazując ludziom mało im jeszcze znaną narodowość słowiańskich pokoleń, dobrze usłużył rodakom i obcym, zwłaszcza tym, którzy historią pojmują, a człowieczeństwo lubią.

W obrzymim dziele swoim poszedł M. w kierunku wytkniętym przez Rakowieckiego, który we wstępnych wywodach do przekładu »Prawdy Ruskiej« pierwszy wszedł na drogę porównawczego badania urzędów słowiańskich. Zadanie, jakiego się podjął M. było obrzymie, przerażające niemal siły jednego człowieka. Do porównawczej historii prawa słowiańskiego był już za czasów M. ogromny materiał, dostępny dla uczonych, ale jak słusznie pisze prof. Balzer (»Historia praw słowiańskich« str. 17), »materiał ten był jeszcze w ogromnej części surowy; dotychczasowa nauka zlekka go tylko w niektórych szczegółach i w niektórych tylko krajach, jak w Polsce i w Rosji, dotknęła; niektóre prawa słowiańskie jak np. czeskie, bardzo jeszcze były podówczas zaniedbane, inne jak np. południowo-słowiańskie, prawie nieknięte. Tysiączne zasadnicze wątpliwości, jakie źródła te nie tylko w całości, ale częstokroć w poszczególnych ustępach nasuwały, były nierozjaśnione. Przez ten wielki dzwiczny las nieobrobionego przeważnie materiału miał się własną pracą przedrzeć jeden człowiek; nie dziw, że zamiast opanować przedmiot, uległ pod jego ogromem. Byłby był musiał uciekać, gdyby był nawet uległy od tych wad, jakie cechują niejedyną indywidualność umysłową; pochopność do nieuzasadnionych hipotez, brak ścisłości krytycznej i ścisłości prawnej, zawziętość i mglistość w poglądach i przedstawieniu rzeczy. Historia porównawcza prawodawstw słowiańskich wobec ówczesnego

stanu, w jakim znajdowała się historia każdego z tych praw, nie miała jeszcze podstaw bytu.

Jak wspominaliśmy M. ulegał wpływowi teorii Herdera o narodowościach. Otóż w »Historii prawodawstw słowiańskich« doprowadza on teoryje te do niemożliwych wprost konsekwencji. »Niemieckie i słowiańskie prawa, twierdzi uczonek, dwie uderzające przedstawiają przeciwności. O ile pierwsze odznaczyło się ostrością, surowością, a nawet pewną nieludzkością, o tyle drugie miało w przetrzymaniu naprawiać jego szwanki, tudzież odrabiać, czyli oddziaływać, cokolwiek tanto na szkodę działało ludzkości. Wychodząc z takiego założenia, każde łagodne ludzkie postanowienie uważał Maciejowski za prawo słowiańskie. W ten sposób całym systemem prawym Swewów, Dytmarsów, a dalej Zwierciadłu saskim, Zwierciadłu szwabskiemu, przypisał nasz uczonek słowiańskie pochodzenie. Nad historią prawodawstwa słowiańskiego pracował M. do końca życia. Po wyjściu pierwszej edycji wziął się do opracowywania drugiej, która ukazała się w Warszawie (1856—1865 tom VI). Dzieło to do czekało się przekładu na obce języki. Przekład niemiecki z pierwszego wydania, dokonany przez Fr. v. Bussa i N. Nawrockiego, ukazał się w Stuttgarcie (1835—1839) p. t. »Slavische Rechtsgeschichte« (in IV Theilen). W r. 1856 wyszedł przekład serbski przez Nikoła Krsticia (u Budimu). Rosyjski przekład, przez Sawinicza dokonany, przerwany został po ukazaniu się tomu I (Moskwa 1842) z powodu śmierci wydawcy.

Najważniejszą z dalszych prac M. jest: »Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830, z rękopisów i druków zebrawszy, w obrzędzie literatury polskiej historycznie skróconym, przedstawil...« Warszawa 1851—1852. Tom I zawiera: wstęp do dzieła, zwroty piśmiennictwa i literatury, zewnętrznie aż do r. 1650 rozwiązane, (str. VIII i 813), tom II też zwroty wewnętrznie aż do r. 1650 rozwiązane (str. 986), tom III dopełnienia powyższych tomów i dodatki do dzieła (str. III, 876, XXIV, IV i w dodatkach str. 403 i tablice podobian). Przyjrzawszy, podobnie jak i Wiszniewski, rodzimiość literatury polskiej, istniejącej przed przyjęciem chrześcijaństwa (pieśni, przysłowia, klechdy) jako wyraz twórczości ludu, widzi w rozwoju dziejowym literatury trzy zwroty: ludowy, narodowy (w twórcach klasy oświeceniowej, piśmiennictwem i drukiem utrwalonych), wreszcie najwyższy ludowo-narodowy, w którym twórczość wieckiego ducha pisarzów ubrała rodowość w szaty najartystyczniejszego wyrobionego piękna. W tomie pierwszym, po obszernym wstępie rozwijającym pogląd na powody objawienia się piśmiennictwa polskiego, dwoiście jego lice, zwroty i zasoby, rozpatruje rozwój literatury ludowej, jej pomników, zbiorów dotąd ogłoszonych, następnie w zwrócenie drugim rozpatruje zabytki polskie rękopiśmienne i najdawniejsze druki, wreszcie działalność 18 pisarzów ludowo-narodowych z wieku XVI do połowy w. XVII. Tom drugi poświęcony jest »obrotom« zwrotów, a więc rozwojowi oświaty (szkoły), nauki, języka, stylu, poezji, prozy, a wreszcie rozpatrzeniu prac nad

historią literatury. Tom trzeci wypełniają opisy bibliograficzne i streszczenia licznych ksiąg i broszur pomniejszych pisarzy z powyższego okresu, rozpatrywanych po rozmaitych bibliotekach polskich i obcych, dodatek zaś przedruki rzadkich zabytków rękopiśmiennych. Pisarze łacińscy nie zostali uwzględnieni. W ostatnim poglądzie na to dzieło zamykającym tom II powiada M. »Pytając o to ludu: jak narodowi przechowało słowo polskie, gdy nad zewsząd, poczawszy od X w. mocno nacierała słowiańszczyzna? Pytając o to narodu: co go spowodowało do przyjęcia tego słowa od ludu i do powierzenia go piśmu? Pytając o to polskich uczonych, co ich skłoniło ku ludowej pieśni i opowieści? Zapisałem odebraną na te pytania odpowiedź i na dowód odgadnionych zagadnień wykazałem, rozumnie, dobitnie, że nasza literatura wcale odmiennym od literatur innych (francuska, niemiecka) rozwijała się i rozwija trybem«. To jednak, co uzonemu wydawało się jasnym, czytelnikom przedstawiało się bardzo zawile i niezrozumiałe. Zaznaczył to we współczesnej ocenie (»Gazeta Warsz.« r. 1851 n. 299) Kraszewski, wywołując ze strony M. odpowiedź, iż czyniąc mu podobne zarzuty (zawilność układu, niejasność) »żartuje sobie z piszącego dzieło i czytających«. W dwa lata po Kraszewskim wypowiedział Mickiewicz ostrzy, tchnący niechęcią i lekceważeniem sąd o dziele i jego autorze w notatce, skróconej w r. 1853, a ogłoszonej w »Czasie« r. 1856. Podzielając wraz z innymi ówczesnymi badaczami przeszłości domniemanie o istnieniu w Polsce obrządku wschodniego przed wprowadzeniem łacińskiego, rozwiniął M. swoją hipotezę w pracy: »Pamiętniki o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa Słowian« (Warsz. 1839 r. 2 tomy) tudzież w rozprawie ogłoszonej po francusku: »Essai historique sur l'état des chrétiens primitifs de deux rites chez les Slaves« (Lipsk 1840). Książka ta, o ile pozyskała w sferach rosyjskich naukowych i urzędowych, których widokom odpowiadała — uznanie dla historyka, wyrażające się w udzieleniu mu stalego rocznego zasiłku na badania naukowe, o tyle znowu w społeczeństwie polskim wywołała mniej korzystne dla autora usposobienie. Z powodu »Pamiętników« rozwinęła się w »Bibl. Warsz.« zawzięta polemika, prowadzona niezbyt udolnie przez Ign. Rychtera. (Różnice zachodzące między »Pamiętnikami W. A. Mac. a historią« »Bibl. Warsz.« 1841 r. t. II i III). Przekład rosyjski »Pamiętników« ogłosił w Petersburgu (1840) Dubrowski, znany ze swej działalności w Warszawie. Z krytyką pojęć i poglądów M. wystąpił założony w r. 1845 »Przegląd poznański« w rozprawie »O wyobrażeniach szerzonych przez p. W. Al. Mac.« (t. IV, str. 526) i ponownie: »Pan A. W. Mac. i jego odpowiedź« (t. VI, str. 97). Szanowaną jego rozległą wiedzę i niezmordowaną pracowitość, jednakże dla osoby i dzieł nie okazywano sympatii i uznania, nie znajdując w nich odbicia drogiej ogółowi uczuć i dążeń. Słowiańskie sympatie i dążeń M. jednaly mu za to uznanie wśród uczonych rosyjskich i czeskich, z którymi zostawał w stosunkach, z Hanką mianowicie. Jako jedyny w latach między r. 1831

a 1860 uczony polski, pracujący w Warszawie, a posiadający jednocześnie szeroki rozgłos poza krajem, M. mimo swej niepopularności, mimo niejasności i niepoczytności swych dzieł i rozpraw, jest współpracownikiem wszystkich poważniejszych czasopism polskich w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łwowie, Wilnie. Po r. 1860 stabilnie obfita produkcja naukowa M. zarówno ilościowo, jak i co do wartości. Pragnąc utrzymać prawo do pobierania zasiłku na pracę naukową, ogłasza coraz nowe dzieła i rozprawy, pomimo słabnących z wiekiem sił fizycznych i umysłowych, podejmuje zadania, którym niezdolny jest podołać. Wreszcie zgon w r. 1883 kładzie kres tym bezowocnym, bezwartościowym wysiłkom starca, usiłującego daremnie utrzymać się na stanowisku, zdobytem przez pół wiekiem.

#### BIBLIOGRAFIA.

a) Biografie i oceny krytyczne. Pierwszą pracą jest: »O życiu i pismach W. A. Maciejowskiego« (Bibl. Ossol. 1843 r. V). W r. 1870 Walenty Dutkiewicz ogłosił: »Spostrzeżenia nad historią prawodawstw słowiańskich« (Warszawa 1870) Po śmierci M. ukazało się »Wspomnienie pośmiertne« (Ateneum 1893 r. t. I), Ptaszycki Stan, ogłosił w języku rosyjskim zarys życia i prac M. w piśmie: »Żurnal minist. prosw.« (CCXXVI). »Historię prawodawstw słowiańskich« ocenił Balzer. Dokładne bo od samego M. otrzymane dane biograficzne podał E. Świeżawski w biografii, pomieszczonej w »Złotej przędzy« (t. II, str. 588). Listy M. do Hanki w liczbie 95 wydał prof. Franczew w zbiorze korespondencji tego czeskiego sławisty, ogłoszonym w Pradze (r. 1905). Listy M. do Anton. Mażurczaka podał »Kwart. histor.« z 1909 r. zes. IV. O działalności M. pisał Jellinek w »Slov. sborniku« z 1883 r. zaś kł. Smolikowski i T. Grabowski w »Świecie Słowiańskim« z r. 1910 »O stanowisku M.«.

b) Wydania dzieł: Zbiorowych wydał prac M. nie było nie za życia jego ni po zgonie. Z wyjątkiem »Historii prawodawstw« żadne dzieło nie wyszło w powtórnym wydaniu. Prócz wymienionych w zarysie biograficznym prac ogłosił M. jeszcze w osobnych wydaniach: »Polska aż do pierwszej połowy wieku XVII pod względem obyczajów i zwyczajów« (Warsz. 1842 r. 4 tomy). »Pierwotne dzieje Polski i Litwy« (Warsz. 1846). »Kronika polska pierwszych dziesięciu wieków po Chrystusie« z mapką (Warsz. 1848). »Roczniki i kroniki polskie i litewskie najdawniejsze« (Warsz. 1850). Ocenił J. Bartoszewicz w »Bibl. Warsz.« 1850 t. III). Po ogłoszeniu nowego rozszerzonego wydania »Historii prawodawstw« wydawał cały szereg rozpraw, mających rozjaśniać i dopełniać ten przedmiot. Pierwszą z tych prac był: »Przegląd najnowszych prawodawstw Słowian«, mający się skł-



dać z ciągu rozpraw, z których pojawiła się tylko jedna: »Przegląd histor. krytyczny prawa cywilnego, ruskiego, dziś obowiązującego« (Warsz. 1871). Jako »Dopelnienia« do »Historji prawodawstw« ogłosił następnie: »Zarysy dawnej statystyki Polski w celu dopełnienia Historji prawodawstw« (Warsz. 1866), »Dzieje Polaki przedchrobrowej aż do początku panowania w niej rodujny Piasta« (Warsz. 1872 wydane z zapisu M. Konarskiego). Z kolei koszem funduszu konkursowego hr. Augusta Cieszkowskiego, wyszła »Historja włościan i stonków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy w. XIX« (Poznań 1874). Zawartość i wartość naukowa tej książki nie odpowiada wiele obiecywanemu tytułowi i ważności podjętego a nie spełnionego zadania. Jako czwarte dopełnienie »Historji prawodawstw« wydał dziełko: »Żydzi w Polsce, na Rusi i Litwie« (Warsz. 1878). Śmierć M. przerwała rozpoczęty druk książki o »Miejscach i mieszczańach«, która ukazała się później p. t. »Historja miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego od czasów najdawn. do połowy w. XIX«, z materiałów pozostałych do druku przygotował M. R. Witanowski (»Roczniki Tow. przyj. nauk. poz.« VII, odbitka Poznań 1891. Ocena dał Winiarz w »Kwart. hist.« z 1893 r.) Dzierżawiać od r. 1846 rządową poduchowną wieś Mazew w Łęczycykiem, skreślił jej monografię p. t.: »Mazew, przyczynek do historyi miejskich i wiejskich osad w Polsce« (Bibl. Warsz. i osobno Warsz. 1857). W związku z niedokończoną historyą miast zostaje praca: »Historja rzemiosł i rzemieślników w Polsce do końca w. XVIII« (kwartalnik »Kłosów« i osobno, Warsz. 1877). Długi szereg opracowań pomieścił M. we wszystkich ważniejszych czasopiśmiech i zbiorowych wydawnictwach polskich, zwłaszcza w okresie między 1830 a 1860 r. Najdawniejszą jest promieciona w »Themis« z 1829 r. rozprawa: »Statut wiślicki jakie srodki wskazuje do oczyszczenia się z zarzutów kryminalnych«. Następnie spotykamy w »Kwartalniku« krakowskim od r. 1835 cały szereg prac jak: »O lennictwie i feudalności u Słowian do połowy w. XIV«, »Obraz prawoznawstwa słowiańskich ludów w czasach najnowszych«, »O kozakach«, »O stanie kmiecy i poddanych u Słowian, od połowy w. XIV do końca w. XVII«. Następnie spotykamy prace M. w wychodzącej w Warszawie »Panoramie literatury« (od r. 1836) i »Magazynie powszechnym«. Największą liczbę tych prac pomieściła »Biblioteka Warszawska« od 1841—1860 r. Spotykamy je też w wychodzących wtedy w Warszawie piśmiech: »Przegląd warszawski«, »Dzwoń literacki«, »Pismienictwa krajowe«, »Pamiętnik religjno moralny«, »Ateneum« wileńskie. Zasiłał też swemi pracami między r. 1840 a 1846 czasopiśmie poznajskie: »Tygodnik literacki«, »Tygod. wielkop.«, »Orędownik«, »Dziennik domowy«. Spotykamy je w zbiorowych książkach i noworocznikach jak »Album literackie« (Warsz. 1845), »Oudnya Druskienickich źródeł« (Grodno 1845), »Wieniec« dla Jachowicza (Warsz. 1857). W późniejszych czasach spotykamy w »Bibliotece Osolińskich«

rozprawę: »Nowy pogląd na znaczenie wyrazu kmieć« (odb. Lwów, 1866) w »Rocznikach Tow. Nauk. Krak.« pracę: »Pogląd na stosunki majątkowe małżonków« (osobno Kraków 1865), wreszcie w »Czasopiśmie pow. prawu« (Krańów, 1868 i odbitka) »Pobieżny pogląd na kodyfikacyę praw w Polsce«.

## Historja prawodawstw słowiańskich.

(2-gie wydanie, Warszawa, 1856—65, tom VI).

Rysy do obrazu charakteru Słowian i Niemców.

**876)** *Tom I, str. 101 i nast.* Wynaśwa się z dziejów charakter ludu, jak nieć z kłębka, choć często docieć trudno, z jakiego włókna uprzedzono ją i nawinięto na pasmo: co jednakże wiedzieć potrzeba, jeżeli wątek owego kłębka ocenić się ma należyć. Z rozkładu pokazać się może, że jest częstką półobumarłej rośliny, albo żyjącej, a bodującej się pod golem niebem, lub w szklarni. W pierwszym przypadku nie dojdiesz natury włókna, nie używszy do tego sztuki, czyli chemicznie nie rozebrawszy go. W przypadku drugim dosyć poznać, jak się sieje, dojrzewa i zbiera. Sama bowiem postać rośliny i natura wewnątrz krążących soków dadzą ci poznać jej własność i mogąc się z niej ciągnąć pożytki. Toż samo o charakterze narodów rozumieć należy. Łatwo poznasz go u ludu, co obumarli, rozważywszy pozostałe po nim pamiętki, ale tego, co jeszcze żyje, nie ocenisz z podań i pisma. Chcąc go poznać, zamieszkać w pośród niego i z życia upłynionego tudzież bieżącego wyrozumieć musisz obecne jego życie: co, nie mówię dla cudzoziemca, lecz i dla rodaka jest rzeczą nader trudną. Doświadczył tego Tacyt na sobie, gdy spólczesny Izraelitów kreślił charakter, który jak najfalszywej przedstawił. Doświadczyli wszyscy, którzy Słowian z książek opisywali. Doświadczyli nakoniec i ci (a byli to właśnie ich rodacy, męzowie wielkiej nauki i rzeczy ludzkich trafni dostrzegacze), co żyjąc między nimi, przedstawili ich umysłowe usposobienie tegoczesne, w harmonię nie przywiódłszy go, czyli jednem słowem nie pogodziw-

szy z przeszłością, życia ich nie rozwinąwszy z dziejów kłębka. Skąd poszło, że odmalowany przez nich obraz Polaków (że tych za przykład weźmie) okazał się być częścią za bezbarwny, a nawet nijaki, jak u Lelewela i Wisniewskiego, częścią za jednostronny, jakim jest niemal każde bez różnicy malowidło charakteru słowiańskiego, które cudzoziemiec zrobił. Wszelako, jakkolwiek ono jest i z pod czyjejkolwiek ródaka, lub cudzoziemca wyszło ręki, powinien go dokładnie obejrzeć, kto, nie mogąc z życia, musi z obrazu rozpoznawać słowiańskiego umysłowe usposobienie narodu. Osobliwie też od cudzoziemca namalowany, powinien być przez rodaka rozważony pilnie. Bo gdy niepodobieństwem jest, ażebyśmy się sami mogli poznać na sobie i gdy chcąc to wiedzieć, posłuchać należy, co obcy mówi o naszych cnotach i wadach, przeto, chcąc dobrze poznać nasz charakter, przez krajowca lub cudzoziemca odmalowany, potrzeba oba stawić obok siebie obrazy i uważać, który z nich przedstawia go tak, że nawet po upływie wieków, kiedy się z latami twarz człowiekowi odmieni, możnaby rozpoznać układ jej dawniejszy i odgadnąć, czy ożywiający ją duch tem samym co wpród technie życiem. Kiedyś się pod wrażeniem tych myśli pilnie wpatrywał w twarz Słowianina i Niemca, wniosłem z rozlanych po niej swobodach i troskach, że w sercu obu przebywa, co tamtego szczęśliwym, a tego utraconym czyni. Śledząc źródła odmiennych tych uczuć, dało mi się dostrzedz, że duch ożywiający obie twarze, postępując w przeciwnym kierunku, wiódł nas k temu, ażebyśmy się niewiele troszczyli o przyszłość, czuwając jedynie nad tem, by żywić Boga w sercu, a milując ludzkosć, rozkrzewiliśmy w sobie i mnożyli obie cnoty; przeciwnie zaś Niemca, przeto, że się zbyt trwożył o siebie, zmuszał ów duch bez ustanku do wyszukiwania sobie zasady, któraby mu na przyszłość zapewniła szczęście. Zastanawiając się dalej nad skutkami z obudwu dążeń wynikłymi, przekonałem się, że zabieg o dojsć do celu, przez oba czynione ludy, doprowadziły je do rozwinięcia sobie charakterów odrębnych, a wyrazistych: chociaż rzeczywistość niemiecki tylko charakter ma takie cechy, będąc już rozwiniętym; słowiański bowiem jeszcze się rozwija. Przyczyną tego są okoliczności, szczęśliwsze dla rozwoju niemieckiej, aniżeli słowiańskiej cywil-

lizacyi: co tembardziej zadziwia, gdyż to wiemy, że miejscowość więcej pod tym względem sprzyjała Słowianom, aniżeli Niemcom, postawiwszy pierwszych blisko ogniska światła w starożytnych Atenach i Rzymie, a następnie w Bizancjum promieniającego się, i otwarłszy im przez to większe pole do ukształcenia się i do rozwinięcia tem samym charakteru swojego. Że więc, mimo to, jeszcze go sobie nie rozwinieli Słowianie, jest rzeczą dziwną, lubo do pojęcia nietrudną: dzieje albowiem wskazują tego przyczynę, chociaż ukrywają cele, jakie w tem miała Opatrzność, i tak nastroiła bieg rzeczy. W przyszłości więc dopiero, którą wiedzieć sam Bóg tylko może, objawią się nam obu kierunków powody. Uczuciem a nie rozumem, jak gdzieś indziej powiedziałem, powodując się Słowianin, nie mógł, przy najlepszym do tego usposobieniu, ostatecznie charakteru swojego rozwinąć i do połowy tylko doprowadził jego rozwój. Przeciwnie Niemiec, więcej na rozum, niż uczucie bacząc, rozwinął swój tak, że w nim nic dziś ani ująć, ani coś do niego dodać nie można, chyba preistoczywszy sam naród, co jest rzeczą niepodobną, gdyż charakter ten, jako skończony wszedł do mas i począwszy od najwyższego, aż do najniższego jej szczebla jeden całą towarzyskość niemiecką ożywia. Czego gdy o słowiańskim powiedzieć się nie da, i gdy charakter ten insze na sobie cechy w domowym, a insze w publicznem nosi życiu, przeto, jako nie jednolity i nie żyjący w masach ludu, za nierozwinięty jeszcze uważany być winien. Dziwną ma fizjonomię ten charakter.

Żywioną w swem sercu miłość Boga i bliźniego swobodnie rozwijając, Słowianin rozlał ją w domowym życiu na całą ludzkosć, coraz większe czyniąc w moralności postępy; przeciwnie w publicznem okazał się być samolubem, mniej jednakże dla obcych, niż dla swoich. Co gdy wynikło z przyczyn politycznych, a przyczyn tych nie odgadywał, kto z bliska nie poznał ludu i narodu, przeto zbytni ku obcym pociąg i rozmiłowanie się w swobodach krajowych za lekceważenie narodowości i rządu, hojność w pożytku za rozrzutność, a mała o przyszłość troska za niechęć do pracy poczytywana nam była najwięcej przez tych, którym wiele dobrego świadczyli, to jest przez cudzoziemców. Przeciwnie troska o dobre mienie, przywiodłszy

Niemca do pracowitości i oszczędności (dwu największych cnót, któremi jaśnieje), zaraziła go samolubstwem w domowym i publicznem życiu, które ukrywając przed światem troskliwie, ubarwiał je i pozorował miłością bliźniego, sprowadzoną do zasady przyszłego szczęścia. Na tej to samolubnej miłości pokładał przywiązanie do swej narodowości, na języku głównie oparłszy ją. Wszelako, znowu z powodu owej o dobre mienie troski, chwiał się w swej zasadzie, ilekroć szło o zyski, gdyż wtedy gotów był Niemiec wyrzec się wszystkiego, prócz pieniędzy, byle dostąpić czego nie ma (skąd też przez żart mówi się o nim, że nie chce nie mieć, czyli, że chciwie goni za zyskiem), albowiem przekonanym był, że nigdy nie ma się i nie posiada dosyć.

Opracował IGNACY TAD. BARANOWSKI.

CXV.

## HUBE ROMUALD.

(1803—1890).

Wybitny uczony polski, świetny prawnik, doskonały paleograf, człowiek fenomenalnej pracy, z umysłem filozoficznie wykształconym, należał Hube do tych bojowników wiedzy polskiej, którzy z mozołem przedzierali się przez dziewiece prawie puszcze dwuczesnego polskiego prawoznawstwa. Urodzony r. 1803, ukończył H. uniwersytet warszawski r. 1823, poczem dla dalszych studiów udał się do Berlina, gdzie słuchał wykładów Savigny'go i Hegla. »Savigny — pisał na schyłku życia H. w pamiętniku swoim — zniewalał bezwzględnie przyjmować, co twierdził, Hegel pobudzał do myślenia i rozważania razem z sobą... najwięcej smakowałem w jego filozofii i filozofii historii: stopniowe rozwijanie się pojęć i faktów w ściśle logicznym porządku od najprostszycych do coraz więcej skomplikowanych i wykształconych silnie na umysł mój działało. Nietyle zajmowała mnie filozofia prawa, w której znajdowałem więcej sztucznego formalizmu, jak treści». Przebywszy trzy semestry w Berlinie, wrócił Hube w połowie 1825 r. do Warszawy i tu rozpoczął wykłady na uniwersytecie, z początku jako lektor historii prawa, później od r. 1829 jako profesor. Rozszerzając zakres swej wiedzy ciągłą pracą i corocznemi prawie podręcznikami zagranicznymi, miał jednak H. dość czasu i energii, by redagować »Temidę«, pismo poświęcone teorii i praktyce prawa, które założył wespół z Karolem Hoffmanem, Zaborowskim, Maciejewskim, Tissem. Pomięszczał on tu liczne rozprawy z dziedziny prawa karnego, które były jakby przygotowaniem do obszerniejszego dzieła, wydanego r. 1830 pod tytułem: »Ogólne zasady prawa karnego«. We wstępie przekonał poglądy na istotę prawa, w którym odzwierciedliły się jego przekonania społeczne.

Prawo karne nie mogło jednak wystarczyć niezwykle wszechstronnemu umysłowi H.; wraz z bratem Józefem, jeszcze za czasów

redagowania „Temidy”, wziął się on do badań nad historią prawa. „Pozyczyć się możemy ja i brat mój — pisał później — że pierwsi byliśmy ze Słowian, którzy na pole porównawczych badań historyczno-prawnych słowiańskich wstąpiłszy”.

Powstanie listopadowe spowodowało przerwę w pracach H., który bawiąc wtedy w Rzymie, pospieszył czempredę do kraju. Przybywszy po wielu przygodach do Warszawy, zaciągnął się uczyć prawnik do miejskiej artylerji. Na posiedzeniu uroczystym Towarzystwa Przyj. Nauk w dniu 3 maja r. 1831 wygłosił, już w mundurze wojskowym, odczyt o »Konstytucji 3-go maja«, który swym tonem umiarkowanym zwrócił uwagę ks. Adama Czartoryskiego i utworzył autorowi drogę do stanowiska referendarza w wydziale oświecenia. Po upadku powstania i zamknięciu uniwersytetu H. został prokuratorem przy sądzie kryminalnym, a wkrótce powołano go do współdziałania w pracach komisji, mającej się zająć rewizją praw obowiązujących w Królestwie. W r. 1841 powrócił znowu Hube do działalności profesorskiej i rozpoczął wykłady prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim. Po czterech latach, wobec nawału zajęć, musiał porzucić zawód profesorski i to na zawsze. Pracował dalej na dwu polach: jako kodyfikator (od r. 1856 był prezesem komisji kodyfikacyjnej) i jako historyk prawa.

Pomimo uciążliwych zajęć obowiązkowych nie przestawał H. pracować dla nauki, oddając się studjom nad prawodawstwem słowiańskim, do czego skłaniało go marzenie o zbrataniu ludów słowiańskich na podstawie zbliżenia kulturalnego: »Poznajmy siebie, współplemienników naszych słowian« pisał H do Zygmunta Helca, »a więcej na tem zyskamy, jak na wiadomości jakiegoś niemieckiego systemu filozoficznego. Każda uratowana pamiątka historyczna z nad Dźwiny, Bugu, Sanu, Elby, Odry, więcej u mnie ma wagi, jak foljanty niemieckiej filozofji lub francuskiej politycznych wywodów. Znajmy je, wiedzmy o nich, ale je oceniamy z naszego wyższego stanowiska. Nie zapominajmy o tem, że teraz panowanie nad światem przechodzi w ręce wielkiego słowiańskiego plemienia. Cóż jest lepiej, czy iść za zgruchotanymi, zwiędniętymi społeczeństwami, czy obrócić wzrok na świeżo rozkwitłe życie, które się wydobywa z naszych własnych żył i soków ożywczych.« (Lisicki Henryk: Antoni Zygmunt Helcel t. I, str. 37).

Wszystkie dzieła H. poświęcone dziejom prawodawstw słowiańskich, pisane były z taką gruntownością, odznaczały się takim bogactwem treści, że do dziś dnia nie straciły znaczenia. Ważniejsze prace z tego zakresu są: »O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko bizantyjskiego u narodów słowiańskich«, »Statuta Nieszawskie«, a przedewszystkiem: »Prawo polskie XIII wieku«, »Prawo polskie XIV wieku: sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi XIV w.«, »Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. We wszystkich tych pracach obiektywizm sądu szedł w parze z go-

rażeniem umiłowaniem przeszłości: »W wyprowadzeniu ogólnych wniosków — pisze Hube — starałem się ile możności unikać hipotez: gdzie zebrane fakty nie były dość dla mnie jasne, poprzestałem na problem ich przedstawieniu. Mianowicie też wystrzegłem się tyle w naszych czasach ulubionych wywodów krajowych instytucji z obcych zwyczajów lub obcych ustanowień.« (Prawo polskie w. XIII, str. VI).

Badawczy umysł H., jak słusznie pisał Laguna, nie mógł zamknąć się raz na zawsze w pewnych ściśle zakreszonych granicach geograficznych, ani też w jednej tylko epoce. To też raz po raz H., nie porzucając swych głównych badań, robił wycieczki, to w kierunku prawodawstw średniowiecznych narodów romańskich, to znowu przernca się do czasów najnowszych i pisze »Studia nad kodeksem karym 1818 r.«

Świetny urzędnik, imponujący swą wiedzą, umiejący zdobyć sobie szacunek u swoich i obcych, przez życie całe nie ustawał w pracy naukowej, a żył i pracował długo. Umarł w r. 1890, przeżywszy lat 87. Gdy ogarniamy myślą cały jego olbrzymi dorobek naukowy, H. wyrasta na pierwszorzędną znakomitość w naszej nauce. O głowę przetrwał on nie tylko współczesny mu historyków prawa polskiego, lecz i wszystkich swych poprzedników.

## BIBLIOGRAFIA.

Prace H. ogłoszone drukiem w Warszawie łącznie są: »Domitii Ulpiani fragmenta libri regularum singularis« 1826. »Gai institutionum commentarii ad fidem secundae editionis berolinensis editi« 1827. »De furtis, doctrinam ex jure romano explicavit historicæ et dogmaticæ« R. Hube 1828. »Wykład zasad o usiłowaniu występku z zastosowaniem do kodeksu karnego Król. Pols.« »O stanie nauki prawa w naszych czasach.« »O prokuratorach we Francji.« »Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuskiego.« »Niektóre uwagi nad historją nauki prawa.« »O starożytnych zbiorach praw czeskich.« »O pokorze według praw polskich i czeskich.« »O dawnych pisarzach prawa kryminalnego w Polsce.« (»Temida« 1828—29). »Ogólne zasady prawa karnego« 1830. »Statuta ziemi Krakowskiej«, 1839. (»Tygodnik literacki«). »O najdawniejszych statutach synodalnych polskich« 1852. (»Bibl. Warsz.«) »Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gnesnensis« (1866). »O formulach sismondzkich« (»Biblioteka Warszawska« 1865). »Prawo burgundzkie, historia jego powstania i ocenienie nowej jego edycji« (1867). »Prawo salickie podług tekstu rękopisu biblioteki głównej warszawskiej« (1867). »O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyjskiego u narodów słowiańskich« (1868). »Wiadomości o sądach bożych, czyli ordinaliach



w dawnej Polsce« 1868. »Statut wartyki Władysława Jagielly« 1874. »Prawo polskie w XIII w.« 1874. »Prawo polskie w XIV w.« — »Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego« 1881. »Prawo polskie w XIV w.« 1886. »O wraździe, wróżbie i pokorze« 1884. »Zbiór rot, przysięg sądowych z końca XIV i początku XV w.« 1888. »Wiadomości o kodeksie czarnogórskim«. — Zbiór. wydanie pism Hubego wyszło w Warszawie r. 1904 w dwu tomach.

Biografie i oceny działalności H. skreślił: St. Laguna (Ateum 1890 III); Rembowski — Pisma; Dunin K. we wstępie do zbiorowego wydania »Pisma« Hubego. Zigieli: o H. w »Zurnal Minist. Narodn. Proswieszcz.« 1891. Listy Hubego do W. Hanki (19 listów) podał Franczew: »Piśma k Wiczesławu Hankie«. Warszawa 1905.

### Ogólne zasady nauki prawa karnego.

(Warszawa 1890).

Podajemy tu wyjątek ze wstępu do dzieła, odbijający pojęciu społecznego autora.

**877)** Prawo, uważając je ogólnie, jest wyrazem naszej wolności, czyli — co na jedno wychodzi, jest oznaczeniem naszej wolności. Sięga zatem tak daleko, jak daleko wolność nasza rozwinąć się może. Z tego stanowiska ocenianie prawo nie jest ograniczeniem wolności naszej. Mieć prawo, jest to samo, co mieć zdolność używania swej wolności. Prawo więc jest równie nieograniczone, jak nieograniczoną jest wolność. Alieci uznając ważność tej zasady, równie zgadzamy się na odwrotny wniosek. Człowiek jest istotą bezwzględnie społeczną, w społeczeństwie i przez społeczeństwo znaczenie swe i godność ustalającą i rozwijającą. Stąd wypływa, że wolność człowieka w społeczeństwie bezwzględnie tak daleko tylko sięga, jak daleko dochodzi wolność drugiego człowieka, a zatem że wolność człowieka bezwzględnie jest ograniczoną wolnością drugiego człowieka. Ponieważ zaś wolność pojedynczych ludzi tworzy ogół wolności całego towarzystwa, przeto wolność jednego człowieka ograniczoną jest bezwzględnie przez wolność całego towarzystwa. Prawo więc jednego indywiduum traci swe

znaczenie na granicy sfery, tworzącej ogół praw całego społeczeństwa.

Lećz i ograniczenie takowe nie jest istotnem ograniczeniem czyli ścięciem. Człowiek dopiero w społeczeństwie ukształca się. Im prostsze jest społeczeństwo, im mniej rozwiniętych jest w niem stosunków, tem mniejszy jest ogół kierunków, w których objawia się wolność człowieka, tem mniej praw służy człowiekowi; im więcej rozwinięte jest społeczeństwo, tem liczniejsze są prawa, które człowiek używać może.

Prawa więc człowieka są wyrazem jego wolności. Podobnie prawa społeczeństwa są wyrazem wolności tegoż społeczeństwa. Ogół wolności społeczeństwa tworzy się z ogółu wolności, służącej indywiduum składającym społeczeństwo. Nie należy jednak mniemać, aby społeczeństwo nie posiadało innych praw nad te, które każdemu pojedynczemu indywiduum służą. Prawa indywiduów są zawsze szczegółowe, prawa zaś społeczeństwa zawsze ogólne: powstają albowiem z kombinacji praw służących. Prawa społeczeństwa składają się z praw indywiduów, ale zarazem i z przewyżki, jaka z połączenia praw tych w jedną całość powstaje.

Odróżnioną jest tym sposobem sfera praw indywiduów od sfery praw całego społeczeństwa, nie istnieją rzeczywiście same przez się, raczej zyskują tylko byt jako prawa pojedynczych osób. Pomimo tego odróżnić wypada dwoiste w społeczeństwie praw istnienie. Raz istnieją jako przymioty pojedynczych osób, drugi raz jako prawa zabezpieczone i utworzone przez całe społeczeństwo. Istnienie to podwójne praw nazwać można istnieniem realnem i idealnem.

Poznawszy wogóle naturę stosunków prawnych w społeczeństwie, następnie zapytać się musimy, jakim sposobem stosunki takowe utrzymują się i w życie przechodzą?

Źródłem wszelkiej wolności jest wola. Ona wlewa w nas zdolność nadania działaniom naszym jakiegokolwiekbyd kierunku z przeświadczeniem o zdolności takowej. Działaniem zatem wolnem jest działanie, będące skutkiem woli kierowanej przeświadczeniem. Działanie wolne samo przez się uważane, ani jest działaniem prawnem, ani bezprawnem. Reguła ta mianowicie wtenczas uznana być musi za niewzruszoną, gdy czło-

wieka pojedynczo uważamy. Wówczas albowiem ma każdy człowiek nieograniczoną zdolność nadania działaniom swym upodobałego kierunku. Rzecz się ma inaczej, gdy go uważamy w związku z innymi. W związku takowym wolność podmiotowa zostaje oznaczoną przedmiotową, czyli ulega ograniczeniu przez wolność innych indywiduali. Wtedy działanie wolne o tyle jest tylko prawnem, o ile zachowuje się w granicach, oznaczonych przez zbieg wzajemny i wspólny wolności wszystkich indywiduali, czyli całego ogółu społeczeństwa. Przeciwnie, działaniem bezprawnem jest wszelkie takie działanie wolne, które przekracza granice wolności innych indywiduali, czyli granice wolności całego ogółu społeczeństwa. Tym sposobem wszelkie działanie bezprawne polega na wystąpieniu osoby działającej ze sfery jej prawnej wolności, przedmiotowo oznaczonej.

Opracował IGNACY TAD. BARANOWSKI.

CXVI.

## HOFFMAN KAROL BOROMEUSZ.

(1798—1875).

Karol Hoffman należał do rzędu tych myślicieli historyków, którzy pokusili się o danie syntezy wewnętrznych dziejów Polski. Urodzony na Mazowszu w roku 1798, ukończył Hoffman wydział prawny uniwersytetu warszawskiego. Młodych prawników, mających szersze aspiracje naukowe, łączyła wówczas ściślejszymi węzłami «Themis», czasopismo poświęcone wiedzy prawniczej; wśród jego współpracowników widzimy i młodego Hoffmana, posiadającego już wówczas nie małą wiedzę prawną historyczną. Początkowo jednak zajęcia praktyczne odrywały Hoffmana od nauki, w roku 1828 został radcą prawnym świeżo założonego Banku Polskiego, a w trzy lata później w sprawach banku wyjechał do Anglii, aby już nigdy nie powrócić do kraju rodzinnego. Wybuch powstania listopadowego, który Hoffman przeżył jeszcze w Warszawie, wywołał w jego umyśle podniosłe wrażenie, któremu dał wyraz w napisanym na gorąco «Wielkim tygodniu Polaków», zawierającym obszerny opis wypadków od 29/XI do 5/XII 1830 r. W roku następnym wydał Hoffman «Rzut oka na stan polityczny Królestwa Polskiego pod panowaniem rosyjskiem». Jest to, napisane sine ira et studio, martyrologia konstytucyj Królestwa Kongresowego. Autor stara się w niej nikogo nie obwiniać, uważając, że los Królestwa Polskiego — konstytucyjnego państewka, związanego z olbrzymią autokratyczną monarchią — przesądony był już w chwili, gdy cesarz Aleksander na kongresie wiedeńskim «odbudowywał» Polskę. Już w «Roczniku» dał Hoff. wyraz entuzjastycznemu uwielbieniu, jakie miał dla ks. Adama Czartoryskiego. Nic więc dziwnego, że na emigracji zbliżył się do stronnictwa monarchicznego, którego głową był ks. Adam. Do Hôtel Lambert zresztą zbliżyły Hoffmana i sympatie jego żony, znanej Klementyny z Tańskich. Do roku 1838 poświęca

Hoffman swe sily niepodzielnie stronnictwu monarchicznemu; wydał więc broszurę »O czterech powstaniach« i redagował czas długi »Kronikę emigracji polskiej«. Jednakże zamiłowania do historii pociągaly naszego pisarza w kierunku badań ściśle naukowych nad naszą przeszłością. Praktycznie obeznany z finansami, teoretycznie wykształcony jako prawnik, przeszedł Hoffman z łatwością ku rozwświetleniu dziejów naszej skarbowości. »Poważny i gruntowny umysł Hoffmana — pisze, kompetentny w tych sprawach sędzia, Adolf Pawiński — nie szukał płytkiej wiedzy, lecz zapuszczał się głęboko, stąd tworzył dzieła trwale, które mu zapewniły zaszczytną imię w rocznikach na szej literatury«. Pierwszem historycznym dziełem Hoffmana była rzecz »O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce« drukowana do dziełka »Vademecum polskie«. Po napisaniu tej gruntownej rozprawki poświęcił nasz uczyony dalsze lata na poważne i mozolne badania, których owocem były listy, drukowane w latach 1847—1849 w »Prze-glądzie Poznańskim«, a noszące tytuł ogólny: »Obraz rządu i prawodawstwa w dawnej Polsce«. Autor przedstawia w swych listach położenie społeczne szlachty, duchowieństwa, mieszczań, chłopów, wreszcie opisuje administrację i urządzenia skarbowe w dawnej Polsce. Praca ta Hoffmana, będąca na swoją epokę wprost świetnym obrazem ustroju Polski, wywierała wpływ duży na społeczeństwo. Hoffman dał w niej ujście i swym poglądom polityczno-historycznym. Jako monarchista z krwi i kości, nie mógł się pogodzić z Lelewelowską konstrukcją dziejów Polski. Demokrata Leleweł w swych »Uwagach nad dziejami pierwotnymi Polski« wystąpił z gminowładztwem polskiem, będąc przekonanym, że w gminowładnej formie odbił się pierwotny rodzinny duch Słowiańszczyzny, i z tego punktu widzenia przedstawiał całe dzieje Polski, wykazuje, o ile ona zbłądziła od pierwotnego ducha, lub trzymała się pierwotnej kolei. Hoffman przeciwnie, już w czasach piastowskich widzi w Polsce doskonały, zupełnie wykształcony monarchizm. Tę samą ideę uzasadnia autor »Vademecum Polskiego« i w swych pracach późniejszych; przedewszystkiem w »Historii reform politycznych w dawnej Polsce« (Lipsk 1867). »Chrześcijaństwo — pisze Hoffman w tej pracy (str. 7) — zastało już w Polsce rząd jedynowładny, oparty na idei europejskiej, nie azjatyckiej, zostało monarchię ustaloną już w dynastyi, to jest taką, jaka się zgadzała z ideami Kościola. Nie była to monarchia czysto dziedziczna, ale jak w całej zachodniej Europie, dynastyczno-elekcyjna; naród, szanując prawa dynastyi, nie zrękał się nigdy wolności wyboru, objawiał je tylko nie literalnem wotowaniem, ale deklaracją starszyny, zatwierdzającą wstąpienie na tron każdego króla. Władza królów polskich była niepodzielna, żadnem prawem nieokreślona, dlatego jednak nie była absolutną i despotyczną. Po przyjęciu wiary chrześcijańskiej miarkowała ją z jednej strony kontrola duchowieństwa, przypominająca monarchom moralne obowiązki, z drugiej niepiamiętny zwyczaj zasię-gania w ważnych okolicznościach rady poddanych. Historia naucza,

że Polska, czy z czasów chrześcijańskich, czy z czasów pogańskich, nie znała innego króla, jak króla w radzie«. Chociaż monarchista, nie jest jednak bynajmniej Hoffman stronnikiem despotyzmu, a przeciwnie, można go uważać za zwolennika władzy monarchicznej dziedzicznej, ograniczonej przez stany. Absolutyzm, zarówno monarchy jak i jednego ze stanów, był mu równie niesympatyczny. »Každy absolutyzm — pisał Hoffman w swej historii reform politycznych — czy to absolutyzm królów, czy absolutyzm jednego uprzywilejowanego stanu, ma tę własność, że nie może się zatrzymać na drodze, po której go wiedzie fatalność, że im więcej zyskuje przewagi, tem więcej się trwoży o swoje zdobycze i tem mocniejse wyszukuje sobie warunków jej atrybucyi, postanowiła, po śmierci Zygmunta Augusta wyprzeć ją z ostatniego sznca, który ją zasłaniał, pozabawił powagi praw dynastycznych i zamienił godność królewską z dziedzicznej na dożywotną«.

Idea monarchizma odzwierciedla się i w innej pracy Hoffmana: »Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII«. Wykazuje autor w tem dziełku, jak Władysław, syn Bolesława Krzywoustego, przedstawiciel i obrońca zasady monarchizmu, ginie pod ciosami braci, a właściwie tych, którzy nimi kierowali, to jest możnowładców.

Wiara w siłę twórczą władzy monarchszej, żal do możnowładztwa polskiego i duchowieństwa, które zwalczając monarchizm, przyczynić się miały do upadku Polski, łączą się u Hoffmana z inną jeszcze tendencyą — z jego panslawizmem.

Hoffman był panslawistą, lecz jego panslawizm nie miał nic wspólnego z panslawizmem z nad Newy. On sam swój panslawizm nazywał »panslawizmem zachodnim«. Jakkolwiek uważał jednemu plemięni wszystkich Słowian, uważał jednak, że wpływy zewnętrzne, różne wyznania, wreszcie różne posłannictwa dziejowe wytworzyły przepaść nieprzebrtą między wschodnimi i zachodnimi Słowianami. »Panslawista« Hoffman nie marzył więc zupełnie o zjednoczeniu Słowian wszystkich, uważał za możliwe i pożądane natomiast zlanie się wszystkich Słowian zachodnich w jedno państwo. Z początku, według Hoffmana, zjednoczenie Słowian zachodnich było dążeniem państwa Wielkomorawskiego, po jego upadku urzeczywistnienie »panslawizmu zachodniego« stało się »politycznem posłannictwem Polski«. Polska swe posłannictwo »wykonywała wytrwale dopóty, dopóki zostawała pod jednym rządem«, każda bowiem władza, podejmująca dzieło identyfikacyjne, musi wychodzić z jednego ogniska. Jedność rządu Polski runęła po Bolesławie Krzywoustym, kraj podzielili się na cząstki, a skutkiem tego rozbitcia rozstać się musiał z swą

pierwotną misją historyczną. Wprawdzie po pewnym przeciągu czasu niektóre odłamy państwa Bolesławów skleiły się napowrót, pomogły nawet nowymi nabytki; wprawdzie odzyskana tu całość miała także świetne w dziejach Europy momenty; ale postawiona w trudniejszych warunkach, złożona z różnorodnych żywiołów, przesunięta w mniej korzystną stronę ucwilizowanego świata, zmuszona do wyrzeczenia się pierwotnej idei swego posłannictwa, nie posiadała już w swej organizacji owego kitu, który pozwala narodom przebywać burze czasów bez szwanku i trwały im żywot zapewnia. Po dwu wiekach rozzerwania i bezładu, nastąpiły trzy wieki pomyślności, potęgi i sławy, dwa wieki odrętwienia i zgonu. (Przyczynę podziału monarchii polskiej (str. 8). »Są między nami — pisał Hoffman w innym miejscu (tamże str. 130) — niektórzy, co spoglądając na rzezy z jednego tylko stanowiska, utrzymują, że podział monarchii wyszedł Polsce na dobre: obadził bowiem w narodzie ducha wolności, ducha działalności politycznej, za pomocą którego pod ostatnimi Piastami wróciła do swojej jedności. Wszystko to prawda, czy jednak nie zaszczeplił zarazem w łonie społeczeństwa pewnych usposobień ujemnych, które snuły się odąd przez wieki, jak czerwona nić, aż do powtórnego upadku, czy nie zachwiał na zawsze zewnętrzną potęgę państwa? Są to pytania, któreby także na uwagę zasłużyły powinny. Polska zyskała wolność, ale wolność uprzywilejowaną, w miejsce starodawnej wolności ogólnej, nie skazanej żadnym feudalizmem i tak patryarchalnie pielęgnowanej przez pierwszych Piastów. Jeśli samo tylko znieweczenie władzy królów było korzyścią, to tę korzyść zapłaciła Polska za drogę, bo poświęceniem najnaturalniejszych i najbezpieczniejszych podstaw swej niepodległości. Straciła bezpowrotnie połowę swych dzierżaw, straciła Śląsk, straciła Pomorze, straciła zatatrzańską bolesławowską Słowaczczyznę, a co najsmutniejsza, usuwając się ze środka Europy, wypuszczając z rąk swe pierwotne posłannictwo historyczne, otworzyła sąsiedzkiemu szczerpowi szerokie wrota, których już odąd najkrwawsze wysilenia, najpatryotyczniejsze poświęcenia zamknąć nie zdołają.

»Panslawizmowi zachodniemu« poświęcił Hoffman studjum specjalne, drukowane w roku 1868. Przedstawia w tej pracy nasz historyk kolejno te momenty, w których były największe widoki utworzenia się unii słowiańskiej. »Gdyby unia słowiańsko-zachodnia — pisał Hoffman (str. 138) — nad którą pracowano od Jagielly do Kazimierza IV, wzięła była skuteczniejszy obrót, Polska z Czechami stanowiłaby jedno państwo już w XV stulecia, a wówczas historia Europy trzech ostatnich wieków wzięłaby była wcale inny kierunek. Czechia połączona z Polską zachowałaby była swoje wysokie stanowisko, Polska zrównałaby swe instytucje z dojrzałymi instytucjami swej starszej siostry. Obiedwie rozwijałyby się coraz potężniej, i element słowiański w środkowej Europie otrzymałby prym nad germańskim. Co przeszkodziło tej unii? Widzieliśmy, że pierwszą unią zacho-

dnio-słowiańską zniewczył germanizm, drugą germanizm połączony z barbarzyństwem«.

#### BIBLIOGRAFIA.

»Wielki tydzień Polaków, czyli opisanie pamiętnych wypadków w Warszawie od dnia 29/XI do 5/XII 1830«. Warszawa 1830.  
 »Rzut oka na stan polityczny Królestwa Polskiego pod panowaniem rosyjskiem«. Warszawa 1831. »La nationalité polonaise«. »Dernier mot sur le statut organique«. »Débats de la Chambre de Communes dans la séance du 9 juillet 1833«. »Lettre d'un Polonais à Ms les pairs et Ms les députés de la France« Paryż (1833). »Commercial relations between England and Poland« 1838. »O czterech powstaniach« Paryż 1839. »Vademecum Polskie« Paryż 1839. »Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski« (»Przegl. Poznański« 1847—8). »Historia reforma politycznych w dawnej Polsce« Lipsk 1867. Poznań 1869. »Król wygnaniec 1714—1725« (Lipsk 1854). »Historia upadku domu Sobieskich« Warszawa 1862. »O panslawizmie zachodnim« Poznań 1868. »O najdawniejszych grobowcach królów polskich« Poznań 1872. »Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym«. Kraków 1872.

O Hoffmanie pisali: Pawiński Adolf w »Tygodniku Ilustr.« 1875. Chmielowski Piotr w »Wielkiej Encykl. Ilustr.«

#### Wielki tydzień Polaków, czyli opis pamiętnych wypadków w Warszawie od dnia 29/XI do 5/XII 1830.

(Warszawa 1830).

**878)** Już późno w noc z dnia 29 na 30 zebrała się Rada administracyjna Królestwa na instancję X-cia Lubeckiego — ministra skarbu. Skład jej jednak, niegdyś dostateczny do ślepego wykonywania rozkazów cesarzewicza, okazał się zbyt słabym do działania w wypadkach nadzwyczajnych. Przybrano więc natychmiast za członków Rady mężów z imionami bez plamy, jako to: księcia Adama Czartoryskiego, księcia Michała Radziwiła, Kochanowskiego, Paca, Niemcewicza i Chłopickiego. O tem wszystkim zawiadomiono zaraz publiczność. Nazajutrz Rada otrzymawszy od cesarzewicza przez jego adju-



tanta, Władysława hr. Zamoyskiego, ustne oświadczenie, jako cofa się z wojskiem rosyjskim, zostawiając Polakom skojarzenie rozdwojonych umysłów, wydała w nowym swym składzie, wyjąwszy nieobecnego generała Chłopickiego, stosowną do publiczności odezwę. Odezwa ta, acz zaadresowana do Polaków, najgorzej była przyjętą, nie była bowiem w duchu rewolucyj. Widać w niej żal władzy z powodu wydarzonych okoliczności; widać życzenie, aby sprawcy poruszenia odstąpili od swego zamiaru; widać powzięwanie o skutku rewolucyj; widać nakoniec obawę rozdzielenia Polaków, a zatem wojny domowej. Wszystko tam dąży z jednej strony do okazania umiarkowania cesarzewicza, który wzbrania wojskom rosyjskim wszelkiego działania i samym Polakom przywrócenie porządku zostawia; z drugiej zaś strony do zwrócenia uwagi na czekające oczywistą nieszczęścia. Lecz nie sądzimy z tego jedynego aktu o intencjach mężów, szanowne to ciało składających; wypadki późniejsze odkryły je w całem świetle z zadowoleniem narodu. Przypisujemy raczej krok ten nieśmiały trudnemu ich położeniu i niepewności. Nie byli uczestnikami tajemnicy związku, nie wiedzieli o sile narodu; mężowie długim nauczani doświadczeniem, nie zwykli wystawiać szlachetnie nabytej sławy i pięknie pozyskanych imion na los niepewnego wypadku. Nadto pozostała część wojska polskiego przy cesarzewiczu kazala im zrazą wąpić o jedności życzeń Polaków.

Lecz rzucaną już była rękawica, nie czas było się cofać. Poświęcenie się tyłu walecznych czynilo już wszelki krok wsteczny niepodobnym; a wspólnie uczuć, z jaką całe to niespodziane poruszenie przyjęte było od wszystkich mieszkańców stolicy, nie pozwalała lekceważyć uniesienia ku dobrej sprawie tak znacznej masy narodu.

Rada administracyjna pierwsza uczyniła krok w duchu rewolucyj, gdy w dniu 30 listopada około godziny 11 zrana z miejsca dawnych posiedzeń odprawiła uroczyste przejście do pałacu ministrów skarbu. Na jej czele jechał w narodowym stroju generał Pac; wojewodowie: Sobolewski i X. Czartoryski, ministrowie: X. Lubecki i Mostowski; kasztelan Kochanowski i Niemcewicz, nakoniec członek Rady administracyjnej, generał Rautenstrauch, szli piechotą. Towarzyszyło im niezliczone mnó-

stwo ludu, wydając radosne okrzyki. Po wejściu do pałacu ukazał się na balkonie wielbiony powszechnie Niemcewicz i w krótkiej do ludu przemowie, wyraziwszy, jak dalece Rada czuje ważność ciążących na niej obowiązków i pragnie odpowiedzieć położonemu w niej zaufaniu narodu, zachęcał do jedności, spokojności i zgody. Gdy skończył, zaczęto wołać o Chłopickiego, lecz ten nie był podówczas obecnym. Ukazał się więc generał Pac i w krótkiej również przemowie oświadczył, że z woli rady dowództwo wojska polskiego, które też generałowi Chłopickiemu powierzono ma zamiar, tymczasem w jego nieobecności przyjmuje na siebie. Pierwszym przeto było czynem Rady, po zebraniu się w pałacu ministrów skarbu, zastępstwo w dowództwie wojska generałowi Pacowi poruczyć, z przydaniem mu w pomoc czcigodnego generała Sierawskiego. Szefem sztabu mianowano szlachetnie znanego pułkownika Wąsowicza.

Rada administracyjna Królestwa, postępując dalej w nowym swoim zawołaniu, zwróciła uwagę na konieczność niezwłocznego zaprowadzenia porządku w sprawach municypalnych i urzędzeniu obywatelskiej straży bezpieczeństwa w stolicy. Pierwsza gałąź służby ogołoconą była z naczelnika, a nawet zrazu ze wszystkich niższych urzędników. Druga nie była nigdy uorganizowaną. Na naczelników więc obrano mężów, którzy w swobodniejszych dla nas czasach też same zajmowali posady. Prezydentem municypalności i policji mianowanym został Węgrzecki. Naczelnikiem straży bezpieczeństwa Piotr hr. Łubieński. Obydwoh trzeba było szukać, bo ludzie zanci i skromni nie zwykli szukać sami dla siebie wyniesień, i posługi tej dopełnili obywatela. Obadwa, po odebraniu od Rady swych nominacji, w tryumfie i przy okrzykach na ratusz zaprowadzeni i zainstalowani, natychmiast urządowanie swoje objęli. Ulubiony od mieszkańców prezydent wydał natychmiast do nich odezwę, zachęcającą do spokojności i porządku. Szanowny i czynny naczelnik straży bezpieczeństwa zwołał bez zwłoki znaczniejszych obywateli miasta i z nimi tej jeszcze nocy powierzoną sobie część służby urządził. Trudno wszakże było przeszkodzić, iżby uzbrojone i trunkiem zagrzane popółstwo nie popelnilo drobniejszych przynajmniej nadużyć, zwłaszcza po odleglejszych ulicach miasta. Odbito kilka sklepów, lecz

po większej części takich, które zawierały wódkę lub wiktuały. Krok ten swawoli znajduje poniekąd usprawiedliwienie w tem, że wojsko wystawione będąc na 48-godzinne zimno, głód i strudzenie, potrzebowało koniecznego zasilenia. Noc zatem z dnia 30 listopada na 1 grudnia była nieco burzliwą, mniej jednak trwożąca niż pierwsza, bo już nie luną pożaru, ale światłem księżycy jasna, pewniejszą nadzieją ożywiona.

CXVII.

## HELCEL ANTONI ZYGMUNT.

(1808—1870).

Antoni Helcel należał do jednej z tych licznych u nas rodzin urzędniczych austriackich, które sprowadzone zostały do Małopolski, by ją germanizować, tymczasem same nie tylko się spolonizowały, ale przysporzyły nawet dzielnych synów przybranej ojczyzny. Dziad jego był urzędnikiem austriackim w Podgórzu pod Krakowem, ojciec z początku kupiec, później obywatel ziemski, uważał się już za Polaka, on sam, chcąc mocno zadokumentować swoją przynależność do narodowości polskiej, zmienił pisownię swego nazwiska z Hoelzel na: Helcel. Urodzony w roku 1808, skończył w szesnastym roku liceum krakowskie i wstąpił na wydział prawny wszechnicy Jagiellońskiej w nadziei, że będzie mógł poświęcić swe sily istniejącej jeszcze wówczas Rzeczypospolitej krakowskiej. Mając ledwo 20 lat, zdobył już sobie doktorat praw i dla pogłębienia wiedzy udał się do Niemiec; studyował we Wrocławiu, w Berlinie, gdzie słuchał wykładów sławnego prof. Karola Savigny, wkońcu w Heidelbergu. Huk armat. dochodzący z Królestwa Polskiego, przerwał prace naukowe młodzieńca. W początku stycznia r. 1831 zaciąga się Helcel do szwadronu jazdy poznańskiej jako prosty żołnierz, walczy pod Grochowem; do-trawszawszy w szeregach, dopóki był jeszcze jakikolwiek promyk nadziei, otrzymał on 8 października r. 1831 uwolnienie i w randze podporucznika przez Prusy podążył do Krakowa, zamierzając starać się o katedrę profesorską. Wkrótce uzyskał rzeczywiście docenturę historii prawodawstwa polskiego. W ten sposób przed młodzieńcem otwierały się widoki, że będzie mógł pracować na umiłowanem przez siebie polu. «Dzieje prawa» pisał w lat kilkanaście «u każdego naroda, jako dzieje jego obyczaju, są jednym z najgłówniejszych jego cywilizacyi działań. Więc dzieje prawa i wszelkich prawnych stosunków w Polsce dawniej należyście przedstawić, jest to rozwinąć wizeru-

nek cywilizacji europejsko-polskiej w najgłówniejszych, choć nie we wszystkich rysach wykonany. A w tym wzierunku jest znaczny przyczynek do uzupełnienia wielkiego obrazu cywilizacji powszechnej, chrześcijańskiej, którego połowa tylko jedna dokładnie wybarwiona, a druga dotąd zaledwo w słabych i ciemnych konturach zarysowana». Helcel zabrał się z zapalem do wykładów uniwersyteckich, wsparty radami o lat 5 starszego Romualda Hubego. Niestety jednak nie było tym razem danem mu rozwinięcie trwałej profesorskiej działalności. W Rzeczypospolitej krakowskiej, wskutek zabiegów państw ościennych, przedsięwzięto reformę konstytucyjną, przy której nie zapomniano i o wszechniej Jagiellońskiej. Rezydent rosyjski parł na jej zamknięcie, skończyło się jednak tylko w zniesieniu docentur. W obronie uniwersytetu Helcel wraz z Wielopolskim, Konstantym Świdzińskim i Pawłem Popielem ułożyli memoriał, który celu nie osiągnął, ale zacieśnił węzły między tymi ludźmi. Szczególnie silnie zacieśnił się stosunek H. z margrabią Wielopolskim, by przetrwać długie lata i wywarć wpływ na pojęcia obu mężów.

Pozbawiony możności wykładania w uniwersytecie, postanowił Helcel w inny sposób przemawiać do społeczeństwa; założył mianowicie »Kwartalnik naukowy«, pismo, które miało z jednej strony skupić uczonych polskich i zaznajomić ich ze stanem nauki europejskiej, z drugiej zaś miało zbliżać do siebie Słowian. Do współpracownictwa zaprosił redaktor najlepsze owoczesne sily: Wiszniewski, Mecherzyński, Muczkowski, Kremer, Wielopolski, Świdziński, Bartynowski, Bandtke, Goszczyński mieli zasilać nowy organ. Niestety jednak, większość współpracowników niepodała. Helcel zmuszony był wkładać nieznacznie dużo trudu zarówno w pisanie oryginalnych artykułów, jak i w poprawianie prac, nadesłanych przez innych pisarzy. Redaktor i jego główni współpracownicy znajdowali się pod silnym wpływem filozofii niemieckiej i szerzenie jej uważali za jedno z głównych zadań swego organu. Wpływ nauki niemieckiej odbił się nie tylko na treści prac, umieszczanych w »Kwartalniku«, ale również i na ich języku, który przeładowany był neologizmami, odwarżającymi terminologią niemiecką, »ów szwarogt filozoficzny«, który tak utrudniał zrozumienie prac polskich zwolenników Hegla. Poważny, nieprzystępny dla ogółu kwartalnik nie trwał długo i po dwu latach dokonał swego żywota. Po nieudanej próbie wydawania periodycznego pisma »Radogast«, przeniósł się Helcel na czas krótki na wieś, ale już w roku 1845 powrócił do Krakowa, by tu znów oddać się badaniom nad historią prawodawstwa polskiego i współdziałać przy wydawaniu kodeksu dyplomatycznego polskiego, Ryszczewskiego i Muczkowskiego, mającego się stać skarbnicą do poznania dziejów ustroju średnio-wiecznej Polski. Tymczasem zbliżały się wypadki polityczne, które miały znów oderwać Helcela od pracy naukowej i skierować go do działalności politycznej. Rzeczpospolita krakowska — ostatnia cząstka wolnej Polski, — w r. 1846 istnieć przestała. Upadek jej poprzedziła re-

wolucya, w czasie której Helcel odegrał rolę niemałą, jako jeden z najczynniejszych członków stronnictwa umiarkowanego, pragnącego ostrzedz stolicę Jagiellońską od kłeski, do której ją prowadzić się zdawali zbyt gorący przywódcy młodzieży, z Tyssowskim i Edwardem Dembowskim na czele. Straszne wrażenie wywarła na Helcela rzecz galicyjska; tnięty porażeniem, utracił władzę w nogach, a choć ją częściowo odzyskał, do zdrowia zupełnie nigdy nie wrócił. W miarę sil jednak nie przestawał służyć nauce i sprawie ojczystej; wyteżał on teraz umysł, by przy pomocy polemicznych artykułów sprostować błędne mniemanie cudzoziemców o smutnej rewolucji 1846 r. i wykazać nikczemność postępowania rządu austriackiego, które doprowadziło do rzezi galicyjskiej. W rozprawie »O stosunku większości obywateli miasta Krakowa do ostatniej rewolucji«, przeznaczanej dla prof. Röppla, dawał Helcel replikę na oskarżenia prasy niemieckiej, zwrócone przeciwko Polakom. Nieco później, zgromadziwszy materiały wielce kompromitujące rząd austriacki, pisze nasz uczonej: »Briefe eines polnischen Edelmannes an einen deutschen Publicisten über die jüngsten Ereignisse in Polen, und die hauptstädtlichen bisher nur vom deutschen Standpunkte betrachtete polnische Fragen«.

Ciężkie przejścia roku 1846, jak wspomnieliśmy, wywarły wpływ głęboki na Helcela. Opierając się stale na radach i wskazówkach swego politycznego mistrza Wielopolskiego, wyrobił sobie teraz powoli cały program polityczny. Właśnie rok 1848, rok nadziei i rozczarowań, zdawał się odpowiednim do wprowadzenia planu tego w życie. Pierwszym punktem w programie ówczesnym Helcela i Wielopolskiego było wytworzenie jakiejś władzy narodowej, obowiązującej dla wszystkich, któraby pozwoliła na wyzyskanie z korzyścią dla Polski ujawniających się sympatyj ludów słowiańskich i niemieckich, porwanych ruchem wolnościowym. Helcel, jako zwolennik władz jawnych i odpowiedzialnych, projektował w tym celu utworzenie konfederacji, mającej dokonać »połączenia wszystkich patriotów i wszystkich sił narodowych dla osiągnięcia niepodległości dawnej Polski całej, na drodze agitacji legalnej«. »Konstytucyjna legalność kroków i środków w duchu zgody z liberalnymi Niemcami, Słowianami, Europą, tudzież organizowanie się i przygotowanie do walki, następnie zgodne i silne przeprowadzenie walki wraz ze sprzyjającymi nam narodami« miała być zasadą konfederacji, projektowanej przez Helcela. Siedliisko stałe komitetu konfederacyjnego miało się znajdować we Wrocławiu. Idea Helcela i Wielopolskiego, poparta popularnem imieniem generała Dembińskiego, tylko w cząstce przyobłąkała sztafety realne; w dniu 5 maja 1848 r. mianowicie zebrało się we Wrocławiu około 60 osób z zaboru pruskiego i austriackiego, mających nieść oczywiście »najpotrzebniejszą pomoc«. Wśród sejmikujących znalazł się oczywiście i Helcel, reprezentujący Kraków wespół z Kazimierzem Wodzieckim, Badenim Michałem, Potulickim, Muczkowskim i Meiszewskim. Na zjeździe jednak doszło do poważnych nieporozumień; postanowiono jedynie założyć »ligę zbożową«,

kłórcy nakształt ligi angielskiej zbożowej objęła kraj cały, wydano proklamacyę do ludów i rozjechało się. Helcel rozczarowany wyjechał, nie doczekawszy się końca zjazdu, by wziąć udział w deputacyi, wysłanej przez miasto Kraków do Wiednia z protestem przeciwko bombardowaniu. W czerwcu widzimy go znnowu na jeździe słowiańskim w Pradze, do którego przywiązywał duże nadzieje. W pracach pierwszego kongresu słowiańskiego brał też nasz uczony udział niemały, uczestnicząc w redagowaniu statutu federacyjnego i adresu do cesarza. Za namową i staraniem Wielopolskiego postanowił Helcel, po powrocie do kraju, ubiegać się o mandat poselski do parlamentu austriackiego, mającego się zebrać w Kromieryżu. Poparty silnie przez przyjaciół, został wybrany przez jednomyślnie; nawet włościanie wyborcy poparli jego kandydaturę. W manifestcie do wyborców wyłożył teraz swój program polityczny. »Jak więc byłem — oznajmiał w swym manifestcie — tak będę za federacyą naszą z ludami austriacko-słowiańskimi i za upośrednieniem, jeśli być jeszcze może, krwawej niestety kolizyi Słowian węgierskich z Madziarami, aby przeto tem skuteczniej odprzeć wszelakie wpływy Słowiańszczyźnie obce, a dla nas w szczególności oddawna najpogrubniejsze«. »Jak byłem, tak będę — pisał dalej — za tem, aby kraj nasz we wszystkich gałęziach życia społecznego, po ustąpieniu wszędzie przeważającej w narodach niemieczny, otrzymał instytucye narodowe sobie właściwe, jakich początek już zyskał nasz okręg. Instytucye gimnne, szkoły, sądownictwo, gwarde narodowe na tych samych zasadach narodowych oparte być powinny«. Przybywszy do Kromieryża, przyłączył się oczywiście Helcel do kółka umiarkowanego, stojącego w obronie kościoła i własności, przechylającego się ku federalizmowi. W skład tego kółka wchodziłi wówczas: Zdzisław Zamoyski, Alfred Potocki, Jan Jaruntowski, Edmund Krafiński.

Po powrocie do Krakowa Helcel usunął się na czas dłuższy od czynnego życia politycznego, całą duszą za to oddał się teraz studyum nad historią prawa polskiego. Podjętę w tym kierunku znalazł nasz uczony w zamianowaniu go w roku 1850 profesorem prawa w uniwersytecie Jagiellońskim. Jako profesor nie miał dara przyciągania młodzieży, nie wywarł też wpływu na słuchaczy, natomiast przez dwuletni okres swojej działalności nieustannie zabięgał o podniesienie każdego z wydziałów uniwersyteckich. Jednocześnie z Helcelem do objęcia katedr powołani byli: Pol. Małeckı, Kremer, Zielonacki. Wszyscy oni już po dwu latach usunięci zostali przez rząd austriacki, który gorliwie wziął się do niemiażenia wszechniej Jagiellońskiej. Helcel, pozbawiony katedry, ze zdwojoną energią wziął się do ogłaszania swych studyów naukowych. W tym właśnie okresie powstają jego najlepsze i najpoważniejsze prace. W roku 1857 wychodzi pierwszy tom dzieła »Starodawne prawa polskiego pomniki«, zawierający studjum krytyczne nad ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego. Studium to, do którego autor dołączył tekst samych ustaw, zyskało mu uznanie zasłużone.

»W wywodzie historycznym tak zwanego prawodawstwa wiślickiego Kazimierza Wielkiego — pisał Bobrzyński — stwierdził Helcel do wodami, komu ustawodawstwo polskie na szersze rozmiary swój początek zawdzięcza; wyłożył cały przebieg prac Kazimierza W.; odkopał z niezrównaną bystrością pierwotne brzmienie trzech dzielnicowych i jednego powszechnego statutu, zbadał prace wieku warteńskiego z roku 1423, wyjaśnił przesłane losy ustawodawstwa Kazimierzowego, Jagiellowego aż do chwili, póki nie przybrało postaci, w jakiej je w statucie z roku 1505 widzimy. Trzeba znać chwętność wszystkich podstaw wiedzy o prawie polskiem przed rokiem 1856, chcąc donosić pierwsze tomu »Starodawnych pomników« należyte ocenę. Im więcej i częściej dzieło to badamy, tem lepiej poznajemy, ile na jego podstawie można dopiero zbudować«. Drugi tom pomnikowego wydawnictwa Helcela ukazał się dopiero w roku 1870; zawiera on odnalezione przez hr. Sierakowskiego »Prawo zwyczajowe polskie XIII wieku«, będące niezrównanem źródłem do poznania prawnych a nawet i ekonomicznych stosunków panujących w Polsce średniowiecznej«. Do tekstu staroniemieckiego samego pomnika dodał wydawca polskie ściśle tłumaczenie i uzupełnił je licznymi objaśnieniami. Gorzej poszło z wydaniem krakowskich zapisów sądowych, które również ukazały się w drugim tomie »Pomników prawodawstwa polskiego«. Zapisy te wydane w regestrach tylko, w których oczywiście Helcel uwzględnił to przedewszystkiem, co go interesowało, nie mogły obecnie zadowolić badaczy. W przerwie między ukazaniem się pierwszego a drugiego tomu »Pomników« rozpoczął schorowany już badacz cały szereg innych wydawnictw. Więc przedewszystkiem margrabia Wielopolski zaprosił go do objęcia wydawnictwa »Biblioteki Ordynacyi Myszkowskich«, powołanej do życia na skutek zapisu wspólnego przyjaciela obydwu: Konstantego Świdzińskiego. W roku 1859 wydaje Helcel nakładem Wielopolskich »Jurium constitutionumque Sigismundinarum a Mathiae Śilnicio descriptio«. W tymże wydawnictwie wydrukował Helcel »Listy Sobieskiego do żony«. W r. 1864 wydaje wreszcie »Księgę pamiętniczą Jakóba Michałowskiego«. Praca ta wywołała ostrą krytykę Szajnochy, na którą odpowiedział Helcel w broszurce pod tytułem »Odpór zarzutów«. Jeżeli do tych wszystkich robót dodamy jeszcze udział badacza przy opracowywaniu »Kodeksu polskiego« wydawanego przez Ryszczewskiego i Maczkowskiego, będziemy musieli uchylić czoła przed niezwykłymi zasługami położonymi dla nauki polskiej.

Do życia politycznego powrócił Helcel raz jeszcze w roku 1859. Chociaż chorobą złamaną, przyjął mandat do sejmu i do rady państwa, do której wybrano go z kurii miast. Objęcie tych mandatów skierowało go znów do pracy publicystyczno-politycznej. W roku 1860 występuje więc z broszurą »Uwagi nad kwestyą językową w szkołach i w uniwersytetach Galicyi i Krakowa«, która była echem listu ce-



sarskiego, wystosowanego do namiestnika Gołuchowskiego, a wzywającego go do wprowadzenia języka polskiego do szkół galicyjskich.

W lat sześć potem z pod pióra Helca wychodzi jeszcze poważne pismo polityczne, zawierające obszerny program polityki, której zdaniem autora powinni byli się trzymać meżowie, sterujący sprawami Galicji. Był to memoriał, przesłany przez uczonego ministrowi hr. Beleredomu, który mógł zapoznać się z pisma tego ze stosunkami, uسوبieniem politycznym głównych klas ludności galicyjskiej, poznać przyczyny niezadowolnienia, jak również i środki zaradcze. Memoriałem tym zamknął Helcel swój zawód polityczny. Beznadziejna choroba przykuła go ostatecznie do łóżka; miał jednak dość siły i panowała nad sobą, by pomimo strasznych cierpień pracować ciągle nad pomnikami starodawnego prawa polskiego. Drugi tom swego pamiętnego w dziejach nauki polskiej wydawnictwa ukończył przed samą śmiercią, która go zabrała 31 marca 1870 r.

#### BIBLIOGRAFIA.

»O teoretycznej i praktycznej oświacie«, »O właściwym zawodzie filozofa«, »Rys postępów prawodawstwa karnego« (»Kwartalnik Naukowy« 1835). »O powołaniu prawnika«, »O grzywnach za Kazimierza Wielkiego« (»Kwartalnik Naukowy« 1836). »Jerzy Samuel Bandtke w stosunku do społeczeństwa i literatury polskiej« (»Kwartalnik Naukowy« 1836). »O klasztorze Jędrzejowskim i będącym tam nagrobku Pakosława, kasztelana krakowskiego« (»Rocznik Tow. Nauk. Krak. 1852). »O dwukrotnym zamęczeniu księżniczki Ludwicy Karoliny Radziwiłłówny«. »Jurium constitutionumque Sigismundinarum proposita a Mathiae Slicinio descriptio« (Museum Świdzińskich 1859). »Listy Sobieskiego do żony« (tamże). »Badania w przedmnie historii dziesięciu kościelnych w Polsce«. 1863. »Uwagi nad kwestyą językową w Galicji« 1862. »Księga pamiątnicza Jakóba Michałowskiego« 1864. »List otwarty do A. Bielowskiego o najdawniejszych znanych nadaniach klasztoru Benedyktynów w Mogilnie« (Bibl. Ossolińskich 1865). »Odpór zarzutów« 1865. »Starodawnego prawa polskiego pomniki, poprzędzone wywodem historyczno-krytycznym tak zwanego prawodawstwa Wiślickiego Kazimierza Wielkiego« tom I, 1860. »Starodawnego prawa polskiego pomniki z ksiąg rękopiśmiennych dotąd nieużytych, głównie zaś z ksiąg dawnych sądów ziemskich i grodzkich ziemi krakowskiej« tom II, r. 1870.

**O Helclu pisali:** Bobrzyński »Niwa« 1873. Henryk Lisicki dał jedyną obszerniejszą biografję H.: »Antoni Zygmunt Helcel« Lwów 1882, 2 tomy. Dębicki L.: »A. Z. Helcel« Kraków, 1870 i w »Sylwetkach i szkicach literackich« I, 1905. Maciejowski W. A.: »A. Z. Helcel jako prawnik-historyk«. Rozpr. Akad. Um. wyd. hist.

fil. VI. 1877 i osobno. Kraków, 1876. Haller C.: »A. Z. H.« w Warszawie d. 8 kwiet. 1861. »Przegl. Pol.« 1883, II. Balzer o H. w »Albumie biograf. zast. Polaków w. XIX«, t. II. Kolodziejczyk E.: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce (A. Z. Helcel w r. 1835 - 36). »Świat słowiań.« 1910 (maj) »Listy Helca do W. Hanki« podał Francuz: Piśma k Wiaczesławu Hankie. Warszawa 1905.

#### O teoretycznej i praktycznej oświacie.

»A kto w ciemności chodzi, nie wie, kędy idzie. Wierzeleż w światłość, abyście byli synami światłości«.

Ewan. Jana XII. 35. 36.

Artykuł, którego cześć tu podajemy, odzwierciedla dokładnie stan umysłu Helca w jego młodości, gdy był jeszcze całą duszą Heglistą. Służył ten artykuł za wstęp do »Kwartalnika naukowego«.

**879)** Promień światłości ducha przedwiecznego przenika człowieka i znieca w nim dążność do doskonałości. Postępować w mądrości jest powołaniem jego, które mu Bóg oznaczył; a życie i jego stosunki, świat i jego oznaczenia, są zarazem szkołą i polem działania człowieka. Rozum, który jest podbudką i wskazówką czynów ludzkich, jest przyczyną, iż działalność nasza jest czym innym, niż działalność zwierzęcia, drganie listka na drzewie, lub ruch morza w przestrzeni. Człowiek myśli, a myśli rozumowo; myśli zaś jego, bądź że sama siebie ma za przedmiot, bądź świat, bądź wreszcie najwyższą przyczynę i siebie samej i świata, jest tylko w drodze do umienia siebie samej, świata i Boga, czyli jednym słowem: uczy się. Samo już tedy proste działanie myśli, sama istota myśli, jest nauką w najobszerniejszym tego wyrazu znaczeniu; nauką świata wewnętrznego myśli, i świata zewnętrznego rzeczy, zatem uczeniem się wszystkiego, nauką wszystkiego. Gdy zaś działanie to myśli jest tylko skutkiem jej istoty, jest tylko dopełnieniem jej przeznaczenia, jej dochodzeniem do swego celu, do swego końca, a zatem doskonaleniem. A jako zaś myśl nie jest bez rzeczy-

wistości, i nawzajem rzeczywistość nie jest bez myśli, tak też i doskonalenie owe, nie tylko jest samo w sobie, ale występuje i w rzeczywistości w zewnętrznym objawieniu się. Stan na jaw pokazującego się owego doskonalenia stanowi to, co oświata w ogólności zowiemy; jakoby to, co działaniem myśli w drodze doskonalenia wyświeconem zostało, występowało na jaw jako jasne, jako światło dające. Oświata przeto, do istoty już człowieka należąc, z pierwotnem jego łączy się powołaniem i jest skutecznieniem Boskiego w nim wolającego głosu: »aby był synem światłości«. W ślad tego głosu garna się pojedynczy ludzkie, garnie się ludzkość cała, a mniejsza lub większa siła popędu w tej mierze stanowi stosunkowo mniejszy, lub większy oświaty stopień.

Wszakże i oświata ma swoje odróżnienia, z natury jej już wypływające. Jeżeli bowiem myśl swój wolny postęp na drodze umienia poddaje logicznej ustawie rozsądku i systematyczną formę sobie utwarza, tedy skutkiem tej pracy będą nauki, umiejętności we właściwym znaczeniu, a zewnętrzne w właściwej drodze objawienie się postępu tychże nauk, stanowi oświatę ściśle naukową, teoretyczną. Jeżeli zaś toż postępowanie będzie w formach z doświadczenia zewnętrznego branych, tedy skutkiem jego będzie doświadczalna użyteczność i wykształcenie, a zewnętrzne jej istotnego postępu objawianie się stanowi oświatę praktyczną, cywilizacyjną w szczególnej znaczeniu. Oświata ściśle naukowa, wypływając bezpośrednio z zakresu wewnętrznej tylko działalności i oddzielona jeszcze od stosunków jej urzeczywistnienia, ma naturę nateżności i zglębienia się sama w sobie. Owa zaś druga, obejmując wszelkie stosunki ludzkości, dla tego samego ma naturę przestronności, to jest rozprzestrzeniania się w mnogość, rozlegania się, ile możności jak najszerszej. Stąd to w społeczności ludzkiej pierwsza objawia się w dążnościach indywidualnych i pojedynczym też tylko właściwa jest indywidualom, jest niejako przywilejem cechowania klasy uczonych, — druga przenika w mnogość, upowszechnia się w masach, jest popularną, jest żywą u ludu całego. Ta jest widoczną i do poznania łatwą; tamta jest tylko dla tych wdziałalną i należyce pojętą, których właśnie sama jest udziałem.

Dlatego to, iż właściwie jako taka do całości ludu należy,

oświata praktyczna w krajostanach przybera znaczenie polityczne i na instytucje polityczne stanowczy wpływ wywiera. Dlatego też wyrazem »Cywilizacya« (od civis) szczególnie ją mianować zwykliśmy. Mówiąc pod względem ukształcenia o cywilizacyi tego lub owego narodu, rozumiemy przez to nie naukową uczonych, lecz ludu oświatę. Mówiąc o usposobieniu narodu do tej lub owej politycznej instytucji, nie mamy na myśli oświaty uczonych, lecz ludu oświatę; i nie z pierwszej, lecz z drugiej w tym względzie miarę bierzemy. W tem porównaniu oświata praktyczna zdaje się być wyższą i główniejszą, niż ściśle umiejtana. Często też pospolite mniemania za przewagą tamtej z pogardą tej obstawiają. Lecz w gruncie jest to tylko pozorem, obłudem.

Obadwa te rodzaje oświaty są tylko dwoma odmiennymi stronami oświaty w ogólnym znaczeniu; w swej istocie są one jednym i tem samym, są objawieniem ciągłego i wszechstronnego postępowania myśli w drodze umienia. Jedną występującą w formach czysto logicznych, przedstawia stronę wewnętrzną. Jeżeli przeto oświata zewnętrzna z jawnymi okazuje się skutkami, to może nauką, jako czysto rozumową, tem jawniej właściwy pierwiastek oświaty i bezwarunkowość swej prawdy przedstawia. Odłączmy od oświaty zewnętrznej to, co w niej z myśli pochodzi, a zostanie się tło próżne, nicości oświaty. Odrzucać i mniej ważyć oświatę umiejtana, byłoby zapominać, że myśl doskonala się, myśl umiejtana jest wspólnem źródłem i tej i owej. Myśl w postępie swego doskonalenia, przechodząc w świat zewnętrzny, rozdziela się sama z sobą, wychodzi na zewnątrz siebie i łączy się z czemś, co nie jest myślą, z czem innym. Lecz w tem działaniu myśli na prostem przypatrzniu się czemu innemu nie przestaje, nie przylega tylko wprost do niego, ale takowe sobą ogarnia, obejmuje, pojmuje, równa z sobą i że tak rzekę, przetapia w własny swój element. Z tego co było innym od myśli robi coś pomysłanego, do myśli już należącego, a tak tem samym znów do siebie samej odnosi, sama się do siebie wraca, a wraca z treścią i rzeczywistością, i staje się ideą. Tak myśl postępuje w swem udoskonaleniu; lecz też zarazem doskonali i to, co przez nią jest pomyślanem. Albowiem wstępując w to, co tylko jest samo w sobie martwe

i ciemne, wlewa ruch, światło i życie, nadaje ducha i przeznaczenie. Gdy zaś oświata temu działaniu myśli zupełnie jest odpowiadająca, więc oświata zewnętrzna niczem innym nie jest, jak owym śladem doskonalenia, który oświata ogólna w swem przejściu w zewnętrzne i doświadczalne światło stosunki po sobie zostawia, wracając zawsze w czysto umysłową swą istotę z treścią i rzeczywistością, którą przez to nabyła. Lecz ten ślad nie jest tylko przypadkowym, nie jest, tak rzekę, nieumyślnie tylko zostawionym; przeciwnie, ślad ten jest koniecznym, bo jest koniecznym skutkiem koniecznego myśli rzeczywistością zajęcia się, czyli tej wzajemnej owych trzech pierwiastków jakoby atrakcyj. Jako myśl czysta bez treści byłaby tylko próżnem słowem, a nawzajem przedmiot bez myśli nie byłby przedmiotem, lecz czemś bez formy, bez oznaczenia, czemś nierozpoznalnym, jako więc dwa te w bezpośrednim swem naprzeciw sobie położeniu negujące się żywioły, właściwie są tylko uzupełniającymi się wzajemnie pojęciami, są zupełnie jednej i tejże samej istoty, a zatem tożsamością, tak też w stanowisku spekulacyjnym znika wrzekoma różnica między teorią a praktyką i pozorna przewaga tej drugiej, a w ślad tego znika też rozdział między ściśle naukową a potoczną oświatą i przypisywane pierwszeństwo potocznej. W swej istocie obie są sobie równe, tak, iż każda z nich pojedynco jest tylko inną stroną drugiej; a będąc wzajemnie dla siebie koniecznymi, tem samem wykazują swoją ze wszech miar odpowiednią jedność. Stąd to, gdy ową praktyczną oświatę zechcemy uważać w kształcie społeczeńskiego obyczaju, tedy dzieje umiejętności i dzieje obyczajności przedstawiają się jako dwa równoległe pasma podobnych momentów, dwie wzajemnie utrzymujące się strony jednej historii.

**Z aforyzmów o prawdziwym i fałszywym konserwatyzmie.**

**880)** Konserwatora nie stanowi bynajmniej sam czyn i sama zasada konserwowania bezwzględnie, bo tym sposobem i rewolucyj zwolennik, dążący do zakonserwowania rewolucyj i jej skutków, mógłby nazwę konserwatora nosić. Lecz

główny charakter konserwatorstwa upatrywanym być winien właśnie w oznaczeniu tego, co zachowaniem być powinno, a więc w pojęciu o tem, co prawdziwie za stałe, nietykalne i fundamentalne w danych stosunkach uważać należy.

Różnica między konserwatorami stąd więc pochodzić musi, iż jedni to, drudzy owo uważają za stałe i fundamentalne. Owóż ta różnica jest właśnie najbardziej krzyżującą różnicą, bo nie może być większej różności, jak różnić się w tem, co się za najważniejsze poczytuje.

Przypatrując się atoli bliżej stosunkom i ludziom, przyznać nam wypadnie, iż różność konserwatorów nietyłe wynika z odmienności pojęcia o tem, co konserwowane być powinno, jak raczej z tego, iż jedni rzeczywistość mają wzgląd na to, co chcą konserwować, jak na coś świętego, najważniejszego; drudzy zaś, zbyt leniwi, by o treści swego konserwatorstwa myśleć mieli, bez wszelkiej na to uwagi, bez wszelkiego oceniania stosunków żywotnych społeczeństwa, bez rozróżniania celu, chcą konserwować wszystko, co jest i co było dla prostej tylko zasadniczej konsekwencyi.

Takie bezwzględne a formalne zagrożenie jest atoli czczością tylko bez wszelkiej wartości, marną zasadą i słowem bez treści, pozorem bez prawdy, uporem bez myśli; takie zagrożenie w jednej wyłącznej myśli, jest bałwochwalstwem bezczynnego przedmiotu i wychodzi ostatecznie na bezwzględność radykalizmu, na fanatyzm.

Tacy nie zasługują na nazwę konserwatorów, lecz ich słuszniej stacyonaryuszami, pozostałcami, lub zagrześlakami nazywać się godzi.

Konserwatorstwo prawdziwe jest świadomem swych wyższych celów, do których dąży, i przyczyn, dla których te cele za wyższe nad wszelkie inne uznaje.

Odpowiedź na pytanie, co powinno być konserwowanem? co powinno być uważanem za stałe fundamentalne, nietykalne? nie powinny być politykom naszych czasów zbyt trudną do wynalezienia. Dość bowiem długo i głębsza teoria w tych pojęciach nurtowała, dość też oficje i praktyka ważnych świata wypadków przedstawiała w tej mierze przykładną naukę. Po-

mimo tego błędne opinie jakby w zaczarowaniu zawsze jedne i te same, choć w różnych kształtach ostały się.

Zbadanie prawdy zależeli atoli wyraźnie od właściwego pojmovania i oceniania państwa.

Czy państwo absorbuje i upodrzędnia wszystkie inne stosunki, stanowiska i węzły ludzkości? Czy człowiek w państwie niczem innym nie jest, tylko li obywatelem? Czy prócz praw, które państwo daje i obowiązków, które państwo wkłada, człowiek żadnych już innych praw i obowiązków nie ma? Czy państwo jest jedynym dawcą wszystkiego dobra i jedynym źródłem wszelkiego życia? Czy więc państwo w istocie swojej jest najwyższym i ostatecznym celem człowieka. Nie zaiste.

Państwo nie jest źródłem małżeństwa, nie tworzy rodziny. Państwo nie daje życia człowiekowi, nie tworzy środków materialnych do utrzymania życia tego; nie zastąpi niczem konieczności fizycznej i umysłowej pracy ludzkiej; nie upłodni ziemi, nie otworzy skarbów przyrodzenia dla człowieka, nie przymnoży samo z siebie żadnych człowiekowi dobytków; nie podsunie pod posiadanie i mienie człowieka warunków i podstaw jego materialnej egzystencji; nie usposobi ducha ludzkiego do rozpanoszenia się nad materją.

Państwo nie udzieli nikomu ani sił cielesnych i zdrowia, ani sił umysłowych, ani mocy ducha, ani cnotliwości, ani pobożności uczucia, ani geniuszu. Państwo nie wskrzesza owego niewygaślnego w człowieku żaru do nieskończonego kształcenia się i doskonalenia, do nieskończonego badania prawdy i do odziewania urokiem piękności wszystkiego, co jego myśli i ciało otacza.

Państwo nie wznieca nieodzownego popędu ducha ludzkiego do szukania bezwzględego wątku wszystkich istności, do szukania bezwzględnego ducha, Boga, i do jednoczenia się z nim i odnoszenia ciągłego.

Konieczniejsze to są, mocniejsze, czystsze i świętsze węzły, które naturę, Boga i ludzkosc do samych pierwiastków wszechświata tak ściśle wiążą, iż te trzy osobne pojęcia wzajem się uzupełniają, niemal koniecznie i w myśli ludzkiej jedną ideę składają, ideę źródłową, z której pojęcie państwa dopiero jako dalsza wynikłość wypływa. Jest to sfera, w której rządy

i wpływy Stwórcy bezpośredniej się jeszcze czuć dają w owych wrodzonych darach, stosunkach, zjawiskach, usposobieniach ludzkich, które rzeczywiście żadnym ludzkim zrządzeniom przypisywać nie można. W tej sferze źródłowej, logicznie i historycznie wyprzedzającej wszelki organizm polityczny, już są uzasadnione cele, prawa i obowiązki człowieka pierwsze, najwyższe, konieczne. W niej uzasadnione są więc owe Bosko przyrodnicze stosunki, których państwo utworzyć i dać nie może; w niej już uzasadnione są: familia, własność, życie fizyczne i wolność osoby, wiedza i geniusz indywidualny, wiara i religia i wszelkie z tych stosunków pierwotnych wypływające prawa.

Tak więc stosunki i prawa wyższe, których państwo nie tworzy, lecz które owszem do ukształcenia państwa prowadzą, te zaiste przedewszystkiem za stałe, fundamentalne i nietykalne przez konserwatorów uważaniami być powinny.

Lecz jeśli prawdą jest, iż państwo owych pierwotnych i najświętszych stosunków społeczeństwa nie tworzy, toć nie mniej rzeczą niezawodną, że państwo nietylko zdolnem jest owe stosunki, ale i prawa w ich całości utrzymać, że w państwie tylko osiągniętemi i urzeczywistnionemi być mogą. Jest więc państwo środkiem dla społeczności, ale środkiem koniecznym.

Główną istotą państwa jest ład, jest zachowanie się jednego względem drugich wogóle, i znów wszystkich wogóle względem jednego. Do tego koniecznego ładu należy ograniczenie się pewne jednego indywiduum dla drugiego i jednego dla wszystkich; do ładu tego należy idea wyższości i większej ważności ogółu, niż pojedynczego człowieka; do ładu tego należy idea rzeczywistego organu woli rozumnej ogółu, to jest idea ogólnego prawa przedmiotowego, której wola jednego podporządkowana być musi. Dopelnieniem koniecznem tej idei prawa jest rząd, tę ogólną wolę społeczności z ładem urzeczywistniający i mający potrzebną władzę do wykonania prawa. Bez władzy niema rządu, bez rządu niema ładu, bez ładu pojedynczości spolić się nie mogą, bez ładu niema społeczności, bez społeczności zaś nie może istnieć człowiek.

Czyt. Naukowa

Opracował IGNACY TAD. BARANOWSKI,

Nr III  
Nr inw. C. N. 435

33\*

F. W. 53



Str. 483 — wiersz 21 od dołu brakuje po wyrazach: oceniał Balzer w »Hi-  
storyi porównawczej praw słowiańskich« Lwów 1900 r.



